

Stephen Baxter

"Pływ"yw

Dura przebudziła się gwałtownie.

Coś było nie w porządku. Fotony wydzielały inny zapach niż zazwyczaj.

Ledwo dostrzegała rękę, którą wyciągnęła przed siebie. Zgięła palce. Wokół opuszków zaśnił wzburzony, fioletowobiały gaz elektronowy, którego cząsteczki poruszały się chwiejnie, po spirali wzdłuż linii Magpoła. Powietrze wydawało się ciepłe i nieswieże; Dura widziała tylko niewyraźne zarysy przedmiotów.

Przez chwilę nie ruszała się, zwinięta w ciasny kłębek, zawieszona w elastycznym uścisku Magpoła.

Słyszała piskliwe i gorące z przerażenia głosy. Dochodziły od strony Sieci.

Mocno zacisnęła powieki i objęła rękami kolana, usiłując ponownie zasnąć i powrócić do stanu chłodnej nieświadomości.

– Tylko nie to. Na krew Xeelee – zakłęta cicho. – Tylko nie kolejne Zaburzenie*, tylko nie jeszcze jedna burza spinowa. – Nie była pewna, czy mały szczep Istot Ludzkich posiadał wystarczające środki, by wytrzymać następną falę zniszczeń, i czy ona sama zdoła sobie poradzić z nową katastrofą.

Magpole, otaczające ciało Dury, drgało. Rozchodziło się po jej skórze falami dreszczy, wywołując dość przyjemne uczucie, toteż pozwalała mu się kołysać, jakby była dzieckiem w jego ramionach. Jednak w pewnym momencie poczuła znacznie mniej przyjemne szturchnięcie w plecy...

Nie, to nie mogło być Magpole. Dura ponownie wyprostowała się i przeciągnęła, choć napór pola ograniczał jej ruchy. Przetarła oczy – mięsiste brzegi oczodołów** pokrywał zaropiały,

* Zaburzenie – właściwie zmiana tempa rotacji pulsara (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

**.* oczy ludzi żyjących w Płaszczu są wklęsłe, przez co mają niejako wspólną powierzchnię z oczodołami.

chropowaty w dotyku nalot – i potrząsnęła głową, żeby usunąć z zagłębien resztki zanieczyszczonego Powietrza.

Ból pleców zawdzięczała pięści swojego brata, Farra. Musiał dyżurować w latrynie, gdyż miał przy sobie pustą, pofałdowaną torbę na odpady, którą zazwyczaj napełniano bogatym w neutrony kałem z Sieci, a potem wyrzucano jej zawartość do Powietrza. Jego chude, wciąż rosnące ciało drżało na skutek niestabilnego Magpoła, a gdy zwrócił ku siostrze okrągłą twarz, ujrzała na niej niemal komiczne oznaki zaniepokojenia. Jedną ręką ścisnął płetwę ukochanego prosiaczka powietrznego – grubego oseska, wielkiego jak pięść Dury i tak młodego, że żadna z jego sześciu płetw nie była jeszcze przekłuta. Małe zwierzątko, wyraźnie przerażone Zaburzeniem, nieudolnie próbowało uciekać, puszczać nadciekłe wiatroodrzuty w postaci cienkich, błękitnych strumyków.

Czułość, jaką Fair okazywał zwierzęciu, sprawiała, że nie wyglądał nawet na swoje dwanaście lat – jedną trzecią wieku siostry – i tulił się do prosiaczka tak, jakby chciał objąć swoje dzieciństwo. No cóż, pomyślała Dura, Płaszcz jest ogromny i pusty, lecz znajduje się w nim odrobina wolnego miejsca na dzieciństwo. Fan- musiał szybko dorastać.

Tak bardzo przypominał Logue'a, ich ojca.

Nadal lekko zamroczona dziewczyna w przypływie czułości i troski o brata wyciągnęła rękę, żeby pogładzić chłopca po policzku i delikatnie dotknąć palcami brązowych obwódok jego oczu.

Uśmiechnęła się.

– Cześć, Farr.

plyw

- Przepraszam, że cię obudziłem.
- Nie obudziłeś mnie. Gwiazda była tak uprzejma, że zrobiła to o wiele wcześniej. Znowu Zaburzenie?
- Adda twierdzi, że to najgorsza z dotychczasowych katastrof.
- Nie można się przejmować tym, co mówi Adda – rzekła Dura i pogłaskała falujące włosy brata; wydrażone rureczki jak zawsze były splątane i brudne. – Jakoś przetrwamy. Zawsze dajemy sobie radę, prawda? Wracaj do ojca i powiedz mu, że zaraz tam będę.

- Dobrze. – Fair uśmiechnął się. Odwrócił się sztywno i wciąż kurczowo ściskając płetwę prosiaczka, zaczął niezgrabnie falować przez niewidzialne szlaki pływowe Magpoła w kierunku Sieci. Dura obserwowała oddalającego się brata; jego szczupłą sylwetkę pomniejszały wszechobecne, lśniące linie wirowe w tle.

*
Dziewczyna wyprostowała się i przeciągnęła, napierając na Magpoła. Otwierając szeroko usta, starała się rozluźnić zeszywniałe plecy i kończyny. Czuła lekkie muśnięcia Powietrza, które wpadało przez jej gardło do płuc i serca, sączyło się przez nadprzepuszczalne, włosowate naczynia krwionośne, przenikało mięśnie i swą świeżością wywoływało mrowienie w całym ciele.

Rozglądała się, usiłując jednocześnie wyczuć zapach fotonów.

Światem Dury był Płaszcz Gwiazdy, ogromna pieczara wypełniona żółtobiałym Powietrzem, którą z dołu okalało Morze Kwantowe, a z góry Skorupa.

Skorupę tworzył gruby, splątany sufit poprzecinany fioletowymi smugami trawy i przypominającymi włosy rzędami drzew. Mrużąc oczy – zniekształciła tym samym ich paraboliczne siatkówki – Dura dostrzegała ciemne plamki pośród korzeni drzew tkwiących w spodniej części Skorupy. Patrzyła na nie z tak dużej odległości, że nie wiedziała, czy są to płaszczki, czy stado dzikich świń powietrznych lub inne pasące się zwierzęta. W każdym razie wydawało się, że te ziemnopowietrzne stworzenia wirują i chaotycznie zderzają się ze sobą; odnosiła nawet wrażenie, iż słyszy ich zaniepokojone odgłosy. Daleko w dole spowite mgłą Morze Kwantowe tworzyło ciemnofioletową podłogę świata, o niewyraźnej, złowrogiej powierzchni. Dura stwierdziła z ulgą, że nie zmąciło jej Zaburzenie. Pamiętała tylko jeden przypadek trzęsienia Morza wywołany Zaburzeniem. Przypomniawszy sobie tamten upiorny epizod, zadygotała jak Magpoła. Była w wieku Farra, gdy wezbrane strumienie neutrinowe porwały ze sobą połowę Istot Ludzkich – włącznie z Phir, matką Dury i pierwszą żoną Logue' a – i wyrzuciły wrzeszczące ofiary do tajemniczego świata poza Skorupą.

Linie wirowe, wypełniające Powietrze między Skorupą i Morzem, przypominały klatkę z błękitnych, naelektryzowanych prę-

tów. Zapełniały przestrzeń na wzór heksagonalnej macierzy, pozostając w odległościach równych wzrostowi dziesięciu mężczyzn; osaczały Gwiazdę dalekim nadpływem z Północy, opadając gdzieś za Durą jak trajektorie ogromnych, pełnych wdzięku stworzeń i zacierając się w bładoczerwonym zamgleniu Bieguna Południowego, odległego o miliony ludzi.

Dura podniosła palce, próbując ocenić ułożenie linii i wielkość przestrzeni między nimi.

Widziała obozowisko i panujące w nim poruszenie – przerażone, stłoczone świny powietrzne, niezdarnie gramolących się ludzi, rozedrganą Sieć, nade wszystko zaś wzburzone Powietrze. Farr wyglądał żałośnie – miotał się wraz ze swoim zwierzakiem, usiłując przedostać się przez niewidzialne kanały pływowe.

Dura starała się nie patrzeć na małą, pogrążoną w chaosie grupę reprezentantów ludzkości. Skoncentrowała wzrok na liniach.

Zazwyczaj poruszały się majestatycznie, z przewidywalną regularnością, tak że Istoty Ludzkie mogły odmierzać własne życie. Odwieczny ruch linii w kierunku Skorupy nakładał się na drgania

plyw

wiązek – ściśniętych, wyrazistych skupisk, które oznaczały dni – i na powolniejsze, bardziej złożone oscylacje drugiego rzędu, które służyły do liczenia miesięcy. Normalnie Istoty Ludzkie z łatwością unikały powoli odkształcających się linii; zawsze miały wystarczająco dużo czasu, by zwinąć Sieć i przenieść swoje małe obozowisko w inny zakątek pustego nieba. Dura wiedziała nawet, co powodowało majestatyczne pulsowanie linii, chociaż nie miała z tego wielkiego pożytku. Daleko za skorupą znajdowała się towarzysząca Gwiazdy. Była to planeta, kula mniejsza i lżejsza od Gwiazdy. Wędrowała ponad głowami Istot Ludzkich, które nie mogły jej zobaczyć. Przyciągała linie wirowe, jakby dysponowała niewidzialnymi palcami. A za tą planetą – dziecinne wyobrażenia, nieproszone, powracały do Dury niby fragmenty długiego snu – za planetą oczywiście znajdowały się niewyobrażalnie odległe gwiazdy Ur-ludzi, niewidzialne na zawsze. Zazwyczaj dryfujące linie wirowe były stabilne i bezpieczne jak palce przyjaznego boga. Ludzie, świnie powietrzne i inne zwierzęta poruszały się między nimi swobodnie, nie odczuwając strachu ani zagrożenia...

Sytuację zmieniało nadejście zaburzenia.

Wirowy korowód, oglądany teraz przez rozstawione palce, wyraźnie zmieniał swój charakter, tak jakby nadcięte Powietrze starało dopasować się do niestałej rotacji Gwiazdy. Niestabilności – wielkie, równoległe porcje zaburzeń – już maszerowały majestatycznie wzdłuż linii, przenosząc z Bieguna na biegun magnetyczny wieści o kolejnym przebudzeniu Gwiazdy. Fotony emitowane przez linie wydzielały ostry, rozrzedzony zapach. Nadchodziła burza spinowa. Dura wybrała miejsce do spania w odległości mniej więcej pięćdziesięciu ludzi od środka obozowiska Istot Ludzkich. Mag-pole wydawało się tu szczególnie gęste, kojąco bezpieczne. Teraz zaczęła falować w kierunku Sieci. Wijąc się i machając kończynami, czuła, jak przez jej naskórek przepływa elektryczność. Naparła rękoma i nogami na niewidzialne, stawiające opór Mag-pole w taki sposób, jakby chciała wejść na drabinę. Całkowicie rozbudzona czuła, że ogarniają spóźniony niepokój – niepokój zaprawiony poczuciem winy z powodu opieszałości. Sunąc przez Magpole, rozcapierzyła płetwowate palce i młóciła dłońmi Powietrze, żeby nabrać szybkości. Głównym składnikiem Powietrza była neutronowa nadcięż, toteż prawie nie stawiała oporu. Mimo to dziewczyna wywijając palcami z narastającym zniecierpliwieniem; aktywność zmniejszała poczucie zagrożenia. Linie wirowe sunęły jej przed oczami jak nierealne sny. Wzburzenia przemykały wielkimi łańcuchami zdarzeń, jak gdyby linie wirowe były sznurami ciągniętymi przez olbrzymie istoty ulokowane we mgłę Biegunów. Fale mijające Durę emitowały niski, jękliwy dźwięk. Ich amplituda wynosiła już połowę człowieka. Na wewnętrzności Boldera, pomyślała, może ten stary głupiec, Adda, ten jeden raz ma rację, może to rzeczywiście będzie najgroźniejsza burza. Powoli, niezdolnie powoli, obóz przeradzał się z odległej abstrakcji, w której panował hałas i zamieszanie, w zorganizowaną społeczność. Obozowisko umiejscowiono wokół prymitywnej Sieci w kształcie cylindra, zrobionej z plecionej kory drzewnej i rozwieszzonej wzdłuż linii Magpola. Większość ludzi sypiała i jadała

przywiązana do Sieci, a cylinder wyglądał jak tkanina z łat, gdyż przymocowano do niego rzeczy osobiste, koce, zwykłą odzież – peleryny wyglądające jak poncha, tuniki i pasy – oraz kilka pociesznych zawiniątek z żywnością. Ze sznurów tej konstrukcji zwisały kawałki niedokończonych wyrobów z drewna i skrawki niewyprawionej świńskiej skóry. Sieć była szeroka na pięciu ludzi a wysoka na tuzin. Starsi osadnicy, tacy jak Adda, twierdzili, że istnieje ona od pięciu pokoleń albo i dłużej. W każdym razie stanowiła jedyny dom około

plyw

pięćdziesięciu ludzi, była ich jedynym skarbem.

Kiedy Dura zbliżała się do niej, przedzierając się przez Mag-pole, spjrzała nagle na tę wątlą strukturę krytycznym okiem. Jak gdyby nie urodziła się w kocu przywiązany do brudnych węzłów Sieci, i jakby nie miała umrzeć, przywierając do niej. Zrozumiała, jak krucha jest ta płatanina sznurów, jak żałosni i bezbronni są w rzeczywistości jej mieszkańcy. Nawet pomimo, że zamierzała dołączyć do swoich pobratymców w potrzebie, odczuwała przygnębienie, słabość i bezradność.

Dorośli i starsze dzieci falowali wokół plecioneo obozowiska, pracując przy węzłach, od których karłowaciały im palce. Dziewczyna zauważyła Eska, który cierpliwie zajmował się fragmentem Sieci. Wydawało jej się, że obserwował ją, ale nie miała pewności, czy tak było. W każdym razie towarzyszyła mu jego żona, Philas, więc Dura odwróciła głowę w inną stronę.

Tu i ówdzie widać było mniejsze dzieci i niemowlęta, przywiązane do Sieci za pomocą pęt różnej długości. Zostawiali je tam pracujący rodzice i rodzeństwo. Te małe przerażone istoty kwiliły w poczuciu osamotnienia i bezskutecznie falowały, chcąc pozbyć się więzów. Durze było żal każdego z nich. Dostrzegła Dię, ciężarną dziewczynę, spodziewającą się swojego pierwszego dziecka. Pracowała z mężem, który nazywał się Mur, ściągając z Sieci narzędzia oraz części garderoby i upychając je do torby. Na jej napęczniałym, nagim brzuchu lśniły krople powietrznego potu. Dia była filigranową kobietą o wyglądzie dziecka; ciąży jedynie podkreślała jej młodość i kruchość. Obserwowanie przesiąkniętych lękiem ruchów ciężarnej dziewczyny budziło w bezdzietnej Durze instynkt opiekuńczy.

10

Zwierzęta– nieduże stado kilkunastu dorosłych świń powietrznych i mniej więcej tyle samo prosiąt – były unieruchomione wewnątrz Sieci, wzdłuż jej osi. Teraz beczwały, a ich odgłosy stanowiły żalobny kontrpunkt dla okrzyków i nawoływań ludzi. Tłoczyły się w środku cylindra z lin, tworząc rozdygotane kłębowisko pletw, wylotów odrzutowych i szypułek zwieńczonych oczami w kształcie misek. Parę osób weszło w głąb plecioneo obozu i próbowało uspokoić zwierzęta, uwiązać przekłute pletwy ich przywódców. Dura zorientowała się jednak, że demontaż Sieci przebiega powoli i nierównomiernie, a stado pokwikuje ze strachu i porusza się niespokojnie.

Usłyszała podniesione głosy wystraszonych, zniecierpliwionych ludzi. Uświadomiła sobie, że to, co z oddali sprawiało wrażenie kontrolowanej operacji, było w istocie jednym wielkim bałaganem. Kątem oka uchwyciła jakieś poruszenie – niebiesko-biały refleks w oddali... w kanałach wirowych rozchodziły się kolejne zmarszczki, napływające z odległej Północy: potężne, postrzępione nieregularności zupełnie przyćmiły małe niestabilności, które Dura obserwowała do tej pory.

Zostało im niewiele czasu.

LogueJego ojciec, wisiał w Magpolu w pobliżu Sieci. Adda, zbyt stary i powolny, żeby w pośpiechu związać obozowisko, krążył obok Logue'a, marszcząc swoją chudą twarz. Ojciec Dury wykrzykiwał rozkazy charakterystycznym dzwięcznym barytonem, ale dziewczyna zorientowała się, że w niewielkim stopniu poprawiało to koordynację działań. Doświadcziała dziwnego uczucia bezczasowości i oderwania od tego, co ją otaczało. Patrzyła na ojca tak, jakby spotkała go po raz pierwszy od wielu tygodni. Włosy oblepiające jego czaszkę poskręcały się i pozołtkły. Twarz przypominała maskę, lecz pomimo siateczki blizn i zmarszczek, wciąż można było na niej dostrzec regularne chłopięce rysy, które odziedziczył po nim Farr.

Zobaczywszy Durę, Logue odwrócił się. Szeroko otworzył oczy i nerwowo poruszał mięśniami policzków.

– Nie śpieszyłaś się zbyttnio – burknął. – Gdzie byłaś? Nie możesz zrozumieć, że tu jesteś potrzebna?

plyw

Słowa ojca wyrwały ją z odrętwienia i wbrew sobie samej, mimo niebezpieczeństwa poczuła, że wzbiera w niej gniew i uraza.

11

– Gdzie? Poleciałam do Rdzenia nocnym myśliwcem Xee-lee. A gdzie według ciebie mogłabym być?

Logue odwrócił się od niej z udawanym obrzydzeniem.

– Nie powinnaś bluźnić – mruknął. Miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Zniecierpliwiona postawą obojga, ciągłymi sprzeczkami, potrząsnęła głową.

– Och, do Pierścienia z tym wszystkim. Lepiej powiedz, co mam robić.

Teraz zbliżył się do niej stary Adda. Rozszerzone pory między resztkami włosów błyszczały od potu powietrznego.

– Nie wiem, czy jesteś w stanie coś zrobić – rzucił kwaśno. – Spójrz na nich. Co za bałagan.

– Chyba nie zdążymy, prawda? – zagadnęła go Dura. Wyciągnęła rękę, wskazując Północ. – Spójrz na ten rozchodzący się krąg. Nie uda nam się uciec.

– Może się uda, a może nie. – Stary człowiek przeniósł obojętny wzrok na Biegun Południowy, którego łagodny blask rozświetlał mu siatkówki oczodołów. Wokół oczu mężczyzny wirowały cząstki odpadów; do oczodołów nieustannie napływały, a potem wypływały z nich malutkie symbiotyczne organizmy czyszczące.

– Mur, ty cholerny głupcze! – ryknął Logue zniecierpliwiona. – Skoro ten węzełek nie daje się rozplatać, rozetnij go. Rozerwij. Przegryź, jeśli będzie trzeba. Tylko nie zostawiaj w takim stanie, bo kiedy zaatakuje nas burza, połowa tej Sieci urwie się i z łopotem wpadnie do Morza Kwantowego...

– To najgorsza burza, jaką zdarzyło mi się widzieć – wymamrotał Adda, pociągając nosem. – Jeszcze nigdy nie czułem tak kwaśnego zapachu fotonów. Zalatują jak wystraszone prosiątko... Oczywiście pamiętam jedną burzę wirową z dzieciństwa... – dodał po chwili.

Dura musiała się uśmiechnąć. Adda był prawdopodobnie najmądrzejszy z nich wszystkich, jeśli chodziło o zachowanie się Gwiazdy, lecz największą przyjemność znajdował w wieszczaniu zagłady. Nigdy nie wyjawiał tajemnic własnej przeszłości, szalonych, zabójczych dni, które tylko on był w stanie przechowywać w pamięci.

12

Logue rzucił córce wściekłe spojrzenie. Jego twarz była roztrzęsiona jak drżące Magpole.

– Ty się śmiejesz, a nam grozi śmierć – syknął.

– Wiem. – wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia ojca. Poczuła gorący prąd Powietrza, które przeciekało z jego napiętych mięśni. – Wiem – powtórzyła. – Przepraszam.

Zmarszczył brwi, popatrzył na córkę spode łba i wyciągnął rękę, jakby chciał jej dotknąć. Rozmyślił się jednak.

– Może nie jesteś taka silna, jak chciałbym wierzyć.

– Może nie jestem – odparła cicho.

– Chodź – powiedział. – Pomożemy sobie nawzajem. I pomożemy naszemu ludowi. Ostatecznie nikt jeszcze nie umarł.

Dura wgramoliła się na Sieć, pokonując linie pływowe Mag-pola. Mężczyźni, kobiety i starsze dzieci skupili się w małych grupkach. Ich chude ciała zderzały się, kiedy dryfowali we wzburzonym Magpolu, rozbierając plecione obozowisko. Co chwilę nerwowo i trwożliwie zerkali na nadciągające niestabilności wirowe. Z całej Sieci dochodziły stłumione głosy i okrzyki – modlitewne zaklęcia i błagania o miłosierdzie Xeelee.

Obserwując Istoty Ludzkie, Dura zrozumiała, że tłoczą się razem dla dodania sobie otuchy, a nie po to, by osiągnąć większą skuteczność. Zamiast pracować równym tempem na całej Sieci, ludzie wręcz przeszkadzali sobie wzajemnie w jej sprawnym demontażu. Duże

plyw

fragmenty splecionej Sieci pozostawały nietknięte. Dura odczuwała ze zdwojoną siłą przygnębienie i bezradność. Zapewne mogłaby pomóc ludziom lepiej zorganizować pracę. Ze znużeniem napominała samą siebie, że przynajmniej ten jeden raz powinna zachować się tak, jak przystało na córkę Logue'a, i pokierować nimi. Jednak gdy patrzyła na przerażone twarze Istot Ludzkich, na okrągłe, wytrzeszczone oczy dzieci, widziała w nich zmęczenie i lęk, które zdawały się działać paraliżująco na nią samą. Może gromadzenie się w tłumie i wznoszenie modlitw było równie racjonalną reakcją w obliczu nadciągającej katastrofy jak każda inna. Wygięła się i zaczęła falować w kierunku opustoszałej części

13

Sieci, trzymając się z dala od Eska i Philas. To Logue miał kierować grupą; Dura postanowiła ograniczyć się do wykonywania jego poleceń. Do obozowiska zbliżyła się pierwsza potężna fala. Czując wzrastające napięcie Powietrza, Dura chwyciła się mocnego sznura i przysunęła do rozdygotanej płataniny. Na chwilę przycisnęła twarz do grubej warstwy Sieci i ujrzała przed sobą, nie dalej niż na wyciągnięcie ręki, ryj świni powietrznej. Przetykane linkami dziury w płetwach zwierzęcia były szerokie i obwiedzione zgrubiałą tkanką, jak u wszystkich starych osobników. Dziewczyna odnosiła wrażenie, że świnia patrzy jej prosto w oczy. Z rynienkowatej głowy wysunęło się sześć szypułek z wklęsłymi oczodołami. Była to jedna z najstarszych świni powietrznych – córka Logue'a przypominała sobie z czułością, że jako dziecko znała imię każdej z nich – i musiała przeżyć wiele burz spinowych. Hm, jaka jest twoja diagnoza? – zastanawiała się Dura. Sądziysz, że mamy szansę przetrwać również i tę burzę? Czy uda ci się ją przeżyć? No, jak myślisz?

Uporczywe, smutne spojrzenie brązowych oczu zwierzęcia nie wyrażało żadnej odpowiedzi. Jednakże stęchły, ciepły odór sugerował, że świnia odczuwa lęk.

Nagle płatanina sznurów przed Dura zalśniła błękitem i bielą, a potem mignął cień jej własnej głowy.

Odwróciła się i zobaczyła, że jedna z linii wirowych przemieściła się i znajdowała zaledwie w odległości kilku ludzi od niej. Błyszczała i drżała w Powietrzu; wyglądała jak kabel emitujący błękitną poświatę, której jaskrawość męczyła oczy.

Wydawało się, że jej współplemieńcy zaprzestali wszelkich prób zdemontowania Sieci. Nawet Logue i Adda ograniczali się do falowania, ufając iluzorycznemu bezpieczeństwu swojskiego środowiska. Ludzie po prostu chwytały się tego, co było w pobliżu; oplatali ramionami i przytulali najmniejsze dzieci. Luźne płachty Sieci łopotały bezużytecznie wokół nich, a dzieci zanosiły się płaczem.

Nagle rozpoczęła się burza spinowa. Wzdłuż najbliższej linii wirowej wezbrała nieregularna nieciągłość, głęboka na człowieka.

Przeszła przez Sieć tak szybko, że nie doścignęłyby jej żadna

14

falująca istota ludzka; nawet dzikie świnie powietrzne nie potrafiły mknąć w Powietrzu z taką prędkością.

Dura usiłowała koncentrować uwagę na dającym punkt zaczepienia, solidnym, włóknistym sznurze i kojącym uścisku Magpola, które, jak zawsze, delikatnie trzymało jej ciało. Nie mogła jednak ignorować drżenia Magpola, gwałtownego gęstnienia Powietrza w płucach i ryku fali ciepłej, przedzierającej się przez Powietrze z taką siłą, że bała się o swoje uszy.

Zacisnęła powieki tak mocno, że czuła, iż usuwa spod nich Powietrze. Skup się, mówiła sobie. Wiesz, co się dzieje. Ta żalonna świnia powietrzna, uwiązana wewnątrz Sieci, jest nieświadoma tak samo jak najmłodsze prosiątko podczas swojej pierwszej burzy. Ale ty jesteś przecież Istotą Ludzką.

I dzięki rozumowi uzyskamy przewagę...

Nawet gdy wypowiadała te słowa niczym modlitwę, nie potrafiła

plyw

odnaleźć w nich żadnej prawdy, co najwyżej pobożne życzenia. Powietrze było neutronową płynnością, nadciekłością. Nadciekłości nie mogły utrzymać wirów na dużych dystansach. Dlatego, w odpowiedzi na zaburzenia w obrotach Gwiazdy, stabilne dotąd Powietrze przekształciło się w substancję gęstą od włóskowatych rurek wirującego Powietrza. Linie wirowe układały się w regularne wzory, równoległe do osi rotacji Gwiazdy, dokładnie równoległe do osi magnetycznej poprzedzającej Mag-pole. Zapełniały cały świat. Były bezpieczne pod warunkiem, że trzymało się od nich z daleka – wiedziało o tym każde dziecko. Ale podczas Zaburzenia czasami odnosiło się wrażenie, że szukają ofiary... i nadciekłość Powietrza przechodziła metamorfozę, załamując się wokół załazków wirów i przekształcając Powietrze z rozrzedzonej, stabilnej, życiodajnej cieczy w groźny żywioł, wzburzony i pełny zawirowań. Wyglądało na to, że właśnie przeszedł pierwszy podmuch zawirowań. Dziewczyna, nie odrywając rąk od Sieci, otworzyła oczy i szybko rozejrzała się wokoło. Linie wirowe, równoległe promienie ginące w nieskończoności, wciąż powoli maszerowały po niebie, poszukując nowego stanu równowagi. Widok był imponujący. Przez chwilę, z dreszczem emocji Dura wyobrażała sobie szeregi zawirowań, które

15

rozpościerały się wokół Gwiazdy, porządkując szyki, skupiając się i rozszerzając, jakby Gwiazda opleciona była siecią myśli jakiegoś potężnego umysłu.

Sieć zadrżała w uścisku Dury. Szorstkie włókna wrzynały się w dłonie. Ostry ból pomógł jej gwałtownie wrócić do rzeczywistości. Westchnęła. Zebrała siły, gdyż znowu ogarnęło ją znużenie.

–Dura! Dura!

Z odległości kilku ludzi dobiegł do jej uszu piskliwy, wystraszony dziecięcy głos. Uczepiona Sieci jedną ręką, obróciła się i zobaczyła swojego braciśka, który zawisł w Powietrzu niczym porzucony strzęp odzieży i mięsa; falował właśnie w kierunku siostry.

Kiedy Fair dotarł do Dury, objęła go ramieniem. Dzięki jej pomocy oplótł rękami i nogami sznury Sieci. Oddychał ciężko i dygotał, a krótkie włosy porastające jego czaszkę pulsowały w zetknięciu z ruchami nadcieczy.

– Odrzuciło mnie – powiedział między jednym haustem

Powietrza a drugim. – Straciłem swoje prosiątko.

– Widzę. Dobrze się czujesz?

– Chyba tak. – Spojrzał na siostrę szeroko otwartymi, pustymi oczami, a potem zaczął się przyglądać niebu, jak gdyby chciał odszukać przyczynę, dla której utracił poczucie bezpieczeństwa. – To jest okropne, prawda, Dura? Czy umrzemy?

Niedbale przeczesła jego sztywne włosy palcami.

– Nie – odparła z przekonaniem, na które nie mogłaby się zdobyć, gdyby była sama. – Nie umrzemy. Ale zagraża nam niebezpieczeństwo. A teraz bierzmy się do roboty. Musimy złożyć Sieć, żeby nie uległa zniszczeniu podczas kolejnej niestabilności. – Pokazała mały supeł, który wydawał się luźno zawiązany. – Tam. Rozwiąż go. Tak szybko, jak tylko możesz.

Zagłębił drżące palce w węzeł i zaczął podważać sznury.

– Ile mamy czasu do uderzenia następnej fali?

– Wystarczająco dużo, by zdążyć – odparła stanowczo. Chciała się upewnić, że ma rację. Nadal ciągnąc odporne supty, zerknęła na Północ, na nadpływ – stamtąd miała przyjść następna fala.

Natychmiast uświadomiła sobie, że się myliła. Dookoła Sieci

16

zabrzmiały zdziwione i coraz bardziej przerażone głosy. Minęło zaledwie kilka uderzeń serca, gdy usłyszała pierwsze okrzyki. Zbliżała się do nich kolejna fala. Dziewczyna coraz wyraźniej słyszała narastający zgiełk ciepłych fluktuacji. Nowa niestabilność

Strona 7

plyw

była potężna – głęboka na co najmniej pięciu, sześciu ludzi. Dura obserwowała zjawisko jak zahipnotyzowana; jej palce znieruchomiały. Fala pędziła ku córce Logue'a szybciej niż wszystkie inne, które dotąd pamiętała, a w miarę zbliżania się jej amplituda ulegała coraz większemu pogłębieniu, jakby korzystała z energii Zaburzenia.

Oczywiście wzrostowi amplitudy towarzyszył wzrost prędkości. Niestabilność była napierającą superpozycją falowych kształtów, skupionych wokół przemieszczającej się linii wirowej; skupiskiem poruszającym się spiralnie wokół tej linii i, jak się zdawało Durze, przypominającym wrogie zwierzę brnące ku niej.

– Nie damy rady przed nią uciec, prawda? – zagadnął Fair. Nastąpiła chwila bezruchu, niemal spokoju. W głosie jej brata, który wciąż jeszcze przechodził młodzieńczą mutację, nagle zabrzmiała nad podziw dojrzała mądrość. Dura poczuła ulgę: przynajmniej nie będzie musiała go okłamywać.

– Nie – przyznała. – Byliśmy zbyt powolni. Myślę, że fala uderzy w Sieć. – Czuła się dziwnie oddalona od osaczającego ich niebezpieczeństwa, jak gdyby rozpamiętywała wydarzenia odległe w czasie i przestrzeni.

Zaraz potem, gdy wszystko to runęło w ich stronę, zmarszczka zaburzenia odchyliła się od naturalnego kierunku linii wirowych, przybierając wymyślne i nieprawdopodobne kształty. Mogło się wydawać, że przekroczona została granica elastyczności ośrodka i linia wirowa, poddana nieznośnym obciążeniom, zaczęła im ulegać. Widok był piękny, wręcz zniewalający. I oddalony zaledwie o długość kilku ludzi.

Dura usłyszała cienki głos starego Addy, który znajdował się gdzieś po drugiej stronie Sieci.

– Uciekajcie od Sieci! Uciekajcie od Sieci!!!

– Rób, jak mówi! No dalej! – krzyknęła do brata.

Fan- podniósł głowę. Wciąż przywierał do sznurów; jego oczy

17

wyrażały pustkę, jak gdyby nie odczuwał już strachu ani zdziwienia.

Dura uderzyła go pięścią po ręce.

–No, chodź!

Chłopiec krzyknął i oderwał ręce i nogi od Sieci. Z zaskoczeniem spojrzął na siostrę; jego okrągła twarz przypominała zaniepokojone dziecko, a nie dorosłą, zdumioną i przerażoną osobę. Dura chwyciła go za rękę.

– Farr, musisz falować tak, jak nigdy dotąd. Trzymaj mnie za rękę; będziemy razem...

Odepchnęła się od Sieci energicznym wyrzutem nóg. Przez kilka pierwszych chwil wydawało się, że holuje za sobą brata. Jednak wkrótce chłopiec zaczął falować, synchronizując ruchy z siostrą, i oboje błyskawicznie uciekli od skazanej na zagładę Sieci, wijąc się w gęstym Magpolu.

Falując i ciężko dysząc, Dura obejrzała się za siebie. Niestabilność spinowa, otrząsnawszy się, wędrowała poprzez Powietrze na podobieństwo śmiercionośnej, błękitnobiałej czarodziejskiej różdżki. Sunęła ku Sieci i ludziom, którzy kurczowo się jej trzymali.

Przypominała fantastyczną zabawkę. Świeciła bardzo intensywnie, a emitowany przez nią donośny szum ciepłny prawie zagłuszał myśli.

Kwik uwieczonych świń powietrznych był przeraźliwie zimnopiskliwy. Durze przypomniało się stare zwierzę, z którym na wpół rozumiała się przez tamtą krótką, osobliwą chwilę. Zastanawiała się, ile to biedne stworzenie pojmowało z wydarzeń, które miały nastąpić.

Najwyżej połowa Istot Ludzkich usłuchała rady starego Ad-dy.

Reszta wciąż przywierała do Sieci, wstrząśnięta i zapewne sparaliżowana lękiem. Ciężarna Dia sunęła niezdarnie w Powietrze wraz z Murem. Philas gorączkowo i bezsensownie szarpała Sieć, mimo że jej mąż, Esk, błagał ją, by uciekała. Dura pomyślała, że Philas zapewne wyobraża sobie, iż jej gesty, naszym magiczne zaklęcia,

spowodują odepchnięcie niestabilności.

Córka Logue'a wiedziała, że niestabilności rotacyjne szybko wytracają energię. Niedługo, całkiem niedługo, ten niesamowity demon zniknie, a Powietrze znowu będzie spokojne i puste. I rzeczywiście, błyszcząca, hałaśliwa, cuchnąca kwaśnymi fotonami niestabilność wyraźnie kurczyła się w miarę zbliżania do Sieci.

18

Jednakże od razu stało się oczywiste, że to zanikanie nie jest wystarczająco szybkie...

Ze straszliwym, donośnym jak tysiąc głosów jękiem niestabilność wdarła się w Sieć.

Przypominało to uderzenie pięścią w sukno.

Powietrze wewnątrz Sieci utraciło nadciężkość i zamieniło się w zeszywniałą, wzburzoną masę, skłębioną i miotającą się niby jakaś oszalała bestia. Dura widziała pękające węzły. Sieć rozrywała się, niemal z wdziękiem, na małe fragmenty – na postrzępione kawałki sznurów, do których przywierali dorośli i dzieci.

Stado świni powietrznych zostało ciśnięte w Powietrze, jakby zmiotła je gigantyczna ręka. Dziewczyna zauważyła, że niektóre z tych zwierząt, zapewne martwe lub zdychające, zawisły bezwładnie podtrzymywane przez Magpole tam, gdzie odepchnęła je burza. Pozostałe mknęły przez Powietrze, puszczając wiatro-odrzuty błękitnego gazu.

Jakiś mężczyzna, kurczowo uczepony sznurowej tratwy, został wessany w środek niestabilności.

Przy tak dużym dystansie Dura nie miała pewności, ale wydawało jej się, że rozpoznaje Eska. Znajdowała się w odległości kilkudziesięciu ludzi od Sieci – tak daleko, że nawet nie mogłaby go zawołać, a co dopiero udzielić pomocy, a jednak widziała przebieg wydarzeń tak wyraźnie, jakby zmierzała ku śmiertelnemu łukowi ramię w ramię ze swoim zagubionym kochankiem.

Trzymając kurczowo fragment Sieci, Esk potoczył się przez płaszczyznę drżącej, uformowanej w łuk niestabilności i zaczął nierówno krążyć dookoła niej. Był bezwładny jak szmaciana lalka. Jego trajektoria szybko wytraciła energię; nie stawiając oporu, poruszając się po spirali, dotarł do środka i zaczął orbitować wokół łuku jak obłąkane prosiątko powietrzne.

Ciało mężczyzny eksplodowało. odsłonięta klatka piersiowa i jama brzuszna nasuwały skojarzenie z otwierającymi się oczami, zaś kończyny odrywały się od korpusu swobodnie, zupełnie jak w zabawce.

Farr wydał nieartykułowany okrzyk. Użył głosu po raz pierwszy od momentu, gdy zostali odepchnięci od Sieci.

19

Dura przechyliła się i mocno ujęła jego dłoń.

– Posłuchaj mnie! – krzyknęła, starając się zagłuszyć ciągły szum fali cieplnej. – To nie było tak groźne, jak wyglądało. Kiedy Esk uderzył w łuk, od dawna nie żył. – Mówiła prawdę. Gdy tylko mężczyzna znalazł się w rejonie, w którym uległa załamaniu nadciężkość jego procesy życiowe – oddychanie, krążenie, praca mięśni, wszystko, co zależało od wykorzystania nadciężkości Powietrza – musiały się zakończyć. Z chwilą, gdy stracił siły, a Powietrze w nadprzepuszczalnych naczyńkach włosowatych jego mózgu uległo skrzepnięciu, zapewne czuł się, jakby łagodnie zasypiał. Córka Logue'a miała nadzieję, że właśnie tak było.

Niestabilność przeszła przez Sieć i pożeglowała ku niebu, kontynuując swą bezowocną wyprawę na Południe. Dura jeszcze zdążyła zauważyć, że łuk kurczy się i wyczerpuje swą energię. Przedtem zniszczył obozowisko równie skutecznie jak ciało biednego Eska.

Dziewczyna przyciągnęła do siebie Farra, bez trudu przewyciężając łagodny opór Magpola, i pogłaskała go po włosach.

plyw

– Chodź – rzekła. – Już po wszystkim. Wracajmy. Zobaczymy, co da się zrobić.

– Nie – odparł, kurczowo przywierając do siostry. – To się nigdy nie kończy, prawda?

Pomiędzy błyszczącymi, dopiero co ustabilizowanymi liniami wirowymi krążyły małe grupki nawożujących się ludzi. Dura falowała między nimi, próbując odszukać Logue'a lub przynajmniej zebrać informacje dotyczące jego losu. Cały czas mocno trzymała Farra za rękę.

– Dura, pomóż nam! Och, na krew xeelee, pomóż nam!

Głos dochodził do niej z odległości kilkunastu ludzi; męski, ale wysoki, piskliwy i zdesperowany. Dziewczyna określiła się w Powietrzu, nie mając pojęcia, skąd jest przyzywana.

Farr chwycił ją za ramię, wskazując miejsce.

20

– Tam. To Mur, nad tamtym kawałkiem Sieci. Widzisz? Wygląda na to, że jest z nim Dia.

Dia była w zaawansowanej ciąży... Dura pociągnęła brata za rękę i błyskawicznie zaczęła falować przez Powietrze.

Mur i Dia wisieli w Powietrzu sami. Byli nadzy i pozbawieni czegokolwiek. Mężczyzna trzymał żonę za ramiona i kołysał jej głowę. Dia wyciągnęła się i lekko rozchyliła nogi, splótłszy dłonie na dolnej części obwisłego brzucha.

Na młodej twarzy Mura malował się upór i chłodna determinacja.

Popatrzył na Durę i Farra nagle pociemniałymi oczami.

– Już pora na nią. Rodzi za wcześnie, ale Zaburzenie... Będziecie musieli mi pomóc.

– Dobrze. – Dura oderwała rękę Dii od jej łona. Uczyniła to delikatnie, ale stanowczo, a potem szybko przesunęła palcami po nierównym wybrzuszeniu. Czuła, że dziecko słabo napiera kończynami na ścianki, które wciąż je kępowały. Główka była ułożona nisko, w okolicach miednicy. – Myślę, że główka zaklinowała się – oznajmiła – Dia nie spuszczała z niej oczu. Jej młodą, pociągłą twarz wykrzywiał ból. Dura próbowała się do niej uśmiechać.

– Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Jeszcze tylko chwila...

Dia syknęła, marszcząc twarz z bólu.

– Do diabła, zrób coś.

– Jasne.

Dura rozejrzała się z desperacją. Powietrze wokół nich nadal było puste, a najbliższe Istoty Ludzkie znajdowały się w odległości kilkudziesięciu ludzi. Musieli zatem liczyć tylko na siebie.

Na chwilę zamknęła oczy. Usiłowała oprzeć się pokusie szukania Logue'a. Skupiła się, poszukując dodatkowych sił.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała. – Mur, trzymaj ją za szyję i ramiona. Będziesz musiał nacisnąć tutaj. Jeżeli uda ci się lekko falować, utrzymasz się w miejscu i...

– Wiem, co robić – warknął Mur. Wciąż przytulając do piersi małą głowę Dii, ścisnął ją za ramiona i powoli zafalował; jego mocne nogi młóciły Powietrze.

Dura poczuła się niezręcznie, nie na swoim miejscu. A niech to, pomyślała. Wiedziała, że reaguje zbyt nerwowo. Do diabła,

21

przecież nigdy dotąd nie robiłam tego samodzielnie! Czego oni się spodziewają...? Co dalej?

– Fair, będziesz musiał mi pomóc. Chłopak krążył w Powietrzu z rozdziawionymi ustami w odległości jednego człowieka.

–DuraJa...

– No chodź, nie ma tu nikogo innego – rzekła Dura. Kiedy się zbliżył, szepnęła: – Wiem, że jesteś przerażony. Też jestem przerażona, ale nie tak bardzo jak Dia. To nie jest aż takie trudne. Poradzimy sobie.

plyw

Pod warunkiem, że nie zdarzy się nic złego, pomyślała.

– Dobrze – odparł Farr. – Co mam robić? Córka Logue'a złapała prawą nogę Dii i mocno objęła palcami jej łydkę. Śliskie od potu powietrznego mięśnie kobiety dygotały. Jej nogi powoli rozchyłały się, a pochwa otwierała się niczym małe usta, łagodnie trzeszcząc.

– Chwyć ją za drugą nogę – rozkazała bratu Dura. – Tak jak ja. Złap ją mocno – będziesz musiał ciągnąć z całej siły. Fair zawahał się. Był wyraźnie przerażony, ale usłuchał siostry. Dziecko przemieściło się jeszcze bardziej w rejon miednicy.

Wyglądało to tak, jakby kasek jedzenia zniknął w ogromnym przełyku. Dia odchyliła głowę i jęknęła. Napięte mięśnie jej szyi były widoczne pod skórą.

– Już czas – stwierdziła Dura. Szybko rozejrzała się. Wraz z Farrem trzymali Dię za kostki u nóg. Mur zaczął intensywnie falować. Ciągnął żonę za ramiona, dzięki czemu mała grupa powoli dryfowała w Powietrzu. Zarówno Mur, jak i Fair nie spuszczaali wzroku z twarzy Dury.

Dia znowu krzyknęła, wydając nieartykułowany jęk. Dura odchyliła się do tyłu, chwyciła łydkę Dii i mocno napała nogami na Magpole.

– Farr! – zawołała. – Rób to, co ja. Musimy rozszerzyć jej nogi. No, śmiało, nie bój się.

Chłopiec przez moment obserwował siostrę, potem również się odchylił, naśladowując jej falowanie. Mur krzyczał i z całej siły odciągał żonę, równoważąc wysiłki rodzeństwa.

Nogi Dii rozchyliły się dość łatwo. Kobieta zawyła.

22

Ręce Farra ześlizgnęły się z jej targanej konwulsjami łydki. Był tak wstrząśnięty, że wyglądał jak zagubiony w Powietrzu. Wybałuszył oczy. Dia odruchowo zacisnęła rozdygotane uda.

– Nie! – krzyknął Mur. – Farr, trzymaj ją! Teraz nie wołno ci przestać!

Syn Logue'a nie potrafił ukryć zdenerwowania.

– Ale sprawiamy jej ból.

–Nie.

Do diabła, pomyślała Dura, Farr powinien wiedzieć, co się tutaj dzieje.

Miednica Dii była podtrzymywana na zawiasach. Tuż przed porodem tkanka chrzestna łącząca jej dwa segmenty miała się rozpuścić we krwi, co umożliwiłoby swobodne otwarcie miednicy.

Kanał rodny i pochwa już się rozciągały, powodując znaczne rozwarcie. Wszystkie części organizmu współdziałały, tak aby główka dziecka wydostała się z łona. To łatwe, pomyślała Dura. A jest łatwe dlatego, że Ur-ludzie zaplanowali poród w ten sposób; być może sami nie rodzili z taką łatwością...

– Właśnie tak ma być! – wrzasnęła do Farra. – Uwierz mi.

Sprawisz jej ból, jeśli przestaniesz ją trzymać, jeśli nam nie pomożesz. I wyrządzisz krzywdę dziecku.

Dia otworzyła oczy. Były zalane łzami.

– Proszę, Farr – rzekła, wyciągając ku niemu ręce w nieokreślonym geście. – Nic mi nie jest. Proszę.

Chłopiec skinał głową. Wymamrotał jakieś przeprosiny i jeszcze raz pociągnął nogę Dii.

– Spokojnie – zawołała Dura, starając się zgrać z jego ruchem.

– Nie za szybko. I unikaj szarpania; masz ciągnąć miarowo...

Kanał rodny rozwarł się niczym ciemnozielony tunel. Dia rozchyliła nogi szerzej, niż to wydawało się możliwe. Zaglądając pod cienkie fałdy wokół bioder dziewczyny, Dura zauważyła, że miednica uległa znacznemu rozszerzeniu.

Dia krzyknęła. Miała silny skurcz.

Nagle dziecko opuściło jej łono, wijąc się w kanale rodny jak prosiątko powietrzne. Jego wypadnięciu na zewnątrz towarzyszył cichy dźwięk przypominający ssanie, a potem rozprysnęły się wokół

23

niego kropelki gęstego, zielonozłotego Powietrza. Gdy tylko opuściło kanał rodny, zaczęło falować – instynktownie, ale słabo – w Magpolu, w którym miało przebywać do końca swego życia.

Dura przyglądała się Farrowi. Podążał wzrokiem za niepewnie sunącym w Powietrzu noworodkiem. Rozdziawił usta w oszołomieniu, ale nadal mocno trzymał Dię za nogę.

– Farr, teraz wracaj do mnie – nakazała. – Powoli, jednostajnie – o, właśnie tak...

Dii groziło teraz tylko jedno: że jej zawieszona kości nie wrócą do pierwotnego położenia. Nawet gdyby wszystko skończyło się dobrze, przez kilka dni prawie nie będzie mogła się ruszać, gdyż połówki miednicy muszą się zrosnąć. Mając do pomocy Durę i Farra, filigranowa dzieweczyna bez trudu złączyła nogi. Dura widziała, jak kości wokół miednicy Dii ześlizgują się w odpowiednie miejsca.

Mur zdołał chwycić jakąś szmatkę, skrawek podartej tkaniny z zaścianego Powietrza, i czule otarł rozluźnioną, senną twarz Dii. Dura wykorzystała część szmatki, żeby wytrzeć uda i brzuch młodej matki.

Farr powoli falował w ich kierunku. Udało mu się dogonić i schwytać dziecko. Teraz przytulał je z taką dumą, jakby było jego własnym potomkiem, nie zważając na to, że klatkę piersiową zalewa mu płyn porodowy. Wargi noworodka były wciąż wykrzywione w charakterystycznym kształcie rogu, co umożliwiałało mu przywieranie do sutków na ścianie łona, które zapewniały pokarm przed porodem... Z ochronnego schowka między nóżkami sterczał malutki penis.

Farr wyszczerzył zęby w uśmiechu i pokazał dziecko matce.

– To chłopczyk – powiedział.

– Jai – szepnęła Dia. – Będzie się nazywał Jai.

Z pięćdziesięciu Istot Ludzkich przeżyło czterdzieści. Ze stada swni powietrznych pozostało sześć dorosłych sztuk, w tym cztery samce. Poszarpana i rozdarta Sieć nie nadawała się do naprawy. Logue zaginał.

24

Plemię skupiło się w Magpolu, otoczone bezkształtnym Powietrzem. Mur i Dia przywarli do siebie, tuląc kwilącego noworodka. Dura z pewnym skrepowaniem odprawiała modły za Istoty Ludzkie, prosząc Xeelee o łaskę. Adda trzymał się blisko niej, milczący i silny, pomimo podeszłego wieku. Fair zaś przez cały czas miał ręce w pobliżu jej dłoni.

Ciała, które zdołali odnaleźć, zostały wyrzucone w Powietrze.

Robiły się coraz mniejsze i opadały do Morza Kwantowego.

Po ceremonii Philas, żona martwego Eska, zbliżyła się do Dury, falując sztywno. Dwie kobiety patrzyły na siebie, nic nie mówiąc.

Adda i pozostali dyskretnie cofnęli się, patrząc w inną stronę.

Philas była chudą, wyglądającą na zmęczoną życiem kobietą.

Postrzępione włosy wiązała z tyłu kawałkiem sznurka; taka fryzura sprawiała, że jej twarz wyglądała jak część szkieletu. Spoglądała na Durę w taki sposób, jakby zachęcała ją do wyrażenia rozpaczy.

Istoty Ludzkie były monogamiczne... ale dorosłe kobiety przeważały liczebnie nad mężczyznami. Monogamia nie ma sensu, pomyślała Dura ze znużeniem, a jednak ją praktykujemy. A raczej deklarujemy, że jej przestrzegamy.

Esk kochał obie kobiety, w każdym razie okazywał czułość każdej z nich. Związek z Dura nie stanowił tajemnicy ani dla jego żony, ani dla reszty członków plemienia. Z pewnością nie krzywdził Philas.

Córcę Logue'a przyszło do głowy, że teraz mogłyby pomóc jedna drugiej, paść sobie w objęcia. Czuła jednak, że nie wspomną o tragedii ani słowem. Ona nawet nie będzie mogła otwarcie okazywać żałoby.

Wreszcie Philas odezwała się:

– Co mamy robić, Dura? Czy powinniśmy naprawiać Sieć? Co powinniśmy uczynić?

Zerkając w zmętniałe oczodoły kobiety, Dura miała ochotę

plyw

zamknąć się w sobie. Rozpacz po stracie ojca i Eska mogłaby stać się tarczą ochronną przed trudnymi pytaniami Philas. Nie wiem, nie wiem, nie wiem, powtarzała w myślach. Bo i skąd mogłabym wiedzieć?

Ale nie było drogi odwrotu.

25

Dziesięć Istot Ludzkich – Dura ciągnąca za sobą Farra, Adda, świeżo owdowiała Philas i sześcioro innych – wygramoliło się ze zniszczonego obozowiska i zaczęło miarowo falować przez Magpole ku Skorupie, w poszukiwaniu żywności.

Adda, jak to miał w zwyczaju, trzymał się nieco z dala od pozostałych. Jedno z jego oczu pokrywały starcze blizny. Przypomniał sobie o nim, szybko nacisnął wgłębienie opuszkiem palca, żeby usunąć niepożądane stworzonka, które ustawicznie próbowały się tam ulokować. Drugie oko było sprawne jak dawniej i mógł swobodnie się rozglądać. Wolał trzymać się na uboczu, żeby niczego nie przeoczyć; poza tym nie musiał się przyznawać, że nie zawsze jest w stanie nadażyć za pozostałymi wędrowcami. Szczycił się, że nadal potrafi falować nie gorzej od przeciętnego bachora. Oczywiście nie było to prawdą, ale Adda lubił przechwałki. Z melancholią wspominał dawne dobre czasy, kiedy pokonywał Magpole niczym prosiątko powietrzne ze strumieniem neutrinowym w tyłku. Teraz wyglądał zapewne jak babka wszystkich xeelee. Odnosił wrażenie, że z upływem czasu kręgi jego kręgosłupa blokują się wzajemnie i falowanie przypomina raczej młócenie Powietrza: musiał sporo się napocić, żeby odchylić miednicę do tyłu, trzepotać nogami zgodnie z ruchem bioder i przechylać głowę przed wygięciem kręgosłupa. Sędziwy wiek wpływał niekorzystnie także na skórę. Była szorstka, miejscami chropowata jak stara kora drzewna. Miało to zalety, ale sprawiało również kłopoty, gdyż Adda nie czuł miejsc, w których prądy elektryczne, indukowane w naskórku poprzez poruszanie się w Magpolu, były najsilniejsze. Uświadomił sobie z niesmakiem, że prawie nie wyczuwa Magpola. Przyszła mu do głowy ironiczna myśl, że fałduje z pamięci.

To samo dałoby się powiedzieć w jego przypadku o seksie. Jak zawsze, miał przy sobie mocno sfatygowaną włócznie, zaostrzoną drewnianą tykę, którą setki miesięcy temu wyciął z pnia drzewa jego ojciec. Palce Addy spoczywały w fachowo wyżłobionym uchwycie drzewca; czuł w dłoni mrowienie, gdyż w drewnie indukowały się, za sprawą Magpola, prądy elektrycz-

26

ne. Zgodnie z radami ojca, trzymał włócznie równolegle do Magpola, które pokonywali. Drewno – podobnie jak każdy materiał – było w takim położeniu mocniejsze. Ustawienie w poprzek Pola dawało odwrotny skutek. Poza tym każde dziecko wiedziało, że niebezpieczeństwo przeważnie nadciągało wzdłuż linii Magpola, gdyż ruch w tym kierunku był znacznie łatwiejszy.

Ludzie nie byli narażeni na ataki wielu drapieżników. Adda widział kilka takich stworzeń, a ojciec opowiadał mu o jeszcze gorszych. Na przykład o płaszczkach... Nawet dorosły dzik powietrzny – prymitywny kuzyn świni powietrznej – potrafił zmusić mężczyznę lub kobietę do ciężkiej walki, a jeśli był głodny, porywał dziecko z równą łatwością, z jaką odrywał od Skorupy kryptonową trawę.

Istotom Ludzkim groził wkrótce znacznie dotkliwszy głód. Adda patrzył na rozcinającą niebo wokół jego towarzyszy lśniąca klatkę linii wirowych, które ginęły w mglistoczerwonej nieskończoności na Biegunie Południowym. Jak zawsze – ilekroć oddalał się od swojego plemienia, nawet na niewielką odległość i tracił poczucie iluzorycznej pełni, jaką dawało życie w małym, zamkniętym środowisku – uderzał go bezmiar świata pod Płaszczem. Kiedy obserwował zbiegające się linie wirowe, czuł, że coś wlecze jego niepozorną, oszołomioną i bezradną duszę wzdłuż nich.

plyw

Teren zniszczonego obozowiska, wysepka porozrzucanych szczątków, przypominał szary pyłek zagubiony w Powietrzu czystych, żółtobiałych przestrzeni Gwiazdy. A towarzysze Addy – dziewięcioro, policzył ich odruchowo – falowali przez linie pola, bezwiednie synchronizując ruchy. Luźno przewiązani w pasie sznurami i siatkami, zwracali twarze ku Skorupie. Jeden z mężczyzn odłączył się od reszty. Znalazł porzuconą pajęczynę pająka spinowego, zawieszoną w poprzek linii wirowych: wyszukiwał w niej jajeczka.

Istoty Ludzkie wyglądały tak pięknie w ruchu. A kiedy ławica dzieciaków sunęła przez Magpole – machając nóżkami tak mocno, że widziało się na ich kończynach blask indukowanych pól, i wirując wokół linii pływowych tak szybko, że tworzyły

27

barwne plamy – trudno było sobie wyobrazić piękniejszy widok na tym czy też jednym z tych legendarnych, utraconych światów Ur-ludzi.

Jednocześnie Istoty Ludzkie wydawały się takie kruche, jakby karłowate w porównaniu z ogromną klatką linii wirowych i tajemniczą, śmiertelną głębią Morza Kwantowego daleko w dole. Addzie przyszło na myśl, że świnia powietrzna bardziej pasowała do tego środowiska. Była okrągła, gruba, solidna... Nawet strumień neutrin nie musiał oznaczać końca jej życia. Wystarczyło, żeby schowała oczy, złożyła płetwy i odleciała z terenu dotkniętego burzą. Wówczas nic nie mogło jej się przydarzyć, chyba że zostałaaby całkowicie odrzucona od Gwiazdy. Kiedy strumień ulegał wyczerpaniu, świnia mogła rozłożyć płetwy i paść się dowolnym rodzajem listowia – albowiem drzewa zawsze były drzewami, bez względu na to, z której części Skorupy wyrastały – a także „zaliczyć” pierwszego lepszego reprezentanta swego gatunku. Albo zostać zaliczoną, pomyślał Adda, uśmiechając się ironicznie.

Ludzie różnili się od zwierząt. Byli delikatni. Łatwo było ich zmiażdżyć, zniszczyć. Starzec pomyślał o Esku: cholerny głupiec, ale przecież nikt nie zasługiwał na taką śmierć. Ponadto ludzie zadziwiali przede wszystkim swoją odmiennością. Nawet irytujące Addę stworzenia, zamieszkujące brzegi jego chorego oka, zasadniczo przypominały budową przeciętną świnie powietrznej: sześć symetrycznie rozmieszczonych płetw, otwór gębowy na przedzie, wyloty odrzutowe z tyłu, sześcioro malutkich oczu. Wszystkie stworzenia Płaszczki były podobne; różniły się tylko wielkością i proporcjami; podstawowe cechy można było rozpoznać nawet u płaszczyk, chociaż sprawiały wrażenie zupełnie inaczej zbudowanych. Ludzie stanowili wyjątek. Nie przypominali niczego na tym świecie.

Nie było to tajemnicą. Każdy dzieciak wysysał z mlekiem matki wiedzę o tym, że Ur-ludzie przybyli skądinąd – naturalnie z lepszego miejsca niż to. Adda podejrzewał, że wszyscy ludzie we wszystkich światach święcie w to wierzyli i wychowywali dzieci tak, by były silne i pewnego dnia dołączyły do ludzkiej

28

społeczności, a wszystko to działo się pod opieką Xeelee, dobrotliwego i nieco roztargnionego Boga w wielu osobach.

Istoty Ludzkie zostały zatem tutaj sprowadzone. Adda nie wątpił w prawdziwość głównego wątku starej historii – do licha, wystarczyło spojrzeć na szybujących ludzi, żeby to potwierdzić – ale z drugiej strony, obserwując falujące po niebie stado Istot Ludzkich, pomyślał, że nie chciałby być zbudowany jak świnia powietrzna: gruby i okrągły, poruszałyby się za pomocą wiatroodrzutów.

Tak naprawdę puszczanie wiatrów było jedyną umiejętnością, którą doskonalili z wiekiem. Niezły pomysł: być świnia powietrzna. Adda był najstarszą z ocalałych Istot Ludzkich. Wiedział, co myślał

plyw

o nim inni: jest zgorzkniałym starym głupcem, nieuleczalnym ponurakiem. Nie przejmował się opiniami. Nie było dziełem przypadku, że żył tak długo. Zawsze uważał się za prostego człowieka; nie mógł równać się z Logue'em, krasomówcą darzonym szacunkiem przez ludzi. Pomyślał, że nawet Dura jest od niego lepsza, chociaż mogła nie zdawać sobie z tego sprawy. Dlatego drażnił ziomków historyjkami o swoich chłopięcych latach. Nawet jeśli wyśmiewali się z niego, to może udawało się przez te opowieści przekazać choć trochę wiedzy, potrzebnej do przetrwania, a to już sprawiało mu satysfakcję.

Oczywiście o pewnych epizodach z przeszłości nie wspominał nikomu. Na przykład, nie miał wątpliwości, że Zaburzenia zmieniają się.

Zaburzenia, burze spinowe, występowały zawsze. Adda znał nawet z grubsza przyczynę ich powstawania: malejąca prędkość rotacji Gwiazdy powodowała gwałtowne wyrównywanie energii spinowej. Jednakże w ciągu ostatnich lat Zaburzenia robiły się coraz gorsze... o wiele gorsze, i atakowały coraz częściej.

Wywoływał je jakiś nowy czynnik. Coś nieznanego i potężnego, rozrywającego Gwiazdę...

Dziwna poza Addy miała dużą zaletę. Starzec za nic w świecie nie przyznałby się do tego nikomu, może nawet sobie samemu.

Cyniczna maska skrywała jego miłość do tak delikatnych ludzi, sunących z obcym dla tego świata, niewysłowionym

29

wdziękiem przez Magpole, oraz ból, który odczuwał w związku z utratą każdego, nawet najbardziej bezwartościowego życia.

Unosząc ciężką włócznię w obolałych palcach, Adda poczuł przypływ energii i ruszył ku koronom drzew Skorupy.

Farr szybował, przyciągnąwszy kolana do brody. Naprężył się kilka razy, żeby opróżnić kiszki. Obserwował blade, bezzapachowe kulki kału, wlatujące z błyskiem w puste Powietrze i opadające w kierunku Podpłaszcza. Pełne neutronów odchody miały zniknąć w nie nadającym się do oddychania Podpłaszczu, a potem, zapewne, rozpuścić w Morzu Kwantowym.

Syn Logue'a jeszcze nigdy nie był tak wysoko.

Od koron drzew dzieliło go najwyżej kilka minut falowania:

najwyżej kilkunastu ludzi. Okrągłe, zbrązowiałe liście drzew, zwrócone ku Morzu Kwantowemu, tworzyły lśniący sufit świata.

Falując, chłopak patrzył tęsknie na owo sklepienie, jakby liście stanowiły bezpieczną przystań. Odczuwał również zdenerwowanie.

Liście kryły bowiem pnie drzew, pograżone w mroku, a za pniami znajdowała się Skorupa, gdzie grasowały rozmaite stworzenia... Tak przynajmniej utrzymywał stary Adda, a także niektóre dzieciaki.

Mimo wszystko, wolałby być tam w górze, pośród drzew, zamiast wisieć tutaj.

Naparł na Magpole i wzbił się wyżej.

Pomimo młodego wieku dobrze znał uczucie strachu, a nawet śmiertelnego przerażenia. Teraz doświadczał nowej odmiany lęku i usiłował zrozumieć to niesamowite uczucie.

Dziwięciu dorosłych wokół niego falowało miarowo w górę. Ich twarze, uniesione ku drzewom, przypominały odwrócone liście.

Poruszali się skutecznie, z wdziękiem. Fair czuł piżmowy zapach wydzielanych przez nich fotonów, słyszał miarowy rytm oddechów, gdy wyteżali się w milczeniu. Sam oddychał szybko – Powietrze było tu rozrzedzone. Robiło się też coraz zimniej, mimo że intensywnie falował.

30

wkrótce, niemal bezwiednie, chłopiec znalazł się w środku falującej grupy, a jej członkowie utworzyli wokół niego barierę ochronną. Uświadomił sobie, że faluje blisko swojej siostry, jakby był małym dzieckiem, które należy trzymać za rączkę.

Jakie to było żenujące!

Dyskretnie, starając nie rzucać się w oczy, przemknął na skraj grupy, żeby oddalić się od Dury. Natychmiast osaczył go ten nowy rodzaj lęku – czuł, że jest odsłonięty i narażony na niebezpieczeństwo. Potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć stęchłego Powietrza. Wykonał obrót, żeby odwrócić się od grupy i móc oglądać Płaszcz.

Farr wiedział, że Płaszcz jest głęboki na dziesiątki milionów ludzi. Człowiek mógł żyć tylko w górnej warstwie o grubości około dwóch milionów ludzi. Chłopiec pojmował, dlaczego tak jest, przynajmniej częściowo... Skomplikowane związki ciężkich jąder cyny, z których składało się jego ciało (jak z powagą wyjaśniał mu ojciec), pozostawały stabilne – czyli powiązane wymianami par neutronów – tylko w obrębie tej warstwy. Decydująca była gęstość neutronów – przy za dużych wysokościach zbyt mała liczba neutronów uniemożliwiała jądom wchodzenie w związki kompleksowe. Z kolei w dole, w przesyconym Podpłaszczu neutronów było z a d u ż o. Tam jądra tworzące ciało Farra zaczęłyby się rozkładać, na koniec ulegając przemianie w gładką, neutronową ciecz.

Tutaj – w pobliżu koron drzew, na krańcu nadającej się do życia warstwy – Farr znajdował się dziesiątki tysięcy ludzi nad miejscem, w którym sieć uległa zniszczeniu.

Brat Dury spojrział w dół, w kierunku, z którego przybył.

Ogromne niebo przecinały setki linii wirowych. Tworzyły zwarty szyk równoległe ułożonych błękitnobiałych smug, których końce znikają we mgłę. Linie w dole wydawały się niewyraźne. Odległość między nimi malała w perspektywie, aż zaczynały się stapiać w błękitną mgłę nad Morzem Kwantowym. Morze przypominało fioletowy siniak, a jego złowieszczą powierzchnię spowijała mgła. ...Powierzchnia Morza wyginała się ku dołowi.

Farr z trudem stłumił okrzyk. Przełknął ślinę. Ponownie spoj-

31

rzał na Morze, które subtelnie rozlewało się dokoła. Nie miał wątpliwości, że widzi potężną kulę. Nawet wygięte linie wirowe opadały łagodnym łukiem, zbiegając się przy widnokregu. Stanowiły jakby kłatkę opasującą Morze.

Chłopiec dorastał w przeświadczeniu, że świat – Gwiazda – jest wielowarstwową piłką, gwiazdą neutronową. Skorupa stanowiła powierzchnię piłki. Morze Kwantowe tworzyło zaś nieprzemkliwe jądro Płaszcz, włącznie z regionem zamieszkanym przez ludzi, był warstwą wewnątrz piłki wypełnioną Powietrzem. Jak widać, wiedza o strukturze świata była czymś zupełnie innym niż oglądanie go na własne oczy.

Był wysoko. Naprawdę silnie to odczuwał. Patrzył teraz w dół, na to, co rozciągało się pod jego stopami na pustkę, która oddzielała go od Morza. Oczywiście sieć JUŻ dawno zagubiła się w Powietrzu i stanowiła małą plamkę gdzieś w oddali. Ale nawet ona, gdyby udało się ją zobaczyć, byłaby przyjemnym urozmaicheniem w tym złowieszczym bezmiarze.

Urozmaicheniem czego?

Nagle poczuł, jakby jego żołądek zamienił się w skłębione Powietrze Magpole, po którym się wspinał, wydawało się nie tylko niewidzialne, ale w dodatku nieuchwytnie i jakby nieistniejące. Farr odnosił wrażenie, że coś go podtrzymuje.

Mocno zacisnął powieki i spróbował cofnąć się w inny świat, do fantazji dzieciństwa. Może jeszcze raz mógłby być wojownikiem i wziąć udział w wojnach Rdzeniowych, epickich bitwach toczonych u zarania dziejów z Kolonistami.

Niegdyś ludzie byli wielcy, potężni „Złącza tunelowe”, magiczne czworościany, pozwalały im pokonywać odległości tysięcy ludzi jednym skokiem, wielkie maszyny umożliwiały zaś loty i przez, i poza Gwiazdę.

Niestety Koloniści, tajemniczy mieszkańcy jądra Gwiazdy,

plyw

wynurzyli się ze swojego lepkiego królestwa, aby walczyć z ludz-
* Złącza tunelowe – właściwie tunele czasoprzestrzenne tworzone przez rolujące czarne dziury. Jeśli w tekście występuje słowo tunel – i to chodzi wyłącznie o tunel czasoprzestrzenny z kolei, złącze tunelowe to urządzenie wrota do tunelu czasoprzestrzennego

32

kością. Zniszczyli albo usunęli cudowne złącza i inne urządzenia. Zapewne całkowicie rozprawiliby się z ludzkością, gdyby nie chytra sztuczka Farra, Ur-człowieka, gigantycznego boga-wojownika... Po dłuższej chwili poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia. Otworzył oczy i zamiast kolonisty zobaczył krążącą przed nim Durę. Spoglądała na niego z ostrożną obojętnością, a potem wyciągnęła rękę do góry.

– Jesteśmy tam.

Farr zerknął w pokazywanym przez nią kierunku.

Nad jego głową znajdowało się sześć liści ułożonych w schludny, symetryczny wzór. Chłopca ogarnęła absurdalna wdzięczność.

Podciągnął się wyżej, w mrok za liśćmi.

Gałąź była tak gruba jak on i pokryta błyszczącym, ciemnym drewnem. Ponad nim, tam gdzie kończyły się liście, zaczynał się zamglony, błękitny mrok... albo przynajmniej tak mu się wydawało.

Właściwie było odwrotnie: w górze znajdował się pień drzewa, zwisający ze skorupy; z niego wyrastał konar porośnięty liśćmi, zwróconymi powierzchnią ku morzu. Farr pogładził gałąź. Drzewo było twarde i gładkie, ale zdumiewająco ciepłe. Od głównego konaru odchodziło kilka mniejszych gałązek. Małutkie liście szukały smug światła między swoimi większymi kuzynami.

Chłopiec przywarł do gałęzi i otoczył ją ramionami, jakby to było ramię matki. Ciepło drewna przenikało do jego przemarzniętego ciała. Na moment ogarnęło go zakłopotanie, ale zignorował je. Wreszcie czuł się bezpieczny.

Dura prześlizgnęła się przez liście i zbliżyła do brata. Stłumiony światłocień drzewa podkreślał jej rysy. Uśmiechnęła się, odgadując jego zażenowanie.

– Nie przejmuj się – powiedziała cicho, tak żeby nie mogli jej usłyszeć inni. – Wiem, co czujesz. Kiedy przybyłam tu pierwszy raz, czułam się tak samo.

Farr zmarszczył brwi. Niechętnie puścił gałąź i odepchnął się.

– Naprawdę? Odnoszę wrażenie, że... że zaraz zostanę ściągnięty z tego drzewa...

– To lęk przed spadaniem.

– Ale to przecież niedorzeczne, prawda? – Dla chłopca

33

„spadanie” oznaczało utratę kontroli nad Magpołem podczas falowania. Kończyło się po przebyciu dystansu wynoszącego zaledwie kilku ludzi – niewielki opór Powietrza i prądy wywołane w skórze szybko spowalniały prędkość opadania człowieka. Nie było czego się bać. A potem falowało się w Magpolu i docierało tam, gdzie się chciało.

Dura wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– To jest takie uczucie, jakby... – Zawahała się. – Jakbyś puścił drzewo i nie mógł powstrzymać ześlizgiwania się w dół przez Magpole i linie wirowe, coraz szybciej i szybciej, aż do Morza. Taka możliwość sprawia, że czujesz ściskanie w żołądku.

– Dokładnie tak – odparł, podziwiając precyzję opisu. – Co to oznacza? Dlaczego odczuwamy coś takiego?

Wzruszyła ramionami i zerwała liść. Ciężki płat odłączył się od gałęzi z dźwiękiem przypominającym ssanie.

– Nie wiem. Logue mawiał, że to tkwi głęboko w naszej psychice. Instynkt, który pozostał w nas, odkąd ludzie zostali sprowadzeni do Gwiazdy.

Farr rozważał jej słowa.

plyw

- To ma jakiś związek z Xeelee.
- Zapewne tak. A może nawet z czymś starszym. W każdym razie, nie powinienes się przejmować. Masz - powiedziała, podając mu liść.

Ostrożnie wziął złocistobrazową płytę, poprzecinaną promieniście ułożonymi smugami fioletu i błękitu, wielką jak dłoń mężczyzny. Liść był gruby, mięsisty, bardzo elastyczny i ciepły w dotyku, podobnie jak drzewo, aczkolwiek wydawało się, że oderwany od macierzystej gałęzi szybko stygnie. Farr odwrócił go i nacisnął opuszką palca. Spodnia część była sucha, niemal czarna. Chłopiec popatrzył na Durę.

- Dzięki - rzekł. - Co mam z nim zrobić? Roześmiała się.

- Spróbuj go zjeść.

Brat uważnie przyjrzał się twarzy siostry, podejrzewając ją o żart. Dura zazwyczaj nie robiła mu żadnych kawałów, była na to zbyt poważna, ale kto wie... W końcu podniósł liść do ust i ugryzł go. Liść był puszysty, zaskakująco kruchy. Chłopiec

34

odniósł wrażenie, że rozpląnął się w jego ustach, ale był nad podziw słodki, jak mięso najmłodszego prosięcia powietrznego. Zaczął jeść go z wielkim apetytem.

Po kilku sekundach połknął ostatni kawałeczek i rozkoszował się jego aromatem. Liść okazał się wyborny, a zarazem lekko-strawny, i tylko zaostrzył mu apetyt. Farr rozejrzał się łakomie. Na szczycie korony drzewa dostrzegł liście odwrócone spodem ku Morzu Kwantowemu jak warstwa szerokich, spłaszczonych twarzyczek dzieci. Wyciągnął rękę, żeby zerwać następny liść.

Dura powstrzymała go ze śmiechem.

- Spokojnie. Nie oskub tego całego cholernego drzewa. Jej brat odparł z pełną buzią:

- Są pyszne. Kiwnęła głową.

- Wiem. Ale nie napełnisz sobie nimi brzucha. Chyba że naprawdę oskubiesz całe drzewo... Właśnie dlatego musimy polować na świnię powietrzne, które jedzą liście - i trawę - za nas. - Zaciśnęła usta. Nagle, tonem, który wydał się Farrowi wstrząsająco podobny do głosu ojca, oznajmiła: - A teraz mała lekcja. Jak myślisz, dlaczego te liście są takie smaczne?

Chłopiec zastanawiał się przez chwilę.

- Ponieważ zawierają dużo protonów. Dura skinęła głową z powagą.

- Prawie się zgadza. Ściśle rzecz biorąc, zawierają bogate w protony izotopy kryptonu, strontu, cyrkonu, molibdenu... nawet odrobinę ciężkiego żelaza. Na przykład, każde jądro kryptonu zawiera sto osiemnaście protonów, podczas gdy cynowe jądra naszych ciał mają ich zaledwie po pięćdziesiąt. Potrzebujemy protonów jako paliwa dla naszych ciał.

Ciężkie jądra ulegały rozszczepieniu w żołądkach ludzi. Protony łączyły się z neutronami z Powietrza i tworzyły kolejne cynowe jądra

- cyna była najbardziej stabilnym jądrem w Powietrzu - dzięki temu procesowi uwalniała się energia.

- Odpowiedz mi, skąd się bierze bogaty w protony surowiec? - zagadnęła Dura.

- Ze Skorupy. - Uśmiechnął się. - Wszyscy to wiedzą.

Skorupa, niewiele gęstsza od Powietrza, miała konsystencję

35

pajęczyny. Jej najbardziej wysunięta na zewnątrz warstwa składała się z żelaznych jąder. W głębszych warstwach postępujący wzrost ciśnienia wtłaczał neutrony w jądra cięższych pierwiastków, tworząc nienormalnie ciężkie izotopy, aż do momentu, w którym jądra stawały się tak nasączone neutronami, że rozkłady zawartych w nich protonów zaczynały się przekrywać, neutrony zaś dyfundowały na zewnątrz. Z nich formowało się Powietrze - nadciekły płyn neutronowy.

- Dobrze - odparła Dura. - Zatem w jaki sposób izotopy

plyw
przedostają się ze Skorupy do tych liści?
– To łatwe – rzekł Farr i sięgnął po kolejny soczysty liść. –
Drzewo ściąga je w dół, do wnętrza pnia.
– Wykorzystując żyły wypełnione Powietrzem. Zgadza się.
Młodzieniec zmarszczył czoło. Miał wydęte policzki, gdyż wciąż jadł
liście.
– Ale dlaczego? Co jest w nich takiego, co przydaje się drzewu?
Dura otworzyła usta, ale nic nie odparła. Uśmiechnęła się i
przymknęła powieki.
– Dobre pytanie – stwierdziła. – Kiedy byłam w twoim wieku,
nie przychodziło mi do głowy pytać o coś takiego... Izotopy
sprawiają, że liście robią się bardziej nieprzenikalne dla neutrin,
promieniujących z Morza Kwantowego.
Fair kiwnął głową, przeżuwając liście.
Morze – a raczej tajemniczy Rdzeń, znajdujący się głęboko
poniżej Morza – stale promieniowało strumieniem niedotykalnych i
niewidzialnych neutrin. Neutrina przedostawały się przez linie
wirowe, przez ciało Fan-a jak i innych ludzi, jakby byli duchami, a
potem przenikały Skorupę i ginęły gdzieś w przestrzeni kosmicznej.
Drzewa zwracały ku temu niewidocznemu światłu swoje częściowo
nieprzepuszczalne dla neutrin liście. W ten sposób pochłaniały energię
strumienia i rosły, pomnażając gałęzie i pnie. Farr wyobrażał sobie, jak
drzewa w całym wnętrzu Skorupy wyciągają ku temu morskemu
światłu liście, zawierające krypton, stront i molibden.
Dura przyglądała mu się przez chwilę, a potem z wahaniem
wyciągnęła rękę i rozwichrzyła jego rurkowate włosy.
36

– Powiem ci coś w sekrecie – rzekła.
– Co takiego?
– Cieszę się, że tu jesteś.
Zastanawiał się przez chwilę, czy powinien odepchnąć jej dłoń,
powiedzieć coś śmiesznego lub okrutnego, przerwać tę kłopotliwą
scenę. Jednak powstrzymał się. Patrzył na twarz siostry: wyrazistą,
kwadratową, symetryczną, z małymi, świdrującymi oczami i
błyszczącymi złotymi nozdrzami. Nie odznaczała się urodą, ale miała
w sobie coś z siły i witalności ich ojca, a pierwsze zmarszczki
przydawały jej głębi i mądrości.
Twarz Dury wyrażała też niepewność, samotność, niezde-
cydowanie, potrzebę pociechy.
Fan- rozmyślał o tym. Przy siostrze czuł się bezpiecznie. Może
nie tak bezpiecznie, jak za życia Logue' a... Ale, uświadomił sobie ze
smutkiem, na tyle bezpiecznie, że chciał się tak czuć zawsze. Dura nie
była aż tak silna, jak się wydawało, ale robiła wszystko, na co by łój a
stać.
Czuł jeszcze, że ta wspólna chwila, spędzona z dala od innych
ludzi na cichej rozmowie i kosztowaniu liści, jest ważna dla niej.
Dlatego burknął:
– Tak. Ja też się cieszę.
Uśmiechnęła się do niego, a potem wychyliła się, żeby zerwać
liście dla siebie.
Adda sunął cicho przez korony drzew, pokonując obwód koła
szerokiego na około dwudziestu ludzi. Potem zagłębił się w wiszący
las i unosił równoległe do pnia. Drzewa rosły wzdłuż linii pływowych
Magpola. Pnąc się po ich gładkiej korze, Adda trzymał włócznie
równoległe do linii Magpola.
Nie słyszał niczego oprócz cichego szelestu liści i stłumionej
rozmowy swoich towarzyszy.
Zsunął się po pniu do odwróconej korony drzewa. Żadna z Istot
Ludzkich – może z wyjątkiem Farra, chłopaka Logue'a, który
sprawiał wrażenie trochę zagubionego – nie zauważyła jego nie-
obecności. Adda trochę odpoczął, przeżuwając cienki, zwodniczo
smaczny liść. Jednak cały czas rozglądał się dookoła zdrowym okiem.
37

Istoty Ludzkie tłoczyły się na jednym drzewie, pogryzając chaotycznie zrywane liście i trzymając się gałązek. Skupiły się w jednym miejscu, żeby było im cieplej. Z powodu dużej wysokości Powietrze było rozrzedzone, panowało także zimno. Oddychało się ciężko – tak ciężko, że Adda uświadomił sobie, iż reaguje coraz wolniej i ma kłopoty z koncentracją, a przecież i tak nie był już młodzieniaszkiem. Odnosił wrażenie, że Powietrze napierające na jego kości zamienia się w rzadką, kwaśną zupę.

Farr przycupnął na skrawku kory, z dala od współplemieńców. Wydawało się, że przebywanie w tej strefie nie jest dla niego przyjemne: wyraźnie drżał, jego klatka piersiowa gwałtownie się unosiła i opadała, a gdy napychał sobie usta liśćmi, czynił to z niecierpliwością, która wskazywała raczej na tęsknotę za bezpiecznym miejscem niż rzeczywisty głód.

Adda machnął energicznie nogami i falując, zbliżył się do chłopca. Pochylił się ku niemu i mrugnął zdrowym okiem.

– Jak się masz?

Chłopiec spojrział na starca; pomimo dygotania wydawał się ospały.

– Nie mogę się rozgrzać – odrzekł zachrypniętym z zimna głosem.

Adda prychnął.

– Tu w górze tak jest. Widzisz, Powietrze jest dla nas zbyt rozrzedzone. A jeśli wybierzesz się wyżej, w kierunku skorupy, będzie jeszcze bardziej rozrzedzone. Ale nie musisz marznąć.

Farr zmarszczył brwi.

– Co masz na myśli?

W odpowiedzi Adda uśmiechnął się od ucha do ucha. Uniósł włócznie zrobioną z utwardzanego drewna i ustawił ją równoległe do pnia drzewa, zgodnie z kierunkiem linii pływowych Mag-pola. Przez kilka sekund ważył ją w ręce, czując jej sprężystość.

– Patrz i ucz się – powiedział.

Chłopiec usunął się z drogi i obserwował drżącą włócznie szeroko rozwartymi oczami.

Adda napał na Magpole i jednym ruchem – mógł sobie gratulować, że mimo podeszłego wieku zachował gibkość – wbił dzidę głęboko w pień. Pierwsze pchnięcie sprawiło, że

38

czubek włóczni przedarł się przez korę i ugrzązł w drzewie mniej więcej na głębokość dłoni. Kręcąc drzewcem broni, starzec zdołał ją wbić w konar na pół ramienia.

Czując klucie w piersiach z powodu rzadkiego Powietrza, Adda odwrócił się, żeby mieć pewność, że Farr nadal go obserwuje.

– Teraz – wychrypiał. – Pora na magię.

Okręcił się w Powietrzu i postawił nogi na gałęzi, obok białej do połowy włóczni. Następnie pochylił się i objął dwiema rękami wystające drzewce, kucnął na ugiętych nogach i wyprostował plecy, a potem odepchnął się w górę, wykorzystując broń jako dźwignię do podważenia wierzchniej warstwy drzewa, pokrywającej gałąź.

Uświadomił sobie, że ta czynność zajęła mu sporo czasu. Serce waliło mu jak młot, dłonie zrobiły się śliskie od nadciętego potu. Czuł uporczywy ból w plecach, a obraz widziany zdrowym okiem tracił ostrość. I chociaż dzida nieco się wygięła pod jego naciskiem, konar tylko chłodno zaskrzypiał.

Adda puścił włócznie i wytarł dłonie o uda, ciężko dysząc. Starał się unikać wzroku chłopca.

Ponownie pochylił się nad bronią.

Tym razem konar ustąpił; płyta szeroka jak klatka piersiowa mężczyzny, podniosła się niczym wieko. Nogi Addy wyprostowały się jak sprężyny. Zsunął się z gałęzi i przewrócił. Szybko się pozbięrał, przybrał godną pozycję i, mimo bólu w kończynach, wykonał pętlę w Powietrzu i zaczął falować. Wrócił do Farra i rozszczępionego

plyw

drzewa. Z dumą obejrzał swoje dzieło i pokiwał głową.

– Nie jest to takie trudne, jak się wydaje – burknął do chłopca.

– Kiedyś robiłem to jedną ręką... Ale od tamtego czasu drzewa stwardniały. Może ma to jakiś związek z tymi cholernymi burzami spinowymi.

Syn Logue'a nie słuchał starca. Podczołgał się do okaleczonej gałęzi i patrzył na nią zafascynowany. Przy korze drewno było bladeżółte i przypominało materiał, z którego wykonano włócznie, lecz głębiej, dalej niż sięgała ręka, świeciło na zielono i emitowało ciepło, które przyjemnie ogrzewało pierś Addy, mimo że znajdował się w odległości pół człowieka od pnia. Błask drewna oświetlał twarz Farra i wywoływał zielone cienie wokół okrągłych oczu chłopca.

39

Po chwili dołączyła do nich Dura, niezdarna córka Logue'a.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością do starca. Przykucnęła obok brata i uniosła dłonie, żeby je ogrzać. Zielony ogień lśnił na jej twarzy, czyniąc z niej, jak życzliwie zauważył Adda, niemal atrakcyjną kobietę, pod warunkiem, że zanadto nie gestykulowała, czym zazwyczaj zdradzała całkowity brak wdzięku.

– Następną lekcja – powiedziała Dura do chłopca. – Co sprawia, że drewno się pali?

Uśmiechnął się do niej. W jego oczach wciąż odbijał się błask drewna.

– Ciężkie cząstki ze skorupy?

– Tak. – Nachyliła się do Farra, tak że głowy brata i siostry znalazły się obok siebie nad zielonkawym płomieniem, a ich twarze lśniły niczym dwa liście. – Bogate w protony jądra zmierzające do liści – kontynuowała. – Gałąź drzewa jest jak powłoka. Otacza kanałik, w którym ciśnienie jest mniejsze od ciśnienia Powietrza. Gdy dochodzi do naruszenia powłoki, ciężkie jądra wewnątrz rozszczepiają się i szybko ulegają zniszczeniu. W tej chwili obserwujesz wypalanie się jąder w Powietrzu...

Adda zauważył, że Fair marszczy gładką, młodą twarz w skupieniu, starając się wchłonąć kolejną porcję bezużytecznej wiedzy. Bezużytecznej?

Może i tak, pomyślał. Ale przecież te drobiazgowo, cenne, ale też abstrakcyjne fakty, wygładzone nieustannym przekazywaniem od zarania dziejów – od czasu wygnania z Parz, przed dziesięcioma pokoleniami – to skarb, część ich ludzkiego dziedzictwa. Starzec kiwnął głową, wyrażając aprobatę dla Dury i jej prób kształcenia brata. Istoty Ludzkie znalazły się na tym nadpływowym pustkowiu wbrew swojej woli. Nie były dzikusami ani zwierzętami; pozostały cywilizowanymi ludźmi. Niektóre potrafiły nawet czytać. Garstka zwojów świńskiej skóry, pracowicie zapisanych drewnianymi rylcami, należała do ich najcenniejszych skarbów...

Przysunął się do córki Logue'a i powiedział cicho:

– Będziesz musiała podążać dalej. Głębiej w las, w kierunku Skorupy.

Dura drgnęła, potem oderwała się od naciętego pnia. Długie mięśnie jej szyi odbijały światło płonących jąder. Inne Istoty

40

Ludzkie, oddalone o kilku ludzi, wciąż tłoczyły się na wierzchołkach drzew. Część z nich zdążyła już napełnić brzuchy i teraz zbierała garściami soczyste liście.

– Wiem – odparła. – Ale większość chce już wracać do obozu z tymi liśćmi. Adda prychnął.

– Są cholernymi głupcami i wypada żałować, że burza spinowa zamiast nich porwała kilka osób obdarzonych większym rozumem. Liście są smaczne, ale nie napełni się nimi brzucha.

– Wiem, że nie. – Westchnęła i potarła nasadę nosa, a potem z roztargnieniem przesunęła palcem po obrzeżu oka. – Musimy też zastąpić świnię powietrzne, które utraciliśmy podczas burzy.

plyw

– To się wiąże z kontynuowaniem wyprawy – zauważył starzec.
– Mnie nie musisz tego mówić – odparła zmęczona i poirytowana.
– Będziesz musiała ich poprowadzić. Oni nie pójdą sami. Są jak świnie powietrzne: wszyscy chcą iść za przywódcą, ale nikt nie chce być na czele.
– Nie pójdą za mną. Za moim ojcem – to co innego. Adda wzruszył ramionami.
– Nie pójdą za nikim innym. – Patrzył na kwadratową twarz Dury, dostrzegając w jej wyrazistych rysach zarówno wątpliwości, jak i ukrytą siłę. – Sądzę, że nie masz wielkiego wyboru.
– Wiem, że nie – rzekła z westchnieniem i wyprostowała się. Postanowiła porozmawiać z członkami plemienia.
Kiedy powróciła do jądrowego ognia, przyprowadziła ze sobą tylko Philas, wdowę po Esku. Obie kobiety fałowały obok siebie. Dura odwróciła twarz, zażenowana. Oblicze jej towarzyszki nie zdradzało żadnych uczuć.
Adda nie był specjalnie zaskoczony reakcją pozostałych. Zawsze lubili utrzyć nosa córce Logue'a, nawet jeśli działało się to wbrew ich własnemu interesowi.
Jednak widok Philas i Dury intrygował go. Wszyscy wiedzieli o romansie Dury z Eskiem. Trudno było ukryć tego rodzaju historię w społeczności liczącej łącznie z dziećmi zaledwie pięćdziesiąt osób.
41

Pozamałżeńskie związki były wbrew zasadom, ale nie należały do rzadkości. Postępowanie Dury tolerowano. Musiała jedynie przestrzegać kilku niepisanych zwyczajów. Na przykład, nie wolno jej było przesadnie reagować na śmierć Eska ani przebywać zbyt blisko owdowiałej Philas.
Kolejny przejaw głupoty, pomyślał Adda. Kiedyś Istoty Ludzkie liczyło się w setkach – jeszcze za czasów jego dziadka żyło ponad stu dorosłych – i wtedy zakaz cudzołóstwa być może miał sens. Teraz jednak sytuacja uległa zmianie.
Pokręcił głową. Rozpaczwał nad postępowaniem Istot Ludzkich jeszcze przed narodzinami Farra.
– Chcą wracać – Dura powiedziała monotonnym głosem. – Ale ja będę kontynuowała wyprawę z Philas.
Twarz żony Eska poszarzała; włosy oblepiały jej kanciastą czaszkę. Wdowa spojrzała na Addę, jakby chciała mu powiedzieć, że tak czy owak nie ma nic do stracenia. No cóż, pomyślał, jeśli podróż miała pomóc obu kobietom w polepszeniu wzajemnych stosunków, to znakomicie.
Mimo wszystko, dziwaczna była ta myśliwska ekspedycja. Uniósł wstecz głowę.
Dura spochmumiała.
– Nie – rzekła. – Nie mogę cię prosić o... Adda wymamrotał łagodne ostrzeżenie, żeby zamknąć jej usta.
Siedzący przy płonącej dziurze w drzewie Fair wstał.
– Ja też pójdę – oświadczył radośnie, zwróciwszy twarz ku siostrze.
Ta położyła mu ręce na ramionach.
– Co za niedorzeczność – odparła tonem stanowczego rodzica.
– Przecież wiesz, że jesteś zbyt młody...
Młodzieniec zaczął żałośnie protestować, ale starze przerwał mu znieczcierpliwiony.
– Pozwól chłopcu iść – odezwał się. – Myślisz, że będzie bezpieczniejszy w gronie tych zbieraczy liści? A może w miejscu, w którym była Sieć?
Córka Logue'a spoglądała z niepokojem to na Addę, to na swojego brata. W końcu westchnęła i przygładziła włosy.
42

– Dobrze. Ruszamy.

Zebrawi swój prosty ekwipunek. Dura obwiązała się sznurem i zatknęła za pas krótki, ostry nóż oraz skrobaczkę do czyszczenia, do sznura przywiązała zaś małe zawiniątko z żywnością.

Następnie, nic nie mówiąc do pozostałych sześciorga – Adda, Dura, Fan- i wdowa Philas – zaczęli powolną, ostrożną wspinaczkę w kierunku ciemnej Skorupy.

Poruszali się w milczeniu.

Z początku Dura nie odczuwała żadnych trudności. Drzewo, po którym się wspiwała, miało prawie pozbawioną narośli powierzchnię i powoli robiło się coraz szersze. Pień drzewa rósł zgodnie z kierunkiem Magpola, toteż wędrówka po nim była stosunkowo łatwa, skoro człowiek ustawiał się równolegle do Półki, a nadciekłe Powietrze nie stawiało prawie żadnego oporu. Falowanie właściwie nie było konieczne. Dziewczyna przekonała się, że wystarczy przesuwanie rękami po gładkiej, ciepłej korze.

Spojrzała do tyłu. Odniosła wrażenie, że ulistnione korony drzew wtapiają się w płaszczyznę przesłaniającą świat i odcinającą dostęp czystego Powietrza. Towarzysze Dury sunęli za nią swobodnie: wdowa Philas najwyraźniej nie zwracała uwagi na otoczenie; Farr rozglądał się, wytrzeszczając oczy i rozdziawił usta, ciężko oddychając rozrzedzonym Powietrzem; pocziwy stary Adda włókł się na samym końcu, trzymając przed sobą włócznię i nieustannie penetrując mrok zdrowym okiem. Wszyscy troje – nadzy, błyszczący od potu, ze sznurami, siatkami i małymi torbami – wyglądali jak małe, bojaźliwe zwierzęta, pokonujące zacienione partie lasu.

Postanowili odpocząć. Dura wyjęła zza sznurowego pasa skrobaczkę i oczyściła nią ręce i nogi z kawałków liści i kory.

Adda poszybował ku niej. Był zaniepokojony.

– Jak się czujesz?

Spoglądając na starca, dziewczyna myślała o ojcu.

Oczywiście brała już udział w polowaniach – podobnie jak

43

większość dorosłych Istot Ludzkich – ale dotychczas zaw--/ mogła polegać na taktyce Logue'a i innych, na ich doskonałej znajomości Gwiazdy i jej zachowań.

Jeszcze nigdy nie pełniła roli przywódcy. Jej twarz zapewne zdradzała te wątpliwości, gdyż poirkuł, czony starzec pokiwał głową ze spokojem.

– Dasz radę.

W odpowiedzi prychnęła, a potem, ściszywszy głos. tak /eb\ tylko Addaję usłyszał, odparła:

– Być może. Ale na co to się zda? Spójrz na nas... – wskazała małą gromadkę. – Chłopiec. Dwie kobiety pogra/one w rozpacz...

– I ja – spokojnie dorzucił starzec.

– Tak – przyznała. – Dziękuję, że zostałeś ze mną. Ale jeśli nawet jakimś cudem ta zbieranina nowicjuszy osiągnie cel. to wrócimy najwyżej z dwiema, może trzema świniami powietr/-nymi. Nie zdołalibyśmy złapać więcej sztuk. – Przypomniłci sobie drużyny myśliwskie – z cudownych lat swego dzieciństwa

– złożone z kilkunastu silnych, czujnych mężczyzn i kobiet. które wracały triumfalnie do Sieci z całymi stadami dzikich świń.

– I na co to się zda? Istoty Ludzkie czeka głód, Adda.

– Może masz rację. Ale może nie jest aż tak źle. Może uda się nam znaleźć parę loch, nawet z prosiaczkami... to wystarczyłoby do odnowienia stada. Kto wie? A ponadto, Dura, możesz przewodzić tylko tym, którzy chcą mieć przywódcę. Nie przemęczaj się zbytnio. Nawet Logue dowodził dlatego, bo ogół wyraził zgodę. Pamiętaj, że twój ojciec nigdy nie miał do czynienia z tak trudną sytuacją jak teraz... Posłuchaj mnie. Kiedy ludzie porządnie zgłodnieją, zwrócą się do ciebie. Będą wściekli i rozczarowani, będą obwiniali ciebie, ponieważ nie znajdują nikogo innego, na kogo można by rzucić odpowiedzialność.

Ale to ty ich poprowadzisz.

Uświadomiła sobie, że drży.

– Nie mam wyboru, prawda? Przez całe życie, poczynawszy od momentu narodzin, zmierzałam do tego punktu. I nigdy nie dano mi wyboru.

Adda uśmiechnął się, chociaż jego twarz zastygła w posępnym wyrazie.

44

– Nie – odparł surowo. – Ale czy ktokolwiek z nas ma jakiś wybór?

wydawało się, że w lesie nie ma żadnych świń powietrznych.

Wędrowcy odczuwali niepokój i znużenie. Kolejne pół dnia upłynęło na bezowocnych poszukiwaniach i Dura zarządziła przerwę na odpoczynek i sen.

Kiedy się przebudzili, wiedziała już, że będzie musiała poprowadzić ich do podpływu. Do podpływu i jeszcze wyżej – głębiej w las, ku Skorupie.

Bliżej południa – w podpływie – Powietrze było bogatsze, a Magpole silniejsze. Świnie musiały uciec właśnie wtedy, poganiane przez Zaburzenie. Niemniej wszyscy wiedzieli, że podpływ to niebezpieczny region dla podróżników.

Istoty Ludzkie podążały za przywódczynią bez szczególnego entuzjazmu.

Las był gęsty. Na widok ludzi sześciorożne kraby skorupowe c/mychnęły, porzucając pajęczyny zawieszane między drzewami. Pnie były oblepione grubą warstwą kokonów pijawek i niezidentyfikowanych stworzonek, przypominających blade, opasłe liście.

W pewnej chwili Dura ujrzała ślepa płaszczkę.

Adda syknął, żeby ją ostrzec. Dziewczyna rozpląszczyła się na pniu i objęła go ramionami. Starzyła się wstrzymać nierówny oddech. Drzewo, do którego przyciskała brzuch i uda, było twarde i rozgrzane. Poczwała na plecach lekkie tchnienie Powietrza.

Zerknęła w prawo. Szorstka kora drapała ją w policzek. Śledziła

wzrokiem przelatującego obok drapieżcę. Płaszcza była półprzezroczystym płatem, szerokim na co najmniej jednego człowieka. W pewnym momencie znalazła się na wyciągnięcie ręki.

Dura rozpoznała podstawową strukturę, charakterystyczną dla wszystkich zwierząt Płaszcza: ciało stworzenia było rozpięte na cienkim, cylindrycznym kręgosłupie, a dzieciennie wyglądający otwór gębowy w środkowej części płaskiej głowy otaczało sześcioro małych, kulistych oczu. Płetwy przekształciły się jednak w sześć szerokich, cienkich arkuszy. Skrzydła, równomiernie ułożone wokół ciała, falowały przy każdym ruchu stwo-

45

żenia; dookoła przednich krawędzi skrzył się gaz elektronowy. Ciało płaszczyki było prawie przezroczyste, stąd skrzydła trudno było zauważyć. Dura widziała kawałki pożywienia, przechodzące przez cylindryczny żołądek zwierzęcia.

Płaszcza była jedynym stworzeniem – z wyjątkiem ludzi – które poruszało się za pomocą falowania, a nie poprzez puszczanie wiatroodrzutów. Jak świnia czy dzik. Poruszając się cicho, nie wydzielając słodkiego odoru wiatroodrzutów, płaszcza polowała bardzo skutecznie; w jej małym otworze gębowym znajdowały się postrzępione, ostre zębki.

Drapieżnik sunął nad czworgiem ludzi przez okres kilkunastu uderzeń serca, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z ich obecności, a potem, bezszelestnie, odleciał w cień lasu.

Córka Logue'a policzyła do stu i odepchnęła się od pnia drzewa.

Linie wirowe między drzewami były gęste, prawie splątane.

Gwiazda, której rotacja nieustannie zwalniała, stopniowo odpędzała

linie wirowe od Płaszcza; trwało to do pojawienia się następnego Zaburzenia, a wówczas linie dzieliły się na śmiertelnie niebezpieczne

plyw

fragmenty i dopiero po burzy regenerowały się. Powietrze było wyraźnie rozrzedzone. Dura oddychała nim z trudem, a jej serce mocno waliło, zapewniając energię mięśniom. Z różnych punktów swego ciała słyszała ciche trzaski wyrównywanego ciśnienia. Wiedziała, co się dzieje. Powietrze zawierało dwa główne składniki: neutronową nadcięż i gaz elektronowy. Neutrony ulegały rozrzedzeniu; większe ciśnienie wywierał gaz złożony ze swobodnych elektronów. Wyciągnawszy rękę przed siebie, dziewczyna widziała upiorne iskry elektronów na swoich palcach, jasne w panującym dookoła mroku i rzucające lekki blask na gęstwinę liści. Po chwili widok nie był już tak wyraźny. Powietrze stawało się coraz mniej podatne do przenoszenia fal dźwiękowych o wysokiej częstotliwości i dużej prędkości, które pozwalały ludziom odbierać wrażenia wzrokowe. W dodatku, już i tak ubogie Powietrze traciło nadciężłość. Było teraz kleiste i lepkie. Wraz z upływem czasu Dura coraz silniej odczuwała lekki powiew bryzy, która muskała jej twarz i rurkowate włosy, utrudniając ruchy.

46

Zadrzała, uświadamiając sobie, że ta kleista zawiesina może wywołać zakrzepy w misternej siateczce naczyń włosowatych, które dostarczały energii mięśniom i utrzymywały ją przy życiu. Istoty Ludzkie nie były przystosowane do życia na tej wysokości. Nawet świnie spędzały w pobliżu skorupy tylko niezbędną ilość czasu. Dura odczuwała mdłości. Czuła, jak muliste Powietrze ścina się w naczyniach włosowatych. Tęskniła za otwartą przestrzenią Płaszcza poniżej leśnego dachu, za czystym, świeżym i gęstym Powietrzem. Cały otaczający ją świat wypełniały pnie drzew. Dura widziała coraz gorzej. Równoległe ułożone pnie lekko się odchylały zgodnie z kierunkiem Magpoła. Nagle zaczęły sprawiać wrażenie sztucznych tworów, ponurych w swej regularności, przypominając nitki jakiejś ogromnej Sieci. Dziewczyna poczuła, że powoli ogarnia ją panika. Duszyła się zbyt ubogim Powietrzem, sapiąc głośno. Poruszała się z dużym wysiłkiem. Już samo obejmowanie drzewa wymagało silnej woli.

Martwiła się o Farra. Pomimo mroku dostrzegała u niego oznaki zaniepokojenia. Miał bladą i spuchniętą twarz oraz pół-przymknięte oczy. Wydawało się, że z trudem uświadamia sobie, dokąd zawitał; pisał się po drzewie bardzo zdenerwowany.

Dura zmusiła się, by patrzeć w inną stronę. Ruszyła dalej. Nie mogła pomóc bratu w żaden sposób. Przynajmniej nie teraz.

Najważniejsze jest udane polowanie. Zresztą, jak powiedział Adda, chłopakowi groziło u jej boku mniejsze niebezpieczeństwo niż gdziekolwiek indziej...

Przynajmniej Adda był blisko Farra. Córka Logue'a w skrytości ducha, w prosty, dziecinny sposób dziękowała Xeelee za obecność i wsparcie ze strony sędziwego towarzysza.

Wspinaczka zakończyła tak nagle, że Durę ogarnął popłoch.

Stopniowo rozszerzający się pień drzewa osiągnął takie rozmiary, że nie była w stanie opasać go rękami. Wyraźne kontury pnia raptownie ustąpiły miejsca skomplikowanej płataninie korzeni, które tworzyły półkolistą platformę nad głową dziewczyny. Zerkając w górę, widziała korzenie ginące w przycmionym, półprzezroczystym wnętrzu Skorupy; przypominały ludzkie ramio-

47

na, zagłębiając się w delikatną materię w poszukiwaniu bogatych w neutrony jąder molibdenu, strontu i kryptonu.

Korzenie drzewa mieszały się z korzeniami innych drzew lasu, tworząc coś w rodzaju nieprzepuszczalnego, drewnianego sufitu.

Pomiędzy korzeniami wyrastały nieliczne kępki fioletowej trawy. Pnie drzew rosnących zgodnie z kierunkiem linii Magpoła, sterczały ukośnie względem drewnianego sklepienia.

Wkrótce pozostali dołączyli do Dury. Cztery Istoty Ludzkie

Strona 25

plyw

skupiły się razem i uczepiły wolno rosnących korzeni, żeby odzyskać równowagę. Było teraz tak ciemno, że córka Logue'a ledwo rozróżniała twarze swych towarzyszy i zarysy ich chudych ciał. W oczach Philas kryły się znużenie i apatia. Farr dygotał i obejmował się ramionami; wdychał szczątkowe Powietrze przez szeroko otwarte usta. Adda jak zwykle nie skarżył się na nic, ale miał ściągnięte, pobladłe oblicze. Zgarbił się, a jego wąska klatka piersiowa wyraźnie falowała. Wyciągnął liście z wypchanej torby, wiszącej u pasa. Dura przeżuwała pokarm z wdzięcznością. Wprawdzie liście nie były sycące, ale pobudzały do działania. Farr w dalszym ciągu miał dreszcze. Dziewczyna objęła brata ramieniem. Miała nadzieję, że ogrzeje go własnym ciepłem i chłopiec przestanie dygotać.

– Czy jesteśmy w pobliżu Skorupy? – zapytał Farr.
– Nie – warknął Adda. – Prawdziwa Skorupa jest w odległości kilku milionów ludzi stąd. Ale dotarliśmy do korzeni – tak daleko, jak to było możliwe.
W rozrzedzonym Powietrzu zabrzmiał piskliwy, ochrypły głos Philas:
– Nie możemy przebywać tu zbyt długo.
– Nie będziemy do tego zmuszeni – odparła Dura. – Ale może powinniśmy otworzyć pień i znowu rozpalić mały ogień jądrowy. Inaczej zamarzniemy. Adda, czy mógłbyś...
Stary człowiek podniósł rękę.
– Nie ma czasu – wydyszał. – Tylko posłuchajcie. Córka Logue'a zmarszczyła brwi, ale nic nie powiedziała. Wszyscy umilkli i słyhać było jedynie ich nierówne oddechy. Dura czuła się mała, słaba, osamotniona, przytłoczona potężnym systemem korzeni nad głową. Instynkt nakazywał jej natychmiast

48

zsunąć się po pniu i przemknąć przez zbite korony drzew na otwarte Powietrze, w którym mogłaby się poczuć normalnie. Dostrzegała to samo na zdenerwowanych twarzach pozostałych wędrowców. Usłyszała szelest, chrząkanie w oddali... Dochodziło z systemu korzeni, gdzieś po lewej stronie. Starzec skrzywił się. Był zniechęcony.
– Niech to wszystko diabli – syknął. – Nic nie słyszę. Moje uszy zamieniają się w papkę.
– Ja je słyszę, Adda – rzekł Farr. Dura wyciągnęła rękę.
– Tędy.
Starzec kiwnął głową, przymykając zdrowe oko z wyraźnym zadowoleniem.
– Wiedziałem, że to nie potrwa długo. Ile ich jest? Dura i Philas popatrzyły na siebie nawzajem, szukając odpowiedzi.
– Trudno mi ocenić – odparła córka Logue'a, – Sądzę, że więcej niż jedna.
Przez kilka sekund z ust Addy płynęły wulgarne słowa. Przeklinał swój podeszły wiek i malejące zdolności.
– Ech, do Pierścienia z tym – zakończył. – Musimy założyć, że stado nie jest zbyt liczne. – Niecierpliwym, ochrypłym szeptem przekazał im dokładne instrukcje, jak powinni się rozproszyć w razie ataku knura, i radził, żeby starali się pokonać Magpole w poprzek pływ, zamiast uciekać zgodnie z jego kierunkiem. – Bo właśnie tędy podąży knur. A wierzcie mi, że będzie o wiele szybszy od was. – Twarz starca przypominała w mroku morderczą, lodowatą maskę.
– Philas, idź z Addą i faluj na drugą stronę stada – poleciła Dura.
– Zabierz sieci i sznur, potem ruszaj od zwierząt w kierunku podpływu. Farr, ty zostaniesz ze mną. Poczekamy, aż reszta zajmie pozycje, a potem zagnamy świnię do sieci. W porządku? Szybko rozdzielili sprzęt. Dura wzięła dwie krótkie włócznie z zawiniątka niesionego przez wdowę. Następnie Adda i Philas bezszelestnie zniknęli w mroku i falując, zaczęli się przedzierać przez Magpole, prostopadle do pni drzew.

49

Fair trzymał się blisko siostry. Nadal ufnie przywierał do jej ciepłego ciała. Przez kilka chwil przyglądała mu się uważnie – jego oczy wydawały się puste, jakby nie był całkowicie przytomny – i usiłowała wyobrazić sobie, co by czuła, gdyby na skutek jej głupoty czy bez troski chłopcu przydarzyło się coś złego.

Pomyślała ze smutkiem, że przynajmniej sposób, w jaki zaplanowała polowanie, dawał mu większe szansę przeżycia. Po rozpoczęciu polowania niewątpliwie lepiej było znaleźć się w nadpływie stada. Poza tym niepokoiłaby się znacznie bardziej, gdyby nie miała Farra przy sobie.

Ostatni raz krótko uściśnęła brata i szepnęła:

–Chodź. Mamy robotę. Spróbujmy maksymalnie zbliżyć się do świni, tak żeby nas nie zauważyły.

Tępo kiwnął głową, i wciąż drżąc, oderwał się od niej.

Dura zważyła w rękach krótkie włócznie. Zaczęła gramolić się między grubymi pniami w kierunku, z którego wcześniej dobiegały hałasy. Droga była trudna ze względu na opór Magpoła oraz wzmogoną lepkość Powietrza. Dziewczyna czuła się tak, jakby ktoś ją topił. Musiała walczyć ze strachem, który ją ogarniał na myśl o tym, że pozostanie tu uwięziona i nie zdoła uciec z krzepnącego Powietrza.

Nie oglądała się do tyłu, ale wiedziała, że Farr podąża za nią w odległości mniej więcej jednego człowieka. Sunął cicho. Słyszała tylko ciężki oddech, chociaż młodzieniec usiłował nad nim zapanować.

Dzielny mały myśliwy, pomyślała. Logue byłby z niego dumny.

Dotarcie do świni zajęło niewiele czasu. Wkrótce Dura ujrzała klockowate sylwetki kilkunastu zwierząt. Prześlizgiwały się między pniami drzew, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z obecności ludzi. Gestem ręki dziewczyna przywołała Farra, a sama usadowiła się między pniami drzew, około dziesięciu ludzi poniżej sufitu z korzeni. Zobaczyła trzy świnię powietrzne. Zwierzęta, każde z nich o rozmiarach ludzkiego tułowia, spokojnie objadały dolne partie drzew, wygrzebując fioletowo-zielone żdźbła trawy kryptonowej oraz inne, mniejsze rośliny. Świnię falowały płetwami od niech-

50

cenia; nie spuszczały swych szypułkowych oczu z trawy, a ich pyski były prawie zamknięte. Jedząc mało pożywne składniki unoszące się w otwartym Powietrzu, świnię potrafiła otworzyć pysk tak szeroko, że wyglądała jak rura o otwartym końcu, prymitywna maszyna do jedzenia, wlokąca szypułkowe oczy i płetwy. Tutaj, w rozrzedzonym Powietrzu, pyski zwierząt przeżuujących trawę kryptonową ledwo się otwierały. Świnię starały się uszczelnić swoje przysadziste cielska, zachowując wewnętrzny zapas życiodajnego Powietrza. Dura wiedziała, że dzięki temu świnię potrafią przetrwać tutaj wiele dni – w przeciwieństwie do wrażliwych, słabych i nieprzystosowanych Istot Ludzkich.

Odwróciła się do Farra, który trzymał się blisko niej, prawie nie wyglądając zza pnia drzewa. Wykonując odpowiednie gesty,

przekazała mu wiadomość: „Tylko trzy. Mamy szczęście”.

Kiwnął głową i wskazał jedną ze świni. Dura uważnie przyjrzała się zwierzęciu i stwierdziła, że większe i grubsze porusza się niezdamiej niż pozostałe.

Kotna locha.

Dura uśmiechnęła się od ucha do ucha. Wymarzona sytuacja.

Odczekała sto uderzeń serca, a potem uniosła obie włócznie. Philas i Adda powinni już być na wyznaczonych pozycjach.

Skinęła głową na brata.

Dwoje ludzi wypadło zza drzewa. Dura krzyczała tak głośno, jak pozwalało na to rozrzedzone Powietrze. Rzuciła się przez Magpole w kierunku świni, uderzając włóczniami o pnie drzew. Fair robił to samo; jego splecione włosy wyglądały zabawnie.

Na widok intruzów świnię zamknęły pyski i uniosły szypułkowe

plyw

oczy. Potem, jakby kierował nimi jeden umysł, odwróciły się i błyskawicznie ruszyły do przodu. Gnały wzdłuż linii Magpoła, szukając najłatwiejszej i najszybszej drogi ucieczki. Zderzały się z pniami drzew i potykały o ich korzenie, a ich wyloty odrzutowe wydały obłoki zabarwionego na zielono, słodkawego Powietrza. Rodzeństwo rzuciło się w pościg za nimi, nadal wznosząc entuzjastyczne ryki. Nagle Dura uświadomiła sobie, że rozpięta ją podniecenie związane z łowami i poczuła przypływ energii. Oczywiście świnię z łatwością wyprzedzały siostrę i brata.

51

Minęło zaledwie kilka uderzeń serca, gdy zaczęły znikać w mroku, zostawiając za sobą obłoczki wiatroodrzutów... Ale nieco dalej, w dole Magpoła już czekali na nie Adda i Philas, którzy rozpięli sieć i przyszykowali włócznie. Pierwsze dwie świnię rozpedziły się tak mocno, że nie mogły się zatrzymać. Przekoziołkowały w Powietrzu i zderzyły się ze sobą, zakwiliły jak niemowlęta i spadły grzbietami w sieć. Wdowa i starzec pracowali razem, trochę niezręcznie, ale skutecznie. Szybko zarzucili sieć na obie świnię i dźgali je, żeby przestały stawiać opór. Przerazone zwierzęta wypuszczały zielone obłoczki i miotły się w pętach. Dura pomyślała, że zanim tam dotrze, Adda i Philas zdążą już skrepować zdobycz i...

Usłyszała krzyk za swoimi plecami. Krzyk Farra. Zawirowała w Powietrzu, zapominając o Addzie i Philas. Trzecia świnię – kotna locha – zdołała uniknąć sieci. Wystraszone i rozwścieczone stworzenie poleciało w dół, oddalając się od sufitu z korzeni, i pomknęło między drzewami wzdłuż pływ Magpoła wprost na jej brata.

Chłopiec patrzył jak urzeczony na trzepoczące płuety świni i jej sztywne, wybałuszone, szypułkowe oczy. Dura zrozumiała, że Fair nie usunie się z drogi i zwierzę zaraz zmiażdży go siłą rozpędu. Próbowwała wołać, zbliżyć się do chłopca, ale poruszała się tak wolno jak w nocnym koszmarze. Magpole było gęste i lepkie. Powietrze przypominało zawieszoną zupę. Usiłowała się uwolnić, krzyknąć do brata, ale wobec szalonej prędkości świni jej własne starania wydawały się nieporadne.

Odległość między świnię a chłopcem wynosiła już tylko jednego człowieka. Uwięziona w kleistym Powietrzu, dziewczyna wrzasnęła. Nagle zwierzę rozdziawiło pysk i ryknęło w agonii, po czym gwałtownie skręciło, płamiąc Powietrze wiatroodrzutami. Zawadziło o Farra płueta brzuszna. Chłopak wyrznął o pień drzewa, lecz Dura przekonała się z ulgą, że jest tylko mocno przestraszony. Kiedy świnię przekoziołkowała w Powietrzu, można było zrozumieć powód jej szarpaniny: w brzuchu miała długą włócznie Addy. Miotła się na wszystkie strony, usiłując położyć kres niespodziewanej agonii.

52

Starzec szybko przemieszczał się wzdłuż Magpoła, niezdarnie, ale z determinacją. Za jego plecami dwie schwytane świnię usiłowały się uwolnić z porzuconej sieci.

– Ta narowista bestia zwała! – zawołał. – Dura, zabierz chłopaka stamtąd.

Locha zawisła w Powietrzu i mierzyła starego człowieka sześciorgiem swych oczu. Adda zwołnił. Rozpostarł kończyny i również utkwiał wzrok w zwierzęciu.

– Adda, zejdz z drogi – rzekła Dura niepewnie. – Myślę, że...

– Zabierz tego cholernego chłopaka.

Dziewczyna natychmiast spełniła jego żądanie, trzymając się z dala od świni.

Lepkie Powietrze rozdarł przeraźliwy kwik. Świnię zaatakowała Addę.

plyw

Starzec obrócił się w Powietrzu, próbując się uchylić. Falował i mocno wierzył nogami, napierając na Magpole... Dura natychmiast zorientowała się, że nie wymachiwał nimi wystarczająco szybko.

Przywarła do zapłakanego Farra. Mogła tylko bezradnie oglądać upiorną scenę. Adda nie okazywał strachu, ale też nie był obojętny. Na twarzy starca malował się grymas irytacji, wywołany zapewne kolejną porażką jego słabnącego ciała.

Locha zbliżała się do niego, wydając zielone obłoczki wiatrodrzutów. Otworzyła pysk.

Potężne, okrągłe wole zwierzęcia zamknęło się wokół nóg starego myśliwego. Rozpędzona świnia potoczyła się z nim do przodu. Dura patrzyła z przerażeniem, jak słabe ciało Addy uderza o pień drzewa. Jednakże starzec był przytomny i okazywał ochotę walki; okładał pięściami szeroki, drżący zad zwierzęcia.

Córka Logue! a odepchnęła się od drzewa i zaczęła intensywnie falować w kierunku świni. Philas zbliżała się z drugiej strony, trzymając przed sobą włócznię. W jej szeroko rozwartych oczach było widać jedynie zdumienie i lęk.

Świnia, którą zatrzymało zderzenie z drzewem, teraz cofnęła się w czyste Powietrze i za pomocą bocznych strug gazu zaczęła wirować wokół swojej osi. Adda chyba zdawał sobie sprawę z tego,

53

co się dzieje. Mając uwięzione nogi, walił mocno w bok stworzenia i kłął siarczyście. Locha kręciła się coraz szybciej i w końcu przypominała płamę, w której można było dostrzec płetwy i szypułkowe oczy. Wokół jej cielska unosiły się koliste wstęgi wiatrodrzutów, a płetwy lśniły elektronowym blaskiem. Wreszcie Adda opadł do tyłu i leżał przy długim boku zwierzęcia, mając nienaturalnie zgięte kolana.

Dura wiedziała, że w ten sposób dziki zabijają swoją zdobycz: obracały się tak szybko, że nadciężkość Powietrza, utrzymująca przy życiu wszystkie zwierzęta w Płaszczu, włącznie z ludźmi, ulegała załamaniu. Taktyka była prosta, ale zabójczo skuteczna. Mimo że Adda czuł ból w zakleszczonych nogach, udreka wywołana wirowaniem świata gineła w paraliżującym, tępym odrętwieniu; mięśnie starca przestawały funkcjonować, zmysły słabły, niebawem miała ustać praca mózgu.

Dura rzuciła się z ogłuszającym rykiem na wirujące zwierzę. Wczepiła się w gładką, śliską skórę świni i poczuła jej gorące cielsko na swoim brzuchu i nogach. Pchnęła je dwukrotnie i została zrzucona. Potoczyła się do tyłu i wyrznięta o pień drzewa tak mocno, że zaparło jej dech w piersiach.

Jedną z krótkich włóczni dziewczyny pękła z trzaskiem i odleciała. Natomiast drugą udało się jej przebić skórę świni. Ranne zwierzę, z którego brzucha nadal sterczała włócznia starca, usiłowało utrzymać rotację, lecz ból sprawił, że jego ruch stał się nierówny i zaczęło obniżać osi wirowania, niezdarnie ciskając się w Powietrzu. Biedny Adda najwyraźniej zdążył już stracić przytomność; jego bezwładne ciało, miotane to w jedną, to w drugą stronę, odbijało się z głuchym odgłosem od boku lochy.

Philas rzuciła się na świnię i zatopiła swoją włócznię w skórze, powiększając ranę, którą zadała Dura. Stworzenie otworzyło potężną gębę i ściągnęło w tył koliste wargi, odsłaniając zieloną gardziel, a następnie ryknęło z bólu. Nogami Addy wysunęły się z paszczy zwierzęcia. Uwolnione ciało myśliwego bezładnie szybowało. Fan! pośpieszył do starca.

Wdowa wepchnęła kolejną włócznię w trzepoczący otwór gębowy świni i dźgała odsłonięte narządy wewnętrzne. Dura odepchnęła się od drzewa i jeszcze raz zaatakowała lochę. Nie miała

54

już broni, ale ciągnęła za drzewce włóczni zatopionych w boku

plyw

zwierzęcia i rozszarpała rany, podczas gdy Philas nadal zajmowała się jego ryjem.

Trwało to wiele minut. Świnia miotała się w Powietrzu do samego końca, usiłując wykorzystać szczytkową rotację do zrzucenia napastników. Nie mogła jednak uciec. Wreszcie, wypuszczając beużyteczne wiatroodrzuty, zupełnie straciła siły, a jej kwiczenie przerodziło się w cichy pomruk.

Dwie wyczerpane kobiety zawisły w Powietrzu. Z bezwładnego cielska lochy zwisał płat oderwanej skóry, otwór gębowy stworzenia był rozdziawiony. Dura ciężko dyszała i prawie nic nie widziała. Wciąż się jej wydawało, że zarżnięte zwierzę za chwilę niespodziewanie ożyje.

Powoli zaczęła falować w kierunku Philas. Po chwili padły sobie w objęcia. Oczy miały szeroko otwarte, szokowane głęboko tym, co zdołały uczynić.

Farr ostrożnie położył Addę na pniu drzewa; delikatny napór Magpola miał utrzymywać rannego w tej pozycji. Chłopiec pogłaskał starca po pożółkłych włosach. Odzyskawszy jego zniszczoną włócznię, położył ją przy nim.

Obie kobiety zbliżyły się do nich. Dura wycierała drżące ręce o uda. Uważnie oglądała obrażenia Addy; bała się go dotknąć.

Nogi starego myśliwego poniżej kolan przypominały bezładną płataninę. Kości podudzia były złamane w kilkunastu miejscach, natomiast stopy wyglądały jak mięsna miazga. Dura zauważyła, że z wierzchu nie uszkodzona klatka piersiowa Addy jest jednocześnie osobliwie nierówna. Mogła się tylko domyślać, że starzec miał połamane żebra.

Jego prawe ramię, zapewne złamane, bezwładnie zawisło w Powietrzu pod dziwnym kątem. Twarz Addy była posiniaczona. Oczodoły wypełniała lepka krew, a nozdrza pobladły. Jedynie Xeelee raczyli wiedzieć, jakich obrażeń wewnętrznych doznał. Ze schowka między nogami starca wypadł penis oraz moszna. Obnażony Adda wyglądał jeszcze bardziej żałośnie. Dura ostrożnie wzięła w dłoń skurczone genitalia i wepchnęła je z powrotem do schowka.

– On umiera – powiedziała Philas drżącym głosem. Zda-

55

wato się, że odsuwa się od zmasakrowanego ciała, jakby ten widok był ponad jej siły.

Dura potrząsnęła głową, usiłując zmusić się do myślenia.

– Z pewnością umrze tutaj, w tym okropnym Powietrzu. Musimy go stąd zabrać, wrócić z nim do Płaszcz...

Philas dotknęła ramienia córki Logue'a i spojrzała jej w twarz. Starła się przewyciężyć skutki szoku.

– Dura, musimy sobie powiedzieć prawdę – rzekła. – On umiera. Nie ma sensu układać planów ani próbować zabrać go stąd...

Możemy co najwyżej ułożyć go w wygodnej pozycji.

Dziewczynę zdenerwowało lekkie dotknięcie wdowy. Jeszcze nie mogła się pogodzić z tym wszystkim.

Adda otworzył usta.

– Dura... – odezwał się ledwo słyszalnym szeptem. Nachyliła się nad wargami starca, wciąż bojąc się go dotknąć.

– Adda? Jesteś przytomny?

Zaśmiał się cichutko i poruszył ślepy okiem.

– Wolałbym nie być... – Zamknął usta i starał się przełknąć ślinę.

– Dobrze się czujesz?... A chłopak?

– Tak. Nic mu nie jest. Dzięki tobie.

– A świnie?

– Zabiliśmy tę, która cię zaatakowała. Lochę. Pozostałe... –

Zerknęła na szybujące w Powietrzu sieci. Były splątane i puste.

– Uciekły. To dopiero klęska.

– Nie. – Starzec poruszył się, jakby usiłował jej dotknąć, ale osunął się z powrotem. – Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Teraz musicie... spróbować jeszcze raz. Wrócić...

plyw

– Tak. Ale najpierw musimy się zastanowić, jak cię przenieść. – Popatrzyła na zmiążdżone ciało Addy i próbowała się zastanowić, jak opatrzyć najgorsze obrażenia.
Znowu usłyszała ten cichy, mrozący krew w żyłach śmiech.
– Nie bądź tak... cholernie głupia – wycedził stary myśliwy.
– Jestem skończony. Nie marnuj czasu.
Otworzyła usta, gotowa protestować, ale ogarnęło ją wielkie znużenie. Adda miał rację. Philas też. Oczywiście starca czekała rychła śmierć. Mimo to Dura wiedziała, że musi próbować ocalić tego zgorzkniałego uparciucha.

56

– Jeszcze nigdy nie widziałam świni zachowującej się w taki sposób. Knur, to co innego. Ale...
– Powinniśmy byli... spodziewać się tego – wyszeptał. – Byłem głupi... Przecież... kotna locha... musiała tak zareagować. – Wydawało się, że odycha wolniej. Obserwując go, Dura pomyślała, że robi się coraz spokojniejszy; wyciszony.
– Do licha, jeszcze nie umierasz – powiedziała łagodnie. Nie odpowiedział. Zwróciła się do Philasa.
– Posłuchaj, będziemy musiały spróbować opatrzyć jego rany. Wytnij kilka pasek ze skóry tej lochy. Może uda się przywiązać złamane ramię do tułowia. Mogłybyśmy też unieruchomić nogi, wykorzystując włócznię.
Wdowa długo przyglądała się Durze, ale posłusznie wykonała polecenia.
– Na co mogę się przydać? – zagadnął Farr. Dziewczyna rozejrzała się z roztargnieniem.
– Idź odzyskać sieć. Trzeba będzie zrobić kolebkę, żeby zataaszczyć go z powrotem do domu...
– w porządku.
Kiedy Philas wróciła, zaczęły wyprostowywać nogi Addy, żeby unieruchomić je prowizorycznymi łubkami. Dotknąwszy ciała starca, Dura zobaczyła, że ranny krzywi twarz, a jego rozwarłe usta wydają niemy krzyk. Nie była w stanie kontynuować zabiegu. Cofnęła dłoń od zmasakrowanej ofiary i bezradnie spojrzała na drugą kobietę. W tym momencie usłyszała za sobą wrzask swojego brata. Okręciła się w miejscu, sięgając po włócznię Addy. Farr cały czas szamotał się z poplątaną siecią, a przynajmniej robił to jeszcze przed chwilą. Teraz oddalał się od sieci, z przerażenia wytrzeszczony oczy. Dura błyskawicznie upewniła się, że chłopiec nie jest ranny i zbliżyła się do niego. Zerknęła za jego plecy, żeby odkryć, co mu zagrażało...
Zwolniła i zatrzymała się w Powietrzu. Rozdziawiła usta i z wrażenia zapomniała nawet o bracie.
W Powietrzu unosiło się jakieś pudło. Zbliżało się do nich. Był to sześciąt o boku równym wzrostowi przeciętnego człowieka,

57

wykonany ze starannie przyciętych drewnianych płyt. Wystawały z niego liny prowadzące do stada sześciu młodych świń powietrznych, które cierpliwie ciągnęły pudło przez las. Z przodu było widać przezroczystą płytkę, przez którą wyglądała twarz mężczyzny. Nieznajomy marszczył czoło.
Sześciąt zatrzymał się. Dura uniosła włócznię Addy. Tobą Mixxax ściągnął lejce. Skórzane rzemienie „wzdychały” przez membrany uszczelniające, zamontowane w przedniej części samochodu. Przez okienko z przezroczystego drewna Tobą widział – a także czuł, bowiem lejce natychmiast przestały stawiać opór – radośnie zaprzęg świń powietrznych zareagował na przerwę w podróży.
Tobą przyglądał się czworgu nieznanym.
Jacy oni byli dziwni. Dwie kobiety, dzieciak i starzec z dziwnie nierówną klatką piersiową – wszyscy nadzy. Jedna z kobiet

plyw

wymachiwała prymitywną drewnianą włócznią. Oczywiście z początku Mixxax myślał, że to po prostu grupka kulisów, odpoczywająca w lesie, na obrzeżach jego farmy sufitowej. Jednak to nie mogło odpowiadać prawdzie. Nawet najgłupszy z jego kulisów nie zawędrowałby tak daleko bez zbiornika powietrznego. Tobą nie mógł się nadziwić, jak ta mała zgraja przetrwała na tak dużej wysokości, posiadając tak wiejskie wyposażenie. Mieli przy sobie jedynie włócznie, liny i sieć z czegoś, co było chyba niewyprawioną skórą...

Poza tym rozpoznaliby swoich kulisów. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Patrowała zadrzewiony obszar tuż za granicą farmy sufitowej, kiedy natknął się na tę grupę. Prawdę mówiąc, patrolowanie było nieco przesadnym słowem. Wydawało się raczej, że śniąc na jawie, zapuścił się zbyt daleko w nadpływowy las. No cóż, mówił sobie, nie było to szczególnie dziwne. Przecież miał na głowie tyle spraw. Dostarczył zaledwie pięćdziesiąt procent kontyngentu, a tymczasem upłynęły ponad trzy czwarte roku budżet-

58

owego. Uświadomił sobie, że błądzi palcami po kole z materii izeniowej, spoczywającym na piersi. Kolejny okres burz spinowych mógłby całkowicie go wykończyć. Musiałby wtedy, wraz z żoną, Ito, i synem, Crisem, dołączyć do tłumów zapełniających uli-e Parz, a przetrwanie całej rodziny zależałoby wyłącznie od miłośników obcych. A w Parz pod panowaniem Horka IV nie było miejsc na miłosierdzie. Kiedy sobie to uświadomił, przejął go dreszcz. Z trudem powrócił do rzeczywistości. Patrzał na włóczniarzy przez okno samochodu. Kobieta z włócznią – wysoka, z pasemami lekko pozótkłych włosów, mocno zbudowana, o kwadrato-/ej twarzy – odwzajemniała się wyzywającym spojrzeniem. tyła naga, z wyjątkiem sznura opasującego jej talię. Ze sznura wisał worek, zrobiony chyba z niewyprawionej wiejskiej skóry. 'a goła dama była szczupła i zadziorna. Miała małe, jędrne piersi. 'oba zauważył też umięśnione ramiona i uda.

Szczerze mówiąc, budziła w nim przerażenie.

Kim byli ci ludzie?

Po chwili namysłu doszedł do wniosku, że w tak odległym od 'arzu nadpływie nie mogli przebywać zabłąkani kulisi ani zbiegowie; innej farmy. Farma Toby znajdowała się na samym krańcu szerokiego zagłębia wokół Parz... właściwie na obrzeżach cywilizacji – iświadomił sobie z odrobiną starej goryczy – co zresztą nie uprawiała go do płacenia niższych podatków. Nawet do położonej w pod-

tywie farmy Qosa Frenka jego najbliższego sąsiada, podróżowało ię

kilkanaście dni, jeśli nie miało się samochodu.

Nie, to nie byli kulisi. To musieli być nadpływowcy... dzicy.

Pierwszą dzicych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkał. Lewą ręką, na poły nieświadomie, zrobił Znak Koła na piersi.

Może powinien odjechać, zanim ci przybysze zdążą cokolwiek

srobić...

Zganił samego siebie za brak odwagi. Cóż takiego mogliby iczynić? Jedyny mężczyzna w tym gronie wyglądał tak, że mógłby być ojcem Toby, i wydawało się, że ten biedny człeczyna ledwie żyje. A nawet gdyby te dwie kobiety i chłopak próbowali sforsować twarde drewniane ściany jego powietrznego samocho-łu, ich wysiłki byłyby bezskuteczne... Ale czy aby na pewno? I zaniepokoił się.

Oczywiście zawsze mogli przypuścić atak od

59

zewnątrz i, na przykład, zabić wiejskie powietrzne. Albo zwyczajnie w świecie odciąć rzemienie zaprzęgu.

Napreżył lejce. Może rozsądniej byłoby wrócić tu z pomocnikami – skrzyknąć grupę kulisów i potem...

Pięćdziesiąt procent kontyngentu.

plyw

Rzucił lejce, nagle zły na samego siebie. Do licha. Może ten skrawek skorupy był kiepski, ale należał do niego. Jeśli pozwoliłby zgrał bezbronnych dzikusów wypędzić się, to zasłużyłby na łamanie kołem.

Pełen determinacji Tobą przysunął do ust mikrofon głośnika i zapytał:

– Kim jesteście? Co tutaj robicie?

Zauważył z satysfakcją, że nadpływowcy drgnęli jak spłoszone świny powietrzne. Falując, lekko oddalili się od jego samochodu i unieśli swoje krótkie włócznie. Nawet starzec spojrzął na niego, a przynajmniej usiłował to zrobić. Tobą zauważył, że ranny mężczyzna jest ślepy: oczodoły starego przesłaniała mgiełka zaropiałego, stęchłego Powietrza.

Tobą poczuł się nagle pewny siebie. Uświadomił sobie, że to on panuje nad sytuacją. Nie miał się czego bać. To on wzbudzał lęk w tych zacofanych dzikusach. Zapewne nigdy w życiu nawet nie słyszeli o mieście Parz. W miarę jak malała jego obawa, wzrastał gniew spowodowany obecnością intruzów.

Mocno zbudowana kobieta zbliżyła do samochodu – ostrożnie, wymierzając włócznie w jego kierunku, lecz najwyraźniej nie sparaliżowana strachem, który zapewne odczuwałaby on sam, gdyby role się odwróciły.

Dzikuska krzyczała do niego, podkreślając każde słowo ruchem dzidy. Zewnętrzne ucho systemu nagłośnieniowego przekazywało jej głos.

– A za kogo ty siebie uważasz – za babkę wszystkich xeelee?

Tobą słuchał uważnie. Głos nadpływowca był oczywiście zmniejszony, ale takie działanie systemu nagłośnieniowego mu nie przeszkadzało. Dobrze znał jego ograniczenia. Pracował na farmie położonej tak daleko od Bieguna – w odległej części nadpływu, na nieogóscinnej szerokości geograficznej – że syste-

60

ny samochodu utrzymywały go przy życiu. Najsilniejsi kulisi)0trafili przetrwać w takich warunkach bardzo długo, a niektórzy >yć może zdołaliby pokonać powrotną drogę do Bieguna, do 'arz. Ale nie Tobą Mixxax, urodzony mieszcuch. Wątpił, czy)rzeżyłby tysiąc uderzeń serca.

Dlatego wytrwale dbał o poszczególne układy auta, od których ależałojego życie... Na przykład, o system nagłośnieniowy. Powierza, którym oddychał Tobą, dostarczały zbiorniki wmontowane v masywne, drewniane ściany samochodu. System nagłośnieniowy iklądał się z misternych rurek, przechodzących przez te zbiorniki. Ąurki łączyły membrany umieszczone w wewnętrznych i zewnątrz- iych ściankach. Były wypełnione doskonale nadciętym Powierzeni, podgrzewanym przez otaczające rurki zbiorniki. Powietrze nogło przekazywać bez uszczerbku nawet drobne wahania tempe-

•atury, które ludzkie ucho rejestrowało jako dźwięk. Ponieważ rurki były stosunkowo wąskie, filtrowały część liższych częstotliwości. Głos dzikuski z nadpływu wydawał się ;ienki, pozbawiony głębi, a rezonans wytwarzał u niej dziwny, Ewielokrotniony tembr. Pomimo to mówiła płynnie – oczywiście w swoim języku – i prawie bez akcentu.

Drażniło go własne zaskoczenie. Dlaczego się dziwił, że ta kobieta potrafi mówić? Wprawdzie należała do nadpływowców, de to byli przecież ludzie, a nie zwierzęta. Kilka wypowiedzianych przez nią słów wystarczyło, by zaczął w niej dostrzegać inteligentną, niezależną istotę, której nie dawało się tak łatwo zastraszyć przewagą technologiczną.

To zapowiadało komplikacje.

– Co jest? – ryknęła kobieta i zaczęła wymachiwać włócznieą. –

Tak się boisz, że nie możesz wydusić z siebie ani słowa?

– Nazywam się Tobą Mixxax, jestem obywatelem Parz. Ten teren jest moją własnością. Chcę, żebyście się stąd wynieśli.

plyw

Ranny starzec obrócił ku niemu nie widzące oczy i krzyknął – słabo, ale wystarczająco głośno, żeby Tobą usłyszał:
i – Dranie z Parz! Myślicie, że macie na własność cały przejęty Płaszcz, co? – Stary głupiec przerwał i zakaszłał. Mocno ibudowana kobieta pochyliła się nad nim i najwyraźniej zaczęła go wypytywać, o czym też on mówi. Mężczyzna zignorował jej
61

pytania, a kiedy przestał kaszleć, znowu zawołał: – Odczep się, człowieku z Bieguna!
Tobą zacisnął usta. Wiedzieli o Parz. A zatem nie byli tacy ograniczeni, jak myślał. Może to on był ograniczony. Nachylił się nad membraną głośnika. Starał się, żeby jego głos brzmiał groźnie.
– Drugi raz nie będę was ostrzegał. Chcę, żebyście się wynieśli z mojej posiadłości. A jeśli tego nie zrobicie...
– Och, zamknij się! – Mocno zbudowana dzikuska przysunęła twarz do okienka samochodu. Tobą szarpnął się w tył.
– Co, według ciebie, znaczy dla nas „twoja posiadłość”? A poza tym... – wskazała rannego starca. – I tak nie możemy nigdzie iść, skoro Addajest w takim stanie.
Stary człowiek zawołał coś do niej – być może rozkazał, żeby go zostawiła – lecz ona zignorowała jego słowa.
– Nie zamierzamy się stąd ruszyć. Rób, co masz robić. A my...
– ponownie uniosła włócznie – będziemy starali się ciebie powstrzymać.
Toby zerknął w przezroczyste oczy kobiety.
Miał pod ręką zestaw małych, misternie rzeźbionych w drewnie dzwigni, może nadeszła pora, aby pociągnąć jedną z nich, skorzystać z kusz i rur oszczepniczych, stanowiących wyposażenie samochodu...
Może.
Nachylił się do przodu. Nie był pewny, jakimi motywami się kieruje.
– Co mu się stało?
Dzikuska zawahała się, ale chłopak udzielił odpowiedzi, a głośnik wiernie przekazał jego cienki, wyraźny głos.
– Addę pobódł knur.
Starzec wybuchnął ochrypłym śmiechem.
– Och, bzdury. Zostałem skaleczony przez ciężarną lochę. Taki ze mnie stary głupiec. – Usiłował odepchnąć się od pnia drzewa, żeby sięgnąć po broń. – Ale nie tak głupi i nie tak stary, żeby nie zamienić ostatnich minut twojego życia w piekło, człowieku z Bieguna.
62

r

Tobą spojrział w oczy silnej kobiety. Uniosła włócznie, wy-|krzywiła twarz i... nieoczekiwanie wybuchnęła śmiechem.
Tobą był wstrząśnięty, ale również się roześmiał. | Dzikuska wymierzyła w niego włócznie, ale z tym gestem nie iwiązało się zagrożenie.
– Ty. Tobą Paxxax. : – Mixxax. Tobą Mixxax. | – Jestem Dura, córka Logue' a. ' Kiwnął głową.
–Posłuchaj, sam widzisz, że jesteśmy w kłopotcie. Dlaczego lnie chcesz wyjść z tego swojego chlewika, żeby nam pomóc? ;
Zmarszczył brwi. | – O jaką pomoc ci chodzi?
Popatrzyła na starego człowieka. Wyraźnie traciła panowanie nad sobą.
– O pomoc dla niego, oczywiście. – Przyglądała się samochodowi. Sprawiała wrażenie, jakby zaczęła doceniać jego wyrafinowanie. – Może pomógłbyś nam uleczyć jego rany.
– Raczej nie. Nie jestem lekarzem.
Dura zmarszczyła brwi, jakby nie znała tego słowa.
– To przynajmniej pomóż nam wyprowadzić go z lasu. To pudło byłoby tutaj bezpieczne aż do twojego powrotu.

plyw

- To jest samochód - wyjaśnił z roztargnieniem. - Dokąd ;go przeniesiemy? Do twojego domu? ; Kiwnęła głową i pokazała włócznie szereg pni drzew, skierowanych ku wnętrzu Gwiazdy. ; - To o kilka tysięcy ludzi stąd.

i Ludzie? Powtórzył to słowo w myślach. Doszedł do wniosku, i że to praktyczna jednostka miary, ale czy mikrony były gorsze? Jeśli dobrze zrozumiał, jeden człowiek odpowiadałby mniej więcej dziesięciu mikronom -jednej stutysięcznej metra. i - Jakże macie tam udogodnienia?

- Udogodnienia?
Jej wahanie starczyło za odpowiedź. Nawet gdyby Tobą chciał ryzykować własnym zdrowiem i wozić tego starego gościa po lesie, na miejscu zobaczyćby jedynie kolejnych nagich dzikusów, mieszkających w jakiejś niewyobrażalnej nędzy.

63

- Zastanów się - powiedział, siląc się na życzliwość. - Jaki to ma sens? Nawet gdybyśmy dotarli tam na czas...

-Nie byłibyśmy w stanie nic dla niego zrobić -dokończyła Dura. Z jej wąskich jak szparki oczu wзираła udręka. - wiem. Ale nie mogę tak po prostu się poddać. - Zerknęła na Tobę przez okienko samochodu. W jej spojrzeniu wyczuwało się słabą nadzieję.

- Mówiłeś o swojej posiadłości. Czy to daleko stąd? Czy masz jakieś... hm, udogodnienia?

- Prawie żadnych. - Oczywiście dysponował podstawowym sprzętem medycznym dla kulisów, ale z jego pomocą mógł ich tylko załatać i odesłać z powrotem do pracy. Szczerze mówiąc, gdyby któryś z kulisów miał takie obrażenia jak stary Adda, Tobą spodziewałby się jego śmierci.

W gruncie rzeczy, spisałby go na straty.

Tylko na terenie Parz można było otrzymać pomoc medyczną, która uratowałaby życie staremu.

Tobą chwycił lejce, usiłując ponownie skupić uwagę na własnych sprawach. Miał wiele problemów i mnóstwo roboty do skończenia przed ponownym spotkaniem z Ito i Crisem. Może powinien okazać miłosierdzie, dać tym nadpływowcom szansę wyniesienia się stąd. Przecież chyba nie zamierzali zniszczyć jego farmy sufitowej...

- Przykro mi - rzekł. Próbował wyjść z tej zdumiewająco niezręcznej sytuacji z godnością. - Nie sądzę jednak...

Kobieta rzuciła mu groźne, przenikliwe spojrzenie. Wprost przesyłała go swymi oczami, tak że zadygotał.

- Ty wiesz, że można mu pomóc - oznajmiła. - Albo przynajmniej tak myślisz, prawda? Widzę to po twojej minie. Tobą uświadomił sobie, że jego usta otwierają się i zamykają niczym wylot pierdzącej świni powietrznej.

- Nie. Do licha... Może. Dobrze, może i wiem. Pod warunkiem, że uda nam się dostarczyć go do Parz. Ale nawet wówczas nie będzie żadnej gwarancji... - Roześmiał się. - A w ogóle, to jak zamierzasz zapłacić za kurację? Kim ty jesteś, zagubioną siostrzenicą Horka? Jeśli myślisz, że mam fundusze na pokrycie. ..

- Pomóż nam - odparła, patrząc mu prosto w oczy.

64

Uświadomił sobie, że teraz już go nie prosiła, ani nie zaklinała. Ona mu rozkazywała.

Zamknął oczy. Do licha. Dlaczego to wszystko musiało się przytrafić właśnie jemu? Czy nie miał wystarczająco dużo problemów? Niemal żałował, że po prostu nie wystrzelał tej zgrai za pomocą kusz, zanim zdążyli otworzyć usta i wprawić go w zakłopotanie.

Nie chciał dłużej zaprzętać sobie tym głowy. Wyciągnął spod siedzenia zbiornik powietrzny i otworzył drzwiczki samochodu. W jednej z gładkich ścian drewnianego pudła Toby Mixxaxa - jego samochodu - powstało koliste pęknięcie. Ta niespodzianka skłoniła Durę do gwałtownego odskoczenia w tył. Zamierzyła się włócznie na

plyw

drewniane wieko, które zaczęło się zapadać do wewnątrz. Drzwiczki otworzyły się całkowicie, czemu towarzyszył cichy dźwięk wyrównującego się ciśnienia. Dziewczynę owionęło Powietrze samochodu. Było tak bogate, że omal nie zaniósł się kaszlem. Wzięła głęboki oddech i przez kilka uderzeń serca czuła znaczne orzeźwienie, przypływ energii. Po chwili Powietrze umknęło do stęchłej, lepkiej, rozrzedzonej atmosfery lasu i nie został po nim żaden ślad, jakby było snem. Najwyraźniej w aucie było więcej Powietrza niż na zewnątrz, ale to miało sens. Skoro mężczyzna jeździł w tym drewnianym więzieniu, uzależniony od świń powietrznych, to przynajmniej zapewniał sobie komfort odpowiednio dużą ilością Powietrza. Tobą Mixxax wynurzył się z samochodu. Dura obserwowała go ostrożnie, wytrzeszczyszy oczy. Mężczyzna nie pozostał dłużny i przez długie sekundy tkwili w miejscu, przypatrując się sobie nawzajem.

Mixxax miał na sobie ubranie. Nie był to jedynie pas czy podróżna sakwa, lecz kombinezon ze skóry, osłaniający całe ciało. Dura nie widziała nigdy w życiu czegoś tak krępującego ruchy. I czegoś równie bezsensownego. Strój nie miał nawet dużej liczby kieszeni. Na głowie Tobą nosił kapelusz, z którego zwisała zasłona z przezroczystego, lekkiego materiału. Rurki łączyły zasłonę z torbą na plecach. Na szyi tego dziwnego człowieka zawisł łańcuch z medalionem w kształcie koła.

65

Mixxax był starszy od Dury o co najmniej pięć lat i może zaledwie o piętnaście lat młodszy od jej ojca w dniu jego śmierci. Zauważyła, że włosy mężczyzny w znacznej części pożółkły, a wokół płytkich oczodołów widniała siateczka zmarszczek. Pomimo że miał kapelusz z zasłoną, wydawało się, że ledwie dyszy w rozrzedzonym Powietrze lasu. Był niski – o głowę niższy od Dury – i chyba dobrze odżywiony: miał pełne policzki, a pod ubraniem sterczał mu brzuch. Jednak mimo nadmiaru tkanki tłuszczowej Tobą nie był dobrze umięśniony. Szyja, ręce i nogi wydawały się cienkie, a warstwy skórzanej odzieży zupełnie uniemożliwiały ujrzeć mięśni. W dodatku osadzona na chuder-ławej szyi głowa nieco się kiwała. Powoli Dura uświadomiła sobie, że w uczciwym pojedynku Mixxax nie stanowiłby dla niej żadnego zagrożenia. Mało tego, z trudem obroniłby się przed Farrem. Czyżby wszyscy mieszkańcy tej dziwnej posiadłości – Parz – nabawiali się takiej atrofii, jeżdżąc zaprzężonymi w świnie autami?

Dura odzyskała poczucie pewności siebie. Tobą Mixxax był dziwny, ale bez wątplenia niegroźny.

Uświadomiła sobie, że znowu gapi się na wiszący na jego szyi medalion. Był duży jak ludzka dłoń i misternie wykonany; składał się z koła, do którego przytwierdzono rzeźbę człowieka z rękami i nogami rozpiętymi napięciu szprychach. Twarz wyrzeźbionego człowieczka wyrażała ból, a zarazem cierpliwą godność.

Jednak nie kształt wisiora, a materiał, z którego został wykonany, przykuwał spojrzenie Dury. Nigdy dotąd nie widziała tego rodzaju substancji. Z pewnością nie było to drewno, medalion wydawał się zbyt gładki i ciężki. Zatem co? Rzeźbiona kość? Albo...

Mixxax chyba spostrzegł, z jaką uwagą przyglądała się jego medalionowi. Nagle, nie wiedzieć czemu, zakrył go dłonią i schował pod kurtkę gestem winowajcy.

Dura uznała, że przemyśli to wszystko później. Jeszcze jedna z wielu tajemnic...

– Dura – odezwał się Tobą. Jego głos brzmiał znacznie lepiej niż zniekształcone krakanie, które słyszała przez ściany samochodu.

– Dziękuję, że nam pomagasz.

Zmarszczył czoło. Jego grube policzki obwisły.

66

– Nie dziękuj, dopóki nie nabierzemy pewności, że można

plyw

cokolwiek działać. Nawet jeśli on przeżyje drogę do Parz, nie mogą zagwarantować, że znajdzie lekarza, który zechce się zająć takim nadpływowcem.

Nadpływowcem? – powtórzyła w myślach nieznane określenie.

– A jeśli nawet uda mi się go znaleźć, nie wiem, w jaki sposób zapłacicie...

Machnęła ręką lekceważąco.

– Tobą Mixxax, wolę rozważyć te tajemnicze problemy, gdy nadejdą. Na razie powinniśmy się skoncentrować na wsadzeniu Addy do twojego pudła... twojego samochodu.

Kiwnął głową i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Rzeczywiście. A to nie będzie takie łatwe. Kilkoma energicznymi ruchami Dura zbliżyła się do grupki Istot Ludzkich. Za jej plecami niezdarnie sunął Mixxax. Fair spoglądał to na twarz siostry, to na kapelusz Toby. Rozdziawił usta tak szeroko, że wyglądały jak trzeci, wielki oczodół. Dziewczyna z nadpływu starała się powstrzymać uśmiech.

– W porządku, Farr. Nie gap się tak. Philas tuliła okaleczoną głowę Addy. Starzec zwrócił ku przybyłemu oblicze ślepeca.

– Wynoś się, człowieku z Parz – rzekł ochryple. Mixxax nie zwracał uwagi na słowa starego. Pochylił się nad mm. Dura odnosiła wrażenie, że ogląda rany myśliwego oczami nieznajomego; patrzyła na wywichnięte prawe ramię, zmiażdżone stopy, zapadniętą klatkę piersiową i czuła, że jej serce krwawi.

Tobą wyprostował się. Wyraz jego zasłoniętej twarzy pozostawał zagadką.

– Miałem rację. Nawet doniesienie go do auta nie będzie łatwe – rzekł cicho.

– W takim razie nie zadawaj sobie trudu – syknął Adda. –

Dura, ty przekłeta krety nko...

– Zamknij się – odparła dziewczyna. Usiłowała wymyślić jakieś rozwiązanie. – Może – powiedziała powoli – jeśli zdołamy go unieruchomić, mocno przywiązać do łubek, które zrobimy z naszych włóczni, to nie będzie tak źle.

67

– Rzeczywiście. – Mixxax rozejrzał się dookoła. – Ale sznury i siatki, którymi dysponujecie, będą mu się wrzynać w ciało.

– Wiem. – Uważnie przyjrzała się strojowi Toby.

–No, to może...

Po chwili zrozumiał, o co go prosiła. Westchnął z rezygnacją i zaczął zdejmować spodnie i kurtkę.

– Dlaczego ja? – mruknął tak cicho, że Dura chyba go nie usłyszała.

Pod ubraniem miał jeszcze jedno ubranie. Na piersiach, rękach i nogach nie nosił nic, ale krocze i podbrzusze były zakryte grubymi szortami ze skóry. Nie zdjął kapelusza.

Bez wierzchniej odzieży wydawał się jeszcze bardziej cher-lawy, a jego brzuch-wisiał sflaczały. Właściwie wyglądał śmiesznie. Dura powstrzymała się od komentarzy.

Istoty Ludzkie czasami nosiły prostą odzież – poncha i peleryny, jeśli Powietrze było szczególnie zimne i porywiste. Ale żeby zakładać ubranie na ubranie?

Kiedy za pomocą związanych nogawek i rękawów przymocowano Addę do prowizorycznych noszy z włóczni, stary kłął siarczyście. Był zbyt słaby, żeby stawiać opór, i po kilku minutach owinięto go miękkim, skórzanym kokonem. Wykręcał głowę na boki, jakby szukał drogi ucieczki.

Przerażona Philas podtrzymywała mu głowę, gdy Dura i Mixxax ostrożnie wsuwali kokon z rannym do świńskiego auta. Tobą wgramolił się tuż za starcem i zaczął kawałkami sznura mocować nosze w tylnej części kabiny. Stojąc na zewnątrz, córka Logue'a wciąż słyszała, jak Adda przeklina swego wybawcę. Dura posłała Philas znużony uśmiech.

– Stary diabeł.

Ta nie odpowiedziała. Patrzyła na samochód szeroko otwartymi oczami. Powoli Dura uświadomiła sobie, że ten lęk jest najsilniejszym uczuciem, jakie Philas okazała od czasu śmierci Eska.

Chwyliła wdowę za rękę, która drżała jak małe zwierzątko.

– Philas – powiedziała ostrożnie. – Potrzebuję twojej pomocy.

68

Kobieta zwróciła ku niej swą pociągłą, pooraną zmarszczkami rozpaczy twarz.

– Muszę wrócić do Istot Ludzkich – ciągnęła Dura. –

Zorganizować kolejne polowanie... Rozumiesz to, prawda? Ale ktoś musi udać się z Addą, samochodem, do tego całego Parz.

– Nie. – Philas niemal wypluła odmowę.

– Philas, musisz. Ja...

– Poślij Farra.

Dura obserwowała zastygłe, zubożone oblicze kobiety.

Zaskoczyła ją wściekłość i strach wdowy.

– Farr to przecież dziecko. Chyba nie mówisz poważnie.

– Nie ja. – Philas uparcie potrząsała głową. Była tak roz-wścieczona, że mięśnie jej szyi zesztyniały. – Nie zamierzam wsiąść do tej rzeczy i dać się wywieźć. Już wolę umrzeć.

Dura uświadomiła sobie z rozpaczą, że wdowa mówi z całą powagą. Przez pewien czas usiłowała przemówić Philas do rozsądku, ale determinacja młodszej kobiety nie malała ani trochę.

– No dobrze, Philas. – W głowie kręciło jej się od nadmiaru problemów: plemię. Fair. Oczywiście jej brat musiałby wsiąść z nią do auta. Adda słusznie przewidywał, że Dura nigdy nie będzie się czuła spokojnie, jeśli chłopiec na dłuższy czas zniknie jej z oczu.

– Oto, co musisz zrobić – zwróciła się do Philas i mocno ścisnęła jej rękę. – Wrócisz do Istot Ludzkich. Powiesz im, co się stało, że jesteśmy bezpieczni i że zamierzamy znaleźć pomoc dla Addy. I że wrócimy, jak tylko będziemy mogli.

Wdowa ostrożnie skinęła głową. Jej przerażenie powoli malało.

– Oni muszą znowu zapolować. Powiedz im to, Philas. Postaraj się, żeby to zrozumieli. Bez względu na to, co przytrafiło się nam. W przeciwnym razie będą głodowali. Rozumiesz? Musisz powiedzieć im to wszystko i skłonić ich, żeby ciebie wysłuchali.

– Zrobię to. Przepraszam, Dura.

W tym momencie Dura miała ochotę uścisnąć Philas, lecz ta trzymała ją na dystans. Dwie kobiety unosiły się w Powietrzu przez kilka uderzeń serca, niezręcznie milcząc.

Dura odwróciła się od Philas i spojrzała na drzwiczki auta.

Panujący za nimi mrok kojarzył się z otwartymi ustami.

Bała się samochodu, bała się miasta Parz. Obawiała się nie-

69

znanego. Zastanawiała się, czy właśnie ten lęk, czyhający gdzieś w zakamarkach jej umysłu, nie był najważniejszym powodem, dla którego nakłaniała Philas do lotu z Mixxaxem. Ciekawiło ją, czy wdowa również tak to odebrała.

Ze znużeniem pomyślała, że do już i tak przesadnie skomplikowanego związku z byłą żoną Eska doszedł kolejny element. No cóż, może właśnie takie jest życie.

Dura odwróciła się i powoli wspięła do samochodu. Farr podążył za nią bez słowa, nieco bojaźliwie.

Człowiek z Bieguna – wyglądał znacznie mniej imponująco bez wierzchniej odzieży – patrzył, jak gramolili się do środka. We czworo było im tam ciasno, w dodatku sporo miejsca zajmował zaimprovizowany kokon Addy oraz szerokie siedzenie dla Toby przed pulpitem sterowniczym. Mixxax ściągnął kapelusz i zasłonę z wyraźną ulgą. Pociągnął dźwignię; ciężkie drzwi zasunęły się.

Zanim Dura została oddzielona od lasu, zdążyła krzyknąć:

– Philas! Pozdrów ich od nas...

plyw

Drzwi gwałtownie się zatrzasnęły. Mężczyzna uruchomił kolejną dźwignię i ze ścian wydobył się zadziwiająco głośny syk. Kabinę wypełnił strumień Powietrza. Było słodkie, orzeźwiające. Znakomicie działało na Durę, ale pamiętała, że jest obce. Znalazła wolny kącik i usiadła, przyciągając kolana do piersi. Mixxax rozejrzał się dookoła. Sprawiał wrażenie zaskoczonego. – Nic ci nie jest? Wyglądasz... niezdrowo. Dura przezwyciężyła chęć, by rzucić się na niego i roztrzaskać o przezroczyste drewniane płytki w ścianach.

– Tobą Mixxax, jesteśmy Istotami Ludzkimi – wycedziła. – Nigdy dotychczas nie byliśmy skazani na przebywanie w ciasnym pudle. Spróbuj zrozumieć, co czujemy.

Tobą wydawał się zbity z tropu. Odwrócił się i z pewnym zażenowaniem szarpnął lejce, które przechodziły przez drewniane ściany.

Kiedy auto gwałtownie ruszyło, Durze zrobiło się niedobrze.

– Tobą, gdzie jest to twoje Miasto?

– Na Biegunie Południowym – odparł. – W podpływie. W jego najdalej położonej części.

70

P o d p ł y w... Dura zamknęła oczy.

Dura niechętnie otrząsnęła się ze snu.

Czuła rozluźnione mięśnie, powolny rytm serca, a także bogate, ciepłe Powietrze w aucie, pulsujące w płucach i naczyniach włosowatych. Niespiesznie otworzyła oczy i rozejrzała się po ciasnym, kanciastym jak pudełko wnętrzu samochodu. Jedynym źródłem oświetlenia były cztery małe fragmenty ściany – Mixxax nazywał je oknami – ale drewniany „pokoik” tonął w półmroku. Durze wydawało się dziwne, że aby oddać kał, należy otworzyć jakąś płytę i kucnąć nad rurą; kiedy pociągnęła małą dźwignię, odpady zostały wessane w Powietrze. Sama kabina była skonstruowana z drewnianych płyt, zamocowanych na szkieletcie z podpórek i krokwi. Przyszło jej do głowy, że ów szkielet otaczają niby żebra jakiegoś ogromnego, opiekuńczego stworzenia. Nadal półśpiąca, przypomniała sobie poczucie zagrożenia, które towarzyszyło jej przy pierwszym wejściu do auta. Teraz, po upływie niespełna dnia, czuła się bezpiecznie jak w łonie matki. Zdumiewało ją, że ludzie potrafią tak szybko się przystosować do nowej sytuacji. Nosze Addy były przymocowane do podpórek. Wydawało się, że starzec śpi, chociaż raczej był nieprzytomny. Oddychał głośno, z jego rozwartych ust ciekła ślina. Oczy miał półprzymknięte, ale nawet zdrowe oko było zalane małym jeziorkiem ropy, która powoli kapała mu na policzek i czoło, stanowiąc pożywkę dla małych, nieszkodliwych symbiotów pokrywających jego twarz. Farr spał zwinięty w kłębek w kącie kwadratowego pomieszczenia. Schował twarz między kolanami, a gdy oddychał, jego włosy falowały łagodnie. Mixxax siedział w wygodnym fotelu przed szeregiem dźwigni i urządzeń. Był odwrócony plecami do Dury. Patrzył przed siebie. Kiedy usiadł w swych kałesonach, przekonała się, jak bardzo chudy i kościsty jest ten mężczyzna z miasta, i jak bladą ma twarz.

71

Jednakże kiedy kierował swoim wehikułem, emanował z niego spokój i fachowość. Właśnie to opanowanie, poczucie, iż jest się w kontrolowanym, bezpiecznym środowisku – a także zmęczenie po nieudanym polowaniu, lęk wywołany ranami Addy i rozrzedzone leśne Powietrze – sprawiły, że rodzeństwo usnęło niemal natychmiast po rozpoczęciu podróży.

No cóż, Dura błogosławiła ten krótki okres spokoju. Wkrótce znowu miały osaczyć ją problemy świata zewnętrznego – obowiązki związane z chorobą Addy, wrażliwość Farra, który potrzebował opieki, niewyobrażalna obcość miejsca, do którego zmierzali.

plyw

Niebawem będzie wspominać to bezpieczne interudium w ciasnych ścianach auta z nostalgią.

Powoli się wyprostowała i przeciągnęła, żeby rozluźnić zdrewniałe mięśnie. Opuszczyła swój kącik, poszybowała przez małą kabinę do fotela Mixxaxa, uczepliła się oparcia i wyrzała przez okno.

Tobą Mixxax nerwowo podskoczył i odsunął się od niej. Dura musiała zdusić uśmiech, widząc przerażenie na jego szerokiej twarzy.

– Przepraszam – powiedział cicho. – Myślałem, że śpisz.

– Reszta chyba jeszcze śpi. Jak długo drzemałam? Wzruszył ramionami.

– Jakiś czas.

Zerknęła przez okno, trochę mrużąc oczy, gdyż złociste Powietrze było bardzo jasne. Skórzane liny na przedzie auta prowadziły do lekkiej, drewnianej konstrukcji krępującej silne, młode świnię powietrzne, które Tobą nazywał swoim „zaprzęgiem”. Świnie emitowały gęste zielone obłoczki wiatroodrzutów, tak że nie było prawie ich widać. Dzięki wysiłkowi zwierząt auto sunęło wzdłuż linii wirowych. Cienkie skórzane rzemienie – lejce – były przywiązane do przekłutych płetw świni i kończyły się, przechodząc przez napiętą membranę w przedniej ścianie kabiny, w rękach Mixxaxa. Ten trzymał lejce prawie niedbale, jakby panował nad autem i świniami bezwiednie, automatycznie. Dura snuła przez moment miłe fantazje na temat życia w takim miejscu jak magiczne miasto Parz, gdzie umiejętność kierowania autem była czymś równie naturalnym jak falowanie.

72

Śledziła korytarz z linii wirowych przed autem aż do wyraźnego punktu, w którym łączyły się ze sobą, zaciemniając nieskończoność.

Tuż za owym czerwono-białym punktem w pobliżu nieskończoności dostrzegała pastelowy blask Bieguna Południowego... a może, zastanawiała się, jest to również łuna samego Parz.

Skorupa żeglowała nad nimi niby potężny sufit; poszczególne elementy krajobrazu umykały Durze z zawrotną szybkością. Drzewa, wśród których kiedyś polowała, nadal tu rosły; zwisały z przezroczystego budulca Skorupy i układały się zgodnie z kierunkiem linii Magpola jak rurki włosowe. Ich neutrinowe liście w kształcie filizanek intensywnie błyszcząły, przesuając się przed jej oczami. Jednak córka Logue'a odniosła wrażenie, że drzewa rosną coraz rzadziej, a ich małe, regularne zagajniki rozdzielają płyty Skorupy.

...A odsłonięta Skorupa nie była naga: pokrywały ją prostokątne plamy, każda liczyła jakies sto ludzi szerokości. Prostokąty różniły się nieco kolorem i rodzajem powierzchni. Na niektórych było widać ścieżki, przebiegające zgodnie z kierunkiem Magpola niczym uwieszone linie wirowe, ale w innych prostokątach układały się one ukośnie, czasem wręcz prostopadłe do kierunku Pola. Część prostokątów nie zawierała żadnych charakterystycznych elementów z wyjątkiem przypadkowo rozmieszczonych punktów o ciemniejszej barwie.

Dura powiodła spojrzeniem ku Biegunowi Południowemu. Prostokąty pokrywały Skorupę od miejsca, w którym się znajdowali, tworząc jakby szachownicę, która zanikała we mgle za końcem linii wirowych. Na polach poruszali się ludzie, którzy z tej odległości wydawali się strasznie mali. Tu i ówdzie dziewczyna dostrzegała klockowate pudła aut powietrznych, nadzorujących ich pracę.

Poczuła się mała i bezradna. Powierzchnia Skorupy wokół Bieguna była u p r a w i a n a, i to na wielką skalę.

Największym sztucznym wytworem, jaki widziała przed tą podróżą, była Sieć należąca do Istot Ludzkich. Niewiarygodnie skomplikowany samochód Tobo Mixxaxa zrobił na niej spore wrażenie, ale plamy na Skorupie były czymś zupełnie wyjątkowym – przedsięwzięciem o skali wytrzymującej porównanie z krzywizną samej Gwiazdy.

I były dziełem ludzi, takich jak ona.

73

Usiłowała nie myśleć o dławiającym ją strachu. Szukała w pamięci słowa, którego użył Mixxax.

– Farma sufitowa – przypomniała sobie wreszcie. – Tobą Mixxax, to jest twoja... farma sufitowa.

wybuchnął śmiechem, w którym zabrzmiała nuta rozgoryczenia.

– Niezupełnie. Te pola są zbyt żyzne, żeby mogli je posiadać tacy biedacy jak ja. Minęliśmy granice mojej farmy sufitowej dawno temu, kiedy jeszcze spałaś... Wygląda tak skromnie, że prawdopodobnie nie odróżniłabyś jej od lasu. Kiedy was zabierałem, byliśmy około trzydziestu metrów od Bieguna. Teraz od Parz dzieli nas mniej więcej pięć metrów; Powietrze jest tutaj gęstsze, cieplejsze – struktura Gwiazdy jest inna tuż nad samym Biegunem – toteż ludzie mogą żyć i pracować na większej wysokości, w pobliżu Skorupy. – Pomachał ręką, niedbale ściskając lejce. – Wjeżdżamy na najżyźniejsze tereny uprawne. Farmy Skorupy, które będziemy mijali, są własnością ludzi znacznie bogatszych ode mnie. Albo lepiej ustosunkowanych. Pomyślałabyś, że to niemożliwe, by jeden człowiek miał tylu szwagrów, ilu ma Hork IV. Jest jeszcze gorszy niż jego ojciec. A...

– Co oni robią?

–Kto? Pokazała pola.

– Tamci ludzie.

Zmarszczył brwi, najwyraźniej zaskoczony jej pytaniem.

– To kulisi – odparł. – Uprawiają pola. Właśnie was wziąłem za kulisów.

– Hodują papkę dla Miasta – burknął ktoś za ich plecami. Dura odwróciła się zaskoczona. Adda obudził się. Wprawdzie nadal nic nie widział z powodu zaropiałych oczu, ale nie leżał już tak bezwładnie w kokonie z ubrań i sznurów, a kiedy mówił, w kącikach ust pękały bąbelki śliny.

Dura natychmiast znalazła się przy jego boku.

– Przepraszam, że cię obudziliśmy – szepnęła. – Jak się czujesz?

Starzec wykrzywił wargi, a gardłowy bulgot zabrzmiał jak upiorna parodia śmiechu.

74

– Och, wspaniale. A jak myślisz? Gdybyś wyglądała choć trochę lepiej, zaprosiłbym cię tutaj, żebyś mnie ogrzała. Prychnęła.

– Nie marnuj swojego Powietrza na głupie dowcipy, ty stary głupcze. – Wyglądziła fałdy zrolowanego sukna, usiłując zmienić pozycję szyi Addy.

Za każdym razem, gdy go dotykała, mrużył oczy z bólu.

Tobą Mixxax odwrócił się.

– W tamtej szafce jest jedzenie – powiedział, wyciągając rękę. – Przed nami jeszcze szmat drogi.

W miejscu, które wskazał, znajdowały się małe drzwi, wycięte w ścianie i przymocowane krótkim skórzanym rzemieniem. Dura otworzyła je i zobaczyła szereg miseczek, z których każda była ciasno owinięta skórą. Obdarłszy jedną z nich, znalazła płaty jakiejś różowej mięsistej substancji, wielkie jak dłoń ludzka. Wzięła jeden z nich do ust i zaczęła jeść.

Płat przypominał mięso, ale był znacznie bardziej miękki, i smakował wybornie –jak liście drzewa. Zjadłszy małą porcję, Dura doszła do wniosku, że żaden liść nie jest tak zbity i pożywny. Kiedy jadła ostatni raz? Musiała się powstrzymywać, żeby nie napchać sobie buzi dziwnym pokarmem.

Wyciągnęła z miseczki jeszcze trzy płaty, a potem przykryła naczynie i odstawiła je do szafki. Nie chciała, żeby intensywnie pachnące fotony, które emitowała żywność, przebudziły Farra. Przytknęła płat do ust Addy.

– Jedz – nakazała.

– Papka miastowych – burknął, ale odgryzł kawałek i apatycznie

plyw

zaczął go przeżuwać.

– Nie ma w niej nic złego – szepnęła, karmiąc starca. – To tylko jedzenie.

– I to jedzenie odpowiednie dla ciebie – wtrącił nieco głośniejszy, odwróciwszy się do Addy, Tobą Mixxax. – W gruncie rzeczy, jest zdrowsze niż mięso. I...

– Ale co to takiego? – przerwała mu Dura.

– Przecież to chleb – odparł. – Zrobiony z pszenicy. Tej, która wyrosła na mojej farmie sufitowej. A ty myślałaś, że co to jest?

– Zignoruj go – wychrypiał Adda. – Nie daj mu satysfak-

75

cji, pytając, co to jest pszenica. Widzę, że masz ochotę zadać takie pytanie.

– Nic nie widzisz – rzekła z roztargnieniem. – No dobrze, co to jest pszenica? – zapytała po dłuższej chwili.

– Uprawiana trawa – wyjaśnił farmer. – To, co rośnie dziko w lesie, nadaje się dla świń powietrznych, ale nie utrzymałoby przy życiu zbyt długo ani ciebie, ani mnie. Pszenica jest szczególną odmianą trawy. Ten gatunek wymaga specjalnych zabiegów, ale zawiera wystarczająco dużo bogatych w protony związków ze skorupy, żeby ludzie mogli się wyżywić.

– Papką – burknął Adda.

– Nie papką. Chlebem – poprawił go cierpliwie Mixxax. Dura nachmurzyła się.

– Chyba czegoś nie rozumiem. Świnie powietrzne jedzą trawę, a my jemy świnie. Tak to wygląda. Co jest złego w tym systemie? Tobą wzruszył ramionami.

– Nic, jeśli nie masz wyboru. I jeśli chcesz spędzić całe życie, uganiając się po lasach za świniami. Ale fakty są takie, że mając jeden mikron sześcienny korzeniowego sufitu skorupy, otrzymuje się większą wartość odżywczą z uprawy pszenicy niż z hodowli świń.

Poza tym z ekonomicznego punktu widzenia uprawianie pól jest wydajniejsze od prowadzenia chlewni. – wybuchnął pobłażliwym, działającym na nerwy śmiechem. – Albo od polowania na dzikie świnie, czym się wy zajmujecie. Pszenica znajduje się przynajmniej w jednym miejscu. Nie puszcza wia-troodrzutów po całym lesie i nie atakuje starych mężczyzn. – Spojrzał chytrze na swoją rozmówczynię. – Tak czy owak, pewne produkty można uzyskać wyłącznie dzięki uprawie zbóż. Na przykład, ciasto piwne...

– Wydajne – syknął Adda. – To było jedno ze słów, których użyli, odpędzając nas od Bieguna. Dura zmarszczyła brwi.

– Kto nas odpędził?

– Władze w Parz – odparł. Z jego oczu niepokojąco sączył się jakiś płyn. – Mówię o tym, co działo się dziesięć pokoleń wstecz, Dura... O tych sprawach już się nie rozmawia. Książątka, kapłani. Kołodzieje. Wypędzili nas z gęstego, ciepłego Powietrza

76

Bieguna i zmusili do wędrówki na pustkowie w nadpływie. Wypędzili nas ze względu na naszą wiarę, ponieważ uważaliśmy, że jest ktoś ważniejszy niż oni, ponieważ nie chcieliśmy pracować na ich farmach, ponieważ nie zamierzaliśmy pogodzić się z niewolnictwem. Ponieważ nie bylibyśmy wydajni.

– Kulisi nie są niewolnikami – odparł Mixxax w uniesieniu. – W świetle prawa miasta Parz każdy mężczyzna i każda kobieta są wolni, a...

– A ja jestem babką wszystkich Xeelee – przerwał mu znużony Adda. – W Parz jesteś wolny w takim stopniu, w jakim możesz sobie na to pozwolić. Jeżeli jesteś biedny – jak kulis, albo syn kulisa – nie masz żadnej wolności.

– O czym ty mówisz? – Dura zapytała starca. – Czy właśnie dlatego wiedziałeś, skąd pochodzi Tobą – ponieważ my też wywodzimy się z Parz? – Zmarszczyła brwi. – Nigdy mi o tym nie

opowiadałeś. Mój ojciec...

Adda zakaszłał.

– Wątpię, żeby Logue o tym wiedział. Zresztą, nawet gdyby wiedział, to zapewne wcale go to nie obchodziło. Ta historia wydarzyła się przed dziesięcioma pokoleniami. Więc co to zmienia? Nigdy nie moglibyśmy powrócić, zatem po co wspominać przeszłość?

– Nadał nie wiem, co robić, jeśli zgodzisz się ponieść koszty leczenia starego – wtrącił Tobą, tak jakby nie śledził toku rozmowy.

– Nie trzeba dużo wyobraźni, żeby to odgadnąć – syknął Adda.

– Dura, mówiłem, żebyś odegnała tego mieszcza.

– Zamknij się – odparła dziewczyna. – On nam pomaga.

– Nie zyczyłem sobie jego pomocy. Zwłaszcza, jeżeli ozna-
czałaby konieczność udania się do samego Parz. – Ranny poruszył się apatycznie w swoim kokonie. – Już wolę umrzeć. Ale teraz nie byłbym zdolny nawet do tego.

Dura przerażona słowami Addy położyła ręce na jego ramionach, zmuszając go, by leżał spokojnie.

– Wspomniałeś wcześniej o „Xeelee” – ostrożnie odezwał się Tobą.

Cóka Logue'a odwróciła się do niego z ponurą miną.

77

Zawahał się.

– Zatem to jest wasza wiara? Otaczacie wciąż Xeelee?

– Nie – odpowiedziała Dura. – Jeśli to słowo ma takie znaczenie

Jakie mu przypisuję. Nie uważamy Xeelee za bogów; nie jesteśmy dzikusami. Ale wierzymy, że dążenia Xeelee dają największą nadzieję na...

– Posłuchaj – przerwał jej Tobą bardziej stanowczym tonem.

– Nie wydaje mi się, żebym musiał oddawać wam kolejne przysługi.

Już i tak pomagam wam za dużo. – Przygryzł wargę i popatrzył przez okno na chropowatą, ponaznaczaną formami Skorupe. – Ale coś wam powiem. Kiedy dotrzemy do Parz, nie przechwalajcie się swoją wiarą, nie rozpowiadajcie, że oddajecie cześć Xeelee, kimkolwiek oni są. Dobrze? Nie potrzebujemy kłopotów. Dura rozważała jego sugestie.

– Sprawiliby to więcej kłopotów niż czczenie jakiegoś koła? Adda odwrócił się do niej. Mixxax wydawał się spłoszony.

– Co wiesz o Kole?

– Tylko tyle, że nosisz je na swojej szyi – odparła łagodnie.

– Chyba że uważasz, iż należy je ukrywać.

Człowiek z miasta potrząsnął gniewnie lejcami.

Adda przymknął oczy. Oddychał głośno, ale miarowo.

Najwyraźniej znowu stracił przytomność.

Farr w dalszym ciągu spał. Czując wyrzuty sumienia, Dura wepchnęła do ust ostatnie kawałki jedzenia – chleba – i usiadła obok Mixxaxa.

Zerknęła przez okno. Skorupe kłębiła się nad jej głową, oszłamiająco wyraźnie widziała szczegóły jej powierzchni. Odnosiła nieprzyjemne wrażenie, że nawet linie wirowe mkną obok auta w zawrotnym tempie. Wydawało jej się, że spada bezradnie w kierunku tajemniczego Bieguna... i przyszłości.

Tobą uważnie przyglądał się Durze, zdradzając zaniepokojenie.

– Nic ci nie jest?

Starła się nie okazywać zdenerwowania.

– Chyba nie. Po prostu jestem trochę zaskoczona prędkością tej rzeczy.

Zmarszczył brwi i zmrużywszy oczy, wyjrzał przez okno.

78

– Wcale nie podróżujemy szybko. Może metr na godzinę.

Ostatecznie nie musimy przedzierać się w poprzek Magpola; po prostu podążamy za liniami pływowymi do domu... w każdym razie,

plyw

do mojego domu. A ponieważ jesteśmy tak daleko w pod-pływie, świnie odzyskują siły. W okolicach Bieguna osiągną dwukrotnie większą prędkość, przy małym ruchu. – Roześmiał się. – Szczerze mówiąc, w Parz nie ma teraz czegoś takiego jak mały ruch, nawet pomimo zarządzeń dotyczących samochodów w obrębie Miasta. A czołowe ekipy...

– Nigdy dotąd nie byłam w aucie – syknęła przez zaciśnięte zęby.

Otworzył usta i kiwnął głową.

– Nie byłaś. To prawda. Przepraszam; nie jestem zbyt uważny.

– Rozwazał coś przez chwilę. – Zdaje się, że byłbym nieco zdenerwowany, jadąc po raz pierwszy – gdybym nie jeździł od dziecka. Nic dziwnego, że czujesz się kiepsko. Przepraszam. Może powinienem być cię ostrzec.

– Przestań przeproszać.

– Tak czy owak, dotarliśmy tutaj całkiem szybko. Zważywszy, że od Bieguna do mojej farmy jest tak piekielnie daleko. – Na jego okrągłej buzi pojawił się grymas gniewu. – Ludzie nie są w stanie przeżyć w odległości większej niż czterdzieści, pięćdziesiąt metrów od Bieguna. A moja farma sufitowa mieści się prawie na tej granicy, na brzegu zagłębienia Parz. W dalekiej części nadpływu Powietrze smakuje jak klej, a kulisi są słabsi niż prosięta powietrzne... Jak mam się utrzymać w takich warunkach? – Popatrzył na Durę, jakby oczekiwał od niej odpowiedzi.

– Co to jest metr?

– Sto tysięcy ludzi. Milion mikronów. – Tobą nie był już rozgniewany. Sprawiał wrażenie, jakby uszło z niego powietrze. – Przypuszczam, że nie wiesz, o czym mówię. Przepraszam; ja...

– Jak głęboki jest Płaszcz? – zapytała Dura. – To znaczy, od Skorupy do Morza Kwantowego. Uśmiechnął się, wyraźnie odpreżony.

– W metrach czy w ludziach?

– Wystarczy w metrach.

– Około sześćset.

79

Pokiwała głową.

– Tak mnie uczono.

Popatrzył na kobietę z zaciekawieniem.

– Wiecie o takich rzeczach?

– Zgadza się, wiemy o takich rzeczach – odparła ociężale. – Nie jesteśmy zwierzętami. Kształcimy nasze dzieci... mimo iż samo utrzymanie się przy życiu – bez ubrań, aut, zbiorników powietrza i zaprzęgów świń powietrznych – pochłania większość naszej energii. Skrzywił się.

– Nie będę więcej przeproszał – rzekł ponuro. – Posłuchaj tego, co wiem. – Trzymając luźno lejce, wygiął swoje delikatne dłonie o długich palcach, tworząc kulę. – Gwiazda jest sferą o średnicy około dwudziestu tysięcy metrów.

Kiwnęła głową. Dwa miliardy ludzi.

– Otaczają Skorupa – kontynuował. – Jest gruba na trzysta metrów. Morze Kwantowe stanowi kolejną kulę, unoszącą się wewnątrz Skorupy, o średnicy wynoszącej w przybliżeniu osiemnaście tysięcy metrów.

Zmarszczyła brwi.

– Unoszącą się? Zawahał się.

– Hm, tak mi się wydaje. Skąd mam wiedzieć? A pomiędzy Skorupą i Morzem Kwantowym znajduje się Płaszcz – Powietrze, którym oddychamy – głęboki naokoło sześćset metrów. – Zerknął na twarz Dury; malowała się na niej podejrzliwość, a zarazem politowanie – bardzo niepokojąca mieszanka uczuć. – Tak wygląda Gwiazda. Świat. Powiedziałyby ci to każdy dzieciak w Parz. Wzruszyła ramionami.

– Albo każda Istota Ludzka. Może kiedyś nie sprawiało to żadnej

różnicy.

Pragneła, żeby Adda się obudził. Mogłaby dowiedzieć się wtedy czegoś więcej o tajemniczych dziejach swojego ludu. Odwróciła twarz do okna.

Podczas ostatnich godzin podróży odwrócony krajobraz Skorupy znowu się zmienił.

80

Farr obudził się i wraz z siostrą z zafascynowaniem oglądali powolną ewolucję przemykającego Skorupoobrazu. Z rodzimego lasu zostało w tym miejscu niewiele, aczkolwiek tu i ówdzie widać było małe zagajniki składające się z kilku drzew. Nieskazitelna, uporządkowana regularność pól, pod którymi przelatywali, pozostawiając je za sobą na Północy –dalekim nadpływie, jak się nauczyła nazywać tę część – zaczęła się załamywać i przechodzić w chaos kształtów i struktur.

Farr wytrzeszczył oczy i pokazywał coś z wielkim podnieceniem.

Dura spojrzała w tamtym kierunku.

Nie byli sami na niebie. W zamglonej dali coś się poruszało – z pewnością nie auto. Był to podłużny obiekt, ciemny jak poczerniała linia wirowa. I podobnie jak samochód Mixxaxa, zmierzał ku Biegunowi, brnąc wzdłuż Magpoła.

– To coś musi być długie na tysiące ludzi – stwierdziła. Tobą rzucił jej lekceważące spojrzenie.

– Konwój z drewnem – rzekł. – Przybywa z nadpływu. Nic nadzwyczajnego. Właściwie porusza się cholernie wolno. Lepiej nie utknąć za czymś takim.

Niebawem w Powietrzu pojawiły się inne auta. Mixxax zrzędził, ponieważ często musiał zwalniać, kiedy włączali się do ruchu wzdłuż pływowych linii Magpoła. Samochody miały rozmaite kształty i rozmiary: od małych, jednoosobowych żuczków po wielkie wozy, ciągnięte przez tuzin albo i więcej świń. Przy tych ogromnych, ozdabianych wymyślnymi rzeźbami autach wóz Mixxaxa wyglądał niepozornie. Dura pomyślała, że samochód, który wydawał się wspaniały i przerażający w lesie nadpływu, teraz sprawiał wrażenie małego, podniszczonego i niezauważalnego.

Powoli uświadamiała sobie, że to samo dałoby się powiedzieć o jego właścicielu.

Barwy pól Skorupy zmieniały się: ciemniały i nabierały większego nasycenia barwą.

– Różne odmiany pszenicy? – Farr zagadnął Mixxaxa. Tobą nie okazywał zbyt dużego zainteresowania żyznymi regionami, do których nie miał dostępu.

– Może. A także rozmaite gatunki kwiatów.

81

– Kwiatów?

– To rośliny hodowane ze względu na ich piękno – kształt, kolor, albo zapach fotonów, jaki wydzielają. – Farmer uśmiechnął się.

– Ito hoduje pewną odmianę, która...

– Kim jest Ito?

– To moja żona. Oczywiście jej rośliny nie wyglądają tak imponująco, ale przecież teraz przelatujemy nad posiadłościami dworu Horka.

Farr przycisnął twarz do okna samochodu.

– Chcesz powiedzieć, że ludzie hodują rośliny tylko dla ich wyglądu?

– Tak.

– Ale jak oni żyją? Czyżby jak my nie musieli polować, by jeść?

Dura potrząsnęła głową.

– Farr, tutejsi mieszkańcy nie polują. Wiem przynajmniej tyle.

Uprawiają specjalne odmiany trawy i żywią się nimi. Mixxax zaśmiały się gorzko.

– „Tutejsi mieszkańcy”, jak ich nazywasz, nie robią nawet tego. J

plyw

a się tym zajmuję na mojej karłowatej farmie... na skraju nadpływowej pustyni. Uprawiam żywność, żeby karmić bogaczy w Parz... i płacę im podatki, dzięki którym mogą sobie pozwolić na kupno moich plonów. Dlatego właśnie dworzanie Horka mają dość czasu, by hodować kwiaty – dokończył z rozgoryczeniem.

Logika jego wyводу oszołomiła Durę, ale ponieważ nie zrozumiała wszystkiego, milczała.

Nagle szereg samochodów przesunął się na bok. Przed pasażerami rozpostarła się bogata panorama.

Córka Logue'a westchnęła z wrażenia.

Farr krzyknął jak przerażone dziecko.

–Co to jest?

Mixxax odwrócił się i wyszczerzył zęby w uśmiechu, najwyraźniej rozkoszując się chwilową przewagą.

– To jest Parz – rzekł. – Przybyliśmy na miejsce.

82

Muub pojawił się w Galerii Przyjęć tuż po rozpoczęciu wielkiego Hołdu. Przeszedł do frontowej części Galerii, żeby móc widzieć całą Pali Mali i wybrał kokon w pobliżu miejsca, w którym zwykle wypoczywał zastępca Horka. Służący krążył wokół niego przez kilka chwil, idealnie dopasowując kokon do jego ciała oraz proponując mu napoje i przekąski. Muub nie potrafił zwalczyć zmęczenia. Mały nieszkodliwy człowieczek działał mu na nerwy, toteż odgonił go. Spojrzał w dół. Mali była główną arterią metropolii, szeroką i zalaną światłem. Był to prostokątny korytarz, wykuty pionowo w skomplikowanym centrum Parz – od wyszukanej superstruktury budynków pałacowych najwyższej położonej części Góry, przez setki poziomów mieszkalnych, aż do Rynku, szerokiego i otwartego forum w środku Miasta. Galeria Przyjęć wznosiła się na samym szczycie Pali Mali, tuż pod budynkami pałacowymi.

Próbując się odprężyć w kokonie, skąpany w subtelnie cieniowanym świetle, sączącym się przez bujne ogrody Pałacu, Muub widział przed sobą chyba całe Parz. Pali Mali oświetlał blask szybów powietrznych i drewnianych latami, których szeregi zawieszono na jej podziurawionych ścianach. Błyszczące, zielone i żółte nitki szybów zbiegały się w zakurzone sercu Miasta, na Rynku. Na wielkiej arterii zazwyczaj panował duży ruch, lecz tego dnia była opustoszała. Muub zauważał jedynie gapiów, którzy wyglądali zza drzwi i z balkonów widokowych, a ich pospolite twarzyczki unosiły się ku niemu jak kwiaty. Na Rynku – pięć tysięcy ludzi poniżej Pałacu – znajdowała się prawie całkowicie uformowana procesja mająca złożyć hołd; tysiące zwykłych obywateli zebrało się, żeby zaprezentować najwspanialsze plony pracy swojej dzielnicy Komitetowi. Oczywiście nie widziało się tutaj kokonów. Rynek był poprzecinany sznurami i kratownicami. Ludzie zaczepiali się o nie rękoma i nogami albo wciągali się w poszukiwaniu dobrych punktów obserwacyjnych. Oglądając całe to zamieszanie, Muub odnosił wrażenie, że patrzy na wielką sieć wypełnioną młodymi prosiętami.

Galerię przecinały liczne skórzane liny wskazujące drogę tym

83

członkom Komitetu i dworzanom, którzy, jak pomyślał z ironią Muub, byli zbyt biedni, by dać się po prostu zanieść do kokonów. Chłodne, dostarczane rurami Powietrze pachniało kwiatami Skorupy.

Wiceprzewodniczący Hork znajdował się już na swoim miejscu, blisko Muuba i obok pustego kokonu zarezerwowanego dla Przewodniczącego Horka IV –jego ojca. Był brodaty i dość masywnie zbudowany.

Patrzył przed siebie ponuro, w milczeniu. Połowa dworzan zdążyła już zająć miejsca, ale ludzie ci wybierali raczej tyły Galerii, najwyraźniej wyczuwając, z właściwą sobie mętną, samolubną bystrością, że tego dnia nie powinni zwracać na siebie uwagi czujnego wiceprzewodniczącego.

A zatem skomplikowane towarzyskie przepychanki już się

plyw

zaczęły. Muub pomyślał, że ten dzień będzie mu się dłużył. Właściwie – za sprawą niedawnego Zaburzenia – dzień już i tak wydawał mu się zbyt długi. Takie dni ostatnio zdarzały się często. Muub był głównym lekarzem Pierwszej Rodziny, ale prowadził też szpital – w istocie rzeczy, zgodził się przebywać na dworze Horka tylko pod warunkiem, że nadal będzie pełnił obowiązki w szpitalu „Wspólnego Dobra” – i wiedział, że jego personel czekał ogrom pracy w związku z niedawnym Zaburzeniem. Patrzył na ładne, pozbawione wyrazu, starzejące się oblicza dworzan, którzy pysznili się swoimi kreacjami, i zastanawiał się, ilu jeszcze rannych będzie musiał obejrzyć, zanim zmorzy go sen.

Wiceprzewodniczący Hork zauważył go wreszcie i skinał głową. Był on zwalistym mężczyzną, którego potężna postura sugerowała pewną ociężałość umysłu. Było to złudne wrażenie, i o czym zdołał przekonać się niejeden dworzaniec. Dziwaczna broda – Muub pomyślał z ironią, że ekstrawagancki był sposób, w jaki została... hm, wyhodowana – skrywała oblicze, które miało w sobie coś ze szlachetnej fizjonomii ojca Horka, zwłaszcza gdy patrzyło się na świdrujące, intensywnie czarne oczy i kanciasty nos jego potomka. Jednakże rysy młodszego Horka ginęły w fałdach mięsistej twarzy i o ile Przewodniczący Komitetu Centralnego miał wygląd łagodnego, nieco sfatygowanego arystokraty, o tyle jego syn i dziedzic sprawiał wrażenie nieokrzesanego brutala, a wytworny ubiór jedynie podkreślał gwałtowność charakteru. Ale dzisiaj Hork junior wydawał się spokojny.

84

– A więc postanowiłeś przyłączyć się do mnie, Muub! – zawołał. – Bałem się, że ludzie będą mnie unikać. Medyk westchnął, zagłębiając się w kokon.

– Zbyt groźnie spoglądasz, panie – rzekł. – Odstraszasz wszystkich.

Hork prychnął.

– W takim razie do Pierścienia z nimi – oznajmił, bez oporów używając starożytnego przekleństwa. – A jak ty się miewasz, lekarzu? Wydajesz się trochę przygaszony.

Muub uśmiechnął się.

– Obawiam się, że jestem trochę za stary, żeby dać sobie radę z takim nawałem roboty. Kilka ostatnich dni spędziłem prawie wyłącznie w szpitalu. Jesteśmy... bardzo zapracowani.

– Ranni w wyniku Zaburzenia?

– Tak, panie. – Medyk otarł ręką wygoloną głowę. – Najgorsze chyba mamy już za sobą, a ściślej mówiąc, musieliśmy zrezygnować z zajmowania się poważnymi przypadkami, których nie potrafimy leczyć. Za to nieustannie napływają pacjenci z lżejszymi obrażeniami, które...

– Mniejszymi?

– Lżejszymi – Muub poprawił go stanowczo. – A to coś zupełnie innego. Rany nie zagrażają życiu, ale mogą oznaczać trwałe kalectwo. Dotyczy to, rzecz jasna, większości pacjentów ze środkowych dzielnic. Kiedy zawiodła Pierwsza Długość Geograficzna...

– Wiem – powiedział Hork, przygryzając wargę. – Nie musisz mi o tym mówić.

Pierwsza Długość Geograficzna była wstęgą kotwiczną, jednym z czterech toroidów nadprzewodnikowych opasujących kadłub Miasta, dzięki czemu utrzymywało ono stałą pozycję nad Biegunem Południowym. Pierwsza i Druga Długość Geograficzna były ustawione pionowo, natomiast bliźniacze Szerokości Geograficzne (Pierwszą i Drugą) umieszczono poziomo, tak że toroidy krzyżowały się ze sobą nawzajem.

Zaburzenie oszczędziło regiony podbiegunowe, włącznie z Parz. Jednakże w górnym rejonie jego oddziaływania, tam gdzie linie wirowe spletały się wokół Miasta, Pierwsza Długość

Geograficzna zawiodła. Drewniana metropolia grzechotała w swej nadprzewodnikowej klatce niczym schwytana świnia powietrzna. Przepływ prądu we wstędze kotwicznej szybko przywrócono i wpływ awarii na zewnętrzne części struktury – takie jak Grzbiet czy Pałac Komitetu – okazał się minimalny. Najpoważniejsze zniszczenia powstały w ukrytym wnętrzu Miasta, gdzie w pocie czoła harowały tysiące urzędników i rzemieślników.

– Czy mamy jakieś dane dotyczące liczby ofiar? Muub spojrział na Wiceprzewodniczącego.

– Dziwię się, że mnie pytasz o to, panie. Jestem lekarzem twego ojca, ale pełnię funkcję administratora tylko jednego szpitala z dwunastu w całym Parz.

Hork poruszył grubymi palcami.

– Wiem o tym. Dobrze, zapomnij o moim pytaniu. Chciałem tylko poznać twoją opinię. Problem polega na tym, że Zaburzenie zniszczyło agencje zbierające dla nas takie dane statystyczne. – Pokreślił głową; jego policzki zafalowały gniewnie. – Ludzie myślą, że zbieranie informacji jest czymś zbędnym, godnym politowania.

Luksusem. Podejrzewam, że nawet mój wysoce inteligentny ojciec podziela ten pogląd – dorzucił zjadliwie. – Ale prawda jest taka, że bez tego rodzaju danych rząd jest prawie niezdolny do działania.

Wielokrotnie próbowałem wyjaśnić to mojemu ojcu. Widzisz, doktorze, bez działań centralnego rządu państwo przypomina ciało pozbawione głowy. Nie możemy nawet pobierać wszystkich dziesięcin, a co dopiero asygnować pieniądze na wydatki. – Skrzywił się. – To sprawia, że dzisiejszy wielki Hołd wydaje się trochę bezcelowy, nie sądzisz, lekarzu?

Medyk kiwnął głową.

– Rozumiem, panie.

– Coś ci powiem, Muub – rzekł Hork, w dalszym ciągu nerwowo przygryzając owłosioną wargę. – Jeszcze jedno takie Zaburzenie i będziemy załatwieni.

Muub zmarszczył brwi.

– Co to znaczy „my”? Rząd, Komitet? Wiceprzewodniczący wzruszył ramionami.

– Na naszych farmach sufitowych, w hangarach prądnicowych i w Porcie nie brakuje krewkich zapaleńców... Chyba nie

ma sposobu, że wypłenić ten szkodliwy element. Łamanie kołem pozwala im wręcz na kreowanie męczenników. Lekarz uśmiechnął się.

– Bystra obserwacja.

Hork wybuchnął śmiechem, obnażając zadbane zęby.

– A ty jesteś starym protekcyjnym głupcem, wyzywającym los... Męczennicy. Jeszcze jedna subtelność ludzkiego postępowania,

która chyba umyka mojemu biednemu, nieobecnemu ojcu. – Teraz Hork przeszywał wzrokiem Muuba. Ten uświadomił sobie, że cofa się odruchowo. – Aty? – zagadnął go zastępca Przewodniczącego.

– Czy według ciebie w Powietrzu wisi rebelia?

Medyk namyślał się nad odpowiedzią. Wiedział, że podejrzenia nie dotyczą jego samego, ale zdawał sobie również sprawę, że

Wiceprzewodniczący – w przeciwieństwie do swojego ojca –

uważnie słucha tego, co się do niego mówi. Miał on setki informatorów rozsianych na terenie całego Parz i w głębi kraju.

– Nie, panie. Chociaż mnóstwo ludzi narzeka – i jest skłonnych obwiniać Komitet za naszą ciężką sytuację.

– A co, może sami sprowadziliśmy Zaburzenia na nasze głowy?

– Hork wykręcił się w kokonie; skórzany materiał pomarszczył się na jego masywnym ciele. – Wiesz, gdyby tylko to mogło być prawdą

– zastanawiał się. – Gdyby Zaburzenia były wywoływane przez ludzi i likwidowane na ich komendę. Ale naukowcy mówią nam –

powtarzając tę odrobinę mądrości, która przetrwała Reformację – że

plyw

człowiek pojawił się w Płaszczu za sprawą Ur-ludzi, a jego organizm zmodyfikowano tak, aby mógł tu przetrwać. Skoro kiedyś kierowaliśmy własnym losem w tak dużym stopniu, dlaczego nie mielibyśmy odzyskać tej kontroli? – Uśmiechnął się. – Lekarzu, co ty na to?

Muub odwzajemnił uśmiech.

– Masz bardzo bystry umysł, panie, lubię dyskutować z tobą na tego rodzaju tematy. Jednak wolę ograniczać swoją uwagę do spraw praktycznych. Do tego, co można osiągnąć.

Hork spojrzał na niego spode łba. Płecione rurki włosowe władcy zafalowały elegancko, przypominając medykwowi o jego własnej łysinie.

– Może. Ale nie zapominajmy, że taki był argument Refor-

87

matorów przed dziesięcioma pokoleniami. A ich czystki i zsyłki sprawiły, iż żyjemy w takiej ignorancji, że nawet nie jesteśmy w stanie oszacować, jakie spustoszenia poczynili... Tak czy owak, nie rewolty się obawiam, lekarzu. Chodzi mi raczej o sprawność samego rządu – to znaczy, o zdolność przetrwania naszego państwa, bez względu na to, kto zasiądzie na tronie mojego ojca. – Mężczyzna zwrócił ku medykwowi szeroką, nalaną twarz, wyrażającą rzadkie u niego wątpliwości. – Rozumiesz mnie, Muub? Mogę cię zapewnić, że niewiele osób mnie rozumie i na tym przeklętym dworze, i poza nim. Lekarz był, nie pierwszy raz, pod wrażeniem przenikliwości młodszego Horka.

– Być może obawiasz się, że Zaburzenia uniemożliwią istnienie zorganizowanego społeczeństwa, jakie żyje w Parz. Rewolty nie będą miały znaczenia. Cywilizacja upadnie sama.

– Dokładnie tak – odparł wiceprzewodniczący, niemal z wdzięcznością. – Nie będzie Miasta – nie będzie poborców dziesięcin, parków z kwiatami ze Skorupy, ani artystów i naukowców. Ani lekarzy. Zostaniemy zmuszeni, by udać się do nadpływu i polować na dzikie świny.

Muub wybuchnął śmiechem.

– Jest paru takich, którzy chętnie zrezygnowaliby z płacenia dziesięcin.

– Tylko głupcy, którzy nie są w stanie dostrzec korzyści. Kiedy wszyscy ludzie będą musieli nie tylko utrzymać swoje karłowate stado świni, ale także wykonać ręcznie każde narzędzie, niczym najbiedniejszy nadpływowiec... wtedy, być może, pomyślą o systemie podatkowym z nostalgią.

Medyk zmarszczył czoło i podrapał jeden z oczodołów.

– Sądziś, że przełom jest blisko?

– Jeszcze nie – odparł Hork. Chyba że Zaburzenia rzeczywiście nas zniszczą. Taka możliwość staje się coraz bardziej realna. A tylko głupiec zamyka oczy, żeby nie oglądać tego, co może się zdarzyć. Lekarz uświadamiał sobie, jakie pułapki kryje ta ostatnia uwaga, toteż odwrócił się i zaczął obserwować pełne kurzu, rozświetlone Powietrze Pali Małi.

88

– Widzę, że wprawiłem cię w zakłopotanie – burknął Hork.

– Daj spokój, Muub, nie zachowuj się jak ci cholerni, przypominający prosięta dworzanie. Doceniam rozmowę z tobą. Nie zamierzałem sugerować, że mój ojciec jest takim głupcem.

– ...Ale on raczej nie podziela twojego poglądu.

– Nie. Do licha. – wiceprzewodniczący potrząsnął głową.

– I nie chce dać mi władzy, żebym mógł coś z tym zrobić. To jest frustrujące. – Hork spojrzał na lekarza. – Słyszałem, że widziałeś go niedawno. Gdzie on przebywa?

Chyba sam powinieneś wiedzieć, pomyślał Muub.

– Jest w swoim ogrodzie na Skorupie. Oczywiście nie może oddychać rozrzedzonym Powietrzem, więc zazwyczaj przebywa w

plyw
samochodzie i patrzy na pracujących kulisów.
– Zatem jest zdrowy? Medyk westchnął.
– Twój ojciec jest starym człowiekiem, panie. Jest słaby. Ale rzeczywiście czuje się dobrze. Hork skinął głową.
– Cieszę się. – Zerknął na lekarza, usiłując rozpoznać jego reakcję. – Mówię szczerze, Muub. Jego działania niepokoją mnie, gdyż nie zawsze jestem pewien, czy zajmuje się najważniejszymi dla nas wszystkich sprawami, lecz jest przecież moim ojcem. A poza tym – dodał rzeczowym tonem – kryzys związany z przejściem rządów to doprawdy ostatnia rzecz, jakiej byśmy teraz chcieli. Z Galerii dobiegały odgłosy rozmowy. Wiceprzewodniczący pochylił się w swym kokonie.
– Co się dzieje? Muub wyciągnął rękę.
– Kobziarze ustawiają się w szyku.
Stu kobziarzy, ubranych w jaskrawe stroje, właśnie wychodziło z drzwi rozmieszczonych na całej długości Pali Mali i zajmowało pozycje, wyznaczając trasę parady. Najbliżej ustawieni muzycy – czterech, z których każdy znajdował się w pobliżu jednej ze ścian o złożonej zabudowie – byli jeszcze młodzi. Sprawnie podsycali ogień w małych piecykach, przymocowanych do pasów. Od piecyków odchodziły zwoje cienkich, zwężających się ku końcom rurek, które wiodły do szerokich, przypominających

89

kwiaty rogów z gładzonego drewna. Rogi sterczały nad głowami muzyków niczym rozdziawione paszcze lśniących drapieżników.
– Tam! – krzyknął Hork, pokazując aleję. Na jego rozpromienionej twarzy malowało się podniecenie, a jednocześnie zachłanność.
Medyk stłumił westchnienie, wychylił się do przodu i zmrużywszy oczy, usiłował wypatrzeć w oddali paradę świętującą Hołd: gorliwych, nieco otyłych obywateli, niosących wielkie snopy pszenicy, a także groteskowo utuczone świny powietrzne. Kobziarze naciskali klapy na piecykach. W każdym rogu Powietrze wirowało w skomplikowany sposób, powodując ciepłe drgania, które wydostały się z rogów w postaci donośnych dźwięków. Muub był całkowicie pozbawiony słuchu, toteż cały ten proces wydawał mu się dziełem magii.
W dole, na Rynku, tłum głośno ryknął.
Tobą Mixxax szarpnął lejce i wyjrzał przez okno auta.
– Mam zamiar zabrać go od razu do szpitala o nazwie „Wspólne Dobro”. To przyzwoity zakład. Prowadzi go osobisty lekarz Horka. Obok nich nieprzerwanym, chaotycznym strumieniem przełatywały szybkie samochody o różnych rozmiarach. Zaprzęgi świń wydzielały obłoki zielonego gazu. Głośniki ryczały. Tobą pokrzykiwał coś w odpowiedzi, ale przepuszczane przez wzmacniacze głosy były tak zniekształcone, że Dura nic nie rozumiała.
Wszystko wydawało jej się przerażające. Krążąc z Farrem za siedzeniem Mixxaxa i obserwując bezładny pęd uderzających o siebie drewnianych pudeł, przygryzała rękę, żeby nie krzyknąć. Jednakże Tobą Mixxax nie tylko skutecznie unikał kolizji, ale nawet posuwał się naprzód – powoli, ale naprzód – ku zapierającej dech w piersiach sylwecie Miasta.
– Oczywiście nie jest najtańszy. Mam na myśli „Wspólne Dobro”. – Tobą zaśmiał się głucho. – No, ale bądźmy szczerzy: nie będziecie mogli sobie pozwolić nawet na najtańszy, zatem równie dobrze możecie nie mieć pieniędzy na najdroższy.
– To co mówisz, niewiele znaczy – zauważyła Dura. – Może powinieneś się skupić na prowadzeniu samochodu.

90

Farmer pokręcił głową.
– Trzeba mieć moje szczęście, żeby wjechać do miasta z trzema nadpływowcami w dniu wielkiego Hołdu. Że też musiało się to

zdarzyć właśnie dzisiaj. I...

Dziewczyna przestała go słuchać. Usiłowała nie zwracać uwagi na chmarę rozpedzonych samochodów; chciała zobaczyć przede wszystkim Parz.

Już sam widok Południowego Bieguna Magnetycznego był interesujący. Ten potężny twór był gigantyczną rzeźbą składającą się z linii spinowych i Magpola. Linie wirowe niemal dokładnie odtwarzały kształt Magpola, toteż nietrudno było prześledzić krzywiznę pływ magnetycznego. W niczym nie przypominała łagodnej, opasującej Gwiazdę krzywizny ojczystych stron Dury, w dalekim nadpływie. Tutaj, w najbardziej wysuniętej części podpływu, zbiegały się linie wirowe z całego Płaszcz. Potem zanurzały się w masie Gwiazdy wokół samego Bieguna, tworząc lej Magpola i obrysowując je lśniącym, rozedrganym konturem.

Parz wisiało w Powietrzu tuż nad wlotem tego ogromnego leja, jakby kwestionując prawo do istnienia Bieguna.

Miasto przypominało szczupłą, uniesioną rękę. wieńczyła je zaciśnięta pięść. „Ręka” tworzyła drewniany grzbiet, który wykuwał się ku górze z leja wirowego Bieguna, natomiast „pięść” stanowiła skomplikowane zbiorowisko drewnianych budowli, które ciągnęły się na przestrzeni wielu tysięcy ludzi. „Pięść” otaczały cztery wielkie obrećce z jakiejś błyszczącej substancji

– Tobą nazywał je „wstęgami kotwicznymi”; dwie były ułożone pionowo, a dwie poziomo. Z „pięścią” łączyły je pale i podpory. s Parz tworzyło podziurawione drewniane pudło, zawieszane (między obrećcami. Na powierzchni pudła znajdowały się liczne potwory w kształcie elipsy albo prostokąta, przez które wlatywały •i wylatywały strumienie samochodów. Wyglądało to tak, jakby tmałe stworzenia żywiły się kosztem wielkiej bestii. Otwory po-łwiekszały się u podnóża Miasta: były rozdziawione jak usta, pncrczne i odpychające. Najwyraźniej tędy przekazywano duże ładunki. W jednym z otworów Dura zobaczyła pnie drzew, które wyładowywano z ogromnego konwoju.

Z dolnej części Parz nieustannie wypływały błyszczące, nie-

91

zwykle piękne strumienie, kończące bieg w Powietrzu. Tobą powiedział, że są to strumienie kanalizacyjne, rzeki odpadów produkowanych przez tysiące mieszkańców Miasta.

Podczas gdy auto kręciło się po Parz – Mixxax ryczał bełkotliwie do tuby głośnika, najwyraźniej usiłując znaleźć wolne wejście – Durze migały przed oczami dręczące obrazy skomplikowanych konstrukcji, warstw budynków w obrebie samego Miasta. Na jego szczycie znajdowały się budowle, które oszołomionej dziewczynie wydały się wspaniałe i eleganckie, w dodatku rosły między nimi małe drzewa skórupowe. Kiedy pokazała Tobie górny kompleks budynków, tylko się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

– To Pałac Komitetu – oznajmił. – Jeśli mieszka się tak wysoko na Górze, nie trzeba się liczyć z wydatkami...

Z licznych otworów sączyło się światło, które wypełniało całe Miasto i rzucało smugi na zakurzone Powietrze, tak że Parz otaczała bogata, zielonożółta iluminacja. Miasto było ogromne – Dura nie potrafiła ogarnąć go wyobraźnią – ale zarazem pogodne, pełne Powietrza, światła i ruchu. Na zabudowanych terenach krążyły tłumy ludzi, a wokół wież Pałacu przepływały strumienie aut powietrznych. Nawet na „Grzbiecie” (tak nazywał to Tobą) – „ramieniu” poniżej Miasta-pięści, wygiętym ku dołowi, w kierunku Bieguna – znajdowały się małe wozy, które nieustannie sunęły to w jedną, to w drugą stronę po specjalnie zamontowanych linach.

W miarę jak się zbliżali, Miasto rosło w oczach. W końcu osiągnęło takie rozmiary, że jego panorama przestała się mieścić w okienku auta. Durę przytłaczało bogactwo i stopień komplikacji szczegółów. Przypominała sobie, z osobliwą nostalgią, jakie

plyw

nauczyła się panować nad strachem i nawet odnosiła wrażenie, że kontroluje tego słabowitego dziwaka, Tobę Mixxaxa. Jednakże teraz miała do czynienia z dziwactwem na niewyobrażalnie większą skalę. Czy kiedyś będzie w stanie pogodzić się z tym wszystkim? Czy jeszcze uda jej się być panią własnego losu, nie mówiąc o wpływaniu na wydarzenia wokół siebie?

Najwyraźniej na jej twarzy pojawiły się oznaki zdenerwowania, gdyż Tobą uśmiechnął się do niej życzliwie.

92

– To musi być przytłaczające – powiedział. – Czy wiesz, jak duże jest Parz? Ma dziesięć tysięcy ludzi szerokości. I to nie cząc Grzbietu. – Małe auto wciąż sunęło ostrożnie wokół Ilasta niczym bojaźliwe prosiątko rozglądające się za wymię-iem. Tobą pokręcił głową. – Założę się, że taka liczba zrobiłaby rażenie nawet na Ur-ludziach. Przecież to prawie centymetr...

Auto wreszcie wjechało do wąskiego, prostokątnego wlotu, ' którym –jak się wydawało Durze – już i tak panował spory ich. Samochód sunął w głąb drewnianego cieślska ciasnym kolarzem – tak zwaną „ulicą”, gdzie roiło się od wozów i ludzi. (bywatele Parz nosili grubą, ciężką, jaskrawą odzież i w ogóle nie bali się strumieni samochodów. Dura nie odnosiła już wraże-ia, że Miasto jest przewiewne i sympatyczne. Otoczyły ją ściany, uto podążało zaś coraz głębiej w lepką ciemność.

W końcu dotarli do otworu w ścianie ulicy – był to wlot prowadzący do jaśniejszego miejsca. Tobą powiedział, że są przed /ejściemdo szpitala. Durapatrzyławmilczeniu, jak Mixxax sprawuje pokonuje ostatecznie strumienie ruchu ulicznego i ostrożnie arkuje pod gmachem. Kiedy auto zatrzymało się na podłodze wypolerowanego drewna, farmer zawiązał lejce, opuścił fotel przeciągnął się w Powietrzu.

Farr spojrział na niego zdziwiony.

– Jesteś zmęczony? Przecież to świnię wykonały całą robotę.

Tobą wybuchnął śmiechem i zwrócił podkrążone oczy na nłodziencia.

– Nauczysz się prowadzić, chłopcze, to będziesz wiedział, o to jest zmęczenie. – Popatrzył na Durę. – Tak czy owak, eraz zaczyna się trudniejsza część. Chodź, będę cię potrzebował, kładając wyjaśnienia.

Mixxax wyciągnął rękę do drzwiczek auta. Kiedy je odblokował, dziewczyna odskoczyła nerwowo, jakby spodziewając się [olejnej gwałtownej zmiany ciśnienia. Drzwiczki otworzyły się rynn timer, niemal bezszelestnie i do wnętrza samochodu wtargnęła fala ciepła. Dura czuła klucie w oziębionych nadciękłych naczy-nach włosowatych, które nagle otwierały się w całym jej cieles.

Tobą wyprowadził rodzeństwo z samochodu, przechodząc

93

sztywno przez drzwi. Dura położyła ręce na ich krawędzi, podciągnęła się i nagle runęła do przodu. Wyrznęła twarzą w plecy mężczyzny tak mocno, że zabołał ją nos.

Tobą zachwiał się w Powietrzu.

– Hej, spokojnie. Po co ten pośpiech?

Dura przeprosiła go i niepewnie zerknęła na swoje ręce. O co w tym wszystkim chodziło? Ostatni raz zdarzyło jej się tak błędnie ocenić własne siły, kiedy była dzieckiem. Miała wrażenie, że nagle stała się niesamowicie silna... albo lekka jak dziecko. Czuła się niezdarńie; zatraciła poczucie równowagi i nie mogła znieść przytłaczającego upału.

Jej pewność siebie jeszcze bardziej zmalała. Potrząsnęła głową. Była poirytowana i wystraszona. Usiłowała wymazać z pamięci ten drobny incydent.

Hala przy szpitalu stanowiła półkulę o szerokości pięćdziesięciu ludzi. Unosiło się tu kilkadziesiąt aut, przeważnie pustych i bez

plyw

zaprzęgów: elementy uprząży i postronki bezwładnie zwisały w Powietrzu. Część pomieszczenia została odgradzona siatką i służyła jako zagroda dla świń. Z auta, które było o wiele większe od wozu Toby, akurat wyładowywano pacjentów: rannych, a nawet takich, którzy wyglądali jak trupy. Podobnie jak Adda, poszkodowani byli w kokonach. Kierował tym wysoki, bezwłosy mężczyzna w długiej, wspaniałej szacie. Ludzie – wszyscy ubrani – poruszali się między samochodami. Śpieszyli się, na ich twarzach malował się tajemniczy niepokój. Kilku znalazło jednak chwilę, żeby spojrzeć z zaciekawieniem na Durę i Farra.

Ściany z gładzonego drewna były tak czyste, że lśniły, odbijając wykrzywione obrazy krzątający w pomieszczeniu. Wydrążono w nich szerokie szyby, które wpuszczały jasne Powietrze z zewnątrz do hali przeładunkowej. Potężne, pozbawione obręczy koła – Tobą nazywał je wiatrakami – wirowały w szybach, powodując swobodny przepływ Powietrza.

Dura oddychała powoli, oceniając jakość Powietrza. Było świeże, ale wilgotne i ciepłe, przesycone odorem-świńskich fotonów. Jednakże wyczuwała coś jeszcze – zapach, który wydawał się znajomy, a zarazem dziwny, jakby niezbyt tu pasujący...

94

Ludzie.

No właśnie. Powietrze wypełniał wszechogarniający, stęchły dór ludzi. Dura miała wrażenie, iż znowu jest małą dziewczynką, siedzącą w środku Sieci, otoczoną pocącymi się ciałami dorosłych i innych dzieci. Było jej gorąco. Ogarniała ją klaustro-obia. Nagle uświadomiła sobie, że tu, w Mieście, otaczają więcej ludzi, niż dokonało żywota w jej małym plemieniu Istot Ludz-ich od kilku pokoleń. Czuła się obnażona, nie pasowała do tego oiejsca.

Mixxax dotknął jej ramienia.

– Chodź – rzekł niecierpliwie. – Wyciągniemy nosze z samochodu, a potem znajdziemy kogoś...

– No, no. Co my tutaj mamy? – odezwał się ktoś schrypnię-ym, rozbawionym głosem, z takim samym nienaturalnym akcentem, jakim mówił Tobą.

Dura odwróciła się. Zbliżyli się do nich dwaj mężczyźni, 'alując sztywno w Powietrzu. Byli niscy i klocowaci!. Mieli na tobie identyczne uniformy z grubej skóry. Nieśli ze sobą zwinięte pejczy, a skórzane maski zniekształcały to, co mówili, i uniemożliwiały zobaczenie ich twarzy.

Oczy tych anonimowych osób wpatrywały się w Durę i Farra.

Dziewczyna opuściła ręce do bioder. Sznur, który zabrała na wlewanie, nadal owijał ją w pasie. Czuła lekki dotyk noża skrobaczki, które zatknęła za sznur na plecach. Obecność znaniomych przedmiotów nieco ją pocieszyła, ale uświadomiła sobie, że z wyjątkiem małego noża cała jej broń nadal znajdowała się w samochodzie.

Grupie, bardzo głupie; co by na to powiedział Logue? Cofnęła się, usiłując dostać się do samochodu.

– Panowie, jestem Obywatel Mixxax – odezwał się Tobą. –

Wiozę pacjenta do szpitala. I...

Strażnik, który zagadnął ich wcześniej, przerwał farmerowi.

– Gdzie jest ten pacjent?

Tobą pokazał mu auto. Mężczyzna podejrzliwie zajrzał do środka.

Potem wysunął głowę z samochodu, wyraźnie marszcząc nos pod maską.

, – Nie widzę tu pacjenta. Widzę nadpływowca. A tutaj... –

bomachał ręką pejczya w kierunku Dury i Farra – widzę

95

dwóch kolejnych nadpływowców. A także świńskiego dupka w kałesonach. Ale nie ma tu żadnych pacjentów.

– To prawda – cierpliwie odparł Tobą – że ci ludzie są z nadpływu. Ale ten stary jest poważnie ranny, a...

plyw

- To jest szpital - rzekł obojętnie strażnik - nie jakiś cholerny ogród zoologiczny. Dlatego wyprowadź stąd te zwierzęta. Mixxax westchnął i rozłożył ręce, najwidoczniej usiłując znaleźć odpowiednie słowa.

Zamaskowany mężczyzna zaczął tracić cierpliwość. Wyciągnął rękę i szturchnął Dura w ramię odzianym w rękawicę palcem.

- Powiedziałem, że masz ich stąd zabrać. Nie będę mówił... Farr ruszył naprzód.

- Przestań - rzekł, a następnie z pozoru delikatnie pchnął strażnika.

Mężczyzna poleciał do tyłu i w końcu zderzył się z wykładaną drewnianymi płytami ścianą. Jego pejcz podążył za nim.

Farr cofnął się. Popatrzył na swoje ręce z bezgranicznym zdumieniem.

Drugi strażnik zaczął rozwijać rzemienie pejcza.

- No cóż - powiedział. - Może kilka obrotów koła pomoże ci zrozumieć, gdzie jest twoje miejsce, chłopcze.

- Posłuchaj, sprawa zaczyna się komplikować - rzeki Tobą. - Nie chciałem, żeby to wszystko się stało. Proszę. Ja...

- Zamknij się!

Dura zacisnęła pięści, gotowa do ataku. Nie miała wątpliwości, że wespół z Farrem dałaby radę temu mężczyźnie, bez względu na jego skórzaną zbroję - zwłaszcza że wszystko wskazywało, iż nabrali tutaj nowej, ogromnej siły. Oczywiście, w Parz nie istnieli tylko ci dwaj strażnicy; oczyma wyobraźni widziała sto mrocznych, ponurych dróg, którymi mogły podążyć zdarzenia kilku najbliższych minut - rozkwitały one przed nią niczym kwiaty Skorupy... Ale przynajmniej teraz mogła wpłynąć na przebieg wydarzeń.

Strażnik zamierzył się pejczem na jej brata. Wyciągnęła nóż, przygotowując się do skoku...

- Czekaj. Przestańcie natychmiast.

Dura odwróciła się powoli. Strażnik zaczął opuszczać pejcz.

96

w ich kierunku falował mężczyzna, który nadzorował rozładunek dużego samochodu. Wysoki, władczy, ubrany w wytworną, ale poplamioną szatę. Dziewczyna odnotowała ze zdumieniem, że nie miał na głowie rurek włosowych.

Uświadomiła sobie, że Tobą cofa się, kuląc ze strachu. Strażnik popatrzył na rodzeństwo wygłodniałym, sfrustrowanym wzrokiem.

- Kim jesteś? Czego chcesz? - zapytała Dura. Nowo przybyły zmarszczył brwi. Oceniała, że był mniej więcej wieku Logue'a.

- Kim jestem? Od dawna mnie o to nie pytano. Nazywam się Muub, moja droga. Jestem administratorem tego szpitala. - Spoglądał na nią z zaciekawieniem. - A ty jesteś nadpływowcem, prawda?

- Nie - odparła. Nagle to słowo wzbudziło w niej obrzydzenie.

- Jestem Istotą Ludzką. Uśmiechnął się.

- Rzeczywiście. - Zerknął na strażników, a potem zwrócił się do Mixxaxa. - Obywatelu, co się tutaj dzieje? Nie podoba mi się, że zakłócasz pracę szpitala. I bez tego mamy wystarczająco dużo problemów.

Tobą ukłonił się. Wydawało się, że drży. Zakrył rękami przednią część ciała, jakby nagle zaczął się wstydzić swojej bielizny.

- Tak, panie, przepraszam. Nazywam się Tobą Mixxax.

Prowadzę farmę sufitową mniej więcej trzydzieści metrów od nadpływu...

- Mów dalej - rzekł łagodnie Muub.

- Znalazłem rannego nadpływowca... rannego człowieka.

Przywiozłem go ze sobą. Jest w samochodzie.

Muub zmarszczył czoło. Poszybował do auta i przecisnął głowę oraz ramiona przez wejście. Dura zauważyła, że administrator przygląda się Addzie. Sprawiał wrażenie zafascynowanego

włócznie i sieciami Istot Ludzkich, które posłużyły do sporządzenia prowizorycznych łubków.

Starzec otworzył jedno oko.

– Odczep się – szepnął do Muuba. Administrator popatrzył na Addę tak, jakby miał przed oczami pijawkę albo rozgniecionego pająka.

97

W chwilę później Muub wycofał się z samochodu.

– Ten człowiek jest poważnie ranny. Prawe ramię...

– Wiem, panie – odparł Tobą żałośnie. Właśnie dlatego pomyślałem, że...

– Do licha, człowieku – przerwał mu administrator szpitala tonem, w którym nie wyczuwało się nieuprzejmości. – Jak sądzisz, czym ci zapłaca? Przecież to nadpływowcy!

Tobą zwiesił głowę.

– Panie – odparł drżącym, ale stanowczym głosem. – Przecież jest Rynek. Zarówno kobieta, jak i chłopak są silni i sprawni. I przyzwyczajeni do ciężkiej pracy. Znalazłem ich przy Skorupie. Pracowali w warunkach, których nie zniosłby żaden kulis. – Umilkł. Cały czas odwracał głowę od Dury i Farra.

Muub wytarł brudne palce o szatę i spojrzął zamyślony na samochód. Po dłuższej przerwie powiedział łagodnie:

– W porządku. Wnieś go do środka. Obywatelu Mixxax... Straż, pomóżcie mu. Przyprawdź też kobietę i chłopaka. Nie spuszczaaj z nich oka. Jeżeli będą się błąkać samopas albo spowodują zator, ty będziesz za to odpowiadał.

Mixxax nie miał już tak strasznie zbolątej miny.

– Tak, panie. Dziękuję.

Do hali przeładunkowej dotarł następny samochód. Zapewne przywiózł kolejnych pacjentów. Muub oddalił się, falując. Poczucie obowiązku przysłonięte znużeniem małowalo się na jego twarzy.

Tobą niechętnie zaoferował Durze i Farrowi gościnę w swoim domu w Mieście, podczas gdy Adda przebywał w szpitalu. Z początku dziewczyna nie chciała się na to zgodzić, ale Tobą spojrział na nią rozpaczliwie.

– Nic innego nie możecie zrobić – rzekł. – Uwierzcie mi.

Gdybyście mieli wybór, powiedziałbym wam o tym. Ja muszę z kolei wrócić do swoich obowiązków. Posłuchajcie, nie macie dokąd pójść, nie macie pieniędzy, nie macie nawet ubrań.

98

– Nie potrzebujemy niczyjej łaski.

– Szlachetny dzikus – odparł ironicznie Tobą. – Wiesz, po jakim czasie zostalibyście uznani za włóczęgów? Widzieliście strażników w szpitalu. Ci ze szpitala są specjalnie dobierani na podstawie tego, czy potrafią być życzliwi dla pacjentów. Włóczędzy nie cieszą się sympatią. Jak to się mówi: „Nie płacisz Komitetowi dziesięciny, nie zaznasz spokoju na ulicach Mieściny”. Ani byście się obejrzeli, już bylibyście na zarządzanej przez Komitet farmie sufitowej, gdzie zmuszano by was do pracy albo czegoś jeszcze gorszego. Kto wtedy zapłaciłby rachunki biednego starego Addy? Dura zrozumiała, że naprawdę nie ma wyboru. Pomyślała, że powinna być wdzięczna temu drażliwemu człowieczkowi. Gdyby nie zaproponował im noclegu, mogliby się znaleźć w prawdziwych kłopotach. Dlatego kiwnęła głową i usiłowała, zmieszana, wyrazić jakieś podziękowanie.

– Och, po prostu wsiadajcie do auta – rzekł Tobą. Zabrał ich spod szpitala i wiózł przez wciąż zatłoczone arterie Parz. Dura miała wrażenie, że ulice – wykładane drewnem korytarze rozmaitej szerokości – tworzą oszalałamający labirynt. Po kilku zakrętach zupełnie straciła orientację. Wszędzie widziała samochody i ludzi. Zaprząg świń powietrznych Toby niejednym raz zderzał się z innymi uczestnikami ruchu, przez co kierowca musiał ściągać lejce. Dookoła rozbrzmiewały głosy wzmocnione megafonami. Tu, w Mieście, Mixxax jechał z otwartymi drzwiami. Powietrze na ulicach było pełne

plyw

zgiełku, gęste, gorące, przesiąknięte odorem ludzi i świń powietrznych. Przez tumany kurzu ; i zielone obłoczki wiatroodrzutów przeświecały jasne smugi.

Po pewnym czasie zostawili za sobą najbardziej zatłoczone ' ulice i wlecieli w nieco spokojniejszy rejon – mniej było tu rozpedzonych samochodów i skowyczących świń. Szerokość 1 uhc-korytarzy uległa zwiększeniu, a po obu stronach znajdowały 1 się szeregi równych okien i drzwi prowadzących do małych mieszkań. Mieszkania z pewnością budowano identyczne, ale różniły się między sobą dzięki wysiłkom ich właścicieli, którzy stawiali w oknach kuliste kosze z małymi roślinami, rzeźbili drzwi i wprowadzali inne drobne innowacje. Liczne rzeźbione

99

sceny przedstawiały Płaszcz na zewnątrz Miasta. Dura rozpoznawała linie wirowe, drzewa Skorupy, ludzi wesoło falujących przez czyste Powietrze. Dziwiła się, że ludzie, wciąż tęskniący za dużymi przestrzeniami, zamykali się w takim dusznym pudełku z drewna. Tobą ściagnął lejce i poprowadził auto płynnie przez szeroki, otwarty portal do miejsca, które nazywał „parkingiem”. Zwolnił.

– Koniec trasy. – Dura i Fair spoglądali na niego w osłupieniu.
– No, jazda. Wychodźcie. Niestety, odtąd będziecie musieli falować. Parking był dużym, obskurnym pomieszczeniem o ubrudzonych świńskimi odchodami i poobijanym na skutek wielokrotnych kolizji ścianach. Znajdowało się w nim kilka pustych samochodów, wiszących w Powietrzu, a kilkadziesiąt świń tłoczyło się w sporej zagrodzie, otoczonej niezbyt mocno napiętą siatką. Dura zauważyła, że zwierzęta wydają się dość zadowolone. Powoli wdrapywały się jedno na drugie i przeżuwały błogo kawałki karmy, unoszącej się w Powietrzu.

Tobą zdjął swoim świniom uprząż i poprowadził je do zagrody. Przepychał zwierzęta po kolei pod uniesioną siatką, za każdym razem szczelnie zamykając ją za sobą.

Kiedy skończył, wytarł ręce o krótkie kalesony.

– Gotowe. Niedługo ktoś tu przyjdzie, żeby je nakarmić i oczyścić. – Pociągnął nosem, zerkając na niechlujne ściany parkingu.
– Okropnie tu, co? Nie uwierzylibyście, ile wynoszą kwartalne opłaty. Ale co można zrobić? Odkąd weszły w życie przepisy ograniczające parkowanie na ulicach, znalezienie wolnego miejsca graniczy z niemożliwością. Oczywiście, wiele osób wcale się tym nie przejmuje...

Dura usiłowała nadażać za wątkiem. Jednak przeważająca część tego, co mówił Tobą, była dla niej niezrozumiała, poza tym – takie odnosiła wrażenie – nie zawierała zbyt dużo istotnych informacji.

Po chwili, nie doczekawszy się reakcji milczących, tępo wpa-trzonych w niego Istot Ludzkich, Mixxax dał za wygraną. Wy-prowadził swoich towarzyszy z parkingu na ulicę.

Rodzeństwo podążało za gospodarzem krętymi ulicami. Fa-
100

Iowanie sprawiało tutaj osobliwą trudność. Być może Magpole nie było aż tak silne jak na zewnątrz. Dura uświadamiała sobie obecność ludzi dookoła – obcych osób za dziwacznie jednolitymi przejściami i oknami. Od czasu do czasu widziała wychudzone twarze, zerkające na nią i Farra. Miała wrażenie, że spojrzenia mieszkańców Parz wwiercają się w jej plecy. Musiała walczyć z chęcią odwrócenia się i zmierzenia z niewidzialnymi pogroźkami. Nie spuszczała wzroku z brata, który nie wydawał się prze-straszony tak bardzo jak ona. Rozglądał się, wytrzeszczając oczy, jakby wszystko wokół niego było wyjątkowe i nieskończenie fascynujące. Jego nagie kończyny i pełne wdzięku, intensywne falowanie nie pasowały do tej ciasnej, nieco zaniedbanej ulicy. Po kilku minutach Tobą zatrzymał się przy drzwiach, które nie różniły się prawie niczym od setki innych.

plyw

– Mój dom – wyjaśnił, jak gdyby usprawiedliwiając się. – Nie jest położony tak wysoko w Górze, jakbym sobie życzył, ale mimo wszystko to mój dom. – Pogrzebał w kieszeni swoich kalesonów i wyciągnął mały, wymyślnie rzeźbiony przedmiot z drewna. Włożył tę rzecz do dziury w drzwiach, przekręcił, a potem popchnął drzwi, które się otworzyły. Z wnętrza domu napłynął zapach gorącego jedzenia i zielonkawego światło drewnianych lamp.

– Ito! – zawołał Mixxax.

Do drzwi natychmiast zbliżyła się jakaś kobieta. Była pulchna i dość niska, z włosami upiętymi z tyłu. Miała na sobie luźny kostium z jaskrawego materiału. Dura odniosła wrażenie, że jest ona jej rówieśniczką, aczkolwiek, co dziwiło córkę Logue'a, kobieta nie miała pozótkłych włosów.

Pulchna dama uśmiechnęła się do Toby, ale na widok nadpływowców natychmiast zrzędzła jej mina.

Mężczyzna splótł ręce.

– Ito, muszę ci coś wytłumaczyć... Bystre oczy Ito omiatały ciała Istot Ludzkich, ich nagość, zmierzwiłone włosy i ręczną broń.

– Faktycznie, musisz – odparła.

101

Dom Toby był drewnianym pudłem szerokim na mniej więcej dziesięciu ludzi, podzielonym lekkimi przegrodami i kolorowymi kocami na pięć małych izb. W każdym pokoju świeciły małe lampy z rozżarzonego reakcjami jądrowymi drewna.

Tobą pokazał Istotom Ludzkim miejsce do mycia – w pomieszczeniu znajdowały się zsypy na odpadki i kuliste miski z pachnącym sukrem. Pozostawieni w tym dziwnym pokoju, Dura i Fair usiłowali skorzystać ze zsyków. Dziewczyna pociągnęła dźwignienki zgodnie z instrukcją Mixxaxa i odchody rodzeństwa zniknęły w bulgoczących rurach, skąd miały się przedostać do tajemniczych wnętrzości Miasta. Brat i siostra zaglądali do zsyków z rozdziawionymi ustami, pragnąc zobaczyć ich dno.

Kiedy było już po wszystkim, Tobą zaprowadził ich do pokoju w centralnej części domku. Główną ozdobą była tu unosząca się w środku izby drewniana kula. Na jej powierzchni znajdowały się uchwyty, a ponadto wydrążono w niej wgłębienia, w które dałoby się wsunąć pięść. Ito – przebrana w lżejszą, powłóczystą szatę – nakładała do nich chochlą jakąś gorącą, trudną do zidentyfikowania strawę. Uśmiechnęła się do rodzeństwa, ale mocno zaciskała wargi. W pokoju był też trzeci członek rodziny – syn Toby, przedstawiony przez niego jako Cris. Wydawał się trochę starszy od Farra. Obaj chłopcy patrzyli na siebie z nie skrywaną, życzliwą ciekawością. Dura odniosła wrażenie, że Cris jest lepiej umięśniony niż większość mieszkańców Miasta. Jego włosy były długie; szybowały, upstrzone żółtymi plamkami, jakby przedwcześnie postarzałe. Ponieważ jednak jaskrawy kolor zachowywał nasycenie nawet w słabym świetle lampy, dziewczyna doszła do wniosku, że syn Mixxaxów po prostu je pomalował.

Ito zaprosiła nadpływowców do kulistego stołu. Dura – wciąż naga, z nożem za pasem – czuła się wielka, niezdarna i brzydka w tym przytulnym, niedużym pomieszczeniu. Cały czas była świadoma siły swoich mięśni, większej w pobliżu Bieguna; musiała się hamować, bała się dotknąć czegokolwiek albo poruszyć zbyt szybko, gdyż mogłaby coś rozbić.

102

Naśladowując Tobę, wpychała jedzenie do ust za pomocą małych przyrządów z drewna. Potrawa była gorąca i mocno przyprawiona; Dura jeszcze nigdy nie kosztowała czegoś takiego. Już na początku uczyt przekonana była, że jest strasznie głodna – właściwie poza kilkoma kawałkami chleba, którymi Mixxax częstował Addę podczas długiej podróży do Miasta, nie jadła od nieszczęsnego polowania. Pomyślała, że od tamtego wydarzenia upłynęło mnóstwo czasu!

Jedli w milczeniu.

Po posiłku Tobą zaprowadził rodzeństwo do jednego z narożnych pokoików. Jedyna lampa w pomieszczeniu rzucała długie cienie, a w poprzek izdebki były zawieszony dwa szczelne kokony.

– Wiem, że jest tu ciasno, ale powinno starczyć miejsca dla dwóch osób – powiedział. – Mam nadzieję, że będzie wam się dobrze spało.

Dwie Istoty Ludzkie wgramoliły się do kokonów. Dura z przyjemnością otuliła się miękkim, ciepłym materiałem.

Tobą Mixxax wyciągnął rękę do lampy, ale zawahał się.

– Chcecie, żebym zgasił lampę?

Jego pytanie zdziwiło dziewczynę. Rozejrzała się dookoła.

Oczywiście w tak głęboko położonej części Parz nie istniały przewody świetlne ani dostęp do wolnej przestrzeni rozświetlonego Powietrza.

– Ale wtedy będzie ciemno – rzekła powoli.

– Tak... My śpiamy po ciemku.

Dura jeszcze nigdy w życiu nie przebywała w ciemności.

– Dlaczego?

wydawało się, że zbiła Tobę z tropu.

– Nie wiem... Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. – Cofnął rękę i uśmiechnął się do swoich gości. – Śpijcie dobrze. – Szybko zafalował i opuścił pokój, starannie zamykając za sobą drzwi.

Wiercąc się w kokonie, Dura odwinęła sznur, którym była opasana, i luźno owinęła nim jeden z końców legowiska. Następnie przywiązała nóż, tak żeby móc go dosięgnąć w razie potrzeby. Wcisnęła się głębiej w kokon, wsuwając do niego ramiona. Jeszcze nigdy nie była tak dokładnie owinięta; czuła się dziwnie, ale bardzo wygodnie.

103

Zerknęła na Farra. Chłopak już spał z głową opuszczoną na piersi. Nagle ogarnęła ją opiekuńcza czułość. Uświadomiła sobie jednak, że jej brat jest spragniony tego uczucia w mniejszym stopniu niż ona sama.

Przyjmował wszystkie cuda i tajemnice tego dziwnego miejsca z elastycznością i otwartością, na które ona nie potrafiła się zdobyć.

Westchnęła i usiłowała podtrzymać w sobie zanikającą potrzebę chronienia innych. Opieka nad bratem, przynajmniej symboliczna, pozwalała jej zapomnieć, że sama czuła się osamotniona i zagrożona. Zасыpiając, pomyślała, że może to ona bardziej potrzebuje Farra niż on jej. W pokoju panowała cisza, która kontrastowała z hałasami dochodzącymi zza ściany. Dura słyszała szept Toby i momentami piskliwy głos Crisa, a potem odnosiła wrażenie, że sfera jej świadomości rozszerza się i wykracza poza ten jeden dom. Słyszała ciche owadzie pomruki tysięcy istot, które ją otaczały, tworząc ogromny ul wypełniony ludźmi. Drewniane ściany lekko skrzypiały, na przemian rozszerzając się i kurcząc. Czuła, że wokół niej oddycha całe Miasto.

Nagle zrobiło się gorąco, w dodatku kokon krępował jej ruchy.

Niecierpliwie wyciągnęła ramiona, żeby poczuć powiew nieco chłodniejszego Powietrza. Potrzebowała dużo czasu, żeby zasnąć.

Następnego dnia Ito wydawała się nieco życzliwsza. Nakarmiwszy gości, oznajmiła im:

– Mam dzisiaj wolny dzień.

– Gdzie pracujesz? – zapytała Dura.

– W warsztacie, zaraz za Pali Mali. – Ito uśmiechnęła się. Już sama myśl o pracy wywoływała zmęczenie na jej twarzy. – Buduję wnętrza samochodów. I cieszę się, że mam troszkę wolnego czasu. Zdarza się, że pod koniec zmiany nie mogę domyć palców, tak by nie śmierdziały drewnem...

Dura słuchała jej uważnie. Rozmowy ludzi w Mieście przypominały skomplikowaną zagadkę. Zastanawiała się, jak rozwikłać to, czego nie pojmuje.

– Co to jest ta jakaś Pali Mali? Cris wybuchnął śmiechem.

plyw

- To nie jest jakaś Pali Mali! To po prostu... Pali Mali.

104

Ito uciszyła go.

- To ulica, kochanie, główna ulica prowadząca od Pałacu na Rynek... To wszystko musi być dla ciebie bardzo dziwne. Może pójdziemy na zwiedzanie razem?

Dura niepewnie zerknęła na Tobę. Ten kiwnął głową.

- Idź. Ja muszę wrócić na swoją farmę, lecz ty masz sporo czasu. Adda będzie gotowy na przyjęcie gości dopiero za kilka dni, a Cris może się zaopiekować Farrem.

Ito spojrzała z powątpiewaniem na gołe ręce i nogi Dury.

- Ale chyba nie powinnaś iść w takim stroju. Nagość może być dobrym sposobem szokowania, ale chyba nie na Pali Mali.

Ito pożyczyła dziewczynie z nadpływu jednoczęściowy kombinezon z jakiegoś miękkiego, elastycznego materiału. Kiedy jednak Dura zapięła przednią część ubioru, poczuła skrępowanie, wręcz klaustrofobię, pomimo iż kombinezon był miękki i wygodny. Zafalowała w pokoju na próbę. Materiał szeleścił w zetknięciu ze skórą, a szwy utrudniały swobodne poruszanie.

Po chwili namysłu opasała się podniszczonym kawałkiem sznura, a drewniany nóż i skrobaczkę włożyła do kombinezonu. Dotykanie znajomych przedmiotów dawało jej poczucie bezpieczeństwa.

Cris patrzył na kobietę, uśmiechając się sceptycznie.

- Nóż nie będzie ci potrzebny. To przecież nie jest nadpływ.

Ito znowu go uciszyła. Dwoje dorosłych litościwie powstrzymywało się od komentarzy.

Kobiety zostawiły Farra z Crisem i opuściły dom wraz z Tobą.

Podeszli do samochodu, który czekał na „parkingu”. Dura pomogła mężczyźnie zaprząć wypoczęte świnię z chlewika.

Szybowali autem przez nowy labirynt nieznanymi ulic. Wkrótce zostawili za sobą cichą dzielnicę mieszkaniową i dotarli do zatłoczonych rejonów w centrum. Dura usiłowała zapamiętać trasę, ale ponownie przekonała się, że to niemożliwe. Zazwyczaj orientowała się według charakterystycznych elementów Płaszcz: linii wiro-; wych, Bieguna, Morza Kwantowego. Podejrzewała, że dzieci z Parz Imają wrodzoną umiejętność orientowania się w tym gąszczu drewnianych korytarzy, lecz ją samą czekało wiele miesięcy nauki.

| Samochód dotarł do najszerszych alei. Ich ściany – szerokie vaa co najmniej stu ludzi – były wysadzone latarniami, emitują-

105

cymi zielone światło, oraz wymyślnymi oknami i korytarzami. Tobą wydostał się z jednego z pasów ruchu i ściągnął lejce.

- Jesteśmy na miejscu – oznajmił. – Pali Mali. – Ucisnął żonę. – Ruszam na farmę. Wrócę za kilka dni. Bawcie się dobrze...

Ito wyprowadziła Durę z samochodu. Dziewczyna z nadpływu w chwilę później patrzyła niepewnie, jak auto włącza się do ruchu.

Córka Logue'a nigdy przedtem nie widziała tak ogromnej zamkniętej przestrzeni. Z pewnością miała przed sobą największą aleję w całym Mieście. Był to potężny, pionowy korytarz zatłoczony autami i ludźmi, pełen hałasu i światła. Obie kobiety trzymały się blisko ściany, której okna były pięknie ozdobione i pokryte napisami.

Dura widziała za nimi sterty różnokolorowych ubrań, torby, skrobaczki, butelki i klosze, wymyślnie rzeźbione lampy i pięknie wykonane przedmioty, których nawet nie rozpoznawała. Na ścianę wdrapywały się, niczym stado wygłodniałych zwierząt, setki podekscytowanych ludzi, którzy rozmawiali ze sobą nawzajem, a jednocześnie przepychali się przez drzwi.

Ito uśmiechnęła się.

- Sklepy – powiedziała. – Nie przejmuj się tym ścisaniem. Tu zawsze tak jest.

Wszystkie cztery ściany alei były wysadzone „sklepami”. Przed oczami Dury, w odległości co najmniej stu ludzi, rozciągała się bogata

plyw

panorama barw i nieustającej aktywności ludzkiej, trochę niewyraźna z powodu zapyłonego Powietrza. Lśniły tam ustawione w szeregach latarnie, a z okrągłych kanałów wydostawały się smugi światła. Pali Mali kipiała od ruchu. Z początku dziewczynie wydawało się, że liczne ryczące samochody przemieszczają się chaotycznie, ale powoli odkrywała ogólne zasady poruszania. Istniało kilka pasm ruchu, równoległych do ścian alei. Co pewien czas jakiś samochód dokonywał niebezpiecznego, zdaniem Dury, manewru – skręcał z jednego pasa na drugi albo zjeżdżał z Pali Mali w boczną uliczkę. Powietrze było gęste od zielonych wiatro-odrzutów. Wszędzie słyszało się kwiki świń. Przez chwilę córce Logue' a udawało się śledzić samochód Toby, ale wkrótce straciła

106

go z oczu. Czuła silny, słodki, niemal mdlący zapach. Przypominał zapach ręczników w łazience Ito.

Ta dotknęła jej ramienia i pociągnęła w stronę sklepów.

– Chodź, moja droga. Ludzie zaczynają się gapić...

Dura wybałuszyła oczy na widok osób tłoczących się przy sklepach. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni byli ubrani w ekstrawagancko pomalowane szaty i kombinezony, częściowo odsłaniające ich ciała. Wszędzie było widać kapelusze i klejnoty, a wśród fryzur dominowały włosy ułożone w potężne, wielobarwne słupki.

Ito zaprowadziła dziewczynę z nadpływu do kilku sklepów.

Pokazywała jej biżuterię, ozdoby, wytworne kapelusze i ubiory.

Dura dotykała towarów i podziwiała mistrzostwo wykonania, ale pomimo że żona Toby cierpliwie wyjaśniała, do czego się ich używa, nic z tego nie rozumiała.

Upór kobiety z Parz zaczynał się wyczerpywać, toteż wróciły na główną aleję.

– Pójdziemy na Rynek – oświadczyła Ito. – Spodoba ci się tam.

Dołączyły do tłumu ludzi, którzy kierowali się do końcowego odcinka Pali Mali, w głąb Miasta. Niemał natychmiast Durę uderzyło w plecy coś miękkiego i okrągłego, jakby czyjaś słaba pięść.

Odwróciła się, daremnie usiłując znaleźć swój nóż.

Obok niej przemknął mężczyzna. Miał na sobie powłóczystą, błyszczącą szatę, a w miękkich białych dłoniach trzymał lejce, łączące go z dwoma tłustymi prosiętami. Dziewczyna odniosła wrażenie, że jest przez nie wleczone w sposób uchybiający godności. Jego nogi szybowały w obłokach wiatroodrzutów. To właśnie jedna ze świń uderzyła ją w plecy.

Mężczyzna ledwo na nią zerknął. j. Żona Toby uśmiechnęła się do Dury. ; – Co mu się stało? Nie potrafi falować jak wszyscy inni?

– Oczywiście, że potrafi, ale może sobie pozwolić na beczynność. – Ito pokręciła głową, widząc osłupienie Dury. – Och, daj spokój, wyjaśnienie tego wszystkiego zabrałoby zbyt dużo czasu. Córka Logue'a pociągnęła nosem. Słodki zapach był teraz intensywniejszy.

107

– Co to takiego?

– Oczywiście świńskie wiatroodrzuty. Rzecz jasna, perfumowane...

Łagodnie opadły w dół alei, falując bez trudu. Dura odczuwała zakłopotanie – zbyt często milczała w obecności tej zycziwej kobiety, ale przecież łączyło je tak niewiele.

– Dlaczego mieszkasz w Mieście? – zagadnęła. – To znaczy, skoro farma Toby jest tak daleko stąd...

– No cóż, mam własną pracę – odparła Ito. – Farma jest duża, ale znajduje się na wiejskim terenie. Tuż na skraju zagłębia, tak daleko w nadpływie, że trudno jest skłonić kulisów do pracy w tamtym miejscu. Boją się... – urwała.

plyw

- Boją się nadpływowców. W porządku - dokończyła córka Logue'a.

- Farma nie przynosi wystarczająco dużo zysków. A wszystko jest takie drogie...

- Ale mogłabyś mieszkać na swojej farmie. - Durze spodobał się własny pomysł. Z przyjemnością myślała o przebywaniu na otwartym terenie, z dala od tego zatechłego ula; na farmie człowieka otaczałyby pola uprawne, coś uporządkowanego; miło byłoby mieć świadomość, że kontroluje się przestrzeń wokół siebie w promieniu wielu setek ludzi.

- Może i tak - zgodziła się Ito. - Ale któż chciałby być farmerem-żywcielem? Poza tym musimy myśleć o edukacji Crisa.

- Mogłabyś uczyć go sama.

Żona Toby cierpliwie potrząsnęła głową.

- Nie, kochanie, nie robiłabym tego tak dobrze jak zawodowi nauczyciele. A tych można znaleźć tylko tutaj, w Mieście. - Zwróciła ku Durze zatroskane, znużone oblicze. - Postanowiłam, że Cris otrzyma najlepsze wykształcenie, na jakie nas stać. I że będzie pracował w wyuczonym zawodzie, pomimo marzeń o surfingiu.

Surfing?

Dura umilkła, próbując rozwikłać kolejną zagadkę.

Ito rozpogodziła się.

- Poza tym - z całym szacunkiem dla ciebie i twoich

108

ziomków, kochanie - nie chciałabym żyć na jakiejś odległej farmie, skoro może mnie otaczać to wszystko. Sklepy, teatry, biblioteki na Uniwersytecie... - Popatrzyła na dziewczynę z nadpływu z zaciekawieniem. - Wiem, że to wszystko jest dla ciebie dziwne, ale czy nie czujesz uroku tutejszego życia? A gdybyśmy któregoś dnia mogli się przeprowadzić nieco wyżej, do Góry...

- Do Góry?

- Bliżej Pałacu. - Ito pokazała w górę, w kierunku, z którego przybyły. - Na szczyt Miasta. Cała strona Miasta powyżej Rynku nazywa się Górą.

- A poniżej Rynku?

Żona Toby zamrugała oczami.

- To jest, oczywiście. Dół. Znajduje się tam Port, hangary prądnicowe, hale przeładunkowe i urządzenia kanalizacyjne. - Pociągnęła nosem. - N i k t nie chciałby tam mieszkać z własnego wyboru.

Dura cierpliwie falowała obok Ito. Obce w dotyku szaty ocierały się o jej nogi i plecy.

W miarę jak kobiety opadały, ściany Pali Mali rozchodziły się niczym rozwierające się gardło, aż wreszcie aleja niepostrzeżenie przeszła w Rynek. Był on kulistą komorą, dwukrotnie szerszą niż Pali Mali. W tym miejscu kończyło się kilkanaście ulic - nie tylko Mali - i panował nieustanny ruch.auta i ludzie przemieszczali się chaotycznie w kurzu i zgiełku. Dura widziała, jak kierowcy wychylają się z samochodów i obrzucają nawzajem dziwnymi wyzwiskami. Nie było tu dużych sklepów, jedynie szeregi pomalowanych jaskrawo straganików, których właściciele wyginali się na wszystkie strony, demonstrując swoje towary i pokrzykując do przechodzących obok klientów.

; Na środku Rynku znajdowało się drewniane koło o średnicy [jednego człowieka. Jego wielka oś biegła w poprzek komory, rozdzielając chaotycznie porozstawiane stragany. Dura doszła do wniosku, że oś wyciosano z pnia drzewa skorupowego, i zastanawiała się, jak stolarze zdołali ją przywieźć aż tutaj, do centrum Miasta. Koło miało pięć szprych, z których zwisały sznury. Dura doznała wrażenia, że już kiedyś widziała coś podobnego. Po

109

chwili namysłu przypomniała sobie dziwny mały talizman, który

plyw

Tobą nosił na szyi. Talizman przedstawiał człowieka rozpostartego na kole. Czy i tamto koło nie miało pięciu szprych?

– Wspaniałe, prawda? – zagadnęła Ito. – Te straganiki nie wyglądają imponująco, ale oferują niezwykle korzystne ceny. I jakość towarów jest wysoka...

Dura cofnęła się w kierunku Mali, z której nadeszły. Tu, w samym środku potężnego Miasta, hałas, upał i nieustanny ruch całkowicie ją przytłaczały.

Ito podpływała do niej i wzięła za rękę.

– Chodź – powiedziała. – Znajdziemy jakieś spokojniejsze miejsce i zamówimy coś do jedzenia.

W pokoju Crisa panował bałagan. Pogniecione ubrania, wszystkie w jaskrawych odcieniach, unosiły się w Powietrzu niby zrzucona skóra. Z pustych rękawów i nogawek wystawały buteleczki z farbą do włosów, lśniące w świetle lampy. Syn Toby śmiało brnął w tym chaosie, odsuwając poszczególne części garderoby, ale dla Farra wejście do pokoju nie było łatwym zadaniem. Ograniczona przestrzeń i odzież ocierająca się o jego ciało przyprawiły go o silną klaustrofobię.

Cris błędnie zinterpretował zmieszanie chłopca.

– Przepraszam za ten bałagan. Moi rodzice mają o to do mnie straszne pretensje, ale jakoś nie potrafię dać sobie rady z całym tym kramem. – Przechylił się do tyłu i obiema nogami ubił skłębioną odzież w kulistą bryłę, którą następnie upchnął w kącie pokoju, dzięki czemu w Powietrzu zrobiło się nieco bardziej pusto. Po chwili Farr zauważył, że ubrania zaczęły powoli się rozwijać, a puste rękawy i nogawki nasuwały skojarzenie ze ślepcem bezradnie wyciągającym kończyny.

Chłopiec z nadpływu rozejrzał się dookoła. Zastanawiał się, co powinien powiedzieć.

– Niektóre z twoich rzeczy są... atrakcyjne – bąknął. Cris spojrział na niego dziwnie.

– Atrakcyjne. Tak. Mogłyby być o wiele bardziej atrakcyjne, gdybyśmy mieli więcej pieniędzy. Ale czasy są ciężkie. Zawsze są ciężkie. – Jeszcze raz dał nura między zawiniątka z odzieżą

110

i rozsunął je rękami. Najwyraźniej czegoś szukał. – Przypuszczam, że tam, gdzie dorastałeś, pieniądze nic nie znaczą.

– Nie – odparł Fan-. W dalszym ciągu nie był pewien, czym są pieniądze. Z pewnym zdziwieniem odnotował zazdrość w głosie syna Toby.

Cris wydobył ze sterty ubrań jakiś przedmiot: deskę, cienką, drewnianą płytę długości jednego człowieka. Miała zaokrąglone krawędzie i chociaż na jej powierzchni wyłobiono rowki do zaczepiania nóg, była tak znakomicie wykończona i wypolerowana, że Fan- widział w niej swoje odbicie. Drewno było inkrustowane cienką pajęczyną z jakiegoś błyszczącego materiału. Cris pieszczotliwie pogładził deskę. Brat Dury pomyślał, że młodzieniec robi to tak czule, jakby pieścił skórę ukochanej osoby.

– To brzmi fascynująco – odezwał się chłopak z Miasta.

– Co?

– Życie w nadpływie – odparł Cris, niepewnie spoglądając na Farra.

Syn Logue'a znowu nie wiedział, co odpowiedzieć. Obejrzał sprzęty w pokoju nowego kolegi – mógłby się założyć, że Cris nie wykonał własnoręcznie żadnego z nich – a potem zatrzymał wzrok na krępym, dobrze odżywionym młodzieńcu.

– Chodzi mi o to, że jesteście tam tacy wolni. – Cris przejechał dłonią po krawędzi wygładzonej deski. – Posłuchaj, za rok kończę swoją edukację. I co potem? Moi rodzice nie mają pieniędzy na dalsze kształcenie – na to, żeby mnie posłać na Uniwersytet albo do Studium Medycznego. Zresztą i tak się nie nadaję do żadnej z tych

plyw

uczelnii. – Roześmiał się, jakby był z tego dumny. – Ktoś taki jak ja ma tutaj tylko trzy wyjścia. – Wyliczył je, odginając pozbawione odcisków palce. – Jeśli jesteś głupi, kończysz w Porcie, wybierając materię rdzeniową z Podpłaszczu. Możesz także zostać drwalem, wycinać i transportować drewno, lub skończyć, babrając się w ściekach. Coś w tym stylu. Natomiast jeśli masz odrobinę oleju w głowie, możesz się załapać do administracji. Albo – skoro nie znosisz żadnej z tych rzeczy i nie chcesz pracować dla Komitetu – zakładasz własny interes. Wykupujesz stragan na Rynku lub

111

uprawiasz farmę sufitową, jak mój ojciec, albo budujesz auta, jak moja matka. I spędzasz całe życie, harując w pocie czoła i oddając większość pieniędzy na dziesięciny dla Komitetu. – Wzruszył ramionami, kurczowo trzymając deskę. Sprawiał wrażenie przygnębionego, zmęczonego życiem. – I to wszystko. Nie ma zbyt dużego wyboru, prawda?

Gdyby Fan- miał zamknięte oczy, to zapewne wyobrażałby sobie, że słucha zgrzybiałego starca w rodzaju Addy, a nie chłopca, który dopiero zaczyna życie.

– Jednak Miasto zapewnia ci przynajmniej żywność, bezpieczeństwo i wygodę.

– Ale nie każdemu zależy na wygodzie. Życie nie polega przecież tylko na tym, prawda? – Znowu popatrzył na Farra z tą dziwną zazdrością. – Właśnie dlatego uwielbiam surfing... Twoje życie w nadpływie musi być takie – interesujące. Codziennie budzisz się w otwartym Powietrzu. Nie wiesz, co przyniesie ci kolejny dzień. Musisz opuszczać swoją siedzibę i zdobywać pożywienie gołymi rękami... – Mówiąc te słowa, Cris spojrział na swoje wypielęgnowane dłonie.

Farr nie miał pojęcia, jak zareagować na to wszystko. Już dawno doszedł do wniosku, że mieszkańcy Miasta przewyższają mądrością jego lud, toteż był zaskoczony, słysząc, iż jeden z nich wygaduje takie bzdury.

Usiłując znaleźć jakiś temat do rozmowy, wskazał deskę, którą Cris nadal trzymał w objęciach.

– Co to takiego?

– Moja deska. Deska surfingowa. – Syn Toby zawahał się. – Nigdy nie widziałeś czegoś takiego?

Farr wyciągnął rękę i przejechał opuszkami palców po gładkiej powierzchni. Była tak starannie wypolerowana, że prawie nie wyczuwał chropowatości drewna; miał wrażenie, że dotyka skóry – skóry bardzo małego dziecka. Skomplikowana siateczka wgłębień była inkrustowana błyszczącymi, ledwo wyczuwalnymi nitkami.

– Jest piękna.

– Tak. – Cris promieniał dumą. – To nie jest najdroższy egzemplarz, jaki można dostać, ale włożyłem w nią piekielnie dużo roboty i wątpię, żeby ktoś miał lepszą po tej stronie Mali.

112

Farr zawahał się, zakłopotany swoją całkowitą ignorancją.

– Ale do czego ona służy?

– Do surfingu. – Syn Toby ustawił deskę poziomo i skoczył górę, podciągając nagie stopy tak, żeby spoczęły na prążkowanej powierzchni. Oczywiście deska odsunęła się, ale Farr widział, jak sprawnie jego kolega manewruje stopami, zupełnie jakby łyła parą rak. Cris wyciągnął ramiona i kołysał się w Powietrzu. – Suniesz wzdłuż Magpola właśnie w ten sposób. Nie ma spanialszej rzeczy. To poczucie siły, prędkości...

– Ale jak? Czy ty falujesz? Cris wybuchnął śmiechem.

– Nie, oczywiście, że nie. – Po namyśle dorzucił jednak: – rzynajmniej niezupełnie. – Zeskoczył z deski, wykonał salto do łu w ciasnym pomieszczeniu i złapał swoją ulubioną zabawkę. – Widzisz druciki, którymi jest inkrustowana powierzchnia? To ma-ria

plyw

rdzeniowa. Nadprzewodnikowa. Właśnie dlatego deski są tak łolemie drogie. – Zakołysał deską w Powietrzu. – Poruszasz się i niej w taki sposób, na nogach. Widzisz? To przypomina falowa-ie, tyle że zamiast ciała używasz deski. Prądy w nadprzewodnikach spierają na Magpole i... – Przeciął ręką Powietrze. – Szszsz!

Chłopiec z nadpływu zastanawiał się nad czymś.

– I poruszasz się szybciej niż za pomocą falowania?

– Szybciej? – Cris znowu wybuchnął śmiechem. – Możesz rześcignąć każde auto, każdą pierdzącą świnię. Kiedy masz rzed sobą wolną drogę, wysoko nad Biegunem, czujesz, że oruszasz się szybciej niż myśl – powiedział w rozmarzeniu.

Farr obserwował go z zaciekawieniem i fascynacją.

– Do tego właśnie służy deska... w pewnym sensie. Ale jest la mnie także sposobem wydostania się stad. Wydostania się własnej przyszłości. Może. – Cris wydawał się teraz zakłopo-Uiy, wręcz onieśmielony. – Jestem w tym dobry, Farr. Jestem sdnym z najlepszych w swojej grupie wiekowej. Wygrałem mnós-»o zawodów, w których wolno mi było wziąć udział. A za kilka [riesięcy zakwalifikuję się do tych najważniejszych. Do Igrzysk. Po RZ pierwszy będę miał szansę zmagania się z najlepszymi.

– Igrzyska? – Największa impreza. Jeżeli dobrze tam

wypadasz, zosta-

113

jesz gwiazdą Igrzysk, a wtedy Parz rozchyła dla ciebie nogi. – Cris roześmiał się chrapliwie ubawiony swoimi słowami. Fair uśmiechnął się niepewnie. – Mówię poważnie – dorzucił syn Toby. – Przyjęcia w Pałacu. Sława. – Wzruszył ramionami. – Oczywiście to nie trwa wiecznie. Ale jeżeli jesteś naprawdę dobry, to nigdy nie tracisz aury bohatera. Uwierz mi... Będziesz tu jeszcze, kiedy zaczną się Igrzyska?

– Nie wiem. Adda...

– Twój przyjaciel w szpitalu. Tak. – Wydawało się, że Crisa znowu ogarnia zakłopotanie. – Przepraszam za to ciągłe gadanie o surfingu. Wiem, że jesteś w trudnym położeniu.

Fair uśmiechnął się, pragnąc, zęby ten dziwny chłopiec odzyskał pewność siebie.

– Lubię cię słuhać.

Cris przyjrzał się bratu Dury uważnie.

– Posłuchaj, czy kiedykolwiek próbowałeś surfować? Nie, naturalnie, że nie. A chciałbyś? Moglibyśmy spotkać się z paroma ludźmi, których znam.

– Nie wiem, czybym potrafił.

– To wydaje się proste – rzekł Cris. – Teoretycznie jest proste, ale dobre surfowanie wymaga umiejętności. Musisz utrzymać równowagę i dbać, żeby deska znajdowała się między tobą a Magpołem, a także nieustannie napierać na linie pływowe, gdyż tylko w ten sposób nabierasz rozpędu. – Na chwilę zamknął oczy i rozbujał się w Powietrzu.

– Nie wiem – powtórzył Farr. Chłopak z Miasta spojrzął na niego.

– Chyba jesteś wystarczająco silny. A skoro przybyłeś z nadpływu, to zapewne masz dobrze rozwinięty zmysł równowagi i orientacji. Ale może masz rację. Twoja klatka piersiowa jest wypukła, a nogi trochę za krótkie. Mimo to, sędzę, że zdołałbyś utrzymać się na desce przez kilka sekund...

Ta chłodna ocena rozżłościła Farra. Złożył ramiona.

– Zróbmy to – powiedział. – Gdzie? Cris wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Chodź. Pokażę ci.

114

Ito zabrała Durę do Muzeum.

Mieściło się ono w dziełnicy uniwersyteckiej – w wyżej

plyw

położonej warstwie Góry (tak dziewczyna z nadpływu nauczyła się nazywać tę część Miasta), trochę poniżej Pałacu. Uniwersytet składał się z szeregu dużych pomieszczeń połączonych wyłożonymi boazerią korytarzami. Ito wyjaśniła, że nie wolno im zakłócać spokoju w salach akademickich, ale za to mogłaby pokazać biblioteki i miejsca seminariów, wypełnione grupami gorliwych młodych ludzi, a także małe izdebki, w których uczeni pracowali samotnie, ślęcząc nad swymi niezrozumiałymi badaniami.

Uniwersytet znajdował się w pobliżu zewnętrznej ściany Miasta i był tak rozjaśniony naturalnym światłem, że wydawało się, iż Powietrze płonie. Panowała tu atmosfera spokoju i skupienia, która sprawiała, że Dura, bardziej niż zwykle, czuła się intruzem. Minęły grupkę starszych członków uczelni. Mieli na sobie powłóczyste szaty i wygolone łby. Pogardliwie przepłynęli obok dwóch kobiet, nawet nie racząc na nie spojrzeć.

Dziewczyna z nadpływu przysunęła się do Ito i szepnęła:

– Muub. Administrator szpitala. Też ogolił sobie głowę. Czy on także się tutaj znajduje? Żona Toby uśmiechnęła się.

– Nigdy nie spotkałam tego człowieka. Chyba jest zbyt ważną figurą dla takich jak my. Ale jeśli pracuje w szpitalu, to obecnie nie ma żadnych kontaktów z Uniwersytetem. Może jednak pracował tu kiedyś i jego łysina ma przypominać innym, że dawniej był naukowcem. – Dura pomyślała, że uśmiech Ito jest wymuszony, pełen znużenia. – Wiesz, ludzie robią takie rzeczy.

– Czy ty studiowałeś na Uniwersytecie? Albo Tobą?

– Ja? – Ito zaśmiała się łagodnie. – Czy wyglądam na osobę, która kiedykolwiek mogłaby sobie na to pozwolić? Ale byłoby wspaniale, gdyby Crisowi udało się tam dostać. Gdybyśmy tylko potrafili zdobyć pieniądze na czesne. Wtedy znalazłby się w lepszej sytuacji, mógłby aspirować do czegoś wyższego. Może nie marnowałby tyle czasu na tę cholerną deskę surfingową. ' Muzeum było dużym szóstkiem w centrum kompleksu uniwersyteckiego. Prowadziły doń liczne korytarze i szyby oświetleniowe, toteż światło sączyło się do porowatej budowli ze wszyst-

115

kich stron. Pokonując labirynt przejść, kobiety odnosiły wrażenie, iż mnogość wlotów i drzwi umożliwia ukrycie wielu skarbów.

W jednym z korytarzy znajdowały się rzędy świń, płaszczyk i pajaków skorupowych. Dura wzdrygnęła się na widok stworzeń mających w ciemności, ale wkrótce uświadomiła sobie, że nie stanowią zagrożenia ani dla niej, ani dla nikogo innego. Były martwe, zakonserwowane w jakiś sposób, przymocowane do ścian niby upiorna parodia ich żywych wcieleń. Spoglądając na wspaniałe, rozpostarte skrzydła płaszczyki, przyszpilone do drewnianej ramy, dziewczyna poczuła osobliwy smutek. Nieco dalej wystawiano świnię powietrzną. Była martwa jak inne zwierzęta, ale miała rozcięty brzuch, w którym połyskiwały narządy – małe bryły tkanek, przytwierdzone wewnątrz ciała. Dura zadygotała. W swoim życiu zabiła kilkadziesiąt świń powietrznych, lecz teraz nie mogła się zmusić do dotknięcia tego zimnego, sterylnego eksponatu.

Dziwiła się, że nie czuje w tych korytarzach ani zapachu życia, ani zapachu śmierci.

Dotarły do sekcji prezentującej dzieła człowieka. Dura zorientowała się, że przeważnie pochodzą one z Miasta, tyle że są bardzo stare. Ito zaśmiewała się, pokazując ubrania i kapelusze wiszące na ścianach. Córka Logue'a uśmiechała się grzecznie, nie pojmując, co tak bawi jej towarzyszkę. Zobaczyła makietę Parz, wykonaną w drewnie i wysoką na jednego człowieka, z lampą w środku, która ją oświetlała.

Dziewczyna z nadpływu długo przyglądała się modelowi z zachwytem, podczas gdy Ito wskazywała poszczególne elementy Miasta. Oto mały konwój z drewnem wlatywał do jednej z wielkich bram Dołu, dalej rozciągał się Grzbiet prowadzący do Podpłaszczca. Po Grzbiecie sunęły w dół małe auta, w których siedzieli miniaturowi

Strona 65

plyw

Poławiacze, poszukujący złóż cennej materii rdzeniowej. Całość wieńczył Pałac, stojący na samej Górze Miasta – barwny, pełen życia i przepychu.

W dalszej części Muzeum znajdowały się małe gabloty, zawierające wytwory spoza Miasta. Ito dotknęła ramienia Dury.

– Może rozpoznasz niektóre z nich.

Córka Logue'a zobaczyła dzidy i noże wykonane z drewna, a ponadto siatki, poncha, kawałki sznurków.

Wtwory nadpływowców.

116

wyglądało na to, że żaden z nich nie został sprowadzony; zpośrednio z obozowiska Istot Ludzkich. Ito oświadczyła, że e ma w tym nic dziwnego; grupy nadpływowców zamieszkiwały całe obrzeże zagłębia Parz wokół polarnej czapy Gwiazdy.

Dura oglądała przedmioty, pamiętając, że wciąż ma przy boku nóż i jest owinięta sznurem w pasie. Uświadomiła sobie, że j rzeczy pasowałyby do tej kolekcji. Nieco rozgoryczona zastawiała się, czy tutejsi ludzie chcieliby przyczepić ją i jej brata) ścian, tak jak tamtą biedną, martwą płaszczkę.

Wreszcie Ito zaprowadziła swojego gościa do, jak się wyraża, najsłynniejszej wystawy w Muzeum. Znalazły się w kulistej li o średnicy mniej więcej kilkunastu ludzi. Świeciło w niej Iko kilka przyciemnionych drewnianych lamp. Dura potrzebowała trochę czasu, by jej oczy przywykły do mroku.

Z początku wydawało się, że sala jest pusta. Po chwili, jakby oparów mgły, zaczął się wyłaniać jakiś obiekt. Był to siatkowaty rfof szerokości jednego człowieka, wykonany z jakiejś błyszczącej substancji. Ito zachęciła córkę Logue'a, żeby trochę się przyinęła i zbliżyła twarz do siatkowatej powierzchni. Obiekt przypominał spletaną sieć, złożoną z oczek szerokości ręki. Dura rzekonała się, że w obrębie głównej siatki znajdują się mniejsze atki, które z kolei składały się z malutkich, cienkich jak rurki losowe oczek. Pomyślała, że przy lepszym oświetleniu dostrzegby jeszcze w oczkach wielkości rurek włosowych następne, ipełnie malutkie, prawie niewidzialne oczka.

Ito pokazała tabliczkę na ścianie, opisującą eksponat.

– Ta konstrukcja jest fraktalna – tłumaczyła żona Toby, arannie artykułując słowa. – To znaczy przejawia tę samą strukturę w wielu skalach. Właściwość tę posiada częściowo materia Izeniowa złożona z hiperonów; zespołów kwarków, w których legają rozkładowi zwyczajne nukleony – protony i neutrony – idzkiego świata. W regionach, które mogą zamieszkiwać ludzie, tateria rdzeniowa występuje w dużych metastabilnych skupiskach -bergach pozyskiwanych przez Poławiaczy i następnie wykorzystywanych do produkcji wstęp kotwicznych i innych rzeczy... idnakże w głębszych pokładach Rdzenia materia hiperonowa łoże tworzyć niezwykle, skomplikowane struktury, takie jak ta.

117

Prezentowany tu model opiera się na domysłach – na fragmentach legend z okresu Wojen Rdzeniowych i na niezupełnie zgodnych relacjach Poławiaczy. Jednak naukowcy Uniwersytetu uważają, że...

– Ale co to jest? – przerwała jej Dura. Ito odwróciła się do kobiety-nadpływowca. Jej twarz była okrągła i gładka w przyćmionym świetle.

– Przecież to kolonista – rzekła.

– Ale koloniści byli ludźmi.

– Nie – odparła żona Toby. – Niezupełnie. Opuścili nas, kradnąc nasze maszyny, i zeszli w dół do Rdzenia. – Miała ponurą minę. – I właśnie tym się stali. Żyli w takich strukturach materii rdzeniowej.

Dura patrzyła na wielkie, złowieszcze głębiny modelu. Miała wrażenie, iż tu, w brzuchu Miasta, została przetransportowana do

samego Rdzenia i musi samotnie stawić czoło tej dziwacznej, monstrialnej istocie.

Ściskając swoją deskę surfingową, Cris prowadził chłopca z nadpływu przez centrum Miasta.

Pokonywali płataninę bocznych uliczek, unikając najchętniej uczęszczanych tras. Farr usiłował zapamiętać drogę, ale szybko stracił orientację i nieco oszołomiony, zawzięcie podążał za swoim przewodnikiem. Od czasu do czasu odruchowo rozglądał się, szukając Morza Kwantowego i linii wirowych, których nachylenie pomogłoby mu odzyskać poczucie kierunku. Ale oczywiście tu, w głębi Parz, anonimowe drewniane ściany zakrywały świat.

Po jakimś czasie uświadomił sobie, że musieli minąć okolice równika Miasta i wkraczają do rejonu zwanego Dołem. Okolone ścianami ulice były tu skromniejsze, a szyby oświetleniowe i drewniane lampy rozdzielały duże odstępy. Aut nie zauważało się dużo, falujących ludzi również, a drzwi tutejszych domostw, zniszczone i brudne, sprawiały wrażenie solidnych i niemożliwych do sforsowania.

118

nia. Cris nie komentował tych zmian otoczenia – nadal gardził o surfing, jakby nie istniało nic innego. Fair jednak uważał, że syn Toby mocno przyciska deskę do piersi, chroniąc całym ciałem. Wreszcie dotarli do szerokiego, owalnego wlotu w ulicznej ianie. Szyb, który się z nim rozciągał, szeroki na dziesięć dziesiątych, sprawiał wrażenie pospolitszego niż którakolwiek ulica iasta. Był długi, pozbawiony wyrazu, a jego odrapane ściany yglądały tak, jakby ich nie wykończono. Fair spostrzegł, że yb prowadzi ku jasnemu owalowi czystego, miłego sercu świat-Powietrza. Patrzył na nie żarłocznie, podziwiając jaskrawy, »łty blask na wygładzonych fragmentach ścian.

– Schodzimy tedy?

– Przez ten wlot przeładunkowy? Na zewnątrz, przez Skórę? Ie to jest sprzeczne z przepisami... – Cris uśmiechnął się od ucha do ucha. – Jasne, że tak. – Krzyknął, położył rękę na awędzi eliptycznego wejścia i przekoziołkował do szybu. Ściął deskę nad głową i trzepocząc ramionami, falował przez szyb odwróconej pozycji, nogami w dół. Brat Dury niezdarnie gramolił się na krawędź wlotu i dał nurka. Chłopcy sunęli ze niechem w kierunku otwartego Powietrza. Ich głosy odbijały ę echem od drewnianych ścian.

Opuściwszy duszny korytarz, Farr rozpostarł ręce i nogi. pajał się lśniąącym żółtym Powietrzem i patrzył na łuk linii irowych.

Cris zerkał na niego sceptycznie.

– Dobrze się czujesz?

– Po prostu cieszę się, że jestem w Powietrzu, mimo że to leista biegunowa zawiesina.

– Zgadza się. Nie tak, jak w dawnych dobrych czasach adpływu, co? – Cris ułożył poziomo deskę i eksperymentalnie ocisnął ją dłonią do Magpola.

i Fair z zachwytem wirował w Powietrzu. Korytarz, który puścili, kończył się otworem o szorstkich krawędziach w zew-(trznym kadłubie z drewna – w Skórze. Majaczył on wciąż lokół nich, jakby odgrażał się, że znowu ich połknie i przekaze ^wnętrznosci metropolii. Ale chłopcy szybowali w Powietrzu

119

i oddalali się od Miasta. Niebawem brat Dury przekonał się, że podobne otwory pokrywają, jak okiem sięgnąć, oblicze Parz we wszystkich kierunkach. Farr usiłował dostrzec cechy, które wyróżniałyby „ich” wlot, żeby w razie potrzeby móc go odnaleźć. Jednak było to tylko prymitywnie obramowane nacięcie w drewnianej Skórze, nie oznakowane, podobne do setki innych. Przybysz z nadpływu dał za wygraną. Wiedział, że gdyby się zgubił, to nawet odszukawszy wlot, nie zdołałby trafić z powrotem do domu

Mixxaxów przez gąszcz miejskich ulic. Szybko poruszył nogami i odpłynął trochę dalej od Miasta. Skóra przypominała gigantyczną, złowrogą maskę. Z tej odległości rozróżniał szczegóły – widział, jak prymitywnieją zesztukowano, używając źle dobranych kawałków drewna i mateń rdzeniowej – a jednak, ogólnie rzecz biorąc, robiła imponujące wrażenie. Pomyślał, że kilkanaście wlotów przeładunkowych tej części Skóry przypomina otwory gębowe, nieustannie coś połykające, albo włosowate pory, wchłaniające ziarniste Powietrze wraz z drewnem i żywnością. Oddaliwszy się bardziej, Farr ujrzał potężne strugi, nieustannie wylwające się z wylotów kanalizacji, rozmieszczonych u podnóża metropolii. Powietrze wypełniał huk półstałej substancji, spadającej do Podpłaszcza.

Powoli uświadomił sobie, że to podniszczone i dalekie od doskonałości Miasto jest jednak wspaniałe. Przypominało ogromne, hałaśliwe, pełne życia zwierzę, które nawet nie zauważa, że ma pod nosem jakąś małą istotę.

Usłyszał, że ktoś go woła.

Rozejrzał się, ale syna Toby nie było w pobliżu. Ogarnęło go absurdalne poczucie dezorientacji – ostatecznie prawdopodobieństwo zgubienia się tutaj było znacznie mniejsze niż we wnętrznościach Miasta – i określił się, wyteżając wzrok. Wreszcie dostrzegł w oddali pomarańczowy kombinezon Crisa; jego falująca postać wisiała na desce surfingowej. Znajdował się blisko Skóry, lecz wysoko nad głową Farra. Wymknął się, podczas gdy brat Dury śnił na jawie.

Zażenowany, trochę zły na samego siebie, Farr napał na Powietrze i mając mocne nogi jak każdy nadpływowiec, rzucił się ku koledze.

120

Syn Toby wyprowadzał go z równowagi szerokim uśmiechem.

– Dalej, dalej. Są ludzie, którzy na nas czekają – powiedział. Znowu wgramolił się na deskę, skręcił i poleciał pierwszy, wskazując drogę.

Farr sunął za nim w odległości jednego człowieka i wkrótce obaj chłopcy unosili się nad Miastem.

Technika surfingu w wykonaniu Crisa była oszałamiająca; zupełnie nie przypominała kilku sztuczek, zaprezentowanych Farrowi w Mieście. Syn Toby wychylał lekko deskę bosą stopą to w jedną, to w drugą stronę, a jednocześnie naciskał drugą piętą jej stabilniejszy koniec, sprawiając, że intensywnie falowała. Wydawało się, że jego gołe podeszwy wystarczą do wywierania odpowiedniego nacisku na wy szlifowaną powierzchnię. Cris cały czas miał rozpostarte ramiona, żeby utrzymać równowagę, a mięśnie nóg miejskiego chłopca pracowały płynnie. W gruncie rzeczy to wszystko wydawało się cudownie łatwe. Obserwując kolegę, Farr zaczął odczuwać lekkie świerzbienie w nogach. Zapragnął wypróbować deskę surfingową. Przecież tu, na Biegunie, jego siła wzrosła; mógłby zmusić ten cholerny przedmiot do l a t a n i a...

Nie mógł zaprzeczyć, że Cris z wielką wprawą przeciwstawia swoją masę i bezwładność lekkiemu oporowi Magpoła. Poruszał się szybko i z wdziękiem; jego niewymuszona nonszalancja robiła ogromne wrażenie. Wokół pasków materii rdzeniowej, wtłoczonych w deskę, syczał gaz elektronowy.

Krażyli, wzbijając się wokół Miasta. Trzymali się z dala od strumieni odpadów u jego podnóża; lecieli po przekątnej zwróconej ku nim ściany Parz. Minęli jedną z potężnych wstęg kotwicznych Długości Geograficznej, przytwierdzoną do Skóry sworzniami z materii rdzeniowej. Ten lśniący pas materii rdzeniowej był szeroki na ponad jednego człowieka, a gaz elektronowy nieustannie igrał na jego gładkiej powierzchni, reagując na silne prądy, które przepływały przez nadprzewodnikowy rdzeń wstęgi. Magpole było tutaj znie-

plyw

Apierściach jego nierównomierny, szorstki napór. Cris zszedł z deski i dołączył do przybysza z nadpływu. Falując, oddalali się od Skóry i ostrożnie omijali Długość Geograficzną.

121

– Magpole jest zbyt najeżone w tym miejscu – oznajmił lakonicznie. – Trudno znaleźć dobre zaczepienie. Kiedy przelecieli za wstęgę, oczom Farr'a ponownie ukazała się Skóra. Spodziewał się, że Skóroobraz będzie monotony, pozbawiony charakterystycznych punktów z wyjątkiem widocznych wad konstrukcyjnych. Wkrótce jednak przekonał się, że ogromne rozmiary Skóry wykluczają taką jednolitość. W miarę jak wspinali się ku równikowi Miasta, a potem ku okolicom Góry, potężne wloty przeładunkowe oraz publiczne szyby powietrzne pojawiały się coraz rzadziej i ustępowały miejsca mniejszym, schludniej szym korytarzom, zapewne przeznaczonym dla ludzi i aut powietrznych, oraz niedużym portalom, które musiały być oknami albo szybami świetlnymi prywatnych mieszkań. Jakiś mężczyzna wychylił się przez okno i wylał miskę czegoś, co wyglądało na ścieki i błyszczało, rozpraszając się. Cris przyłożył ręce do ust i powitał go donośnie. Mężczyzna – przysadzisty i żółtowłosy – zerknął na niebo ze strachem. Kiedy dostrzegł chłopców, zaczął im wygrażać pięścią i wykrzykiwał gniewne, nie dające się zrozumieć słowa. Syn Toby odpowiedział czymś równie obraźliwym, a Farr przyłączył się do niego, potrząsając pięścią. Nadpływowiec śmiał się, rozweselony tą demonstracją braku szacunku; czuł się wolny, młody, zdrowy, wyzwolony z ograniczeń Miasta. Porównanie z tym zgorzkniałym starcem w oknie jeszcze bardziej poprawiało mu samopoczucie. Mijali część kadłuba pokrytą prymitywnym rusztowaniem, prostokątną drewnianą kratą. Poniżej było widać rozerwaną Skórę, która odsłaniała małe komory w obrębie Miasta, oświetlone! zielonymi latarniami z drewna. Wielkie fragmenty drewnianych płyt unosiły się luźno w Powietrzu, przywiązane do kraty kawałkami lin. Mężczyźni i kobiety wdrapywali się na rusztowanie, wciągali płyty i przybijali je młotkami, łatając wyrwy w Skórze.

– Naprawy – oznajmił Cris, reagując na nie wypowiedziane pytanie chłopca z nadpływu. – Odbywają się nieustannie. Mój ojciec twierdzi, że Miasto tak naprawdę nigdy nie zostało skończone; wciąż trzeba remontować którąś z jego części.

Przelecieli wysokim łukiem nad ubogo zabudowanym obszarem kadłuba, gdzie nie było drzwi, okien ani otworów korytarzy.

122

Fair obejrzał się i zobaczył, że ostatnie małe wloty znikają za wygiętą linią horyzontu Miasta. Odtąd powierzchnia Skóry była bez skazy. Cris surfował w milczeniu, nieco przygaszony. Poruszając się nad ujednoczonym Skóroobrazem, Farr doznawał absurdałnego wrażenia, że został odrzucony przez Miasto – jak gdyby się go wyrzekło, odwróciło się od niego plecami.

Minęli kolejną grupę ludzi pnących się po Skórze. Z początku brat Dury myślał, że znowu widzi ekipę remontową, ale powłoka była w tym miejscu nienaruszona. Brakowało też rusztowania – na Skórze rozpięto jedynie luźną siatkę, której jeden róg zajmowała gromada około dwudziestu dorosłych ludzi, pochłonięta jakimś nieokreślonym przedsięwzięciem. Zerkając w dół, Farr zauważył, że dobytek tych ludzi był upchnięty w oczkach sieci; widział dzidy, prymitywne ubrania i mniejsze, poskładane sieci, które wcale nie budziłyby zdziwienia wśród Istot Ludzkich. Znajdowała się tam nawet mała kolonia świń powietrznych, które powoli rozpychały się w drewnianej zagrodzie, przywiązane sznurkami do kołka wbitego w Skórę. W sieci wiło się jakieś niemowlę; jego kwilenie, słodkie i odległe, dochodziło do uszu młodzieńca z nadpływu za pośrednictwem cichego Powietrza.

Jakaś kobieta, gruba i naga, odwróciła się od swoich towarzyszy i

plyw

zerknęła na chłopców. Brat Dury zauważył jej zaciśnięte pięści. Spojrzał na Crisa wyczekująco, ale chłopak z Miasta ograniczał się do falowania na swojej desce i nie zwracał uwagi na małą kolonię w dole. Farra skreślała ciekawość. Jeszcze raz popatrzył w dół i z ulgą stwierdził, że kobieta ponownie obróciła się do swoich kompanów, najwyraźniej zapominając o chłopcach.

– Jeźdźcy Skóry – powiedział Cris nieco pogardliwie. – ;
Czyszciciele. Są tu ich całe kolonie. Jeźdźcy Skóry żyją na odosob-
nionych fragmentach Skóry. Ci tutaj również wybrali takie miejsce. i

– Ale jak udaje im się przetrwać?

! – Przeważnie łapią to, co wypływa w strumieniach kanali-
Izacyjnych, i filtrują za pomocą specjalnych sieci. Część konsumują
sami, a część przeznaczają na paszę dla świń. Wielu z tych ludzi
poluje.

I nikomu to nie przeszkadza?

123

Cris wzruszył ramionami

– A dlaczego miałyby przeszkadzać? W takich miejscach Jeźdźcy
Skóry nikomu nie zawadzają, a poza tym nie zużywają zasobów
Miasta. Mógłbyś powiedzieć, że dzięki nim rośnie wydajność Parz,
gdyż wydobywają użyteczne substancje z odpadów. Komitet wkracza
do akcji tylko wówczas, gdy zaczynają popełniać przestępstwa. Akty
bandytyzmu. No, wiesz, niektóre plemiona schodzą na złą drogę.
Dzwonią do portali wejść i czekają, żeby opaść na wolniejsze
samochody. Zabijają kierowców i kradną świnię, nie korzystając z aut.
Czasami zwracają się jedni przeciw drugim i prowadzą głupie skórne
wojenki, których nikt inny nie jest w stanie zrozumieć. Wtedy
interweniują strażnicy. Myślę jednak, że Miasto jest wystarczająco
duże, by tolerować tych kilka pijawek na swoim obliczu. –

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Tak czy owak. Jeźdźcy będą
istnieć zawsze – nie uda się ich zlikwidować. Poza tym nie każdy
potrafi żyć w sześciu ścianach z drewna. – Ugiął nogi w kolanach,
wywijając deską. – To jeden z powodów, dla których tu dzisiaj
jestem. Sądzę, że ty. Fair, byłbyś w stanie to zrozumieć. Może ci
Jeźdźcy Skóry są trochę podobni do twojego ludu.

Chłopak z nadpływu zachmurzył się. Być może występuje
powierzchnowe podobieństwo, pomyślał. Tyle że Istoty Ludzkie
nigdy nie pozwoliłyby sobie na życie w takim brudzie, w takiej nędzy
i poniewierce, jak Jeźdźcy Skóry, których widział.

I żadna Istota Ludzka nie zgodziłaby się na upokarzające
wyjadanie cudzych odpadów.

Odróżniającą kolonię Jeźdźców Skóry wkrótce zakryła drewniana
krawędź ścian Parz. Cris prowadził Farra obok kolejnych,
monotonnych odcinków powłoki kadłuba.

Fan- zauważył dziewczynę wcześniej niż syn Toby. Jej umięśnione,
gibkie ciało miotano się w pobliżu linii wirowych, wysoko nad
Miastem. Wokół deski surfingowej lśnił gaz elektronowy, obrysowując
szczupłą sylwetkę dziewczyny. Poruszała się z wdziękiem i tak
naturalnie, że bładła przy tym nawet sprawność Cńsa. Zauważyła
zbliżających się młodzieńców; zaczęła wymachiwać rękami i krzyknęła
coś na powitanie.

124

Przylecieli do siatki, rozpiętej nad drewnianą skórą na kołach,
podobnie jak obóz Jeźdźców Skóry. Jednakże z tej sieci ajwyraźniej
nikt nie korzystał: porwana i wystrzępiona, łopotała a wietrze.
Zawierała jedynie kawałki przełamanej na pół deski surfingowej, kilka
wepchniętych za węzły siatki części garderoby trochę prymitywnie
wyglądających narzędzi.

Cris zatrzymał się przed siecią i spokojnie uczeplił jedną ręką lętli
ze sznurów.

– To Ray – powiedział z zawiścią w głosie. – Ta dziew-
zyna.

Tak przynajmniej każe się nazywać... pożyczyla to imię •d raj,

płaszczek lasu skorupowego.

Farr zmrużył oczy i przyglądał się dziewczynie. Zbliżała się lo-
nich, krążąc leniwie po spirali linii wirowej. Na jej korze lśniła
oślepiająca poświata elektronowa.

– Chyba jest dobra.

– Jest dobra. Cholernie dobra – odparł Cris z lekkim roz-
;oryczeniem. – A jest o rok młodsza ode mnie... Mam tylko ładzieję,
że w Igrzyskach starczy miejsca dla nas dwojga.

– Co to za miejsce?

Chłopiec z Miasta rzucił swoją deskę surfingową w Powietrze
obserwował jej koziołkowanie.

– Nie ma nazwy – odparł, siłąc się na nonszalancki ton. – [o
tylko stara sieć Jeźdźców Skóry w takiej części Skóroobrazu, której
prawie nikt nie odwiedza. Służy nam jako baza wypadowa. '40,
wiesz, miejsce, w którym się spotykamy, wyruszamy na surf,
)rzeczowujemy parę narzędzi do konserwacji desek.

Tylko baza wypadowa, z której wyruszamy i a surf. Ton Crisa
sugerował, że to miejsce miało o wiele większe znaczenie. Farr
patrzył na dziewczynę, która zwalniała, iimąc wprawnie przez
Magpole w kierunku Skóry. Rozmyślał, ;o się czuje, gdy jest się
akceptowanym przez grupę ludzi takich jak Cris czy ta dziewczyna,
Ray – gdy można się ukryć w takim miejscu, z dala od rodzin i
pozostałej części Miasta.

Z trudem wyobrażał sobie taką sytuację. Nagle uświadomił (obie,
że przed Zaburzeniem, w którym zginął jego ojciec, rodzina nigdy nie
traciła go z oczu. Taka kryjówka musiała być czymś ogromnie
ważnym.

125

Miał ochotę zadać Crisowi więcej pytań. Czym się zajmowali ;
surferzy? Jacy byli? Ilu ich tu mieszkało?... Jednak milczał. Nie , chciał
się okazać grubiańskim ignorantem z nadpływu – w każdym razie nie
tutaj, nie wobec tych dwojga. Pragnął, żeby go zaakceptowali, przyjęli
jak swojego, choćby na jeden dzień.

Może jeśli będzie trzymał język za zębami, pomyślał, że wie więcej
niż w rzeczywistości.

Dziewczyna imieniem Ray wykonała ostatni przewrót w Powietrzu
i lekko zeskoczyła z deski. Podbiła ją kostką u nogi, złapała ręką i
wepchnęła do wyrwy w siatce. Potem uczepliła się siatki, blisko Crisa, i
uśmiechnęła się do niego i Farra. Była naga. W jej długich, związanych z
tyłu włosach, znajdowały się pasemka pomalowane na żółto jak u syna
Toby.

– Jesteś dzisiaj sama? – zapytał Cris. Wzruszyła ramionami,
oddychając ciężko.

– Czasami wolę być sama. Wtedy można odwalić kawał porządnej
roboty. – Zwróciła się do Farra. Na jej twarzy malowało się duże
zaciekawienie. – Kto to jest?

Cris uśmiechnął się i poklepał brata Dury po ramieniu.

– Nazywa się Farr. Mieszka u nas. Pochodzi z plemienia zwanego
Istotami Ludzkimi.

– Istoty Ludzkie?

– Nadpływowcy – powiedział Cris i rzucił koledze przepa-
szające spojrzenie.

Dziewczyna rozpromieniła się. Fair zauważył, że jeszcze bardziej
ją zainteresował.

– Nadpływowiec? Naprawdę? No to jak ci się podoba Parz?

Śmietnik, nie uważasz?

Farr usiłował znaleźć jakąś odpowiedź.

Nie mógł oderwać oczu od dziewczyny. Jej twarz była szeroka,
inteligentna, pełna życia; idealnie ukształtowane nozdrza połyskiwały.
Nadał dyszała po intensywnym wysiłku. Jej klatka piersiowa i ramiona
falowały. Włosowate pory między jej małymi piersiami były
rozszerzone i ciemne.

Uświadomił sobie, że Cris dziwnie mu się przygląda, podobnie jak

rozbawiona i zaciekawiona Ray. Musiał coś odpowiedzieć.
 – Parz jest w porządku. Interesujące miejsce.

126

Interesując e. Co za bełkot. Słyszał swój dudniący, nie ontrolowany głos. Czuł śmieszność swego masywnego, prze- idnie umięsnionego ciała oraz dużych rąk, które zwisały bez-żytecznie po bokach. Zbliżyła się do niego. Starał się nie spuszczać oczu z jej warzy. Nagość dziewczyny zapierała mu dech w piersiach. To ez sensu. Przecież Istoty Ludzkie zawsze preferowały nagość tylko od czasu do czasu zakładały pasy narzędziowe albo pon-ha, dlaczego więc teraz przeżywał takie emocje? Widocznie irzyzwycał się do ciał zakrtych miejskimi ubraniami, takimi łk lekkie kombinezony, które mieli na sobie on i Cris. Może Uatego nie mógł pozostać obojętny na niespodziewaną nagość lay. Tak, to musiała być właściwa przyczyna...

Poczuł intensywne ciepło w podbrzuszu. Och, krwi xeelee, łomóz mi. Niczym niezależna istota – całkowicie bez woli wojego właściciela – penis usiłował się wydostać ze schowka oiędzy nogami Farra. Chłopiec nachylił się do przodu, mając na-izieję, że fałdy kombinezonu zakryją wstydliwą wypukłość. Dziew-;zyna taksowała go wytrzeszczonymi oczami, na jej małych ustach Aąkał się uśmieszek. Domyślała się. Wiedziała o nim wszystko.
 – Interesujące – powtórzyła. – Może i tak, pod warunkiem 'L nie musiałeś w nim dorastać.
 – Oglądaliśmy twoje akrobacje – powiedział Cris. – Jesteś v świetnej formie.

– Dzięki. – Spojrzała na Crisa z zakłopotaniem. – Zosta-am wytypowana na Igrzyska. Słyszałeś o tym?
 – Tak szybko? – Fair obserwował twarz chłopca z Miasta, »a której zazdrość walczyła z sympatią dla dziewczyny. – Nie, aie, chciałem powiedzieć, że cieszę się z twojego sukcesu – iodał Cris pośpiesznie. – Naprawdę.
 Musnęła ramię Crisa opuszkami palców. . – Wiem. I wcale nie jest za późno, żebyś i ty został wybrany. –Wyjęła deskę z sieci. – Chodź, poćwiczymy.
 Chłopiec z Miasta zerknął na Farra. ; –Tak, zaraz. Ale najpierw...
 –Wyciągnął deskę w kierunku kolegi. – Chciałbyś spróbować?

127

Fan- wziął deskę z wahaniem. Pogładził jej powierzchnię dłonią. Jeszcze nigdy nie dotykał tak starannie obrobionego drewna; paski materii rdzeniowej, którymi była inkrustowana deska, były zimne i gładkie.
 – Nie masz nic przeciwko temu? Cris roześmiał się swobodnie.
 – Pod warunkiem że mi ją zwrócisz w całości. Idź z Ray – jest lepszym surferem niż ja, i lepszym nauczycielem. Zaczekam tutaj, aż skończysz.

Farr popatrzył na Ray. Uśmiechnęła się do niego.
 – Chodź, będzie fajnie. – Zabrała mu deskę. Jej palce lekko otarły się o rękę przybysza z nadpływu, wywołując u niego dreszcz oraz kolejną erekcję – i ustawiła ją płasko, zgodnie z kierunkiem Magpoła. Poklepała drewnianą, inkrustowaną paskami materii rdzeniowej powierzchnię. – Surfing jest łatwy. Bardzo przypomina falowanie, tyle że zamiast nóg używasz głównie stóp i deski. Musisz tylko pamiętać o tym, żeby nie tracić kontaktu z deską i cały czas napierać na Magpole...
 Przy pomocy dziewczyny i Crisa Fair wspiął się na deskę i nauczył, jak kołysać ją palcami i piętami. Z początku wydawało się to niemożliwe – niezdarnymi kopnięciami wciąż przesunął deskę na bok – i czuł na sobie wzrok Ray przy każdym podskoku. Ale kiedy spadał, zawsze ponownie chwycił deskę i wdrapywał się na nią. I w końcu, niespodziewanie, udało mu się. Sekret polegał nie na sile, lecz na delikatności, giętkości, wyczuwaniu łagodnego oporu

plyw

Magpola. Wystarczyło kołysać deską pewnie i miarowo w poprzek ścieżek pływowych Magpola. Ciśnienie wywierane przez stopy musiało być mniejsze od ciśnienia Magpola, tak aby podeszwy cały czas przywierały do deski. Kiedy Fair właściwie naciskał deskę jedną stopą, wówczas zaczynał powoli uginać nogi i wychylać na boki drugi koniec deski. Stopniowo uczył się zwiększać tempo kołysania. wokół palców u jego nóg wiły się smużki gazu elektronowego, gdyż w inkrustacjach z materii rdzeniowej indukował prąd. Deska falowała dokładnie tak, jak to opisywała dziewczyna, i sprawiała, że bez wysiłku, z wdziękiem sunął przez linie pływowe.

128

Uczył się zwalniać, skręcać, przyspieszać. A także kiedy wstrzymać kołysanie deski, tak by siła rozpędu niosła go po łuku w poprzek Magpola.

Nie miał pojęcia, ile czasu zajęło mu opanowanie podstawowych zasad surfingu. W niewielkim stopniu uświadamiał sobie, że Cris cierpliwie czeka na niego. Zapominał nawet, i to całkiem często, o bliskości nagiego, gibkiego ciała Ray. Żeglował po niebie. Czuł się tak, jakby po raz pierwszy uczył się falować. Deska pod jego stopami wydawała się czymś zupełnie naturalnym, jak gdyby zawsze tam była, i doszedł do wniosku, że – bez względu na swoje dalsze losy – nigdy nie zapomni tego oszałamiającego przeżycia.

Ray pikowała przed nim odwrócona, z rękami na gołych biodrach.

– W porządku – oznajmiła. – Opanowałeś podstawy. Teraz spróbujmy prawdziwego surfu. Ruszamy!

Wysoko nad Biegunem Fair pokonywał korytarze światła, wyznaczone sześciokątnymi szeregami linii wirowych. Linie odpływały od niego z zawrotną, niewyobrażalną szybkością. Miękkie jaja pajaków spinowych otulały jego twarz i nogi w locie; Powietrze owiewało mu policzki, a niewielka lepkość składnika, który nie przejawiał nadciekłości, wywoływała słaby opór. Morze Kwantowe w dole przypominało fioletową podłogę wytyczającą granice żółtego Powietrza, Miasto zaś było potężnym, skomplikowanym blokiem z drewna i światła, górującym nad Biegunem, ogromnym, a jednak pomniejszonym przez Płaszczooobraz. Ray prowadziła. Z bezwiedną wprawą kreśliła pętle wokół linii wirowych, a na jej łydkach i pośladkach błyszczało światło i elektronowe.

Twarz Farra rozciągał nie kontrolowany uśmiech. Wiedział, że się śmieje, wiedział, że dziewczyna to widzi, a jednak nie potrafił przestać się uśmiechać. Surfing był cudowny. W głowie chłopca roiło się od skomplikowanych, nierealnych planów, dzięki którym mógłby zostać posiadaczem deski, dołączyć do tej dziwacznej, małej trupy surferów, a kiedyś może nawet wziąć udział w Igrzyskach.

129

Ray odwróciła się i zbliżyła do niego.

– Dobrze ci idzie! – krzyknęła.

– Nadal czuję, że w każdej chwili mogę spaść. Roześmiała się.

– Jesteś silny. To rekompensuje wiele innych braków. Chodź.

Spróbuj krażyć po spirali.

Pokazała mu, jak wychylić ciało w tył i pchać deskę w poprzek Magpola, tak aby mógł kreślić wolne, nierówne i zamaszyste krzywe wokół linii wirowej. Nadal pędził naprzód, ale teraz rozległa panorama otaczała go ze wszystkich stron, przesuwając się miarowo. Spojrzał w dół, na własne ciało i na deskę. Błękitne światła z korytarzy linii wirowych i łagodny fioletowy blask Morza tworzyły wymyślną grę cieni na drewnianej powierzchni.

Naparł mocniej na Powietrze, usiłując, tak jak Ray, zacieśnić spiralne pętle wokół linii wirowych. Dotąd nie wykonywał tak trudnego manewru, toteż musiał się skoncentrować, przemyśleć każdy ruch rąk i nóg.

Stopa chłopca ześlizgnęła się z rowkowanej powierzchni. Stracił

plyw

równowagę i odbił się od deski, która momentalnie wyslizgnęła się spod niego. Poleciał w górę, ku linii wirowej, która była osią jego spiralnego lotu. Kiedy zbliżył się do niej na odległość jednego człowieka, poczuł, że Powietrze gęstnieje, napierając na jego tors i kończyny. Nagle szarpnęło nim w górę i okręciło gwałtownie wokół wirowej osobliwości. Po chwili został odrzucony daleko w Powietrze od linii wirowej.

Przekoziołkował do tyłu. Machał nogami i falował, żeby się zatrzymać. Położył się, tak aby Magpole wywierało na niego lekki nacisk, i śmiał się cicho, czując ciśnienie Powietrza na piersi. Ray przeleciała w poprzek Magpola na swojej desce, trzymając pod pachą deskę Crisa.

– Założę się, że nie potrafiłbyś tego powtórzyć. Wziął od niej deskę.

– Chyba powinienem ją zwrócić Císowi. I tak był bardzo cierpliwy.

Wzruszyła ramionami i odgarnęła z twarzy zabłąkany włos.

– Rzeczywiście. Chcesz przedtem jeszcze raz się pościgać?

Zawahał się i poczuł, że znowu się uśmiecha.

130

– Tylko raz.

Nagle okręcił deskę w Powietrze, ugiął nogi w kolanach i podłożył ją pod stopy. Napierając na deskę, popchnął ten kawałek drewna tak szybko, jak tylko mógł, i pomknął przez korytarz linii wirowych. Za plecami słyszał śmiech dziewczyny, która również wspięła się na deskę.

Zegłował nad Biegunem, ponad bezwładnym cielskiem Miasta.

Wiedział, że jeszcze steruje deską niezręcznie, ale wykorzystywał całą swoją siłę nadpływowca. Miał wrażenie, że powoli zakrzywiające się linie wirowe śmigają obok niego niczym włócznie. Lekka bryza Powietrza owiewała jego włosy.

Wydawało się, że świetlny korytarz linii wirowych nie ma końca.

Farr upajał się swobodą lotu po prostej, jakże odmienną od krążenia po spirali. Jeszcze nigdy w życiu nie poruszał się z taką prędkością.

Otworzył usta i krzyknął.

Usłyszał wołanie Ray. Obejrzał się przez ramię. Dziewczyna w dalszym ciągu goniła go, ale miał nad nią dużą przewagę. Mimo że surfowała, przyłożyła rękę do ust i krzyczała. Zmarszczył brwi i natężył wzrok, ale nie potrafił zrozumieć, o co jej chodzi. Zauważył, że wyciągnęła rękę w jego kierunku – nie, pokazywała coś znajdującego się przed nim.

Spojrzał przed siebie i zobaczył, że coś przecina trasę jego lotu.

Pajęczyna spinowa.

Odniosł wrażenie, że niebo przed nim pokrywają cienkie, błyszczące

nitki. Widział miejsce, w którym pajęczyna opadała z

uporządkowanego szeregu linii wirowych, zawieszona na małych, zwartych pierścieniach, okalających linie wirowe i nie stykających się nawet ze świecącymi osobliwościami spinowy-; mi. Między pierścieniami kotwicznymi znajdowały się długie i pętli łączące wirowe szeregi. Misternie splecione nitki były ; niemal niedostrzegalne, ale odbijały złotofioletowy blask Płasz-| cza, tak że linie światła tworzyły na niebie bogaty gobelin.

i Przybysz z nadpływu pomyślał w roztargnieniu, że jest to ; bardzo piękne. Tyle że przegradzało niebo jak ściana. i w górze, po lewej, Farr ujrzał pająka spinowego, który przy- i pominął wielką, rozbebeszoną świnię powietrzną. Każda z sześciu jego nóg była długa na jednego człowieka, a w szerokim otworze

131

gębowym z pewnością zmieściłby się tors młodego mężczyzny.

Wydawało się, że zwierzę naprawia uszkodzone nitki. Chłopiec

zastanawiał się, czy został już zauważony – czy pająk już zaczyna sunąć do punktu, w którym miał uderzyć w sieć, czy też zaczeka, aż

plyw

ofiara ugrzeźnię między kleistymi nitkami. Od chwili gdy dostrzegł pajęczynę, upłynęło ledwie kilka uderzeń serca, a mimo to odległość między nim a wytworem pająka wyraźnie się zmniejszyła.

Kręcił biodrami i napierał deską surfingową na Magpole, usiłując wytracić prędkość. Wiedział jednak, że nie zdoła w porę się zatrzymać. Szybko rozejrzał się po niebie, szukając brzegów pajęczyny. Może mógłby zmienić kierunek lotu i bezpiecznie ominąć pułapkę. Niestety, nigdzie nie było widać końca pajęczej sieci. Szerokość niektórych pajęczyn spinowych wynosiła nawet setki ludzi.

Może mógłby przedrzeć się przez sieć, zanim pajak zdoła go dopaść. Trudno mu było uwierzyć w powodzenie takiej akcji – pajęczyna składała się z warstw i musiałby pokonać mnóstwo lepkich nitek – ale nie miał innego wyjścia.

Jak mógł być tak głupi i wpaść w tego rodzaju pułapkę? Przecież był nadpływowcem, chłopcem nawykłym do życia w dziczy, a jednak popełnił jeden z podstawowych błędów, takich, przed którymi zawsze przestrzegano Istoty Ludzkie. Ray i Cris uznają go za głupca. To samo pomyśli siostra, gdy dowie się o wszystkim. Już słyszał jej głos, zabarwiony intonacją charakterystyczną dla ich ojca: „Zawsze patrz na nadpływ i podpływ. Zawsze. Kiedy napedzisz stracha świni powietrznej, jaką drogę wybiera? W podpływ albo w nadpływ, wzdłuż ścieżek pływowych, gdyż dzięki temu jest szybsza. To najłatwiejszy sposób poruszania się każdego zwierzęcia – bo gdy suniesz w poprzek ścieżek pływowych, Magpole stawia opór. I właśnie dlatego drapieżniki zastawiają pułapki w poprzek ścieżek pływowych; tylko czekają, aż jakieś głupie stworzenie poruszające się wzdłuż ścieżki wleci im prosto do gęby...”

Pajęczyna błyskawicznie przesłoniła całe niebo. Teraz Fair dostrzegał więcej szczegółów – błyszczącą, lepka powierzchnię nici, grube węzły w miejscach, gdzie się przecinały. Skręcił i docisnął deskę, starając się maksymalnie zwiększyć prędkość.

132

Pochylił się – jego kolana oraz kostki cały czas intensywnie pracowały – i splótł ręce nad głową.

Kiedy pajęcza sieć pochwyciła go, nie stracił przytomności. Prawdopodobnie nie odniósł obrażeń. Zastanawiał się, ile czasu upłynie, nim pajak zejdzie. Czy będzie jeszcze świadomy, kiedy twój dobierze się do jego ciała?

Nad jego głową przemknęło coś, zmierzając w kierunku pajęczyny.

Uchylił się, omal nie tracąc deski, i spojrział w górę. Czyżby pajak już opuścił pajęczynę i przybył po niego?

Ale to była Ray. Udało jej się dogonić go i prześcignąć. Teraz leciała przed nim, nurkując w głąb splątanych nici. Sunęła zdecydowanie – ciasnymi, spiralnymi pętłami – przecinając błyszczące pęta krawędzią swojej deski. Fair widział, jak pasma pajęczyny ocierały się o jej ręce i barki; najpierw napinały się, a potem wiotczały w miarę pokonywania przez dziewczynę kolejnych warstw pułapki.

Zrozumiał, że Ray wycina dla niego tunel w pajęczynie. To nieregularne przejście już zaczynało się zamykać – najwyraźniej sieć podlegała samoistnej regeneracji – ale nie miał wyboru i musiał skorzystać z zaoferowanej mu szansy.

Gwałtownym ruchem zagłębił się w pajęczynę.

Otoczyła go skomplikowana, trójwymiarowa sieć światła. Nici szybowały przed nim, opadały na ramiona, ręce i twarz, zaczepiały o materiał kombinezonu, skórę i włosy i odrywały się, powodując lekki ból. Fair krzyczał, ale nie miał odwagi, by osłonić twarz dłońmi albo zamknąć oczy, czy też unieść ramiona – żeby odsunąć nitki – bał się, że straci kontrolę nad deską.

Nagle, równie szybko jak wdarł się w pajęczynę, wydostał się z niej. Ostatnie pasma miękko rozsunały się przed nim, czemu towarzyszył dźwięk, przypominający ciche westchnienie. Fair znalazł

się w czystym Powietrzu.

Ray czekała na niego w odległości stu ludzi od brzegu pajęczyny. Trzymała deskę pod pachą. Chłopiec zatrzymał się przed dziewczyną i niezdarnie zeskoczył z własnej deski.

Odwrocił się i spojrzał na pajęczynę. Wycięty korytarz już się zamknął. Pozostała po nim jedynie ciemna, cylindryczna ścieżka przebiegająca przez warstwy pułapki i pokazująca, w którym

133

miejscu ich przejście naruszyło strukturę pajęczej sieci. Sam pajak powoli gramolił się przez linie wirowe, by sprawdzić, co zakłóciło spokój jego królestwa.

Farr zadygotał. Nawet nie próbował ukrywać, jak bardzo jest wstrząśnięty. Odwrócił się do Ray.

– Dziękuję...

– Nie. Nie mów tego. – Uśmiechała się szeroko. Nie okazywała najmniejszego lęku. Jej pory były szeroko otwarte. Spoglądała przed siebie, pełna życia i nieodparcie atrakcyjna. Właśnie to poruszyło go, gdy zobaczył ją pierwszy raz. Dziewczyna chwyciła Farra za ramiona i mocno nim potrząsnęła.

– Czy to nie było fantastyczne? Co za lot! Opowiem o tym Crisowi...

Wskoczyła na deskę i poleciała dalej.

Obserwował jej umięśnione nogi. Kiedy minął pierwszy szok wywołany bliskością śmierci, kolejny raz stwierdził, że ma erekcję. Wgramolił się na deskę i ruszył w drogę. Sunął powoli, trzymając się z dala od pajęczyny.

Tobą wrócił po kilku dniach i powiedział Durze i Farrowi, że zarejestrował ich w biurze pracy na Rynku. Dziewczyna wywnioskowała z tego, że Mixxax kolejny raz wyświadczył im przysługę, ale podczas rozmowy cały czas odwracał wzrok, a kiedy przystąpili do posiłku, Cris zachowywał się inaczej niż zwykle: sprawiał wrażenie zakłopotanego i milczał. Ito niespokojnie krążyła wokół nadpływowców; jej spojrzenie było głębokie i ponure.

Rodzeństwo miało na sobie stroje, które, jak zwykle, pożyczyła im rodzina. Jednak tym razem Tobą powiedział cicho, żeby poszli bez ubrań. Córka Logue'a ścigała gruby kombinezon z dziwną niechęcią. Nie, żeby przyzwyczaiła się do zakrywania skóry; po prostu wiedziała, że na ruchliwych ulicach wszyscy będą zwracali uwagę na jej nagość.

Tobą wskazał z zakłopotaniem pas Dury.

– Lepiej to zostaw.

134

Dziewczyna spuściła wzrok. Jak zawsze, była przewiązana kawałkiem sznura, a mały nóż i skrobaczka, które uwierały ją z lekka w plecy, tuż nad biodrami, dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Wyciągnęła rękę do sznura.

Mężczyzna spojrzał bezradnie na Ito, która, wahając się, podeszła do Dury ze splecionymi dłońmi.

– Dura, naprawdę byłoby lepiej, gdybyś zostawiła swoje rzeczy tutaj. Chyba rozumiem, co czujesz. Nie potrafię sobie wyobrazić, co bym zrobiła na twoim miejscu. Ale przecież nie potrzebujesz tych rzeczy, tej broni. Chyba masz świadomość, że nie zapewniłyby ci wystarczającej ochrony...

– Nie o to chodzi – przerwała dziewczyna. Słyszała swój własny, chropowaty i nieco zdziczały głos. – Rzecz w tym, że... Zniecierpliwiony Tobą ruszył naprzód.

– Rzecz w tym, że się spóźnimy. A jeśli chcesz dobrze dzisiaj wypaść, Dura – a zakładam, że chcesz – będziesz musiała pomyśleć, jakie wrażenie wywołają te twoje prymitywne wytwory na potencjalnym kliencie. Większość ludzi w Parz sądzi, że już jesteś jakimś częściowo oswojonym zwierzęciem.

– Tobą... – zaczęła Ito.

plyw

– Przykro mi, ale taka jest prawda. A jeśli ona przejdzie się po Mali z nożem zatkniętym za pas, będziemy mieli szczęście, jeżeli strażnicy nie zgarną nas, zanim dotrzemy na Rynek.

Fair przysunął się do Dury, ale odpędziła go.

– Wszystko w porządku, Farr – powiedziała. Jej głos wydawał się spokojniejszy, rzeczowy. – On ma rację. Przecież te rzeczy i tak nam się nie przydadzą. To tylko śmieci z nadpływu.

Powoli rozwiązała sznur.

Hałas panujący na Rynku rozgrzewał Powietrze nawet nad wilgotnym i zimnym Biegunem. Ludzie tłoczyli się między straganami, skupionymi wokół znajdującego się pośrodku Koła. Byli ubrani w jaskrawe, ekstrawaganckie stroje. Dura zasłoniła rękami piersi i brzuch, onieśmielona mnóstwem natarczywych oczu.

Farr milczał, ale zachowywał czujność.

Tobą zaprowadził ich do kabiny – przestrzeni odgródzonej od reszty Rynku konstrukcją z drewnianych desek. Wewnątrz

135

znajdowało się kilkanaście dorosłych i dzieci – wszyscy pokorni, rozczochrani i źle ubrani w porównaniu z większością osób na Rynku. Nagość Dury i Farra przyciągała apatyczne, nieco zaciekawione spojrzenia.

Tobą polecił Istotom Ludzkim, żeby weszły do środka

– Rozumiecie, o co tutaj chodzi? – zagadnął z niepokojem.

– Tak – odparł chłopiec, wyteżając wzrok. – Zamierzasz nas sprzedać.

Mixxax potrząsnął okrągłą głową.

– Wcale nie. W każdym razie ja się nie zajmuję tego rodzaju rzeczami. To jest Rynek pracy. Tutaj to w y będziecie sprzedawać – swoją pracę – nie siebie.

Cztery z wyglądu zamożne osoby – trzech mężczyzn i kobieta

– wyłoniły się z tłumu na Rynku i podeszły do kabiny. Przybysze z zaciekawieniem przyglądali się Istotom Ludzkim, ale wydawało się, że zwracają szczególną uwagę na Farra.

– Wątpię, żeby to robiło dużą różnicę, prawda? – odezwała się Dura.

– Zasadniczą różnicę – odparł Tobą. – Podpisujesz kontrakt na określony czas... Nie tracisz wolności. I w końcu...

– Przepraszam – wpadła mu w zdanie kobieta. – Chcę popatrzeć na tego chłopaka. Mixxax uśmiechnął się.

– Fair, wystąp. Nie bój się.

Młodzieniec odwrócił się do Dury z rozdziawionymi ustami.

Zamknęła oczy. Nagle ogarnął ją wstyd, że może zrobić tak niewiele, by ochronić własnego brata.

– Idź, Farr. Oni nie zrobią ci krzywdy.

Chłopiec prześlizgnął się między drewnianymi deskami i opuściłabinę.

Kobieta mogła być rówieśniczką Dury, ale odznaczała się znacznie większą tuszą. Jej rurki włosowe były wymyślnie upięte w złotobiały kok, a na kościach policzkowych zalegały fałdy tłuszczu.

Z miną zawodowca zajrzała do oczodołów Farra, a także do uszu i nozdrzy. Następnie poleciła mu otworzyć usta i przebiegła palcami po jego dziąsłach, wyskrobując i oglądając znalezione

136

tam resztki. Potem wepchnęła mu palce pod pachy, w odbyty i schowek z penisem.

Dura odwróciła się, nie chcąc patrzeć na upokorzenie brata.

Kobieta odezwała się do Toby:

– Jest całkiem zdrowy, chociaż niedożywiony. Jednak nie wydaje się wystarczająco silny. Mixxax zmarszczył brwi.

– Myśli pani, że nadawałby się do Poławiania?

– Tak... Przecież jest szczupły i lekki. Ale...

– On jest nadpływowcem, proszę pani – rzekł Tobą z zado-

woleniem.

– Naprawdę? – Kobieta spojrzała na Farra z większym zainteresowaniem. Nawet odsunęła się od niego i wytarła ręce o swoją odzież.

– A to oznacza, że jak na swój wzrost i masę, jest ogromnie silny tu, w pobliżu Bieguna. Znakomicie nadaje się do Dzwonów. – Tobą zwrócił się do Dury. – Widzisz, Dura, tu, na Biegunie, nasze ciała ulegają przemianie, ponieważ Magpole jest silniejsze – wyjaśnił, jakby recytował wyuczoną lekcję. Wydawało się, że mówi tylko po to, żeby mówić – żeby zapełnić ciszę, podczas gdy tamta kobieta decydowała o losie Farra. – Związki między jądrami stają się mocniejsze. Właśnie dlatego jest ci cieplej, a twoje mięśnie...

– Jestem pewna, że masz rację – przerwała mu kobieta. – Ale...

– Zawahała się. – Czy on jest...

– Tresowany? – wtrąciła gniewnie Dura.

– Dura! – ostrzegł ją Tobą.

– On jest Istotą Ludzką, a nie dzikim knurem, szanowna pani. I może mówić za siebie.

– Proszę pani, ręczę za poczciwą naturę tego chłopca – szybko odezwał się Tobą. – Mieszka pod moim dachem. Jada z moją rodziną. A poza tym warto go kupić za... – nadał policzki i wydawało się, że pośpiesznie robi obliczenia – za pięćdziesiąt skór. Kobieta zmarszczyła czoło, ale na jej otyłej, szerokiej twarzy malowało się zainteresowanie.

– Za ile? Standardowe dziesięć lat? – zagadnęła.

– Oczywiście, plus zwyczajowe klauzule dotyczące grzywien – dorzucił Mixxax.

137

Kobieta zawahała się.

Przy kole na środku Rynku zaczął się gromadzić tłum. Panował coraz większy hałas i podniecenie... Niebezpieczny rodzaj podniecenia. Nagle Dura poczuła żal, że kabina jest tak kiepskim schronieniem.

– Posłuchaj, nie mam czasu się targować. Chcę obejrzeć egzekucję. Czterdzieści pięć, to go wykupię. Tobą wahał się najwyżej chwilę.

– Zgoda.

Kobieta wchodziła do tłum, po raz ostatni obrzuciwszy chłopca zaintrygowanym spojrzeniem.

Dura opuściła podobną do klatkiabinę i dotknęła ramienia Tobę.

– Dziesięć lat?

– Takie są standardowe warunki.

– A praca?

Mixxax sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Jest ciężka. Nie będę próbował tego ukrywać. Każą mu obsługiwać Dzwony... Ale jest silny i wytrzyma to.

– A kiedy będzie zbyt słaby, żeby pracować? Mężczyzna zacisnął usta.

– Nie będzie w Dzwonach na zawsze. Mógłby zostać nadzorcą albo jakimś innym specjalistą. Posłuchaj, Dura, wiem, że to musi ci się wydawać dziwne, ale tu, w Parz, postępujemy właśnie w ten sposób.

Ten system trwa od pokoleń... A ty zaakceptowałaś go, pośrednio, kiedy zgodziłaś się wejść do samochodu i znaleźć sposób zapłacenia za kurację Addy. Przecież cię ostrzegałem. – Okrągłe, ospałe oblicze Tobę przybrało wyzywającą minę. – Zrozumiałaś to, prawda? westchnęła.

– Tak. Oczywiście, że zrozumiałam. Nie wszystkie szczegóły, ale... Nie znalazłam innego wyjścia.

– Rzeczywiście – rzekł twardo mężczyzna. – No cóż, teraz nie masz już żadnego wyboru.

Wahała się, co powiedzieć. Nie zносиła błagania. Jednak Tobą i jego dom były jedynymi względnie znajomymi punktami oparcia w tym nowym świecie.

– Tobą Mixxax, czy t y nie mógłbyć nas kupić... naszej pracy?

Masz farmę sufitową na Skorupie...

– Nie – odparł ostrym tonem. – Przykro mi, Dura – dorzucił z większą życzliwością – ale nie jestem zamożnym człowiekiem. Po prostu nie mógłbym sobie na was pozwolić. A raczej, nie byłoby mnie stać na ustalenie godziwej ceny za was. Nie byłibyście w stanie spłacić rachunków Addy. Rozumiesz? Posłuchaj, czterdzieści pięć skór za dziesięć najlepszych lat życia Farra, mimo iż jest niewykwalifikowany, może ci się wydawać fortuną, ale uwierz mi, ta kobieta dokonała korzystnej transakcji i dobrze o tym wiedziała. Poza tym...

Jego słowa zagłuszył nagły ryk publiczności zgromadzonej wokół ogromnego koła. Ludzie przepychali się i wchodzili jeden na drugiego, tłocząc się na linach i poręczach.

Dura nie była szczególnie zaciekawiona, lecz mimo to apatycznie spojrzała na tłum, usiłując odkryć przyczynę ogólnego poruszenia. Zobaczyła, że przez tłum jest wleczonej jakiś mężczyzna. Dwaj eskortujący go, energicznie falujący ludzie byli ubrani w mundury podobne do noszonych przez strażników w szpitalu Muuba, a ich zasłonięte skórzanymi maskami twarze wyglądały niesamowicie groźnie. Więzień był starszy od Dury o co najmniej dziesięć lat. Miał gęstą, żółknącą czuprynę i wychudzoną, cierpliwą twarz. Był rozebrany do pasa i wydawało się, że jego ręce są związane z tyłu. Ludzie cofali się przed nim, chociaż jednocześnie wykrzykiwali słowa zachęty pod adresem strażników.

Dziewczyna potarła nos, przygnębiona i zdezorientowana.

– Nie pojmuję, o czym mówisz. Dlaczego czterdzieści pięć skór to fortuna? Skóry czego?

Mixxax musiał krzyczeć, żeby go usłyszała.

– To oznacza czterdzieści pięć skór świń powietrznych. Teraz zaczęła coś rozumieć.

– A zatem twierdzisz, że praca Farra jest warta czterdzieści pięć świń powietrznych?

– Nie, oczywiście, że nie.

Obok kabiny przeszedł kolejny nabywca, który krótko pytał o Farra. Tobą musiał mu odmówić, ale powiedział, że ma na sprze-

139

daż Durę. Nabywca – prymitywnie wyglądający, otyły mężczyzna w obcisłej szacie – pobieżnie obejrzał dziewczynę i poszedł dalej.

Dura zadygotała. W spojrzeniu mężczyzny nie było niczego groźnego, a już na pewno nie patrzył na nią pożądliwie. Właściwie – i to było najstraszniejsze, najbardziej przygnębiające – w jego wzroku nie było ani odrobiny uczucia. Spoglądał na nią

– na nią, Durę, córkę Logue'a i przywódczynię Istot Ludzkich

– tak jak ona sama mogłaby patrzeć na włócznie lub nóż albo rzeźbiony kawałek drewna.

Jak na narzędzie, me człowieka.

Tobą wciąż usiłował jej wytłumaczyć pojęcie skór.

–Widzisz, nie mówimy o prawdziwych świniami. – Uśmiechnął się pobłaźliwie. – To byłoby niedorzeczne. Potrafisz sobie wyobrazić ludzi wożących pięćdziesiąt bądź sto świń z miejsca na miejsce po to, by uprawiać handel wymienny? Widzisz, wszystko opiera się na kredycie. Skóra jest warta tyle, co jedna świnia. Możesz zatem wymieniać skóry – a raczej ilości kredytu w skórach – i jest to równoznaczne z handlem świniami. – Pokiwał radośnie głową. – Teraz rozumiesz?

– A więc gdybym miała kredyt w postaci jednej skóry, mogłabym wymienić ją na jedną świnie.

Już otwierał usta, żeby wyrazić zgodę, ale zaraz zrzędzła mu mina.

– Och, niezupełnie. Jedna świnia – zdrowa, zdolna do rozrodu dorosła sztuka – kosztowałaby cię obecnie mniej więcej cztery i pół

plyw

skóry. Jednak cena rzeczywistej świni nie jest istotna. Nie o to tu chodzi. Nie rozumiesz? To wszystko ma związek z inflacją. Świnia powietrzna jest podstawowym środkiem wymiennym, ale... Dura odwróciła głowę. Wiedziała, że jeśli chce wydostać siebie samą i swoich podopiecznych z tej matni, musi zrozumieć obyczaje tutejszych mieszkańców, ale zniechęcała ją liczba linii pływowych, przez które musiałaby falować w tym celu. Podszedł do nich kolejny mężczyzna. Był niski, miał na sobie luźny kombinezon, przeładowany ozdobami. Jego rurki włosowe były pomalowane na różowo. Uścisnął rękę Tobie. Chyba się

140

znali. Mężczyzna wywołał Durę z kabiny i –ku jej zawstydzeniu – zaczął ją poddawać takim samym intymnym oględzinom, jakie przeżył Farr.

Dziewczyna usiłowała nie myśleć o obmacujących ją palcach dziwnego człowieczka. Obserwowała skazańca, który został doprowadzony do drewnianego koła. Strażnicy brutalnie rozpostarli jego kończyny i przywiązali je do czterech szprych, a wokół szyi zaciśnięto mu rzemień, tak że ofiara nie mogła oderwać głowy od piątej szprychy. Mimo że Dura sama doświadczała upokorzenia, skrzywiła się, gdy rzemień zaczął ranić ciało mężczyzny.

Tłum głośno ryknął i w gorączkowym podnieceniu zbliżył się do koła. Pomimo że ludzie mieli na sobie piękne, zbyt kosztowne stroje, Durze nasunęło się skojarzenie z karmieniem świń powietrznych. Tobą Mixxax dotknął jej ramienia.

– Dura, przedstawiam ci Qosa Frenka. Jest zainteresowany twoją pracą... Niestety, tylko pięcioletnim okresem.

Qos Frenk, różowowłose nabywca, zakończył oględziny.

– Wszyscy się starzejemy – powiedział z melancholijną życzliwością. – Ale piętnaście skór to uczciwa cena.

– Tobą Mixxax, czy to pokryje koszt kuracji Addy, razem ^z zapłatą za Farra? | Tobą skinał głowę.

– Mniej więcej. Oczywiście Adda też będzie musiał znaleźć t

sobie pracę, gdy tylko dojdzie do zdrowia. A... i – Przyjmę tę ofertę – przerwała mu posępnym głosem. – [Powiedz mu to.

" Koło zaczęło się kręcić wokół osi. | Tłum zawył. Z początku obroty koła były wolne i wydawało | się, że przywiązany mężczyzna uśmiecha się. Jednak wkrótce 'nabrało rozpędu i Dura zauważyła, że głowa ofiary uderza |o szprychę.

j – Dura, znam Qosa – odezwał się Mixxax. – Będzie cię | dobrze traktował.

| Qos Frenk uprzejmie kiwnął głową w jej kierunku. | – Jak daleko będę od Farra?

\ Tobą zawahał się, patrząc na nią dziwnie, a przyszedł pracodawca Adziewczyny wydawał się nieco zmieszany.

141

Torturowany mężczyzna tymczasem zamknął oczy i zacisnął pięści, żeby wytrzymać ból. Dura przypominała sobie, jak locha atakowała Addę. W miarę wzrostu prędkości obrotów. Powietrze w naczyńkach włosowatych więźnia traciło nadciężłość, zaczynało się ścinać i przepływać coraz wolniej. Wiedziała, że wkrótce straszliwy ból rozpełźnie się z żołądka na całe ciało skazańca i obejmie sparaliżowaną powłokę. A potem...

– Dura, nic nie rozumiesz. Qos posiada farmę sufitową, która

granicy z moją. Będiesz pracowała na Skorupie jako kulis.

Wytłumaczyłem Qosowi, jak dobrze wy, nadpływowcy, jesteście przystosowani do tego rodzaju pracy. Przecież znalazłem was w okolicach Skorupy...

– A co z Farrem?

– Zamieszka w Porcie. Będzie Poławiaczem. Myślałem, że to rozumiałaś... Dura...

Mężczyzna wirował tak szybko, że jego kończyny tworzyły

plyw
rozmazaną plamę. Dura doszła do wniosku, że już stracił przytom-
ność. Na szczęście nie widziała jego twarzy.
– Gdzie jest ten Port, Tobą? Zmarszczył brwi.
– Przepraszam – rzekł tonem autentycznej skruchy. –
Czasami zapominam, jakie to wszystko jest dla ciebie nowe. Port
mieści się u podnóża Miasta, na szczycie Grzbietu... drewnianej
kolumny, która wyrasta u podnóża Miasta. Dzwony Portu poruszają
się wzdłuż Grzbietu, nurkując głęboko w Podpłaszcz. I...
– I to jest nie do przyjęcia – warknęła dziewczyna. Frenk
odskoczył od niej i wytrzeszczył oczy. – Muszę być razem z
Farrem.
– Nie. Posłuchaj mnie, Dura. To nie wchodzi w rachubę. Fair
idealnie nadaje się do pracy w Porcie. Jest młody i lekki, a jed-
nocześnie bardzo silny. Ty jesteś zbyt stara do tej pracy. Przykro mi,
ale taki jest stan rzeczy.
– Nie chcemy się rozstawać.
Twarz Toby Mixxaxa przybrała surowy wyraz.
– Słuchaj, Dura – powiedział, wypychając wąty podbródek. –
Dołożyłem wszelkich starań, żeby wam pomóc. Widzę, że Ito i Cris
polubili was. Muszę jednak prowadzić własne życie.
142

Musisz się z tym pogodzić, bo inaczej odejdę stąd i zostawię ciebie i
twojego ukochanego brata na łasce strażników. Nie minie pół dnia, a
dołączycie do tego mężczyzny na kole – kolejnych dwoje
niezdolnych do pracy włóczęgów.
Koło było teraz zamazaną plamą. Podniecony tłum wrzeszczał.
Po chwili rozległ się cichy, ohydny trzask. Koło gwałtownie
zwolniło. Ręce, nogi i głowa mężczyzny zawisły bezwładnie podczas
ostatnich obrotów.
Trzask wywołało pęknięcie jamy brzusznej więźnia; naczynia
powietrzne spoczywały pośród fałd ciała niczym grube, zakrwawione
rurki włosowe. Przejęty grozą tłum umilkł.
Tobą nie zwracał uwagi na tę scenę. Nadal patrzył córce Logue'a w
twarz.
– Więc jak będzie, Dura? – syknął.
Strażnicy odcięli połamane ciało od koła. Ludzie w tłumie zaczęli
się rozchodzić, rozmawiając coraz głośniejsze.
Durze i Farrowi pozwolono odwiedzić Addę w jego pokoju
szpitalnym – na jego oddziale, jak zapamiętała dziewczyna.
Potężny wiatrak obracał się powoli na jednej ze ścian. Na oddziale
panował przyjemny chłód – prawie jak na otwartym Powietrzu.
Szpital mieścił się blisko zewnętrznej ściany Miasta, a oddział
wydawał się stosunkowo dobrze oświetlony; łączył go ze światem
poza skórą krótki korytarz. Wchodząc do środka, Dura odniosła
wrażenie, że pracują tu życzliwi i kompetentni ludzie.
Widok Addy natychmiast rozwiął jej optymistyczne przypusz-
czenia. Starzec wisiał na środku sali w płataninie linek, taśm i bandaży;
jego sponiewierane ciało prawie w całości pokrywał jakiś | cienki
materiał. Lekarka – doktor Deni Maxx, pulchna, z wyglądu
j'pedantyczna kobieta, której pas i kieszenie były wypchane tajemni-
czymi przedmiotami – gorliwie krzątała się przy chorym.
Adda zerknął na rodzeństwo zza warstwy gazy. Prawe ramię,
złamane podczas polowania, zabandażowano, a dolne partie nóg
unieruchomiono łubkami. Ktoś wyczyścił mu oko z ropy i zaaplikował
maść, żeby odstraszyć organizmy symbiotyczne.
Dura była teraz bardziej przerażona ranami starego myśliwe-
143

go niż w trakcie polowania w lesie skorupy, kiedy próbowała
opatrzyć je gołymi rękami. Niepokojąco przypomniały się jej martwe
zwierzęta z wystawy w Muzeum.
– Wyglądasz dobrze – powiedziała.
– Kłamiwa locha – burknął Adda. – Na kości xeelee, co ja tu

plyw

robię? Dlaczego nie wydestałaś się stąd, póki jeszcze możesz? Pani doktor cmoknęła językiem i skubnęła bandaż.

– Wiesz, dlaczego tu jesteś – przemówiła głośno, jakby Adda był głuchym dzieckiem. – Masz się tutaj leczyć.

– Tak czy owak, niedługo nas tu nie będzie – odezwał się Farr.

– Ja rozpocznę pracę w Porcie, a Dura udaje się na farmę sufitową. Adda przygwoździł dziewczynę zjadliwym spojrzeniem jedyne zdrowego oka.

– Ty głupia suko.

– Stało się, Adda. Nie będę się z tobą spierała.

– Powinniście byli pozwolić mi umrzeć, zamiast dać zrobić z siebie niewolników. – Próbował unieść owinięte gazą ramię.

– Jak wam się wydaje, jak teraz będę żył?

Jego ton zrobił na Durze odpychające wrażenie. Starzec wydawał się szalony, oderwany od rzeczywistości – zupełnie nie pasował do tego potężnego, uporządkowanego otoczenia. Córka Logue'a porównywała gwałtowność Addy z cichą pokorą Ito, która szła przez życie małymi krokami, jakby nie uświadamiała sobie braku swobody, wywołanego naporem ludzi wokół niej. Dura nie zamieniłaby się z Ito, ale czuła, że zaczynają rozumieć. Natomiast wściekłość jej wiekowego współplemieńca była prymitywna i tępa.

– Adda – powiedziała ostro. – Daj spokój. Co się stało, to się nie odstanie. Musimy robić dobrą minę do złej gry.

– Faktycznie – westchnęła filozoficznie pani doktor. – Czyż nie tak to zawsze wygląda?

Starzec spojrział spode łba na kobietę.

– A ty czego się wtrącasz, ohydna stara wiedźmo? Deni Maxx pokręciła głową, wyrażając jedynie łagodną dezaprobatę.

Dura, wściekła i roztrzęsiona, zapytała, czy Adda wraca do zdrowia.

144

– Czuje się na tyle dobrze, na ile mogliśmy tego oczekiwać.

– Co to ma znaczyć? Czy wy tutaj nie potraficie mówić wprost?

Pani doktor zrzędała mina.

– Mam na myśli to, że będzie żył. Wygląda na to, że jego kości się zrastają – powoli, z racji podeszłego wieku, ale się zrastają. Pozszywałam przerwane naczynia; teraz większość jego naczyń włosowatych może utrzymać ciśnienie...

–Ale?

– Nigdy nie odzyska sił. I może być niezdolny do opuszczenia Miasta.

Dura zachmurzyła się. Nawiedziła ją egoistyczna myśl o przedłużonym okresie spłacania kosztów kuracji Addy.

– Dlaczego nie? Skoro twierdzi pani, że wraca do zdrowia...

– Tak, ale nie będzie w stanie wytworzyć właściwego poziomu ciśnienia. – Maxx zmarszczyła brwi żartobliwie. – Rozumiesz, co to oznacza?

Dura zazgrzytała zębami.

–Nie.

– Och, moja droga. Łatwo zapomnieć, że wszyscy jesteście nadpływowcami...

Adda zamknął oczy i przechylił się do tyłu w swojej siatce z gazy.

– Posłuchaj – rzekła Deni – nasze ciała funkcjonują dzięki wykorzystaniu własności Powietrza, związanych ze zjawiskiem transportu masy... Nie rozumiesz? Dobrze. – Pokazała wiatrak zamontowany w ścianie. – Wiesz, dlaczego ten wiatrak znajduje się tutaj – dlaczego takie wiatraki instaluje się w całym Mieście? One regulują temperaturę – zapewniają nam chłód tu, w gorącym klimacie Bieguna Południowego. Powietrze, które zamieszkujemy, jest gazem neutronowym i składa się z dwóch komponentów – nadcieczy i normalnej cieczy. Nadciecz nie podtrzymuje różnicy temperatur – jeśli zostanie podgrzana, ciepło przepływnie przez nią. Oznacza to, że jeśli dodasz więcej nadcieczy do masy Powietrza, jego temperatura

plyw

zmaleje. Jeśli natomiast wycofasz nadcięż, temperatura zwiększy się, ponieważ zwiększy się gęstość normalnej cieczy. Wiatraki ścienne pracują właśnie na takiej zasadzie.

145

Fair marszczył czoło.

– Co to ma wspólnego z Addą?

– Ciało Addy jest wypełnione Powietrzem – podobnie jak wasze czy moje. Przenika je sieć małych naczyń włosowatych, które mogą pobierać nadcięż, aby regulować temperaturę jego ciała. – Deni Maxx mrugnęła do Farra. – Mamy w naszych organizmach małe pompy powietrzne... jest ich bardzo dużo, między innymi serce. Rurki włosowe pełnią ważną funkcję:

wypuszczają Powietrze z czaszki, utrzymując mózg we właściwej temperaturze. Wiedziałeś o tym?

– I właśnie ten mechanizm może już nie być taki sprawny w przypadku Addy?

– Tak. Oczywiście naprawiliśmy główne naczynia, ale jeżeli ulegają przerwaniu, już nigdy nie są takie same. Adda utracił zbyt dużo naczyń włosowatych i bardzo osłabł. Czy rozumiesz, że Powietrze napędza również nasze mięśnie? Posłuchaj. Załóżmy, że masz ogrzać zamknięte pomieszczenie, na przykład ten pokój. Wiesz, co stałoby się z nadciężem? Niezdolna do wchłonięcia ciepła, opuściłaby pokój – bardzo szybko, wszelkimi możliwymi sposobami – a wówczas podniosłoby się ciśnienie w pozostałych miejscach... Kiedy Adda chce podnieść ramię, rozgrzewa Powietrze w płucach. Oczywiście nie jest świadomy tego procesu; robi to za niego jego ciało, spalając część energii, którą zgromadził dzięki jedzeniu. Kiedy jego płuca się nagrzewają, Powietrze gwałtownie się uwalnia; naczynia włosowate przewodzą Powietrze do mięśni, które ulegają rozszerzeniu i...

– A zatem mówi pani, że ponieważ sieć jego naczyń włosowatych uległa uszkodzeniu, Adda nie będzie już taki silny jak dawniej?

– Tak. – Lekarka przeniosła wzrok z Dury na Farra. –

Naturalnie wiecie o tym, że nasze płuca nie są prawdziwymi płucami? Dura potrząsnęła głową, zdumiona tą ostatnią informacją.

– Co takiego?

– Jesteśmy przecież sztucznymi tworamami. Produktami. Tacy byli przynajmniej nasi przodkowie. Ludzie – prawdziwi ludzie – przybyli do tego świata, tej Gwiazdy, i zaprojektowali nas właśnie w ten sposób, żebyśmy mogli przetrwać tu, w Płaszczu.

146

– Ur-ludzie. Maxx uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Wiesz o istnieniu Ur-ludzi? To dobrze... wierzymy, że pierwotne istoty ludzkie miały płuca – zbiorniki jakiegoś gazu – w swoich ciałach. Tak jak my. Prawdopodobnie jednak ich płuca pełniły inną funkcję. Wiesz, nasze płuca są po prostu schowkami na Powietrze: dla gazu do systemów pneumatycznych, które napędzają nasze mięśnie.

– Jacy byli ci Ur-ludzie?

– Tego nie jesteśmy pewni – Wojny Rdzeniowe i Reformacja nie zostawiły nam żadnych zapisków – ale mamy dość mocne hipotezy, oparte na prawach skalowania i analogiach z nami. Anatomia porównawcza była moim głównym przedmiotem podczas studiów... Oczywiście to było dawno temu. Bardzo przypominali nas. Albo raczej to my zostaliśmy wykonani na ich podobieństwo. Tyle że oni byli wielokrotnie więksi – około sto tysięcy razy wyżsi od nas. Przeciętny Ur-człowiek miał metr wzrostu albo i więcej, gdyż oddziaływały na niego w równym stopniu rozmaite siły fizyczne. Jego ciało nie mogło się opierać, tak jak nasze, na wiązaniach między jądrami cyny. Wiesz, o czym mówię? Jądra cyny, z których składają się nasze ciała, zawierają pięćdziesiąt protonów i sto czterdzieści cztery neutrony. Dwanaście na dwanaście. Neutrony skupiają się w

plyw

sferyczne kształty o symetriach trzeciego i czwartego rzędu. Duża liczba symetrii, jak widzisz; wiele łatwych sposobów związania jąder drogą współdzielenia neutronów, mnóstwo sposobów tworzenia przez jądra łańcuchów i skomplikowanych struktur. Wiązanie pomiędzy jądrami cyny jest tutaj podstawą wszelkiego życia, włącznie z naszym. Ale nie w przypadku Ur-ludzi; fizyka, dominująca w ich strukturach – gęstości i ciśnienia, w jakich, jak nam się zdaje, przebywali – nie pozwalała na powstanie jakichkolwiek wiązań jądrowych. Lecz musieli przecież dysponować jakimś ekwiwalentem wiązania cynowego.

Wyciągnęła ręce i poruszyła palcami w prawo i w lewo.

– Tak więc byli bardzo dziwni, ale mieli ręce i nogi podobnie jak my – tak przynajmniej sądzimy, bo przecież dlaczego przekazali je nam?

147

Dura pokręciła głową.

– To nie ma sensu.

– Oczywiście, że ma. – Maxx uśmiechnęła się. – Och, palce można wykorzystywać do różnych czynności, ale czy nie zdarzały ci się chwile, kiedy najchętniej zamieniłabyś swoje długie, niezdarne nogi na pęcherz wiatroodrzutowy świni powietrznej? Albo na prosty fałd skóry, podobny do deski surfera, który pozwoliłby ci falować przez Magpole sto razy szybciej niż teraz? Spójrzmy prawdzie w oczy, moja droga... My, ludzie, jesteśmy źle przystosowani do życia w środowisku Płaszczka. A powodem musi być to, że jesteśmy odwzorowaniem Ur-ludzi, którzy nas stworzyli. Bez wątpienia struktura Ur-człowieka idealnie pasowała do dziwnego świata, z którego przybył. Ale nie pasuje tutaj.

Rozpalona wyobraźnia podsuwała Durze wizje potężnych, tajemniczych, na poły boskich ludzi, którzy podważali skorupę i garściami wrzucali do Płaszczka malutkie, sztuczne istoty ludzkie... Deni Maxx spoglądała córce Logue'a głęboko w oczy.

– Czy jest to dla ciebie jasne? Myślę, że bardzo ważne jest, abyś zrozumiała, co przydarzyło się twojemu przyjacielowi.

– Och, to jest jasne – odezwał się Adda ze swojego kokonu. –

Ale nie robi to najmniejszej różnicy, albowiem i tak jest całkowicie bezradna. – Roześmiał się. – Nie może zrobić nic, chociaż skazała mnie na piekło za życia. Czyż nie tak, Dura?

W sercu dziewczyny z nadpływu wezbrał gniew równie gwałtowny jak podgrzana nadcięż, o której opowiadała Deni.

– Mam dość twojego zgorzknienia, stary człowieku.

– Powinnaś pozwolić mi umrzeć – wyszeptał. – Przecież mówiłem ci.

– Dlaczego nie opowiedziałeś nam nic o mieście Parz? Dlaczego utrzymywałeś nas w tak głębokiej nieświadomości?

Westchnął. W kąciku jego ust tworzyła się bańka gęstej flegmy.

– Ponieważ wypędzono nas dziesięć pokoleń temu. Ponieważ przed zbudowaniem domu nasi przodkowie zapuścili się tak daleko, iż nikt z nas nie przypuszczał, że kiedykolwiek natkniemy się na Parz.

– Wybuchnął śmiechem. – Lepiej było zapomnieć... Cóż dobrego przyniosłaby nam wiedza o istnieniu takiego

148

miejsca? Skąd mogliśmy wiedzieć, że rozpełzli się na tak dużym obszarze, płamiąc skorupę swymi farmami sufitowymi i kołami? Niech ich...

– Dlaczego zostaliśmy wygnani z Parz? Czy dlatego, że... –

Odwróciła się, ale Deni Maxx robiła rylcem z materii rdzeniowej notatki na zwoju i wydawało się, że ich nie słucha. – Z powodu Xeelee?

– Nie. – Adda wykrzywił twarz z bólu. – Nie, nie ze względu na Xeelee. Albo przynajmniej nie była to bezpośrednia przyczyna. Chodziło o to, jak zachowywaliśmy się pod wpływem naszej

filozofii.

Istoty Ludzkie wierzyły, że wiedza o Xeelee wyprzedziła w czasie pojawienie się ludzi na Gwieździe – że przynieśli ją ze sobą sami Ur-ludzie.

Powiadano, iż Xeelee, niemal boskie istoty, dominowały nad tak ogromnymi przestrzeniami, że w porównaniu z nimi Gwiazda wydawała się zaledwie pyłkiem w oku giganta. Dążący do supremacji ludzie oburzali się na Xeelee, a nawet zaczęli toczyć beznadziejną wojnę skierowaną przeciwko wspaniałym projektom Xeelee, na przykład takim konstrukcjom jak legendarny Pierścień.

Jednak w miarę upływu czasu – i ciągłego ponoszenia straszliwych klęsk – w ludzkim myśleniu pojawiła się nowa tendencja. Nikt nie rozumiał wielkich celów Xeelee. Jeśli jednak owe projekty wiązały się ze znacznie wyższymi aspiracjami, a nie tylko z przyziemną, mierzoną ludzką skalą, chęcią dominacji nad innymi? Xeelee byli o wiele potężniejsi od ludzi. Może tak miało być już zawsze. I być może, wnioskowano, byli znacznie mądrzejsi.

Nic dziwnego, że niektórzy apologeti zaczęli twierdzić, iż ludzie powinni raczej zaufać Xeelee zamiast się im przeciwstawiać. Postępowanie Xeelee było niepojęte, ale musiała nimi powodować wielka mądrość. Apologeti rozwinęli filozofię opartą na akceptacji, pokornej uległości i wierze w umysł, który przewyższał wszystko to, do czego byli zdolni ludzie.

– Widzisz, Dura, podążaliśmy drogą Xeelee – ciągnął Adda. – Nie chcieliśmy słuchać poleceń Komitetu Parz. – Pokręcił głową. – Dlatego zostaliśmy zesłani. I było to szczęśliwe zrządzenie losu, gdyż teraz mogliby nas zniszczyć na swoich kołach.

149

Deni Maxx dotknęła ramienia dziewczyny z nadpływu.

– Teraz powinnaś odejść.

– Wrócimy.

– Nie. – Adda przekreślał się z upiorną powolnością w swoim kokonie. Najwyraźniej chciał się ułożyć w mniej bolesnej pozycji. – Nie wracajcie. Odejdźcie stąd. Tak daleko i tak szybko, jak to tylko możliwe. Odejdźcie stąd...

Jego głos przerodził się w niewyraźny bełkot. Po chwili starzec zamknął oczy.

10

– Ty tępy nadpływowy wiatroodrzucie! – Hosch wrzasnął Farrowi w twarz. – Jak będę chciał włożyć cholerny pień drzewa do tego podajnika, to ci o tym powiem! – Nadzorca Portu wysunął kościstą twarz do przodu i ściszył głos do ledwie słyszalnego, nie wróżącego nic dobrego syku. – Ale dopóki ci nie powiem... i gdyby nie sprawiło ci to wielkiego kłopotu... może mógłbyś rozłupywać drewno nieco bardziej delikatnie. Albo... – z jego ust cuchnęła odrażająca woń zepsutych fotonów – może wolisz wlecieć za swoim dziełem do podajnika i tam skończyć robotę, co?

Fair czekał, aż Hosch się wyładuje. Smutne doświadczenia nauczyły go, że próba obrony tylko pogorszyłaby sytuację.

Hosch był drobnym, żylastym mężczyzną o zaciśniętych ustach i oczodołach, które wyglądały tak, jakby ktoś wywiercił mu je w twarzy. Nosił brudną odzież i zawsze załatywał nieświeżym jedzeniem. Patrząc na chude kończyny nadzorcy, Farr był pewny, że tu, na Biegunie, gdzie ujawniała się jego nadpływowa siła, mógłby – podobnie jak Dura – rozerwać Hoscha na części w uczciwym pojedynku.

Nadzorca wyczerpał chyba wszystkie pokłady złości i falując, udał się do innej części podajnika. Robotnicy, którzy zebrali się, aby delektować się upokorzeniem Farra – zarówno mężczyźni, jak i kobiety – zaprzestali ukradkowej obserwacji i z zadowoleniem, charakterystycznym dla niedoszłych ofiar, ponownie skoncentrowali się na pracy.

150

plyw

W naczyniach włosowatych i mięśniach chłopca kipiało Powietrze. Nadpływowiec. Znowu nazwał mnie nadpływow-cem. Młodzieniec patrzył na swoje zaciśnięte pięści...

Bzya objął potężną łapą obie dłonie Farra i stanowczo, ale łagodnie zmusił go do opuszczenia ramion.

– Nie – rzekł dudniącym głosem. – Nie jest tego wart. Farr nie wiedział, na kim skupić gniew: na nadzorcy czy na zwalistym Poławiaczu, który wchodził mu w drogę.

– On nazwał mnie...

– Słyszałem, jak cię nazwał – odparł spokojnie Bzya. – Wszyscy inni również słyszeli... dokładnie tak, jak chciał Hosch. Posłuchaj mnie. On pragnie, żebyś zareagował, żebyś go uderzył. Właśnie na tym najbardziej mu zależy.

– Kiedy pozbawię go głowy, nie będzie mu mogło zależeć na niczym.

Bzya odchylił głowę i ryknął śmiechem.

– Natychmiast dopadliby cię strażnicy. Zostałbyś pobity, a potem wróciłbyś do pracy – do Hoscha, do nadzorcy, który naprawdę cię znosi i nie przepuściłby żadnej okazji, żeby ci to okazać. Dostałbyś jeszcze dodatkowe pięć albo dziesięć lat, aby móc spłacić jego odszkodowanie.

Walcząc z resztkami gniewu, Farr zerknął na szeroką, poobijaną twarz Poławiacza.

– Aleja dopiero co zacząłem tę zmianę... Będę zadowolony, jeśli zdołam dotrzeć do końca.

– Dobrze. – Bzya zmierzwił rurki włosowe Farra swoją potężną, silną ręką. – Tak właśnie powinieneś myśleć... Pamiętaj, nie musisz przeżyć całych dziesięciu lat za jednym zamachem; najwyżej po jednej szychcie na raz.

Bzya był olbrzymem o mięśniach tak wielkich jak prosięta powietrzne. Mocno zbudowany, silny i łagodny, stanowił przeciwieństwo filigranowego i zjadliwego nadzorcy. Jego twarz pokrywały liczne blizny, które zasłaniały mu pół głowy i czyniły z oczodołu upiorną jaskinię sięgającą w głąb czaszki. Z tego co Farr o nim wiedział, wielkolud był prostym człowiekiem, który żył w dotkniętych ubóstwem rejonach Dołu, utrzymując się dzięki gigantycznym mięśniom, za pomocą których wykonywał nie-

151

wdzięczne, trudne i niebezpieczne prace, pozwalające funkcjonować reszcie Parz. Miał żonę, Jool, i córkę imieniem Shar. Pomimo wypełnionego harówką życia, nie zatracił życzliwego nastawienia i cierpliwości.

Teraz mrugnął do Farra zdrowym okiem.

– Wiesz, nie powinieneś tak naskakiwać na starego Hoscha.

Chłopiec wytrzeszczył oczy, usiłując stłumić śmiech.

– Ja na niego naskakuję? To przecież ten stary kochanek xeelee ma coś przeciwko mnie.

Bzya wyciągnął rękę do transportera i podniósł pień drzewa, który był wyższy niż Farr. Jednym uderzeniem siekiery rozłupał drewniany bal i odsłonił rozżarzony rdzeń w środku.

– Zrozum jego punkt widzenia. On jest nadzorcą tego odcinka.

Młodzieniec z nadpływu prychnął.

– Bogaci się na naszej pracy. Łajdak. Bzya uśmiechnął się.

– Szybko się uczysz, co? Hm, może masz rację, ale ponosi także odpowiedzialność. Podczas ostatniej zmiany straciliśmy kolejny Dzwon. Słyszałeś o tym? Znowu zginęło trzech Poławiaczy.

Hosch jest odpowiedzialny również za to.

Farr pomyślał, że tragedie nawiedzają Port z przygnębiającą regularnością. Mimo wszystko, wyrozumiałość Bzyi niecierpliwiła go i zaczął wyliczać wady ich bezpośredniego zwierzchnika. Wielkolud odparł:

– Hosch ma wszystkie te cechy, i dodatkowo jeszcze takie,

plyw

których nie potrafisz zrozumieć, bo jesteś zbyt młody. Może nie jest w stanie udźwignąć ciężaru odpowiedzialności. Jednakże – powiem to jeszcze raz – bez względu na to, czy sobie radzi, czy nie, j e s t odpowiedzialny. I gdy umiera jeden z nas, umiera także jego cząstka. Widziałem to na jego twarzy, Farr, pomimo tej całej zjadliwości.

Pamiętaj o tym.

Chłopiec zmarszczył brwi. Wepchnął trochę świecącego drewna do podajników. Wszystko wydawało mu się takie skomplikowane. Gdyby tylko Logue i Dura byli przy nim, pomogliby mu zrozumieć całą tę sytuację.

Albo lepiej, gdyby sam mógł się stąd wydostać i posurfować.

152

Reszta zmiany upłynęła bez incydentów. Gdy dobiegła końca, Fair udał się wraz z pozostałymi robotnikami do małej, ciasnej sali sypialnej. Pomieszczenie to, brudne pudło, w którym poprzewieszano sznury do spania, dawało schronienie czterdziestu osobom. Cuchnęło odchodami i jedzeniem. Chłopiec zjadł dzienny przydział – dzisiaj była to mała porcja czerstwego chleba – i rozglądał się za jakimś stabilnym gniazdkiem w plątaniu sznurów do spania. Nie czuł się jeszcze wystarczająco pewnie, żeby rzucić wyzwanie starszym, solidnie zbudowanym Poławiaczom – i mężczyznom, i kobietom – którzy opanowali miejsca przy ścianach, gdzie Powietrze było nieco mniej zanieczyszczone oddechami i wiatrami innych. Ostatecznie, jak zwykle, znalazł się prawie na samym środku sali.

Zamykając oczy, powiedział sobie: Nadejdzie mój dzień, jeszcze nadejdzie.

Na początku następnej zmiany, jeszcze z zaropiałymi od snu oczami wrócił na swoje stanowisko przy podajnikach drewna. Port był nieregularnym kompleksem dużych hal zbudowanych z poplamionego drewna i przytwierdzonych do podłoża Miasta – w cieniu Dołu, daleko od kolorowych, modnych sektorów na górnych poziomach. Mieścił się tuż pod potężnymi prądnicami, które zasilały wstęgi kotwiczne. Wibrujące dudnienie maszyn w górze nieustannie towarzyszyło życiu Poławiaczy. W Porcie panował mrok, upał i brud; kontrast rozgrzanych pieców, zgrzytu tłoków i kół linowych z otwartym Powietrzem nadpływu sprawiał, że Fair czuł się tu bardzo źle.

Mimo to z upływem kolejnych dni wykonywał ciężką pracę coraz bardziej rytmicznie. Ściągał kawałki masywnych pni z pasa transmisyjnego, który stale przesuwiał się za szeregiem robotników. Musiał zmagać się z bezwładnymi kłocami, mając wrażenie, że trzymają obdarzone świadomością zwierzęta, które chcą pokonywać Powietrze własnymi ścieżkami, nie licząc się z jego życzeniami. Młodzieniec zapierał się o podłogę, napinając mięśnie ramion i pleców, i machał drewnianą siekierą, której ostrze zostało wzmocnione materia rdzeniową. Pnie były twarde, ale Fan wiedział, że jeśli uderzy siekierą zgodnie z układem słoju, z łatwością je rozłupie. Kiedy wykonał odpowiednio głębokie nacięcie, wpychał ręce w pęknięte drewno i rozszczepiał pień, uwalniając

153

falę ciepła i zielony jądrowy blask wnętrza, rozświetlający jego twarz i klatkę piersiową. Ogień jądrowy wciąż jasno świecił, gdy chłopiec wrzucał gorące cząstki do otworu podajnika przed sobą.

Cięcie drewna było ulubionym zajęciem Farra. Odnajdywanie właściwego miejsca, w które należało trafić ostrzem, wymagało pewnej wprawy, i młodzieniec robił to z upodobaniem. Kiedy drewno rozszczepiało się pod wpływem jego pieśczoły, uwalniając energię, a wraz z nią ciepłe westchnienie, chłopiec doznawał wrażenia, że odsłania ukryty skarb.

Razem z nim pracowali inni robotnicy, których szereg ciągnął się aż do zacienionej części Portu. Harując na zmiany, nieustannie karmili żarłoczne gardziele podajników. Praca była ciężka, ale Farr jakoś ją

plyw

wytrzymywał dzięki swoim nadpływowym mięśniom. Musiał wręcz uważać, żeby nie pracować zbyt szybko; przekraczanie normy nie przysparzało popularności wśród pozostałych robotników.

Energia cieplna, którą wydzielały płonące jądra drewna była przechowywana w ogromnych, wzmocnionych zbiornikach – bojlerach – w innej części kompleksu portowego. Nadciekłe Powietrze, uwalniające się z jądrowego żaru, wykorzystywano do napędzania tłoków, potężnych pięści z utwardzonego drewna. Każdy był dwa razy wyższy od Farra i opadał w swej osłonie miarowo jak bijące serce.

Za pośrednictwem wielkich, rozłożonych ramion tłoki obracały koła linowe. Właśnie te koła opuszczały Dzwony, pełne wystraszonych Poławiaczy, w kierunku tajemniczych i śmiertelnie niebezpiecznych głębin Podpłaszca.

Tutejszy świat całkowicie się różnił od życia Istot Ludzkich, dla których najbardziej skomplikowanym narzędziem była włócznia, a jedyne źródło energii stanowiła siła mięśni ludzi albo zwierząt. Port był jak potężna maszyna, która działała chyba tylko po to, żeby wysłać Poławiaczy w dół, do Podpłaszca. Farr czuł się jak część tej maszyny albo jakby pracował w samym sercu gigantycznej budowli z drewna i lin...

Odnosił wrażenie, że z wyjątkiem Bzyi, robotnicy go nie akceptują. Wydawało się, że niedola – jaką cierpieli w tym hałaśliwym, cuchnącym piekle – sprawiała, iż w swym nie-
154

szczęściu zwracali się jeden przeciw drugiemu. Jednak z początkiem każdej zmiany robotnicy osiągnęli zgodny rytm i zaczęli wytwarzać koleżeńską atmosferę. Farr wyczuwał, że oferowali ją nawet jemu, pod warunkiem, że milczą.

Tęsknił za Durą i innymi Istotami Ludzkimi, brakowało mu dawnego życia w nadpływie. Miał wrażenie, że okres pracy w Porcie, na jaką go skazano, ciągnie się w nieskończoność. Potrafił jednak pogodzić się z losem, jeżeli udawało mu się skoncentrować na bieżącym zadaniu i korzystać z wszelkich dostępnych udogodnień. Po jednej zmianie na raz – taki był sekret, wyjawiony mu przez Bzyę. Poza tym...

–Hej, ty.

Czyjaś ręka wylądowała na ramieniu Farra, a potem złapała go za brudną tunikę i bezceremonialnie wyciągnęła z szeregu.

Zobaczył Hoscha, który patrzył na niego, groźnie marszcząc świecące niezdrową żółcią nozdrza.

– Zmiana stanowiska – burknął nadzorca.

–Jakie?

– Dzwon – powiedział Hosch.

Dura podróżowała wspólnie z dwudziestoma nowymi kulisami w potężnym samochodzie, ciągniętym przez dwanaście przysadzistych świń powietrznych. Kiedy zbliżała się do posiadłości Frenka, początkowo odnosiła wrażenie, że jego farma sufitowa jest mała i w porównaniu z potężną Skorupą przypomina odcisk dziecięcej dłoni. Pozostali kulisi przejawiali większe zainteresowanie inną farmą, bardziej oddaloną i jeszcze trudniejszą do wypatrzenia niż farma Frenka. Dura dowiedziała się, że ta posiadłość należy do Horka IV, Przewodniczącego miasta Parz. Roztargniony Przewodniczący uciekł od powinności – zostawiając Miasto w rękach spiskującego syna – i zajmował się tu, na Skorupie, skomplikowanymi eksperymentami rolniczymi. Powiadano, że na farmie sufitowej Horka rośnie pszenica, której kłosa są wyższe niż przeciętny człowiek, oraz powiązane drutami

155

z materii rdzeniowej drzewa skorupowe nie dłuższe niż ludzkie ramię. Dura nie potrafiła się skoncentrować na paplaninie kulisów. Na

plyw

myśl o tym, że będzie przebywać na Skorupie tylko w towarzystwie tych tępaków, serce jej się łamało.

Wreszcie okna z przezroczystego drewna wypełnił widok farmy Frenka. Samochód przystanął pośrodku grupy prymitywnych drewnianych baraków i drzwiczki otworzyły się.

Dura wygramoliła się z auta i oddaliła od reszty. Z rozkoszą odetchnęła czystym Powietrzem, które docierało do jej płuc i naczyń włosowatych. Powietrze otaczało ją ze wszystkich stron grubą, nieprzerwaną warstwą, ciągnącą się wokół Gwiazdy. Dziewczyna czuła się tak, jakby przebywała w płucach samej Gwiazdy. No cóż, towarzystwo pozostawiało trochę do życzenia, ale tutaj przynajmniej mogła oddychać Powietrzem, które nie smakowało tak, jakby zdążyło przejść już przez płuca kilkunastu osób.

Na spotkanie wyszedł sam Qos Frenk. Zauważył Durę i uśmiechnął się do niej życzliwie, a potem, gdy pozostali rozproszyli się między budynkami, zaproponował, że oprowadzi ją po farmie. Elegancki, wymuskany, z różową czupryną opadającą na wytworny płaszcz, Frenk falował swobodnie obok nowo przybyłej kobiety.

– Praca jest dość prosta, ale wymaga skupienia i dokładności...

Niestety, w dzisiejszych czasach nie wszyscy kulisi przejawiają te cechy. Jestem pewien, że świetnie dasz sobie radę, moja droga.

Dura miała na sobie kombinezon uszyty z jakiegoś szorstkiego materiału z włókienek warzyw – pożegnalny prezent Ito. Podczas falowania nieustannie obcierał skórę, jakby chciał jej dokuczyć. Miała ochotę zedrzeć go z siebie. Na plecach nosiła okrągły, drewniany zbiornik – kanister na Powietrze. Podobny widziała u Toby. Do zbiornika była dołączona mała maska, którą należało zakładać, by móc oddychać rozrzedzonym Powietrzem górnej warstwy Płaszca. Duży, nienaturalnie wyglądający przedmiot utrudniał Durze ruchy jeszcze bardziej niż wyprodukowana w Mieście odzież, ale Frenk uparł się, żeby go zabrała.

– Widzisz, takie są przepisy zdrowotne – powiedział, wzru-

156

szając filozoficznie ramionami. Ozdobny płaszcz fałdował się na jego chudych ramionach.

Pod kombinezonem dziewczyna z nadpływu wciąż nosiła kawałek sznura i mały nóż.

Farma została w przeważającej części oczyszczona z pni drzew.

Na odsłoniętym suficie korzeniowym lasu zasiano w równych rzędach zielonozłotą pszenicę, czyli udoskonaloną trawę. W tym miejscu, w odległości zaledwie kilku ludzi poniżej kołyszących się i nabrzmiałych koniuszków zmutowanej trawy, Dura nie widziała już granic farmy. Wydawało się, że cała naturalna dzikość skorupy uległa zagładzie, została zdominowana przez ten klaustrofobiczny, systematyczny porządek.

Oczywiście porządek panował tylko w dwóch wymiarach, trzeci prowadził ku czystemu, świeżemu Powietrzu Płaszca, który wisiał w dole, rozległy i pusty. Społeczność Parz jeszcze nie zdążyła odgrodzić samego Powietrza... Dura najchętniej rzuciłaby zbiornik powietrzny w okrągłą, delikatną twarz Qosa Frenka i pofalowała w nieskończoność. Te mięczaki z Miasta nigdy nie zdołałyby jej złapać, podobnie jak kulisi.

Jednak nie mogła opuścić tego miejsca i porzucić obowiązków, dopóki nie zarobi na spłatę kosztów leczenia Addy. Zaciągnięty dług i poczucie obowiązku więziły ją skuteczniej niż jakakolwiek klatka.

Qos Frenk obserwował ją, przymrużywszy oczy.

– wiem, że musisz się czuć dziwnie. Chcę, żebyś wiedziała, iż nie powinnaś się obawiać niczego z wyjątkiem ciężkiej pracy. Ja jestem właścicielem tej farmy i, w tym sensie, właścicielem twojej pracy. Jednak nie wyobrażam sobie, że jestem właścicielem twojej duszy. Nie jestem okrutnym człowiekiem, Dura. Staram się traktować swoich kulisów możliwie przyzwoicie. I...

plyw

– Dlaczego? – przerwała mu. – Bo jesteś taką szlachetną osobą?
– warknęła. Uśmiechnął się.
– Nie. Ponieważ z ekonomicznego punktu widzenia lepiej opłaca się mieć szczęśliwą i zdrową ekipę roboczą. – Wybuchnął śmiechem i wydał się jej bardziej ludzki. – Przynajmniej ten argument powinien rozproszyć twoje wątpliwości. Jestem prze-
157

konany, że będzie ci tu dobrze, Dura. A gdy tylko nauczysz się zawodu, nie widzę żadnych przeszkód, aby w przyszłości myśleć o awansowaniu cię na nadzorcę albo instruktora. Dziewczyna zmusiła się do uśmiechu.

– W porządku. Dziękuję. Doceniam twoje wysiłki. Co będę musiała robić?

Pokazał jej rzędy dojrzewającej pszenicy, której kłosa zwisały z leśnego sufitu w górze.

– Za kilka tygodni będziemy gotowi do żniw i właśnie wtedy zacznie się prawdziwa robota. Jednak na razie będziesz dbała o to, żeby pszenica rosła bez przeszkód. Zwracaj uwagę na zjawiska oczywiste, na przykład dziki buszujące w zbożu. Albo na obcych wkraczających na ten teren. – Nagle posmutniał. – Teraz często mamy z tym do czynienia. To znaczy, z Czyścicielami. W Mieście panuje bieda... Przyglądaj się zbożu, czy nie ma na nim rdzy. Powinny cię niepokoić wszelkie przebarwienia i anomalie związane z dojrzewaniem... W razie chorób izolujemy teren i szybko go sterylizujemy, żeby nie dopuścić do rozprzestrzenienia się infekcji. Szukaj dzikiej trawy, wszelkich roślin rosnących między korzeniami i niszczących pszenicę. Nie chcemy, żeby inne rośliny wchłaniały pożywne izotopy Skorupy, przeznaczone dla naszego zboża...

Dotyczy to także młodych drzew. Zdziwiłabyś się, jak szybko rosną.

– Rozpostarł ręce. Dura pomyślała, że w jego entuzjazmie jest coś wręcz przymilnego. – Nie przyszłoby ci do głowy, że ta część Skorupy była kiedyś porośnięta dzikim lasem.

– Nadzwyczajne – rzekła sucho dziewczyna, przypomniawszy sobie rozległe, nietknięte ludzką ręką lasy w jej ojczystych stronach w dalekim nadpływie.

Frenk spojrział na nią niepewnie.

Spotkali innego robotnika-kobietę, która unosiła się, zagłębiwszy głowę w zielonozłoty łanach, a jej nogi zwisały w Powietrzu w dół.

Kobieta wyciągała spomiędzy zielonych kłosów małe drzewka i chowała je do torby przymocowanej do pasa.

– Ach – powiedział Frenk z uśmiechem. – To jedna z moich najlepszych pracownic. Rauc, poznaj Durę. Dopiero co przybyła.

Może będziesz tak dobra i oprowadzisz ją...

Kobieta powoli opadła. Na głowie miała hełm powietrzny,

158

zasłone z miękkiej, półprzeźroczystej gazy, która zakrywała kapelusz o szerokich skrzydłach. Zasłona nieco się wybrzuszała. Świadczyło to, że hełm zasilało Powietrze ze zbiornika. Właściciel farmy odleciał, falując zamaszycie. Rauc była szczupła i miała na sobie prostą koszulę z brudnej skóry, która odsłaniała ramiona. Po odejściu Frenka przez chwilę z ponurą miną przyglądała się Durze, nic nie mówiąc. Potem odwiązała zasłone i uniosła ją. Miała wychudzoną, zmęczoną twarz o ciemnych oczodołach. Była chyba w wieku córki Logue'a.

– A więc jesteś nadpływowcem – rzekła z jęklwym akcentem osoby urodzonej w Mieście.

–Tak.

– Słyszeliśmy, że masz się zjawić. Cieszyliśmy się. Czy wiesz, dlaczego?

Dura wzruszyła ramionami obojętnie.

– Ponieważ wy, nadpływowcy, jesteście silni... Będziesz pracowała ciężko, żeby pomóc nam wyrobić normę. – Prychnęła. – Jeśli nie spróbujesz nas wykiwać, będziesz szanowana.

plyw

– Rozumiem. – Dura uświadomiła sobie, że kobieta usiłuje ją ostrzec. – Dzięki, Rauc.
Kuliska prowadziła ją pod złocistymi polami sufitowymi w kierunku kompleksu budynków w centrum farmy, tam gdzie Dura wysiadła po przyjeździe. Po samochodzie Qosa Frenka nie było śladu. Dziewczyna doszła do wniosku, że wrócił do swojej ciepłej, dusznej siedziby w Mieście. Mijała właśnie połowa zmiany i małe chatki, drewniane domki w kształcie skrzynek, zawieszane na linach z obciętych łodyg drzew Skorupy, sprawiały wrażenie opuszczonych. Dura zauważyła małe, zaniedbane stado świń. Rauc powiedziała, że stado hoduje się nie na handel, ale po to, by zapewnić kulisom mięso a także skórę do wyrobu ich koszul i kapeluszy. Pokazała Durze małe magazyny ubrań, toreb powietrznych i narzędzi. Znajdowała się tu także piekarnia, której wewnętrzne ściany poczerniały na skutek wysokich temperatur. Właśnie tutaj wypiekano podstawowy artykuł spożywczy dla kulisów – chleb. W ciemnym pomieszczeniu pracował duży, otyły mężczyzna. Na widok obu kobiet burknął coś pod nosem. Rauc zrobiła błazeńską minę.

159

– No, chleb jest świeży – oznajmiła. – Ale tylko tyle dobrego da się o nim powiedzieć... Tu trafia pszenica najgorszej jakości, prawie same plewy. Najlepszy towar jest wysyłany do Parz.
W ciasnym pomieszczeniu przeznaczonym do spania znajdowały się rzędy kokonów. Mniej więcej połowa z nich była zajęta. Jakaś kobieta uniosła zaspaną twarz, żeby spojrzeć na przybyszy, a potem znowu zasnęła; jej usta były otwarte, a włosy zwisały w dół. Rauc zauważyła pusty kokon, w którym mogłaby ulokować swoją nową towarzyszkę.
Jednakże Dura nie potrafiła sobie wyobrazić spania w takich warunkach, wśród cudzych, chrapliwych oddechów i wiatrów, skoro zewsząd otaczała ją świeże Powietrze Płaszczu. Uświadomiła sobie z przykrością, że nie pasuje do tego otoczenia tak samo, jak nie pasowała do Parz. Ostatecznie większość kulisów urodziła się w Mieście, i to głównie w Dole, gdzie zatłoczenie było większe od przeciętnego. Dlatego kulisi, którzy akurat mieli wolne, pakowali się do tego cuchnącego pudła, słuchali nawzajem swoich oddechów i udawali, że nie są osamotnieni w Płaszczu, że podoba im się sposób życia o granicach wyznaczonych przez Parz.
Rauc uśmiechnęła się do niej.
– Myślę, że jakoś się dogadamy, Dura. Możesz mi opowiedzieć o swoim ludzie. A ja pokażę ci, jak sobie radzić w tym środowisku.
– Frenk chyba jest w porządku. Rauc wydawała się zaskoczona.
– Och, jest całkiem przyzwoity. Ale to nie ma znaczenia. Przynajmniej nie w codziennych kontaktach. Przedstawię cię nadzorcy naszego odcinka, Leeh. Z nią to co innego... Ale nie jest aż tak ważna, jak sobie wyobraża. Robis – człowiek prowadzący składnicę – ten ma prawdziwą władzę. Wystarczy go skłonić, żeby się do ciebie uśmiechnął i świat od razu robi się lepszy.
Dziewczyna z nadpływu zawahała się.
– Frenk mówi, że kiedyś mogłabym zostać nadzorcą.
– Mówi to wszystkim – odparła kuliska lekceważąco. – Chodź, znajdziemy Leeh. Prawdopodobnie jest gdzieś w polu... – Teraz to ona zawahała się i uważnie popatrzyła na Durę. Potem

160

rozejrzała się, żeby mieć pewność, iż nikt ich nie obserwuje, pogrzebała w kieszeni koszuli i wyciągnęła mały przedmiot. – Masz – powiedziała, wkładając go do ręki córki Logue'a. – To ci pomoże. Było to małe Koło o pięciu szprychach. Takie samo, jakie Dura widziała na szyi Toby Mixxaxa... Model urządzenia, na którym dokonywano egzekucji na Rynku.
– Dziękuję – wycedziła. – Chyba rozumiem, co to oznacza.
– Naprawdę? – Rauc spojrzała na nią ze zdwojoną czujnością.

Strona 91

plyw

- Nie martw się - szybko uspokoiła ją Dura. - Nie zdradzę cię.
- W Parz Koło jest nielegalne - powiedziała kuliska. -
Teoretycznie jest nielegalne wszędzie, w całym Płaszczu... w zasięgu
kusz strażników. Ale my znajdujemy się daleko od Miasta. Koło jest
tolerowane na farmach sufitowych; przynajmniej daje nam trochę
radości. Ten stary głupek Frenk twierdzi, że ze względów
ekonomicznych jest korzystne, abyśmy mogli praktykować naszą
wiarę.
Dura uśmiechnęła się.
- To do niego podobne.
- Ale nigdy nic nie wiadomo. Czy nadpływowcy czczą Koło?
- Nie. - Córka Logue'a przyglądała się kobiecie. Rauc nie
wyglądała na bardzo zbuntowaną, lecz najwyraźniej cała ta sprawa z
Kołem dodawała jej otuchy. - Widziałam Koło, którego użyto do
przeprowadzenia egzekucji.
- Tak.
- Wobec tego, dlaczego jest uważane za symbol wiary?
- Właśnie dlatego, że używa się go do zabijania. - Rauc
spojrzała jej w oczy, jakby szukała w nich zrozumienia. - Tyle
istnień ludzkich odeszło na kole, że ono samo stało się w pewnym
stopniu człowiekiem, a może nawet jest czymś więcej. Rozumiesz?
Trzymając Koło blisko siebie, jesteśmy bliżsi szlachetniejszej,
odważniejszej części nas samych.
Rauc przemawiała z głęboką żarliwością. Dura dotknęła małego
Koła i ogarnęły ją wątpliwości. Doszła do wniosku, że kult musiał się
rozprzestrzenić w wielu miejscach. Przecież nawet Tobą Mixxax
161

był jego wyznawcą, chociaż należał do kasty posiadaczy farm
sufitowych. Zatem wiara ta miała swoich wyznawców na obszarze
całej gwiazdy i w różnych warstwach społecznych.
Gdyby czciciele Koła znaleźli kiedyś przywódcę, mogliby się stać
groźnymi przeciwnikami tajemniczego Komitetu, który rządził
Miastem.

Rauc wyglądała na zmęczoną.

- Chodź, odszukamy Leeh, żebyś mogła zacząć robotę. Kobiety
zaczęły falować obok siebie w czystym Powietrzu farmy; nad ich
głowami zwisały złociste kłosa pszenicy.

Farr zauważył, że inni robotnicy odsuwają się i spoglądają na niego
chytrze, zadowoleni z jego nieszczęścia. Kloce drzew Skorupy
przesuwały się po pasie transmisyjnym i nikt się nimi nie zajmował.

- Nie - warknął ktoś. Chłopiec zorientował się, że to Bzya
kraży blisko niego.

Hosch odwrócił kościstą głowę w kierunku Bzyi i zerknął na niego
głębokimi, pustymi oczodołami.

- Poddajesz w wątpliwość moje kompetencje. Poławiaczu?

- Ten jest za młody - oświadczył Bzya, kładąc wielką łapę na
ramieniu Farra. Nie chcąc narazić przyjaciela, młodzieniec usiłował
odepchnąć jego rękę.

- Przecież zostałeś zwerbowany do takiej pracy. - Policzek
nadzorcy zadrżał. - Jest drobny i lekki, ale ma siłę nadpływowca. A
przecież brakuje nam zręcznych...

- Brakuje mu niezbędnych umiejętności i doświadczenia. Poza
tym ostatnio mieliśmy dużo strat, Hosch. To zbyt duże ryzyko.
Wydawało się, że policzek nadzorcy żyje własnym życiem.

- Nie proszę cię o radę, ty kochanku Xeelee! - wrzasnął nagle.

- A jeśli tak bardzo troszczysz się o to świńskie łajno, to też możesz
zejść w dół. Rozumiesz mnie? Rozumiesz?

Syn Logue'a spuścił głowę. Oczywiście Hosch mówił nielogicznie.
Skoro on, Farr, miał zjechać w dół z racji swoich rozmiarów, to
przecież ich szef nie powinien robić tego samego Bzyi...

Wielkolud tylko skinął głową, najwyraźniej nie przejmując

162

plyw

się ani gniewem nadzorcy, ani tym, że nagle zgodził się wykonywać niebezpieczną pracę.

– Kto na trzeciego?

– Ja. – Pulsujące mięśnie twarzy Hoscha i drganie obwódki jego oczodołów wskazywały, że nadal jest wściekły. – Ja nim będę. A teraz ruszajcie się, wy świńscy kochankowie, to może dotrzemy na dół, zanim Morze Kwantowe całkowicie zakrzepnie...

Wszyscy trzej wyszli z pomieszczenia. Fair starał się nie słyszeć steku przekleństw, którymi wciąż raczył ich nadzorca. Przypominał sobie jedynie, co Bzya mówił o Hoschu i odpowiedzialności.

11

Komora, w której oczekiwali na wejście do Dzwonu, znajdowała się u samego podnóża Miasta. Pomieszczenie miało ściany i sufit, ale było pozabawione podłogi. Podobnie jak Hosch i Bzya, Fan- przywarł do lin naprowadzających i popatrzył w dół na czyste Powietrze, upajając się jego świeżością po długim okresie przebywania w zatechłym Porcie. Pamiętał, iż nad jego głową znajduje się potężne Miasto; skrzypiało cicho niczym zwierzę podczas porodu.

Dzwon był kulą ze stwardniałego, poobijanego drewna, szeroką na dwóch ludzi. Opasywały go obręcze z materii rdzeniowej; zwiisał z ogromnego koła linowego, które wydawało się niemal niewidoczne w mroku nad głową chłopca. Liczne liny łączyły luźno ów statek z Grzbietem. Fan- dostrzegł w oddali jasne plamy. Były to twarze robotników Portu, pracujących przy kole.

Grzbiet wyglądał jak drewniana kolumna ze zwisającymi wzdłuż niej linami, która opadała poniżej komory Dzwonu i ciągnęła się w gęstym Powietrzu pod Miastem, zmieniając się w oddali w ciemną, ledwie widoczną linię, odginającą się zgodnie z pływem Magpoła. Liny, które jej towarzyszyły, sięgały daleko, daleko, aż do fioletowego jak siniak, śmiertelnie niebezpiecznego Podpłaszcza. Siedząc łuk Grzbietu, Farr czuł, jak jego serce bije coraz wolniej.

163

Dzwon wydawał się nieprawdopodobnie kruchy. Jak mógłby uchronić chłopca przed rozpuszczeniem się w czeluściach Podpłaszcza, skoro miał krążyć nad kipiącą powierzchnią Morza Kwantowego? Z pewnością zostałyby zgnieciony jak liść. Nic dziwnego, że tylu Poławiaczy postradało życie.

Hosch otworzył duże drzwi w bocznej części wehikułu i zeszywniały wgramolił się do środka. Bzya popchnął Farrą naprzód. Kiedy młodzieniec zbliżył się do kuli, zobaczył, że jej zewnętrzny pancierz jest strasznie podrapany i zniszczony. Włożył palec w jedną z rys; wyglądała tak, jakby jakieś zwierzę wygryzło ją zębami albo wyżyłobiło pazurami.

Bardzo uspokajające, pomyślał ironicznie.

Spodziewał się, że wewnątrz Dzwonu będzie takie jak w samochodzie Mixxaxa; wyposażone w wygodne siedzenia i okna wpuszczające światło. Znalazł się jednak w ciemnej norze i omal nie zderzył z Hoschem. Jedynymi oknami były małe płyty z przezroczystego drewna, które prawie nie przepuszczały światła; lampy drzewne emitowały stłumiony, zielonkawy blask. Wzdłuż osi kuli wbudowano dźwigar, którego Farr się chwycił. Zobaczył jeszcze małą tablicę rozdzielczą – z dwoma sfatygowanymi przełącznikami i dźwignią – a ponadto sporo wielkich pojemników, które chyba były zbiornikami.

Do Dzwonu wgramolił się Bzya. Nagle w środku zrobiło się tłoczno. Kiedy wielki Poławiacz zacisnął potężne łapy na dźwigarze, wewnątrz pojazdu wypełnił jego swojski, duszący zapach. Hosch obszedł obu członków załogi, a następnie zamknął pokrywę łuku – masywną, drewnianą okrągłą płytę szczelnie dopasowaną do otworu wjazdu.

Czekali w prawie całkowitym mroku. Ze wszystkich stron kadłuba dobiegały zgrzyty. Wyglądając przez okna, Farr widział robotników portowych, którzy poprawiali ułożenie obręczy z materii rdzeniowej,

plyw

żeby w równych odstępach opasywały kulę i osłaniały luk. Młodzieniec zerknął najpierw na Hoscha, a potem na Bzyę. Ten odwzajemnił jego spojrzenie z cierpliwą, pobłażliwą miną; w ciemnościach jego blizny wyglądały mniej odrażająco. Nadzorca gapił się przed siebie, spięty i zły.

Farr usłyszał osobliwy, regularny pomruk. Wszystko wibro-
164

wało. Młodzieniec odnosił wrażenie, że pomruk przenika go całego; czuł, jak zwięzają się jego naczynia włosowate. Spojrzał na Bzyę, ale Poławiacz zamknął zdrowe oko i zacisnął szczęki, a jego zniszczony oczodół przypominał tunel prowadzący ku nieskończoności.

...Coś się zmieniło. Farr poczuł, że po raz pierwszy w życiu coś zostało mu odebrane. Już kiedyś doznał podobnego wrażenia. Było to podczas ostatniego, brzemiennego w skutki polowania z Istotami Ludzkimi; doświadczał wówczas oszałamiającego lęku przed spadaniem. Co się z nim działo? Czuł, że coraz słabiej przytrzymuje się dźwigara, a jego palce ześlizgują się z drewna. Krzyknął i poszybował do tyłu.

Bzya chwycił go mocno ręką za rurki włosowe i przyciągnął z powrotem do dźwigara. Chłopiec oplótł go rękami i nogami.

Hosch śmiał się ochryple.

Ktoś walił w kadłub ciężką pięścią. Teraz Farr odniósł wrażenie ruchu – pojazd kołysał się gwałtownie. Liny grzechotały, ocierając się o Dzwon i o siebie nawzajem.

Zaczęło się. W oszałamiającej ciszy opuszczali się w kierunku Podpłaszcza.

– Hosch, chłopak nie został na to wszystko przygotowany. – W głosie Bzyi nie było słyhać gniewu. – Przecież mówiłem. Jak może pracować, skoro nie ma o niczym pojęcia i paraliżuje go strach?

– Pogadaj z tym nadpływowcem, jeśli chcesz. – Zaaferowany nadzorca odwrócił wychudzoną, pomarszczoną twarz.

– Bzya, co się ze mną dzieje? Czuję się dziwnie. Czy tylko dlatego, że opadamy wzdłuż Grzbietu?

– Nie. – Poławiacz potrząsnął głową. – Opadamy, ale chodzi tu o coś więcej. Posłuchaj uważnie, Farr. Powinieneś wiedzieć, co się z tobą dzieje. Może dzięki temu utrzymasz się przy życiu.

Wypowiedziane spokojnym tonem słowa wywołały u chłopca większy lęk niż wszystkie napuszone tyrady Hoscha.

– wytłumacz mi to.

– W miarę opadania Powietrze robi się coraz gęstsze. To pojmujesz, prawda?

165

Farr rozumiał jego wywód. W śmiertcionośnych otchłaniach Podpłaszcza ciśnienia i gęstości były tak duże, że jądra zagęściły się, oddziałując na siebie dużymi siłami. Struktury połączonych jąder tworzące ciało ludzkie – a także całą materię, jaka składała się na świat otaczający Farrą – nie mogły zachować stabilności. Jądra rozpuszczały się w neutronowej nadcieczy, czyli w Powietrzu; uwolnione protony tworzyły nadprzewodnikową ciecz w neutronowej mieszaninie.

W końcu, w głębinach Morza Kwantowego, Gwiazda przypominała wielkie, pojedyncze jądro; nie mogło w niej przetrwać żadne życie oparte na związkach jądrowych.

– Jak ten drewniany Dzwon może nas chronić? Czy drewno po prostu się nie rozpuści?

– Rozpuściłoby się... gdyby nie obręcze z materii rdzeniowej. Obręcze były wydrążonymi rurami z hiperonowej materii rdzeniowej. Zawierały protonowy nadprzewodnik, wydobyty z Podpłaszcza. Inne rury podłączone były za pośrednictwem kabli do prądnic w Porcie, które wytwarzały prądy elektryczne w obręczach Dzwonu.

– Prądy w obręczach generują potężne pola magnetyczne – rzekł Bzya. – Takie jak nasze Magpole. I one nas chronią. Pola stanowią

plyw

dotatkową barierę wokół Dzwonu, izolując go od ciśnień.

– Ale co sprawia, że czuję się tak dziwnie? Czy to pole magnetyczne Dzwonu?

– Nie. – Olbrzym uśmiechnął się. – Obręcze odpychają Pole – to znaczy, Magpole Gwiazdy – od wnętrza Dzwonu. Wszyscy dorastamy w Magpolu. Ono oddziałuje na nas nieustannie... Wykorzystujemy je do poruszania się, do falowania. Farr, ty po raz pierwszy w życiu nie wyczuwasz Magpola... Po raz pierwszy w życiu nie jesteś w stanie określić kierunku, w jakim podążasz. Nie istniał sposób mierzenia czasu. Ciszę przerywał jedynie łomot lin, głuchy łoskot kadłuba statku ocierającego się o Grzbiet oraz nieartykułowane mamrotanie Hoscha. Farr nie otwierał oczu, mając nadzieję, że uda mu się zasnąć.

Po jakimś czasie Dzwon gwałtownie się przechylił, omal nie wyrzuwając dźwigara z dłoni Farra. Młodzieniec kurczowo przywarł

166

do pionowej belki i rozejrzał się po słabo oświetlonym pomieszczeniu.

Czuł, że coś się zmieniło. Ale co? Czyżby pojazd uderzył o coś?

Nie, nadal się poruszał, ale w inny sposób – wskazywały na to sensacje żołądkowe, jakich doznawał chłopiec. Z pewnością sunęli w dół, ale teraz odbywało się to znacznie płynniej, poza tym Dzwon przestał się zderzać z Grzbietem.

Wydawało się, że drewniana kula swobodnie szybuje w Podpłaszczu.

Bzya położył ciężką rękę na ramieniu młodzieńca.

– Nie ma czego się bać – powiedział życzliwie.

– Nie boję się...

– Uwolniliśmy się od Grzbietu, ot i wszystko. Farr zrobił wielkie oczy.

– Dlaczego? Coś się zepsuło?

– Nie. – Małe lampy drzewne łagodnie oświetlały wgłębienie uszkodzonego oka Bzyi. – Wszystko przebiega planowo. Posłuchaj: Grzbiet oddala się zaledwie o metr poniżej Miasta. To głębiej, niż zdołałby dotrzeć ktokolwiek, falując bez wspomaganie. Ale my musimy zejść o wiele głębiej. Teraz nasz Dzwon opada, nie korzystając z przewodnic Grzbietu.

Liny i kable łączą nas w dalszym ciągu z Parz. A prąd, który przewodzą kable, będzie chronił i nas, i liny, przed tutejszymi warunkami, póki nie przerwiemy opadania. Ale...

– Ale dryfujemy. A nasza lina może się zaplątać albo zerwać.

Bzya, co by się stało, gdyby pękła?

Olbrzym spokojnie wytrzymał spojrzenie Farra.

– Jeśli pęknie, nie wrócimy do domu.

– Czy to się czasem zdarza?

Bzya odwrócił twarz w stronę lampy.

– Kiedy do tego dochodzi, ci w górze, w Porcie, od razu o tym

wiedzą – powiedział. – Liny i kable są luźne. Natychmiast wiadomo, że stało się najgorsze. Nie musisz czekać na powrót pustej końcówki...

– A my? Co stałoby się z nami? Hosch wysunął chudą twarz do przodu.

– Zadajesz mnóstwo głupich pytań. Pocieszę cię odrobinę.

167

Jeśli lina pęknie, nawet się nie zdązysz zorientować. – Zacisnął rękę w pięść i mignął nią przed nosem Farra. Młodzieniec uchylił się.

– Może powinniście mi powiedzieć, co jeszcze może mnie zabić.

Przynajmniej będę przygotowany...

W tym momencie rozległ się łoskot i Farra odrzuciło od dźwigara.

Dzwon zakołysał się, pokonując gęstą ciecz Podpłaszczu.

Chłopiec uświadomił sobie, że grzęźnie w dusznym Powietrzu

Dzwonu. Bzya musiał jeszcze raz wyciągnąć ręce i przyciągnąć go do umieszczonego w środku kabiny dźwigara.

plyw

Poławiacz położył palec na swoich ustach, na znak, żeby chłopak milczał. Hosch rozglądał się groźnie.

Fair wstrzymał oddech.

Coś drapało zewnętrzną warstwę kadłuba. Dźwięk przypominał skrobanie paznokci po drewnie. Trwał kilka uderzeń serca, a potem ucichł.

Pasażerowie milczeli przez kilka minut, kontynuując niespokojną, pełną wstrząsów podróż. Farr wyobrażał sobie metry liny w górze, splątanej w supły wielkości człowieka.

– Co to było? – Zerknął na okna, które niechętnie wpuszczały rozproszone, fioletowe światło. – Czy jesteśmy w Morzu Kwantowym?

– Nie – odparł Bzya. – Nie, od Morza dzieli nas jeszcze setki metrów. Zamierzamy spenetrować tylko górne warstwy Podpłaszczka. Ale jesteśmy już kilka metrów poniżej końca Grzbietu.

– Tak – potwierdził Hosch, utkwivszy wzrok w młodzieńcu.

– A był to kolonista, który z martwych powstał, żeby się przekonać, kto składa mu wizytę.

Farr poczuł, że opada mu szczęka.

– To berg materii rdzeniowej – wyjaśnił Bzya spokojnie. – Materia rdzeniowa. Nic nadzwyczajnego.

Hosch skrzywił się pogardliwie; jego spojrzenie błędziło po kabinie.

Farr wiedział, że Hosch naigrawa się z niego, ale słowa nadzorcy pobudziły jego wyobraźnię. Zawsze przepadał za opowieściami o Wojnie Rdzeniowej, lubił patrzeć na nieosiągalną taflę Morza Kwantowego i straszyć samego siebie wizjami prastarych, odmien-

168

nych istot grasujących w jego głębinach. Jednakże owe historie o wojnie, o klęsce rasy ludzkiej, wydawały się tak odległe od codziennej rzeczywistości, że nie miały żadnego znaczenia.

Ale przecież Dura opowiadała o rzeźbie fraktalnej, którą widziała na uniwersytecie w Parz – Ito twierdziła, że rzeźba przedstawia postać kolonisty. A teraz syn Logue'a sam opadał w kierunku Podpłaszczka, chroniony tylko przez kiepską, prawie niezrozumiałą technologię.

Przywarł do dźwigara i popatrzył na fioletowe światło w oknach.

Znowu coś zaszurało o kadłub. Kolejny raz Dzwon zakołysał się, przyprawiając Farra o mdłości.

Jednak tym razem Hosch i Bzya nie wydawali się zaskoczeni.

Nadzorca odwrócił się i przycisnął twarz do okna, a olbrzym przestał kurczowo ścisnąć dźwigar i zgiał palce.

– Co się dzieje teraz? – szepnął Fair.

– Chyba zahaczyliśmy o berga...

Jądra – skupiska protonów i neutronów – nie były w stanie przetrwać pod powierzchnią Morza Kwantowego. Jeszcze głębiej zaś, w ciemnym brzuchu Morza, gęstości stawały się tak duże, że dochodziło do bezpośredniego kontaktu samych nukleonów. W wyniku ich zderzeń mogły powstawać hiperony, egzotyczne kombinacje kwarków, które czasami tworzyły stabilne wysepki gęstej materii – bergi materii rdzeniowej. Potrafiły one przetrwać z dala od olbrzymich gęstości środka gwiazdy, w których się rodziły. Miotane prądami Morza Kwantowego bergi dryfowały w górę, na wyższe poziomy, gdzie Poławiacze odzyskiwali je i przekazywali Parz.

– Przywiera do zewnętrznego pancerza Dzwonu – powiedział Bzya. Zademonstrował za pomocą pięści, w jaki sposób berg uderzył o kadłub. – widzisz? Jest przyciągany przez pole magnetyczne Dzwonu, wytwarzane przez obręcz z materii rdzeniowej. I berg zostaje przy nas, unieruchomiony przez Magpole powstałe w jego własnym wnętrzu.

Hosch znowu uśmiechnął się pogardliwie. Cuchnęło mu z ust.

– Dobry Połów. Mieliśmy szczęście. Jesteśmy najwyżej cztery metry poniżej Parz. A teraz patrz, chłopcze. – Zamaszystym gestem

plyw
przekręcił dwa przełączniki na małej płycie kontrolnej.
169

Farr wstrzymał oddech, ale wydawało się, że nic nie uległo zmianie. Dzwon w dalszym ciągu niepokojąco się kołysał w środkowisku Podpłaszczu; właściwie obracał się dookoła własnej osi, być może pod wpływem uderzenia berga – tak przynajmniej podpowiadał Farrowi żołądek.

– Przesłał za pośrednictwem kabli sygnał do Portu – cierpliwie wyjaśnił Bzia. – Że jesteśmy gotowi do wciągnięcia na górę. Nadzorca wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Właśnie dlatego tu jesteśmy, chłopcze. Właśnie po to zamykają ludzi w tych klatkach i spuszczają do Podpłaszczu. Wszystko po to, by przekręcić te małe przełączniki. Rozumiesz? W przeciwnym razie obsługa Portu nie wiedziałaby, kiedy wciągnąć Dzwony na górę.

– Dlaczego jest nas trzech? Nie wystarczy jeden Poławiacz?

– Podwójne zabezpieczenie – odparł Hosch. – Gdyby coś przytrafiło się misji, jeden z nas mógłby przeżyć wystarczająco długo, żeby przekręcić przełączniki i przywieźć cenną materię rdzeniową. – Strasznie Farra sprawiało mu wyraźną przyjemność. Młodzieniec usiłował się odgryźć.

– W takim razie powinieneś być powiedzieć mi, co się działo poprzednio. A gdyby stało się coś złego i nie wiedziałbym, co robić? Bzia beznamyślnie spojrział na nadzorcę.

– Hosch, chłopak ma rację.

– Tak czy owak – zauważył Farr – przekręcenie małego przełącznika nie wymaga wielkich umiejętności...

– Och, nie o taką umiejętność chodzi – rzekł Hosch spokojnie.

– Przede wszystkim trzeba pozostać przy życiu wystarczająco długo, aby zdążyć to zrobić.

Dzwon przechylał się niebezpiecznie w Podpłaszczu, gdyż materia rdzeniowa przywarła tylko po jednej stronie statku. Farr próbował ocenić, jak szybko się wznoszą, ale nie potrafił oddzielić prawdziwych wskazówek – mdłości, które odczuwał, powoli jaśniejących okien – od optymistycznej wyobraźni. Niepokojnie przyglądał się fioletowej jak siniak poświacie i nie był w stanie przełknąć jedzenia, które Bzia wyjął z małej szafki w kadłubie.
170

Dzwon zadygotał pod wpływem kolejnego uderzenia. Młodzieniec uczeplił się dźwigara. Rozległ się zgrzytliwy hałas, a potem mały, niezgrabny statek gwałtownie się zatrzymał.

Fair walczył z pokusą zamknięcia oczu i zaszycia się w kacie. Zadawał sobie pytania: Co tym razem? Jakie jeszcze bzdury spróbują mi wmówić?

Poczuł na swoim ramieniu twardą skórę palców Bzi.

– Wszystko w porządku, chłopcze. To znak, że jesteśmy prawie w domu.

– Co to było?

– To nasz berg; ocierał się o Grzbiet. Teraz jesteśmy najwyżej metr poniżej Parz.

Hosch pociągnął z wysiłkiem dźwignię na tablicy rozdzielczej. Pomruk, który Fan nauczył się kojarzyć z prądami wytwarzającymi ochronne pole magnetyczne Dzwonu, stracił na intensywności.

Nadzorca odwrócił się do młodzieńca. Było widać, że jego zmienny nastrój osiągnął ekstremalną fazę przebiegłego spokoju.

– Twój kumpel ma częściowo rację. Ale jeszcze nie jesteśmy bezpieczni. Do tego jeszcze daleka droga.

Mieli przed sobą jeden z najtrudniejszych etapów misji. Berg, ocierający się z chrzęstem o Grzbiet, mógł z łatwością zniszczyć liny albo uszkodzić drewnianą kolumnę.

– I dlatego – dodał Hosch słodkim głosem – jeden z nas musi wyjść na zewnątrz i trochę popracować.

– Co ma zrobić?

plyw

– Owinać berg linami. Przywiązać go do Dzwonu – odparł Bzya łagodnie. – To wszystko. Dzięki temu berg przestaje dygotać, a liny nie zderzają się z materią rdzeniową.

Nadzorca uporczywie wpatrywał się w Farra.

Olbrzymi Poławiacz uniósł potężne ręce.

– Nie – rzekł. – Hosch, chyba nie myślisz poważnie. Nie możesz wysłać chłopca.

– Myślę o tym najzupełniej poważnie – odparł Hosch. – Obaj powiedzieliście, że chłopak nie przetrzyma tu w dole nawet pięciu uderzeń serca, jeśli nie nauczy się fachu. A do tego prowadzi tylko jedna droga, prawda?

171

wielkolud usiłował protestować, ale Farr powstrzymał go.

– W porządku. Bzy a. Nie boję się. Zresztą, on chyba ma rację.

– Posłuchaj mnie – odezwał się Poławiacz. – Gdybyś się nie bał, byłbyś głupcem albo trupem. Strach sprawia, że masz szeroko otwarte, czyste oczy.

– Liny są w tamtej szafce – podpowiedział Hosch. Bzya zaczął wyciągać ciasno zwinięte, grube liny; wkrótce miało się wrażenie, że wypełniają całą kabinę.

– A ty – Hosch warknął do Farra – zajmij się otwieraniem luku. Chłopiec wyjrzał przez okno. Powietrze – jeśli na tej głębokości można było mówić o Powietrzu – przypominało swoją fioletową barwą Morze. Ostatecznie, wciąż znajdował się metr – sto tysięcy ludzi – poniżej Parz.

Poczuł czyjaś podeszwę na swoich plecach.

–No, jazda–burknął Hosch. –To cię nie zabije. Przypuszczalnie.

Fair napał ramionami na okrągłą pokrywę luku i pchnął. Płyta była ciężka i sztywna. Popychając ją, młodzieniec słyszał drapanie przesuwających się obręczy z materii rdzeniowej, które opasywały kapsułę.

Wreszcie luk gwałtownie się otworzył i wypadł, tak że Fair nie mógł go dosięgnąć. Powietrze na zewnątrz Dzwonu było gęste i kleiste; natychmiast wypełniło kabinę, wypierając jej czystą, rzadszą atmosferę. Lamy wewnątrz pojazdu przygasły.

Farr wstrzymał oddech, jego usta zacisnęły się tak mocno, jakby były obdarzone własną, silną wolą. Czuł ucisk na piersiach, miał wrażenie, że gęste Powietrze próbuje wdrzeć się do jego płuc przez skórę. Z trudem rozchylił wargi. Lepkie, fioletowe Powietrze wcisnęło mu się do gardła. Czuł z ustach jego kleisty, gorzki smak. Dyszał ciężko, rozszerzając objętość płuc; Powietrze parzyło, przechodząc przez naczynia włosowate.

Po krótkiej szarpaninie Farr nasiąkł atmosferą Podpłaszca.

Eksperymentalnie uniósł ręce, zginając palce. Sprawnie wykonał te proste czynności, ale czuł się osłabiony, niemrawy. Być może nadciekła część tego Powietrza była gorsza niż we właściwym Płaszczu.

172

– Luk – rzekł Bzya, wyciągając rękę. – Lepiej, żebyś go odzyskał. – Głos Poławiacza brzmiał niewyraźnie, jakby jego usta spowijała warstwa materiału.

Chłopiec skinął głową i wygramolił się przez właz.

Żółtofioletowe Powietrze było tak gęste, że prawie nie dostarczało światła. Fan- miał wrażenie, że jest zawieszony w bańce o ciemnych ścianach, o średnicy około czterech ludzi. Dzwon wisiał w środku tej bańki; dryfujące cielsko. Za nim rozciągała się masywna, wytrzymała ściana Grzbietu; jej górne i dolne krawędzie ginęły w zamglonym Powietrzu. Obserwując drewnianą kolumnę, Fair widział opasujące ją na całej długości kable z materii rdzeniowej – musiały one wytwarzać pole magnetyczne, takie jak pole Dzwonu, żeby Grzbiet nie rozpuścił się w niższej warstwie Podpłaszca. Z kolei liny i kable Dzwonu wiły

plyw

się w kierunku górnego Płaszczca; tamten świat wydawał się początkującym Poławiaczowi nieskończenie odległy. Oderwany luk znajdował się dość blisko. Z łatwością zbliżył się do niego, aczkolwiek wokoło kleiste Powietrze krępowało ruchy. Schwycił okrągłą pokrywę i szybko przekazał Bzyi.

– A teraz berg! – zawołał Hosch. – widzisz go? Farr rozejrzał się dookoła. Pomiedzy Dzwonem a Grzbietem zalegał jakiś bryłowaty twór, długi na pół człowieka, ciemny i nieregularny niby zarost na czystych, sztucznych bruzdach kadłuba.

– Nie potrzebuję lin?

– Najpierw leć obejrzyć berga! – krzyknął nadzorca. – Sprawdź, czy nie wyrzadził nam żadnych szkód.

Chłopiec kilkakrotnie głęboko odetchnął zatechłym Powietrzem i zgiał nogi. Dotarcie do bryły materii rdzeniowej wymagało krótkiego falowania.

Zbliżając się do berga, zobaczył, że jego powierzchnię pokrywają liczne małe wgłębienia i skarpy. Trudno było wyobrazić sobie, że właśnie ta materia tworzy lśniące obręcz wokół Dzwonu albo wstęgi kotwiczne Miasta, czy też delikatne inkrustacje w deskach surfingowych. Berg znajdował się na wyciągnięcie ręki. Farr falował płynnymi ruchami. Pomyślał, że gdyby udało mu się przeżyć, chciałby zobaczyć warsztaty – Bzya nazywał je odlewniami – w których odbywało się przetwarzanie tego surowca...

173

Niewidzialne ręce chwyciły chłopca i cisnęły na bok. Przewrócił się do góry nogami i oddalił od Dzwonu. Krzyknął. Miotał się w Powietrzu, ale nie mógł znaleźć żadnego punktu zaczepienia; młócił nogami w pustce, bezskutecznie usiłując falować.

Dygotał, ale sunął przez Powietrze, próbując powstrzymać koziołkowanie. Zauważył, że Hosch śmieje się z niego. Również Bzya z trudem tłumił uśmiech.

A więc to była kolejna gierka, jeszcze jeden test dla nowicjusza.

Zamknął oczy, pragnąc powstrzymać drgawki. Starał się przemyśleć całą sytuację. Niewidzialne ręce? Tylko pole magnetyczne mogło go odepchnąć tak gwałtownie – pole magnetyczne chroniące Dzwon. Przecież został odrzucony na bok. Właśnie w taki sposób pola oddziaływały na ruchome, naładowane obiekty, na przykład takie jak jego ciało. I dlatego podczas falowania zawsze należało poruszać rękami i nogami w poprzek linii pływowych Pola: dzięki temu można było posuwać się do przodu.

A zatem odrzuciło go pole magnetyczne Dzwonu. Niezły dowcip.

Uświadomił sobie, że najprawdopodobniej Logue zbeształby go za to, że nie przewidział tego rodzaju sytuacji. I jeszcze by się z niego śmiał.

Strach Farra ustąpił miejsca wściekłości. Pomyślał, że przyjdzie czas, kiedy nie będzie musiał tak wiele się uczyć... Może nawet zaaplikowałby parę lekcji innym osobom.

Odzyskał panowanie nad sobą i zaczął niezdarnie gramolić się z powrotem do Dzwonu.

– Dajcie mi liny – powiedział.

12

Zanim potężna karawana transportująca drewno dotarła na farmę sufitową Oosa Frenka, było ją widać przez wiele dni.

Schodząc z pola pszenicy po zakończonej zmianie, Dura obserwowała w roztargnieniu zbliżający się korowód. Był jak ciemny ślad na zaginającym się widnokręgu. Przez linie wirowe sunęły pnie drzew z dzikich lasów nadpływowego obrzeża zagłę-

174

bia Parz, a stacją końcową było dla nich Miasto w najdalszym wysuniętym podpływie. Karawana nie wzbudzała u Dury szczególnego zainteresowania. Na niebie zawsze panował ruch, nawet w tak dużej odległości od Parz. Wiedziała, że transport

plyw

zniknie jej z oczu za kilka dni i będzie po wszystkim. Ale karawana wcale nie pokonywała drogi szybko. W miarę upływu czasu wydawała się Durze coraz większa. Powoli zaczęła dostrzegać rzeczywiste wymiary transportu i rozumiała, jak bardzo zmyliła ją odległość i perspektywa. Szereg porąbanych pni drzew ciągnął się wzdłuż linii wirowych chyba na ponad centymetr. Dopiero gdy maksymalnie zbliżył się do farmy, Dura dostrzegła ludzi, którzy towarzyszyli konwojowi. Mężczyźni i kobiety falowali wzdłuż pni albo pilnowali stad świń powietrznych, które rozproszyły się wśród bali i w porównaniu z karawaną sprawiały wrażenie bardzo maleńkich.

Dobiegła końca kolejna zmiana. Dura roztarta ręce, odrętwiała wskutek całodziennej pracy przy zbożu, zarzuciła na ramię zbiornik powietrzny i powoli pofalowała w stronę refektarza.

Zbliżyła się do niej Rauc. Dziewczyna przyglądała jej się z zaciekawieniem. Rauc była dla niej kimś w rodzaju przyjaciółki, lecz tego dnia szczupła, drobna kuliska wydawała się nieswoja, jakby czymś zaaferowana. Ona również dopiero co skończyła zmianę, a jednak zdążyła się już przebrać w czystą koszulę i wycesała z włosów brud i plewy pszenicy. Na jej wychudzonej, wiecznie zmęczonej twarzy pojawił się nerwowy uśmiech.

– Rauc? Coś się stało?

– Nie, nic, absolutnie nic. – Rauc splótła małe stopy w Powietrzu. – Dura, masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór? Dura wybuchnęła śmiechem.

– Jeść. Spać. A dlaczego pytasz?

– Leć ze mną do karawany.

–Co?

– Do tego transportu drewna. – Rauc pokazała jej miejsce w dole; konwój sunął majestatycznie po niebie. – Falowanie nie zabrałoby nam dużo czasu.

Dura usiłowała ukryć swoją niechęć: Nie, dzięki, widziałam już Miasto, i zagłębienie, i tylu nowych ludzi, że wystarczy mi to na całe

175

życie. Pomyślała nieco tęsknie o małym gniazdku, które sobie uwiła na skraju farmy – ot, zwykły kokon z małym schowkiem na rzeczy osobiste, zawieszony w otwartym Powietrzu, z dala od przepełnionych sal sypialnych, które wybierali pozostali kulisi.

– Może innym razem, Rauc. Dzięki, ale... Rauc wydawała się nedorzecznie rozczarowana.

– Ale karawana przejeżdża tylko raz do roku. A Brow nie zawsze jest w stanie załatwić sobie pracę w odpowiednim konwoju. Jeśli będziemy mieli pecha, minie tę szerokość oddalony o kilka centymetrów od farmy i...

– Brow? – Rauc wymieniła już kiedyś to imię. – To twój mąż? Twój mąż zabrał się z tym konwojem?

– Będzie czekał na mnie. – Rauc wzięła Durę za rękę. – Leć ze mną. Brow jeszcze nigdy nie poznał nadpływowca. Dziewczyna z nadpływu uściśnęła dłoń kuliski.

– Hm, a ja nigdy nie poznałam drwała. Rauc, czy to jedyny raz, kiedy możesz zobaczyć się z mężem? Jesteś pewna, że chcesz, abym ci towarzyszyła?

– Inaczej nie prosiłabym cię o to. Dzięki tobie będzie to szczególne wydarzenie.

Dura poczuła się zaszczyczona i zaraz powiedziała o tym przyjaciółce. Oceniała odległość dzielącą je od konwoju.

– Zdążymy tam dotrzeć i wrócić podczas jednej zmiany? Może powinniśmy pójść do Leeh i przełożyć początek następnej – wziąć dwie wolne.

Rauc wyszczerzyła zęby.

plyw

– Już to załatwiłam. Chodź. Znajdziesz sobie jakąś czystą odzież i ruszamy. Może weźmiesz swoje rzeczy z nadpływu? Swój nóż i sznury...

Razem pofalowały do kokonu Dury. Po drodze buzia Rauc się nie zamykała.

Dwie kobiety zostawiły za sobą farmę sufitową i lekko opadły do Płaszczka.

176

Dura wysunęła się do przodu. Wyciągnęła ramiona w kierunku konwoju i wymachiwała nogami. Falując, nadal zastanawiała się, czy ta wyprawa jest dobrym pomysłem – wciąż odczuwała ból w rękach i nogach po pracowitej zmianie – ale po jakimś czasie odniosła wrażenie, że miarowe, mało forsowne ruchy rozluźniają jej mięśnie i stawy. Pokonywanie Magpoła było wręcz przyjemne w porównaniu z pracą na polu, gdzie musiała chować głowę w masce powietrznej, wysoko unosić ramiona i grzebać palcami w korzonkach jakiejś odpornej rośliny-mutanta.

Przed jej oczami, na tle nieba, rozpościerała się karawana – łańcuch pni drzew ze skorupy, ociosanych z korzeni, gałęzi i liści. Ułożono je w wiązki liczące po kilka sztuk i powiązano kawałkami lin, a całość zabezpieczono mocnym, plecionym sznurem. Dura musiała obrócić głowę, żeby zobaczyć końce tego drzewnego łańcucha, malejące w perspektywie zbiegających się linii wirowych. Pomyślała, że konwój wygląda jak drewniana imitacja linii wirowej.

Dwoje ludzi szybowało w Powietrzu w pewnej odległości od karawany. Wydawało się, że czekają na Rauc i Durę. Widząc zbliżające się kobiety, zawołałi coś i ruszyli w ich kierunku.

Dura zobaczyła mężczyznę i kobietę. Byli mniej więcej w tym samym wieku, co ona i Rauc. Mieli na sobie identyczne, praktyczne, luźne kaftany wyposażone w dziesiątki kieszonek, z których wystawały kawałki lin i narzędzia.

Rauc rzuciła się do przodu i uścisnęła mężczyznę. Dura i kobieta-drwał czekały, nieco zakłopotane. Szczupła towarzysza mężczyzny wydawała się silna, a jej skóra była ogorzała i mocna. Wyglądała – podobnie jak mężczyzna, który musiał być Browem, małżonkiem Rauc – raczej jak nadpływowiec, a nie jak jeden z mieszkańców zagłębia czy Miasta, których Dura zdążyła dotychczas poznać.

Małżonkowie oderwali się od siebie, ale nadal trzymali się za ręce.

Rauc popchnęła Browa w stronę Dury.

– Brow, to jest przyjaciółka z farmy, Dura. Ona jest nadpływowcem...

Mężczyzna odwrócił się do Dury i spojrzał na nią z ciekawością, która mieszała się ze zdziwieniem. Był dość podobny do

177

Rauc. Miał szczupłe, muskularne ciało, a jego wąska twarz wyrażała życzliwość.

– Nadpływowcem? Jak doszło do tego, że pracujesz na farmie sufitowej?

Dura zmusiła się do uśmiechu.

– To długa historia.

Rauc ścisnęła Browa za ramię.

– Opowie ci o tym później.

Brow potarł nos, nie spuszczać oczu z przyjaciółki żony.

– Czasami widzimy nadpływowców. Z daleka. Kiedy pracujemy w odległym nadpływie, tuż na skraju zagłębia. Widzisz, im głębiej zapuszczasz się w dzikie lasy nadpływu, tym lepsze znajdujesz drzewa. Ale... – Urwał zakłopotany.

– Ale wzrasta też niebezpieczeństwo – dokończyła Dura. Nie przestawała się uśmiechać, postanawiając sobie, że przynajmniej ten jeden raz okaże tolerancję. – No, nie martw się. Ja nie gryzę. Roześmieli się, trochę nieszczerze.

Rauc przedstawiła towarzyszkę Browa. Nazywała się Kae i rzuciła

Strona 101

plyw

się Rauc w ramiona. Dura obserwowała obie kobiety z zaciekawieniem, usiłując zrozumieć, co je łączy. Zachowywały się wobec siebie z pewnym dystansem, nawet ostrożnością, a jednak ich uścisk wydawał się spontaniczny – jak gdyby na jakimś poziomie, ukrytym pod maską konwenansu, istniało między nimi wzajemne zrozumienie.

Brow pociągnął Rauc.

– Chodź zobaczyć resztę. Stęsknili się za tobą. Niedługo będziemy jeść. – Zerknął na Durę. – Czy przyłączysz się do nas? Kae szybko zbliżyła się do dziewczyny z nadpływu i obdarzyła ją przyjaznym uśmiechem.

– Dura, zostawmy tych dwoje na chwilę. Pokażę ci konwój... Nie wydaje mi się, żebyś spotkała kiedyś takich ludzi jak my...

Dura i Kae falowały obok siebie. Kobieta-drwał pokazywała charakterystyczne elementy karawany i rzeczowo, z werwą opisywała zasady funkcjonowania konwoju. Nieustannie przeplatała

178

swój wykład aluzjami do pozornej ignorancji gościa. Córkę Lo-gue'ajuz od dawna nudziło traktowanie jej przez mieszkańców Parz jak pocieszne dziwadło. Teraz jednak obiecała sobie, że powstrzyma się od kaśliwych ripost, które tak łatwo jej przychodziły. Przecież ta kobieta, Kae, nie miała na myśli niczego złego; po prostu chciała być uprzejma dla obcej osoby. Może uczyć się dostrzegać w ludziach coś więcej niż tylko pozory, pomyślała. Nie będę reagować na drobiazgi. Uśmiechnęła się do siebie. Chyba wreszcie zaczynała dojrzewać.

Korowód pni sunął przez Powietrze mniej więcej o połowę wolniej niż wynosiła przeciętna prędkość falowania. Dura widziała zaprzęgi świni powietrznych, które były przywiązane nie do aut powietrznych, ale do sznurów opasujących pnie drzew. Świnie kwiczały i prychały, gdyż skórzane uprząże krępowały ich ruchy. Ludzie, między innymi dzieci, doglądali zwierząt. Dawali im do jedzenia pogniecione liście w miskach i nieustannie poprawiali ułożenie zaprzęgów, tak aby ciągnęły wiązki w tym samym kierunku, zgodnie z ułożeniem pni.

Ludzie pokrzykiwali do Kae i z zaciekawieniem przyglądali się Durze, która doszła do wniosku, że musi ich tu być ze stu. Kobiety zatrzymały się, żeby popatrzeć na stado świni. Zwierzęta wyprzęgano, ale i tak były spętane linkami wiążącymi ich przekłute pletwy. Odprowadzono je do innej części karawany, żeby wypoczęły, a na ich miejscu pojawił się nowy zaprzęg. Dura zmarszczyła brwi.

– Nie byłoby łatwiej zatrzymać konwój, zamiast zmieniać świnię w trakcie podróży? Kae wybuchnęła śmiechem.

– Raczej nie. Kiedy montuje się karawanę na skraju nadpływu, zaprzęgi zazwyczaj potrzebują kilkunastu dni, żeby osiągnąć odpowiednią prędkość. A gdy ta masa drewna się rozpędzi, o wiele łatwiej jest utrzymać ją w ruchu niż ciągle przystawać i ponownie rozpoczynać wyprawę. Rozumiesz?

Dura westchnęła cicho.

– Wiem, co to jest bezwładność. A więc nie zatrzymujecie się nawet w porze snu?

– Sypiamy na zmianę. Śpimy w sieciach i kokonach, które

179

są przywiązane do pni. – Kae pokazała najbliższy zaprzęg. – Podczas lotu wymieniamy świnię. Sterowanie karawaną nie jest takie trudne: wystarczy podążać za liniami wirowymi nadpływu, żeby dotrzeć do Bieguna Południowego... Dura, kiedy taki konwój wyrusza z dalekiego zagłębia, nie zatrzymuje się ani razu. Transport staje dopiero w pobliżu Parz. Tam zaprzęgi świni zawracają, a konwój dzieli się na części i zabiera do Miasta.

Córka Logue'a usiłowała sobie wyobrazić odległość od nadpływu do Parz.

plyw

– Ale przy tej szybkości dotarcie do Miasta musi pochłaniać wiele miesięcy.

– Na ogół cały rok.

– Rok? – Dura zmarszczyła czoło. – Ale jak Miasto może czekać tak długo na drewno?

– Nie może. Ale nie musi czekać. – Kae uśmiechała się, ale powolność rozumowania gościa z farmy nie wydawała się wywoływać u niej zniecierpliwienia. – Do Miasta nieustannie napływa strumień takich karawan z całego zagłębia. Zatem z punktu widzenia Parz, nie ma przerwy w dostawach drewna.

– Rauc wiedziała, którego dnia powinna wruszyć na spotkanie konwoju. Ty i Brow czekaliście, żeby nas powitać.

– Tak. Zjawiliśmy się punktualnie. Zawsze przybywamy na czas. To samo dotyczy innych konwojów w całym zagłębiu. Wszystko jest starannie zaplanowane.

Dura pomyślała o setkach karawan nieustannie podążających do Parz ze swoim bezcennym ładunkiem... i to punktualnie. Zdumiewało ją, że istoty ludzkie są w stanie planować i działać systematycznie na taką skalę i z taką precyzją.

Sunęły wzdłuż konwoju. Gdzieś tam nie były rozcięte, odsłaniając zielony żar jądrowego ognia. Ludzie krzatali się energicznie wokół rozżarzonych płamek. Do pni były przymocowane sieci i liny; Dura zauważyła, że do sieci powpychano kokony do spania, narzędzia, ubrania, beły żywności. W jednym miejscu przebywały niemowlęta i małe dzieci, odgródzone siatką o drobnych oczkach.

– Ależ ten konwój jest jak małe Miasto – powiedziała. – Ruchome miasto. Widziałam tutaj całe rodziny.

180

– Zgadza się – odpara Kae z uśmiechem. – Jednak istnieje pewna różnica: za kilka miesięcy, gdy dotrzemy do Parz, to miasto się rozpadnie. I zostaniemy odesłani samochodami z powrotem do zagłębia, żeby rozpocząć pracę nad tworzeniem następnego miasta. Minęły kolejną sieć wypełnioną śpiącymi dziećmi.

– Dlaczego Rauc nie podróżuje razem z karawaną? – zapytała Dura delikatnie. – Z Browem? Kae lekko zeszywniała.

– Ponieważ dostaje lepszą zapłatę tam, gdzie jest teraz, pracując jako kulis dla Qosa Frenka. Mają dziecko. Mówiła ci o tym? Umieścili dziewczynkę w szkole w samym Parz. Muszą tak harować, żeby opłacić chesne.

Dura pozwoliła sobie na mały przystanek w Powietrzu.

– A więc Rauc jest na farmie sufitowej w zagłębiu, jej dziecko przebywa w tym drewnianym pudle na Biegunie, a Brow błąka się gdzieś po nadpływie, transportując drewno. Przy odrobinie szczęścia spotykają się – ile? Raz w roku? – Przypomniała sobie Mixxaków, którzy również musieli spędzać dużo czasu osobno, i to z bardzo podobnych przyczyn. – Kae, co to za życie?

Kobieta-drwał cofnęła się.

– W twoim głosie pobrzmiwa dezaprobata. – Pomachała ręką.

– Dla tego wszystkiego, co nas otacza. Dla naszego stylu życia. No wiesz, nie możemy wszyscy żyć jak wesołe dzikusy w nadpływie. –

Przygryzła wargę, ale kontynuowała. – Tak to jest. Rauc i Brow starają się jak mogą dla swojej córki. A jeśli chcesz wiedzieć, co czują, zmuszeni rozstawać się ze sobą na tak długo, powinnaś ich o to zapytać.

Dura milczała, a jej przewodniczka dokończyła:

– Nasze życie jest skomplikowane – być może bardziej, niż sobie wyobrażasz. Wszyscy musimy się godzić na kompromisy.

– Naprawdę? A na czym polega twój kompromis, Kae? Kae zmrużyła powieki.

– Chodź – powiedziała. – Poszukajmy innych. Na pewno nadeszła pora posiłku.

Drogę powrotną obok usytuowanej liniowo społeczności przebyły w całkowitym, ciężącym jak kamień milczeniu.

Przy pniu jednego z dużych, rozłupanych drzew w środkowej części karawany zebrało się kilkanaście osób. Bał zdobiło wycięte Koło o pięciu szprychach, a w żarze płonącym w szczelinach wyrzeźbionego symbolu umieszczono miski z jadłem.

Ludzie chwyтали się dryfującego pnia drzewa albo zwisających zeń sznurów i sieci, znajdując sobie miejsca wokół ciepłego ognia jądrowego. Od czasu do czasu ktoś sięgał do szczeliny i wyciągał miskę.

Dura dołączyła do grupy nieco zdenerwowana. Jednak drwale powitali ją raczej z obojętnością, a niektórzy nawet kiwali przyjaźnie głowami. Ci nomadzi, nieustannie przemierzający obrzeża, musieli być przyzwyczajeni do normalnego traktowania obcych w potężnym zagłębieniu wokół Parz.

Dziewczyna z nadpływu znalazła kawałek sznura i owinęła nim ramię. Przywiązany do pnia sznur ciągnął ją, wywierając stały nacisk na rękę. Uświadomiła sobie, że stała się częścią konwoju i porusza się dzięki jego sile bezwładności. Zerknęła na pozostałych członków zgromadzenia. Ich twarze i odprężone, okryte kaftanami ciała tworzyły półkulistą tarczę nad odsłoniętym rdzeniem drzewa. Zielony żar opromieniał postacie i rzucał łagodne światło na ich oczodoły. Dura zaakceptowana przez drwali czuła się tu dobrze i przysunęła się bliżej ciepłego, jądrowego ognia.

Zauważyła, że Rauc i Brow tuła się do siebie po drugiej stronie małej grupy. Rauc pomachała do niej ręką, ale szybko przeniosła uwagę na swojego męża. Córka Logue'a rozejrzała się dyskretnie i zobaczyła, że większość zebranych podzieliła się na pary, które od czasu do czasu zagadywały do siebie. Osamotniona, odwróciła głowę i zaczęła patrzeć w spokojnie palący się ogień.

Ktoś poklepał ją po ramieniu. Zobaczyła Kae, która spoczęła obok niej, uśmiechając się.

– Zjesz coś?

Dura nie mogła się powstrzymać od ukradkowego spojrzenia.

Kobieta-drwal nie miała przy sobie żadnego towarzysza. Nie było w niej też ani śladu po niedawnym wybuchu wrogości. Dura odnosiła wrażenie, że Kae jest bardzo nieszczęśliwa. Odwzajemniła uśmiech, starając się okazać dobrą wolę.

– Dzięki. Chętnie coś zjem.

182

Kae wyciągnęła rękę w stronę rozżarzonej szczeliny, wrytej w drzewie. Wyjęła jedną z misek, uważając, żeby nie poparzyć sobie palców o rozgrzane drewno. W okrągłym, drewnianym naczyniu znajdowała się jakaś ciemnobrązowa masa. Kobieta--drwal podała miskę gościowi z farmy.

Dura ostrożnie pogrzebała w naczyniu. Potrawa była gorąca.

Wyciągnęła bryłkę, która miała włochatą powierzchnię, ale była przypieczona na chrupko i zatrzęszczała, gdy dziewczyna ścisnęła ją w palcach.

Spojrzała na Kae z powątpiewaniem.

– Co to takiego?

– Najpierw spróbuj. – Zapytana spojrzała chytrze na zielony ogień.

Dura uszczknęła odrobinę włochatej bryłki.

– Mam zjeść całe?

– Tylko ugryź.

Córka Logue'a wzruszyła ramionami, szybko podniosła bryłkę do ust i zagłębiła w niej zęby. Powierzchnia bryłki była elastyczna, trudna do nadgryzienia; meszek łaskotał podniebienie. Wreszcie skórka pękła i kawałki gorącego, kleistego mięsa trysnęły jej na język i brodę.

Splunęła, ale otarła twarz i przełknęła bryłkę. Mięsz był soczysty, ciepły i sycący. Dura odgryzła kawałek skórki i powoli go przeżuła.

Okazał się twardy i prawie pozbawiony smaku. Następnie wyssała

plyw

resztkę mięsa w skorupce, nie tykając twardego rdzenia w środku.
– Dobrze – stwierdziła. – Co to takiego? Kae pozwoliła, żeby pusta miska zawisła w Powietrzu; szturchnęła ją palcem wskazującym i obserwowała, jak wiruje.
– Jajo pająka spinowego – odparła. – Wiedziałam, że nie rozpoznasz go. Tylko w taki sposób da się je zjeść. W niektórych częściach zagłębia uchodzi za przysmak. Na obrzeżach dzikiego lasu żyje nawet społeczność, która hoduje pająki, żeby pozyskiwać jaja. Bardzo niebezpieczne, ale zyskowne zajęcie. Trzeba tylko wiedzieć, jak przyrządzać jaja, żeby były smaczne... i jadalne.
– Chyba nigdy nie zdołałabym rozpoznać w tym czymś jaja pająka.
– Trzeba je zabierać zaraz po złożeniu – kiedy mały pająk

183

jeszcze nie jest uformowany i w jajku znajduje się coś w rodzaju papki. Środkowa, twarda część stanowi podstawę egzoszkieletu stworzenia; młody pająk wrasta w swój szkielet, pochłaniając substancję odżywczą.

– Dzięki za wyjaśnienia – powiedziała Dura sucho. Kae roześmiała się i otworzyła torbę, którą nosiła przy pasie. Wyjęła kawałek ciasta piwnego.

– Masz, poczęstuj się. W Parz takie egzotyczne produkty z zagłębia cieszą się ogromnym wzięciem. Czerpiemy z nich spore dodatkowe zyski. A co byś powiedziała na kawałek mięsa świni powietrznej?

– Może być. Poproszę. A potem możesz mi opowiedzieć, jak to się stało, że dołączyłaś do tej karawany z drewnem.

– Tylko pod warunkiem, że ty opowiesz, w jaki sposób znalazłaś się tutaj, skoro pochodzisz aż z nadpływu..

Czując ciepło w żołądku, nieco rozweselona i oszołomiona ciastem piwnym, Dura opowiedziała Kae swoją zagmatwaną historię, a nieco później, przy świetle ognistego Koła, powtórzyła ją pozostałym drwalom, którzy słuchali z wypiekami na twarzach.

Wkrótce miski zjedzeniem, przechowywane w żarzących się szczelinach, zostały opróżnione. Stopniowo rozmowy zamierały i Dura wyczuła, że spotkanie zbliża się do końca.

Rauc wyjęła dłoń z ręki męża i samotnie ruszyła do środka małej grupy. Znalazszy się w samym centrum, w milczeniu spojrzała na Koło wycięte w pniu drzewa.

Wszystkie rozmowy ucichły. Dura obserwowała, zaintrygowana.

Atmosfera uległa zmianie – stawała się bardziej uroczysta, smutniejsza. Drwale odsuwali się od siebie i przybierali sztywne pozy. Dziewczyna z nadpływu zerknęła na twarz Kae. Oczodoły kobiety były szeroko rozwarłe, oświetlone żarem ognia, wpatrzone w Rauc.

Powoli Rauc zaczęła mówić. Monolog składał się z imion – Dura nie знаła żadnego z nich – recytowanych w monotonnym tempie. Głos Rauc był zmęczony i spokojny, ale wydawało się, że dociera do każdego z uczestników zgromadzenia. Córka Lo-gue'a słuchała usypiającej, rytmicznej wyliczanki imion, którą kuliska adresowała do wielkiego Koła wyrzytego w drewnie.

184

Powoli Dura uświadomiła sobie, że są to imiona ofiar. Ofiar czego? Okrucieństwa, chorób, głodu, wypadków. Były to imiona zmarłych, które przypominano teraz podczas skromnej ceremonii.

Niektórzy z nich musieli żyć przed wieloma pokoleniami; ich śmierć nastąpiła tak dawno temu, że zapomniano o wszystkich okolicznościach, które jej towarzyszyły. Jednak imiona owych ludzi potomność zachowała w pamięci, dzięki temu subtelnemu, pełnemu wdzięku kultowi Koła.

A ludzie żyjący na niebie mogli pozostawić po sobie ślad tylko za pośrednictwem słów.

plyw

wreszcie lista imion wyczerpała się. Rauc szybowała w Powietrzu przed coraz słabiej zarzającym się kołem. Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. Po chwili drgnęła i spojrzała na oblicza obserwujących ją osób, jakby dopiero się budziła, a potem, falując, wróciła do męża. Grupa rozpraszała się. Brow objął żonę i pofalowali gdzieś razem. Wszyscy uczestnicy zgromadzenia żegnali się i odlatywali.

Dura zerkała ukradkiem na Kae. Kobieta przyglądała się apatycznie Browowi i Rauc. Uświadomiła sobie, że jest obiektem zainteresowania gościa. Uśmiechnęła się, ale w jej głosie można było wyczuć napięcie.

– Odnoszę wrażenie, że znowu mnie osądzasz.

– Nie. Ale myślę, że teraz rozumiem twoje kompromisy. Kae wzruszyła ramionami.

– Brow i ja przez większość czasu jesteśmy razem. Rauc wie o tym i musi żyć z tą świadomością. Ale Brow kocha Rauc. Ten dzień z nią jest wart stu ze mną. I ja muszę żyć z tą świadomością. Wszyscy jesteśmy skazani na kompromisy, Dura. Nawet ty.

Córka Logue'a pomyślała o od dawna nieżyjącym Esku, i o podobnym, bolesnym trójkącie.

– Tak – rzekła. – Wszyscy jesteśmy skazani na kompromisy.

Kae zaproponowała jej nocleg, gdzieś w plataninie sieci i sznurów, opasujących to dziwne, linearne miasto. Dziewczyna z nadpływu odmówiła z uśmiechem.

Pożegnała się. Kobieta-drwał kiwnęła głową i obie popatrzyły na siebie z osobliwym, spokojnym zrozumieniem.

185

Dura odepchnęła się od pnia i, energicznie wierzgając nogami, ruszyła ku farmie sufitowej, do swojego własnego, bezpiecznego gniazdko.

Pod nią rozpościerała się karawana. W kilkunastu miejscach płonęły jeszcze ognie w kształcie koła.

13

Stary, poraniony nadpływowiec bojaźliwie wkroczył na teren Ogrodu Pałacowego w towarzystwie zdenerwowanej pielęgniarki ze szpitala „Wspólnego Dobra”. Kiedy Muub ich zauważył, dał pielęgniarce znak – ponad głowami zaciekawionych dworzan – aby przyprowadziła Addę do fontanny, gdzie sam się znajdował. Następnie odwrócił się, by oglądać powolny balet nadciekłego Powietrza.

Ogród stanowił imponujące zwieńczenie Parz, zbyt słone otoczenie Pałacu Komitetu Miasta. Został założony przed wieloma pokoleniami przez jednego z poprzedników Horka IV, lecz swoją świetność zawdzięczał geniuszowi obecnego Przewodniczącego i jego fascynacji światem natury. Teraz był to wspaniały park z egzotycznymi roślinami oraz zwierzętami sprowadzonymi z całego Płaszcza i prezentowanymi ze smakiem w przemyślany sposób Niskie, ale pełne przepychu zabudowania składające się na Pałac były porozrzucane wokół parku i lśniły niczym klejnoty z materii rdzeniowej na atłasie. Dworzanie poruszali się po Ogródzie małymi grupami, tłocząc się niby stada zwierzątek o jaskrawej skórze. Muub bynajmniej nie przepadał za wielkimi imprezami na otwartej przestrzeni, ale czuł się dobrze w Ogródzie. Wygiął zesztywniały kark i popatrzył w złościzółte Powietrze. Świadomość, że znajduje się pod łukowo ułożonymi, lśniącymi liniami wirowymi Bieguna i obcuje z dziełami stworzonymi przez człowieka, dawała mu zadowolenie i odprężenie. To, że park był sztucznym wytworem, muzeum ujarzmionej natury – a w dodatku zajmował ni mniej ni więcej tylko jeden kwadratowy powierzchni – bardzo podnosiło Muuba na duchu. Już sam Ogród pozwalał wierzyć, że człowiek jest zdolny osiągnąć wszystko.

186

Dyskretnie, fachowym okiem lekarza, zerknął na zbliżającego się nadpływowca. Adda odzyskiwał siły, ale wciąż prawie nie mógł się

plyw

poruszać samodzielnie. Obie nogi miał unieruchomione, a jego klatkę piersiową spowijały bandaż. Prawe ramię spoczywało na temblaku z rzeźbionego drewna. Głowa również była owinięta opatrunkiem, a w kąciku zdrowego oka starca cierpliwie posilała się pijawka.

– Cieszę się, że mogłeś do mnie dołączyć. – Medyk powitał

Addę profesjonalnym uśmiechem. – Chciałem z tobą porozmawiać.

Obandażowany nadpływowiec spojrział przez swoją pijawkę na wygoloną głowę i ozdobny strój nieznanego mężczyzny.

– Dlaczego? Kim jesteś albo czym się zajmujesz? Muub pozwolił sobie na chwilę chłodnego milczenia.

– Nazywam się Muub. Jestem lekarzem Komitetu... i administratorem szpitala „Wspólnego Dobra”, gdzie leczono twoje obrażenia.

– Postanowił przejść do ofensywy. – Poznaliśmy się już, drogi panie, kiedy zostałeś przywieziony do szpitala przez jednego z naszych obywateli. Tamtego dnia – aczkolwiek nie podejrzewam, żebyś o nim pamiętał – powiedziałeś mi, że bym się „odczepił”. No cóż, nie zaakceptowałem tej propozycji; zdecydowałem, że będziesz u mnie leczony. Zaprosiłem cię dzisiaj jako swojego gościa, żebyś obejrzał Ogród. To miał być przyjazny gest wobec kogoś, kto jest nowy w Parz i czuje się samotnie. Ale, szczerze mówiąc, jeśli nie masz ochoty być uprzejmy, możesz odejść.

– Och, będę grzeczny – burknął Adda. – Chociaż nie mam zamiaru zgadzać się z twierdzeniem, że wyświadczyłeś mi jakąkolwiek przysługę, lecząc moje obrażenia. Wiem doskonale, że ściągasz całkiem pokażny dochód z pracy Dury i Farra.

Muub zmarszczył czoło.

– Ach, to twoi towarzysze z nadpływu. Tak, z tego, co wiem, zawarli umowy.

– Na niewolniczą pracę – syknął Adda.

Medyk starał się odprężyć. Każdy, kto potrafił przetrwać na dworze Horka IV, mógł znieść odrobinę prowokacji ze strony jakiegoś bezokiego, starego głupca z nadpływu.

– Nie pozwolę ci drażnić mnie, Adda. Zaprosiłem cię tutaj,

187

abyś podziwiał Ogród – cały spektakl – i skrzętnie dopilnuję, żebyśmy spędzili dzień właśnie w taki sposób.

Adda wytrzymał jego spojrzenie przez kilka chwil, ale nie podjął dyskusji i odwrócił głowę, żeby obejrzeć fontannę.

Nadciekła fontanna stanowiła najważniejszy eksponat Ogródu. Jej główną część stanowił cylinder z przezroczystego drewna, szeroki na dwadzieścia mikronów i przymocowany do wysokiego, cienkiego podestu. Wewnątrz walcowatego pojemnika krążyła wzburzona kula gazu. zabarwiona na fioletowy błękit i wolno dygocząca. Cylinder – oczywiście kosztowny sam w sobie – był opasany pięcioma obręczami z polerowanej materii rdzeniowej i najeżony żerdziami sterczącymi na jego powierzchni. Do końców żerdzi, wewnątrz przezroczystej beczki, były przytwierdzone baryłki – drewniane puszki ozdobione stylizowanymi rzeźbami głów Horka IV i jego poprzedników.

Piękni młodzi aerobaci – mężczyźni i kobiety, wszyscy nadzy – wspaniale falowali w Powietrzu wokół cylindra, obsługując jego skomplikowane mechanizmy. Elektryczny błękit linii wirowych rzucał migoczące jasne plamy na przezroczyste drewno; nieskazitelna skóra aerobatów lśniła złocistym światłem Powietrza.

Nadpływowiec prychnął, dając wyraz obrzydzeniu.

– Sprowadziłeś mnie, że bym obejrzał coś takiego? Muub uśmiechnął się.

– Nie spodziewałbym się, że zrozumiesz, co oglądasz. Adda rzucił mu gniewne, wyraźnie wrogie spojrzenie.

– To wytłumacz mi, co widzę.

– Nadciekłość – oznajmił Muub. – W cylindrze znajduje się strefa niskiego ciśnienia. To znaczy, prawie nie ma tam Powietrza... z wyjątkiem kuli w środkowej części. To Powietrze, ale zabarwione na

plyw

niebiesko, tak że można je zobaczyć. Obręcze wokół pojemnika wytwarzają lokalne pole magnetyczne. Rozumiesz to? Takie jak Magpole, ale sztuczne, kontrolowane. To pole chroni cylinder przed miazdzącym naporem ciśnienia Powietrza z zewnątrz. Ponadto ma utrzymywać tę kulistą odrobinę Powietrza dokładnie w środku, wewnątrz przyrządu.

– I co z tego?

– Dzięki temu możemy oglądać Powietrze – w którym

188

jesteśmy zazwyczaj pogrążeni – jakby z zewnątrz. Powietrze jest neutronową nadcieczą, Adda – substancją o dość niezwykłych właściwościach; gdyby mieli ją odkryć mieszkańcy jakiegoś innego świata, wydałaby im się cudowna. Skwantowana cyrkulacja – zjawisko, dzięki któremu całkowity moment pędu Powietrza ulega przekształceniu w linie wirowe – to tylko jeden aspekt. Przyjrzyj się, co się dzieje, gdy pływające tam pojemniki są zanurzane i wyciągane z kuli Powietrza.

Ładna młoda aerobatkania – dziewczyna o pomalowanych na niebiesko włosach – chwyciła jedną z żerdzi wystających z cylindra i przepchnęła przez ścianę z przezroczystego drewna. Dno rzeźbionej baryłki zanurzyło się w błękitnej kuli. Mały pojemnik nie pogrążył się po brzegi; dziewczyna trzymała puszkę nieruchomo, tak że jej krawędź wystawała nad powierzchnię Powietrza na wysokość co najmniej dwóch, trzech mikronów.

Zabarwione na niebiesko Powietrze wyraźnie pełzało po ścianach baryłki i przelewało się do środka. Muub, jak zawsze urzeczony i zachwycony tym spektaklem, pomyślał, że przypomina to obserwowanie żywego stworzenia.

Kiedy pojemnik wypełnił się do poziomu pozostałej części kuli, aerobatkania powoli go wyciągnęła i umieściła w taki sposób, że jego dno unosiło się jakies pięć mikronów nad powierzchnią sfery. Teraz błękitne Powietrze sunęło po ścianach naczynia w górę, i przelewając się, prześlizgiwało po bokach i cienkim strumykiem, ściekającym z dna gorliwie powracało do kuli.

Trupa aerobatów przedstawiała swój spektakl przez cały dzień, za zupełnie godziwą zapłatę. Adda obserwował cykl przez parę chwil, lecz jego zdrowe oko nie zdradzało żadnych emocji.

Muub zerkał na niego ukradkiem, a potem pokręcił głową.

– Naprawdę w ogóle cię to nie interesuje? Człowieku, nawet twoja pijawka wykazuje więcej życia! – Lekarz doznawał absurdałnego wrażenia, że stara się usprawiedliwić pokaz. – Fontanna demonstruje nadciekłość. Kiedy naczynie jest opuszczane do sfery, jego powierzchnia adsorbuje cienką warstwę cieczy. Powietrze wykorzystuje tę warstwę – szeroką zaledwie na kilka neutronów – żeby uzyskać dostęp do wnętrza naczynia. Kiedy puszka unosi się. Powietrze powraca tym samym kanałem do głównej masy, czyli

189

kuli. Niezwykle imponujące... Obręcze utrzymują nieznacznym gradientem pola magnetycznego z kierunku geometrycznego środka cylindra. Ów gradient ogranicza obszar przebywania Powietrza do tej kuli w centrum... i właśnie wynikająca zeń różnica potencjalnej energii elektromagnetycznej uruchamia cykl fontanny. I...

– Fascynujące – rzekł ironicznie Adda.

Muub z trudem powstrzymał się od kaśliwej uwagi.

– No cóż, wiem, że twój lud ma inne priorytety w życiu.

Obejrzyjmy pozostałą część Ogrodu... Może niektóre eksponaty przypomną ci świat, który niejako opuściłeś. Szczerze mówiąc, ciekawi mnie, jak wy tam żyliście.

– My, nadpływowcy? – zagadnął starzec sarkastycznym tonem.

– Wy, Istoty Ludzkie – zręcznie wywinął się medyk. –

Weźmy na przykład nadciekłość... Czy zachowaliście dużo wiedzy o tego rodzaju sprawach?

plyw

– wiedza, którą przekazujemy naszym dzieciom, dotyczy przeważnie praktycznych problemów codziennego życia... jak zreperować sieć; jak utrzymać swoje ciało w czystości; jak przerobić poobijane ciało świni powietrznej na żywność, odzież, broń, kawałek sznura.

Lekarz uświadomił sobie, że lekko dygocze.

– Ale wiedza to nasze wspólne dziedzictwo, człowieku z Miasta – mruknął Adda. – Chyba nie pozwolilibyśmy, żebyście jej nas pozbawili, tak jak pozbawiliście nas naszego miejsca tutaj przed dziesięcioma pokoleniami.

Muub odwrócił się i wraz z nadpływowcem powoli oddalił od fontanny. Przyszło mu do głowy, że w porównaniu z młodzieńczym wdziękiem aerobatów, sztywne ruchy Addy mogą budzić śmiech, a jednak było w nich coś wzruszającego. Minęli jedną z eksperymentalnych farm sufitowych Horka. W miejscu, które miało symulować korzeniowe sklepienie lasu skorupowego, wyrastała nowa odmiana pszenicy o wysokich, grubych kłosach.

– Powiedz mi, Adda, jakie masz teraz plany?

– Dlaczego miałoby cię to interesować?

– Pytam z ciekawości.

Starzec milczał przez chwilę, a potem niechętnie odparł:

190

– Zamierzam wrócić. Do nadpływu. A cóż innego miałbym zrobić?

– A w jaki sposób zamierzasz tego dokonać?

– Choćby poprzez falowanie, jeśli będę musiał – burknął Adda.

– Jeśli nie uda mi się skłonić żadnego z twoich obywateli, żeby mnie tam zabrał jednym z tych zaprzężonych w świnię samochodów.

Muub odczuwał pokusę powiedzenia czegoś szyderczego.

Usiłował zdobyć się na sympatię, postawić w położeniu Addy. wszak ten dzielny starzec przebywał daleko od swojego domu, w miejscu, które musiało mu się wydawać zatrzważająco dziwne.

– Mój przyjacielu – powiedział lekarz spokojnie – z całym szacunkiem dla umiejętności mojego personelu w szpitalu „Wspólnego Dobra” i dla nadzwyczajnych postępów, jakie czynisz... muszę przyznać, że upłynię dużo czasu, zanim staniesz się zdolny do takiej podróży. Tego rodzaju wyprawa zabiłaby cię, nawet gdybyś skorzystał z auta.

– Zaryzykuję – warknął Adda.

– Jeśli nawet udałoby ci się wrócić, to szczerze mówiąc, nigdy nie byłbyś tak sprawny jak przedtem. Twój system pneumatyczny uległ poważnemu osłabieniu.

– Nie mógłbym polować? – zapytał Adda nieco powątpiewającym tonem.

– Nie. – Medyk potrząsnął głową stanowczo. – Nawet gdybyś był w stanie falować wystarczająco szybko, żeby dogonić, powiedzmy, sędziwą i niedołążną świnię powietrzną... – słysząc określenia Muuba, nadpływowiec uśmiechnął się blado – ...no i nie zdołałbyś przeżyć w niskich ciśnieniach, w rozrzedzonym Powietrzu górnej warstwy Płaszczka. Przykro mi, ale po powrocie stałbyś się ciężarem dla swojej społeczności.

Adda najwyraźniej zaczynał kierować gniew na siebie samego.

– Nie chcę być ciężarem. Po tym jak zostałem ranny, chciałem umrzeć. Nie pozwoliłeś mi umrzeć.

– Tak postanowili twoi towarzysze. To oni nie pozwolili ci umrzeć. Sprzedali swoją pracę, żeby zapłacić za twój powrót do zdrowia. Adda, powinienes w pełni korzystać ze swojego nowego życia, jesteś im to winien.

191

Starzec sztywno pokręcił głową. Bandaże spowijające jego szyję zaszeleściły.

– Nie mogę wrócić do domu, ale tu nie mam nic.

plyw

– Może znalazłbyś pracę. Każda zarobiona przez ciebie suma zmniejszyłaby ciężar zobowiązań twoich przyjaciół. – Muub nie chciał dodawać, że dzięki pracy Adda mógłby opłacić koszt wyżywienia i zakwaterowania po zakończonej kuracji.

– A czym mógłbym się zająć? Polujecie tutaj? Jakoś nie widzę siebie w roli robotnika polującego na źdźbła zmutowanej trawy. Zbliżyli się do modelu dzikiego lasu skorupowego. Z dachu Parz wyrastały karłowate drzewa – cienkie witki nie przekraczające przeciętnego wzrostu człowieka. Ławica młodych płaszczyk, przywiązanych do sklepienia za pomocą krótkich lin, warknęła na gapiów.

Muub spojrział na Addę. Interesowało go, jak stary zareaguje na ten miniaturowy las. Ale nadpływowiec zadarł jedynie twarz ku liniom wirowym czyhającym nad Miastem. Jego zdrowe oko było półprzymknięte, jakby zerkał na coś ukradkiem, ignorując zarazem pijawkę pełzającą po policzku.

Lekarz zawahał się.

– Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, byłeś owinięty prymitywnymi bandażami. I miałeś łubki... Pamiętasz? Te łubki były w istocie włócznieami o różnej długości i grubości. Wszystkie misternie rzeźbione.

– I co? Sugerujesz, że tutaj mógłbym dostać za nie przyzwoitą cenę? Myślałem, że twoi ludzie, twoi strażnicy, są odpowiednio wyposażeni, skoro mają łuki i pejcze.

– Rzeczywiście. Nie potrzebujemy waszej broni... jako broni. Jednak, te włócznie mają w sobie coś... nowego. – Muub usiłował znaleźć odpowiednie słowa. – Rodzaj prymitywnego artyzmu, przemawiającego do uczuć. Adda, podejrzewam, że mógłbyś dostać za swoje produkty dobrą cenę, zwłaszcza od kolekcjonerów prymitywnej twórczości. A gdybyś przypadkiem był w stanie wyprodukować więcej takich rzeczy...

Otoczające ich światło uległo dziwnej przemianie, medyk rozejrzał się dookoła. Był prawie przekonany, że znaleźli się

192

w cieniu jakiegoś powietrznego auta, lecz niebo okazało się puste, z wyjątkiem linii wirowych. Muub nadal wyczuwał, że coś się zmieniło i był zaniepokojony. Owinał się szczelniej szatą. Adda wybuchnął śmiechem.

– Już wolę umrzeć zamiast się prostytuować. Nadworny lekarz otworzył usta, żeby mu powiedzieć: Starcze, być może tylko to będziesz miał do wyboru, lecz w tym momencie wśród dworzan rozległy się odgłosy zamieszania. Przestali knuć intrygi w małych grupach; zebrali się razem, jakby szukali otuchy, i wskazywali coś na niebie.

– Ciekawe, co się stało. Sprawiają wrażenie wystraszonych.

– Spójrz w górę – odezwał się sucho Adda. – Może tam kryje się przyczyna ich lęku.

Muub popatrzył na zgorzkniałą, sponiewieraną twarz starego człowieka, a potem zerknął ku wolnej przestrzeni nad głową.

Linie pływowe poruszały się. Zataczały się, oddalając od Parz i unosząc w górę w kierunku Skorupy niczym potężne ostrza noży.

– Zaburzenie – oznajmił Adda z napięciem w głosie. – Jeszcze jedno. I to wyjątkowo paskudne. Muub, musisz zrobić wszystko, żeby ochronić swoich ludzi.

– Czy Miasto jest zagrożone?

– Nie wiem. Chyba nie. Ale tym, którzy przebywają na farmach sufitowych, z pewnością grozi niebezpieczeństwo...

Zanim Muub pobiegł, żeby wypełnić swoje obowiązki, w ostatniej chwili przypomniał sobie, że towarzysze (a także plemię) Addy również są narażeni na burzę, błakając się gdzieś po niebie. Odniósł wrażenie, że Powietrze nad jego głową migocze. Gdzieś obok rozległ się krzyk dworzana.

Rauc pierwsza zauważyła zmiany na niebie.

plyw

Wraz z Durą pracowały w zakątku farmy sufitowej Oosa Frenka. Dura miała na sobie obowiązkowy zbiornik powietrzny, ale odgarnęła welon z twarzy. Ciężki drewniany pojemnik obijał się o jej plecy. Unosiła głowę i ramiona ku kłosom pszenicy; miała wrażenie, że otaczają pozbawiona dna klatka ze złocistożółtych roślin. Wyciągała nad głowę ręce, żeby grzebać palcami między korzeniami pszenicy- Kłosa drapały jej gołe ramiona.

193

Znowu znalazła młode drzewko; ciepłe i miękkie w dotyku, bez wątplenia żywe; wewnątrz łodygi wibrowała cienka nić materii złożonej z ciężkich jąder. Młode drzewa Skorupy stanowiły największe zagrożenie dla upraw Frenka – wyrastały bez umiaru, pomimo nieustannego plewienia. Ponieważ były cieńsze od palca, ich wypatrzenie nastroczało trudności i łatwiej było odnaleźć je za pomocą dotyku. Dziewczyna błędziła palcami po cieniutkiej łodydze, aż do części ukrytej w cieniu zboża. Obmacywała i cierpliwie wyrwała korzonki drzew, które wiły się w płataninie roślin i korzeni, tworzącej dno lasu.

Było to nudne i otepiające zajęcie, ale dawało pewną satysfakcję. Dura lubiła dotyk roślin w dłoni. Zasmakowała w prostych pracach, zdobywając w nich coraz większą wprawę. Czasami przychodziło jej do głowy, że w jakimś innym życiu mogłaby być dobrym farmerem. Lubiała styl życia na farmie – nie dałoby się powiedzieć tego samego o towarzystwie innych ludzi – a praca była tak prosta, że pozwalała córce Logue'a błędzić myślami. Toteż mogła snuć rozważania o Farrze, o nadpływie i...

Rauc zaśmiała się.

– Dura, spójrz no tylko. No, spójrz... Jakie to dziwne. Trochę poirytowana, że przetrwano jej sen na jawie, opadła w dół z pola nad głową. Wynurzyła się w czystym Powietrzu i otrzepała ręce z kurzu.

– O co chodzi?

Jej towarzyszka krążyła w Powietrzu, łagodnie falując. Pokazywała coś w dole.

– Popatrz na linie wirowe. Czy kiedykolwiek widziałaś, żeby się tak zachowywały?

Linie wirowe, które dziwnie się zachowują?

Dura gwałtownie spojrzała w dół.

Linie wirowe migotały – wprost roiło się w nich od niestabilności, praktycznie zasłaniających same linie. Wyteżając wzrok, mogła dostrzec pojedyncze zaburzenia, które rozchodziły się wzdłuż linii niby małe, czmychające zwierzątka. Nagle linie eksplodowały w górę, opuszczając Płaszcz i zmiierzając w kierunku Skorupy. W stronę farmy.

Na całym obszarze, który Dura mogła ogarnąć wzrokiem,

194

w głąb i wszerz, wszystkie linie poruszały się; ich równoległe szeregi konsekwentnie podążały ku niej.

Kątem oka zauważyła coś jeszcze: jakiś ciemny kształt w oddali, przekreślający żółty widnokrag cienką smugą błękitnobiałego światła.

– Rauc, musimy stąd wiać – powiedziała. Kuliska uniosła wzrok.

Na jej chudym, zmęczonym obliczu osłoniętym welonem dostrzec można było oznaki apatii.

– Dlaczego? Co złego się stało?

Dura zdarła kapelusz i niecierpliwie zrzuciła paski podtrzymujące zbiornik z Powietrzem.

– Daj mi rękę.

– Ale dlaczego...?

– To jest Zaburzenie. I jeśli natychmiast się stąd nie ruszymy, zginiemy. Daj mi rękę. Natychmiast!

Rauc rozdziawiła usta. Dziewczyna z nadpływu zauważyła u niej zaskoczenie, ale jeszcze nie strach. Kwestia czasu, pomyślała.

Strona 111

plyw

Chwyliła przyjaciółkę za rękę; dłoń robotnicy stwardniała na skutek ciężkiej pracy, ale jeszcze była chłodna, nie rozgrzewała jej przerażenie. Dura odepchnęła się od Magpola obiema nogami. Falowała w dół, żeby oddalić się od Skorupy i dotrzeć do nadciągających linii pływowych. Rauc przypominała z początku drewniany kłoc, ale po kilku chwilach i ona zaczęła falować.

Kiedy Gwiazdę nękało Zaburzenie, Płaszcz nie był w stanie podtrzymać spokojnego, łagodnie zwalnającego tempa rotacji. Nadciężłe Powietrze pozbywało się nadmiaru ruchu obrotowego, wypychając szeregi linii wirowych – linii skwantowanego wirowania – na zewnątrz, w kierunku Skorupy. Linie charakteryzowała wtedy duża niestabilność i mogły w każdej chwili ulec rozerwaniu... Kobiety wpadły w rozpędzony gąszcz linii wirowych. Zazwyczaj odstęp między liniami wynosił około dziesięciu ludzi, dlatego – w normalnych warunkach – można było ich uniknąć bez trudu. Jednakże teraz, już w początkowej fazie burzy spinowej, linie wirowe wznosiły się szybciej, niż byłaby w stanie falować Istota Ludzka. Z sykiem wyprzedziły kobiety, rozniecając błękit-

195

ne iskry elektrycznych wyładowań. Wzdłuż linii przebiegały niestabilności wielkości ludzkiej pięści, które zderzały się ze sobą, mieszały i rozpadały.

Rauc jęczała żałośnie. Dura, mimo woli, przypominała sobie sceny z ostatniego Zaburzenia, a zwłaszcza implozję Eska podczas przelotu wokół zdradzieckiej linii wirowej. Starła się skupić na podmuchach Powietrza, które atakowało jej gołą skórę, na jego rozrzedzonym, nienaturalnym smaku, na śmiertcionośnym iskrzeniu linii wirowych. Liczyła się tylko terażniejszość – terażniejszość i przetrwanie choćby następnej chwili.

Warstwa linii wirowych gęstniała, w miarę jak zbliżały się one coraz liczniej do Skorupy, daremnie usiłując uciec z Gwiazdy. Unikanie ich było teraz o wiele trudniejsze – przemykały obok Dury niby nieskończone długie, zakrzywione ostrza. Musiała wyginać się to do tyłu, to do przodu i kluczyć między nimi. Niestabilności również stawały się coraz bardziej widoczne. Wzburzenia, prawie wielkości człowieka, maszerowały wzdłuż podążających w górę linii, pogłębiając się i zwiększając prędkość. Było coś przerażająco pięknego w widoku skomplikowanych falistych form, wysysających energię z linii wirowych i podążających do przodu. Powietrze wypełniał ogłuszający, przytłaczający ryk fali cieplnej.

Dura zaczęła odczuwać ból w rękach i nogach, które już i tak zeszytywniały po długiej zmianie. Odnosiła wrażenie, że Powietrze z trudem przepycha się przez jej płuca i naczynia włosowate. Zauważyła jednak, że w miarę jak przenika wraz z Rauc rozpędzoną gęstwinę wirową i zagłębia się w Płaszcz, linie zaczynają się przerzedzać. Z ulgą spojrzała w dół i zobaczyła, że zbliżają się do miejsca, w którym linie wprawdzie przecinają Powietrze z oszałamiającą prędkością, ale odstęp między nimi wydają się normalne. Nieco dalej Powietrze było prawie wolne od nich, chwilowo oczyszczone z zawirowań.

Dura puściła dłoń Rauc i zaryzykowała spojrzenie za siebie. Linie wirowe unosiły się ku Skorupie, wycinały sobie drogę w materii jądrowej i wciskały się między złożone jądra materii Skorupy. Docierając do leśnego sufitu, uderzały w niego niesta-bilnościami i wyrzucały fragmenty materii daleko w Powietrze.

196

Niszczyły farmę sufitową Qosa Frenka. Uprawy, które doglądała jeszcze tak niedawno, teraz były wyrwane z korzeniami, a na-pęczniałe kłosa pszenicy rozsypywały się w Powietrze. Jak na ironię, Dura zobaczyła, że młode drzewka Skorupy, mocno zakorzenione w leśnym sklepieniu, wytrzymały agresję burzy spinowej, której nie oparła się zmutowana trawa.

plyw

Nieopodal, na środku farmy, burza odrywała budynki przycumowane do sufitu Skorupy; jeden z nich wybuchł i zamienił się w grad drewnianych odłamków. Z pól i zabudowań całego gospodarstwa wynurzali się kulisi i nadzorcy. Przypominali kłębawisko nieruchawych insektów; spadali z pól w kierunku rozpedzonych linii spinowych. Nawet pomimo burzy Dura słyszała ich krzyki i nawoływania. Zastanawiała się, czy wtóruje im głos Qosa Frenka. Niektórzy spośród nich wdzierali się desperacko w zabójczy deszcz zawirowań, tak jak zrobili Dura i Rauc, lecz większość uczyniła to za późno. Nie będąc w stanie przebić się przez zaporę powyginanych linii, musieli wracać i piąć się ku Skorupie. Nie znajdowali tam jednak bezpiecznej przystani. Dura zobaczyła jakąś kobietę, która wciąż miała na twarzy maskę powietrzną i wciskała się w pszenicę, jakby chciała wyryć w Skorupie. Kiedy uderzyły ją linie wirowe, rozpostarła ręce i nogi, a jej ciało złożyło się do tyłu. Wyraźny, piskliwy krzyk ofiary gwałtownie się urwał.

Dziewczyna-nadpływowiec koncentrowała uwagę na świetlnym zapachu wzburzonego Powietrza, który drażnił jej nozdrza, podniebienie i wargi. Nadal utrzymywały się z Rauc w sferze zagrożenia. Obserwowała niestabilność wytwarzającą się na linii blisko niej. Niestabilność rosła jak guz i przeszywała Powietrze; jej ruch wzdłuż linii, nakładający się na ruch samej linii ku Skorupie, dawał w wyniku ruch ukośny w stosunku do położenia Dury. Kiedy niestabilność zrobiła się głęboka na jednego człowieka, skomplikowane piękno falistej formy uległo zniekształceniu. Utworzyła u podstawy coś w rodzaju szyjki, a na jej obwodzie zaczęły powstawać, jakby idąc w sukurs, nowe niestabilności.

Szyjka zaczęła się zamykać. Dura obserwowała ją jak urzeczona. Lśniącą linią wirową przecięła samą siebie. Gardło zamknęło się.

197

Pierścień wirowy o średnicy dwóch ludzi splótł gładko swoją linię w miejscu przecięcia i uwolnił się od matczynej linii wirowej, ta zaś, pozbawiona uciążliwej niestabilności, bez trudu odskoczyła od niego i poszybowała w górę, w kierunku Skorupy. Rozdygotany pierścień obrócił się w Powietrzu i poleciał po przekątnej przez korowód linii wirowych.

Pierścień wirowy.

Uważano, że pierścienie tworzą się raz na pokolenie, podczas najgroźniejszych chwil największych burz spinowych. Dura jeszcze nigdy nie obserwowała tego zjawiska i odnosiła wrażenie, że jej ojciec również go nie oglądał podczas swojego długiego życia w nadpływie. Ogarnął ją wielki niepokój. Pierścień wirowy. Z Gwiazdą dzieje się coś niezwykłego, pomyślała.

Przypomniała sobie dziwny ruch w oddali, który zauważyła na początku burzy – igły błękitnego światła na wklęsłym horyzoncie. Może właśnie to niebieskie światło było sprawcą całego nieszczęścia. Upewniwszy się, że nie zagraża jej bezpośrednio niebezpieczeństwo, rozejrzała się po niebie w poszukiwaniu tego dziwnego zjawiska...

Usłyszała wycie. To musiała być Rauc.

Okręciła się w Powietrzu, wymachując nogami i napierając na Magpole. Rauc, która była u jej boku, niepostrzeżenie zniknęła. Dura poczuła złość na samą siebie, na swoją nieostrożność i marzycielskie zafascynowanie pierścieniem wirowym.

Wycie dobiegało ze szlaku pierścienia wirowego, unoszącego się ku Skorupie. Rauc szybowała wysoko w rzadziejającym, rozpedzonym gąszczu linii wirowych. Musiała zobaczyć spustoszenia, jakim uległa farma, i przyszło jej do głowy, żeby wrócić. Żeby pomóc. W ten sposób znalazła się wprost na drodze sunącego w górę pierścienia wirowego. Oczy Rauc i jej okrągłe, rozdziawione usta przypominały trzy plamy ciemnej farby na twarzy. Wisiała w Powietrzu zahipnotyzowana drganiem pierścienia; nawet nie próbowała uciekać. Dura naparła kończynami na Powietrze i poszybowała w kierunku

plyw

tego odległego żywego obrazu.

– Usuń się z drogi! Rauc, usuń się z drogi! To coś zabije cię...

Ale nie była w stanie prześcignąć pierścienia. Miała wrażenie, że Rauc cierpliwie czeka, aż ten zbliży się do niej. Powietrze drapało usta i gardło Dury. Zawzięcie przedzierała się do przyjaciółki. Niepokój o wytrzymałość, nieszkodliwą kobietę mieszał się z przykrymi wspomnieniami o rozpaczy, jaką odczuwała po utracie Eska i swojego ojca, i nieustannym, bezradnym bólem na myśl o Farrze, który był tak daleko stąd.

Pierścień umożliwiał linii wirowej pozbycie się niestabilności i nadmiaru energii w celu odzyskania utraconej równowagi. Jednak sam nie był stabilny. Drżał, unosząc się w Powietrzu, wydawał się niemal kruchy, i wyraźnie malał – jego średnica wynosiła teraz najwyżej jednego człowieka. Zostawiał za sobą zakrzywiony szlak, a jego obroty powodowały zawirowania gazu, przez który przeszedł. Przez chwilę Dura zastanawiała się, czy kurczenie się Pierścienia i odchylenie jego trajektorii razem mogłyby uratować Rauc. Być może, gdyby kuliska zdołała trochę się odsunąć...

Nie. Było już za późno. Rauc wciąż żyła, oddychała, zachowywała świadomość, ale właściwie należało ją uznać za martwą. Pierścień uderzył Rauc w przeponę. Wydawało się, że implodowała wokół wstęgi zawirowań. Jej koszula została rozdarta i pociągnięta do przodu, odsłaniając plecy kobiety. Dura zobaczyła, że z okaleczonego ciała sterczą kości. Jedno ramię było wykręcone i oderwane; został po nim przerażający, wygięty kikut z kości i wiązadeł. Głowa zachowała się w całości, ale wyglądała na zmiażdżoną; twarz rozciągała się w groteskowym wyrazie, a kąciki ust były rozdarte.

Pierścień wirowy porzucił szczątki ofiary, gwałtownie malejąc. Dura zatrzymała się w przestrzeni wypełnionej czystym Powietrzem. Poczuli, że jej mięśnie rozluźniają się. Powoli zwinęła się w kłębek, jakby chciała zasnąć. To nie powinno się zdarzyć, pomyślała. To niesprawiedliwe. Nie zasługujemy na taki los. To jest... nienaturalne. W litanii wygłaszanej w karawanach przybędzie kolejne imię.

Na horyzoncie coś się poruszało. Jakiś obiekt szybko przecinał Powietrze. Wyglądał jak płaszcza, z błyszczącymi, złotymi skrzydłami, które młóciły Powietrze. To było jednak znacznie większe od płaszczy, tak duże, że widziało się je pomimo prze-

199
słaniającej horyzont mgły. Z brzucha ogromnej podniebnej „płaszczy” wydobywało się błękitnobiałe światło, docierające na dół, do sinofioletowego Morza Kwantowego.

Durę osaczyły kolejne wspomnienia, legendy, ustne przekazy, płomienny wzrok żarliwych, szczupłych starców.

Wiem, co to jest. Czy to coś może wywoływać Zaburzenia za pomocą tych promieni?

Wiem, co to jest. To statek, który przybył aż zza Gwiazdy.

Dura zwiesiła głowę na kolana.

Xeelee.

14

Xeelee.

Wśród szczątków zabudowań farmy sufitowej Hork junior tulił głowę swojego ojca. Kiedy zwrócił ku Muubowi zarośnięte oblicze, malowała się na nim rozpacz i wściekłość.

Lekarz patrzył na sponiewierane ciało Horka, Przewodniczącego Komitetu Parz. Postanowił nie pamiętać, iż sam jest narażony na niebezpieczeństwo – choć musiał się liczyć z popełdliwością młodszego Horka – i będzie traktował tego zmiażdżonego człowieka jak każdego innego pacjenta.

Gdy tylko wieść o najnowszym Zaburzeniu dotarła do Parz, Hork, obawiając się o życie ojca, wezwał Muuba. Teraz, w niecały dzień

plyw

później, znajdowali się na eksperymentalnej farmie. Nieliczni członkowie miejscowego personelu medycznego najwyraźniej byli przytłoczeni rozmiarami tragedii. Powitali lekarza dziwną mieszaniną ulgi i strachu – najchętniej zrzuciliby odpowiedzialność za rannego Przewodniczącego na jakąś inną osobę, a jednocześnie obawiali się konsekwencji w razie, gdyby udowodniono im zaniedbania. Tak czy owak, zrobili wszystko, co było w ich mocy; Muub wątpił, czy Hork zostałby potraktowany troskliwiej nawet u niego w szpitalu „Wspólne Dobro”. Lekarz natychmiast zorientował się, że wysiłki personelu poszły na marne. Duża, delikatna czaszka Przewodniczącego Komitetu była rozbita. Nad zwłokami unosił się strażnik uzbrojony w kuszę. Zerkał

200

dyskretnie na Muuba, Hork również uniósł twarz ku niemu. Medyk dostrzegł na niej rozgoryczenie, trwogę i determinację. Usiłował nie myśleć o zainteresowaniu, jakie okazywał mu strażnik. Wmawiał sobie, że Hork jest rozpaczającym synem.

– Panie – powiedział powoli. – On nie żyje. Przykro mi. Ja... wydawało się, że oczodoły Horka ciemnieją.

– Przecież widzę, do diabła. – Popatrzył na zmiażdżone ciało ojca i dotknął wytwornej szaty Przewodniczącego.

– Tutejszy personel bał się ci to powiedzieć – rzekł lekarz.

– A miał powód, żeby się bać?

Muub próbował wybać nastrój nowego władcy Parz. Uczciwość kazała medykowi przyznać się przed sobą samym, że bez skrupułów naraziłby nieszczęsnych członków personelu na gniew Horka, gdyby to pozwoliło mu ocalić własną skórę. Jednak mimo że wiceprzewodniczący był wstrząśnięty, zachowywał się racjonalnie, a poza tym nie miał mściwej natury.

– Nie. Ci ludzie zrobili, co mogli.

Hork przebiegł palcami po cienkich, żółtych włosach ojca.

– Koniecznie przekaż tym ludziom, że doceniam ich wysiłki.

Muszą zrozumieć, że nic im nie grozi z powodu tego, co się stało... I dopilnuj, żeby nadal zajmowali się pozostałymi rannymi.

– Oczywiście.

Pracy dla lekarzy nie brakowało. Szybując autem powietrznym pod zniszczonym zagłębieniem, Muub oglądał wstrząsające obrazy – spustoszone pola, kulisów, którzy unosili się wraz z kłosami zboża w spokojnym Powietrzu, zrujnowane wskutek eksplozji domy. Między zwłokami latały świnie powietrzne, szukając jedzenia. Patrząc na Horka, nadworny medyk zadrżał.

– Być może sam będę zmuszony tu zostać po pańskim odejściu.

Na całym obszarze jest mnóstwo pilnej roboty; trzeba odszukać i opatrzyć rannych...

– Nie. – Hork głaskał głowę ojca, ale mówił energicznie i rzeczowo. – Zamierzam zostać tu jeden dzień, żeby osobiście uporządkować sprawę ojca. W tym czasie możesz robić, co chcesz. Jednak potem wrócę do Miasta, a ty musisz udać się ze mną. – Uniósł twarz ku niebu i patrzył na świeżo okrzepłe linie

201

wirowe. – Zniszczenia nie ograniczają się tylko do tej farmy ani nawet do tej części Skorupy... Muub, spustoszona została ogromna przestrzeń wokół Bieguna, w tym spora część najlepszych ziem zagłębienia Parz. Dowiaduję się, że wszystko to należy przypisywać wibracjom Gwiazdy. – Potrząsnął głową. – Jeśli to jakaś pociecha, podobne pasy zniszczenia muszą spowijać Gwiazdę na każdej szerokości, aż do Bieguna Północnego. Jakiś radosny idiota powiedział mi, że Gwiazda dzwięczałajak Dzwon z materii rdzeniowej... Teraz muszę dopilnować, żeby pomoc była udzielana tak sprawnie, jak to tylko możliwe. I zacząć rozważać konsekwencje tak wielkich spustoszeń zaplecza żywnościowego. Potrzebuję ciebie, Muub. Masz tysiące pacjentów w całym zagłębieniu, nie tylko tych kilkudziesięciu

plyw

tutaj. A ja wymyśliłem dla ciebie inne zadanie.

– Jak pan sobie życzy.

Hork nadal wpatrywał się w niebo.

– Xeelee – powtórzył.

Bombardowany wizjami zniszczeń, Muub usiłował się skoncentrować na słowach Przewodniczącego-elekta... Pomyślał ze znużeniem, że to, co jest ważne dla Horka, musi być ważne i dla niego.

– Wybacz, panie. Nie rozumiem.

– To oni tak twierdzą.

–Kto?

– Gmin... prości ludzie, ci tutaj, na farmie sufitowej. Kulisi i ich nadzorcy. Nawet niektórzy członkowie personelu medycznego, którzy są przecież wykształceni i nie powinni wierzyć w takie rzeczy. – Hork wykrzywił twarz, siłąc się na uśmiech. – Wszyscy oni widzieli promienie na niebie, statek, który przybył zza Skorupy. Realność tych wizji chyba nie podlega dyskusji, Muub. I ci prości ludzie mają tylko jedno wytłumaczenie... że Xeelee wrócili, żeby nas prześladować. – Zerknął na zmiażdżoną głowę swego ojca. – Żeby, rzekomo, zniszczyć nas.

Zaniepokojony lekarz wyciągnął rękę i chwycił nowego władcę za grube ramię. Wyczuł jego napięte mięśnie.

– Panie, to nonsens. Prości ludzie nie mają o niczym pojęcia. Nie wolno ci...

– Bzdury, Muub. – Hork znowu powiódł dookoła dzikim

202

wzrokiem, ale medyk odważnie nie cofał ręki. – Wydaje się, że wszyscy wiedzą o Xeelee, pomimo iż upłynęło tak wiele czasu. No i co powiesz o pokoleniach prześladowanych za to w czasach Reformacji i później, he? Zaczynam dochodzić do wniosku, że te przesady są jak chwasty na polach mojego ojca. To samo z tym cholernym kultem koła – bez względu na to, ilu drani złamiesz, oni wracają, żeby skaptować kolejnych wyznawców. Tego nie daje się wykorzenić. Nawet na dworze, Muub! Jesteś w stanie w to uwierzyć? Lekarz poczuł, że sztywnieje.

– Panie, spotkała nas wielka katastrofa. Musimy uporać się ze skutkami Zaburzenia. Nie możemy zwracać uwagi na plotki rozpuszczane przez ciemny lud. I...

– Nie przypominaj mi o moich obowiązkach – rzekł Hork.

– Oczywiście muszę się uporać ze skutkami Zaburzenia. Jednakże nie mogę ignorować tego, co zostało zauważone, lekarzu.

– Twarz władcy była zacięta, pełna determinacji. – wielki statek przybywający zza Gwiazdy i przebijający Skorupę, używa jakiegoś rodzaju broni; świetlnej włócznie, strzelając w Morze Kwantowe. Muub, a jeśli to właśnie ten statek wywołuje Zaburzenia? Co wtedy? Na czym miałyby polegać moja powinność?

Medyk odsunął się od Horka. Pomimo wyczerpania i szoku poczuł, że przenika go głęboki, prymitywny strach. Przewodni-czący-elekt zamierzał rzucić wyzwanie samym Xeelee.

– Teraz, gdy odszedł mój ojciec, na dworze zczą się intrygi. W zamieszaniu po katastrofie prawdopodobnie dojdzie nawet do próby zamachu... a ja nie mam czasu, żeby się tym zajmować. Musimy znaleźć sposób uporania się z niebezpieczeństwem niesionym przez Xeelee. Potrzebujemy informacji, Muub. Musimy zrozumieć wroga, zanim podejmiemy z nim walkę.

Nadworny lekarz zmarszczył czoło.

– Od czasów Reformacji przeminęło tak wiele pokoleń, że nasza znajomość mitu Xeelee ogranicza się do fragmentów legendy. Może mógłbym skonsultować się z uczonymi na Uniwersytecie...

Hork pokręcił ciężką głową.

– Wszystkie książki wyrzucono do zasobników Portu przed

203

wieloma laty, podczas Reformacji... A głowy tych „uczonych” są

plyw

pozbawione nie tylko włosów, ale i wiedzy.

Medyk omal nie pogładził ręką swojej nagiej czaszki.

– Muub, musimy myśleć na szerszą skalę. Wyjść nawet poza Miasto. A co z tymi dziwnymi nadpływowcami, o których mi opowiadałeś? Ten stary człowiek i jego towarzysze... osobliwości z dziczy. Przecież nadpływowcy są wyznawcami Xeelee, prawda? Może oni mogliby nam coś poradzić; może zachowali wiedzę, którą my, głupcy, zniszczyliśmy.

– Może – odparł lekarz z powątpiewaniem.

– Sprowadź ich do Parz. – Hork zerknął na ojca. – Ale najpierw musisz się zająć pacjentami – dorzucił cicho.

– Tak, panie. Proszę mi wybaczyć. Zebrawszy siły, Muub oddalił się od ponurej scenerii i wrócił do swojej pracy.

Dura zatrzymała się, czując łagodny napór Magpoła. Pozwoliła odpocząć kończynom, które nadwyrężyła, falując po opuszczeniu zniszczonej farmy sufitowej przez wiele dni.

Rozglądała się po pustym, żłocistożółtym niebie. Daleko w dole, niby wklęsły siniak, rozpościerało się Morze Kwantowe, a dookoła wyginały się łuki nowych linii wirowych, czyste i niezmacone.

Zupełnie jakby niedawne Zaburzenie wcale nie miało miejsca. Gwiazda pozbyła się nadmiaru energii i momentu pędu;

zadziwiająco szybko wracała do poprzedniego stanu.

Dura pomyślała z żalem, że nie jest to możliwe w przypadku ludzi.

Powąchała Powietrze, usiłując ocenić odstęp między liniami wirowymi, głębię czerwieni odległego Bieguna Południowego. Musiała się znajdować na właściwej szerokości: niebo wyglądało tak samo jak w miejscu dawnego obozowiska Istot Ludzkich. Dziewczyna wsunęła rękę do torby umocowanej przy pasie. Kiedy wyruszała, wypchała ją chlebem, lecz teraz sakwa była przygnębiająco lekka. Wyciągnęła małą bryłkę słodkiego, syca-

204

cego pieczywa i zaczęła ją przeżuwać. Od siedziby Istot Ludzkich mógł ją dzielić najwyżej jeden centymetr; doszła do wniosku, że już powinna je widzieć. Chyba że, oczywiście, przeniosły się lub zostały unicestwione przez Zaburzenie. Tę ostatnią możliwość rozważała z ciężkim sercem. W każdym razie z pewnością byłaby w stanie odnaleźć resztki ich dobytku albo jakieś ciała...

– Dura! Dura!

Głos dochodził gdzieś z góry, z okolic lasu skorupowego.

Gwałtownie odwróciła się na plecy i uniosła głowę. Trudno było wypatrzeć cokolwiek na tle zamglonej, splątanej gęstwiny drzew, ale po chwili jej cierpliwość została nagrodzona! Zobaczyła młodego, szczupłego, nagiego mężczyznę, falującego samotnie – nie, jednak nie, coś mu towarzyszyło: jakaś mała postać buczała przy jego nogach, podczas gdy zbliżał się do Dury. Zmrużyła oczy. Prosiątko powietrzne? Szybko uświadomiła sobie, że ma przed oczami dziecko, ludzkie niemowlę.

wzbiła się wyżej, w kierunku lasu. Nadal czuła zmęczenie w nogach, ale teraz to było nieistotne.

Dwie dorosłe osoby zatrzymały się w Powietrzu w odległości około jednego człowieka od siebie. Niemowlę – najwyżej kilkumiesięczne – przywierało do nóg opiekuna, a dorośli przyglądali się sobie nawzajem z dziwną czujnością. Mężczyzna – właściwie jeszcze chłopiec – uśmiechnął się ostrożnie. Na jego twarzy nie było widać śladów otyłości; miał przedwcześnie pożółkłe pasma we włosach.

Kiedy się uśmiechał, szczyrzył zęby, a jego oczodoły wydawały się strasznie duże. Dura uświadomiła sobie, że pomimo powierzchownych zmian na tej twarzy, spowodowanych głodem i zmęczeniem, znała ją tak dobrze jak własne ciało i oglądała przez połowę życia. Spotkała tysiące nieznanomych ludzi w Parz, i kolejnych na farmie sufitowej, a teraz odniosła wrażenie, że spoglądając na oblicze młodzieńca, ponownie odkrywa własną tożsamość. Czuła się tak, jakby nigdy nie

plyw

opuściła Istot Ludzkich i upajała się tą swojskością.
– Dura? Myśleliśmy, że już nigdy cię nie ujrzymy. To był Mur,
mąż Dii. Jego nogi obejmował Jai, chłopczyk
urodzony z pomocą Dury tuż po Zaburzeniu, podczas którego
zginął jej ojciec.
205

Ruszyła w kierunku Mura i uściśniła go. Jej palce dotykały kości
sterczących na plecach, skóra młodzieńca była brudna, śliska od
kawałków liści drzew. Niemowlę u jego nóg zakwiliło żałościwie.
Wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać je po główce.
– Myśleliśmy, że nie żyjesz. Że przepadłaś. Upłynęło już tyle
czasu.
– Nie. – Dura zmusiła się do uśmiechu. – Wszystko ci
opowiem. Farr i Adda czują się dobrze, chociaż przebywają daleko
stąd. – Przyglądała się teraz Murowi uważniej, próbując
uporządkować natłok pierwszych wrażeń. Widziała wyraźne oznaki
niedożywienia. Pogłaskała rzadko porośniętą główkę malucha.
Wyczuwała jeszcze nie całkiem zrosnięte kości czaszki. Niemowlę
zanurzyło palce w jej torbie i dotykało kawałków jedzenia. Ojciec
usiłował je odciągnąć, ale Dura wyjęła kawałek chleba, pokruszyła i
podała malcowi. Jai chwycił okruszki obiema rączkami i wepchnął do
buzi. Jadł łapczywie, wylizując dłonie i nie interesując się niczym
innym dookoła.
– Co to takiego?
– Chleb. Jedzenie... Wszystko ci wytłumaczę. Mur, co się tutaj
dzieje?
– Jest nas mniej. – Przystał się jej przypatrywać i, jakby w
roztargnieniu, skierował wzrok na pochłaniającego chleb synka. –
Ostatnie Zaburzenie...
– Gdzie jest reszta?
Dziecko zjadło całą porcję i bez słowa uniosło rączki, prosząc o
więcej. Dziewczyna widziała przełknięty przez nie chleb – tworzył
wyraźne wybrzuszenie w jego pustym żołądku.
Mur odciągnął chłopczyka od Dury i zaczął go uspokajać.
– Chodź – powiedział. – Zabiorę cię do nich.
Istoty Ludzkie założyły prymitywne obozowisko na obrzeżach
lasu skorupowego. Powietrze było tutaj rozrzedzone, zbyt ubogie dla
płuc, a daleko, daleko w dole rozciągało się Morze Kwantowe. Między
gałęziami drzew przerzucono sznury, do których przywiązano części
garderoby, niedokończone narzędzia i ochłapy żywności. Dura śmiało
dotknęła jednego z tych kawałków. Było to stare mięso świni
powietrznej, żylaste i twarde.
206

Gałęzie drzew były pozbawione liści i kory, co świadczyło o sposobie
odżywiania się ludzi.
Zostało tylko dwadzieścia Istot Ludzkich – piętnaścioro
dorosłych i pięcioro dzieci.
Tłoczyli się wokół Dury, wyciągali ręce, żeby ją objąć i dotknąć.
Niektórzy płakali. Widziała wokół siebie znajome twarze, wygłodzone
i brudne. Była sercem z tymi ludźmi – swoimi ludźmi – a jednak
czuła się oderwana. Pozwalała się dotykać i odwzajemniała uściski, ale
jednocześnie pragnęła uniknąć ich dziecinnej, bezradnej presji. Czuła
się spięta, ucywilizowana. Już sama nagość tych nadpływowców
wprawiała ją w popłoch. Odnosiła również wrażenie, iż w porównaniu
z ich wychudzonymi ciałami jest masywna, niezręczna i... zadbana.
Usłyszała, że przeżycia i kontakt z Parz bardzo ją
zmieniły i może już nigdy nie zadowolą się monotonnym, ogra-
niczonym, niewdzięcznym życiem Istoty Ludzkiej.
Dała Murowi torbę z chlebem i poleciła, żeby rozdał żywność
wedle własnego uznania. Widziała, z jakim natężeniem wpatrują się w
niego pozostali. Aura głodu, spowijająca tych ludzi, koncentrujących
się na torbie z chlebem, była jak żywy organizm.

plyw

Następnie odszukała Philas, wdowę po Esku. Oddaliły się od głównej części prymitywnego obozowiska, tak aby pozostałe Istoty Ludzkie nie mogły ich słyszeć. Zauważyła, z pewnym zaskoczeniem, że Philas wyładniała. Najwyraźniej niedostatek służył jej, uwypuklając szlachetne, symetryczne rysy. Dura nie dostrzegła u niej ani śladu rozgoryczenia czy rywalizacji, która kiedyś między nimi istniała. – Wiele wycierpiałas. Philas wzruszyła ramionami. – Kiedy nas opuściłaś, nie byliśmy w stanie naprawić sieci. Jakoś przetrwaliśmy; znowu urządziliśmy polowanie w lesie i schwytaliśmy trochę świń. Ale potem nadciągnęło drugie Zaburzenie... Ci, którzy przeżyli, opuścili otwarte Powietrze i ruszyli na skraj lasu. To posunięcie nie było zbyt logiczne, ale Dura rozumiała motywy ludzi; pragnienie czegoś solidnego, dającego po-

207

czucie, że ma się wokół siebie ochronę w postaci ścian, dominowało nad zdrowym rozsądkiem. Rozmyślała o społeczności Parz, zamkniętej w ciasnych drewnianych skrzyniach, których cienkie ściany dawały złudne poczucie ochrony przed dzikimi rejonami Płaszczka, znajdującymi się w odległości niespełna pół centymetra. Być może wszystkimi ludźmi, bez względu na to, skąd pochodzili, kierował podobny instynkt. I, być może, ów instynkt przywędrował wraz z ludzkością z odległej Gwiazdy, która była miejscem narodzin Ur-ludzi. Pomimo że Istoty Ludzkie przemierzały ogromne przestrzenie, nie mogły znaleźć świń powietrznych. Ostatnie gwałtowne Zaburzenie rozproszyło stada tych zwierząt, niszcząc nie tylko efekty poczynań człowieka. Ludzie próbowali żywić się liśćmi, a nawet eksperymentowali z mięsem pająków spinowych.

Oczywiście, liście nie mogły im zapewnić odpowiedniej ilości pokarmu. Brak żywności zapowiadał rychłą śmierć. (Ja też umrę, skoro nie mam już chleba, pomyślała Dura, w zaskakującym przyptywie egoizmu.)

Usiłowała zrozumieć, dlaczego postanowiła wrócić do swojego plemienia. Po śmierci Rauc i po tym, jak pomogła żyjącym usunąć ślady najgorszych zniszczeń na farmie Oosa Frenka, dowiedziała się, że zamierza on rozwiązać umowy z większością kulisów. Qos, którego różowe włosy pożółkły u nasady, wyjaśnił, splatając małe ręce, że zamierza ocalić przynajmniej część tegorocznych zbiorów, a potem rozpocząć powolny, niełatwy proces przebudowy swojej posiadłości. Przywrócenie normalnego funkcjonowania farmy było kwestią wielu lat; na razie nie mogła przynosić dochodu, toteż musiał pozwalniać pracowników.

Kulisi okazali zrozumienie. Frenk zapewnił transport do Parz dla tych, którzy wyrazili chęć powrotu, a reszta rozproszyła się, żeby szukać pracy na sąsiednich farmach sufitowych.

Dura powoli zaczynała sobie uświadamiać, że straciła kontrakt, który miał jej umożliwić opłacenie pobytu Addy w szpitalu.

Zdruzgotana i wstrząśnięta, postanowiła wrócić do swoich, do Istot Ludzkich. Doszła do wniosku, że później, kiedy sprawy przybiorą normalny obrót, uda się do Parz i zajmie problemami Farra oraz długami Addy.

208

Teraz, studiując otepiałą twarz milczącej Philas, rozmyślała nad tym, co spodziewała się znaleźć tu, w gronie Istot Ludzkich. Być może kierowała nią ukryta, dziecinna nadzieja, że wszystko zostanie przywrócone do stanu z czasów, gdy była małą dziewczynką... gdy chronił ją silny Logue, a świat wydawał się – w porównaniu z dzisiejszym – stabilny i bezpieczny.

Naturalnie, to było złudzenie. Wiedziała, że nie ma się gdzie ukryć i nie może liczyć na niczyją opiekę.

Zatopiła twarz w dłoniach. Ponownie ogarnęła ją samolubna myśl, że wracając tylko naraziła się na przymieranie głodem i kolejny raz wzięła na siebie odpowiedzialność za Istoty Ludzkie.

plyw

Gdybym tylko mogła wrócić prosto do Parz. Odnalazłabym Farra i nowy sposób na życie. Może udałoby mi się zapomnieć o tym, że Istoty Ludzkie w ogóle istniały... Wyprostowała się. Philas czekała na nią; jej twarz była piękna i poważna.

– Philas, nie możemy tu zostać – odezwała się Dura. – Nie możemy żyć w ten sposób. Nie zdołamy przetrwać. Kobieta skinęła głową ze smutkiem.

– Ale nie mamy wyboru. Córka Logue'a westchnęła.

– Mamy. Opowiadałam ci o Parz... Philas, musimy tam dotrzeć. Droga jest potwornie daleka i nie wiem, jak zniesiemy podróż, ale tam jest jedzenie. To nasza jedyna nadzieja.

– Ale co zrobimy w Parz? W jaki sposób zdobędziemy żywność?

Dura miała ochotę się roześmiać. Będziemy żebrać, pomyślała. Będziemy wygłodniałymi dziwadłami. Przy odrobinie szczęścia może nas nakarmią i nie wyślą na łamanie kołem. I może...

–Dura!

Przez las szybko falował Mur. W jego szeroko otwartych oczach malowało się przerażenie.

Dziewczyna dotknęła noża zatkniętego za pasem.

– O co chodzi? Co się stało?

– Za drzewami jest coś... Drewniane pudło. Ciągnięte przez świnię powietrzne! Dokładnie takie, jak w twoim opisie, Philas... Dura odwróciła się i zerknęła przez rzadkie listowie. Za odartymi gałązkami obrzeża lasu było widać wyraźnie auto po-

209

wietrzne, duże i błyszczące. Dobiegał z niego piskliwy, wzmocniony głos.

– Dura... nadpływowcze Dura... Jeśli mnie słyszysz, pokaż się, Dura...

– Opowiedz mi o Xeelee – zażądał Hork V.

Pałacowa poczekalnia była wydrażoną kulą o średnicy pięciu ludzi, zakotwiczoną swobodnie w Ogrodzie. W środku przewieszono cienkie liny, a gdzieś tam również lekkie, wygodne, siatkowe kokony. W mniejszych siatkach znajdowały się napoje i słodycze.

Trzy kokony w pobliżu środka zajmowali Adda, Muub i Hork.

Patrzyli sobie w oczy. Nadpływowiec miał wrażenie, że jest uwięziony w pajęczynie pająka skorupowego.

Władczy ton śmiesznie zarośniętego Horka i jego groźne spojrzenie wydały się Addzie przejawem sporej impertynencji. Wiedział, że ma przed sobą nowego Przewodniczącego Komitetu Parz. No i co z tego? Tego rodzaju tytuły mu nie imponowały. Pomyślał, że gdyby zaczęły robić na nim wrażenie, byłoby to żałosne.

Niech sobie czekają. Adda leniwie rozglądał się po bogato zdobionym wnętrzu.

Oczywiście, malowane ściany były szczytem zbytku. Miały dawać złudzenie otwartego Powietrza. Starzec obserwował rozciągnięte linie wirowe, fioletową farbę symbolizującą Morze Kwantowe. Jakież to absurdalne, pomyślał, że ludzie z Miasta odcinają się od świata, przebywając w swoich skrzyniach z drewna i mateń rdzeniowej, a potem zadają sobie tyle trudu, żeby odtworzyć to, co można znaleźć na zewnątrz.

Centralnym elementem pałacowego przedsionka był oswojony pierścień wirowy. Adda musiał przyznać, że robił na nim wrażenie. Dziwo owo umieszczono w zagnieżdżonych kulach z przezroczystego drewna, które nieustannie wirowały wokół trzech niezależnych osi, podtrzymując obroty uwięzionego wewnątrz Powietrza. Nawet dziecko wiedziało, że gdyby jakaś niestabilna linia wirowa wydostała się poza pierścień, krąg wirowości błyskawicznie wytraciłby energię i zanikł; jednak uwięziony pierścień zachowywał się stabilnie, gdyż zasilana go energia pomysłowo wirujących kuł.

210

plyw

Oczywiście, nie robiło to takiego wrażenia, jak długie na milion ludzi linie wirowe, których szeregi wypełniały cały Płaszcz i wyginały się w łuk nad Ogrodem. Na dodatek można było je oglądać bez zaproszenia, no i za darmo...

– Cieszę się, że uważasz ten pokój za interesujący. – W tonie Horka wyczuwało się nie tylko cierpliwość, ale i zamaskowaną pogroźkę.

– Nie miałem pojęcia, że tak wam spieszo. Ostatecznie wytrzymaliście dziesięć pokoleń bez rozmów z Istotami Ludzkimi, więc dlaczego teraz tak wam pilno?

– Żadnych gier – warknął Hork. – Daj sobie spokój, nadpływowcze. Wiesz, dlaczego cię tu zaprosiłem. Potrzebuję twojej pomocy.

Muub wtrącił się zrecznie.

– Panie, musisz tolerować tego starego łajdaka. On uwielbia robić trudności... To zapewne przywilej wieku.

Adda odwrócił się, żeby spiorunować wzrokiem lekarza, ale ten nie odważył się spojrzeć mu w oczy.

– Proszę cię ponownie – rzekł Hork cicho. – Opowiedz mi o Xeelee.

– Najpierw ty mnie zapewnisz, że moi przyjaciele powrócą z wygnania.

– Ze swoich kontraktów – poprawił go Muub

niecierpliwie. – Do diabła, Adda, przecież już cię zapewniłem, że posłano po nich.

Starzec obserwował Horka z zaciśniętymi ustami. Władca skinął głową tak gwałtownie, że zafalowała jego

klatka piersiowa.

– Ich długi zostają unieważnione. A teraz odpowiadaj.

– Powiem wszystko, co powinienś wiedzieć, w sześciu słowach.

Przewodniczący odchylił głowę do tyłu. Jego nozdrza płonęły.

– Nie – uda – wam – się – pokonać – Xeelee – wycedził

Adda dobitnie.

Hork mruknął coś pod nosem.

– Taki jest wasz zamiar, prawda? – zagadnął starzec spokojnie.

– Chcecie spróbować odpędzić Xeelee, jak gdyby byli

211

oszałałymi dzikami powietrznymi. Chcecie, żeby przestali niszczyć wasz piękny Pałac...

– Oni zabijają ludzi, za których jestem odpowiedzialny. Adda pochylił się do przodu w swoim kokonie.

– Człowieku z Miasta, oni nawet nie wiedzą o naszym istnieniu.

Choćbyś nie wiem, co zrobił, i tak nie zwrócą na ciebie uwagi. Muub potrząsnął głową.

– Wytłumacz mi, Adda, jak możecie szanować takie... takie pierwotne monstra.

– Xeelee mają swoje własne cele – odparł Adda. – Cele, które nie są naszymi celami i których nawet nie pojmujemy...

Xeelee – spowici mgiełką legendy – dysponowali ogromną

potęgą. W stosunku do Ur-ludzi byli chyba tym, czym Ur-ludzie byli dla Istot Ludzkich. Byli jak bogowie, ale mimo to stali niżej w hierarchii.

Być może dusza Ur-człowieka mogła tolerować bogów. Ale nie tolerowała Xeelee. Xeelee byli rywalami.

Hork wiercił się w swoim kokonie, wściekły i zniecierpliwiony.

– A zatem, nie mogąc znieść wyniosłego majestatu Xeelee, Ur-ludzie rzucili im wyzwanie...

– Tak. Nastąpiły wielkie wojny. Zginęły miliardy. Celem Ur-ludzi stało się zniszczenie rasy Xeelee. Ale nie wszyscy Ur-ludzie

opowiadali się za zagładą – mówił Adda. – W miarę jak rosła zaciekłość ataków, Ur-ludzie coraz lepiej rozumieli wielkie Projekty Xeelee. Na przykład, odkryto Pierścien...

– Pierścien? – jęknął Hork.

plyw

– Pierścień Boldera – uściślił Adda. – Potężną strukturę, która pewnego dnia utworzy przejście między wszechświatami...
– Lekarzu, o czym plecie ten stary głupiec? Czym są owe wszechświaty, o których wspomina? Czy znajdują się w innej części Gwiazdy?

Muub rozłożył długie, delikatne ręce i uśmiechnął się.

– Panie, ja również jestem oszołomiony. Być może te wszechświaty mieszczą się w innych Gwiazdach. Jeśli w ogóle istnieją. wiekowy nadpływowiec chrząknął.

– Gdybym znał wszystkie odpowiedzi, nie ograniczałbym się do rzeźbienia włóczni i polowania na świnię – rzekł kwaśno.

212

– Posłuchaj, Hork, powiem ci tyle, ile wiem. Przekazuję ci to, co opowiedział mi mój ojciec. Ale jeśli będziesz zadawał głupie pytania, możesz się spodziewać jedynie głupich odpowiedzi.

– No, mów – ponaglił go Muub.

– Nawet gdyby zwycięstwo było możliwe, roztropni Ur-lu-dzie pojęli, że zniszczenie Xeelee mogłoby być równie niemądre jak zabicie ojca przez dziecko – rzekł Adda. – Xeelee działają w naszej sprawie; prowadzą wielkie, niewidzialne bitwy po to, by uchronić nas przed nieznanym niebezpieczeństwem. Nie jesteśmy w stanie zrozumieć ich intencji; jesteśmy dla nich pyłkiem w Powietrzu. Ale to w nich pokładamy nasze największe nadzieje.

Hork patrzył na starca, mierzwiąc brodę grubymi palcami.

– Jakie masz dowody na poparcie tego, co mówisz? To wszystko opiera się na legendach i pogłoskach..

– To prawda – odezwał się Muub – ale nie mogliśmy się spodziewać czegoś więcej z takiego źródła, panie.

Władca wygramolił się z kokonu. Jego ciało dygotało w Powietrzu jak torba z ciecżą.

– Lekarzu, jesteś cholernie cierpliwy. Legendy i pogłoski.

Majaczenia jakiegoś zgrzybiałego starca. – Falując, zbliżył się do uwięzionego pierścienia wirowego i uderzył pięścią w eleganckie sfery,

które go otaczały. Zewnętrzna kula pękła, tworząc gwiazdzisty ślad wokół jego zaciśniętej dłoni, a pierścień wirowy rozpadł się na mniejsze pierścienie, które zaczęły gwałtownie się kurczyć i wpadać jeden na drugi. – Mam ryzykować przyszłość Miasta i mojego ludu, opierając się na tych bredniach? A co z nami, nadpływowcze?

Zapomnijmy o tych mitycznych ludziach z innych światów. Dlaczego Xeelee interesują się właśnie nami? I co mam z tym zrobić?

Adda nie zwracał uwagi na szerokie, gniewne oblicze Horka. Patrzył na schwytany, usiłujący się odtworzyć pierścień wirowy.

15

Bzya zaprosił Farra do swojego domu, znajdującego się w wielkim brzuchu Miasta zwanym Dołem.

213

Robotnicy Portu powinni sypiać w swoim miejscu pracy, w wielkich, cuchnących salach. Władze wołały mieć ludzi pod ręką na wypadek jakiejś katastrofy, a ponadto mogły kontrolować z zewnątrz ich przydatność do pracy. Żeby uzyskać prawo wstępu do pozostałej części metropolii, poza obrębem Portu, Bzya i Farr musieli zgrać w czasie nie tylko wolne zmiany, ale także terminy przepustek, i czekali kilka tygodni, aż Hosch – z zazdrośną niechęcią – udzielił im stosownego pozwolenia.

Port, ogromna kulista budowla wtopiona w podnóże Miasta, był otoczony własną skórą i posiadał szkielet z materii rdzeniowej, który dodatkowo wzmocniono, aby wytrzymał napór kołowrotów dźwigających Dzwony. Farr doszedł do wniosku, że Port jest zaprojektowany funkcjonalnie, ale jego wnętrze może przyprawić o klaustrofobię, nawet według standardów Parz. Kiedy opuścił jego potężne, odstręczające bramy i ponownie znalazł się w plątaniu ulic, poczuł lekką ulgę.

plyw

wąskie ulice tworzyły całkowicie nieprzejrzysty układ, roz-
widlając się we wszystkich możliwych kierunkach. Fan- rozglądał się
dookoła. Już dawno stracił orientację; wiedział, że sam nie zdołałby
odnaleźć drogi w tym trójwymiarowym labiryncie.

Olbrzymi Poławiacz zatarł ręce, wyszczerzył zęby i zaczął
falować jedną z ulic. Poruszał się szybko, mimo rozmiarów i dawnych
obrażeń. Farr patrzył na ulicę. Wyglądała tak samo jak kilkanaście
innych. Dlaczego Bzya wybrał właśnie tę? W jaki sposób ją
rozpoznał? Tymczasem wielkolud już dotarł do pierwszego zakrętu i
chłopiec omal nie stracił go z oczu.

Odepchnął się od zewnętrznej ściany Portu i zaczął gonić
Poławiacza.

Obszar wokół jego miejsca pracy należał do najbardziej za-
niedbanych w Mieście. Ulice były tu stare, ciasne i kręte. Hangary
prądnicowe, które znajdowały się w górze, nieustannie warkotały.
Budynki mieszkalne przypominały ciemne gardła; w większości z nich
brakowało drzwi albo fragmentów ścian. Podążając za Bzya, Farr czuł
na sobie żarłoczne, zaciekawione spojrzenia. Od czasu do czasu mijali
ich, falując nierówno, inni ludzie – kobiety i mężczyźni, z których
część również pracowała w Porcie. Wielu z nich znajdowało się w
dziwnym stanie zwanym „opilstwem”. Nikt

214

nie odzywał się ani do chłopca, ani do pozostałych przechodniów. Fair
drżał. Wiedział, że zwraca na siebie uwagę swoimi niezadarnymi
ruchami. Czuł się tak, jakby zabłądził w lesie skorupowym.

Po krótkim okresie energicznego falowania, Bzya zaczął zwalniać.
Widocznie byli już blisko jego domu. Fan- rozejrzał się dookoła z
zaciekawieniem. Nadal znajdowali się w najgłębszej części Dołu,
prawie na szczycie Portu. Zabudowania w jego pobliżu były ubogie i
ciasne, ale w tym rejonie młody nadpływo-wiec powoli zaczął
wyczuwać różnicę. Ściany i drzwi były połatane, ale przeważnie nie
uszkodzone. I nie było widać „pijaków”. Farra zdumiewała tak
radykalna zmiana charakteru Miasta po pokonaniu tak krótkiej
odległości.

Olbrzymi Poławiacz uśmiechnął się od ucha do ucha i otworzył
drzwi –jedne z tysiąca w tych krętych korytarzach. Jeszcze raz
chłopiec zastanawiał się, jakim cudem Bzya odnajduje drogę z tak
nieomyślną dokładnością.

Wszedł za nim. Wnętrze domu składało się z jednego pokoju o
kulistym kształcie, słabo oświetlonego lampami drzewnymi, które
przytwierdzono na chybił trafił do ścian. Farr poczuł, że jego
siatkówka rozszerza się, przystosowując do niskiego natężenia
światła.

Kulista miska wypełniona małutkimi liśćmi uderzyła go w klatkę
piersiową.

Zatoczył się do tyłu. Nad naczyniem zawisła czyjaś szeroka,
uśmiechnięta twarz – niesamowicie podobna do oblicza Bzyi, tyle że
częściowo łysa i zniekształcona, ze spłaszczonym nosem i matowymi
nozdrzami.

– Jesteś tym nadpływowcem. Bzya opowiadał mi o tobie.

Poczęstuj się płatkami.

Bzya lekko popchnął Farra do przodu.

– Przepuść tego biednego chłopca, kobieto – burknął dobrotliwie.

– Dobrze, dobrze.

Dziwna dama cofnęła się, ściskając swoją kulę z płatkami i wciąż
szczerząc zęby w uśmiechu. Mężczyzna położył ciężką rękę na
ramieniu Farra i wepchnął go do pokoju, a potem zamknął za sobą
drzwi.

215

Wszyscy troje unosili się, tworząc mały krąg. Kobieta upuściła
kulę z płatków, która zawisła w Powietrzu, i zamaszystym gestem
podała gościowi rękę.

plyw

- Jestem Jool. Bzyajest moim mężem. Witamy cię serdecznie w naszym domu.

Farr uścisnął jej rękę. Dłoń miała niemal tak dużą jak jej mąż, i równie silną.

- Bzya opowiadał mi także o tobie.

wielkolud pocałował Jool. Po czym westchnął, przeciągnął się i przeniósł na tyły domku, zostawiając Farra ze swoją żoną. Ciało Jool było krępe, trochę zmieszane, ale silnie umięśnione. Miała na sobie coś, co wyglądało na bardzo połatany, uniwersalny kombinezon, typowy dla robotników Portu. Na części czaszki kobiety brakowało licznych pasm włosów, a ramię po tej samej stronie było wygięte i skurczone. Poza tym amputowano jej jedną nogę poniżej kolana.

Fan" patrzył na kikut nogi obwiązany nogawką. Nagle, odczuwając nieznośne zakłopotanie, spojrział Jool w oczy.

Poklepała go po ramieniu.

- Szukanie tej nogi nie ma zbyt dużego sensu: i tak jej nie znajdziesz. - Uśmiechnęła się zyczliwie. - Masz. Weź płatek.

Mówiłam poważnie.

włożył rękę do kulistego naczynia, wyciągnął garść listków i wepchnął je do ust. Były cieniutkie, jak wszystkie liście roślin, i miały intensywny posmak - tak mocny, że młodzieńcowi zakreśliło się w głowie od ich słodkiej woni. Zakaszał, opluwając gospodynię cząstkami liści.

Jool odchyliła głowę i wybuchnęła śmiechem.

- Bzya, twój nadpływowy przyjaciel nie ma zbyt wyrafinowanego podniebienia.

Poławiacz pracował w rogu zagraconego pokoiku, pod dwoma zgniecionymi kokonami służącymi za posłania. Zanurzył ręce w dużej, kulistej beczce pełnej wiórków jakiejś substancji, które chrzęściły i kruszyły się, gdy ścisnął kawałki materiału.

- My również go nie mamy, Jool, więc przestań drażnić chłopca.

Farr podniósł płatek.

216

-Czy to jest liść?

- Tak. - Kobieta włożyła jeden płatek do ust i zaczęła głośno żuć. - I tak, i nie. Pochodzi z kwiatu... małej rośliny ozdobnej.

Kwiaty są h o d o w a n e, tu, w Parz. Nie macie ich u siebie, w dzikich lasach, prawda?

- One rosną w Pałacu, tak? W Ogrodzie? Czy właśnie tam pracujesz? - Przyjrzał się jej uważnie. Przypominając sobie, w jaki sposób Cris opisywał Pałac Komitetu, pomyślał, że Jool jest zbyt nieokrzesana, żeby ją tam akceptowano.

- Nie, nie w Pałacu. Istnieją inne części skóry, trochę głębiej w Dole, gdzie hoduje się kwiaty i drzewka bonsai. Ale nie na pokaz, jak to się robi w Ogrodzie.

- Tylko po co?

Jool schrupała następny liść.

- Na karmę. I nie dla ludzi. Dla świń. Ja obsługuję świnię powietrzne, młody Farrze. - W jej oczach zatliły się wesołe ogniki. Młodzieniec z nadpływu był zaintrygowany.

- Ale przecież te liście - płatki - nie mogą być bardzo pożywne.

- Nie dają świniom tyle siły, ile powinny - przyznała. - Mają jednak inne zalety.

- Och, przestań drażnić chłopca - powtórzył Bzya. - Wiesz, ona pracowała kiedyś w Porcie.

- Tam się poznaliśmy. Byłam nadzorczynią, dopóki ten kretyń Hosch nie dostał awansu. Obawiam się, że kosztem tego ociężałego przygłupa, Bzyi. Fair, chcesz trochę ciasta piwnego?

- Nie. Tak. To znaczy, nie, dziękuję. Chyba nie powinienem.

- Och, spróbuj trochę. - Jool odwróciła się do kredensu wbudowanego w ścianę i otworzyła jego drzwiczki. Były źle dopa-

plyw

sowane, ale w środku zapełnionym żywnością, panowały czystość i porządek. – Założę się, że nawet nie wiesz, jak smakuje. Do licha, przekonaj się, jakie jest. Nie martw się, nie pozwolimy ci się upić. – wyciągnęła kawałek grubego, z wyglądu kleistego ciasta, owiniętego cienkim sukнем. Ułamała kawałek i podała gościowi. – Ciasto jest dobre pod warunkiem, że żujesz je powoli i wiesz, kiedy przestać! – zawołał Bzya. Chłopiec ostrożnie ugryzł ciasto. Po ostrych w smaku płat-

217

kach wydawało się kwaśne, gęste, prawie niestrawne. Ostrożnie przeżuł kęs – wcale nie robiło się smaczniejsze – i przełknął. Nic się nie działo.

Jool wisiała przed nim w Powietrzu, złożywszy potężne ręce na piersiach.

– Poczekaj chwilkę – rzekła.

– Zabawne – odezwał się Bzya, który nadal zajmował się kula chrzęszczących wiórków. – Ciasto piwne wynaleziono w głębinach Dołu. Chyba wymyśliliśmy je po to, żeby oddalić nudę, brak różnorodności i wrażeń. Kwietny ogród biedaka, co, Jool?

– Ale teraz to jest przysmak – powiedziała Jool. – Jadają to ciasto w Pałacu, w naczyniach z przezroczyściego drewna.

Uwierzyłbyś w coś podobnego?

Nagle Farr poczuł ciepło w żołądku. Rozchodziło się błyskawicznie, przenikało tułów i mknęło wzdłuż kończyn niczym prądy indukowane przez nowe Magpole. Swędzeniu palców u nóg i rąk towarzyszył przyjemny ból otwierających się porów.

– Nieźle – powiedział.

– Dobrze to ująłeś. – Jool wyciągnęła rękę i zabrała ciasto z jego zdrętwiałych palców. – Myślę, że tyle na razie wystarczy. –

Owinięła kawałek sukнем i schowała go do kredensu.

Wciąż czując mrowienie, chłopiec poszybował w kierunku Bzyi.

Ramiona zwalistego Poławiacza były nadal zanurzone w pojemniku z wiórami, a jego szerokie ręce ugniatały ubranie – ogromną tunikę – pocierając sukno wiórkami. Po pewnym czasie wielkolud wyciągnął tunikę z kulistej beczki i dorzucił ją do dużego kręgu podobnych strojów, orbitującego tuż za jego szerokimi plecami. Uśmiechnął się do Farra i włożył między wiórki parę spodni.

– Jool nie mogła się doczekać spotkania z tobą.

– Co jej się stało?

Bzya wzruszył ramionami.

– Wypadek z Dzwonem, głęboko w Podpłaszczu. Działo się to tak szybko, że nawet nie jest w stanie zrekonstruować wydarzeń. W każdym razie, zostawiła tam połowę siebie. Potem, oczywiście, nie nadawała się do pracy. Tak przynajmniej zawyrokowało kierownictwo Portu.

218

Farr pomyślał, że w uśmiechu Poławiacza jest zbyt wiele irracjonalnej wyrozumiałości.

– Ale musiała przecież wywiązać się z umowy – ciągnął Bzya.

– Dlatego opuściła Port, mając jedną nogę, sprytnego męża i długi.

– Ale teraz pracuje.

– Tak.

Mężczyzna umilkł. Po chwili uświadomił sobie, że jego poczynania są pilnie obserwowane przez gościa.

– O co chodzi? Ach, rozumiem. Nie wiesz, co robię, prawda? Farr zawahał się.

– Bzya, szczerze mówiąc, męczy mnie ciągłe pytanie o wszystkie nowości wokół.

– No cóż, potrafię to zrozumieć. – wielkolud w dalszym ciągu beznamietnie wcierał wiórki w ubranie. Po krótkim milczeniu chłopiec dał za wygraną.

– Och, dobrze. Co teraz robisz?

plyw

– Piorę – odpowiedział Bzya. – Utrzymuję moje ubrania w czystości. Przypuszczam, że w nadpływie raczej się tym nie zajmujecie...

Farra ogarnęła złość.

– Dbamy o czystość nawet mimo tego, że żyjemy w nadpływie. Wiesz, nie jesteśmy zwierzętami. Mamy skrobaczki... Olbrzym poklepał beczkę z wiórkami.

– To jest lepszy pomysł. Wkładasz swoje ubrania do tej masy wiórków – odłamków kości, kawałków drewna, i tak dalej. Pierzesz rękami – o, tak – wcierasz wiórki w materiał... Wiórki kruszą się, robią się coraz mniejsze i usuwają brud z odzieży. To o wiele mniej prymitywne niż skrobanie. – Wyciągnął koszulę i pokazał ją Farrowi.

– Zabiera jednak sporo czasu. I jest trochę nudne. – Uważnie przyjrzał się chłopcu. – Posłuchaj, dopóki jesteś w Mieście, powinieneś używać życia w całej jego różnorodności. Może spróbujesz coś uprać?

Z zapałem odsunął się od wielkiego pojemnika i strzepnął warstwę mączki kostnej z ramion.

Farr świetnie zdawał sobie sprawę z tego, że znowu jest prowokowany. Wziął następną, sztywną od brudu koszulę i we-

219

pchnął ją do beczki. Naśladowując Poławiacza, miętosił ją palcami. Wiórki chrzęściły, ocierając się o siebie, i wiły w rękach, jakby były żywymi organizmami. Kiedy wyciągnął koszulę, kurz oblepił mu ręce i czuł się tak, jakby włożył rękawiczki. Jednakże koszula nie wydawała się ani trochę czystsza.

– Do tego potrzebna jest wprawa – zauważył Bzya sucho. Farr z powrotem wrzucił koszulę do beczki i zaczął ugniatać mocniej.

Przez ten czas Jool przygotowywała posiłek. Teraz klepnęła męża w ramię.

– Ilekroć ktoś nas odwiedza, Bzya namawia tę osobę, żeby prała jego bieliznę – powiedziała.

Ten odchylił pokiereszowaną twarz i ryknął śmiechem. Jool zaprowadziła Farrą na środek pokoiku. Unosiło się tam drewniane Koło o pięciu szprychach, a w szpary między nimi były wepchnięte zakryte miseczki. Wisząc w Powietrzu, troje biesiadników zbliżyło się do kołistego stołu. Światło drewnianych lamp tańczyło na ich twarzach i kończynach. Jool zdjęła pokrywki i odepchnęła je, pozwalając dryfować im w Powietrzu.

– Brzuch prosięcia powietrznego, przyprawiony płatkami.

Prawie tak samo dobry, jak w wykonaniu Bzyi. Jaja płaszczy skorupowej... próbowałeś kiedykolwiek czegoś takiego, Farr? Nadziewane liście. Ciasto piwne...

Zachęcany przez gospodarza Farr zagłębił dłonie w miseczkach i zaczął wpychać do ust pachnące, pikantne jedzenie. Rozmowa zamarła, gdyż małżonkowie byli całkowicie skoncentrowani na posiłku. Chłopiec nie mógł zaprzestać odruchowego porównywania tego domku z mieszkaniem Mixxaxów w górnej części Środka. Tu był tylko jeden pokój, w przeciwieństwie do pięciu izb rodziny Toby. W ścianie pomieszczenia, w którym jedli, znajdował się zsyp na odpady, trzeba przyznać, że bardzo czysty. Jool i Bzya nie przywiązywali tak dużej wagi do porządku. Olbrzymi Poławiacz niedbale porzucił stertę czystych ubrań, które teraz dryfowały w Powietrzu, a rękawy rozwijały się powoli niczym bezwładne odnóża pająka spinowego. Ogólnie jednak było tutaj czysto. Farr zauważył też, upchnięty w jednym z kątów, plik luźno powiązanych papierów.

220

wszędzie dominował symbol Koła – wryty na ścianach i na drzwiach, a stół, przy którym jedli, miał jego kształt. W tym miejscu czuło się upływający czas; domek wyglądał gorzej niż siedziba państwa Mixxaxów... Jednak powoli chłopiec doszedł do wniosku, że

plyw

ma on więcej indywidualności.

Farr patrzył na szerokie, okaleczone, inteligentne twarze Bzyi i Jool. Blask lamp był rozproszony i równomiernie oświetlał oblicza gospodarzy. Gość zrozumiał, że rozstawienie lamp wcale nie jest takie przypadkowe, jak sądził. Przyszło mu do głowy, że panuje tu spokojna, bezpretensjonalna, inteligentna atmosfera.

Przez chwilę wyobrażał sobie życie wśród tych ludzi. A gdyby dorastał t u t a j, w głębi Parz, w tej dziwnej, starej i ciasnej części Miasta?

Uznał, że nie byłoby tak źle. Odczuwał teraz szczere oddanie dla tych dwojga przyzwoitych ludzi.

Dyskretnie pokręcił głową. Zastanawiał się, czy ciasto piwne wpływa na jego ocenę sytuacji.

Uświadomił sobie, że gospodarze obserwują go z zaciekawieniem.

– Macie dzieci? – wypalił.

Jool uśmiechnęła się nad garścią jedzenia.

– Tak. Jedno, dziewczynkę. Shar. Rzadko ją widzimy. Pracuje poza Miastem.

– Nie tęsknicie za nią?

– Oczywiście – odparł Bzya z prostotą. – I właśnie dlatego nie wspominałem o niej, Farr. Nie powinno się rozmyślać o tym, na co nie ma się wpływu.

– Dlaczego nie sprowadzicie jej z powrotem?

– To zależałoby od niej – rzekł łagodnie wielkolud. – Wątpię, czy zechciałaby wrócić. Jest zbyt daleko stąd. Jest kulisem na farmie sufitowej. Tak jak twoja siostra.

Fair poczuł dziwne podniecenie.

– Ciekawe, czy się spotkają. Jool wybuchnęła śmiechem.

– Nadpływowcowi zagłębienie może się wydawać nieduże, ale, uwierz mi, znajdują się tam setki farm sufitowych. Shar odpracowuje swój kontrakt. Dopóki nie wypełni jego postanowień, trud-

221

no jej będzie wrócić do domu. Potem, być może obejmie wyższe stanowisko na farmie. Pracuje dla porządnego właściciela. To uczciwy człowiek.

– Nie rozumiem. Kobieta zmarszczyła czoło.

– Czego? Jak możemy tak żyć, z dala od siebie? – wzruszyła ramionami. – Już wolę me mieć jej przy sobie, byle tylko mieszkała w bezpiecznym miejscu, a nie tutaj. Tak wygląda nasza sytuacja...

– Farr ma rodzinę – wtrącił Bzya. Jool skinęła głową.

– Siostrę. Kulisa. Zgadza się? I jest jeszcze jeden przybysz z nadpływu, stary człowiek...

– Adda.

– Rozdzielono cię i z siostrą, i z tą drugą osobą. Podobnie jak nas rozdzielono z Shar. Chłopiec kiwnął głową.

– Ale Dura ma być sprowadzona z farmy sufitowej. Deni Maxx udała się po nią.

– Kto taki?

– Lekarz. Ze szpitala „Wspólnego Dobra"... Adda został zaś zabrany na spotkanie z Przewodniczącym Miasta. To wszystko ma związek z próbą przeciwdziałania Zaburzeniom...

– Hm. Jeśli o mnie chodzi, nie wierzę we wszystko, co się słyszy na Górze – powiedział Bzya. – I doradzałbym ci większy sceptycyzm. Mimo to mam nadzieję, że wkrótce zobaczysz się z siostrą.

Jool powoli wyjadała mięso prosięcia.

– A więc, jakie jest twoje zdanie o naszej części Miasta? Fair przełknął kolejny kęs.

– Jest inna. Jest... – Zawahał się.

– Ciemna, brudna, groźna. Zgadza się? Młodzieniec przytaknął.

– Zamierzałem użyć słowa „ciasna". Jest tu ciasniej niż gdziekolwiek indziej.

– No cóż, to jest centrum Miasta – rzekła Jool. – Nie żywię do niego szczególnego sentymentu, ale taka jest prawda... To najstarsza

plyw
część Parz. Wybudowano ją jako pierwszą, wokół bazy Portu, kiedy wprowadzono Grzbiet do Podpłaszczca.
222

Farr wyobrażał sobie pradawne czasy, hart mężczyzn i kobiet, którzy z determinacją pozyskiwali materię rdzeniową potrzebną do budowy Miasta, a potem wznosili tę ogromną strukturę gołymi rękami oraz narzędziami, które, jak się domyślał, były niewiele lepsze od tego, czym dysponowały współczesne Istoty Ludzkie.
Jool uśmiechnęła się.

– Wiem, o czym myślisz, chłopcze z nadpływu. Dlaczego ktokolwiek buduje wokół siebie taką małą skrzynię? Po co odgradzać się od Powietrza?

– Ponieważ – dokończył Bzya – ludzie próbują odbudować to, co wedle własnego mniemania utracili, kiedy koloniści wycofali się do Rdzenia. – Zadumał się. – A zatem Parz jest tworem z drewna i materii rdzeniowej, który urzeczywistnia pradawne marzenie...

– Oboje jesteście bardzo inteligentni – wyrwało się Farrowi. Mąż i żona jednocześnie odchyliłi głowy i wybuchnęli gromkim śmiechem. Tych dwoje potężnie zbudowanych ludzi tworzyło niedorzeczny, zabawny kontrast w porównaniu z ciasnym wnętrzem, w którym przyszło im żyć. Jool wytarła oczodoły.

– Mówisz to, co myślisz, prawda? Bzya poklepał ją po ramieniu.

– Jool, nie powinniśmy się z tego wyśmiewać. Ostatecznie, znamy mnóstwo ludzi – nawet w dolnej części Środka, nie mówiąc już o Górze – którzy uważają wszystkich mieszkańców Dołu za podludzi.

– A o Istotach Ludzkich – nadpływowcach – mają jeszcze gorsze wyobrażenie – dorzucił Farr.

– Ale to bzdury – oznajmił olbrzymi mężczyzna zapalczywym tonem. Chwycił jajko płaszczki leżące w misce i pomachał nim przed oczami młodzieńca. – Z tego, co widzę, ludzie są mniej więcej równi, bez względu na to, skąd pochodzą. Posunę się jeszcze dalej. – Ugryzł miękkie jajko i przeżuując kęs, ciągnął: – Uważam, że ludzie w obrębie Gwiazdy są inteligentni. To znaczy, bardziej inteligentni niż rasy innych ludzkich światów; może nawet są inteligentniejsi od przeciętnego Ur-człowieka.

Jool pokręciła głową.

223

– Chłopcze, posłuchaj władcy stu Gwiazd.

– Jednak to, co mówię, jest logiczne. Tylko pomyślcie – mówił Bzya. – Jesteśmy potomkami wyselekcjonowanej grupy – ekipy inżynierów, którzy mieli zmodyfikować Gwiazdę i założyć cywilizację w Płaszczcu. Ur-ludzie nie włączyliby głupich osobników do tego zespołu, gdyż to osłabiłoby nas albo utrudniło adaptację do nowych warunków.

– Wiedzę o przedsięwzięciu Ur-ludzi zawdzięczamy głównie specjalistom z zakresu anatomii porównawczej, którzy zbadali, pod jakimi względami jesteśmy bardzo słabo przystosowani do środowiska, w którym żyjemy – powiedziała Jool z wyraźnym ożywieniem. – Interesowała ich nasza niedoskonała forma oparta na prototypie Ur-człowieka. I...

Farr słuchał tej uczonej, pełnej szczegółów rozmowy niezłe już podchmielony i zrelaksowany. Wciąż pogryzał ukradkiem ciasto piwne.

Jool zwróciła się do niego.

– Oczywiście nie wystarczyło nam sprytu, by uniknąć stworzenia sztywnego, podzielonego na warstwy społeczeństwa, w którym wszyscy nawzajem się kontrolują.

– Przynajmniej tutaj, w Parz – odezwał się gość.

– Przynajmniej tutaj, w Parz – ustąpiła. – Wy, Istoty Ludzkie najwyraźniej jesteście zbyt inteligentne, by tolerować tego rodzaju system.

plyw

– Byliśmy – potwierdził Farr łagodnym tonem. – Właśnie dlatego odeszliśmy.
– A teraz wróciliście – zauważył Bzya. – Do najniższej warstwy, u podnóża Miasta... Góra, Dół, szczyt, podnóże – wszystkie te określenia są pozostałościami myślenia Ur-ludzi. Wiedziałeś o tym? Jako mieszkańcy Dołu jesteśmy uważani za mniej inteligentnych i rozgarniętych niż reszta. W przeszłości tutejsi ludzie reagowali na takie uwagi. – Na jego dużej, okaleczonej, zamyślonej twarzy malował się smutek. – Fatalnie. Jeżeli traktujesz ludzi jak gorszych, zaczynają się zachowywać tak, żeby zasłużyć na to miano. Przed kilkoma pokoleniami ta część Dołu była slumsem. Dżunglą.
– I nadal nią jest, przynajmniej w niektórych miejscach – zauważyła Jool.
224

– Ale jakoś wygrzebaliśmy się z tego – rzekł Bzya z uśmiechem.
– Samopomoc. Edukacja. Przekazy ustne, nauka liczenia i czytania, jeśli tylko dysponowaliśmy materiałami. – Odgryzł kawałek ciasta piwnego. – Komitet robi dużej, okaleczonej, zamyślonej twarzy Kierownictwo Portu robi znacznie mniej, pomimo że większość z nas pracuje właśnie tam. Ale możemy pomóc sobie samym.
Farr słuchał wielkiego Poławiacza z pewnym zdziwieniem. Pomyślał, że ci ludzie są jak wygnańcy w swoim własnym Mieście. Jak Istoty Ludzkie, zagubieni w tym gąszczu drewna i materii rdzeniowej. Zaczął opowiadać gospodarzom o tym, czego nauczyły Istoty Ludzkie – o historii, zarówno plemienia jak i wspaniałej rasy ludzkiej poza Gwiazdą, którą starsi członkowie szczepu opisywali gromadkom dzieci, zawieszonym między liniami wirowymi. Małżeństwo słuchało w zamyśleniu.
Kiedy wszyscy skończyli posiłek, postanowili trochę odpocząć. Potem Bzya i Jool, zapewne nieświadomie, przysunęli się do siebie. Pochylili swoje wielkie głowy tak, że prawie zetknęły się czołami. Wyciągnęli ręce i położyli swoje grube, mocarne palce na krawędzi koła. Cicho i powoli zaczęli zgodnie recytować uroczystą litanię imion, z których żadne nie było znane chłopcu. Obserwował ich w milczeniu.
Kiedy skończyli, wymieniwszy może sto imion, Bzya otworzył wklęsłe oczy i uśmiechnął się do młodzieńca.
– Miałeś okazję usłyszeć kawałek historii mówionej, mój przyjacielu.
Twarz Jool znowu przybrała chytry, figlarny wyraz. Wyciągnęła rękę nad kolistym stołem i dotknęła rękawa Farra.
– Czy już domyśliłeś się, na czym polega moja praca?
– Och, przestań drażnić chłopca – Poławiacz odezwał się głośno.
– Ja ci powiem. Zbiera płatki z ogrodów na Górze i dostarcza je na małe farmy rozsiane wokół Parz – hoduje się tam świnie przeznaczone do ciągnięcia wozów powietrznych kursujących w obrębie Miasta.
– Pomyśl tylko – rzekła Jool. – Ulice Miasta są gorące i zatłoczone. Zamknięte. Tak wiele samochodów. I wszystkie te świnie...
225

– Płatki mieli się i dodaje do karmy dla świń – tłumaczył Bzya. Fair zmarszczył brwi.
– Dlaczego?
– Żeby łatwiej się z nimi żyło. – Jool pochyliła się do przodu majestatycznie, zgięła kikut nogi, chwyciła swoje szerokie, osłonięte kombinezonem pośladki, rozchyliła je i głośno puściła bąka. Bzya wybuchnął śmiechem.
Chłopiec spoglądał niepewnie to na niego, to na kobietę. Potem poczuł w nozdrzach zapach jej wiatrów. Niósł aromat płatków kwiatów.
Wielkolud potrząsnął głową i westchnął.

plyw

– Och, nie zwracaj na nią uwagi – to tylko zachęci Jool do dalszych wyczynów. Chcesz jeszcze ciasta piwnego?

16

Samochodem z Parz kierowała Deni Maxx, lekarka, która opiekowała się Addą. Dura miała ochotę popędzić do niej, żeby wypytać ją o Farra i starego myśliwego.

Istoty Ludzkie – dwadzieścioro, w tym pięcioro dzieci – wynurzyły się ze schronienia w lesie i ruszyły za córką Logue'a.

Deni Maxx zerknęła na Durę przez otwarty właz, a potem obojętnie przyglądała się kręgowi wychudzonych Istot Ludzkich.

– Cieszę się, że cię znalazłam.

– Zadziwiające, że ci się to udało. Nadpływ to ogromna przestrzeń.

Deni wzruszyła ramionami. Wydawała się poirytowana, zniecierpliwiona.

– To nie było takie trudne. Tobą Mixxax dał mi dokładne wskazówki, jak dotrzeć z jego farmy sufitowej do miejsca, w którym natknął się na ciebie po raz pierwszy. Ja musiałam tylko uważnie się rozglądać, aż w końcu odpowiedziałas na moje wołanie.

Philas zbliżyła się do Dury i przycisnęła wargi do jej ucha. Dura uświadomiła sobie, że z ust wdowy wionie przykry, słod-kawy odór liści i kory.

– Kto to taki? – zagadnęła Philas. – Czego ona chce?

226

Dziewczyna odsunęła głowę. Wiedziała, że Deni taksuje ją spojrzeniem. Córką Logue'a targwały sprzeczne emocje: z jednej strony, była rozdrażniona wielkopańskimi manierami lekarki, lecz z drugiej strony, niezręczne, dziecinne zachowanie Istot Ludzkich wprawiało ją w zakłopotanie. Czy i ona wyglądała tak prymitywnie podczas pierwszego spotkania z Tobą Mixxaxem?

– Wsiadaj do auta – powiedziała Deni. – Mamy przed sobą długą podróż z powrotem do Miasta. Przykazano mi, żebym nie zwlekała...

– Kto ci kazał? Dlaczego znowu się mnie wzywa? Czy ma to jakiś związek z moim kontraktem? Przecież widziałas farmę sufitową Qosa Frenka – a raczej to, co z niej zostało. Ona przez długi czas nie będzie opłacalna. Qos zwolnił nas i...

– To nie ma nic wspólnego z twoim kontraktem. Wyjaśnię ci wszystko w drodze. – Kobieta z Bieguna bębniła palcami po framudze drzwiczek auta.

Dura czuła na sobie uporczywe spojrzenia pozostałych członków szczepu, którzy milcząco oczekiwali na podjęcie przez nią jakiejś decyzji. Na krótko dziewczynę ogarnęło egoistyczne zniecierpliwienie.

Pomyślała, że są równie bezradni jak dzieci. Chciała wracać do Parz.

Wmawiała sobie, że tam z pewnością dowiedziałyby się więcej o położeniu Farra i Addy, niż gdyby została tutaj razem z Istotami Ludzkimi jako kolejny nadpływo-wiec-uchodźca. Usprawiedliwiała się sama przed sobą, że na dłuższą metę jej powrót okazałby się bardziej użyteczny dla wszystkich Istot Ludzkich. Skoro Miasto wysłało po nią kogoś takiego jak Deni Maxx, najwyraźniej spodziewano się, że jest w stanie dokonać czegoś bardzo ważnego. Być może, dziwnym sposobem, mogłaby wyrzucić jakiś wpływ na wydarzenia...

Philas szarpnęła ją za ramię jak dziecko pragnące, by zwrócono na nie uwagę. Dura wyrwała rękę ze złością i natychmiast pożałowała impulsywnego zachowania.

Przyznała w duchu, że w gruncie rzeczy odczuwa ulgę, mając dobrą wymówkę i powód, aby móc się wydostać z tłamszącego towarzystwa Istot Ludzkich. Ale przepełniało ją tak ogromne poczucie winy...

Szybko podjęła decyzję.

227

– Pojadę z tobą – oznajmiła. – Ale nie sama. Lekarka

zachmurzyła się.

–Co?

– Zabiorę te dzieci. – Dura rozpostarła ramiona, pokazując piątkę dzieci – najmłodszy był bobas Mura, Jai – a dorastająca dziewczynka najstarsza.

Deni Maxx zaczęła głośno narzekać.

Dziewczyna odwróciła się do niej plecami i patrzyła na Istoty Ludzkie. Przyciągały do siebie dzieci w osłupiałym milczeniu, utkwivszy w niej wybałuszone oczy. Rozgniewana przejechała ręką po włosach. Powoli, cierpliwie, zaczęła tłumaczyć swoim współplemioncom, na co mogą liczyć dzieci w mieście Parz. Jedzenie. Schronienie. Bezpieczeństwo. Z pewnością udałoby się jej zmusić Tobę Mixxaxa, żeby znalazł tymczasowe domy dla małych nadpływowców. Uznała, że wszystkie dzieciaki są wystarczająco młode, żeby przypaść do gustu społeczności Miasta (zdumiewał ją jej własny cynizm). Tłumaczyła, że za kilka krótkich lat będą w stanie wyzyskać się nadpływowych mięśni, najmując się do jakiejś dobrze płatnej pracy.

Uświadomiła sobie, że przeznaczają swoim małoletnim współplemioncom życie na Dole. Zawsze było to lepsze niż przymieranie głodem tutaj albo ryzykowna podróż z dorosłymi przez zniszczone zagłębienie. Przekonywała oszołomionych rodziców, że w końcu i oni dotrą do Parz, gdzie będą mogli się połączyć ze swoim potomstwem. Dorosli byli zbici z tropu i wystraszeni. Usiłowali zrozumieć coś, co przekraczało granice ich wyobraźni. Powoli, z ulgą i wstydem, Dura uświadomiła sobie, że zaczynają jej ufać. Po kolei oddawali swoje dzieci.

Deni Maxx spoglądała spode łba na brudne ciała gramolących się do auta pasażerów. Córka Logue'a zastanawiała się, czy nawet w takim momencie kobieta z Miasta wyrazi srogi sprzeciw. Jednak gdy lekarka zobaczyła, że Dura kładzie małego Jai'a – przerażonego i wrywającego się do swojej mamy – na ręce najstarszej dziewczynki w tyle samochodu, wyraźnie złagodniała.

Wreszcie uporano się z załadunkiem. Dura zebrała osamotnionych dorosłych i przekazała im dokładne instrukcje, jak mają

228

się dostać do Bieguna. Słuchali jej z powagą. Potem uściśnęła wszystkich po kolei i wsiadła do auta.

Deni chwyciła lejce i zaprzęg świń powietrznych ruszył w drogę, córka Logue'a patrzyła zaś przez duże okna na Istoty Ludzkie. Pozbawione dzieci, wydawały się zagubione, zdezorientowane, niepotrzebne. Dia i Mur przywarli do siebie. Zabrałam ich przyszłość, uświadomiła sobie Dura. Ich rację bytu.

Albo może ocaliłam ich przyszłość.

Kiedy straciła z oczu Istoty Ludzkie, położyła się w jednym z luksusowych kokonów auta, starając się nie zważać na ciągły płacz przerażonych, oszołomionych dzieci. W jej duszy nadal toczyła się walka między ulgą i poczuciem winy.

Lekarka kierowała wprawnie samochodem wzdłuż samo-regenerujących się linii wirowych.

– Miasto przyjmuje rannych z zagłębienia. Nikomu z nas nie jest łatwo.

Dura pomyślała, że pani doktor zupełnie nie przypomina radosnej, dość protekcyjnie zachowującej się kobiety, która leczyła Adde. Oczodoły Deni Maxx były otoczone ciemnymi obwódkami i zaropiałe.

Twarz jakby zapadła się do wewnątrz i przybrała posępny wyraz.

Lekarka pochyliła się nad lejcami, napinając żylaste mięśnie.

Dura zerkała melancholijnie przez wielkie okna na Skorupę.

Przypomniała sobie, jak bardzo zachwycił ją schludny wygląd farm sufitowych i ogrodów w rejonie zagłębienia, gdy widziała je po raz pierwszy wraz z Tobą Mixxaxem. Teraz z kolei była przerażona zniszczeniami wyrządzonymi przez Zaburzenie. Całe szeregi farm zostały zmiecione ze Skorupy; zostało po nich tylko gołe sklepienie

plyw

korzeniowe. Tu i ówdzie kulisi nadal cierpliwie pracowali na zdewastowanych gruntach, ale odsłoniętego sufitu nie ożywiały już naturalny las; bezwstydnie odarty z prostokątnych poletek przypominał otwartą ranę.

Deni usiłowała jej tłumaczyć, że skorupa reaguje na Zaburzenie dzwonieniem. Segmenty skorupy wibrowały zapewne w obrębie całej Gwiazdy. Zniszczenie nadeszło uporządkowanymi falami, z zabójczą, wręcz obraźliwą schludnością. Dura pra-
229

wie nie zwracała uwagi na potok słów lekarki, który niewiele dla niej znaczył.

– Zniszczenia występują w całym zagłębieniu – mówiła Deni.

– Co najmniej połowa farm sufitowych przestała funkcjonować, a pozostałe działają tylko w ograniczonym zakresie. – Zerknęła na dziewczynę z nadpływu. – Rozumiesz, Parz nie dysponuje dużymi zapasami żywności. Miasto egzystuje dzięki codziennym dostawom z farm sufitowych. Wiesz, co się mówi...

– Co takiego?

– Każde społeczeństwo dzieli od rewolucji zaledwie jeden posiłek. Hork już wprowadził racjonowanie żywności. Wątpię, żeby to wystarczyło na dłuższą metę. Jednakże na razie wydaje się, iż ludzie pogodzili się z problemami i, zgodnie z rozkazami Komitetu, cierpliwie czekają w kolejce na opiekę medyczną, przepuszczając kulisów. Sądzę, że w końcu zaczną obwiniać rządzących za swoje niedole.

Dura wzięła głęboki oddech.

– Tak jak ty obwiniasz mnie?

Deni odwróciła się do niej, wytrzeszczając oczy.

– Dlaczego tak mówisz?

– Chodzi mi o ten twój ton. I sposób, w jaki odnosisz się do mnie od chwili, gdy przyleciałaś autem, żeby mnie zabrać.

Lekarka potarła nos. Kiedy ponownie spozjrzała na Durę, na jej wargach błąkał się uśmiezek.

– Nie obwiniam cię, moja droga. Ale denerwuje mnie bycie przewoźnikiem. Czekam na mnie tyłu pacjentów... W tej chwili mam coś ważniejszego do roboty niż...

– To dlaczego po mnie przybyłaś?

– Z polecenia Muuba.

– Muuba? Och, to ten administrator.

– Uważał, że jestem jedyną osobą, która zdoła cię rozpoznać.

– Prychnęła. – Stary głupiec. Ostatecznie na farmie sufitowej Oosa Frenka nie ma aż tylu nadpływowców.

– Mimo wszystko, nadal nie rozumiem, dlaczego tu się znalazłaś

– rzekła córka Logue'a.

– Ponieważ nalegał na to ten twój przyjaciel. – Deni zmarszczyła brwi. – Adda? Najgorszy pacjent na świecie. Ale jaką

230

cudowną robotę wykonaliśmy, żeby naprawić jego naczynia pneumatyczne!

Dura miała wrażenie, że Powietrze gęstnieje jej w ustach.

– Adda żyje? Nic mu nie zagraża?

– Och, tak. Kiedy zaczęło się Zaburzenie, był z Muubem. Czuje się całkiem dobrze... a przynajmniej nie gorzej niż przedtem. No wiesz, zważywszy, jakich doznał obrażeń, to prawdziwy cud, że jest w stanie się poruszać. No i...

Dura zamknęła oczy. Wcześniej nie miała odwagi zapytać o swych bliskich, jakby obawiając się, że kusiłaby los.

– A Farr?

– Kto taki? Och, ten chłopiec. Jest twoim bratem, prawda? Nic mu nie jest. Był w Porcie.

– Widziałaś go? W i d z i a ł a ś, że jest cały i zdrowy?

– Tak. – W głosie Deni wyczuwało się trochę współczucia.

plyw

– Dura, nie martw się o swoich. Adda kazał sprowadzić Farra do Pałacu.

– Do Pałacu?

– Tak, najwyraźniej zgodził się pracować z Horkiem tylko pod tym warunkiem.

Córka Logue'a wybuchnęła śmiechem. Czuła się tak, jakby z jej serca zdjęto ogromny ciężar. Ale jak doszło do tego, że Adda panoszył się w Pałacu? Dlaczego tak nagle stali się tacy ważni?

– Od mojego odejścia dużo się zmieniło. Deni skinęła głową.

– Tak, ale nie pytaj mnie o to... Muub wszystko ci opowie, kiedy zadekujemy. Jeszcze jeden lekarz, którego odrywa się od pacjentów

– burknęła gniewnie. – Mam nadzieję, że ten projekt Horkajest naprawdę taki ważny, skoro może pochłonać wiele istnień ludzkich.

Zbliżały się teraz do Bieguna Południowego. Linie wirowe, zwodniczo regularne, zaczynały się zbiegać. Dura przyglądała się Skorupie. Eleganckie, ładne farmy i ogrody sufitu przeważnie ocalały pomimo zaburzenia, ale dostrzegała coś dziwnego: skorupa odznaczała się drobną strukturą, jakby pokrywał ją cienki, ciemny meszek – meszek, który falował w powolnym szyku, sunąc do Bieguna.

Dziewczyna pokazała ciemne plamki Deni.

231

– Co to takiego? Lekarka zerknęła w górę.

– Uchodźcy, moja droga. Z całego zniszczonego zagłębia. Nie mogą dalej pracować na swoich farmach, toteż kierują się do Parz, mając nadzieję na ratunek.

Dura obserwowała niebo. Uchodźcy. Skorupa aż poczerniała od przedstawicieli ludzkości.

Dzieci znowu zaczęły płakać. Córka Logue'a odwróciła się, żeby je pocieszyć.

Kiedy Hork dowiedział się, że dwoje nadpływowców – chłopak z Portu i kobieta imieniem Dura – zostali odnalezieni i wracają na Górę, wezwał Muuba i tego starego głupca z nadpływu na kolejne spotkanie w pałacowej poczekalni.

Adda spoczął w swoim siatkowym kokonie. Unieruchomione nogi starca zwiślały absurdalnie. Omiatał komnatę budzącym niesmak, jednookim spojrzeniem w taki sposób, jakby był jej właścicielem. Hork stłumił irytację.

– Twoim ziomkom nic nie grozi. Znajdują się w obrębie Miasta.

A teraz chciałbym kontynuować naszą dyskusję.

Adda wybałuszył oczy i popatrzył na władcę tak, jakby ten był kulisem na Rynku. Wreszcie skinął głową.

– Bardzo dobrze. Przejdźmy do rzeczy. Przewodniczący usłyszał, że Muub wzdycha z ulgą.

– Powracam do mojego ostatniego pytania – rzekł Hork. –

Przystaję na istnienie Xeelee. Ale nie interesują mnie mity. Nie zamierzam wysłuchiwać opowieści o ich budzących grozę planach.

Pragnę natomiast wiedzieć, co chcą zrobić z nami.

– Już ci mówiłem – odparł spokojnie Adda. – Oni niczego od nas nie chcą. Wątpię, żeby nawet wiedzieli, że tu jesteśmy. Ale zależy im na jakiejś części naszego świata – naszej Gwiazdy.

– Najwyraźniej chcą ją zniszczyć – oznajmił Muub, gładząc ręką swoją tysiąć czaszkę.

– Jest to oczywiste – rzekł Adda. – Hork, mądrość mojego ludu, przekazywana ustnie z pokolenia na pokolenie od czasu, gdy zostaliśmy wygnani...

232

– Tak, tak.

– ... nie mówi nic o jakimkolwiek celu Gwiazdy. Jednak wiemy, że ludzie zostali sprowadzeni tu, na tę Gwiazdę. A stało się tak za sprawą Ur-ludzi. I zostaliśmy przystosowani do życia w tutejszych warunkach.

Lekarz kiwał głową.

plyw

– Nie ma w tym nic zaskakującego, panie. Studia z anatomii porównawczej skłaniają do podobnych wniosków.
– Usiłuję zapanować nad swoją fascynacją – rzekł Hork kwaśno. Niespokojny, sfrustrowany, opuścił swój kokon i zaczął energicznie pływać po pokoju. Obserwował powolne obroty małego – lecz o dużej mocy – wiatraka chłodzącego, zainstalowanego w rogu namalowanego nieba; patrzył na pierścień wirowy uwięziony w kulach z przezroczystego drewna. Oparł się pokusie ponownego rozbicia sfer, chociaż wzbierała w nim złość. Koszty naprawy były ogromne – nie do usprawiedliwienia w obecnych czasach. – Mów dalej. Skoro ludzie zostali tutaj sprowadzeni i przystosowani do życia w Płaszczu, dlaczego nie widzimy wszędzie dookoła dowodów na to? Gdzie są urzędnicy, które nas stworzyły? Gdzie są ci „inni” Ur-ludzie?

Adda pokręcił głową.

– Kiedyś dowodów było mnóstwo. Wspaniałe urzędnicy, pozostawione przez Ur-ludzi, żebyśmy dzięki nim mogli prze-trwać i pracować tutaj. Złącza tunelowe. Broń. Potężne konstrukcje, przy których twoje nędzne Miasto jest zabawką...

– Gdzie są teraz? – warknął Hork. – Tylko mi nie mów, że zostały ukryte albo rozmyślnie zniszczone przez jakąś mściwą administrację Parz z przeszłości.

– Nie. – Adda uśmiechnął się. – Twoi przodkowie nie musieli zatajać namacalnych dowodów... co najwyżej prawdę.

– Co dalej?

– Koloniści.

– Co?

Kiedyś ludzie podróżowali w obrębie całej Gwiazdy. Ich cudowne maszyny pokonywały Morze Kwantowe równie łatwo jak Powietrze.

Mogli nawet zapuszczać się bezkarnie w zewnętrzne warstwy

Rdzenia. Istniały wspaniałe przejścia zwane Złączami

233

tunelowymi, które pozwalały ludziom także na podróżowanie p o -z a Gwiazdę.

Zgodnie z poleceniami swoich stwórców, Ur-ludzi, ludzie zabrali się do przebudowywania Gwiazdy. A tajemniczy Koloniści, śpiący w swej kwarkowej zupie w Rdzeniu, reagowali na ich rosnącą potęgę z coraz większą wrogością.

Koloniści wynurzyli się z Rdzenia. Nastąpiła seria krótkich, wyniszczających wojen.

Ludzkie maszyny były niszczone albo wrzucane do Morza Kwantowego. Populacja ludzi uległa znacznemu przetrzebieniu, a ci, którzy przeżyli, zostali ciśnięci w bezkres pustego Powietrza i nie mieli dosłownie żadnych środków do życia.

W miarę upływu czasu opowieści o początkach istnienia ludzi na Gwieździe i o kolonistach stawały się mglistą legendą, barokowym ozdobnikiem w obfitym zbiorze opowieści dotyczących historii rodu człowieczego i niewidzialnych światów za Gwiazdą.

Muub zaniósł się głośnym śmiechem. Jego pociągła, arystokratyczna twarz wykrzywiła się w ironicznym grymasie.

– Proszę wybaczyć, panie – powiedział do Horka – ale ciągle poszerzamy obszar mitów. Jak długo mamy się zajmować tą szaradą? Mam pacjentów, którzy wymagają opieki.

– Zamknij się, Muub. Zostaniesz tutaj tyle czasu, ile uznam za stosowne.

Hork intensywnie myślał. Wiedział, że dysponuje cholernie skromnymi środkami. Musiał zadbać o rannych i tych, którzy wszystko stracili, a w dalszej perspektywie odbudować zagłębienie i zabezpieczyć lud przed głodem.

I jeszcze, i jeszcze...

Gdyby – koncentrując wysiłek na nieco innych sprawach –

zdołał odsunąć od Miasta, a właściwie od całego świata, zagrożenie ze

strony baśniowych Xeelee, mógłby zostać największym bohaterem w dziejach ludzkości.

Hork zdawał sobie sprawę, że ta wizja dowodzi jego próżności i chęci wyniesienia własnej osoby na szczyty. I cóż z tego? Gdyby udało mu się wypędzić Xeelee, ludzkość słusznie by go wywyższyła. Ale jak do tego doprowadzić?

234

Z pewnością nie mógł przeznaczyć armii uczonych do zbierania i uzupełniania fragmentów legend o pochodzeniu człowieka. I nie mógł czekać latami, aż jakaś gałąź wiedzy, w rodzaju anatomii porównawczej Muuba, przedstawi efekty badań na ten temat. Musiał wyznaczyć sobie priorytety i starać się uzyskać najłatwiej dostępne korzyści.

Spojrzał ostro na Adde.

– Powiadasz, że te istoty – koloniści – zabrały ze sobą do Morza Kwantowego Złącza i inne magiczne maszyny, tak że znalazły się poza zasięgiem naszych Poławiaczy. Zatem nie mamy powodu wierzyć, że te urządzenia zostały zniszczone?

wiekowy nadpływowiec spojrzał w górę. Pijawka żerująca przy jego oku przestraszyła się i prześlizgnęła po policzku.

– Nie ma też żadnych dowodów, że się zachowały. Muub prychnął.

– Ten stary głupiec ma czelność wspominać o dowodach! A jeśli w tej legendzie o kolonistach i starożytnych technologiach kryło się ziarno prawdy? Hork doszedł do wniosku, że w takim razie niektóre z opisywanych urządzeń mogą nadal się znajdować gdzieś w głębinach Morza Kwantowego. Warto byłoby mieć Złącze...

– Muub – zagadnął w zamyśleniu. – W jaki sposób moglibyśmy przeszukać Morze Kwantowe?

Nadworny medyk był wstrząśnięty jego sugestią.

– Oczywiście nie możemy, panie. To niemożliwe. – Zmrużył oczy. – Chyba nie zamierzasz gonić za tymi absurdalnymi legendami, marnować środków na...

– Lekarzu, nie będziesz mnie pouczał – warknął Hork. –

Potraktuj to jako... eksperyment naukowy. Jeśli nawet nic byśmy nie zdziałali, dowiedzielibyśmy się sporo o Gwieździe i o zakresie naszych możliwości... i, być może, raz na zawsze rozprawilibyśmy się z wszystkimi tymi dziwnymi legendami o kolonistach i starożytnych cudach.

Albo, dodał w myślach Przewodniczący, może odkryję skarb, który był stracony dla ludzkości od wielu pokoleń.

– Panie, muszę zaprotestować. Ludzie nadal umierają w całym zagłębiu. Samo Miasto może zostać zalane falą uchodźców.

235

Musimy przestać fantazjować o tym, co niemożliwe, i skoncentrować się na praktycznych, bieżących problemach.

Hork taksował lekarza spojrzeniem. Muub zeszywniał. Nie mógł opanować drżenia. Nagle irytację Horka przyćmił szacunek dla tego przyzwoitego człowieka. Lekarz musiał mieć dużo odwagi, żeby przemawiać w taki sposób.

– Mój drogi Muubie, jak tylko zakończę to spotkanie, zajmę się praktycznymi, bieżącymi problemami... bólem dziesięciu tysięcy istot ludzkich. – Uśmiechnął się. – Chcę, żebyś kierował tym projektem.

Żebyś dotarł do Morza Kwantowego.

– To zadanie jest niewykonalne – wycedził medyk powoli. Hork skinął głową.

– Oczywiście. W ciągu dwóch dni masz mi podać warianty operacji.

Odwrócił się, wyprostował i pomknął przez Powietrze do drzwi i swoich obowiązków.

17

Dura spała krótko i niespokojnie w ciasnym mieszkaniu Deni, a

plyw

potem zjawił się u niej wysłannik Komitetu – dość ponury człowieczek w powłóczyściej tunice. Jego skóra była cienka i blada; miał tak mocno podkrążone oczy, iż wyglądały jak podbite. Dura pomyślała, że zapewne spędził zbyt dużo czasu, pracując w Mieście, bez dostępu świeżego Powietrza.

Po wyjściu ze szpitala wysłannik prowadził ją ulicami. Minęli Rynek i zaczęli falować do Góry, wzdłuż Pali Mali. Wielka aleja wydawała się teraz znacznie spokojniejsza. Strumienie aut powietrznych poruszały się swobodniej niż poprzednio, a między poszczególnymi samochodami były spore odstępy. Wiele sklepów było pozamykanych, a drewniane lampy świeciły wewnątrz nikłym blaskiem. Dziewczyna zaczęła rozumieć, w jaki sposób klęska zagłębia wpłynęła na gospodarkę Parz.

Mimo to panował tu nieustanny hałas, a nieliczne wiatraki i otwory świetlne nie wystarczyły, by uchronić Durę przed klaustrofobią. A przecież jeszcze kilka dni temu czuła się nieswojo

236

w ograniczonym towarzystwie nadpływowców. Pomyślała ze smutkiem, że niedawne przeżycia uczyniły z niej osobę nieprzystosowaną.

Opuścili Mali w pobliżu końca aretni bliskiego Góry i niespodziewanie wynurzyli się w rejonie pełnym czystego światła Powietrza. Weszli do wielkiej otwartej komnaty, sześcianu, którego bok miał długość około stu ludzi. Krawędzie kostki były skonstruowane z cienkich belek, a fasady otwierały się ku przejrzystemu niebu – odnosiło się wrażenie, że do Miasta przywarła w tym miejscu jakaś gigantyczna drewniana pijawka. Jednak Dura stwierdziła ze zdziwieniem, że Powietrze jest niewiele świeższe niż we wnętrznościach Parz, i nie wyczuwa się przewiewu. Przyjrząwszy się sześcianowi dokładniej, uświadomiła sobie, że z pozoru puste ścianki są wyłożone dużymi płytami z przezroczystego drewna. Szybko oszacowała, że to ogromne, przejrzyste, drewniane pudło może pomieścić mniej więcej tysiąc ludzi.

Sześcian robił imponujące wrażenie, ale był też dziwny. Kolejny raz Dura zastanawiała się nad dziwacznością Miasta.

wysłannik dotknął jej łokcia.

– Dotarliśmy na miejsce. To jest stadion. Oczywiście, dzisiaj nie ma tu nikogo. Kiedy coś się na nim dzieje, jest przepełniony... Tam w górze widać łożę Komitetu. – Pokazał cienki balkon wiszący nad stadionem. Mówił piskliwym, przymilnym głosem. – Ludzie przybywają tutaj, żeby oglądać Igrzyska – nasze imprezy sportowe. Czy macie u siebie, w nadpływie. Igrzyska?

– W jakim celu mnie tu sprowadzono? Filigranowy mężczyzna cofnął się, przytykając podkrążone oczy.

– Dura...

F a r r?

Zawirowała w Powietrzu. Jej brat znajdował się zaledwie o jednego człowieka dalej. Był spokojny i sprawiał wrażenie zdrowego. Miał na sobie luźną tunikę. Towarzyszył mu Adda i trzech ludzi z Miasta.

Zobaczyła to wszystko w ciągu uderzenia serca. Natychmiast rzuciła się i objęła brata. Odwzajemnił uścisk, ale Dura uświadomiła sobie, że nie było w nim nic z nieśmiałego dziecka. Otoczył ją

237

ramionami i poklepywał po plecach, jakby chciał dodać siostrze otuchy.

Puściła go i odsunęła się na wyciągnięcie ręki. Twarz Farra była kanciasta i poważna. Wydawał się starszy i bardziej podobny do ojca.

– Czuję się dobrze, Dura.

– Ja też. Myślałam, że mogłeś zostać ranny podczas Zaburzenia.

– Nie byłem w Dzwonach, kiedy nadciągnęło. Właśnie miałem przerwę i przebywałem w Porcie...

plyw

– To nie ma znaczenia – rzekła z rozgoryczeniem. – Jesteś za młody, żeby wysłać cię na dół w takich urządzeniach.
– Nic na to nie poradzę – odparł łagodnie. – W Dzwonach służą chłopcy, którzy są jeszcze młodszy ode mnie. Dura, w niczym nie zawiniłaś... Nawet gdybym odniósł obrażenia, nie byłabyś niczemu winna.

On ją pocieszał. Naprawdę wydorósł.

– W każdym razie nie byłem w Porcie od dawna – ciągnął Farr. Uśmiechnął się. – Od czasu, gdy Adda kazał Horkowi postać po mnie. Mieszkałem u Toby.

– Co słychać u rodziny?

– Cris uczył mnie surfować. – Fair wyciągnął ramiona, jakby balansował na niewidzialnej desce. – Będziesz musiała tego spróbować...

– Dura! Przeżyłaś. Strasznie się cieszę. – Adda zagarniał Powietrze rękami, zbliżając się do nich.

Dura szybko zerknęła na starego człowieka. Jego ramiona, klatka piersiowa i nogi poniżej kolan wciąż były spowite brudnymi bandażami, ale poruszały się dość swobodnie, choć niezadarnie. Ciągnął za sobą obiekt, który przypominał skórę świni powietrznej: pozszywany i nadmuchany, podskakiwał niczym zabawka.

Dura znalazła na twarzy Addy wolne miejsce – oddalone od pijawki – i pocałowała go.

– Uściskałabym cię, ale boję się, że mogłabym coś ci złamać. Parsknął.

– A więc przetrwałaś Zaburzenie.

Krótko zrelacjonowała swoją historię. Jej brat zrobił wielkie
238

oczy, kiedy opisała statek xeelee. Opowiedziała im, jak Istoty Ludzkie dawały sobie radę podczas Zaburzenia. Kiedy wyliczała dwadzieścia znajomych imion ofiar, przypomniała jej się prosta, wzruszająca ceremonia odmawiania litanii przez drwali. Wspomniała Addzie i Farrowi o pięciorgu dzieci nadpływowców, które na razie zatrzymały się u Deni Maxx. Obaj uśmiechnęli się i obiecali, że je odwiedzą.

– A teraz powiedz mi, co my tutaj robimy. I dlaczego wleciesz za sobą martwą świnię.

Adda skrzywił się; pijawka zadygotała na jego pomarszczonym policzku.

– Dowiesz się... To wszystko jest cholerną głupotą. – Zerknęła na pozostałych członków grupy. Dura rozpoznała Muuba, szpitalnego lekarza, któremu towarzyszyli dwaj inni mężczyźni.

– Ruszajmy – powiedział. – Lepiej mieć to z głowy. Dura i Fair pomogli staremu myśliwemu. Trzy Istoty Ludzkie zbliżyły się do Muuba i jego towarzyszy.

Cała szóstka unosiła się w zwartej grupie w pobliżu centralnej części potężnego, pustego stadionu. Dziewczyna z nadpływu czuła chłód i wyizolowanie pomimo lepkości Bieguna. Dookoła były zawieszony sznury i poręcze – milczący dowód, iż w tym miejscu pojawiały się tłumy widzów.

Lekarz Muub miał na sobie pozbawioną ozdób ciemną szatę. Jak poprzednio, Dura nie mogła się powstrzymać od patrzenia na wielką kopułę jego łysej głowy. Powitał ich profesjonalnym, ale nieco wymuszonym uśmiechem.

– Dziękuję, że zechcieliście poświęcić swój czas. Adda wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Och, czyżbyśmy mieli wybór?

Muubowi zrzędzła mina. Energicznie przedstawił swoich dwóch towarzyszy: Hosch, nadzorca Portu, był upiornie chudy i chyba znał Farrę, gdyż obrzucał chłopca skwaszonymi spojrzeniami; wysoki, wąły jak łodyga Seciv Trop został scharakteryzowany przez Muuba jako ekspert w dziedzinie Magpola. Podobnie jak nadworny medyk, miał wygoloną głowę, w stylu charakterystycznym dla naukowców

Lekarz szybko naszkicował okoliczności powstania dyrektywy Horka.

– Szczerze mówiąc, nie jestem przekonany o wartości tego programu. Przyznaję się do tego na samym początku. Ale rozumiem sposób myślenia Horka. – Rozejrzał się; miał surową minę. – Już samo przebywanie na tym kruchym stadionie każe mi sądzić, że musimy znaleźć sposób zabezpieczenia się przed przypadkowymi Zaburzeniami.

Dura zmarszczyła brwi.

– Ale dlaczego tu jesteście. To znaczy, my. Istoty Ludzkie. Potrzebujecie ekspertów. Cóż takiego moglibyśmy dodać?

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, jesteście ekspertami – najbliższymi, jakich mamy – w kwestii Xeelee. Tak przynajmniej uważa Hork. Po drugie, nie ma nikogo innego. – Muub uniósł ręce, jakby chciał objąć Miasto. – Dura, Parz może ci się wydawać dużym i zamożnym ośrodkiem, ale Zaburzenia fatalnie wpłynęły na jego gospodarkę. Przeznaczamy wszystkie środki na zminimalizowanie skutków i odbudowę zagłębia... robią to wszyscy z wyjątkiem nas. Hork uznał, że tylko my możemy zostać oddelegowani do innych zadań. – Uśmiechnął się do swoich rozmówców. – Jest nas sześcioro, razem z chłopcem. A nasza misja ma polegać na ocaleniu świata. Może to się uda; jaki poklask byśmy zyskali, gdybyśmy odnieśli sukces!

Umilkł. Sześcioro ludzi unosiło się, tworząc krąg i spoglądało jeden na drugiego. Tylko ekspert od Magpoła, Seciv Trop, patrzył w dół swymi delikatnie rzeźbionymi oczodołami.

– No cóż – odezwał się lekarz z ożywieniem. – Hork poprosił mnie, żebym opracował warianty dokonania czegoś, co jest niemożliwe – zapuszczenia się w Podpłaszcz głębiej, niż był to w stanie uczynić jakikolwiek człowiek od czasów prehistorycznych. Ja zaś poprosiłem Hoscha i Addę, żeby wysunęli jakieś sugestie. Dzwony z Portu opadają na głębokość około metra. Nasze pierwsze oceny wskazują, że musimy pokonać co najmniej dziesięciokrotnie dłuższy odcinek – opuścić się na głębokość dziesięciu metrów. Seciv, zechciej komentować to, co mówię, i dodawać wszelkie znane ci szczegóły. Trop energicznie skinął głową.

240

– Zrobię wszystko, co w mojej skromnej mocy – rzekł piskliwym, egzaltowanym głosem. Seciv Trop wyglądał na najstarszego w grupie. Jego niemal łysą czaszkę porastały rzadkie kępki żłocistożółtych włosów, nie wygolone przez ich niedbałego właściciela. Luźny, zaopatrzony w mnóstwo kieszonek kombinezon był mocno sfatygowany i pełen łat – Dura spodziewała się po wysoko postawionym obywatelu Miasta przyzwoitszej odzieży. W sumie jednak ten stary człowiek wydał się dziewczynie dość sympatyczny.

– Dlaczego znaleźliśmy się tutaj? – zapytał Farr. – Na tym stadionie?

– Z powodu waszego przyjaciela. – Muub spojrział powątpiewająco na świńską skórę. – Adda stwierdził, że zamiast opisywać swój pomysł, wolałby go zademonstrować. Pomyślałem, że powinienem wybrać maksymalnie dużą przestrzeń.

Nadzorca Portu wykrzywił twarz szyderczo.

– Więc lepiej pozwólmą temu staremu głupkowi pokazać to, co ma do pokazania, zanim to cholerne świńskie ścierwo zacznie cuchnąć nawet poza stadionem.

Adda uśmiechnął się szeroko i pociągnął krótki sznur u paska, który był przywiązany do nadmuchanej świńskiej skóry. Wyciągnął okropny wytwór przed siebie, wyraźnie rozkoszując się obrzydzeniem na twarzach ludzi z Miasta. Dura musiała przyznać, że skóra

plyw

jest ohydna; prymitywnie zszyto krawędzie wszystkich otworów, a potem napompowano ją Powietrzem, tak że naprężyło się wszystkie sześć płetw. Odnosiła wrażenie, iż łeb tego potwora wpatruje się w nią. Wyczuwała też lekki smród.

Hosch uśmiechnął się drwiąco.

– Czy to ma być jakiś żart? Ten stary dureń uważa, że wszyscy moglibyśmy przywdziać świńskie skóry i popłynąć do cholernego Rdzenia.

Adda pomachał nadzorcy przed oczami nadmuchaną skórą.

– Błąd, człowieku z Miasta. Wy często podróżujecie w samochodach ciągniętych przez świnie. Z początku zastanawiałem się, czy ludzie mogliby pokonać w takim aucie drogę do Rdzenia... ale, oczywiście świnie nie przeżyłyby wyprawy do Podpła-

241

szcza. Dlatego zbudujemy świnie... sztuczną świnie z drewna i materii rdzeniowej. Tak mocną, aby wytrzymała silne ciśnienie Podpłaszcz.

Seciv skinął głową.

– Jak to urządzenie ma być napędzane?

Adda szturchnął palcem wylot odrzutowy zwierzęcia.

– Oczywiście wiatroodrzutami. Tak jak prawdziwa świnia.

– Przytknął nadmuchane płetwy. – A one zapewnią jej stabilność.

– Przycisnął skórę ramieniem do zabandażowanych żeber. Z wylotu

odrzutowego buchnęło Powietrze; martwa świnia chybotliwie odleciała kawałek w upiornej, komicznej parodii życia. Hosch zaśmiał się głośno.

– A skąd będą się brały wiatroodrzuty, nadpływowcze? Od ciebie?

Seciv nachmurzył się. Jego skręcone włosy drgnęły.

– Moglibyście naśladować wewnętrzne funkcjonowanie organizmu świnie. Pojazd przewoziłby zbiorniki z Powietrzem, podgrzewanym przez zapas drewna w opalanym jądrami bojlerze i wydalany następnie przez zawór wylotowy. – Ostrożnie szturchnął sflaczałą płetwę delikatnym palcem. – Można byłoby

nawet pokusić się o sterowanie, mocując płetwy na zawieszeniu kardanowym obsługiwanym z wnętrza statku. A przy odrobinie

pomysłowości dałoby się odpowiednio ukierunkować wyloty wiatroodrzutów. – Trop kiwnął głową w stronę Addy, okazując

aprobatę. – Pod wieloma względami jest to praktyczna sugestia.

Dura zauważyła, że Adda – wbrew sobie samemu – pękał z dumy, usłyszawszy tę pochwałę. Natomiast Hosch sprawiał wrażenie niezadowolonego.

– Ale jak to przetrwa w Podpłaszczu? – zapytał Farr z powagą.

– Pracując w Dzwonach, dowiedziałem się, że taki statek może ulec zniszczeniu nie tylko na skutek miażdżącego ciśnienia... – Nagle zacisnął pięść z trzaskiem. Dura cofnęła się odruchowo. Była ciekawa, gdzie jej brat nauczył się takich prymitywnych, dramatycznych sztuczek. – Materia jądrowa – ciągnął młodzieniec – czyli zwykła materia uległaby rozkładowi.

– Zgadza się. Naturalnie że tak – szybko wtrącił się Hosch.

– Wie o tym każdy, kto ma choć kapkę doświadczenia. Nasze

242

Dzwony są zabezpieczane przed ciśnieniem polami magnetycznymi, które są przekazywane przez turbiny w Mieście. Seciv Trop pokręcił głową.

– To nieporozumienie, nadzorco. Wyrażając się ściślej, Dzwony są zasilane przez prądy elektryczne, które generuje Port. Jednakże ochronną powłokę magnetyczną wytwarza sam Dzwon, za pomocą obręczy nadprzewodnikowych, które go opasują.

Hosch zmierzył starego człowieka od stóp do głów.

– Przypuszczam, że jesteś Poławiaczem. Widocznie pracowaliśmy na różnych zmianach...

Muub dotknął ramienia nadzorcy Portu.

plyw

– Seciv zaprojektował obecną generację Dzwonów – tych, których używasz na co dzień. Hosch, od jego ekspertyzy zależy twoje życie; nie powinieneś z niego szydzić.

Hosch zmiętygował się nieco.

– No i co z tego? Chłopak ma rację.

Seciv wydawał się nieczuły na jego obraźliwe słowa.

– Po prostu trzeba byłoby opasać tę sztuczną świnie obręczami nadprzewodnikowymi i zabrać do środka sprzęt do wytwarzania pola magnetycznego. – Zmarszczył brwi. – Oczywiście, zwiększyłoby to rozmiary statku.

– Czy wewnątrz tej drewnianej świnie nie robi się zbyt gorąco, skoro cały czas będzie w niej zachodzić spalanie jąder? – zagadnęła Dura.

Seciv kiwnął głową.

– Tak, dostrzegam ten problem, ale nie jest on nie do przecięcia ciężenia. Znacznie trudniejszą sprawą będzie dostarczanie Powietrza napędowego. Współczynnik kompresji nie jest zbyt wysoki nawet w naszych najlepszych zbiornikach. Wystarczy na przelot autem powietrzynym na farmę sufitową, ale nie będzie dostatecznie duży w przypadku tak dalekiej ekspedycji. – Zerknął na Addę ze smutkiem.

– Zresztą z tym również możemy się uporać. Pozostają dwie znacznie groźniejsze wady. Po pierwsze, brak stabilności. Ostatecznie świnia powietrzna nie składa się tylko z odbytu i kilku płetw. Ma jeszcze sześcioro oczu, które ułatwiają jej orientację...

– No cóż – rzekł Adda, jakby się broniąc. – Mógłbyś zamontować sześć okien z przezroczystego drewna. Albo i więcej.

243

– Może. Ale każde okno obsługiwałby pilot, tak? Który potem musiałby przekazywać instrukcje załodze. Zatem pięciu, sześciu ludzi sterowałoby płetwami, mając nadzieję, że lot odbywałby się we właściwym kierunku. Obawiam się, Adda, że twoja drewniana świnia ugrzęźłaby w Powietrzu.

– Ależ nie musisz używać płetw – odezwała się Dura. –

Przecież ten statek nie musi wyglądać dokładnie tak jak świnia. Może lepiej byłoby wykorzystać wiatroodrzuć, wydobywające się z boków świnie.

– Rzeczywiście. – Muub zamyślił się. – Taki lot mógłby być o wiele precyzyjniejszy.

Seciv uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Mimo wszystko, spodziewałbym się niestabilności. Poza tym, obawiam się, że drugi problem jest nie do przecięcia.

Adda spojrział na niego ze złością. Pijawka sunęła po jego policzku.

– Twoja metoda napędzania statku nie zadziałałaby w Podpłaszczu, a co dopiero w Morzu Kwantowym. W warunkach wysokiego ciśnienia nie można byłoby wydalać Powietrza. Wła- tywałoby z powrotem do wnętrza świnie.

Hosch podrapał się po głowie.

– Nie chcę wnosić niczego konstruktywnego do tego idiotycz- nego przedsięwzięcia – rzekł – ale czy nie moglibyście oddalić pola magnetycznego od kadłuba świnie? Wtedy wiatroodrzuć byłyby wydalone w Powietrze o normalnym ciśnieniu.

Seciv popatrzył na niego i przygładził kępki włosów kościstymi palcami. Najwyraźniej szukał prostego wyjaśnienia.

– Ale wyrzucone Powietrze nadal znajdowałoby się w obrębie pola magnetycznego, które z kolei nie odstępowałoby statku, sunąc przez linie pola. Powietrze napierałoby na magnetyczną powłokę, która ciągnęłaby statek z powrotem. Widzisz, to kwestia akcji i reakcji...

Muub machnął ręką, uciszając go.

– Myślę, że możemy uwierzyć ci na słowo, Seciv. – Uśmiechnął się do Addy. – Wydaje się, że panuje wśród nas zgoda, iż nie możemy realizować pańskiej sugestii. Ale była pomysłowa i może niektóre jej aspekty zostaną wykorzystane w ostatecznej wersji

projektu. Zgadzasz się, Seciv? Ponadto sądzę, że moglibyśmy wziąć ją pod uwagę przy konstrukcji nowego typu samochodów powietrznych – takich, które nie potrzebowałyby świńskich zaprzęgów.

Ostatecznie, żaden z omawianych przez nas problemów nie wystąpiłby, gdyby pojazd poruszał się w zwykłym Powietrzu. Adda trzymał pod pachą odzyskaną skórę świni. Był ogromnie zadowolony z siebie, nie wiadomo dlaczego. Dura szturchnęła go i powiedziała cicho:

– Dobrze się bawisz. Zapominasz, że jesteś godnym pożałowania staruchem. Wprawisz ich w dezorientację.

Adda zerknął na nią spode łba i skwaszony powiedział:

– No? Kto następny? Ten Poławiacz wyrażał się bardzo mądrze o moich propozycjach. Posłuchajmy teraz, co on sam ma do powiedzenia.

– Rzeczywiście. Hosch? – wywołał kolejnego dyskutanta Muub.

Nadzorca Portu rozłożył ręce i przemówił, zwracając się tylko do lekarza.

– Mój pomysł jest prosty i nie muszę rzucać świńskimi skórami, żeby go opisać. Twierdzę, że powinniśmy trzymać się tego, co znamy. Proponuję rozbudować Grzbiet... wydłużyć go stosownie do naszych potrzeb w dół, do Podpłaszczu.

Seciv Trop potarł brodę.

– No cóż, zaletą tego pomysłu jest, jak mówisz, odwołanie się do rzeczy znanych. Drewniany Grzbiet wymagałby zabezpieczenia przed rozkładem w Podpłaszczu, ale moglibyśmy użyć cewek nadprzewodnikowych tak jak to robimy obecnie... Ale jakie śmiałe byłoby to przedsięwzięcie. Wątpię, czy tego rodzaju Grzbiet zachowałby strukturalną jedność na tak długim odcinku. A poza tym mógłby wpłynąć na stabilność samego Miasta. Czy wstęgi kotwiczne mogłyby utrzymać nasze położenie tu, nad Biegunem, przy takiej przeciwwadze?

Muub kręcił głową.

– Hosch, nie możemy poświęcić środków na coś takiego. Musisz wiedzieć, że po ostatnim Zaburzeniu przestały napływać konwoje ze Skorupy, toteż nie otrzymujemy ani odrobiny drewna. Brakuje też wolnej siły roboczej...

245

– Poza tym, co by się stało, gdyby nastąpiło Zaburzenie? – wtrąciła Dura. – Grzbiet byłby tak nietrwały, że uległby zniszczeniu w parę sekund.

Hosch założył ramiona i skrzyżował nogi, zginając żylaste ciało.

– A więc to jest niemożliwe – uciał. – Właściwie możemy przestać marnować czas i powiedzieć o tym Horkowi. Muub zwrócił się do niego.

– Szczerze mówiąc, Hosch, nie będę odczuwał żalu, jeśli dojdziemy do takiego wniosku. Nie chcę marnować więcej czasu i wysiłku, niż muszę, na tak głupie przedsięwzięcie.

– Och, nie. – Na pomarszczonej twarzy Seciva Tropa malowała się irytacja. – Wcale nie doszliśmy do takiego wniosku. My tylko wykluczaliśmy rozmaite warianty. I chyba mamy do dyspozycji kilka elementów skutecznego rozwiązania.

Medykowi zrzędzła mina. Pociągnął rąbek swojej szaty.

– No, mów.

– Przede wszystkim wiemy, że to hipotetyczne urządzenie – ten nowy, unoszący się swobodnie Dzwon – będzie potrzebowało pola magnetycznego, chroniącego przed rozkładem, a także jakiejś formy napędu. Musi być samowystarczalne. Nasze tradycyjne metody nie sprawdzą się na tak dużej głębokości, dlatego musimy wykluczyć dostawy z Miasta. W urządzeniu trzeba zamontować prostą turbinę do generowania pola ochronnego.

plyw

– Jak miałyby się poruszać? – zagadnęła Dura. – Zdawało mi się, że mówiliś, iż wiatroodrzuty nie będą działać.
– Rzeczywiście – odparł Seciv. – Istnieją jednak inne sposoby napędzania...
– Falowanie – zauważył Fan- z ożywieniem. – Co powiecie na to? Może zdołalibyśmy zrobić Dzwon, który by swobodnie pływał – falujący Dzwon.
– Dokładnie. – Trop pokiwał głową z zadowoleniem. – Moglibyśmy wlec się przez Magpole, tak jak to robimy, falując w Powietrzu. Dobra robota, młody człowieku.
Muub pociągnął dolną wargę.
– Ale może Magpole nie przenika Podpłaszczą.
– Sądźmy, że przenika – rzekł Seciv. – Podpłaszcz i Morze

246

są przesiąknięte naładowanymi cząsteczkami –protonami, elektronami i hiperonami – które utrzymują Magpole. Hosch zaśmiał się szyderczo.

– Co mielibyśmy zrobić? Dołączyć z tyłu parę sztucznych nóg? Pomysł falowania pobudził wyobraźnię Farra.

– Nie, falowalibyście, używając cewek nadprzewodnikowych – tłumaczył w podnieceniu. – Jak wstęp kotwicznych. Moglibyście przesunąć je ze środka Dzwonu i...

– Znowu rozsądne myślenie – zauważył Seciv. – Ale można wyciągnąć dalej idące wnioski. Nie trzeba przesunąć samych cewek. To przepływ prądu w ich wnętrzu umożliwi ruch do przodu.
Muub powoli skinął głową.

– Rozumiem. A więc prąd przepływałby tam i z powrotem.

– Dokładnie tak. Wywołałbym jego naprzemienne pulsowanie. Cewki można byłoby przytwierdzić do kadłuba. I oczywiście takie rozwiązanie okazałoby się oszczędne: system napędowy statku byłby tożsamy z systemem ochrony magnetycznej. – Zmarszczył czoło. – Ale pozostawałby problem przegrzania wnętrza, wywołanego spalaniem jąder przez turbinę w zamkniętej przestrzeni.

Hosch nie wyglądała na chętnego do podjęcia dyskusji. Dura pomyślała, że naprawdę nie chciał w żaden sposób przyczynić się do urzeczywistnienia projektu.

– Ale nie musielibyście wykorzystywać spalania jądrowego – odezwał się w końcu. – Turbinę można zasilać w jakikolwiek sposób... nawet za pomocą mięśni ludzkich... Nie, obawiam się, że nasze mięśnie są zbyt słabe do tego rodzaju zadania. Ale moglibyśmy wykorzystać siłę zwierząt – stada świni zaprzęgniętych do jakiejś turbiny – tak, to jest to! – Zaśmiał się i klepnął Addę po plecach; starzec zakręcił się powoli jak zabandażowany wiatraczek. – A zatem wygląda na to, że dotrzemy do Rdzenia dzięki świniom! Stary myśliwy wyhamował wirowanie w Powietrzu i uśmiechnął od ucha do ucha.

Muub popatrzył na członków grupy.

247

– Nie wierzę własnym uszom. – W jego głosie wyczuwało się rozczarowanie. – Sądzę, że wymyśliliśmy coś, co dałoby się zbudować... coś, co mogłoby działać.

Seciv złapał się za podbródek. Dura nigdy nie widziała takich kościstych i delikatnych dłoni.

– Powinniśmy zbudować prototyp – wciąż mogą się pojawić nieprzewidziane trudności. I oczywiście z chwilą, gdy zacznie się opadanie, nie będziemy mieli pojęcia, jakie warunki napotka statek. Na razie możemy tylko przypuszczać.

– Jest jeszcze kwestia Kolonistów – odezwała się Dura, czując, że po jej grzbiecie przebiegają ciarki. – Właściwie misja zakończy się niepowodzeniem, jeśli nie dojdzie do spotkania z Kolonistami. Co wtedy?

– No właśnie, co? – ponuro zawtórował Seciv. Muub przejechał

dłonią po łysej czaszce.

– Niech was wszystkich diabli porwą. Udało się wam aż za dobrze. Nawet nie mogę zameldować Horkowi, że ten jego pomysł jest niedorzeczny. – Popatrzył na zarządcę Portu. – Hosch, chcę, żebyś pokierował projektem i konstrukcją prototypu.

Nadzorca odwzajemnił się gniewnym spojrzeniem. Jego wychudzona twarz była sina z wściekłości.

– Weź tych nadpływowców i możesz zabrać trochę czasu Secivowi – wycedził lekarz lodowato. – Jeśli chodzi o siłę roboczą, wykorzystaj część pracowników Portu. Ale postaraj się, żeby produkt był nieskomplikowany i tani, dobrze? Nie ma sensu trwonić więcej energii, niż to jest konieczne. – Okręcił się w Powietrzu, odpowiadając rozmówców gestem ręki. – Kiedy prototyp będzie gotowy, powiadomcie mnie.

Luźno obejmujące się ramionami Istoty Ludzkie powoli podążały za Muubem i resztą, opuszczając stadion.

– A zatem jest szansa na spotkanie z bogami z przeszłości – zauważył Adda.

– Nie z bogami – Dura zaprzeczyła stanowczo. – Nawet Xeelee nie są bogami... Ale ci koloniści mogą się okazać potworami, jeśli w ogóle istnieją. Przypomnij sobie Wojny Rdzeniowe. Stary myśliwy prychnął.

248

– Ta cholerna, kretyńska ekspedycja i tak nie dotrze aż tak daleko. Ten falujący Dzwon zostanie zmiażdżony.

– Być może. Ale nie musisz się tak dąsać, Adda. Wiem, że dawniej lubiłeś rozważać rozmaite pomysły. Musisz podziwiać wyobraźnię i hart ducha ludzi z Miasta.

– No i co teraz? – zagadnął starzec. – Chcesz odnaleźć swoją przyjaciółkę Ito?

– Później... Najpierw muszę zrobić coś innego. Powinnam odszukać kogoś – córkę przyjaciółki, która była ze mną na farmie sufitowej. Przyjaciółki, która nazywała się Rauc.

Adda rozważał jej słowa.

– Czy dziewczynka wie, co stało się z jej matką?

– Nie – odparła Dura ze spokojem w głosie. – Będę musiała jej o tym powiedzieć.

Adda kiwnął głową. Jego pomarszczone oblicze nie wyrażało żadnych emocji, ale chyba zrozumiał.

I pewnego dnia, pomyślała Dura, będę musiała się udać do lasów nadpływu i zawiadomić Browa...

Zerknęła na Farra. Chłopiec spoglądał gdzieś daleko. Na jego twarzy malowało się udawane zubożenie. Poczuli, że jest w stanie czytać w jego myślach. Ludzie zamierzają wybudować statek, żeby odnaleźć kolonistów. Rzeczywiście, był to niesamowity pomysł. Gdzieś w głębi duszy Dura odczuwała lekkie przerażenie.

A Fan- był wystarczająco młody, żeby rozkoszować się perspektywą wyprawy.

Jednakże Adda miał rację. Sprawa była beznadziejna. Durze przyszło jeszcze do głowy, że jako „ekspert” Horka w zakresie wiedzy o Xeelee, przynajmniej jedna z Istot Ludzkich zostanie wyznaczona, by wziąć udział w wyprawie, jeśli takowa będzie kiedykolwiek podjęta...

Mocno ścisnęła brata za ramię i przytuliła się do niego.

Postanowiła, że nie dopuści do tego, aby Farr uczestniczył w wyprawie, o której marzył.

249

18

Mur budził się z wolna.

Powoli do jego świadomości zaczęło docierać, że słyszy szelest drzew skorupowych, wyczuwa odór swojego spoconego ciała, a blask intensywnie żółtego Powietrza razi mimo zamkniętych oczu.

plyw

Przywiązał się luźno do samotnie rosnącego drzewa za pomocą wystrzępionego sznura i teraz czuł, że pętle wrzynają się w jego chudą klatkę piersiową i uda.

Potem zaczął odczuwać ból.

Odniósł wrażenie, że jego żołądek, pusty od tak dawna, ulega implozji, wypełniając środkową część ciała tęnym bólem. Kiedy zaczął się poruszać, zaprotestowały jego stawy – ich sztywność była zupełnie niespodziewanym efektem ubocznym głodu i sprawiała, że przypominał starca. Czuł też rozdzierający ból w czaszce, jakby mózg odrywał się od kości.

Zacisnął powieki i skulił się, czując, jak jego kościste łokcie wbijają mu się w żebra. Dziwił się, że w tych ciężkich czasach sypiał tak mocno jak nigdy przedtem. Kiedy się budził, życie stawało się coraz bardziej nieznośne. Sen kusił i zapewniał komfort; był jakby niesamowitym królestwem, w którym zapominało się o obolałym ciele i napięciu psychicznym.

Ach, gdybym mógł tak zostać w krainie ze snu, pomyślał. Jak

łatwo byłoby już nigdy się nie obudzić.

Jednak dzisiaj nie mógł skorzystać z takiej możliwości. Zbyt wyraźnie odczuwał ból.

Westchnął i otworzył oczy. Włożył palec do zaropiałego oczodołu, żeby go oczyścić. Następnie wygramolił się powoli z niby-siatki. Pozostałe Istoty Ludzkie – w sumie czternaścioro – rozproszyły się w dolnej krawędzi lasu i również przywiązały do drzew. Zwisając z nich w półśnie, przypominały poczwarki owadów, coś jakby zdeformowane pająki spinowe.

Mur opuścił las, unikając wzroku tych, którzy już się obudzili.

Przeciągnął się. Nadal czuł ból w mięśniach po wczorajszym falowaniu. Ściągnął z drzewa garść liści, a potem zgiął nogi i zaczął falować sztywno w dół, do Płaszczka. W odległości mniej więcej dwudziestu ludzi poniżej obrzeża leśnego sufitu uniosł

250

tunikę i przysunął nogi do klatki piersiowej. Biodra i kolana odmawiały posłuszeństwa, ale chwycił się za tydki i przyciągnął uda do samego brzucha. Pomimo że się napreżał, z początku kiszki nie reagowały. Podobnie jak cała reszta, jego system trawienia i wydalania działał coraz gorzej. Jednak Mur nie ustawał w wysiłkach, obejmując nogi ramionami.

Wreszcie kiszki poddały się i, pomimo przeszywającego bólu,

Mur wydalili twarde bryły odchodów w Powietrze. Zerknął w dół.

Unoszące się w Płaszczku fekalia były zbite, zanadto ciemne.

wytarł się garstką liści.

Dia, jego żona, opadła z zaimprovizowanego obozowiska w lesie.

Zauważył, że mruga oczami, starając się pozbyć senności i przy-

zwyczać do jasnego światła Powietrza. Mimo że obudziła się dosłownie przed chwilą, już spoglądała wzdłuż linii wirowych na Południe, w kierunku odległego Bieguna. Chciała się zorientować, jak daleko dotarli i ile jeszcze przed nimi tej wielkiej odysei.

Zbliżywszy się do męża, spojrzała mu w oczy, pocałowała w usta i przytuliła się do jego piersi. Pod jej obdartym poncho wyczuwał kości kręgosłupa. Nie mieli sobie nic do powiedzenia. Przywarli do siebie i wisieli w spokojnym Powietrze. Pod ich stopami rozpościerało się Morze Kwantowe.

Od czasu gdy Dura i kobieta z Miasta oddaliły się w aucie powietrznym – zabierając dzieci, w tym ich Jai' a – piętnaścioro opuszczonych Istot Ludzkich podróżowało przez Płaszcz w stronę Bieguna. Powolne pulsacje linii wirowych odmierzają nie kończące się dni tej wyprawy. Nie mając żadnych zapasów żywności. Istoty Ludzkie były zmuszone poruszać się po obrzeżu lasu skorupowego. Liście drzew nie stanowiły szczególnie pożywnego pokarmu, ale przynajmniej pozwalały na chwilę zapomnieć o głodzie. Co kilka dni żywność wyczerpywała się i trzeba było przerywać marsz.

Wprawdzie istniała możliwość polowania, ale podróżnicy nie znali

plyw

lasu, a zwierzęta, rozproszone i wciąż jeszcze przerażone niedawnym, gwałtownym Zaburzeniem, były czujne i trudne do schwytania. Bez własnego stada Istoty Ludzkie powoli zaczynały przymierać głodem. Ich beznadziejna podróż, wypełniona nieustannym, powolnym, bolesnym falowaniem, sprawiała, że nie nadążały

251

z uzupełnianiem szybko traconych sił. Mur nie mógł zapomnieć sycącego „chleba”, którym poczęstowała ich Dura, wyłoniwszy się z nieba tak nieoczekiwanie i opowiadając niesamowite historie o Miastach w Powietrzu.

Pokonywali krzywiznę Płaszczka w niepokojąco wolnym tempie, jakby pełzali. Za każdym razem, gdy Mur budził się i spoglądał na niezmienny Płaszczkoobraz, ogarniało go zniechęcenie. Wprawdzie zbliżali się do Bieguna, ale musieli jeszcze pokonać otaczający go pas upraw, tak zwane zagłębienie. Jak mieszkańcy tych regionów – również ofiary najświeższego Zaburzenia – zareagują na horde wygłodniałych uchodźców, dryfującą pod ich farmami sufitowymi? Rezygnacja z wyprawy byłaby logicznym posunięciem. Istoty Ludzkie miałyby największą szansę przetrwania, gdyby zostały tutaj, albo nawet cofnęły się głębiej w nadpływ i spróbowały założyć nową osadę na skraju lasu skorupowego.

Dość marnowania energii na tę podróż, pomyślał Mur. Przecież on i jego towarzysze mogliby zbudować nową Sieć, zdobyć nowe stado świń powietrznych. Kiedy, nieco zamroczony, falował w cichym Powietrzu, przyszło mu jeszcze do głowy, że mogliby na próbę hodować ławice płaszczynek. Mięso płaszczynek było twarde i nie tak dobre jak mięso świni powietrznej, ale miętko podgrzewane ciepłem jądrowym, natomiast jaja były smaczne i łatwe do przechowywania. ... Ale oczywiście nie było to możliwe, gdyż dzieci Istot Ludzkich zabrała mająca dobre intencje Dura, i wywiozła na Biegun Południowy. Obserwując przyćmioną, szkarłatną poświatę Bieguna, Mur miał wrażenie, że łączy się ze swoim dzieckiem za pośrednictwem długiego jak linia wirowa łańcucha – łańcucha, który nieubłagane szarpał go za serce. Durze z pewnością chodziło o dobro dzieci, lecz odtąd Mur wiedział, że zobaczy swego syna tylko pod warunkiem, iż przeżyje i ukończy podróż, docierając aż do Miasta na Biegunie.

Uścisnął żonę, a potem odsunęli się od siebie i przygotowali do powrotu między liście drzew, żeby tam spojrzeć w twarze swoim

ziomkom i rozpocząć pracę.
– Dia! Mur! – w głosie dochodzącym z lasu skorupowego brzmiało podniecenie.

252

Małżonkowie zwolnili wznoszenie i, zbici z tropu, spojrzeli w górę. Philas opadała ku nim, młóćąc Powietrze chudymi nogami. Kiedy się zbliżyła, chwyciła ich za ręce, żeby wyhamować.

Dia przytrzymała wdowę po Esku za ramiona.

– O co chodzi? Co się stało?

Kości policzkowe Philas wyraźnie sterczały spod zaczesanych do tyłu włosów. Ciężko dysząc, potrząsnęła głową.

– Nic się nie stało. Ale... spójrzcie! Spójrzcie tam w dół! – wskazała Płaszcz poniżej.

Rozdzielili się wszyscy troje, wykręcając ciała we wskazanym kierunku. Mur zerkał w dół, w miejsce, gdzie była skierowana ręka Philas. Zobaczył regularnie ułożone linie wirowe i zgaszony fiolet Morza Kwantowego, widoczny poprzez krystalicznie czyste Powietrze. Nie zauważył niczego nadzwyczajnego, poza...

No właśnie. Ciemna plamka w oddali. Chyba coś się tam ruszało. Odwrócił się do Dii.

– Masz lepszy wzrok. Co to takiego?

– Ludzie – odparła, zerkając w dół. – Cała grupa. Dwadzieścia, może trzydzieści osób. Wygląda to na obozowisko. Ale w środku

Strona 145

znajduje się coś...

– Co to takiego?

Philas gwałtownie spojrzała w stronę młodszej kobiety.

– Czy ty to widzisz?

– Chyba tak – Dia odparła powoli. Zmrużyła oczy. – Philas, ale to może nie mieć żadnego znaczenia... Mur był zdumiony.

– Co to jest? Co widzisz?

Na ładnej twarzączce Dii malował się strach i niepewność.

– To czworościan – powiedziała.

Piętnaścioro Istot Ludzkich zebrało się na niższym poziomie lasu i dyskutowało, co robić. Wystraszona i niepewna Dia uważała, że nie powinno się marnować czasu na to przypadkowe spotkanie; chciała po prostu kontynuować wyprawę w kierunku Bieguna. Mur zgadzał się z nią. Istoty Ludzkie już były podzielone, a w dodatku zubożniałe i coraz bardziej apatyczne. Utrzy-

253

manie tempa podróży przez Płaszcz stawało się coraz trudniejsze. Mur wiedział, że kiedy jego towarzysze stracą zapał, trudno będzie go rozbudzić na nowo.

Gdziekolwiek by się zatrzymali, czekały ich kłopoty. Dla tych, którzy podążali za dziećmi, byłoby to nie do zniesienia.

Philas i inni upierali się, że trzeba coś zrobić.

– Pomyślcie tylko – argumentowała Philas, unosząc zamaszyscie ręce nad głową i rozcapierzając palce. – Może to rzeczywiście jest Złącze tunelowe z dawnych czasów? A jeśli ono nadal działa?

– To niemożliwe – zawyrokowała Dia. – Złącza zostały zabrane przez Kolonistów na dół, do Rdzenia, po zakończeniu Wojen Rdzeniowych.

– Płaszcz jest duży – wtrącił się ktoś. – Może niektóre Złącza zachowały sprawność. Może...

– Tak – przytaknęła Philas gorliwie. – Zastanówcie się.

Wiemy, że przed Wojnami Istoty Ludzkie mogły pokonywać Płaszcz jednym skokiem, wykorzystując tunele. Jeżeli Złącze, które widzimy, działa, moglibyśmy ukończyć tę okropną podróż w czasie nie dłuższym niż jedno uderzenie serca!

Mur patrzył na twarze, których rysy zaostrzył głód i wycieńczenie. Philas roztaczała przed ludźmi wizję zarzucenia upiornej wyprawy i błyskawicznego dotarcia do celu dzięki magicznej, starożytnej technologii. Była to kusząca, sugestywna, niemal porywająca oferta.

Pomimo lojalności wobec żony, czuł, że i on nie może się oprzeć tej wizji.

– Tam już są ludzie – wycedził. – wokół Złącza. Jeśli to jest Złącze. Kto może wiedzieć, jak zareagują na nasz widok? Czy, ot tak, pozwolą nam zbliżyć się i przejść dalej?

– Może oni są Kolonistami – podsunęła Philas.

– Tak czy owak, mc nie będziemy wiedzieli, dopóki się tam nie udamy – zauważył ktoś.

W grupie rozległ się szmer aprobaty. Dia spuściła głowę.

Wyznaczono Philas i Mura, by dokonali rozpoznania, podczas gdy reszta Istot Ludzkich miała czekać w lesie aż do ich powrotu.

Mur usiłował pocieszać Dię.

– To nie potrwa długo. I może...

254

– I może co? – Spojrzała na niego z rozgoryczeniem. – Może są tam czarodzieje, którzy wrócą nam małego Jai'a. Czy tego oczekujesz? – Dia...

Była załamana. Wyglądała tak, jakby uleciało z niej Powietrze.

– Zostaniemy tu do końca życia. Właśnie tutaj. Umierając jedno po drugim. Czyż nie tak. Mur?

Philas i Mur zanurkowali z lasu do Płaszczu. Dotarcie do czworościennego tworzywa mogło zabrać pół dnia, toteż każde z nich

plyw

miało przy sobie torbę z małą porcją świńskiego mięsa, wydzieloną przez plemię z cennego, kurczącego się zapasu. Z początku mężczyzna często oglądał się na las skorupowy. Twarz żony, zwrócona w dół niczym mały okrągły liść, towarzyszyła mu podczas opadania, zbyt odległa, by można było wyczytać z niej jakieś emocje. Niebawem Dia z powrotem zanurzyła się w lesie. Jeszcze przez chwilę Mur widział poczynania reszty Istot Ludzkich, które szykowały się do polowania albo doprowadzały do porządku zniszczone narzędzia, sznury i ubrania. Wreszcie prowizoryczne obozowisko zupełnie zagubiło się w wirującym, bogatym gobelinie pni i koron drzew, tworzących las skorupowy. Przez jakiś czas Mur wpatrywał się w las, starając się zapamiętać układ drzew, żeby mogli potem odnaleźć obozowisko plemienia. Philas opadała w milczeniu. Jej szczupła twarz była skupiona, pozbawiona wyrazu. Od śmierci Eska Mur jeszcze nie widział u niej takiej koncentracji. W regularnych odstępach czasu wkładała rękę do kieszeni i pogryzała swój kawałek mięsa. Bijąc się z myślami. Mur pokonywał linie wirowe. Dziwna konstrukcja, a także otaczająca ją mała kolonia, rosły z dręczącą powolnością. W końcu jednak młodzieniec mógł stwierdzić bez cienia wątpliwości, że widzi czworościan o krawędziach długich na mniej więcej dziesięciu ludzi. Historia Kolonistów i Wojen Rdzeniowych stanowiła część tradycji Istot Ludzkich. Kiedy Ur-ludzie dotarli do Gwiazdy, odbywszy podróż ze swoich niewyobrażalnych światów, nie napotkali śladów ludzkiego życia. Koloniści byli pierwszym pokoleniem stworzonym przez Ur-ludzi w obrębie Gwiazdy. Ich

255

zadanie polegało na rozmnożeniu pierwszych prawdziwych mieszkańców Gwiazdy: zwykłych śmiertelników – przodków Istot Ludzkich, społeczności Parz i zagłębia, słowem, wszystkich mieszkańców Płaszcza.

W porównaniu z Istotami Ludzkimi koloniści byli niczym bogowie. Mur doszedł do wniosku, że mieli więcej wspólnego z Ur-ludźmi. Dzięki technologii Ur-ludzi połączyli cały Płaszcz ogniwami Złaczy i założyli wielkie miasta, które żeglowały w nim w równym szyku. Pierwsze generacje Istot Ludzkich współpracowały ze swoimi antenatami, podróżując poprzez Złacza i tworząc społeczność Płaszcza.

Potem nastąpiły Wojny Rdzeniowe.

W miarę jak Mur zbliżał się do dziwnego obiektu i otaczającej go małej, nieregularnie rozmieszczonej kolonii, odczuwał coraz większe podniecenie. Podczas falowania dokuczał mu głód i zmęczenie; uświadamiał sobie, że jego myśli stają się chaotyczne, pozbawione związku. Jego głowę wypełniały wizje i nowe nadzieje, które tłumiły ból znużonego, protestującego ciała. Czy ci ludzie byli rzeczywiście kolonistami, a ta rzecz częścią magicznej przeszłości?

Pragnął w to wierzyć. Był zmęczony – straszliwie zmęczony – bólem, śmiercią, wydzieraniem swojej nic nie znaczącej egzystencji nieubłaganemu Powietrzu. Odkrycie artefaktu kolonistów byłoby jak powrót w ramiona od dawna nieżyjących rodziców.

Obserwując wyraz twarzy Philas, jej pełne determinacji falowanie, dostrzegł u niej to samo pragnienie, by uwierzyć – i odnaleźć dom. Kiedy od dryfującego obozu dzieliła ich odległość mniej więcej pięciuset ludzi, dwie osoby oderwały się od grupy otaczającej czworościan i ostrożnie zbliżyły do zwiadowców Istot Ludzkich.

Mur zwolnił, przysuwając się do Philas.

Nadciągająca para zatrzymała się kilkanaście ludzi poniżej niesopdziewanych gości. Mężczyzna i kobieta ściskali w rękach drewniane włócznie. Kobieta wysunęła się nieco naprzód i wycelowała dzidę w brzuch Mura.

– Czego chcecie?

256

Mur przyglądał się pytającej. Musiała mieć około czterdziestki. Dzidę wykonano starannie, ale przecież była jedynie dzidą

– niczym więcej jak tylko zaostrzonym drewnianym kołkiem, niczym tak wyrafinowanym, czego nie potrafiłyby wykonać Istoty Ludzkie. Kobieta miała na sobie prymitywną, upstrzoną kieszeniami pelerynę, chyba ze świńskiej skóry i kapelusz o szerokich kresach, na którego rondzie piętrzyły się skrawki cienkiego materiału. Była dobrze umięśniona, ale jej bardzo chuda twarz wydawała się szeroka i płaska, wykrzywiona gniewnym grymasem.

– No? – zagadnęła. – Głusi jesteście, czy co? Mur westchnął.

Czuł coraz większe rozczarowanie. Odwrócił się do Philas.

– To nie mogą być koloniści.

– W takim razie, kim są ci ludzie?

– A skąd mam wiedzieć? – warknął poirytowany. Posunął się nieco do przodu i rozpostarł ręce, pokazując, że są puste.

– Nazywam się Mur. To jest Philas. Jesteśmy... uchodźcami.

– Postanowił nie wspominać o pozostałych Istotach Ludzkich.

– Straciliśmy cały nasz dobytek podczas Zaburzenia. Usiłujemy dotrzeć do Parz. Znasz to miejsce?

Oczy kobiety zwięziły się. Nic nie odrzekła. Niepewnie uniosła dzidę i znowu skierowała ją w brzuch Mura, zastępując odpowiedź agresją.

– Marnujemy czas – szepnął Mur do Philas. Ona jednak odsunęła się od niego i zaczęła falować w dół, w kierunku obcych, zagarniając Powietrze nieregularnymi, drżącymi ruchami cienkich nóg.

– Macie Złacze – powiedziała.

Mężczyzna – nieco młodszy od kobiety, ale również oblepiony brudem i ponury – dołączył do swojej towarzyszki. On także miał na sobie zniszczony kapelusz o szerokich kresach. Mur doszedł do wniosku, że oboje patrzą na Istoty Ludzkie równie podejrzliwie jak para uwiązanych świń powietrznych.

– Proszę – rzekła Philas. – Przebyliśmy daleką drogę.

Usiłujemy dotrzeć do Bieguna. Czy możemy... – Zaczęła się

257

jąkać, jakby nagle uświadomiła sobie, że to, co mówi, brzmi idiotycznie. – Czy wasze Złacze pomoże nam? – Patrzyła to na jedną, to na drugą osobę. – Rozumiecie, o co pytam?

Mężczyzna otworzył bezzębne usta i ryknął śmiechem, ale kobieta pohamowała go, kładąc rękę na jego ramieniu. Jej głos był nadal surowy, ale nieco złagodniał.

– Tak, rozumiem. I macie rację. To jest Złacze – z dawno minionych dni, jeszcze przed Wojnami Rdzeniowymi. Ale nie możecie z niego skorzystać.

Philas dygotała.

– Zapłacimy – powiedziała bliska szaleństwa. – Musicie... Mur chwycił ją za ramiona i objął mocno, pragnąc, żeby przestała drżeć.

– Daj spokój, Philas. Czy ty nie rozumiesz? Nawet gdybyśmy mogli zapłacić. Złacze już nie działa. Ci ludzie są tak samo bezradni jak my.

Philas gniewnie spojrzała mu w twarz, a potem odwróciła się. Jej ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze.

Mężczyzna i kobieta przyglądali się im z ciekawością.

Mur zwrócił się do nich wyraźnie znużony.

– Może byście odłożyli broń? Przecież widzicie, że nie stanowimy dla was żadnego zagrożenia.

Tamci ostrożnie opuścili włócznie, ale nadal mierzyli nimi w Istoty Ludzkie.

– Naprawdę jesteście uchodźcami z dalej położonej części nadpływu?

– Tak. I rzeczywiście próbujemy dotrzeć do miejsca zwanego Parz, którego nigdy nie widzieliśmy. Wiemy, że znajduje się na Biegunie.

plyw

– Na którym Biegunie? – zagadnęła kobieta. – Na Biegunie Południowym?

Mężczyzna zarechotał.

– Jeżeli wyruszacie z tego miejsca, nie ma to chyba większego znaczenia, prawda?

– Och, zamknij się, Borz – rzekła kobieta. Mur objął Philas ramieniem.

– Czy pozwolicie nam obejrzeć Złącze? – zapytał. Poczutł

258

wstyd, odczytując z twarzy kobiety litość wymieszaną z rozbawieniem.

– Skoro sobie tego życzysz – odparła. – Ale trzymajcie się blisko nas. Rozumiesz? Mamy dość złodziei i żebraków...

– Nie jesteśmy żebrakami – wtrąciła Philas stanowczym tonem.

Oddaliła się od Mura i wyprostowała plecy. – Skoro tak, to ruszajmy.

Borz i kobieta odwrócili się, a następnie ruszyli ku obozowi, rozdzieleni odległością kilku ludzi. Dwie Istoty Ludzkie ostrożnie falowały za nimi, trzymając się za ręce. Niebawem zbliżyli się do artefaktu, którego strzegły dzidy i groźne spojrzenia.

Mur ścisnął dłoń Philas.

– Powinnaś była powiedzieć, że nie jesteśmy złodziejami – szepnął. – Właśnie zastanawiałem się, czy nie spróbować trochę pożebrać...

Zaśmiała się cicho.

– To nic by nie dało – powiedziała. – Ci ludzie nie mają więcej niż my posiadaliśmy... przynajmniej zanim straciliśmy nasz dom. – Pokazała Borza, znajdującego się po ich lewej stronie. – Spójrz na jego kapelusz.

Na skrzydłach kapelusza piętrzyły się fałdy cienkiego materiału, uwiązane sznureczkami przewleczonymi przez dziurki w skórzanym rondzie. Mur wyobraził sobie, że je odwiązuje; być może wtedy wokół głowy mężczyzny opadłby jakiś rodzaj siatki.

– Jest dziwny, ale co z tego?

– Przypomnij sobie opowieści Dury o jej pobycie na farmie sufitowej. Zbiorniki powietrzne, które musiała zakładać, pracując wysoko w górze, w pobliżu Skorupy. Maski...

– Och, zgadza się. – Mur pokiwał głową. – Te kapelusze muszą być częścią zbiorników powietrznych, noszonych przez kulisów.

– Dlatego sądzę, że ci ludzie byli kiedyś kulisami. Może uciekli.

– Ale powinni coś wiedzieć o Parz. Philas zaśmiała się smutno.

Wydawało się, że znowu panuje nad sobą, ale była w ponurym nastroju.

– A zatem ukrywają coś przed nami. No cóż, my też ich okłamaliśmy. Wygląda na to, że taki jest świat.

259

Mur przypatrywał się kapeluszu Borza. Z wyjątkiem auta powietrznego Deni Maxx, był to pierwszy przedmiot choć odrobinę związany z Miastem, jaki zdarzyło mu się oglądać. Fakt, że go rozpoznał na podstawie relacji Dury, czynił jej dziwną opowieść bardziej wiarygodną. Czuł się osobliwie pokrzepiony potwierdzeniem tego drobnego szczegółu; zapewne w skrytości ducha przypuszczał, że Dura może kłamać albo zwariowała.

Kiedy Borz i jego towarzyszka przyprowadzili Istoty Ludzkie do obozowiska, mieszkańcy zwrócili ku nim podejrzliwe, wrogie spojrzenia. Mała kolonia liczyła około czterdziestu osób, w tym mniej więcej piętnastcioro dzieci i niemowląt. Dorośli łatali odzież, naprawiali sieci, ostrzyli noże, odpoczywali w Powietrzu i rozmawiali. Dzieci kręciły się wokół nich niby małe płaszczki, a na ich gołych ciałkach trzaskał gaz elektronowy. Mur pomyślał, że żadne z nich nie różni się niczym od małców w obozowiskach Istot Ludzkich.

plyw

Za krzątającymi się ludźmi majaczył czworościenne twór. Była to szkieletowa konstrukcja, spiczasta i mroczna, nie pasująca do otoczenia.

Borz i kobieta zatrzymali się, podczas gdy Mur i Philas z wahaniem podpłynęli do posępnego czworościanu. Mur przyglądał się artefaktowi. Krawędzie obiektu były długie na dziesięciu ludzi. Stanowiły je pręty nieco grubsze od jego nadgarstka, precyzyjnie wykonane z jakiejś matowej, ciemnej substancji. Cztery trójkątne płaszczyzny wyznaczone przez pręty zamykały wewnątrz nic innego jak tylko zwykłe Powietrze. W geometrycznym środku bryły zawieszono kawałki sieci, żeby odgrodzić stadko przepychających się nawzajem, wygłodzonych świń powietrznych. Do szkieletu konstrukcji przymocowano sznurami prymitywne torby, które, sądząc z ich nieregularnego kształtu, były wypchane żywnością, odzieżą i narzędziami.

Mur ruszył naprzód, ostrożnie wyciągnął rękę i położył dłoń na jednej z krawędzi. Była gładka, twarda i zimna w dotyku. Może miał do czynienia z materia rdzeniową, o której wspominała Dura, wydobywaną z groźnych głębin Podpłaszczka przez mieszkańców Miasta (a teraz również, co wydawało się niewyobrażalne, przez nastoletniego Farra, który dorastał razem z Murem).

260

– Możemy wejść do środka? – zapytała Philas. Kobieta wybuchnęła śmiechem.

– Oczywiście, że możesz. Twój przyjaciel miał rację... Tu nic już nie działa.

– Nie trzymalibyśmy tutaj naszych świń, gdyby w każdej chwili mogły błyskawicznie zostać porwane w kierunku Bieguna Północnego

– mruknął mężczyzna do Mura.

– Rozumiem.

Philas ostrożnie pokonała jeden z boków czworościanu. Mur zauważył, że zadrżała, mijając niewidzialną płaszczyznę wyznaczoną przez pręty. Krążyła w pobliżu świń, a potem odwróciła się w Powietrzu i zaczęła zaglądać do rogów konstrukcji.

Mężczyzna – Borz – chrząknął.

– A co mi tam... – Pogrzebał w jednej z toreb wiszących na szkielecie bryły i wyciągnął kawałek żywności. – Masz.

Mur chwycił go skwapliwie. Było to nieświeże, trochę zalatujące mięso świni powietrznej. Odgryzł duży kęs i wepchnął resztę za pas.

– Dziękuję – wymamrotał z pełnymi ustami. – Widzę, że nie masz zbyt dużo do podziątku. Kobieta zbliżyła się do niego.

– Kiedyś – rzekła powoli – ten szkielet świecił błękitno-białym blaskiem. Jakby tworzyły go linie wirowe. Potrafisz to sobie wyobrazić? To naprawdę było Złącze tunelowe; przechodziło się przez nie i przemierzało Płaszcz w mgnieniu oka. – Przez chwilę wydawało się, że jest smutna – że tęskni za czasami, których nie było jej dane oglądać – ale zaraz ponownie przybrała lekceważącą minę. – Tak przynajmniej powiadają. Jednak potem zaczęły się Wojny Rdzeniowe.

wychowawszy kilkanaście pokoleń Istot Ludzkich, koloniści nagle wycofali się. Według niepełnych przekazów ustnych, ukryli się oni w Rdzeniu, zabierając ze sobą większość cudownej technologii Ur-ludzi i mszcząc wszystko, co byli zmuszeni zostawić.

Istoty Ludzkie zostały opuszczone, pozbawione jakichkolwiek narzędzi z wyjątkiem gołych rąk.

Mur pomyślał, że być może koloniści chcieli, żeby Istoty Ludzkie powymierały. Tak się jednak nie stało. Jeśli opowieści

261

Dury o PArz i zagłębiu były prawdziwe. Istoty Ludzkie zaczęły budować nowe społeczeństwo, korzystając jedynie z własnej pomysłowości i zasobów Gwiazdy. I chociaż ich cywilizacja nie rozciągała się na cały Płaszcz, to z pewnością wytrzymywała

plyw

porównanie ze wspaniałymi czasami starożytnych przodków.

– System transportu oparty na Złączach tunelowych zaczął się załamywać – tłumaczyła kobieta. – Same Złącza przeważnie zabierano do Rdzenia. Jednak niektóre zostawiono, na przykład to tutaj. Ale światło wirowe zamarło. Teraz Złącze jedynie dryfuje w Magpolu.

– Ciekawe, co stało się z ludźmi, którzy korzystali z tuneli Złącz.

– powiedział Mur. – Kiedy system załamał się. Philas wynurzyła się z czworościanu.

– Chodź, Mur – powiedziała znużonym głosem.

Mur podziękował Borzowi za ochłap żywności i skinął głową w stronę kobiety. Uświadomił sobie, że nawet nie zna jej imienia.

Tamtych dwoje prawie nie zareagowało. Na ich twarzach znowu pojawiła się wrogość. Mur zauważył, że ani na chwilę nie wypuścili z rąk włócznie.

Dwie Istoty Ludzkie opuściły małe obozowisko. Jakieś dziecko wyśmiewało się z nich, dopóki nie uciszył go rodzic. Mur i Philas nie oglądali się do tyłu.

Zaczęli falować do góry, ramię w ramię.

Mur patrzył na las skorupowy.

– Zdaje się, że mamy przed sobą cholernie długi powrót – powiedział. – Pokonać taki szmat drogi dla kawałka mięsa...

– Tak – odpowiedziała Philas z furją. – Ale mogliśmy znaleźć skarby. Niewyobrażalne skarby. Musieliśmy tu się zjawić.

– Ciekawe, dlaczego zostają tutaj, blisko Złącza. Myślisz, że ono ich chroni, kiedy nadciąga Zaburzenie?

– Wątpię – odparła Philas. – Przecież mówili, że ten obiekt unosi się swobodnie. To tylko starość, szczątek z przeszłości.

– W takim razie dlaczego tu zostają?

– Z tego samego powodu, dla którego mieszkańcy Parz wybudowali swoje Miasto na Biegunie. – Philas machnęła rękami w kierunku pustego Płaszczooobrazu i łukowato wygiętych linii wirowych.

– Ponieważ dzięki temu ma się w tej pustce stałe miejsce, jakiś

262

punkt zaczepienia, który można nazywać własnym domem. – Otarła oczy wierzchem dłoni. Wydawało się, że już brakuje jej tchu. – To lepsze niż dryfowanie, na które jesteśmy skazani.

Mur uniósł twarz w stronę lasu skorupowego i zaczął mocno falować, nie zważając na coraz większy ból w biodrach, kolanach i kostkach.

19

Dura zadbała o to, żeby Hork zabrał ją, a nie jej brata, na wyprawę do Podpłaszczca.

Adda usiłował wyjaśnić Farrowi sposób rozumowania jego siostry, doprowadzić do porozumienia między rodzeństwem, ale chłopiec był zdruzgotany i snuł się po mieszkaniu w Górze Miasta, które Hork wypożyczył Istotom Ludzkim, jak uwięziona świnia powietrzna.

Stary myśliwy obserwował szarpaninę młodzieńca i rozpamiętywał czasy, gdy Logue był młodym człowiekiem. Wyprawa do Podpłaszczca była pociągająca z wielu powodów: umożliwiłaby Farrowi ochronę Dury, gdyż zająłby jej miejsce, a ponadto dawała szansę przeżycia czegoś ekscytującego. Farr wciąż jeszcze łączył w sobie cechy chłopca i dorosłego mężczyzny.

Ale skoro któraś z trzech Istot Ludzkich musiała wziąć udział w tej niedorzecznej eskapadzie, Dura była najodpowiedniejszym kandydatem. Farr wydawał się zbyt niedojrzały, żeby sprostać ewentualnym wyzwaniom, natomiast Addzie brakowało siły koniecznej w tego rodzaju wyprawie.

Adda po cichu przeklinał samego siebie. Nawet w myślach zaczynał używać wyszukanego języka ludzi z Miasta i ulegał wpływowi ich neutralnego sposobu myślenia. Do Rdzenia z tym. Prawda była taka, że człowieka, który opuściłby się w jakimś rozklekotanym statku do Podpłaszczca, czekała niemał pewna śmierć.

plyw

Przewaga Dury polegała na posiadaniu umiejętności i sił, które nieco zmniejszały tę pewność.

Dlatego, uznając słuszność podjętej przez nią decyzji, Adda nawet nie próbował dyskutować z Farrem i jej usprawiedliwiać.

263

Zamiast tego subtelnie utwierdzał młodzieńca w przekonaniu, że wybór nie mógł być inny. Starcowi chodziło głównie o to, żeby zmniejszyć wściekły niepokój Farra o siostrę, który narastał w miarę, jak zbliżał się dzień startu. Z zadowoleniem przyjął fakt, że podczas krótkiego pobytu w Mieście Farr zdążył się zaprzyjaźnić z Crisem i Poławiaczem Bzyą. Robił wszystko, żeby chłopak podtrzymywał te przyjaźnie.

Kiedy Cris zaofiarował się, że znowu zabierze Farra na sur-fing, ten najpierw odmówił, pochłonięty losem Dury, lecz Adda naciskał na współplemieńca, by skorzystał z zaproszenia. Skończyło się na tym, że na dwa dni przed startem Dury, czteroosobowa grupa – Cris, Farr, Adda i Bzia – ruszyła przez korytarze ku otwartemu Powietrzu. Adda polubił zwalistego, sponiewieranego Poławiacza; domyślał się, że był on dla Farra olbrzymią podporą – być może dzieciak nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo mu pomógł – podczas krótkiego pobytu chłopca w Porcie. Kontrakt brata Dury został unieważniony dzięki kaprysowi Horka V. Młodzieniec nie przejawiał specjalnego współczucia dla olbrzyma, któremu nie udało się wyzwolić ze swojego kontraktu i był skazany na wielkie cuchnące hale i maszyny Portu oraz czeluście Podpłaszcza. Zamiast tego skarżył się, że widuje Bzyę zbyt rzadko. Adda doszedł do wniosku, że Fan – kolejny raz przejawia niedojrzałość.

Starzec nie miał wyrzutów sumienia, korzystając z pomocy Bzyi podczas pokonywania zatłoczonych korytarzy. Gest Poławiacza, który prowadził i obejmował Addę potężnym ramieniem, wydawał się mniej protekcyjny, mniej obraźliwy niż wsparcie każdego innego człowieka z Miasta.

W miarę jak oddalali się od centrum, uliczne korytarze stawały się coraz bardziej odsłonięte, pozbawione drzwi i budynków, a Powietrze zawierało więcej kurzu. Wreszcie dotarli do Skóry. Panował tam niepokojący mrok i pustka. W górze i w dole rozpościerał się kadłub Miasta. Adda oceniał krytycznym okiem jakość jego wykonania. Do grubego szkieletu były przybite wygięte, niezdarnie powycinane płyty z drewna. Starzec odnosił wrażenie, że znajduje się we wnętrzu potężnej maski. Z zewnątrz

264

Miasto wyglądało imponująco, nawet w oczach takiego doświadczonego nadpływowca jak on, ale gdy przebywało się w środku, łatwo było dostrzec, jak prymitywnie zostało zaprojektowane i wykonane. Ten miejski ludek nie był aż tak bardzo zaawansowany technologicznie, pomimo obycia z materią rdzeniową. Ur--ludzie z pewnością śmieliby się z tego drewnianego pudła.

Powoli falowali wzdłuż Skóry, nic nie mówiąc, aż w końcu Cris doprowadził ich do wbudowanych w nią małych drzwi wyposażonych w zamek uruchamiany za pomocą kolistego pokrętła. Syn Toby przy pomocy Bzyi przekreślił opornie działające pokrętło, które zazgrzytało, i w tumanie kurzu popchnął drzwi.

Adda przecisnął się przez wyjście i znalazł w otwartej przestrzeni. Pokonał jeszcze odległość kilku ludzi i zaczął krążyć, z ulgą wdychając świeże Powietrze. Grupa opuściła Parz mniej więcej w połowie prostokątnego cielska Miasta – w środku, jak przypomniał sobie stary myśliwy – i w tym miejscu Skóra, niczym twarz giganta, przysłaniała połowę nieba. W odległości kilkudziesięciu ludzi nad nierówną powierzchnią kadłuba rozciągała się imponująca krzywizna Długości Geograficznej. Na brzegach wstęgi kotwicznej z materii rdzeniowej syczał gaz elektronowy, nie pozwalający zapomnieć o potężnych prądach, które przepływały przez jej nadprzewodnikową

Strona 152

strukturę.

Adda odniósł wrażenie, że jego płuca powiększają się. Dookoła linie wirowe przecinały lśniąca niebo i zanurzały się w szkarłatnofioletowej kałuży – Biegunie poniżej Miasta. Powietrze było tutaj gęste i lepkie – ostatecznie znajdowali się tuż nad Biegunem – ale wewnątrz Parz starzec zawsze miał wrażenie, iż oddycha cudzymi wiatrami.

Dwaj chłopcy przekoziółkowali w Powietrzu, ciągnąc deskę surfingową. Adda z zadowoleniem obserwował Farra. Dzięki kontaktowi ze świeżym Powietrzem młodzieniec odzyskał swój naturalny wigor i rześko falował. Bzya dołączył do wiekowego nadpływowca. Obaj unosili się w Magpolu jak liście.

– Te drzwi ciężko się otwierały – zauważył sucho starzec. Wielkolud kiwnął głową.

– Niewielu mieszkańców Miasta używa wyjść dla pieszych. Pieszy. Jeszcze jedno starożytne, nic nie znaczące słowo. 265

– Większość z nich w ogóle nie opuszcza murów Parz. A ci, którzy to robią – bo muszą, tak jak twój przyjaciel z farmy sufitowej – zabierają auta – dokończył Poławiacz.

– Jak myślisz, czy to jest dobre?

Bzya wzruszył ramionami. Miał na sobie obdarty, niedopasowany kombinezon; pod szorstkim materiałem mięśnie jego ramion przeżyły się niby zwierzęta.

– Ani jedno, ani drugie nie jest dobre. Po prostu tak jest. I zawsze tak było.

– Nie zawsze – mruknął Adda. Spojrzał na niebo zdrowym okiem i zaczął węszyć, usiłując ocenić spinową pogodę. – I nie zawsze tak musi być. Miasto nie jest całkowicie odporne na zmiany, które wywołują te nienaturalne Zaburzenia. Przyznaje to nawet Hork, twój wielki przywódca.

Poławiacz wskazał brodą w kierunku chłopców.

– To miłe, że Farr jest trochę bardziej zadowolony.

– Tak. – Adda uśmiechnął się. – Ciało charakteryzuje się własną mądrością. Kiedy człowiek wywija beczki w Powietrzu, zapomina o gryzących go problemach.

Bzya poklepał się po wydatnym brzuchu.

– Żałuję, że nie udawało mi się nigdy zrobić prawidłowej beczki.

Ale rozumiem, co masz na myśli.

Cris zawiesił deskę w Powietrzu, a Farr poprawił jej ułożenie tak, by podlegała łagodnemu, równo rozłożonemu oporowi Mag-pola. Syn Toby postawił na niej stopy i próbnie zgął nogi. Adda zauważył, że chłopiec napina mięśnie nóg, wywierając nacisk na Magpole. Młody Mixxax rozpostarł ręce i wydawało się, że łaskocze Powietrze palcami, jakby chciał ocenić siłę i kierunek Magpola. Fair popchnął kolegę, cofając się wskutek reakcji o jednego człowieka. Cris spokojnie kołysał się na desce. Sunął przez Powietrze z wdziękiem i z zapierającą dech w piersiach szybkością; wydawało się, że tworzy wraz deską nierozłączną całość.

wykonał kilka powolnych, eleganckich zwrotów, a potem – napierając na deskę i śmigając stopami tak szybko, że kaprawe oko Addy ledwo za nim nadążało – wzbił się i jednym zdecydowanym ruchem zrobił pętlę w Powietrzu. Przeleciał obok ślepej ściany Parz; wokół jego lśniącej deski unosił się gaz elektronowy.

266

Zatrzymał się niedaleko starszych mężczyzn i zeskoczył z wdziękiem z deski. Syn Logue'a jeszcze falował w górze, chcąc dogonić przyjaciela. Wciąż oszołomiony sprawnością Crisa, Ad-da widział różnicę między dwoma chłopcami. Farr dysponował wrodzoną, spotęgowaną przez Biegun siłą, ale w porównaniu z atletyczną gracją latorośli Mixxaxów wydawał się niezdarny, ociężały i pozbawiony dobrej koordynacji ruchów.

plyw

Ale z drugiej strony, młodzieniec z nadpływu nie mógł sobie pozwolić na luksus ciągłego igrania w Powietrzu.

– Dobrze sobie radzisz z tym czymś.

– Dzięki. – Cris spuścił głowę, porośniętą dziwacznie pomalowanymi włosami. Nie sprawiał wrażenia zakłopotanego.

– Słyszałem, że bierzesz udział w Igrzyskach – wtrącił Bzya. Adda zmarszczył brwi.

– W jakich Igrzyskach?

– Odbывают się raz do roku – wyjaśnił Farr z zapałem. – Cris opowiadał mi o nich. O sportach powietrznych – o surfingu, tobogganach, aerobatach, faloboksie. Połowa mieszkańców Miasta udaje się na stadion, żeby je oglądać.

– To brzmi zabawnie.

Bzya szturchnął Addę w żebra ostrym kciukiem.

– To jest zabawa, stary pierniku. Jeśli tu zostaniesz, powinieneś ją obejrzeć.

– To coś więcej niż zabawa – rzekł syn Toby z powagą, grubszym niż zazwyczaj głosem.

Adda przyglądał mu się z zaciekawieniem. Już od dawna uważał, że Cris to dobry chłopiec – nieco ograniczony w zain-teresowaniach, ale oddany Farrowi. Jednak teraz dostrzegł u tego młodego człowieka coś nowego: skupienie, spotęgowane wyrazem jego ciemnych oczodołów.

Bzya powiedział do Addy:

– Igrzyska mogą bardzo zmienić życie takiego młodego, utalentowanego człowieka jak Cris. Chwila sławy... pieniądze, zaproszenia do Pałacu...

– Już trzy lata ubiegam się o udział w zawodach surfingowych – rzekł młody Mixxax. – Przez cały ten czas byłem jednym z pięciu najlepszych w swojej grupie wiekowej. Jednak

267

dopiero w tym roku dopuszczono mnie do startu. – Wyglądał na rozgoryczonego. – Ale i tak nie zostałem rozstawiony, a losowanie nie było dla mnie korzystne.

Adda pamiętał o Farrze, który niepewnie krążył w pobliżu, wymachując obolałymi, stwardniałymi od pracy rękami. Kontrast sprawiał przykrość starcowi.

– No cóż – powiedział, starając się nie okazywać wrogości wobec paplaniny młodzieńca z Miasta. – W takim razie powinieneś poćwiczyć.

Chłopcy oddalili się ponownie. Cris stanął na desce i zaczął śmigać przez Powietrze niczym owad; towarzyszył mu skwierczący gaz elektronowy. Fair falował tuż za nim, wznosząc pełne podniecenia okrzyki.

– Nie bądź surowy dla Crisa – mruknął Bzya. – To typowy chłopak z Miasta. Nie możesz oczekiwać od niego poczucia szerszej perspektywy.

– Te Igrzyska nie mają dla mnie żadnego znaczenia. Bzya obrócił ku Addzie poranioną twarz.

– Ale dla Crisa znaczą bardzo wiele. Dzięki nim ma szansę – być może niepowtarzalną – na życie inne od tego, które mu wyznaczono. Musiałbyś mieć serce z materii rdzeniowej, żeby nie rozumieć chłopca, który usiłuje odmienić swój los.

– I co potem. Poławiaczku? Po kilku chwilach sławy – kiedy ten wspaniały lud przestanie go wykorzystywać jako swoją najnowszą zabawkę? Co wtedy się z nim stanie?

– Jeżeli okaże się inteligentny i wystarczająco dobry, to nie musi się skończyć. Wykorzystując swoje uzdolnienia, może znaleźć sobie odpowiednie miejsce na Górze, zanim będzie zbyt stary na gwiazdę surfingową. A jeśli nawet tak się nie stanie – do diabła, nadpływowcze – to przecież wakacje dla niego. Moment wytchnienia od harówki, która czeka go przez większość życia.

Usłyszeli krzyk nad głowami. Cris wzbił się na desce bardzo

plyw

wysoko i właśnie mknął przez błyszczące Powietrze blisko wstęgi Długości Geograficznej. Gaz elektryczny wirował wokół jego ciała i deski, trzeszcząc i emitując błękitne iskry. Inni młodzi ludzie – najwyraźniej przyjaciele Crisa – wyłaniali się ze szczelin w Skórze jakby znikąd – takie przynajmniej wrażenie

268

odnosił Adda – i ścigali wokół Długości Geograficznej jak młode płaszczyki.

– Nie powinni tego robić – mruknął Bzya. – Ścisłe mówiąc, to jest wbrew prawu. Jeżeli Cris zanadto zbliży się do Długości Geograficznej, gradienty pływowe mogą go rozedrzeć na kawałki.

– Dlaczego więc to robi?

– Żeby nauczyć się panowania nad pływem – wyjaśnił Poławiacz. – Żeby umieć ujarzmić jeszcze gwałtowniejsze gradienty, które napotka, gdy będzie surfował nad Biegunem podczas Igrzysk. Adda prychnął.

– Teraz wiem, jak wybieracie swoich władców – to zależy od tego, czy umieją balansować na kawałku drewna. Nic dziwnego, że w tym Mieście panuje cholerny bałagan.

Śmiech Bzyi odbił się echem po pustych, prymitywnie wykończonych ścianach Miasta.

– Nie przepadasz za nami, co, Adda?

– Niespecjalnie. – Stary myśliwy spojrzął na wielkoluda z wahaniem. – I nie rozumiem, jak ci się udaje zachowywać poczucie humoru, mój przyjacielu.

– Godzę się z tym, co mnie otacza. Mogę kwestionować sposób życia tutaj, ale nie jestem w stanie tego zmienić. W każdym razie Parz nie jest jakimś gigantycznym więzieniem, jak sobie wyobrażasz. To dom dla wielu ludzi – przypomina maszynę, zaprojektowaną po to, by stopniowo ułatwiała życie młodym ludzi takim jak Cris.

– W takim razie ta cholerna maszyna nie działa.

– Czy zamieniłbyś życie i dotychczasowe doświadczenia Farra na życie i doświadczenia Crisa? – zapytał Bzya łagodnie.

– Ale Cris jest tak ograniczony. Igrzyska, jego rodzice... Jak gdyby to Miasto było całym światem, bezpiecznym i trwałym na wieki. Zamiast... – Adda szukał odpowiednich słów. – Zamiast jakiegoś pudła wyciętego ze starego drewna i unoszącego się w bezmiarze...

Bzya dotknął jego ramienia.

– Ale właśnie dlatego tu jesteśmy, staruszkule. Żeby trzymać

269

Farra i Crisa z dala od tego świata – żeby dać im miejsce, które wydaje się bezpieczne i trwałe, tak jak robili to dla ciebie twoi rodzice, kiedy byłeś dzieckiem – dopóki nie staną się wystarczająco dojrzałymi, by spojrzeć prawdzie w oczy. – Zwrócił poranioną twarz w dal i patrzył z lekkim niepokojem na rozbiegające się na Północy linie wirowe. – Ciekawe, jak długo jeszcze będziemy w stanie to osiągać. Cris Mixxax robił pętlę za pętlą wokół potężnej wstęgi z materii rdzeniowej.

Nadszedł dzień startu. Otwarty od spodu, szeroki wylot Portu, tu, w najgłębszej warstwie Dołu, obejmował swymi ścianami trochę czystego, żółtego Powietrza. Kilka osób falowało pod wejściem i spoglądało w górę, w ciemność. Oczekując na zjawienie się Horka i rozpoczęcie procedury startowej, inżynierowie rozmawiali o wszystkim i o niczym. Wszędzie unosił się zapach starego, rozłupywanego drewna.

Dziewczyna z nadpływu uczepliła się relingu w pobliżu krawędzi wjazdu. Stroniła od ludzi; zresztą już pożegnała się ze wszystkimi. Tobą przyrzadził im wspaniałą posiłek w swoim domku, ale przyjęcie upłynęło w przygnębiającej atmosferze. Dura musiała sporo się napracować, żeby przełamać gniewną rezerwę Farra. Dyskretnie poprosiła Addę, żeby trzymał chłopca z dala od miejsca startu. Nie

Strona 155

plyw

chciała się narażać na kolejną emocjonalnie wyczerpującą rundę pożegnań; już i tak mocno się denerwowała. Kuląc się w sobie, pomyślała, że to mogły być przecież ostatnie pożegnania.

Popatrzyła na statek, na zarysy, które tak dobrze poznała podczas wielu tygodni projektowania, budowy i testów. Hork V postanowił nazwać ten niezwykle środek lokomocji „Latającą Świnia”. Dura pomyślała, że ta nieporadna, odrażająca nazwa dobrze oddaje nie-zgrabność i brzydotę pojazdu. Skonstruowano dwa nieudane prototypy, a ostateczna wersja była pękatym cylindrem o średnicy dwóch i wysokości trzech ludzi. W kadłubie z wypolerowanego drewna znajdowały się duże, rzucające się w oczy okna z przezroczystego drewna. Płyty z takiego drewna umieszczono również w górnych

270

i niższych przekrojach cylindra. Cały statek spajało pięć obrczy z wytrzymałej materii rdzeniowej. Przez okna było widać zaprężone, pełne energii świnie powietrzne, których wiatroodrzuty miały zasilać turbinę „Latającej Świni”. Wehikuł zwiisał na grubych linach kołowrotów, które w normalnych warunkach służyły do opuszczania Dzwonów w kierunku Morza Kwantowego.

A zatem tak wyglądał pojazd, który miał zawieźć dwoje ludzi w głąb śmiernicjonych otchłani Podpłaszcz. Dura uznała, że w nieswieżym, gęstym Powietrzu Portu statek wydaje się całkiem mocny, ale wątpiła, czy będzie się czuła równie bezpiecznie, gdy opadną niżej.

Usłyszała jakiś hałas nad głową – trzask zasuwanych włazów. Hork V, Przewodniczący Miasta Parz, ubrany w olśniewający kombinezon, wyłonił się z ciemności w górze. Promieniał radością; jego zarośnięta twarz była uśmiechnięta szeroko. Dura zobaczyła podążających za nim: lekarza Muuba oraz inżyniera, Seciva Tropa. – Dzień dobry, dzień dobry – zawołał Hork do Dury i mocno klepnął ją w łopatkę. – Gotowa do startu? Dziewczyna odwróciła się bez słowa, tłumiąc w sobie swoje żale i lęki.

Seciv Trop opadł i zatrzymał się obok niej. Delikatnie dotknął ramienia kobiety. Liczne kieszenie jego kombinezonu były, jak zwykle, wypchane trudnymi do zidentyfikowania i zapewne nieprzydatnymi przedmiotami.

– Bezpiecznej podróży – powiedział. Dura odwróciła się do niego. Z początku była nieco poirytowana, ale dostrzegła na jego mizernej twarzy autentyczną życzliwość.

– Dzięki – wycedziła. Skinął głową.

– Rozumiem, co czujesz. Dziwi cię to? Stary, zgrzybiały Seciv, który nie zrobiłby niczego bez swoich ryłców i stołów. Niemniej jednak, jestem człowiekiem. Boisz się podróży, która cię czeka...

– Właściwiej byłoby powiedzieć, że jestem nią przerażona. Skrzywił się.

– To przynajmniej jesteś zdrowa na umyśle. Już zaczynasz tęsknić za rodziną i przyjaciółmi. I zapewne uważasz, że nie uda ci się wrócić.

271

Poczuła odrobinę wdzięczności dla Seciva. Po raz pierwszy ktoś odważył się powiedzieć głośno to, czego bała się najbardziej.

– Szczerze mówiąc, tak.

– Ale mimo to wybierasz się w tę podróż. – Uśmiechnął się. – Przekładasz bezpieczeństwo świata nad swoje własne.

– Nie – warknęła. – Liczy się dla mnie przede wszystkim bezpieczeństwo mojego brata.

– To więcej niż można by było sobie życzyć. Tak jak Dura podejrzewała, mieszkańcy Miasta nalegali, aby w wyprawie wzięła udział jedna z Istot Ludzkich. Adda nie wchodził w rachubę ze

plyw

względu na podeszły wiek i odniesione obrażenia. Wykluczenie Farra – które sprawiło mu znaczny zawód – nie było już takie oczywiste. Wprawdzie pamiętano, że jest zbyt młody, ale brano też pod uwagę fakt, że pracował przez krótki czas jako Poławiacz. Jego siostra musiała nieźle się namęczyć, żeby rozstrzygnąć dyskusję na swoją korzyść.

Wybór drugiego członka załogi był niespodzianką. Został nim Hork, Przewodniczący Parz. Właśnie zaczął się kręcić po hali i podawać rękę inżynierom. Dura ponuro obserwowała jego zachowanie. Musiał odczuwać ten sam strach co ona i – przynajmniej przez kilka ostatnich miesięcy – ogromną presję otoczenia, a jednak wydawał się odprężony i całkowicie panował nad sytuacją. Władza była dla niego czymś naturalnym. W porównaniu z nim czuła się mała i słaba.

– Trzyma fason – zauważyła kwaśno. Seciv dotknął kącika warg.

– Może. Albo przeważa u niego strach przed rezygnacją z tej wyprawy, przed pozostaniem tutaj. Wiesz, Hork ogromnie ryzykuje, decydując się na tę podróż.

Dura zdawała sobie sprawę, jak karkołomny jest ten pomysł. I to i Tobą wyjaśnili jej co nieco. Znała się więc na polityce Parz wystarczająco dobrze, by choć trochę rozumieć położenie Horka. Bez względu na to, jak nieracjonalne były oczekiwania mieszkańców Parz, uważali oni, że Przewodniczący powinien rozwiązać ich problemy – zlikwidować racjonowanie żywności, przywrócić dostawy drewna i doprowadzić do normalnego funkcjonowania Miasta. I pootwierać sklepy, do licha. Ponieważ nie udało mu się tego

272

dokonać (ale niby jak miał to zrobić?), jego pozycja była zagrożona. Na Dworze i w łonie Komitetu istniały liczne frakcje, które atakowały władzę w mniej lub bardziej zawaolowany sposób.

Podejmując się niedorzecznej wyprawy do Podpłaszczu, Hork stawiał wszystko na jedną szalę. Wszystko albo nic. W razie sukcesu Przewodniczący powróciłby w glorii zbawcy Miasta i wszystkich ludzi w Płaszczu. Gdyby jednak nie udało mu się... Durze przyszła do głowy kłopotliwa myśl, że dla władcy lepsza byłaby szybka, chwalebna śmierć w głębinach Podpłaszczu, niż śmierć z rąk zabójcy tu, w jasno oświetlonych korytarzach Parz.

Członkowie załogi musieli przepychać się do kabiny pojazdu przez właz, zamykany pokrywą na zawiasach i umieszczony w górnej części cylindra. Hosch, były zarządca Portu, sprawdzał podstawowe systemy statku. Dura patrzyła, jak jego chude, zgarbione ramiona wyłaniają się z luku. Zgodnie z przewidywaniami Muuba, sprawnie kierował budową nowego wehikułu, pomimo iż był zgorzkniałym człowiekiem. Potrafił korzystać z błyskotliwych ekspertyz ludzi w rodzaju Seciva Tropa i łączył je z praktycznymi umiejętnościami inżynierów Portu.

Hosch zerknął w górę i przekonał się, że Dura i Hork są gotowi.

– Już czas – oznajmił.

Dura poczuła, że robi jej się słabo. Jakby we śnie, obserwowała swoje ręce i nogi, sunąc w kierunku statku.

Z trudem wgramoliła się do środka. Musiała precyzyjnie się między uwiązany, próbującymi zrzucić uprząż świniami powietrznymi i błyszczącą turbiną. Rozpoczęcie podróży przyjmowała z ulgą, której towarzyszył jednak ogromny, straszliwy lęk.

Pożegnawszy się z inżynierami, Muubem, Secivem i resztą, Hork uściśnął wychudzoną rękę Hoscha i wszedł do kabiny, przepychając swoją lśniącą postać przez otwór włazu. Nie zwracał uwagi na to, że pobrudził sobie kombinezon, ocierając się o świnię. Zamknął za sobą właz i sprawdził jego szczelność.

Przez chwilę Hork i Dura krążyli blisko włazu. Po raz pierwszy przebywali w tym wnętrzu sami. Spojrzeli sobie w oczy. Dziewczyna pomyślała, że teraz są ze sobą związani na dobre i złe. Zauważyła, że

Przewodniczący również uświadamia sobie powo-
273

li ten fakt. Jednakże nie zdradzał lęku; z jego twarzy wyczytała pogodny nastrój, a nawet entuzjazm. Na krew Xeelee, stwierdziła w myślach. Jemu to się podoba. Bez słowa zeszli w głąb statku. Skrępowane świnie znajdowały się w pobliżu górnej części cylindra. Dura wgramoliła się do luźnej upręży umieszczonej blisko zwierząt. Wnętrze pojazdu obłożone było zbiornikami Powietrza, zapasami żywności, szafkami ze sprzętem. W jednym z kątów umieszczono prymitywną latrynę. Wiatraki chłodziły kabinę, głośno szumiąc, a drewniane lampy, przytwierdzone do ścian, promieniowały przytłumionym zielonym światłem. W niżej położonej części kabiny Hork usiadł na fotelu pilota przed jednym z szerszych okien. Nieskomplikowana tablica rozdzielcza, którą miał obsługiwać, była wyposażona w trzy dźwignie i szereg przełączników. Przewodniczący zakasał rękawy. Na jego twarzy malowała się rozkosz.

Ktoś uderzył w kadłub od zewnątrz. Hork radośnie odpowiedział tym samym, śmiejąc się od ucha do ucha.

– A więc zaczyna się! – oznajmił, wstrzymując oddech. Wehikuł gwałtownie ruszył. Dura usłyszała stłumiony okrzyk inżynierów w Porcie oraz skrzypienie kołowrotów, z których zaczęto opuszczać liny.

Po kilku sekundach statek wyłonił się z Portu. Jego wnętrze omiótł złocisty blask polarnego światła Powietrza, sprawiając, że dziewczynę ogarnęło nieprzyjemne, klaustrofobiczne uczucie. Oddalaniu się pojazdu od Miasta towarzyszyły sylwetki falujących ludzi, wśród których były także dzieci.

Hork śmiał się. Dura popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Och, daj spokój – powiedział mężczyzna żywo. – Ruszyliśmy! Czyż to nie jest fantastyczna przygoda? I jakaż to ulga robić coś, wybierając się dokąds. Co ty na to, Dura?

Dziewczyna pociągnęła nosem. Jej zgorzkniała mina nie miała nic wspólnego z entuzjazmem.

– Ano, zmierzam do piekła w brzuchu drewnianej świnii. I jakoś nie znajduję powodów, żeby się cieszyć. Z całym szacunkiem, Hork. A poza tym czeka nas sporo roboty.

274

Zerknąwszy na jego stwardniałe rysy, przez chwilę czuła się niepewnie. Już kilkakrotnie zdarzało jej się być świadkiem napadów gniewu Horka. Jednak tym razem Przewodniczący znowu wybuchnął donośnym śmiechem. Jego hałaśliwa, wylewna osobowość przytłaczała Durę. Czuła, że w tej ciasnej kabinie zaczyna się kurczyć, uciekać w głąb siebie samej.

– Zgadza się, kapitanie! – oznajmił Hork. – I chyba już pora, żebyś zaczęła karmić świnie, prawda?

Miała rację. Odwróciła się i przystąpiła do pracy. Statek powinien zostać odcięty od liny Portu dopiero po jakimś czasie, ale musieli upewnić się, że wewnętrzna turbina i pola magnetyczne funkcjonują prawidłowo. Uprząż zwierząt została przewieszona w poprzek kadłuba w taki sposób, że świńskie zadki były zwrócone ku szerokim łopatom turbiny. Koryto z chropowatego drewna zostało umieszczone w odległości około mikrona od nieregularnych, sześciookich pysków świń.

Dura wyjęła z szafki torbę z liśćmi i pokruszywszy je, napełniła nimi koryto. Po chwili kabinę przenikał rozkoszny aromat. Dura zdawała sobie sprawę, że Hork pochyla się nad konsolą, starając się odciąć od wszelkich zapachów. Jeśli chodziło o nią samą – no cóż, mogła tylko czuć smak protonów skapujących na jej język.

Świnie nie wytrzymały. Nerwowo wytrzeszczały sześciokątne

plyw

szeregi oczu i rozdziawiały pyski. Gniewnie pochrząkiwały, napierając na niewzruszoną uprząż, szarpały się w kierunku karmy, a jednocześnie puszczały wiatroodrzućty, które powoli wypełniały ciasne wnętrze wehikułu.

Pod wpływem stałego ciśnienia wywieranego przez strumień wiatroodrzućtów szerokie łopatki turbiny zaczęły się obracać. Wkrótce słodkawa, piźmowa woń zwierząt przeniknęła Powietrze kabiny. Dura zamknęła oczy i przypominała sobie zapachy z dzieciństwa, zapachy Sieci z jej odgrodzonym stadem świń. Rozdzieliła kilka porcji liści, tak żeby mogły jej dosięgnąć rozdziawione pyski. Zwierzęta miały dostawać tylko minimalne ilości karmy, aby ciągle odczuwały lekki głód.

Anatomia zdrowej świni powietrznej umożliwia jej wytwarzanie wiatroodrzućtów przez wiele dni przy minimalnych racjach żywnościowych. Stworzenia te potrafiły pokonywać całe metry,

275

rozkładając w miarę potrzeby część zbędnej masy swego ciała, by zasilić swój organiczny system napędowy. Piątka świń była wprawdzie przerażona i przygnębiona warunkami, w jakich musiała przebywać, ale mogła bez trudu napędzać turbinę tak długo, jak sobie życzyli ludzie. Poza tym istniał system wspomagający

– piec opalany reakcjami jądrowymi drewna – którego można było użyć w ostateczności, ryzykując przegrzanie kabiny.

Hork mruknął coś do siebie i na próbę przekreślił przełączniki. Statek gwałtownie zadygotał. Mężczyzna wyjrzał przez okno, próbując ocenić efekt przepływu prądów przez obwód nadprzewodnikowe.

Nagle w oknie naprzeciwko Dury pojawiła się twarz Farra, poważna i niewzruszona. Uświadomiła sobie, że chłopiec falował bardzo intensywnie – wszak pojazd opadał bardzo szybko. Wkrótce ani jej brat, ani inni falujący ludzie nie będą w stanie za nim nadążyć. Najwyraźniej Farrowi udało się niepostrzeżenie wymknąć spod opieki Addy. Chciał się pożegnać. Dura zmusiła się do uśmiechu i pomachała do brata.

Coś uderzyło w kadłub „Latającej Świni”. Stateczek zadrzał w Powietrzu, a potem znowu opadał bez wstrząsów.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Co to było?

Hork spokojnie zerknął w górę.

– Odcięto linę Portu. Zgodnie z planem. – Wyjrzał przez okno.

Patrzył na mroczne cienie obwód nadprzewodnikowych.

– Teraz opadamy dzięki własnemu napędowi. Prądy w tych obwładach sprawiają, że falując, zanurzamy się coraz głębiej w Gwiazdę. I tylko dzięki obwód będziemy mogli wrócić do domu...

Jesteśmy sami – dorzucił. – Ale przynajmniej ruszyliśmy w drogę.

20

Trzy metry głębokości. Taka głębokość nie mieściła się Durze w głowie. Ludzie

276

w Płaszczu mogli żyć tylko w osłonie nadciężłego Powietrza o grubości załedwie kilku metrów. Podczas pierwszej wyprawy z Tobą do Bieguna z nadpływu – tak dalekiej, że Dura miała wrażenie, iż podróżuje po krzywiznie samej Gwiazdy – pokonali najwyżej trzydzieści metrów.

A teraz wwiercała się całe metry w gład bezlitosnej masy Gwiazdy. Wyobrażała sobie, jak Gwiazda miażdży drewnianą łódeczkę i wypłuwa ich niby pasożytnicze robactwo. I niewiele pocieszała ją myśl, że podróż zostanie przerwana przed osiągnięciem tej niszczącej głębokości tylko pod warunkiem, iż osiągną swój cel... iż jakiś niewyobraźalny twór wyłoni się z Rdzenia i wyjdzie im na powitanie.

Pod koniec drugiego dnia znajdowali się już poniżej mgławicowej

plyw

granicy warstwy Powietrza nadającej się do życia. Jaskrawa żółć Powietrza za oknami zanikała; przybierała kolejno odcień bursztynu, ciemnego oranżu i wreszcie krwistego fioletu, który nasuwał skojarzenie z Morzem Kwantowym.

Dura przycisnęła twarz do chłodnego, przezroczystego drewna w nadziei, że coś zobaczy: egzotyczne zwierzęta, nieznanne plemienia małego ucłowieczonych ludzi, jakąś konstrukcję wewnątrz Gwiazdy – cokolwiek. W zielonym świetle drewnianych lamp dostrzegała jednak tylko błotnisty fiolet gęstniejącego Powietrza i swoje własne, zniekształcone, niewyraźne odbicie. Była uwięziona – ze swoimi lękami oraz z Horkiem. Jeszcze przed wyprawą przewidywała, że w tym malutkim drewnianym pudełku, żłobiącym sobie drogę ku potężnym wnętrznościom Gwiazdy, będzie się źle czuła, lecz teraz gęsta ciemność za oknem przyprawiała ją o klaustrofobię. Zamknęła się w sobie. Opiekowała się niespokojnymi świniami, starała się spać tak często, jak to było możliwe, i unikała spojrzeń Horka. Trzeciego dnia szef Komitetu usiłował z nią porozmawiać. Uznała to za narzucanie się.

– Jesteś zamyślona – zauważył obraźliwie pogodnym tonem. – Mam nadzieję, że ta przygoda nie wywołuje u ciebie żadnych – hm – filozoficznych problemów.

Opuścił fotel pilota i wzbился w górę, bliżej jej stanowiska przy zaprzęgu świń. Popatrzyła na jego szeroką, otyłą twarz

277

i obfitą brodę. Kiedy zobaczyła Horka po raz pierwszy, była zafascynowana i zaniepokojona – niewątpliwie zgodnie z intencjami władcy – właśnie brodą, widokiem mężczyzny z zarostem na twarzy. Teraz jednak, przyglądając się uważniej, stwierdziła, iż korzenie rurek włosowych brody tworzą regularny, sześciokątny wzór na podbródku Przewodniczącego. A zatem broda została wszczepiona. Posłużono się albo włosami samego Horka, albo któregoś z jego pechowych poddanych.

Doszła do wniosku, że broda nie robi już na niej wrażenia i jest co najwyżej oznaką dekadencji jej właściciela. W dodatku żółkła szybciej niż rurki włosowe na jego czaszce. Jeszcze kilka lat i Hork będzie wyglądał naprawdę idiotycznie.

Jakiż on był zwalisty, jaki natarczywy, jaki irytujący. Miała wrażenie, że panujące między nimi napięcie trzaskało jak gaz elektronowy.

– Filozoficzne problemy? Nie jestem przesądna.

– Wcale tego nie sugerowałem.

– Nie mamy religijnego stosunku do Xeelee. Nie obawiam się, że tą wycieczką sprowadzimy na siebie gniew Xeelee, jeśli to masz na myśli. Ale Istoty Ludzkie same nigdy nie odważyłyby się urządzić wyprawy do Gwiazdy.

– Ponieważ Xeelee będą się wami opiekować jak niebiańska mamusia.

Dura westchnęła.

– Wcale nie. W gruncie rzeczy, jest dokładnie na odwrót...

Musimy akceptować poczynania Xeelee bez zastrzeżeń, gdyż wierzymy, że ich cele okażą się w dalekiej perspektywie korzystne dla nas wszystkich, dla całej ludzkiej rasy. Nawet jeśli to oznacza zniszczenie Gwiazdy – nawet jeśli w grę będzie wchodzić zagłada nas wszystkich.

Hork pokręcił głową.

– Wy, nadpływowcy, lubicie żartować. No cóż, trochę smutna jest ta wasza wiara. I nie daje zbyt wielkiej pociechy.

– Nic nie rozumiesz – odparła Dura. – Ona wcale nie ma przynosić pociechy. Moja pociecha jest tam, w górze – powiedziała, unosząc gwałtownie kciuk. – Moja rodzina i plemię.

Hork patrzył na nią. Miał grube, prymitywne rysy, ale –

278

plyw

musiała niechętnie przyznać – pod warstwami tłuszczu kryła się odrobina wrażliwości i inteligencji.

– Boisz się śmierci, Dura, pomimo swojej wiedzy. Dziewczyna roześmiała i zamknęła oczy.

– Przecież mówiłam ci, że wiedza nie musi przynosić pociechy.

Nie mam powodu, żeby nie lękać się śmierci... i teraz rzeczywiście się jej boję.

Hork oddychał głęboko.

– Wobec tego uwierz we mnie. Przeżyjemy. Czuję to. Wiem, że tak będzie.

Przysunął się tak blisko, że poczuła w jego oddechu aromat słodkiego chleba. Na twarzy mężczyzny malowała się stanowczość i determinacja. Przez chwilę Dura miała ochotę pławić się w tym zdecydowaniu, napawać jego ogromną siłą, jakby Hork był jej odrodzonym ojcem.

Jednakże oparła się pokusie.

– A więc ty nie lękasz się śmierci? – zagadnęła oschle. – Czy twoja władza w Parz pomoże d zapobiec ostatecznej katastrofie?

– Oczywiście, że nie – odparł. – I uczucie strachu wcale nie jest mi obce. Dziwi cię to, prawda? Nie jestem głupcem, który nie boi się, bo nie ma ani krztyny wyobraźni, nadpływowcze. Nie mam też w sobie aż tyle arogancji, by uważać, że śmierć mnie nie dotyczy. Wiem, iż w ostatecznym rozrachunku jestem słaby jak każdy człowiek w obliczu wielkiej mocy Gwiazdy, że już nie wspomnę o nieznanym, które znajduje się poza nią. Ale teraz odczuwam... – Pomachał ręką.

– Odczuwam radość. Już nie ograniczam się do oczekiwania na następne Zaburzenie albo do usuwania zniszczeń w Parz po poprzednim. Próbuję zmienić świat, rzucić wyzwanie obecnemu stanowi rzeczy. – Jego oczodoły przypominały ciemne studnie. – I nie mógłbym pozwolić na to, żeby ktokolwiek penetrował mroczne serce Gwiazdy bez mojego udziału. – Popatrzył na Durę. – Czy potrafisz to zrozumieć?

– Niektórzy mówią, że uciekasz od rzeczywistych problemów.

Że okazałbyś prawdziwą odwagę, zostając w Parz i zmagając się z kataklizmem, zamiast uciekać i marnować środki na efektowną, ale bezużyteczną wyprawę.

Kiwnął głową, uśmiechając się ponuro.

279

– Wiem. Jednym z tych ludzi jest Muub. Och, nie martw się. Nic na to nie poradzę. To tylko jeden z punktów widzenia. Nawet mnie zdarza się tak myśleć, gdy przeżywam złe chwile. – Wyszczrzył zęby. – Ale mam nadzieję, że ojciec byłby ze mnie dumny, gdyby teraz obserwował moje poczynania. Zawsze uważał, że jestem taki... praktyczny. Taki pozbawiony wyobraźni. A mimo to...

Usłyszeli jakiś łomot dochodzący z kadłuba „Latającej Świni”. Mały statek zadygotał. Świnie kwiczały, miotając się w swojej uprzęży. Dura i Hork odruchowo padli sobie w ramiona.

Wehikuł powrócił do stabilnego lotu. Dura czuła na brzuchu i piersiach ciężar wydatnego brzucha Horka, którego tłuste fałdy skrywał połyskujący materiał.

– Co to było?

Małe, regularne rzędy włosów na obrzeżach brody Przewodniczącego unosiły się, kiedy oddychał.

– Bergi materii rdzeniowej – odparł z napięciem w głosie. – Ot i wszystko. Bergi materii rdzeniowej. Gdyby któreś z nas dwojga było Poławiaczem, nie balibyśmy się ich. Właśnie dlatego wysyła się tu przede wszystkim Poławiaczy. „Świnia” została zaprojektowana z myślą o takich małych wstrząsach, toteż nie mamy powodu do obaw.

Nadał oplatał Durę ramionami, a ona odwzajemniała uścisk, dotykając fałd szaty na jego plecach. Kiedy wyciągnął rękę, żeby pogłaskać jej włosy, nagle zapragnęła pograżyć się w tym masywnym, silnym ciele, ukryć w ciepłym mroku jego potężnych oczodołów.

Wymacała guziki na szacie mężczyzny, przyszyte do bocznego

plyw

szwu. W tym samym momencie poczuła, jak po jej kombinezonie wędrują jego grube, niezdarne palce.

W ostatnim przebłytku zdrowego rozsądku zerknęła na twarz Przewodniczącego. Rozchylone usta i połyskujące, rozszerzone nozdrza sugerowały, że władca Parz pożąda jej równie silnie jak ona jego.

Szata Horka rozsunała się. Dura zdarła z piersi i brzucha mężczyzny warstwę grubego kosztownego materiału. Jej lewa ręka powędrowała w dół ciała Przewodniczącego, do schowka.

280

Dziewczyna zręcznie wyciągnęła jego małego członka, objęła go palcami i delikatnie ścisnęła. Od razu napęczniał i rozepchnął się w jej dłoni niczym małe zwierzątko. Hork rozpiął jej kombinezon. Dura niecierpliwie wymachiwała nogami, zrzucając garderobę, która w chwilę później unosiła się w Powietrzu. Sucha, ciepła ręka towarzysza podróży przesunęła się po jej udzie i wśliznęła między nogi. Delikatnie rozchyliła uda, a on dotykał jej krocza tak ochoczo i niezdarne, jakby był dorastającym młodzieńcem. Poczuła chłód w sobie i wiedziała, że jest gotowa, że błony w jej wnętrzu już przesiakają nawilżającym Powietrzem.

Chwyliła rytmicznie pulsujący penis i wepchnęła głęboko w siebie. Wszedł w nią bez trudu. Mężczyzna westchnął i wtulił twarz w jej ramię, ona zaś złożyła policzek na jego włosach. Odnosiła wrażenie, iż jego penis zachowuje się w niej jak rozgrzane, bijące serce. Czuli na swoich nogach dotyk ciepłych, szorstkich, wciąż jeszcze odzianych nóg Horka. Zaczęła rozchylić uda na boki, tam i z powrotem, pozwalając, aby ta czynność stymulowała ścianki mięśni w jej wnętrzu.

Wreszcie poczuła, że ścisną ją naprawdę mocno, a jej mięśnie intensywnie pulsują. Zadygotała i usłyszała westchnienie Przewodniczącego. Unosili się w Powietrzu. Napierał na nią zwalistym ciałem i przez kilka sekund starali się osiągnąć podobny rytm. Po chwili ich ciała znalazły wspólne tempo i Dura przeżywała rozkosz, czując, jak ścianki jej pochwy pulsują zgodnie z ruchami Horka. Jego szczytowanie nastąpiło szybko i poprzedziło orgazm dziewczyny zaledwie o kilka uderzeń serca. Krzyknęli i zadygotali spleceni w uścisku. Mięśnie pleców mężczyzny drgały w zetknięciu z palcami partnerki.

Hork osunął się na Dure. Przytrzymała go i przeczesywała mu włosy, nie chcąc tracić kontaktu z ciepłym, masywnym ciałem mężczyzny. Wciąż czuła w sobie jego rozgrzany, mały penis. Chwila bliskości przedłużała się. Jakże dziwna wydałaby się jej ta zażyłość – w śmiertelnie niebezpiecznych otchłaniach Gwiazdy, z władcą zdumiewającego Miasta – gdyby umiała wyobrazić sobie taką sytuację w dniach przed swoim pierwszym opuszczeniem nadpływu.

Nie wiadomo dlaczego przypomniała jej się Deni Maxx,

281

energiczna lekarka ze szpitala Muuba. Zapewne Deni powiedziałyby:

„Ależ wasze spółkowanie wydałoby się znacznie dziwniejsze obserwowającemu was Ur-człowiekowi. Sądzymy, że ich mechanizm seksualny opierał się – w przeciwieństwie do naszego – nie na kompresji, lecz na ruchach frykcyjnych. Oczywiście w naszym przypadku byłoby to niemożliwe, gdyż jesteśmy zanurzeni w nadcieczy, dlatego kiedy nas zaprojektowali...”

Powoli znikała intymna atmosfera. Do świadomości Dury przenikały dźwięki z pokładu statku – sapanie jedzących świń powietrznych, cichy warkot osi turbiny, powolny syk drewnianych lamp. Przestała odczuwać jedność z Horkiem. Uprzytomniła sobie, że dzieła ich fałdy odzieży zaplątanej niewygodnie między nimi, a plecy zeszywniały jej na skutek ciągłego nachylania się ponad brzuchem mężczyzny.

Delikatnie odepchnęła Przewodniczącego. Jego penis wysunął się

z niej z cichym, ciepłym szumem.

Hork spojrział jej w oczy, uśmiechnął się – odnotowała z zaskoczeniem, że wyglądał tak, jakby przed chwilą płakał – i wepchnął penisa do schowka. Następnie wciągnął kombinezon na swój pokazywany brzuch. Dura również zaczęła się ubierać.

– Dlaczego to zrobiliśmy? – zapytała po dłuższej chwili. Oddalił się od niej i usiadł na małym fotelu przy tablicy rozdzielczej. Zauważyła, że jego lśniący kombinezon pogniótł się i źle leżał mu na ramionach, wyglądając mniej elegancko.

– Ze strachu – odparł lakonicznie. Odzyskał panowanie nad sobą, ale już nie silił się na drażniący, agresywny styl bycia. Atmosfera między nimi uległa zmianie; znikło napięcie, które panowało na pokładzie statku przez pierwsze dni wyprawy. – Ze strachu. To oczywiste. Potrzebowałem... pociechy. Pragnąłem się zatracić. Nie wiem, czy to wystarczający powód. Przepraszam.

– Nie przepraszaj. – Roztargniona, wyciągnęła ręce do góry i wsypała trochę liści do koryta. – Ja również tego chciałam. Przesunął ręce po nieskomplikowanych przyrządach sterowniczych.

– Wiesz, ja mówiłem poważnie. Naprawdę wolę być tutaj i kierować tym statkiem, niż być gdzie indziej w przestrzeni Gwiazdy. W Parz codziennie muszę się zmagać z kłopotami...

282

Przez chwilę wyobrażała sobie, co musi czuć władca, który ma na głowie nie tylko własne sprawy i rodzinę, ale także dobrobyt tysięcy poddanych. Obserwując wyraz jego twarzy, przypomniała sobie ślady łez, które chyba dostrzegła wcześniej. Przez chwilę wydawało jej się, że rozumie Horka.

– Wiesz, żadne rozwiązanie nie skutkują – powiedział. – W tym cały kłopot. A jeśli udaje się coś załatwić, przychodzi następny, jeszcze gorszy dzień. Przynajmniej tutaj... – Chwycił dźwignie. – Przynajmniej tutaj coś robię. Dokądś zmierzam!

– Tak, ale co robisz? I dokąd zmierzasz? Spojrział na nią.

– Wiesz, że na te pytania nie ma odpowiedzi. Szukamy pomocy tego czegoś, co już raz wynurzyło się z Rdzenia, żeby nas zniszczyć.

– A jak mamy odnaleźć to coś?

– Och, mówisz takim tonem, jakbyś była członkiem Podkomisji Finansów – powiedział ironicznie. – Możemy jedynie dotrzeć do miejsca, w którym o n i nas znajdują... kimkolwiek są. Nagle ogarnęła ją niechęć do Przewodniczącego. Było jej gorąco; czuła się jakaś... brudna, a ściany ciasnej kabiny zamykały się ponownie wokół niej. Uświadomiła sobie, że nawet się nie pocałowali. Nawet nie lubiła tego mężczyzny.

– A więc jesteś szczęśliwy, że w ogóle dokądś zmierzasz.

Nieważne gdzie. Czy tak naprawdę chodzi tylko o to, żebyś sobie odpoczął od swoich strasznych obowiązków? Skoro tak, to czy musiałeś mnie ciągnąć ze sobą do tej otchłani?

Przez chwilę wydawał się urażony i lekko otworzył usta, jakby zamierzał protestować. Zaraz jednak uśmiechnął się i znowu przybrał obronną pozycję.

– Spokojnie. Przestańmy sobie dogadywać. Chyba nie powinniśmy się kłócić, kiedy nasz gospodarz z Rdzenia przybędzie nas powitać, prawda?

– Chyba nie uda mi się wytrzymać tak długo – odparła z pogardą i odwróciła się do świń, żeby je głaskać i upokajać.

Od strony kadłuba znowu dobiegł jakiś łomot, jakby coś ocierało się o statek. Tym razem nie był tak głośny jak poprzednio, niemniej jednak Dura zadrżała. Szeptowała uspokajające słowa

283

do przestraszonych świń, a jednocześnie zastanawiała się, czy miała rację – czy rzeczywiście dotarcie do celu zajmie tak dużo czasu. Gaz elektronowy wydawał głośne trzaski wokół obręczy nad-

plyw

przewodnikowych. Drewniany stateczek posuwał się centymetr po centymetrze w kierunku gęstniejącej czeluści gwiazdy neutronowej. Bzya miał pracować na podwójnych zmianach wewnątrz Dzwonów. Nie wiedział, kiedy będzie miał trochę wolnego czasu, żeby się wyrwać z Portu, toteż zaprosił Addę i Farra, żeby pożegnali się z nim w miejscu, które nazywał „barem”.

Adda odszukał bar nie bez trudu. Było to małe, ciasne pomieszczenie w głębi Dołu. Jedyne światło dawały drewniane lampy na ścianach. W zielonkawym półmroku starzec uświadomił sobie, na jak dużą głębokość w cielsku Miasta się zapuścił.

W rogu baru, przy ladzie dwoje ludzi podawało jakąś potrawę. Pomieszczenie przecinały chaotycznie liczne poręcze, przy których tłoczyły się małe grupy mężczyzn i kobiet. Goście powoli opróżniali miski z czymś, co wyglądało jak chleb, i rozmawiali na różne tematy. Adda zauważył tuniki robotników, ciała naznaczone bliznami, zgrubiałe, powykęcane kończyny. Kilka osób taksowało nadpływowca wzrokiem.

Bzya był sam przy poręczy, pod przeciwległą ścianą. Zobaczył Addę i uniósł rękę, przywołując go. Do poręczy były przymocowane trzy małe miski.

Stary myśliwy ruszył naprzód, czując się niepewnie w bandażach. Niezdarnie sunął przez tłum. Do jego uszu cały czas dobiegały strzępy rozmów.

– Adda. – Olbrzymi Poławiacz uśmiechnął się, wykrzywiając już i tak zniekształconą twarz. Chwycił starego nadpływowca i przyfalował z nim do wolnego miejsca. Starzec uczeplił się jedną ręką poręczy, żeby przybrać wygodną pozycję. – Dzięki, że przyszedłeś.

– Bzya zerknął na drzwi za Adda, a potem odwrócił się do swoich misek.

Nadpływowiec zauważył jego spojrzenie.

– Nie ma Farra – powiedział przygnębionym głosem. –

Przepraszam, Bzya. Nie byłem w stanie go odnaleźć.

284

Wielkolud pokiwał głową.

– Przypuszczam, że znowu surfuje.

– Wiem, że dużo dla niego robisz, kiedy pracował w Porcie.

Powinien był...

Bzya uniósł wielką dłoń.

– Daj spokój. Gdybym był w jego wieku, też wolałbym szaleć po niebie z surferami, zamiast siedzieć w takiej ciasnej dziurze jak ta z dwoma sponiewieranymi starymi piernikami. A ponieważ za parę dni zaczną się Igrzyska, ci chłopcy myślą tylko o jednej... no, może o dwóch rzeczach – powiedział chytrze. Skinął głową w kierunku trzech misek na poręczy. – W każdym razie to oznacza, że mamy więcej dla siebie.

Adda popatrzył na szereg drewnianych naczyń. Były prymitywnie wykonane i niewiele większe od jego złożonej dłoni. Przyczepiono je do poręczy za pomocą drewnianych czopów. W miskach leżały kawałki czegoś, co przypominało chleb. Stary myśliwy ostrożnie wyjął jedną okrągłą kromkę. Była zbita, ciepła i wilgotna. Obrócił ją w palcach, oglądając z powątpiewaniem.

– Co to takiego, u licha?

Bzya roześmiał się, najwyraźniej zadowolony z siebie.

– Nawet nie podejrzewałbym, że słyszałeś o czymś takim. W nadpływie nie ma barów, prawda, mój przyjacielu? Adda spojrział na Poławiacza spode łba.

– Mam jeść to coś?

Olbrzym ruchem dłoni zachęcił swojego gościa do poczęstunku. Adda powąchał plastyczną substancję, ścisnął ją i wreszcie odważył się odgryźć mały kęs. Chleb okazał się gorący, zbity i nieprzyjemnie rozmokły. Miał raczej kwaśny, trudny do określenia smak. Starzec przełknął pierwszy kawałek.

– obrzydliwe.

plyw

– Bo nie jesz tego jak trzeba. – Bzya zanurzył rękę w misce, wyciągnął garść chleba i wepchnął go sobie do ust. Przeżuł potrawę dwukrotnie, mocno pracując szczękami, a potem od razu połknął. Zamknął oczy, podczas gdy kawałki chleba przeciskały się przez przełyk; przez chwilę drżał, tłumiąc wzdychanie. Wreszcie odbiło mu się. – Tak się je ciasto piwne.

– Ciasto piwne?

285

– Spróbuj jeszcze.

Adda włożył rękę do drugiego naczynia i wziął spory kawałek ciasta. Ta gorąca, zbita substancja wydała mu się całkowicie niestrawna, ale z determinacją ugryzł i przełknął kilka kęsów, zadając gwałt własnemu gardłu. Ciasto przypominało twardą, sprawiającą ból bryłkę.

– Cudowne – oznajmił. – Tak się cieszę, że tu przyszedłem.

Bzya uśmiechnął się i podniósł dłoń.

Nagle przybysz z nadpływu odniósł wrażenie, że w jego żołądku powstaje ciepło, które stopniowo rozlewa się po całym ciele i głowie. Poczul mrowienie w dłoniach i stopach, jakby dotykały ich niewidzialne palce. Głowa chyba pęczniała; wypełniało ją przyjemne ciepło. Popatrzył na siebie ze zdumieniem, prawie spodziewając się, że zobaczy wokół opuszków palców iskry gazu elektronowego i usłyszy nowe tchnienie rozgrzanej skóry. Nie dostrzegł jednak żadnych zewnętrznych zmian.

Po kilku sekundach fala ciepła osłabła, ale po jej zaniknięciu Adda wyczuwał subtelny różnicę. Bar wydawał się przytulniej szy – bardziej przyjazny niż przed chwilą – a zapach ciasta piwnego, które zostało w miskach, był miły, delikatny i nęcący.

– Witaj w świecie ciasta piwnego, mój przyjacielu. Zapewne zwiążesz się z nim na całe życie – żartobliwie powiedział wielki Poławiacz.

Adda nadal odczuwał przyjemne ciepło wywołane zjedzeniem ciasta. Szturchnął jeden z kawałków z ogromnym zaciekawieniem.

– Jeszcze nigdy nie jadłem czegoś o takim działaniu – ani w nadpływie, ani w podpływie.

– Tak też myślałem. – Bzya chwycił kawałek ciasta i ścisnął między palcami. – Powinienem chyba powiedzieć, że Farr również poznaje nowe... przysmaki. To papka składająca się głównie z liści drzew skorupowych. Przez wiele dni poddaje się fermentacji w potężnych kadziach z materii rdzeniowej.

– Fermentacji?

– Do kadzi z papką wkłada się pajęczynę pajaków spinowych.

Jakiś element tej pajęczyny, być może to, co błyszczący i wywołuje lepkość, reaguje z papką i zmieniają w ciasto piwne. Czary.

– Jasne. – Adda znowu napchał sobie usta ciastem. Potrawa

286

była obrzydliwa, ale wiedząc, jakie skutki wywołuje, przełknął ją z większą łatwością i rozkoszował się ogarniającym go ciepłem.

– Ile to kosztuje?

– Nic. – Bzya wzruszył ramionami. – Władze Portu zapewniają nam ciasto w nieograniczonych ilościach, pod warunkiem, że jesteśmy w stanie wykonywać naszą robotę.

– Co masz na myśli? Czy ciasto jest szkodliwe?

– Tak, jeśli zje się za dużo. – Bzya potarł twarz. – Oddziałuje na włosowate naczynia krwionośne – rozszerza je – oraz na naczynia pneumatyczne w mózgu. Widzisz, przepływ Powietrza ulega lekkiej zmianie i...

– I człowiek czuje się wspaniale.

– Tak. Ale jeśli jadasz ciasto zbyt często, nie jesteś w stanie dojść do siebie. Naczynia pozostają rozszerzone...

Adda patrzył na wnętrze baru; wydawało mu się bezpieczne, cudowne.

plyw

– Mnie to chyba nie przeszkadza.
– Oczywiście. Twój mózg przekazywałby cudowne wrażenia.
Ale jako człowiek nie mógłbyś funkcjonować, Adda. Nie byłbyś w stanie pracować. A gdyby twój stan zdrowia uległ pogorszeniu, nawet nie mógłbyś samodzielnie jeść. Ale rzeczywiście czułbyś się wspaniale.
– Wydaje mi się, że Miasto nie jest takie pobłażliwe dla ludzi, którzy nie są w stanie utrzymać pracy.
– Nie jest.
– Czy kierownicy Portu nie martwią się, że stracą zbyt wielu Poławiaczy, pozwalając im jeść ciasto piwne? Dlaczego rozdają je za darmo?
Bzya znowu wzruszył ramionami.
– Czasem tracą ludzi, ale nie przejmują się tym zbyt, Adda. Łatwo można nas zastąpić. Wyszkolenie nowego Poławiacza nie zajmuje dużo czasu, a w Dole zawsze jest mnóstwo rekrutów. Poza tym wiedzą, że przesiadujemy w barach właśnie ze względu na ciasto: dzięki niemu jesteśmy szczęśliwi, spokojni i zawsze do dyspozycji. W ostatecznym rachunku więcej na tym zyskują, niż tracą. – Przełknął kolejną porcję. – Podobnie jak ja.

287

Adda powoli opróżnił miskę i uważnie obserwował reakcje swojego ciała. Co pewien czas poruszał palcami u rąk i stopami, żeby się upewnić, iż ma dobrą koordynację ruchową. Obiecywał sobie, że gdy tylko dostrzeże u siebie najmniejszy objaw utraty panowania nad ciałem, przestanie jeść ciasto.
Poławiacz umilkł. Obracał kawałek ciasta w swoich wielkich paluchach.
– Ponoć wyznaczyci ci podwójne zmiany. Nawet nie wiem, co to oznacza – podpytywał Adda. Bzya uśmiechnął się pobłażliwie.
– To oznacza, że jestem przydzielany do Dzwonów dwa razy częściej niż zwykle – Stało się tak dlatego, że wykonują dwukrotnie więcej zanurzeń niż zwykle.
– Dlaczego?
– Zaburzenie nadpływowe. Miasto nie otrzymuje dostaw drewna. W każdym razie jest ich o wiele mniej. Ludzie strasznie protestują przeciwko racjonowaniu żywności, ale w dalszej perspektywie brak drewna jest równie istotny. Miejmy nadzieję, że nie nadejdzie dzień, w którym zaczną racjonować ciasto piwne... Tak czy owak, potrzebują więcej metalu z materii rdzeniowej jako surowca budowlanego.
– Budowlanego? Czyżby rozbudowywali Miasto?
– Oni je odbudowują, Adda. Cały czas trwają roboty, przeważnie w głębokich warstwach. Drobne naprawy, remonty. Chociaż – nachylił się i dokończył konspiracyjnym szeptem – krążą pogłoski, że nie tylko konieczność prowadzenia remontów zwiększa popyt na metal.
– A co jeszcze?
– Usiłują wzmocnić strukturę Parz. Obudować szkielet dodatkową warstwą materii rdzeniowej. Nie mówią o tym głośno, gdyż nie chcą wywoływać paniki, ale dążą do tego, żeby Miasto oparło się ewentualnym zagrożeniom. Na przykład Zaburzeniu, które przeszłoby bardzo blisko.
Adda zmarszczył brwi.
– Czy są w stanie to osiągnąć? Czy ich wysiłki zdadzą się na coś?
– Nie wiem. Nie jestem inżynierem. – Bzya żuł ciasto w roz-targnieniu. – Ale wątpię w to – dorzucił wypranym z emocji

288

tonem. – Parz jest takie wielkie. Trzeba byłoby niemal całkowicie je wypatroszyć, żeby gruntownie wzmocnić jego szkielet. Poza tym Miasto dosłownie wali się. Chodzi mi o to, że rozrastało się chaotycznie, bez żadnego planu. Budowano je, żeby zapewnić mieszkańcom przestrzeń, a nie solidną konstrukcję.
Parz było jedną z pierwszych stałych osad założonych po

plyw

Wojnach Rdzeniowych, kiedy ludzkość rozproszyła się w Płaszczu. Z początku stanowiło prymitywną konstrukcję ze sznurów i drewna, nie wyróżniającą się niczym spośród kilkunastu innych osad dryfujących swobodnie w okolicy Bieguna. Jednakże na samym Biegunie ciała mężczyzn i kobiet zyskiwały dużą siłę, toteż Parz rozrosło się w błyskawicznym tempie, a jego położenie w tym wyjątkowym punkcie geograficznym południowej półkuli Płaszczu było korzystne ze względów strategicznych i psychologicznych. Wkrótce stało się ważnym ośrodkiem handlowym, a zamożność Miasta doprowadziła do wyodrębnienia się klasy rządzącej – pierwszej w Płaszczu od czasu Wojen Rdzeniowych. Wyłoniono Komitet i zadbano o szybki rozwój i ujednoczenie Parz.

Miasto wzbogaciło się ogromnie dzięki zbudowaniu Portu. Mieszkańcy metropolii byli pierwszą i jedyłą społecznością, która potrafiła wydobywać i wykorzystywać cenną materię rdzeniową. Wkrótce rozproszona ludność okolic Płaszczu wokół Bieguna, regionu, który został nazwany zagłębem, popadła w ekonomiczną zależność od Parz. W końcu zagłębem i Miasto utworzyły jednolity organizm gospodarczy. Do Parz napływały surowce i podatki z zagłębem, które z kolei otrzymywało materię rdzeniową i, co ważniejsze, stabilny system prawny. Tylko najdalej wysunięta część nadpływu, ponura i niegościnna, zachowała odrębność i dawała schronienie kilku plemionom myśliwych oraz grupom wygnańców z Parz, takim jak Istoty Ludzkie.

Adda znowu ugryzł kawałek ciasta.

– Dziwi mnie, że ludzie pogodzili się z utratą niezależności.

Czyżby nikt nie walczył? Bzya potrząsnął głową.

– Nikt nie traktował tego jak podboju. Parz nie jest imperium, nawet jeśli sprawia na tobie takie wrażenie, Adda. Ludzie

289

pamiętali okres przed wojnami, kiedy w całym Płaszczu żyło się bezpiecznie. Nie mogliśmy wrócić do tamtych czasów; zbyt wiele straciliśmy. Ale Parz było lepsze niż nic – dawało oparcie, zbiór przepisów, system, który ułatwiał życie. Ludzie skarżą się na dziesięćcinę – i nikt nie twierdzi, że Komitet zawsze postępuje słusznie – ale większość z nas woli podatki od życia w dziczy... Z całym szacunkiem dla ciebie, mój przyjacielu. – Ugryzł ciasto. – Taka jest prawda. I zawsze tak było.

Dwie miski zostały opróżnione. Adda pomyślał, że mógłby siedzieć bez końca w tym przytulnym pomieszczeniu z Bzy a.

– Naprawdę wierzysz w to? Spójrz na siebie. Poławiaczu.

Przypomnij sobie, na jakie niebezpieczeństwa narażasz się każdego dnia. Czy to rzeczywiście najlepszy tryb życia, jaki mógłbyś prowadzić?

Wielkolud wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Hm, zamieniłbym się z Horkiem, gdybym uznał, że potrafię sprawować władzę. Oczywiście, że zrobiłbym to. A bliżej mnie, w Porcie, jest mnóstwo ludzi, których najchętniej udusiłbym, gdybym doszedł do wniosku, że świat będzie dzięki temu lepszy. Ponieważ jednak myślę, że na ich miejscu pojawiliby się jeszcze gorsi osobnicy, godzę się z tym, iż jestem na samym dnie tej piramidy. Albo blisko dna. I tak już być musi. Będę walczył z niesprawiedliwością i nierównością, ale akceptuję potrzebę istnienia takiej piramidy. – Spojrzał na Addę uważnie. – Czy to ma sens?

Starzec zastanowił się nad jego pytaniem.

– Nie – odparł po chwili. – Ale to chyba i tak nie ma znaczenia.

Bzya wybuchnął śmiechem.

– Teraz już rozumiesz, dlaczego dają nam to ciasto za darmo.

Masz. – Wyciągnął trzecią miskę. – Za twoje zdrowie, mój przyjacielu.

Adda sięgnął po ciasto.

Minęło kilka dni. System zmian Bzyi właśnie teraz przewidywał kolejną przerwę. Adda szukał Farra, ale nie mógł go odnaleźć, dlatego

plyw

udał się do baru sam. Nieco sztywno wszedł do
290

środką, gdyż wciąż miał na sobie opatrunki. Zaglądał do wszystkich ciemnych zakątków.

Nigdzie nie znalazł Bzyi. Nie mógł zostać i opuścić lokal.

21

We wnętrzu Gwiazdy nie było wyraźnych granic. Dominująca postać materii ulegała stopniowym przemianom w miarę wzrostu ciśnienia i gęstości. A zatem opadaniu „Latającej Świni” nie towarzyszyły żadne gwałtowne wstrząsy. Następowoło jedynie powolne, przygnębiające zanikanie resztek światła Powietrza. Blask przytwierdzonych do ścian drewnianych lamp nie rozjaśniał dostatecznie pomieszczenia. Długie migoczące cienie w zamglonej zieleni sprawiały, że w kabinie panował złowieszczy mrok. Dla Dury, która skuliła się w swoim kącie, to powolne, nie kończące się zanurzanie w ciemności było jak powolne umieranie. Wkrótce jednak przestali się poruszać w tak jednostajnym tempie. Statek przechylił się alarmująco i omal nie ustawił na sztorc. Pracujące świni rzucały olbrzymie cienie na górną ścianę kabiny i kwiczały żałośnie. Hork zanosił się śmiechem; jego oczodoły przypominały ciemnozielone bajorka.

Dura drapała palcami gładkie drewniane ściany, szukając możliwości zaczepienia rąk.

– Co się dzieje? Dlaczego ciągle coś w nas wali?

– Każdy Dzwon uderza w prądy Podpłaszca. Jedyna różnica polega na tym, iż nie mamy Grzbietu, który zapewniałby równowagę.

– Hork mówił do niej powoli jak do osoby ograniczonej umysłowo.

Od czasu ich jedyne go kontaktu fizycznego okazywał dziewczynie ledwie wyczuwalną wrogość. – Skład Płaszca na tej głębokości różni się od naszego Powietrza... tak przynajmniej twierdzili moi nauczyciele. Prawdopodobnie w dalszym ciągu jest nadcięczą złożoną z neutronów, ale w przeciwieństwie do Powietrza, charakteryzuje się anizotropią – zróżnicowaniem własności w zależności od kierunku.

Dura zmarszczyła brwi.

291

– A więc w niektórych kierunkach zachowuje się jak Powietrze i nie powstrzymuje naszego opadania. Jednak w innych...

–... jest gęsta i lepka, i uderza w naszą powłokę magnetyczną.

Tak.

– Ale jak rozróżniasz, w którym kierunku przypomina Powietrze?

– Nie potrafię tego zrobić. – Hork uśmiechnął się. – Na tym polega cała zabawa.

– Ale to jest niebezpieczne – odparła i od razu poczuła zażenowanie swym dziecięcym argumentem.

– Oczywiście, że tak. Właśnie dlatego Port ponosi tak duże straty.

I właśnie tam posłałam swojego brata, pomyślała Dura, dygocząc.

Odczuwała dziwny, spóźniony strach. Dryfując w anizotropowym koszarze, miała wrażenie, że dopiero teraz zaczyna się martwić o Farra.

Jednakże po pewnym czasie przekonała się, że prawie nie zwraca uwagi na ciągłe, nieregularne uderzenia. Pograżona w ciepłej, cuchnącej świńskimi wiatroodrzutami atmosferze statku, nad którego lotem czuwał milczący, cierpliwy Hork, zdołała nawet się zdrzemnąć. Wtem coś wyrznęło w bok wehikułu.

Dura wrzasnęła i podskoczyła, całkowicie otrząsnawszy się ze snu.

Czuła, że drży na skutek tego stuknięcia, jakby ktoś uderzył ją w czaszkę. Obrzuciła kabinę dzikim spojrzeniem, szukając zniszczeń.

Świni kwiczały jak szalone. Hork nadal siedział przy urządzeniach sterowniczych i śmiał się.

– Niech cię diabli. Co to było? Rozłożył ręce.

– Tylko skromne pozdrowienia od Morza Kwantowego. –

plyw

wyciągnął rękę. – Wyjrzyj przez okno. Odwróciła się i zerknęła przez przezroczyste drewno. Płaszcz był w tym miejscu całkowicie ciemny, ale lampy pokładowe oświetlały zielono tę mroczną, wzburzoną substancję na odległość kilku mikronów. W zamglonej toni dryfowały jakieś nieregularne kształty; wśród nich były wyspy o tak wielkich rozmiarach, że mogłyby połączyć stateczek. Gigantyczne bloki sunęły cicho

292

w górę, ku odległemu Płaszczowi – a „Świnia”, płynąc pod prąd tej rzeki stałej materii, podążała w głąb Gwiazdy, do Rdzenia. – Bergi materii rdzeniowej... Wyspy materii hiperonowej – odezwał się Hork. – Żaden Poławiacz nie poradziłby sobie z tak dużymi bergami... Ale też jeszcze żaden Poławiacz nie zawędrował na taką głębokość.

Dura spoglądała ponuro na szerokie, powoli sunące bryły materii hiperonowej. Uświadomiła sobie, że gdyby pechowo dali się złapać niebezpiecznej kombinacji dużej masy i przeciwnego prądu, ich stateczek zostałby zmiażdżony jak główka dziecka, i to pomimo tarczy magnetycznej.

– Jak głęboko jesteśmy?

Hork zerknął na prymitywne wskaźniki na tablicy rozdzielczej. Jego broda ocierała się cicho o przezroczyste drewno pokryw liczników.

– Trudno powiedzieć – przyznał. – Nasi bojaźliwi eksperci opracowali niezwykle inteligentne metody, żebyśmy mogli opaść na tę głębokość, ale nie wystarczyło im inteligencji na stworzenie sposobu informowania nas, gdzie się znajdujemy. Ale myślę, że... – zachmurzył się – ... jakieś pięć metrów poniżej Miasta.

Durze zaparło dech w piersiach. Pięć metro w... Pięćset tysięcy ludzi. Taka podróż zrobiłaby wrażenie nawet na Ur-człowieku.

– Oczywiście nie jesteśmy w stanie kontrolować swojego położenia. Możemy co najwyżej opaść i, jeśli uda się nam przeżyć, z powrotem wypłynąć do góry. Ale nie wiadomo, gdzie się wynurzymy.

Nie mamy pojęcia, dokąd zabierają nas te prądy.

– Omawialiśmy ten problem. Bez względu na to, gdzie się wynurzymy, musimy tylko podążać za Magpołem w kierunku Bieguna Południowego.

Hork uśmiechnął się do niej.

– Ale to mogłoby nastąpić dziesiątki metrów od Miasta... Powrót trwałby miesiąc. Przebywając w odległych rejonach Gwiazdy, będziemy musieli polegać na szkole przetrwania, którą wyniosłaś z nadpływu. Oddam się w twoje ręce i, jak sądzę, podróż do domu okaże się... interesująca.

Uderzenia bergów hiperonowych były teraz silniejsze i częs-

293

tsze. Hork pociągnął drewniane dźwignie na tablicy rozdzielczej, żeby zwolnić tempo opadania. Dura obserwowała przez okna bryły materii rdzeniowej gęstniejące wokół „Świni”; tylko tarcza magnetyczna chroniła statek przed zmiażdżeniem.

Wreszcie mężczyzna pstryknął palcami i odsunął się od tablicy rozdzielczej.

– Właściwie możesz pozwolić zwierzętom odpocząć – powiedział do Dury. – Utknęliśmy.

Dziewczyna zmarszczyła czoło i wyjrzała przez okna.

– Nie możemy zejść głębiej?

Hork wzruszył ramionami i ziewnął przeciągle.

– Nie możemy, chyba że między bergami powstanie kanał.

Tworzą one od tego miejsca nieprzerwaną, zbitą masę – zresztą, sama widzisz. Nie, to już koniec podróży. – Przeleciał przezabinę, wyciągnął z koryta dla świń trochę nietkniętej karmy i bez entuzjazmu zaczął przeżuwać liście. Podał swojej towarzyszce kilka garści karmy.

– Masz – powiedział.

plyw

Dura przyjęła od niego jedzenie. Była zamyślona. Furkot turbiny ustał. Czuła się zawieszona w ciszy, którą przerywało jedynie ochrypłe sapanie świni i niezbyt donośne stukanie odłamków hiperonicznych o tarczę magnetyczną. Zaprężone zwierzęta drżały ze strachu, szarpiąc się w uprząży i przewracały swymi oczami. Jedząc, dziewczyna głaskała ich boki pokryte rozszerzonymi porami. Uspokajanie wystraszonych zwierząt – opieka nad stworzeniami, które odczuwały jeszcze większy strach niż ona – zmniejszało jej napięcie.

Hork splótł ręce. Pod jego błyszczącym kostiumem rysowały się masywne ramiona.

– No cóż, jeszcze nigdy nie byłem na takim dziwnym pikniku.

– Co teraz robimy?

– A któż to może wiedzieć? – Uśmiechnął się do niej, pokazując trochę zawodowego wdzięku. – Być może pokonaliśmy tak długi dystans tylko dlatego, żeby zobaczyć to. – Wskazał okno. – Materię rdzeniową. Twardą, niebezpieczną i martwą. W każdym razie, zabawa jeszcze się nie skończyła. Przecież dopiero przybyliśmy na miejsce. Możemy tu zostać wiele dni, jeśli będziemy musieli.

294

Dura wybuchnęła śmiechem.

– Może powinieneś wyjść na zewnątrz i wygłosić przemówienie.

Przebudzić kolonistów z ich tysiactletniej drzemki.

Hork patrzył na nią beznamiętnie, poruszając szczękami. Po chwili odwrócił się. Zlekceważył ją całkowicie.

Było jej głupio. Poczuła się osamotniona, a cisza, która znowu zapanowała w kabinie, sprzyjała powrotowi lęku. Głaskała dygoczące świnię i przeżuwała listki.

Zastanawiała się, jak długo będą musieli tu czekać, zanim uparty Przewodniczący się podda albo zanim coś się wydarzy – coś, o czym już teraz myślała z przerażeniem.

Potem okazało się, że wcale nie musieli czekać długo.

Hork wrzasnął. Strach sprawił, że jego głos zabrzmiał piskliwie.

Dura, której jakoś udało się zasnąć, gwałtownie podskoczyła, czując w płucach i oczach duszne Powietrze. Szybko rozejrzała się dookoła.

Zielony blask lamp wypełniał kabinę niesamowitymi, wyrazistymi cieniami. Przerażone świnię kwiczały i przeżyły się, chcąc zrzucić uprząż. W zachowaniu Horka nie było ani śladu arogancji i zarozumiałości. W zmiętym, poplamionym kombinezonie opierał się plecami o ścianę i bezskutecznie usiłował znaleźć jakąś broń. Można było odnieść wrażenie, że wszyscy pasażerowie „Latającej Świni”, zarówno ludzie jak i zwierzęta, odlecieli od środka cylindrycznego statku niczym szczątki powolnej eksplozji.

Córka Logue'a zamrugała oczami, żeby widzieć lepiej, co się wokół niej dzieje. Przekonała się, że nie było żadnego wybuchu, w geometrycznym środku cylindra – źródle całego zamieszania – znajdowała się jeszcze jedna osoba. Trzecia ludzka istota, tutaj, gdzie poza nią i Horkiem nie mógł nikt przebywać...

Wyteżając wzrok, Dura doszła do wniosku, że widzi raczej coś, co przybrało ludzką postać. W kabinie znajdowała się masywnie zbudowana kobieta, wyraźnie starsza od niej i ubrana w coś, co mogło być tuniką Poławiacza, tyle że lśniło pastelowym karmazy-nem i było pozbawione szwów. Miała czarne, ciasno upięte włosy. Z jej oczodołów, nozdrzy i ust wydostawała się fioletowa poświata. Dziewczyna zauważyła, że oczy tej istoty nie są wklęsłe. Było

295

w nich ciało – kulki, które poruszały się niezależnie od mięśni twarzy niczym zwierzęta uwięzione wewnątrz czaszki.

Dura poczuła, że listki podchodzą jej do gardła. Miała ochotę krzyczeć, wdrapywać się na ściany statku, żeby uciec. Starła się nie poruszać. Zmusiła się do uważnej obserwacji.

plyw

– To coś wygląda jak kobieta – szepnęła do Horka. – Jak człowiek. Ale to jest niemożliwe. Jak człowiek mógłby tu przeżyć? Przecież nie ma tu Powietrza do oddychania ani...

– Naturalnie, że to nie jest człowiek – przerwał jej zniecierpliwiony Hork. W jego głosie wyczuwało się jeszcze strach. – To musi być... coś innego, co wykorzystuje ludzką powłokę. Worek ognia ukształtowany na wzór człowieka.

– Ale jak nazwać to coś innego?

– Skąd mam wiedzieć?

– Myślisz, że to Xeelee?

– Jeszcze żaden człowiek nie widział Xeelee. Tak czy owak, Xeelee to tylko legenda.

Ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że narasta w niej gniew.

Doprawdy, żeby w takim momencie ktoś śmiał ją pouczać! Rzuciła Horkowi wściekłe spojrzenie i syknęła:

– To właśnie legendy sprawiły, że mnie tutaj sprowadziłeś, pamiętasz?

Przewodniczący miasta Parz zerknął na Durę z irytacją, a potem odwrócił się, żeby popatrzeć na istotę o wyglądzie kobiety. Kiedy przemówił, Dura nie mogła nie podziwiać jego spokojnego tonu.

– Hej, ty – zagadnął wyzywająco. – Intruzie. Czego od nas chcesz?

Wydawało się, że cisza, przerywana sapaniem świń, trwa nieskończenie długo. Spoglądając na ohydne fałdy ciała, które przykrywały wgłębienia uszne nieznanym, córka Logue'a zastanawiała się, czy ta istota jest w stanie usłyszeć Horka, a co dopiero udzielić mu odpowiedzi.

Jednak po pewnym czasie istota o wyglądzie kobiety otworzyła usta. Spomiędzy warg trysnęła struga światła, a dźwięk, który wydała kobieta, był grubszy niż jakikolwiek głos wydobywany z piersi człowieka, i, przynajmniej na początku, nieartykułowany.

296

Po chwili Dura przekonała się ze zdumieniem, iż nieznanajoma zaczyna wypowiadać słowa.

Oczekiwałam... oczekiwałam... oczekiwałam was. Nie śpieszyło się wam zbyt.

No i strasznie się namęczyliśmy, żeby was znaleźć. – Rozejrzała się po wnętrzu „Świni”. Jej szyja kręciła się nienaturalnie jak na przegubie kulkowym. Czy tylko na tyle was stać? Powinniście opaść znacznie głębiej; w tym miejscu warunki transmisji są fatalne...

Ludzka załoga „Latającej Świni” wymieniła pełne konsternacji spojrzenia.

– Czy rozumiesz mnie? – zapytał istotę Hork. – Czy jesteś kolonistą?

– Oczywiście, że cię rozumie – syknęła Dura, którą znowu ogarnęła złość. Ta torba ze skóry ludzkiej budziła w niej nie tylko lęk, ale także fascynację. – Jak to jest możliwe, że mówisz naszym językiem?

Poruszające się wargi istoty nasuwały okropne skojarzenie z ryjkiem świni powietrznej, a kulki w oczodołach kolejny raz okręciły się. Obserwując kobietopodobną rzecz, Dura doszła do wniosku, że dostrzega w niej coraz mniej cech ludzkich. Uświadomiła sobie, iż ma przed sobą kukiełkę jakiegoś tajemniczego hiperonowego stworzenia przebywającego na zewnątrz kadłuba. Wyjrzała przez okno, zastanawiając się, czy wpatrują się w nią czyjeś potężne, ciemne oczodoły.

Istota o wyglądzie kobiety uśmiechnęła się. To była upiorna parodia.

Naturalnie, że cię rozumiem. Jestem, jak to określiłeś. Kolonistą... ale jestem również twoją babką. W każdym razie, w drugim lub trzecim pokoleniu...

Na tydzień przed Dniem Igrzysk lekarz Muub wysłał Addzie zaproszenie, aby starzec wspólnie z nim oglądał imprezę z loży Komitetu wysoko nad stadionem. Wiekowy myśliwy poczuł, że jest

plyw

traktowany protekcjonalnie. Nie miał wątpliwości, że medyk nadal uważa go za nie ucywilizowanego dzikusa z nadpływu i będzie ubawiony jego reakcją na wielkie wydarzenie w życiu Miasta. Stary nadpływowiec nie miał ochoty dostarczać mu takiej rozrywki.

297

Jednakże nie odrzucił zaproszenia. Pomyślał, że być może Farr chciałby obejrzeć Igrzyska z tak korzystnego punktu widokowego. Chłopiec nadal miał kapryśne usposobienie. Adda nie potrafił go rozgryźć. Zresztą, ostatnio widywał brata Dury bardzo rzadko. Młodzieniec starał się spędzać większość czasu z buntowniczą, odseparowaną społecznością surferów, przywierających przez połowę życia do Skóry Miasta.

Ostatecznie Farr nie pojawił się na Igrzyskach. Miasto bardzo się zmieniło. Wprawdzie Adda znał je od niedawna, ale od razu spostrzegł, iż na skutek zniszczeń wywołanych Zaburzeniami utraciło część swojego ducha. W wielkich alejach połowa sklepów i kafejek była zamknięta. Zauważało się też brak dygnitarzy obnoszących się ze swoim bogactwem i korzystających z zaprzęgów perfumowanych świń. Wszędzie obserwowało się nie tyle kryzys, ile wynikającą z niedostatku prostotę. Nadeszły ciężkie czasy; ludzie musieli dużo przecierpieć i się napracować, aby poprawić sytuację i znowu móc się bawić.

Wydawało się jednak, że ponura atmosfera nie zagrozi Igrzyskom. W miarę jak się zbliżały, Adda czuł, że rytm życia Miasta przyspiesza. Ludzie chętniej pojawiali się na ulicach, spierali się i zakładali o wyniki rozmaitych, dziwnie nazywanych dyscyplin. Toboggan. Slalom. Nurkowie Biegunowi... Igrzyska miały być dla metropolii czymś w rodzaju wakacji, wytchnieniem od codziennego mozołu.

Wiekowy nadpływowiec odczuwał zaciekawienie. Dlatego w końcu postanowił skorzystać z zaproszenia Muuba. Stadion tworzyło duże pudło o ścianach z przezroczystego drewna, przytwierdzone do jednej z górnych krawędzi Miasta. Łożę Komitetu stanowił balkon, który wystawał z górnej powierzchni Parz, nad samym stadionem. Żeby się w niej znaleźć, Adda musiał dotrzeć do najwyższej warstwy Góry, do Ogrodu okalającego Pałac. To luksusowe otoczenie onieśmielało go bardziej niż kiedykolwiek. Falując, mijał miniaturowe, rzeźbione drzewa skorupowe; wymachiwał przy tym swoimi poplamionymi opatrunkami jak bronią. Zanim doleciał na miejsce, trzykrotnie rewidowały go grupy pełnych pogardy strażników. Z upodobaniem wykrzykiwał pod ich adresem obelgi.

298

Wreszcie został wprowadzony do łoży. Tworzyła ona kwadratową platformę o szerokości dwudziestu ludzi, a jej dach stanowiła kopuła z przezroczystego drewna. Wnętrze wypełniały równe rzędy kokonów, luźno przywiązanych linkami do szkieletu konstrukcji. Adda zauważył, że połowa miejsc już była zajęta, dworzanie i inni dygnitarze spoczywali w miękkich skórzanych osłonach niby wielkie, błyszczące, owadzie larwy. Rozmawiali głośno i z ożywieniem albo zanosili się śmiechem. Spowijał ich intensywny, ciężki zapach perfum. Jakaś mała, niepozorna kobieta w brązowej tunice eskortowała Addę do pierwszego rzędu. Muub już leżał w swoim kokonie. Splótł długie, cienkie ręce na klatce piersiowej i patrzył w dół, na stadion. Powitał swego gościa skinięciem głowy; jego łysa czaszka trochę lśniła. Wiekowy nadpływowiec odczuwał zakłopotanie, gdy kobieta pomagała mu wgramolić się do wolnego kokonu. Wciąż miał sztywne nogi i ledwo poruszała prawą ręką, dlatego trzeba było go unosić jak drewnianą statwę. Natychmiast zbliżyła się do niego kolejna kobieta, która z uśmiechem zaproponowała mu słodycze. Odprawił ją, warcząc gniewnie.

Muub uśmiechnął się do niego pobłaźliwie.

– Cieszę się, że postanowiłeś tu przybyć, Adda. Sądzę, że ten

dzień będzie dla ciebie interesujący.

Starzec skłonił głowę, siłąc się na grzeczność. Ostatecznie przyjął zaproszenie lekarza. Ale co go tak irytowało w zachowaniu tego mężczyzny? Odwrócił przez ramię głowę w kierunku ubranych w błyszczące stroje dworzan.

– Ci tutaj chyba dzielą twoją opinię.

Muub spojrział na dworskie elity z wyniosłą pogardą.

– Dzień Igrzysk to spektakl, który zawsze ekscytuje prostaków – odparł cicho. – Bez względu na to, ile razy jest oglądany. A poza tym, jak świetnie wiesz, Hork jest nieobecny. I dopóki Przewodniczący nie wróci, moi bardziej powierzchowni koledzy będą odczuwali brak władzy. – Przez chwilę słuchał paplaniny pozostałych gości z łoża, przechylając swoją wielką, delikatną głowę na bok. – Zwróć uwagę, jakim tonem mówią. Są jak dzieci pod nieobecność rodzica. – Westchnął.

Adda wyszczerzył zęby w uśmiechu.

299

– No cóż – powiedział – miło wiedzieć, że lekceważysz nie tylko nadpływowców. – Ostentacyjnie zignorował reakcję Muuba. Nachylił się do przodu i patrzył przez ścianę z przezroczystego drewna.

Znajdowali się na górnym obrzeżu Miasta. W dole rozciągała się drewniana Skóra – potężna, nierówna, mocno sfatygowana. Wielkie wstęgi kotwiczne z materii rdzeniowej tworzyły srebrno-szare łuki przecinające niebo. Daleko niżej było widać sinofioletowy Biegun. Na niebie wokół Parz lśniły linie wirowe, które podążały wokół krzywizny Gwiazdy ku własnemu biegunowi rotacji...

Adda przez moment wpatrywał się w linie wirowe. Czy były bardziej zbite niż zazwyczaj? Usiłował wykrzyć prąd powietrzny, napór kolejnego zaburzenia. Jednak nie znajdował się na otwartej przestrzeni – nie był w stanie wyczuć różnicy w zapachu fotonów ani zakłóceń w ruchach Powietrza, toteż nie mógł być pewien, że zachodzą jakiegokolwiek zmiany.

Ogromny stadion zapełniał się ludźmi, którzy tłumnie zajmowali miejsca w Powietrzu na trybunach, wchodząc jeden na drugiego albo wdrapując się po linach i poręczach. Pomimo osłony z przezroczystego drewna Adda słyszał ich podniecone ryki. Miał wrażenie, że dźwięk dochodzi do niego falami, w których można było wyróżnić poszczególne głosy – płacz niemowlęcia, wrzaski handlarzy krążących wśród widzów. Z wylotów kanalizacyjnych pływały strugi odpadów z osłony stadionu, które przedostawały się do ciepłego Płaszca.

Z dala od cielska Miasta aerobaci łagodnie falowali w Powietrzu, tworząc preludium do Igrzysk. Byli młodzi, zwinni, nadzy, pomalowani na jaskrawe kolory. Kręcąc nogami i rękami, poruszali się spiralnie wzdłuż linii wirowych i pikowali na siebie nawzajem, chwytając się za ręce i wirując, by po chwili polecieć nowymi szlakami. Adda naliczył ich około setki. Taniec aeroba-tów – z pozoru chaotyczny, lecz naszpikowany przemysłnymi elementami choreograficznymi – był jakby eksplozją młodych ciał w przestrzeni Płaszca.

Starzec uświadomił sobie, że Muub obserwuje go. W płytkich oczodołach lekarza malowało się zaciekawienie. Adda celowo rozdziawił usta, grając rolę ogłupiałego turysty.

300

– Daję słowo – mruknął. – Ale ludzi. Medyk odchylił głowę i roześmiał się.

– W porządku, Adda. Może zasłużyłem sobie, ale chyba nie powinienem mieć mi za złe, że interesuje mnie twoja reakcja na to wszystko. Takie sceny mogą być dla ciebie czymś niemal niewyobrażalnym, biorąc pod uwagę to, że kiedyś żyłeś w nadpływie. Stary myśliwy rozejrzył się dookoła, próbując objąć wzrokiem całą

plyw

scenerię – ogromny wytwór ludzkich rąk, czyli Miasto, tysiąc ludzi zgromadzonych tylko w jednym celu, prawie niewiarygodne bogactwo dworzan w Łoży, ich zbytkowne stroje, słodycze i służbę, aerobatów wymachujących kończynami w zamaszystym tańcu.

– Tak, to robi wrażenie – przyznał. Szukał właściwych słów, żeby wyrazić swoje uczucia. – I nie tylko. To w jakimś sensie podnosi na duchu. Skoro ludzie pracują razem, możemy rzucić wyzwanie samej Gwieździe. Chyba dobrze jest wiedzieć, że nie wszyscy muszą walczyć o przetrwanie w Powietrzu i wegetować jak Istoty Ludzkie. A jednak...

A jednak, czy musiało istnieć bogactwo i bieda? Miasto było wspaniałe, ale w porównaniu z Gwiazdą wydawało się czymś małym (i zapewne nie było większe niż kciuk Ur-człowieka). Lecz nawet w małych ścianach Parz występował sztywny podział na klasy: dworzanie w Łoży, odgradzający się od mas, Góra i Dół oraz istniejące między nimi, niewidoczne, ale bardzo realne bariery. Dlaczego tak miało być? Wydawało się, że ludzie budują takie osady tylko po to, żeby znaleźć sposób dominowania nad innymi ludźmi.

Muub słuchał niezgrabnych wywodów Addy.

– Ależ to jest nieuniknione – odparł z obojętną miną. – Musisz dysponować jakąś strukturą – hierarchią – jeśli chcesz kierować skomplikowanymi, wzajemnie zależnymi systemami, które podtrzymują połączoną społeczność Miasta i zagłębia. Tylko w ramach tak zorganizowanej społeczności człowiek może sobie pozwolić na sztukę, naukę, mądrość – nawet na rozrywkę w najpodlejszym gatunku, taką jak te Igrzyska. A hierarchie wiążą się z władzą. – Uśmiechnął się protekcyjnie do Addy. – Ludzie nie są zbyt szlachetni, nadpływowcze. Rozejrzyj się

301

dookoła siebie. Ciemna strona ich natury ujawnia się za każdym razem, gdy któryś z nich czuje, że może przechytrzyć drugiego.

Adda pomyślał o swojej młodości w nadpływie, kiedy świat nie był jeszcze taki perfidny. Przypominał sobie grupy myśliwych, złożone z pięciu, sześciu osób: mężczyzn i kobiet, całkowicie zanurzonych w cichym Powietrzu, uważnych, wyczulonych na otaczające ich środowisko. Współpracując ze sobą, ci ludzie byli całkowicie świadomi wzajemnych powiązań i pełni życia. Uświadomił sobie, że lekarz jest typowym obserwatorem, uważającym się za kogoś lepszego od całej reszty, lecz w gruncie rzeczy po prostu obojętnym i zimnym. Jedyny sensowny sposób życia polegał na byciu sobą, zarówno w świecie jak i w towarzystwie innych.

Miasto przypominało potężną maszynę skonstruowaną tak, aby zniechęcać obywateli do tego rodzaju zachowania – żeby ich odstręczać. Nic dziwnego, że młodzi ludzie wydostawali się z wlotów przeładunkowych i osiedlali na Skórze, ujarzmiając Powietrze dzięki sprytowi i zręczności. Oni szukali życia.

Światło zmieniło się. Soczysta żółć Powietrza nad Biegunem wydawała się jaśniejsza. Zaintrygowany starzec odwrócił głowę w kierunku nadpływu.

w Łoży i na stadionie rozległ się pomruk niecierpliwych widzów. Nadworny medyk dotknął ramienia Addy i pokazał mu coś w górze.

– Spójrz. Surferzy. Widzisz ich?

Surferzy tworzyli sześciokątny szyk; wyglądali jak błyszczące plamki rozproszone w Powietrzu. Nawet dotychczas obojętny Muub był podniecony i chyba zastanawiał się, co czują ci śmiałkowie, poskramiając pływ na takiej wysokości, tak daleko od Miasta.

Jednakże Addę nadal niepokoiła subtelna zmiana. Mierzył wzrokiem linię horyzontu, przeklinając ścianę z przezroczystego drewna, która zniekształcała widok.

wreszcie dostrzegł coś.

w odległej części nadpływu, daleko na północ, linie wirowe zniknęły.

Nazywało się – nazywałaś się – Karen Macrae- Urodziła się w

miejscu zwanym Marsem tysiąc lat temu.
302

To są lata w skali Ziemi – tłumaczyła. Stanowią oczywiście mniej więcej połowę lat marsjańskich, ale niczym nie różnią się od waszych lat... widzisz, zaprojektowaliśmy wasze biologiczne zegary tak, aby współgrały z przeciętnym tempem metabolizmu ludzkiego, i kazaliśmy wam liczyć rytmy gwiazdy neutronowej, żeby mieć z wami wspólny język w postaci dni, tygodni, lat... Chcieliśmy, żebyście żyli w takim samym tempie jak my, żebyście komunikowali się z nami. Karen Macrae zawahała się. To znaczy, z nimi. Z normalnymi ludźmi.

Dura i Hork popatrzyli na siebie.

– Rozumiesz coś z tego? – syknął.

Dura spojrzała na Karen Macrae. Pływający wizerunek oddalił się od środka kabiny i wydawało się, że staje się bardziej chropowaty. Tworzył teraz coś w rodzaju mozaiki złożonej z małych, przepychających się sześcianów kolorowego światła.

– Czy jesteś Ur-człowiekiem? – zapytała Dura.

Karen Macrae zasyczała.

Czym? Och, masz na myśli normalnego człowieka? Nie, nie jestem nim, ale kiedyś byłam...

Karen Macrae przybyła do Gwiazdy wraz z pięcioma setkami ludzi z innego miejsca. Dura pomyślała, że zapewne był to Mars.

Założyli obóz na zewnątrz Gwiazdy. Kiedy się tam pojawili, Gwiazdy nie zamieszkiwały istoty ludzkie; występowały jedynie rodzime gatunki – świnie, płaszczyki, pająki spinowe ze swymi pajęczynami, a także drzewa skorupowe.

Karen Macrae przyleciała do Gwiazdy, żeby ją zaludnić.

Struktura gwiazdy neutronowej jest zdumiewająco bogata – wyszeptwała kanciasta postać. Czy pojmujecie to? Chodzi mi o to, że Rdzeń jest jak wielkie, pojedyncze jądro – hiperjądro o dwudziestoczwieroprocentowej zawartości materii hiperonowej. Jest frakcyjny. Wiecie, co to oznacza? Że ma strukturę we wszystkich skalach, aż do...

– Proszę. – Hork podniósł rękę. – To jest potok słów, które nie przekazują... niczego.

Kostki tworzące twarz Karen rozpychały się jak małe owady. Jestem Polonistką pierwszej generacji – powiedziała. Zbudowaliśmy środowisko wirtualne w hiperjądrze – w Rdzeniu.

303

Dane o mnie zostały przekazane, za pośrednictwem łącza w moim spoidle wielkim*, do środowiska tutaj, w Rdzeniu. Karen Macrae zasłoniła mięsiste, obrzydliwe kulki w oczodołach fałdami skóry. Czy rozumiecie mnie?

– Jesteś kopia – wycedził Hork. – Kopia Ur-człowieka mieszkającą w Rdzeniu.

– Gdzie jest Ur-kobieta Karen Macrae? – zagadnęła Dura.

– Czy ona nie żyje?

Nie ma jej tutaj. Jak tylko się tutaj osiedliliśmy, statek odleciał. Nie wiem, gdzie ona te raz jest...

Dura usiłowała wykrzyć emocje w głosie kobietopodobnej istoty – czy była obrażona na swój pierwowzór, który ją stworzył i wrzucił tu, do Rdzenia Gwiazdy? Czy zazdrościła mu? Jednak dziwny stwór mówił tak ochryple, że dziewczyna nie była w stanie znaleźć odpowiedzi na żadne ze swoich pytań. Przypomniał jej się system nagłośnienia w aucie powietrznym Toby Mixxaxa.

Karen Macrae powiedziała przybyszom z Płaszczka, że kolonia ludzkich kopii, które przetransferowano do Rdzenia, miała urządzenia łączące je z realnym środowiskiem Gwiazdy. Posiadała system do produkowania czegoś, co nazywało się materia egzotyczną**.

* Spoidło wielkie – tkanka nerwowa łącząca półkule mózgu.

** Zanurzając się wewnątrz statycznej czarnej dziury napotykamy

plyw

centralny punkt osobliwości – nieskończenie zakrzywioną czasoprzestrzeń. Tunele czasoprzestrzenne (zwane też korytarzami Morsa-Thome'a) mogące łączyć różne miejsca tego samego wszechświata lub dwu odrębnych wszechświatów, mogą tworzyć rolujące czarne dziury, wewnątrz których zamiast punktu osobliwości występuje pierścień osobliwości. Niestety tunele takie są bardzo małe i niestabilne, gdyż zapadają się pod wpływem grawitacji. Materia niezbędna do utworzenia gardzieli tunelu winna mieć następującą właściwość: naprężenie (wytrzymałość na rozerwanie) materii potrzebnej, aby utrzymać tunel w stanie otwartym winno być 10^{\wedge} razy większe niż gęstość substancji użytej do jego stworzenia. Dzisiejsza nauka nie zna takiej materii we wszechświecie. Fizycy sądzą, że gdyby naprężenie materiału mogło wzrosnąć do wartości powyżej 10^{\wedge} razy większej niż jego gęstość, zaczęłyby on wykazywać dziwne cechy np: ujemną średnią gęstość energii, ujemną masę, rozdmuchiwałby się a nie zapadał pod wpływem grawitacji. (Zwłaszcza ta właściwość odgrywa dużą rolę w przypadku tuneli czasoprzestrzennych). Ze względu na owe niezwykle właściwości materię tę nazywa się materią egzotyczną. Przypuszcza się, że może ona istnieć w kwantowych fluktuacjach przestrzeni otwartego kosmosu.

304

Poprzecinała Płaszcz tunelami czasoprzestrzennymi, łącząc Biegun z Biegunem, i zbudowała sieć pięknych miast. Kiedy ludzkie kopie skończyły pracę. Płaszcz wyglądał jak ogród. Był czysty i pusty. Czekał. Dura westchnęła.

– I wtedy zbudowaliście nas.

– Rzeczywiście – powiedział Hork. – Wiemy o tym z naszych cząstkowych przekazów historycznych. Zostaliśmy zrobieni. Jak zabawki – dodał gniewnie w poczuciu upokorzenia.

Świat był w tamtych czasach oazą spokoju. Ludzie nie musieli walczyć o przetrwanie. Zaburzenia zdarzały się bardzo, ale to bardzo rzadko. Przekopiwani Koloniści, nadal rezydujący w Rdzeniu, byli dla Istot Ludzkich kimś w rodzaju nieśmiertelnych, wszechwiedzących rodziców.

Falowanie przez tunele czasoprzestrzenne z nadpływu do Bieguna trwało najwyżej jedno uderzenie serca.

Hork przysunął się do kobietopodobnej istoty.

– Spodziewaliście się, że tu dotrzemy i będziemy was szukać.

Mieliśmy nadzieję, że przybędziecie. My nie moglibyśmy wybrać się do was.

– Dlaczego?

Dura odniosła wrażenie, że jej towarzysz dosłownie warczy na tę starożytną, fascynującą kobietę-powłokę i czuje do niej irracjonalną złość.

– Dlaczego potrzebujecie nas teraz? – pytał.

Karen Macrae odwróciła głowę. Świetliste klocki tworzące jej ciało przemieszczały się i zderzały bezszelestnie, a raczej, jak zauważyła Dura, przechodziły przez siebie nawzajem z taką łatwością, jakby były zrobione z kolorowego Powietrza.

Zaburzenia – rzekła powoli. One niszczą Rdzeń... niszczą nas.

Dura zmarszczyła czoło.

– Dlaczego nie przeciwdziałacie im? Nie mamy już Złącz do realnego środowiska. Usunęliśmy je. Głos Karen stawał się coraz bardziej niewyraźny, a klocki składające się na jej postać zwiększały objętość, sprawiając, że ta ludzka powłoka coraz mniej przypominała człowieka.

305

Rozkładając szeroko ciężkie ręce na drewnianej powierzchni, Hork odepchnął się od ściany kabiny.

– Dlaczego? Dlaczego się wycofaliście? Zbudowaliście nas. Potem zabraliście nam nasze narzędzia. Porzuciliście nas. Toczyliście wojnę z nami; pozbawiliście nas naszych skarbów, naszego dziedzictwa.

Dlaczego? Dlaczego?

Karen odwróciła się do niego. Fioletowe klocki odpływały z jej niewyraźnie zarysowanych, otwartych ust. Rozszerzała się i zamazywała. Klocki tworzące jej wizerunek pęczniały. Hork rzucił się ku coraz mniej wyrazistej postaci. Wszedł w nią, jakby była tylko Powietrzem, i uderzał dłońmi o ulotne, załamujące się sześciany światła.

– Dlaczego nas zrobiliście? w jakim celu przebywaliśmy tutaj? Dlaczego nas opuściliście?

Klocki eksplodowały. Dura cofnęła się na widok monstrialnej, nabrzmiałej jak balon twarzy Kolonistki i bladych brył w jej oczodołach. Nastąpił bezdźwięczny wstrząs. Kabinę zalała fala fioletowego światła, które uciekło przez ściany statku i przedostało się do oceanu otaczającego pojazd. Ludzka powłoka Karen Macrae całkowicie się rozplynęła. Hork okręcił się w Powietrzu i młócił pustkę rękami w bezsilnej złości.

Tymczasem w kabinie pojawiły się nowe niebieskozielone cienie, które rzucił jakiś obiekt za plecami Dury. To coś znajdowało się na zewnątrz statku. Dziewczyna odwróciła się.

Natychmiast rozpoznała czworościan, obiekt o czterech płaszczynach obramowanych lśniącymi niebieskimi liniami, które przypominały fragmenty linii wirowych. Nad płaszczyznami błyszczały złociste, podobne do zmarszczek tafle. Bok tej konstrukcji był długi na około dziesięciu ludzi, a szerokość jej płaszczyzn umożliwiłaby przejście statkowi o rozmiarach, którymi charakteryzowała się „Swinia”.

To była brama. Czterostronna brama...

Dura znowu poczuła się jak dziecko; na jej twarzy powoli wykwitł zdumiony uśmiech. Wiedziała, że ma przed oczami Złazce tunelowe, najcenniejszy ze wszystkich skarbów, które przepadły w Rdzeniu.

Być może tędy zdołaliby się wydostać z Gwiazdy.

306

Chwyciła tunikę Horka. Jej strach ustępował miejsca zdziwieniu i zachwytowi.

– Czy rozumiesz, co to oznacza? Będziemy mogli podróżować, pokonywać przestrzeń Gwiazdy w jednej chwili, tak samo jak mogliśmy to robić przed wojnami...

Mężczyzna odepchnął ją bezceremonialnie.

– Jasne, że rozumiem, co to oznacza. Karen Macrae nie jest w stanie powstrzymać Zaburzeń. I dlatego – po raz pierwszy od czasu, gdy wyrzucili nas do Płaszczki przed tak wieloma laty, zostawiając na łaskę losu – ona i jej zaśmiecający Rdzeń przyjaciele potrzebują nas. A zatem ty i ja będziemy musieli przejść przez ten obiekt, nie wiadomo dokąd, i sami powstrzymać Zaburzenia.

22

Cris Mixxax wspiął się na deskę. Poczuł pod gołymi stopami gładkie, ciepłe, dobrze znane drewno. Naparł podszwami na rowkowaną powierzchnię; paski materii rdzeniowej osadzone w desce przypominały w dotyku zimne, twarde kości. Na rozgrzewkę ugiął nogi w kolanach. Kiedy zaczął sunąć przez linie pływowe, wokół jego kostek i palców u nóg syczał gaz elektronowy. Mag-pole wydawało się sprężyste i zwarte.

Cris uśmiechnął się od ucha do ucha. Czuł się doskonale. Wszystko szło świetnie. Wreszcie nadszedł wielki dzień, który miał być jego dniem.

Niebo dookoła było jak potężna diorama. Biegun Południowy, którego zamyślane fioletowe serce tonęło w głębinach Morza Kwantowego, znajdował się niemal tuż pod nim; Cris czuł, jak ogromne, biegunowe zniekształcenie Magpola przenika jego ciało. Odnosił wrażenie, że skorupa w górze jest na wyciągnięcie ręki. Zwisające drzewa wyglądały jak błyszczące włosy, tak bliskie, że mógł rozpoznać drobne szczegóły ich wyglądu. Pola uprawne –

plyw

prostokątne skrawki o rozmaitych kolorach i typach powierzchni, o prostych, wyrazistych brzegach – stanowiły dowód oddziaływania człowieka na przyrodę dygoczącej Gwiazdy.

Miasto unosiło się w Powietrzu nad Biegunem. Parz było tak
307

oddalone od Crisa, że mógł je zakryć dłonią i wyobrazić sobie, iż jest sam na niebie – sam z wyjątkiem ścigających się z nim rywali. Miasto wyglądało jak skomplikowana zabawka z drewna. Otaczała je klatka utworzona przez świecące wstęgi kotwiczne. W dalekim klocku wydrążono setki otworów, z których sączyło się mdłe, zielonkawe światło drewnianych lamp. Spod jego cielska, wzdłuż Grzbietu Portu stale spływały kaskady odpadów. Natomiast błyszczące wybrzuszenie, uczipione górnej krawędzi kadłuba niczym delikatny krzew, to stadion, nad którym unosił się kolorowy balkon – łoża Komitetu. Cris pamiętał, że gdzieś wśród widzów są jego rodzice. Pragnął wierzyć, że modlą się o jego zwycięstwo, chociaż nie wykluczał, iż woleliby przegrać syna – wtedy musiałyby porzucić marzenia, zrezygnować z przyjemności surfowania i znowu prowadzić u ich boku monotonne, pełne ograniczeń życie. Potrząsnął głową i spojrzął na Miasto, czując się po trosze bogiem patrzącym z wysokości na swoje dzieło. Tutaj jego zniechęcające życie wydawało się czymś odległym, zupełnie nieistotnym. Czuł się wywyższony, zdolny do pełnej współczucia, a jednocześnie rozsądnej oceny sytuacji. Rodzice kochali go i chcieli dla niego jak najlepiej – tak przynajmniej sądzili.

Usłyszał okrzyki starterów, jakże ciche w wielkiej, połyskującej przestrzeni. Zostało już bardzo mało czasu. Rozejrzał się. Stu surferów tworzyło równy szereg na niebie. Pomagali im w tym starterzy w charakterystycznych czerwonych uniformach. Cris kilka razy szarpnął deską, która napała na Magpole i umożliwiła tym samym zajęcie wyznaczonego stanowiska. Popatrzył przed siebie. Widział linie wirowe prowadzące wprost do bieguna rotacji. Od najbliższej dzieliła go odległość zaledwie kilku ludzi. Linie otaczały chłopca niby ściany jakiegoś niewidzialnego korytarza, zapraszając go do otchłani nieskończoności.

Każdy uczestnik wyścigu miał surfować wzdłuż linii wirowych, przeciąć Biegun – dach świata – i dotrzeć do płaszczyzny mety. Grupa sędziów wytyczała tam granice jakiejś części nieba niczym ludzkie pająki spinowe. Zwycięzcą zostawał nie ten, kto przebył trasę najszybciej, lecz zawodnik, który wykazał się największymi umiejętnościami technicznymi, najlepszym stylem podczas jej pokonywania.

308

Cris zerknął na szereg rywali. Wiedział, że Ray startuje o trzy stanowiska dalej. Zakwalifikowała się do tegorocznych Igrzysk jako jedyna z jego przyjaciół. Teraz przeżyła swoje gibkie, nagie ciało. Jej odgarnięte włosy odsłaniały twarz o radosnym, wręcz żarłocznym uśmiechu. Zauważyła spojrzenie młodzieńca, uniosła pięść i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Wszyscy surferzy zajęli stanowiska. Cris uważnie obserwował pozostałych zawodników. Rozstawiali stopy na deskach, unosili ramiona i starali się skoncentrować. Sędziowie nadal przesuwali się obok nich jak niespokojne zwierzątka; sprawdzali, czy startujący tworzą równy szereg, popychali deski, jeśli zanadto wystawały. Po chwili zapadła cisza. Sędziowie wycofywali się. Syn Toby poczuł, że wszystkie jego zmysły ulegają wyostreniu. Silnie odbierał istotne, realne bodźce – twardość deski, którą miał pod stopami, syk Magpola, świeżość Powietrza sączącego się do ust i naczyń włosowatych w tak dużej odległości od łona Miasta. Jeszcze nigdy nie czuł się tak pełen życia.

Gdzieś w zakątku jego umysłu kołatała się nieprzyjemna myśl, że już nigdy nie będzie doświadczał podobnych uczuć.

plyw

No cóż, jeśli nawet miało się tak stać – jeśli po tym wspaniałym wyścigu życie miałaby wypełniać rozczarowująca monotonia – to teraz niech to będą jego najwspanialsze chwile. Sędziowie spojrzeli na siebie. Jednocześnie unieśli prawe ręce i z okrzykiem: „Zaczynać!”, gwałtownie je opuścili. Cris pchnął deskę z dziką zawziętością. Czuł, że Magpole napiera na nią i na jego kończyny, ściągane prądami naładowanych cząsteczek. Chłopak rzucił się z wrzaskiem do przodu i przeszył Powietrze. Miał wrażenie, że korytarz z otaczających go linii wirowych wybucha; wokół jego ciała sypały się iskry błękitnobiałego gazu elektronowego. Zauważył, że reszta zawodników też krzyczy, ale starał się ich nie słyszeć. Koncentrował się na desce, na Magpolu, na utrzymaniu równowagi i odpowiedniego ułożenia w Powietrzu. W dole dostrzegł nierówny, porozrywany szereg sędziów. Otworzył usta i znowu wydał nieartykułowany okrzyk. Kątem oka zauważył, że tylko Ray i może jeszcze dwie osoby wystartowały równie dobrze jak on. Wyszedł na prowadzenie!

309

I wiedział, że jego stylowi nic nie można zarzucić. Magpole przepływało przez jego ciało jak fala ciepła. Wyciągnął rękę i patrzył, jak z opuszków palców tryska gaz elektronowy; spowity w błękitne światło musiał wyglądać jak postać ze snu śmigająca przez niebo... Deska gwałtownie wyrznięta w jego stopy. Zaparło mu dech w piersiach i omal z niej nie spadł. Odniósł wrażenie, że uderzył o coś twardego w Magpolu. Ugiął nogi w kolanach, próbując zneutralizować ogromny nacisk od spodu. Mimo to cisnęło nim w górę i balansował na desce z wielkim trudem. Linie wirowe ześlizgnęły się ku niemu, a Unie pływowe Magpola, które przecinał, brutalnie szarpały brzuch i klatkę piersiową. Usłyszał wrzaski pozostałych surferów. Nacisk ustąpił. Cris wyprostował się, chociaż drżał i miał obolałe kolana i kostki. Zaryzykował spojrzenie w lewo i w prawo. Szyk zawodników uległ załamaniu. To, co spowodowało falę, uderzyło w nich równie mocno jak jego. Ray gdzieś przepadła. Zobaczył jakiś blask, który mógł pochodzić od jej deski, wirującej w Powietrzu, ale po dziewczynie nie było śladu. Ogarnął go niepokój – okropne, dotychczas nieznanne poczucie straty, które jednak szybko ustąpiło miejsca radości. Czy to szczęśliwym trafem, czy to dzięki sprawności, udało mu się przeżyć. Wciąż znajdował się na desce, wciąż uczestniczył w wyścigu i wciąż za wszelką cenę chciał wygrać. Jednak czuł, że nadal coś jest nie w porządku. Opadał coraz niżej, pokonując sześciokątny układ linii. Próbował skorygować kierunek lotu, z całej siły napierał na Magpole, a mimo to przeklęty prąd spychał go w dół. To zbiło Crisa z tropu, zdezorientowało. Miał wrażenie, że jest zdradzany przez własne zmysły. Powoli doszedł do wniosku, że to nie instynkt go zawodzi. Przecież utrzymywał kurs z właściwą sobie wprawą. To Linie wirowe same unosiły się wysoko, w kierunku Skorupy. Cris był chłopcem z Miasta, lecz doskonale wiedział, co to oznaczało. Płaszcz pozbywał się momentu pędu ruchu obrotowego. Z a-b u rzę ni e.

310

Nagle, po raz pierwszy, poczuł się zagubiony, słaby, osamotniony. Krzyczał. Pragnął wrócić do odległego, drewnianego łona Parz. Usiłował się skupić. Jeszcze nie znajdował się w obszarze bezpośredniego zagrożenia. Przy odrobinie szczęścia miał szansę ująć całość. Wciąż mknął po niebie, ustawiając kierunek lotu równoległe do dryfujących linii wirowych. Trochę zwolnił i rozejrzał się. Właściwie pozostał sam; ze stu zawodników, którzy rozpoczęli wyścig,

plyw

najwyżej trzydziestu utrzymało się na deskach i sunęło daleko w tyle równolegle do kierunku jego lotu. Po reszcie – włącznie z sędziami – nie było śladu. Miasto wciąż wisiało w Powietrzu niczym zakurzony lampion, mocne i niewzruszone.

Linie wirowe dryfowały szybciej. Wydawały się splątane i niechlujne. Przyjrzawszy się uważniej, stwierdził, że niestabilności biegną wzdłuż linii wirowych zarówno z nadpływu, jak i z podpływu. Potężne, złożone formy falowe przechodziły jedna przez drugą i chyba wzajemnie się wzmacniały.

Cris zerknął przez ramię na daleki nadpływ. Powietrze było tam żółte, puste, pozbawione jakichkolwiek linii wirowych. Nagle przestrzeń zalało fioletowe światło, tak że deska rzucała cień na jego nogi i ręce. Wychylił się poza nią i spojrzał w dół.

Morze Kwantowe wybuchało tuż pod Miastem. Strumień neutrinowy sunął miarowo w kierunku Parz; przypominał ogromną pięść. Crisa ogarnął gniew. Nie, pomyślał. Nie dzisiaj. To miał być mój dzień.

Magpole znowu wezbrało i natychmiast staranowało jego deskę. Wygrywałem! Przecież wygrywałem!

Niby okruch jedzenia płynący ku miejscu trawienia, drewniany cylinder ze swoim cennym ładunkiem ludzi i zwierząt sunął w kierunku nieskazitelnej paszczy urzędnika Ur-ludzi.

Dura pracowała ze świniami powietrznymi, karmiąc je i cierpliwie uspokajając, podczas gdy ich wiatroodrzuty napędzały turbinę. Żeby wprowadzić „Świnię” do bramy tunelu, Hork zatoczył

311

długi łuk i umieścił wehikuł nad jedną z płaszczyzn Złącza. Przez szerokie okna Dura obserwowała wrota tunelu, które na chwilę zniknęły, zanurzając się w migotliwym blasku Podpłaszca, a potem, gdy się do nich zbliżyli, jak gdyby ponownie wyłoniły się z otchłani. Teraz Złącze unosiło się ku nim jak rozpostarta ręka oprawiona w płytę z przezroczystego drewna, umieszczoną na dnie statku. Wewnątrz migotało światło, niemożliwie odległe i niebieskie jak linie wirowe.

Hork zawzięcie sterował „Świnią”. We wcześniejszych fazach podróży sprawiał wrażenie lekkomyślnego, lecz teraz, od czasu spotkania z Kolonistką, był wściekły. Może ten gniew towarzyszył mu zawsze. Albo irytowała go sytuacja ludzi, których pozostawiono zagubionych i bezradnych na tej Gwieździe. Teraz miał kogoś, na kim mógł skupić swoją złość: Karen Macrae i jej nieuchwytnych kompanów w Rdzeniu Gwiazdy.

Durę dziwił jej własny spokój. Wprawdzie bała się i gdy spoglądała w zbliżającą się gardziel tunelu, czuła, jak jej wewnętrzna ciepłość wzbiera, grożąc zmiążdżeniem jej ciała, a z drugiej strony, w przeciwieństwie do Horka nie miała do czynienia z czymś nieznanym. Wiedza Istot Ludzkich była niewzruszona, szczegółowa i analityczna. Wszeczeństwo poza Gwiazdą, wszeczeństwo z przeszłości wykraczający poza tu i teraz – te królestwa były abstrakcyjne i odległe, ale Dura uważała je za równie realne jak świat Powietrza, świń i drzew. Choć nigdy nie widziała Xeelee ani ich dzieł, czy też artefaktów Ur-ludzi, to dorastała świadoma ich istnienia, były dla niej równie naturalne jak dziki powietrzne skorupy.

Być może to, że Istoty Ludzkie pieczołowicie, niemal obsesyjnie przechowywały pozornie bezużyteczną wiedzę z przeszłości, stanowiło teraz mechanizm umożliwiający przetrwanie.

Dziewczyna zauważyła, że Złącze jest już bardzo blisko. Cienkie, doskonałe wierzchołki górnej płaszczyzny rozpościerały się przed wygiętym oknem pojazdu; pozostała część konstrukcji ulegała skróceniu perspektywicznemu.

Po chwili wyraziste linie starodawnego artefaktu zaczęły powoli przenikać przez okna statku jak ostrza noży nacinających

312

plyw

skórę. Dotychczas wehikuł opadał po wyznaczonej trajektorii ku środkowi płaszczyzny, jednak teraz wyraźnie ześlizgiwał się w kierunku ostrej jak nóż krawędzi.

Coś było nie w porządku.

Hork pociągnął dźwignie i uderzył ręką w nietrwałą konsolę.

– Do diabła. Nie reaguje. Występuje w tym miejscu jakieś zaburzenie Magpola – może na skutek obecności Złącza – i...

– Patrz! – Dura pokazała mu coś w dole.

Przewodniczący zerknął na krawędź czworościanu. Jej syczące niebieskie światło rzucało głębokie, ruchome cienie na twarz mężczyzny. Zaklął.

– Zaraz nas uderzy.

– Może nic nam się nie stanie. Może Ur-ludzie zaprojektowali tunel tak, żeby był na tyle bezpieczny jak to tylko możliwe; może pojazd tylko się odbije od tej krawędzi i...

– A może się nie odbije. Może Ur-ludzie nie sądzili, że znajdzie się ktoś tak głupi, by przepychać się przez ich drzwi w drewnianym statku. Myślę, że ta przeklęta krawędź przetnie nas na pół.

Krawędź Złącza, krążąca za oknami, nie przypominała już abstrakcyjnej kreski. Była lśniącym prętem, szerokim jak ramię człowieka.

Dura skuliła się. Pokrzepiała ją obecność świń za plecami; przynajmniej ze strony tych swojskich, ciepłych stworzeń nie groziło jej nic złego.

– Do diabła, spróbuj chociaż. Może uda ci się oprzeć o pole magnetyczne tego Złącza – powiedziała głośno, z naciskiem.

Za ścianami statku nagle rozbłysło intensywne, niebieskobiałe światło, które zalało kabinę i sprawiło, że Dura krzyknęła. Świnie zakwiczały. Znowu ogarnął je strach. Mężczyzna zakołysał się na fotelu, a dziewczyna chwyciła uprząż krepującą swinie.

– Uderzyliśmy! – wrzasnęła. Hork pociągał dźwignie.

– Nie. To pole samego statku; widocznie ociera się o tę krawędź...

Statek reaguje. Dura, chyba masz rację. Myślę, że zaczynam oddziaływać na pole Złącza. Do licha, nie przestawaj karmić zwierząt! Światło nadal migotało, a pojazd drżał w stałym, gwałtownym

313

rytmie. Dura uczepliła się uprzęży zaprzęgu i usiłowała nieprzerwanie karmić swinie.

Powoli, dręczące powoli, krażenie krawędzi ustawało, a błękitny, oślepiający blask, który wypełniał kabinę, zaczynał tracić na intensywności. Dziewczyna wyjrzała przez okna. Krawędź oddalała się, a magnetyczne błyski stawały się coraz rzadsze i nieregularne, aż w końcu zupełnie zanikły.

Wehikuł otaczały teraz trzy krawędzie płaszczyzny, a za plecami Dury powoli podnosiła się zaporą z bladego światła. Uświadomiła sobie, że statek pokonuje płaszczyznę i przedostaje się do środka Złącza.

– Tak – mruknęła. – Ale wcale nie jesteśmy bezpieczni. Hork uniósł ręce nad płytą kontrolną. Rozmyślnie popchnął wszystkie trzy dźwignie do przodu. Pojazd zafalował i ruszył ku wnętrzu Złącza.

Dura usłyszała szum prądu we wstęgach z materii rdzeniowej, oplatających kadłub.

– Ruszamy dalej – oświadczył Przewodniczący.

Dura spodziewała się ujrzeć od wewnątrz błękitne linie Złącza.

Jednak nie dostrzegała żadnych innych płaszczyzn i pozostałej części tunelu. Za ścianami wehikułu rozciągał się teraz jedynie mrok,

ciemniejszy nawet od zmiernychu Podpłaszcza. Wydawało się, że wlatują nie do świetlnego pudła, ale do kanału, który przypominał

jedną z obskurnych alei Parz. Dziewczyna odnosiła nawet wrażenie, że dostrzega zarysy korytarza rozciągającego się od Złącza aż do

nieskończoności; czerń w czerni, przypominała to zagładanie do gardła. W głębi migotało ostre, ciche i oddalone światło, które na krótko

rozjaśniało zamglone ściany. Każdy błysk odsłaniał jakiś fragment,

plyw

dzięki czemu przed oczami Dury z wolna powstawał kompletny obraz. Okazało się, że korytarz jest cylindrem o gładkich ścianach, szerokim mniej więcej na pięciu ludzi...

A jaka była jego głębokość?

Zewsząd otaczały ich teraz ściany. Wydawało się, że ta hebanowa gardziel całkowicie pochłonięta kruchy stateczek. Dura czuła, jak strumień Powietrza owiewa naczynia włosowate jej głowy. Ściany, rozbłyskujące co pewien czas, sunęły nad „Latającą Świnia” niby fragmenty jakiegoś snu. Wydawało się, że zbiegają się gdzieś w oddali, wokół punktu w nieskończoności,

314

ale to było przecież niemożliwe – wszak Złącze, czworopłaszczynowa konstrukcja ze światła, miało szerokość dziesięciu, co najwyżej dwunastu ludzi.

Korytarz był jednak bardzo długi – niewyobrażalnie długi – albowiem zadanie tunelu czasoprzestrzennego polegało na łączeniu odległych miejsc. I właśnie teraz Dura wchodziła do takiego tunelu; niebawem statek miał przelecieć przez tego rodzaju obiekt i wyłonić się...

Gdzieś indziej.

Przez chwilę dziewczyna odczuwała prymitywny, irracjonalny, mroczny i paraliżujący strach. Odnosiła wrażenie, że tajemniczość tego wszystkiego przytłacza jej wzrok, słuch, tłamsi świadomość.

Zamknęła oczy i objęła palcami miękką, skórzaną powierzchnię uprząży. Czy teraz miała się poddać zabobonnemu lękowi?

Powtarzała sobie, że tunel jest sztuczną konstrukcją, i to dziełem ludzkich rąk – być może wykonali go Ur-ludzie, lecz oni również byli ludźmi. Postanowiła, że nie będzie bać się jakiegokolwiek maszyny.

Zmusiła się do otworzenia oczu.

Statek zadygotał.

– Za szybko! – krzyknęła. – Do cholery, lecimy za szybko.

Przewróćmy się, jeśli nie zwolnisz... Czyś ty oszalał?

Hork nadal przykrywał dźwignie wielkimi rękami, ale kiedy odwrócił się do Dury, jego szeroka twarz nie wyrażała żadnych emocji oprócz zdziwienia.

– To nie ja – wycedził. – Chciałem powiedzieć, że to nie statek... nie poruszamy się już za pomocą naszego napędu. Dura, jesteśmy wciągani do tunelu. – Popatrzył na małą tablicę rozdzielczą, jakby szukał na niej odpowiedzi. – A ja nic nie mogę zrobić.

Cris sunął po wzburzonym Magpolu niemal bezwiednie. Gapił się jak urzeczony na strumień neutronowy, niemal zapominając, że grozi mu niebezpieczeństwo. Strumień tworzył ciemną, niewyobrażalnie masywną wieżę, która wystawała ze skłębionej masy Morza Kwantowego. W Powietrzu Płaszczka unosiły się ku

315

tej kolumnie kleiste, fioletowe odłamki Morza, które sunęły spiralnym ruchem wzdłuż zbitych linii pływowych Magpola. W strumieniu znajdowały się substancje z otchłani Gwiazdy

– tak głęboko nie zapuściłby się żaden Dzwon, ani nawet drewniany statek Horka. W neutronowej fontannie występowała materia

wyrzucana z ogromnego, pojedynczego jądra – które tworzyło duszę Gwiazdy – zza mglistej granicy między Morzem i Rdzeniem.

Materia strumienia była hiperonowa; każdy hiperon stanowił zbitkę kwarków, o wiele masywniejszą od zwykłego nukleonu.

Zjawisko wymiany kwarków wiązało hiperony w kompleksy, tworząc skomplikowane fraktale. Jednakże struktura materii, wypływanej przez gardziel Bieguna, ulegała rozpadowi, niezdolna do przetrwania w niskim ciśnieniu Płaszczka. Paczki kwarków ulegały rozbiciu, uwalniając mnóstwo energii i przekształcając się w deszcz nukleonów. Swobodne nukleony – protony i neutrony – błyskawicznie zastygały w bryłkach coraz chłodniejszej materii jądrowej.

Taki śmiertelny grad właśnie zasypywał Płaszczkę i wkrótce

plyw

miał wzbić się wyżej, w kierunku Miasta. Cris czuł energię wyzwalaną przez potężną, unoszącą się coraz wyżej falę hipero-nowego rozpadu; neutrina przenikały jego ciało; gorące i ostre jak igły, zmierzały ku pustce nad Skorupą.

Wydawało mu się, że spiralne ścieżki naładowanych brył zamarzającej materii rdzeniowej ulegają zniekształceniu – spłaszczeniu – jak gdyby samo Magpole zmieniało się w odpowiedzi na katastrofę. Nagle zrozumiał.

Magpole rzeczywiście ulegało zmianie. Erupcja ogromnej ilości naładowanej materii rdzeniowej zakłóciła je. Ta morska fontanna była jak prąd elektryczny, niewyobrażalnie silny, który przechodząc przez środek magnetycznego bieguna Gwiazdy, podjął walkę z jej własnymi, wielkimi źródłami pola magnetycznego, umiejscowionymi w Rdzeniu.

To, co czuł Cris – niespodziewany, nagły wzrost napięcia Pola – było jedynie dalekim echem tamtych potężnych zakłóceń.

... Teraz jednak jedno z tych ech magnetycznych przemykało

316

obok niego. Tym razem ześlizgnął się z deski i krzyżąc runął do przodu. Deska wyrznięta w klatkę piersiową Crisa i podrzuciła chłopca w górę, ku Skorupie. Przywarł do deski bezradnie, usiłując postawić stopy na jej gładkiej powierzchni. Unosił się z prędkością, której nigdy nie zdołałby osiągnąć, surfując. Wiedział, że jeśli utraci deskę, czeka go pewna śmierć. Myśli krążyły w jego głowie jak oszalałe. Może zostanie wyrzucony aż za Skorupę! Co wtedy? Czyjego ciało rozpadnie się na chłodne bryłki w istniejącej tam pustce, tak jak materia rdzeniowa zamarzała w Płaszczu?

Czy będzie jeszcze przytomny, gdy do tego dojdzie?

Ale pęd ku górze zanikł równie gwałtownie, jak się pojawił.

Deska uspokoiła się, wisząc w Powietrzu. Ciężko dysząc, Cris wciągnął się na nią. Bolała go klatka piersiowa na skutek nacisku wywieranego przez deskę podczas szalonego lotu ku Skorupie. Daleko w dole znajdowało się Miasto. Mógł jeszcze dostrzec niektóre szczegóły jego cielska – Grzbiet, otwarte wloty przeładunkowe, wzorzysty Ogród nakryty kopułą na szczycie. Poczował ulgę, a nawet trochę wstydu. Nie mógł zostać wyrzucony aż tak bardzo wysoko.

Ostrożnie przyciągnął kolana pod siebie, postawił stopy na desce surfingowej i wstał. Magpole drżało jak żywy organizm. Kołysał deskę, wychylając obolałe kostki u nóg, ale na razie Pole wydawało się dość stabilne. Przewidywalne. Mógł na nim surfować... i wiedział, że będzie musiał surfować, gdyż inaczej nie zdoła ocalić życia.

Spojrzał na niebo. Był teraz sam. Nie widział żadnego ze stu pozostałych surferów. Znowu zaczęło go rozpierać poczucie triumfu, któremu towarzyszyło zawstydzenie. Czy przetrwał dlatego, że był najlepszy? A może po prostu miał szczęście?

Pamiętał również, że i on może zginąć, tak jak tamci, jeszcze zanim ten dzień dobiegnie końca.

Linie wirowe wokół niego skręcały się, dręczone niestabilno-ściami; przedziwnymi, niezdarnymi formami, które wypaczały się w biegu, gromadząc energię. Koniec linii wirowych – granica Powietrza, poza którą nie było tych linii – pędził ku niemu, tworząc zwartą ścianę próżni. Wiedział, że w tym regionie na skutek kontaktu z burzą neutronową z Rdzenia, Powietrze ulega

317

takim zakłóceniom, iż traci nadciękłość. Wiedział, że nie będzie mógł surfować z powodu wielkiego tarcia. Do diabła, nie będzie w stanie nawet oddychać. Jego naczynia włosowate zatkają się, a serce nie wytrzyma zetknięcia z gęstniejącym Powietrzem.

Potrząsnął głową, usiłując się skoncentrować. Spojrzał w dół.

Musiał wrócić do Miasta, zanim dosięgnie go turbulencja. Jednocześnie zadawał sobie pytanie: dlaczego tam miałoby być bezpieczniej niż gdziekolwiek indziej? Znowu pokręcił głową i skarcił samego siebie.

Parz było jedynym miejscem, do którego mógł się udać, bez względu

plyw

na to, czy było bezpieczne, czy nie. Dlatego musi do niego wrócić. Jednakże wokół Miasta już zaczynały przemykać bryły zamrożonej materii Morza. Wystarczyło muśnięcie jednego z takich kawałków... Rozmyślanie o tym nie miało sensu. Cris rozstawił stopy na desce, ugiął nogi i rzucił się naprzód.

Surfował tak jak nigdy przedtem, i być może nikt dotąd jeszcze tak nie surfował. Napierał na deskę raz po razie, utrzymując delikatne linie jej inkrustacji z materii rdzeniowej w poprzek drżącego Magpola. Wbijał się pomiędzy wzburzone linie wirowe, kołysząc się i nurkując. Wkrótce nabrał takiego rozpędu, że poczuł podmuch śladowego – zwykłego, nie nadciekłego – składnika Powietrza, smagający jego włosy i twarz. Mimo to nadal przyśpieszał, naciskając deskę stopami tak mocno, że czuł w nich ból.

W oddali majaczył jakiś obiekt, nowy element chaosu, w którym pograżyło się niebo. Cris zaryzykował i zerknął w tamtą stronę. Zobaczył linie na niebie, przecinające Skorupę w poprzek linii wirowych i przenikające aż do Rdzenia. Te błękitnobiałe promienie penetrowały przestrzeń Rdzenia, mieszając w nim jak łyżki w zupie. Chłowiec znalazł się w dziwnym deszczu, padającym w górę z powierzchni wstrząsanego eksplozjami Morza. Były to zamrożone, nieregularne, zbite bryły szerokie na dwóch, trzech ludzi. Sunęły ku Skorupie dookoła niego; ich ostre krawędzie błyszcząły, a wnętrza wypełniał fiolet Morza. Miały swoje własne, wirujące pola magnetyczne. Gdy przemykały obok, upiorne „palce” pływowe szarpały Crisa. Leciał po łuku nad Biegunem, w kierunku Miasta. Zginał nogi, kręcił biodrami i szyją, pokonywał ślalo-

318

mem wzburzenia linii wirowych i przelatujące obok kawałki morskiej materii.

Co za sport! To było cudowne! Cris krzyczał, dając upust radości. Widział przed sobą Miasto. Przypominało balon. Jego Skóra pęczniała nierównomiernie, w odrażający sposób, jakby ktoś nadmuchiwał ją od wewnątrz.

Był już prawie w domu.

Na krew Ur-ludzi, pomyślał. Może nawet uda mi się wyjść z tego cało. Gdyby rzeczywiście tak się stało, miałby wspaniałą historię do opowiadania. Byłby wielkim bohaterem...

Ale Magpole zdradziło go, wzbierając ponownie.

Tym razem upadł. Uderzył plecami w deskę. Zaparło mu dech w piersiach i stoczył się, na próżno usiłując chwycić krawędź swojego drogocennego kawałka drewna.

Deska potoczyła się ku fasadzie Miasta.

Spadając nago w Powietrzu, obserwował jej oddalający się kształt. Próbował fałować, wywijając nogami w Powietrzu, ale brakowało mu sił. Nie był w stanie oprzeć się na Magpolu.

Tak czy owak, poruszał się zbyt szybko.

Dziwił się, że nie odczuwa strachu, a jedynie coś w rodzaju żalu.

Był już tak blisko, a jednak nie udało mu się...

Przed jego oczami wyrosła potężna ściana – skóra Parz.

23

Z Bieguna napływały strumienie stygnących kawałków Morza Kwantowego, potężne i zagrażające Miastu.

Na stadionie wybuchła panika.

Adda wychylił się ze swojego kokonu i patrzył w dół. Stadion przemienił się w skłębioną masę ludzkich torsów i walczących kończyn. Sieć służących za poręczce delikatnych lin, które przecinały to gigantyczne pomieszczenie, zerwała się, wywołując jeszcze większy chaos, gdy tysiąc ludzi próbowało uciekać. Tłum był jak stado uwięzionych zwierząt. Zagubiony w ogólnym bałaganie nadpływowiec zauważył fioletowe mundury stewar-

319

dów i sprzedawców żywności, którzy przedzieraali się do wyjścia

podobnie jak reszta widzów.

Było oczywiste, że wszyscy chcą opuścić stadion, ale dokąd mieli nadzieję się udać? Gdzie znajdowała się bezpieczna strefa? W przytulnej Skórze Miasta? Ależ była ona tylko osłoną z drewnianych płyt o żebrach z materii rdzeniowej; pękłaby jak skórzany bukłak, gdyby...

Został mocno kopnięty w plecy. Jęknął, gwałtownie wydychając Powietrze, i runął do przodu. Po chwili pękła lina, kotwicząca jeden z końców jego kokonu, i uwięziony Adda okręcił się.

Wygramolił się z uszkodzonego leżyska, pomimo oporu zeszywniałych stawów. Był gotowy zmierzyć się z osobą, która go uderzyła. Jednakże nie potrafił odszukać napastnika. W loży Komitetu roiło się od panikujących dworzan. Ich pokryte makijażem oblicza wykrzywiały strach. Starali się wydostać z kokonów i krepującej ruchy garderoby. Adda otworzył usta i śmiał się z tych ludzi. Więc cały ten przepych i wielkopańskie tytuły nie zapewniały żadnej ochrony przed śmiertelnym przerażeniem. Gdzież teraz była ich władza? Muub również próbował opuścić swój kokon, bardzo mu się śpieszyło.

– Dokąd chcesz się udać? – zapytał stary przybysz z nadpływu.

– Naturalnie do szpitala. – Lekarz podkasał swoją szatę i rozejrzał się po loży, szukając najszybszej drogi na zewnątrz. – Dzisiejszy dzień zapowiada się pracowicie... – Nagle, pod wpływem jakiegoś impulsu, chwycił Addę za ramię. – Nadpływowcze, chodź ze mną. Pomóż mi.

Adda znowu miał ochotę się roześmiać, ale dostrzegł szczerą w oczach Muuba.

– Dlaczego ja?

Medyk wskazał gramolących się niezdarnie dworzan.

– Adda, spójrz na tych ludzi – odparł znużonym głosem. – Niewielu z nich umie sobie radzić w kryzysowych sytuacjach. – Popatrzył uważnie na nadpływowca. – Myślisz, że brakuje mi wrażliwości – że jestem oziębły i trzymam ludzi na dystans. Może to prawda. Ale pełnię funkcję lekarza wystarczająco długo,

320

by nie mieć kłopotu z ustaleniem, na kim można polegać. A ty, Adda, należysz do takich osób. Proszę.

Starzec był poruszony jego zaskakującym wyznaniem, ale wyswobodził ramię z uścisku Muuba.

– Obiecuję, że przyjdę, jeśli będę w stanie. Jednak przede wszystkim muszę odnaleźć Farra – swojego krewniaka.

Lekarz szybko skinął głową. Bez słowa zaczął się przepychać przez tłum dworzan, którzy wciąż blokowali wyjście z loży. Łokcie i kolana bardzo mu w tym pomagały.

Adda jeszcze raz rzucił okiem na zatłoczony stadion. Ścisk już wywoływał zabójcze skutki: starzec dostrzegał zapadnięte klatki piersiowe, bezwładne kończyny, pozbawione dostępu Powietrza twarze, które na tle skłębionych ciał przypominały blade kwiaty. Odwrócił się i popędził ku wyjściu.

Farr mógł przebywać w wielu miejscach – z Jeźdźcami Skóry poza Miastem albo gdzieś w górze, tam gdzie rozgrywano wyścig surferów, albo niżej, w Porcie, wraz z dawnymi kolegami z pracy. W każdym razie, na pewno starałby się kierować do domu Toby, żeby odszukać Addę. Środkowa część Góry, którą zamieszkiwali Mixxaxowie, znajdowała się na drugim końcu Parz, dlatego mimo ogólnego zamieszania stary myśliwy musiał się przedrzeć przez Miasto.

Odniosł wrażenie, że jakiś złośliwy olbrzym, śmiejący się niczym burza spinowa, chwycił drewnianą metropolię i z całej siły nią potrząsnął. Ludzie, młodzi i starzy, dobrze ubrani bogacze i niechlujni pracownicy fizyczni uciekali ulicami. Ich okrzyki niosły się echem po alejach i szybach powietrznych. Być może każda z tych

plyw

czmychających osób miała jakiś ukryty cel podczas tego Zaburzenia, tak jak Adda, ale razem przypominały bezładny rój. Dla wiekowego nadpływowca była to podróż przez piekło. Nigdy dotąd nie czuł się tak skrepowany, ograniczony ścianami ciasnego pudła, które zbudowali wariaci dla wariatów. Tęsknił za otwartym Powietrzem, gdzie mógłby widzieć to, co wyczynia Gwiazda. Dotarł do Pali Mali. W ogromnej, pionowej, zalanej światłem alei panował zgiełk; ludzie i samochody wpadali na siebie, a głośniki donośnie charczały. Wystawy sklepowe były porozbijane.

321

Mężczyźni i kobiety biegali w tłumie z naręczami towarów – ubrań, biżuterii. Nad jego głową, w wyżej położonej części Mali, na samej Górze, złociste światło Pałacowego Ogrodu sączyło się przez miniaturowe krzewy i stawy, majestatyczne i piękne jak zawsze. Jednakże teraz szeregi strażników broniły wstępu na tereny Pałacu każdemu obywatelowi, który uznałby, że tędy można uciec. Znalazłszy się blisko centrum arterii, Adda miał ochotę śmiać się do rozpuku. Strażnicy. Szabrownicy... Cóż ci ludzie mieli nadzieję osiągnąć? Czy rozumieli, co się dzieje dookoła? Doprawdy, byłoby świetnie, gdyby ich ukochane Miasto przetrwało katastrofę chociażby w takim stopniu, aby szabrownicy mieli okazję pochwalić się nieuczciwie nabytymi dobrami.

Jakby reagując na jego myśl, Parz zachwiało się. Mali – potężny, pionowy szyb wypełniony ludźmi i światłem – przechylił się na prawo. Adda kończynami młócił Powietrze, usiłując odzyskać równowagę. Szokująco gwałtownie ulica przemieściła się. Po chwili rozległ się donośny jęk. Przybysz z nadpływu usłyszał trzask pękającego drewna, a także przeraźliwy pisk, który musiał towarzyszyć zniszczeniu żebra z materii rdzeniowej.

Ludzie spadali w Powietrzu niczym deszcz.

W swojej bezradności byli mało ludzcy – przypominali przedmioty nieożywione, drewniane rzeźby. Ich ciała uderzały o wystawy sklepowe i kolumny nośne. Mali rozbrzmiewała okrzykami ofiar i cichymi, przyprawiającymi o mdłości trzaskami. Jakaś kobieta wyrznęła w żebra Addy i jeszcze raz zaparło mu dech w piersiach. Przywarła do niego z desperacką siłą, jakby sądziła, że mogłaby ją ochronić przed tym wszystkim. Musiała mieć tyle samo lat, co on. Miała na sobie bogato zdobioną, ciężką szatę, która rozdarła się, odsłaniając nagi, otłuszczony tors o obwisłych piersiach. Jej włosy tworzyły kłęb splątanych, pomalowanych na niebiesko pasemek, żółtych u nasady.

– Co się dzieje? Och, co się dzieje? Adda odsunął kobietę od siebie. Starał się zrobić to bardzo delikatnie.

– To Zaburzenie. Rozumiesz? Magpole przemieszcza się – zniekształca je naładowana materia, wybuchając z Morza Kwantowego. Miasto usiłuje znaleźć nową, stabilną...

322

Urwał. Nie spuszczała oczu z jego twarzy, ale w ogóle nie słuchała tego, co mówił.

Zsunął rozdarte poły jej sukni. Potem niemal siłą zaciągnął ją na drugą stronę Mali i zostawił uczeponą kolumny przed fasadą sklepu. Może odzyska zmysły i zdoła odnaleźć drogę do domu. Jeśli nie, Adda nie mógł już wiele dla niej zrobić.

Udało mu się wyjść na boczną ulicę. Falował po niej szybko w dół, wymachując nogami. Usiłował nie zauważać zniszczeń, które go otaczały.

Podróż przez tunel trwała zaledwie kilka uderzeń serca, ale Durze wydawała się wiecznością. Przywarła do swojego miejsca; czuła się równie bezradna i przestraszona jak kwiczące świnię. Pomimo że Hork miotał się przy konsoli, „Latająca Świnia” nie dawała się kontrolować i stukała o prawie niewidoczne ściany korytarza. Wokół niezgrabnego statku co rusz wybuchały imponujące

błyski.

Koniec przyszedł nagle.

W nieskończoności, pod opadającym statkiem, zaśniono błękitne światło elektryczne. Sunęło korytarzem jak pięść, której ciosu nie można było uniknąć. Dura wpatrywała się w nie, mimo że od jego intensywności piekły ją oczy.

Światło eksplodowało, zalewając pokład statku i przeobrażając lampy w kabinie w zielone widma. Świnie ryknęły.

Po chwili światło zanikło, a raczej, jak uświadomiła sobie dziewczyna, zakrzepło wokół pojazdu w postaci kolejnej czworosciennej konstrukcji. Ta cieniutko zarysowana klatka światła wirowała z majestatycznym wdziękiem; wypłuta z tunelu „Świnia” prawie zupełnie się zatrzymała, powoli opadając.

Za klatką światła znajdowała się jedynie ciemność.

Dura rozejrzała się po wnętrzu statku. Nie dostrzegła żadnych uszkodzeń kadłuba. Turbina również była na swoim miejscu, nie uszkodzona. Kwiczenie świń powoli ustało, podobnie jak smród wiatroodrzutów, które miały zwierzętom pomóc w ucieczce.

Hork pozostał w fotelu pilota. Wyglądał przez okna. Jego duże usta były rozwarłe niczym trzeci oczodół pośrodku brody.

Dziewczyna powoli zbliżyła się do niego.

323

– Nic ci nie jest?

Z początku wydawało się, że nie usłyszał jej pytania. Wreszcie powoli odwrócił głowę, spoglądając na Durę.

– Nie jestem ranny. – Wykrzywił twarz w uśmiechu. – Nie wiem, ile mi zostało zdrowia po tej małej podróży, ale przynajmniej nie jestem ranny. A ty? Świnie?

– Czuję się dobrze. Zwierzęta też.

– A turbina?

Podziwiała Przewodniczącego za to, że tak szybko zapomniał o niesamowitościach wyprawy i skupił się na sprawach praktycznych. Wzruszyła ramionami.

Skinał głowę.

– Dobrze. To oznacza, że możemy się poruszać.

– Tak – odparła powoli. – Chyba tak. Ale tylko pod warunkiem, że Magpole rozciąga się tak daleko.

Obserwował jej twarz, a potem niepewnie spojrzął przez okno.

– Myślisz, że się nie rozciąga? Że przekroczyliśmy granicę Magpola?

– Przebyliśmy długą drogę, Hork.

Dura odwróciła się i zaczęła oglądać swoje dłonie. Cienie na skórze były łagodne, srebrzyste; miała wrażenie, że rozproszone światło wygładza piętna czasu na jej ciele: zmarszczki i małe blizny. Zaraz, zaraz. Srebrzyste?!

Światło na zewnątrz statku zmieniło się.

Odsunęła się od Horka i wyjrzała przez okno wehikułu.

Czworościan z błękitnego światła zniknął. Wokół znajdował się teraz pokój, czworoscienne pudło zbudowane z jakiejś jednolitej szarej materii. Wydawało się, że ta gładka jak skóra substancja opatuliła szkielet konstrukcji, przeobrażając Złacze z otwartej klatki w pudło o czterech ścianach, okalające „Świnie”.

Ściany nie były całkowicie jednolite. Na jednej z nich widniało coś w rodzaju dekoracji – okrągłe, wielobarwne plamy – a w drugiej znajdował się wycięty prostokąt o zaokrąglonych brzegach, który mógł pełnić jedynie funkcję drzwi.

Ale dokąd prowadziły te drzwi?

324

Hork podrapał się po głowie.

– Hm. No i co teraz? Zauważyłaś, skąd wzięły się te ściany?

Dura przycisnęła twarz do okna z przezroczystego drewna.

– Hork, wydaje mi się, że już nie jesteśmy w Podpłaszczu.

plyw

- Tylko zgadujesz. - wykrzywił twarz, sfrustrowany. Pokazała mu pomieszczenie za oknem.
- Myślę, że tam jest Powietrze. I chyba bylibyśmy w stanie tam przeżyć.
- Skąd możesz to wiedzieć?
- Oczywiście nie mogę tego wiedzieć. - Durę ogarnęła spokojna pewność. Uświadomiła sobie, że zaczyna czuć się bezpiecznie, ufać mocom, w których ręce się oddała. - Ale dlaczego mielibyśmy zostać sprowadzeni do miejsca, które byłoby dla nas zabójcze? Jaki cel miałyby takie działania?
Zmarszczył brwi.
- Sądziś, że to wszystko jest - zaplanowane? że nasza podróż miała się odbyć w taki sposób i doprowadzić nas tutaj?
- Tak. Od momentu, gdy wlecieliśmy do tunelu, nasz los zależy od starożytnych maszyn Ur-ludzi. Z pewnością skonstruowali swoje urządzenia tak, aby nas chroniły. Myślę, że możemy im zaufać.
Hork wziął głęboki oddech. Cienki materiał napiął się na jego klatce piersiowej.
- Twierdzisz, że powinniśmy wyjść na zewnątrz? wyłączyć turbinę i powłokę magnetyczną - zostawić „świnie” i wyjść stąd?
- A w jakim innym celu zjawiliśmy się tutaj? - Uśmiechnęła się.
- Tak czy owak, chcę obejrzeć te znaki na ścianach.
- W porządku. Jeśli nie zostaniemy zmiażdżeni w pierwszej chwili, będziemy wiedzieli, że miałaś rację. - Kiedy podjął decyzję, od razu ożywił się i znowu zaczął nim kierować pragmatyzm. - A poza tym i tak trzeba dać świniom odpocząć.
- Tak - odparła Dura. - Myślę, że przyda im się trochę wytchnienia.
Hork odwrócił się do tablicy rozdzielczej i zaczął manipulować pokrętłami. Dura karmiła świnie garstkami zdrowych liści. Podczas gdy zwierzęta jadły, ich wiatroodrzuty zamieniały się

325

w małe strużki, a turbina pracowała coraz wolniej, turkocząc leniwie. W kabinie zrobiło się zupełnie cicho, po raz pierwszy od rozpoczęcia wyprawy.
- Już go nie ma - szepnął Hork. - Naszego pola magnetycznego. Jest całkowicie wyłączone.
Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Serce Dury waliło jak młot. Uświadomiła sobie, że boi się zaczerpnąć oddechu.
Nic nie uległo zmianie. Wehikuł w dalszym ciągu opadał powoli w komorze zbudowanej z szarych ścian.
Hork wyszczerzył zęby w uśmiechu.
- No, cóż, jeszcze żyjemy. Wygląda na to, że miałaś rację. A teraz... - pokazał właz w górnej części statku. - Idziesz pierwsza - oznajmił.
Właz otworzył się z cichym trzaskiem.
Dura podskoczyła nerwowo, kiedy jej twarz owionął jakiś gaz. Czy to Powietrze? Uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Przemagając się, zrobiła wydech, opróżniając płuca i otworzyła usta, żeby głęboko odetchnąć.
- Nic ci nie jest? westchnęła.
- Nie. Wszystko w porządku. To dzięki Powietrzu, Hork...
Wygląda na to, że oczekiwali naszego przybycia. - Pociągnęła nosem.
- Powietrze jest chłodne - chłodniejsze niż wewnątrz statku. I jest - nie wiem, jak to opisać - jest świeże. Czyste.
Czyste w porównaniu z zatechłym Powietrzem Miasta, do którego przywykła. Kiedy zamknęła oczy i wdychała dziwne Powietrze, prawie odnosiła wrażenie, iż znowu znajduje się w nadpływie, wśród Istot Ludzkich. Prawie... coś się nie zgadzało. Po chwili wiedziała. Powietrze tutaj było monotonne, pozbawione życia, sztuczne. Powoli uświadomiła sobie, że zostało oczyszczone z wszelkich zapachów.
Hork przepchnął się do przodu, do dużego pomieszczenia. Roz-

giądał się dookoła, zaciskając pięści w geście agresywnego zainteresowania. Jego jaskrawa szata kontrastowała ze stonowanym szarym blaskiem ścian. Zwalczywszy strach, Dura poleciała za nim, oddalając się od złudnie bezpiecznej przystani – drewnianego statku. Zwisali w Powietrzu komory Złącza tunelowego. „Latająca Świnia” opadała powoli obok nich; wyszczerbiony, prymitywny cylinder z drewna nie pasował do tego precyzyjnie skonstruowanego pomieszczenia.

– Gdyby konstruktorzy Ur-ludzi mogli nas teraz zobaczyć, ciekawa jestem, co by powiedzieli. Hork chrząknął.

– Zapewne: „Gdzieście byli przez tyle czasu?” – odparł. Zaczął falować na próbę i pokonał odległość jednego człowieka. – Hej, tutaj występuje pole magnetyczne.

– Czy to jest Magpole?

– Nie wiem. Trudno powiedzieć. Jeżeli tak, to jeszcze nigdy nie wyczuwałem go tak słabo.

– Może jest sztuczne... umieszczone wyłącznie po to, żeby pomóc nam w poruszaniu się.

Hork uśmiechnął się. Jego pewność siebie wyraźnie wzrosła.

– Myślę, że masz rację, Dura. Ci ludzie rzeczywiście się nas spodziewali, prawda? – Zerknął przez ramię na „Świnie” i dokonał szybkiej inspekcji statku. Wyciągnął rękę, z której zwisał ozdobny rękaw. – Spójrz tylko – powiedział. – Sprowadziliśmy tu pasażera.

Dura odwróciła się. Do boku statku przywierał obiekt przypominający wielką metaliczną pijawkę i psujący regularną, cylindryczną sylwetę wehikułu.

– To materia rdzeniowa – stwierdziła dziewczyna. –

Przywieźliśmy ze sobą berg mateńi rdzeniowej. Towarzyszył nam w ciągu całej drogi przez tunel. Widocznie przyczepił się do naszych wstęp polowych...

– Tak – zgodził się Hork. – Ale nie było to dziełem przypadku. – Szyderczo zasalutował w stronę bryły mateńi rdzeniowej. – Karen Macrae. Jakże się cieszę, że mogła nam pani towarzyszyć!

327

– Myślisz, że ona tam jest? W tym bergu?

– Dłaczego nie? – Uśmiechnął się do niej. Jego oczodoły pociemniały z podniecenia. – To jest możliwe. Wszystko jest możliwe.

– Ale dlaczego?

– Ponieważ ta podróż jest dla Karen Macrae równie ważna jak dla nas, moja droga.

Dura zgięła nogi. Dzięki falowaniu z łatwością przemieszczała się w Powietrzu. Oddalała się od kadłuba „Świni” i sunęła ku ścianom pomieszczenia. Ostrożnie wyciągnęła rękę i położyła na szarej wykładzinie. Powierzchnia wydawała się córce Logue'a idealnie gładka, trochę zimna w dotyku – zimniej sza niż jej własne ciało, ale nie odczuwała żadnych przykrych sensacji.

– Dura! – zawołał Hork. Sprawiał wrażenie podekscytowanego. Właśnie oglądał wystawę na ścianie, którą dziewczyna zdążyła zauważyć jeszcze z wnętrza „Świni”. – Zbliź się i popatrz.

Dura energicznym ruchem przysunęła się do Horka. Teraz oboje, ramię w ramię, przyglądali się wystawie.

Na ścianie były namalowane dwa kręgi różniące się rozmiarami. Większy był żółty i mógł mieć jeden mikron szerokości. Kolor wydawał się ciemniejszy w środku koła, lecz w miarę jak obserwator kierował wzrok bliżej krawędzi, stawał się coraz jaśniejszy, prawie niewidoczny. Powierzchnię dysku znaczyły liczne niebieskie nitki, docierające aż do jego wnętrza. Dura pomyślała, że po trosze przypominają one linie wirowe, tyle że wcale nie biegły równoległe do

plyw

siebie, lecz nawet przecinały się w niektórych miejscach. Każda niebieska żyłka zakończona była z obu stron małutkimi różowymi czworościanami. Największa koncentracja czworościanów występowała w centralnej części kręgu, toteż linie za-pętlały się wokół intensywnie żółtego środka. Jednakże pięć, sześć linii było odłączonych od centralnie położonego węzła. Jedna z nich kończyła się na skraju dysku, tuż pod jego powierzchnią. Pozostałe wychodziły z koła, tworząc chwytne wężyki. Wkraczały w pustą przestrzeń dzielącą dwa elementy rysunku i prowadziły do drugiego, mniejszego kręgu, w którego obrębie rozpychało się, niczym owady, pół tuzina czworościanów.

328

Dura zmarszczyła brwi, zbita z tropu.

– Nie rozumiem. Być może te małe czworościany mają coś wspólnego z tunelami.

– Naturalnie, że tak! – wypalił Hork. Jego ton wykluczał wątpliwości. – Nie widzisz? To jest mapa – mapa całej Gwiazdy. – Wodził opuszką palca po diagramie. – Tu masz Skorupę, a w jej obrębie znajduje się Płaszcz – o, ta jaśniejsza, najbardziej wysunięta na zewnątrz obwódka – który zawiera nadające się do oddychania Powietrze. Cały znany nam świat. – Żłobił palcem rowek w kierunku środkowej części obrazu Gwiazdy. – Te ciemniejsze rejony symbolizują Podpłaszcz i Morze Kwantowe – natomiast tutaj widać Rdzeń.

– A czworościany, nitki, które je łączą...

– ...Są mapami tuneli czasoprzestrzennych! – W szeroko otwartych oczach Horka odbijało się szare światło komory. – Czy to nie jest oczywiste, Dura? Popatrz. – Szturchnął „Rdzeń”. – A tutaj znajdują się Złącza tunelowe, sprowadzone do Rdzenia przez Kolonistów po zakończeniu wojen Rdzeniowych. W każdym razie, jest tu większość Złączy. A korytarze tuneli – oznakowane tymi nitkami – prowadzą z powrotem do Rdzenia.

Powoli uświadamiała sobie konsekwencje jego słów.

– A zatem istnieje mnóstwo tuneli – tuziny, setki – nie tylko ten jeden, przez który podróżowaliśmy?

– Tak. Tylko pomyśl, Dura. Kiedyś tunele musiały dziurawić całą Gwiazdę. – Potrząsnął głową. – No i koloniści położyli temu kres. Teraz możemy jedynie pełzać dookoła Gwiazdy w swoich drewnianych pudłach, ciągniętych przez świnię powietrzne. – W jego głosie znowu wyczuwało się gniew i urazę.

– Myślisz, że nadal jesteście tutaj? – Pokazała Rdzeń na gwiazdnej mapie, splot tuneli, które tworzyły pętle wokół niego.

– Nie – odparł zważowo. – Dlaczego mielibyśmy dostać Złącze, które zawiozłoby nas do Rdzenia? Pamiętaj, koloniści również mają swój cel – oni także muszą znaleźć sposób powstrzymywania Zaburzeń. Z pewnością sami nie mogą korzystać z tuneli – ostatecznie wszyscy wiemy, że tunele czasoprzestrzenne zostały zbudowane dla ludzi. To znaczy, dla prawdziwych ludzi. Takich jak my. Dlatego muszą polegać na nas.

329

Dura poczuła, że drży.

– Skoro nie znajdujemy się w Rdzeniu, musimy być tutaj. – Wodziła palcem wzdłuż ścieżek tuneli, które odchodziły od głównego kręgu i przecinały szarą przestrzeń w kierunku drugiego, mniejszego dysku. – Poza Gwiazdą. – Zerknęła na swojego towarzysza. – Hork, co znajdziemy za drzwiami tej komory?

Popatrzył jej w oczy. Już nie miał zawadiackiej miny. Nie był w stanie udzielić odpowiedzi.

Farr czekał na Addę w domu Toby Mixxaxa. Ito była na miejscu, ale ani jej mąż, ani Cris jeszcze nie wrócili. Ponieważ Miasto przechyliło się, spowodowało to okropny bałagan w mieszkaniu: naczynia i inne przedmioty porozbijały się o ściany, a ich fragmenty

dryfowały w Powietrzu.

Ito objęła Farra, usiłując go uspokoić i pocieszyć. Kiedy stary myśliwy otworzył drzwi jej domu, chłopiec zareagował na jego przybycie uśmiechem ulgi, podczas gdy żona Toby wydawała się nieco rozczarowana, iż nie widzi przed sobą męża albo syna. Oboje nie odnieśli obrażeń, aczkolwiek Farr był jeszcze w lekkim szoku. Adda zbliżył się do nich i położył ręce na ich barkach. Wszyscy troje zaczęli unosić się w środku przytulnego pokoju Mixxaków. Przez krótką chwilę wystarczało im ciepło własnych ciał. Wreszcie oderwali się od siebie. Ito miała spięty wyraz twarzy, ale zachowywała spokój.

– Co zamierzacie zrobić? Czy chcecie zostać tutaj? Adda popatrzył na Farra. Chłopiec z pewnością bardzo martwił się o swoją siostrę. Jednakże dalszy pobyt w domu Mixxaków pozwalałby mu się zadrećcać i nie przyniósłby niczego dobrego. Poza tym, pomimo przytulnego wnętrza, to miejsce wcale nie było bezpieczniejsze niż jakakolwiek inna część Parz.

– Wybieramy się do szpitala – odparł stanowczo. – A przynajmniej spróbujemy się tam dostać. Znajdziemy sobie w nim jakieś zajęcie. A co się dzieje z twoją rodziną?

– Tobą był ze mną podczas Igrzysk. Na stadionie. – Westchnęła. Wydawało się, że zmęczenie jest u niej silniejsze od strachu. – Zostaliśmy rozdzieleni. Będę musiała poczekać na

330

niego tutaj. Potem zapewne zaczniemy szukać Crisa. Chyba uda nam się wydostać autem z Miasta. – Spojrzała na Addę uważnie. Było widać, że stara się skupić uwagę na jego potrzebach. – Czy chcecie tu odpocząć? A może jesteście głodni?

– Nie. – Starzec wyciągnął rękę w stronę brata Dury. Chłopiec ujął jego dłoń bojaźliwiejak dziecko. – Ruszamy, Farr. W tym cholernym szpitalu nie będzie im brakowało jedzenia, tylko siły, odwagi i pomysłowości. A ponadto... W samym sercu drewnianej metropolii nastąpiła eksplozja – nie, nie eksplozja – Addzie wydawało się, że słyszy rozdzierający ryk, jakby hałaśliwe westchnienie.

Na moment zapanowała cisza. Potem przez Parz przeszedł wstrząs.

Wydawało się, że zgina się nawet szkielet Miasta. Pokoik, w którym się znajdowali, zatrzęszczał, a grad kawałków porozbijanych naczyń z grzechotem zasypywał ściany.

Kiedy drżenie ustało, Farr zapytał:

– Co to było? Kolejna zmiana Magpola?

– Nie sądzę. To coś było ostrzejsze – bardziej gwałtowne...

Chodź, chłopcze. Ruszajmy stąd.

Ito szybko pocałowała w policzek jednego i drugiego.

– Oby nic wam się nie stało – powiedziała. Szpital „Wspólnego Dobra” znajdował się na najwyższym poziomie Dołu i Adda uznał, że najmniej zatłoczona, a więc najszybsza, będzie trasa przez Pali Mali. Zaczęli więc falować jedną z głównych arterii w kierunku szerokiej osi Parz. Adda uświadomił sobie, że poruszanie się jest teraz łatwiejsze – większość mieszkańców na pewno zdołała już dotrzeć do swoich kryjówek albo, pomyślał ze smutkiem, leżała ranna w jakimś zakątku Miasta. Wzrosło jednak zagrożenie ze strony aut, które unosiły się za zaprzęgami przerażonych świń powietrznych. Kilkanaście razy Istoty Ludzkie musiały uciekać na bok, żeby nie wpaść pod rozpędzone samochody. Raz natknęły się na pojazd, którego przód wrył się w sklepową witrynę. Nigdzie nie było widać kierowcy, ale świnię powietrzną nadal znajdowały się w zaprzęgu. Usiłowały się stamtąd wydostać, a ich kwiczące okrągłe pyski rozwierały się szeroko.

331

Farr poluzował uprząż. Uwolnione świnię czmychnęły w cień korytarzy, odbijając się od ścian jak zabawki.

plyw

Syn Logue'a i Adda dotarli do skrzyżowania z Mali. Starzec przez chwilę odpoczywał na prostokątnej krawędzi ulicy, a potem przygotował się do wejścia do głównego szybu. Jednak Farr chwycił go za ramię i powstrzymał. Pokazał coś w dole. Adda spojrzął chłopcu w twarz, a potem opuścił głowę. Mrugał, żeby oczyścić zdrowe oko. Niżej położony koniec Mali – potężny, kulisty Rynek – był wypełniony światłem. Blask spowijał poręcze, stragany, wielkie koło do wykonywania egzekucji... Żółte światło Powietrza napływało do centrum Miasta z nowego, nieregularnego szybu, który przecinał samą Mali, tuż nad Rynkiem.

A więc tu kryła się przyczyna wstrząsu, którego doświadczyli wraz z Ito.

Brzegi szybu były równe – tak równe, że wiekowy myśliwy mógłby pomyśleć, iż ludzie wybudowali jeszcze jedną aleję. Dopiero przekrój poprzeczny wykazywał jego nieregularność – był bezkształtny i w niczym nie przypominał precyzyjnych prostokątów i kół, które charakteryzowały Parz. Poza tym przebiegał za bardzo z boku hali; wykrzywiony i zbyt szeroki.

Adda pokonał mały odcinek Mali i popatrzył na dziwny rów. Wewnętrzna fasada Mali była zdarta; wszelkie budynki zostały zmiecione tak starannie, jakby ktoś użył ostrza. W samym rowie starzec dostrzegał przekroje rozciętych domów i sklepów, a także strzępy ciał. Słyszał głosy ludzkie, lecz nie były to krzyki – co najwyżej jęki i cichy nieustający płacz.

Farr dołączył do niego w Powietrzu.

– Co to jest? Co się stało?

– Morski odłamek – oznajmił Adda ponuro. – Miasto oberwało. Wygląda na to, że berg przeszedł przez sam środek... Mamy szczęście, że Parz nie zostało całkowicie rozwalone... Chodź, Farr. Zobaczymy, czy ten cholerny szpital jeszcze działa. Opuścili się szerokim, niemal pustym szybem Mali, szukając drogi do szpitala „Wspólnego Dobra”.

332

24

Hork obmacał grubymi palcami rowek w drzwiach. Zniecierpliwiony, zaczął falować, położył dłonie na ich powierzchni i pchnął. Drzwi zahusłały się na niewidzialnych zawiasach, ciężkie i milczące. Po chwili dał się słyszeć syk Powietrza.

W otworze wejścia Durze mignął obraz kolejnej, jeszcze większej komnaty, której ściany również tworzyła szara, pozbawiona charakterystycznych cech substancja.

Przez chwilę przybysze wahali się, czy przekroczyć próg.

– No, jazda – burknął Hork i chwycił krawędź ramy drzwi. Wystarczył mu jeden płynny ruch, żeby precyzyjnie się przez wejście; jego małe, delikatnie falujące stopy zniknęły w otworze.

Dura westchnęła i uchwyciła się framugi. Krawędzie były zimne i cienkie jak ściany pomieszczenia, tak że wrzynały jej się w dłonie.

Ostrożnie położyła ręce na powierzchni ścian wewnątrz pomieszczenia za drzwiami i przepchnęła się przez wejście.

Zewnętrzna komora miała również kształt czworościanu – zbudowanego z wszechobecnej, matowoszarej substancji – ale była dziesięć razy większa, a jej szerokość wynosiła około stu ludzi.

Takimi rozmiarami charakteryzowała się niemal każda zamknięta przestrzeń w Parz. Komora, z której wyłoniła się Dura, unosiła się w środku tego nowego pokoju, a jej płaszczyzny i krawędzie ułożyły się równolegle do odpowiednich płaszczyzn i krawędzi wielkiej hali. Dura zastanawiała się, co podtrzymuje mniejszą komorę; nie dostrzegała żadnych podpór ani sznurów.

Być może znaleźli się w skupisku czworościennych pokoi, z których każdy stanowił serce większego pomieszczenia. Może gdyby sforsowali te ściany, wpłynęliby do trzeciej komory, która również byłaby dziesięć razy większa, i tak dalej...

Jednakże w większym pomieszczeniu nie było drzwi prowa-

plyw

dzących na zewnątrz. Ściany były całkowicie gładkie; ich monotonii nie przełamывała nawet mapa, która ozdabiała komorę wewnętrzną. Skoro nie ma tu żadnego wyjścia, może to oznacza koniec naszej podróży, pomyślała Dura.

Hork zbliżył się do niej, falując.

– Dura, znalazłem coś. – wziął ją za rękę i prawie ciągnął

333

dookoła wewnętrznego czworoboku. Wreszcie zatrzymał się – tak gwałtownie, że dziewczyna wpadła na niego – i pokazał swoje odkrycie. – Spójrz. Co o tym sądzisz?

Dura zobaczyła pudło o nieregularnym kształcie, szerokie na pół człowieka. Ostrożnie, zachowując odległość kilku mikronów, okrążyła przedmiot unoszący się w Powietrzu. Był wykonany z dobrze jej znanej szarej substancji, tej samej która tworzyła ściany pomieszczeń; składał się nań masywny okrągły blok, z którego wystawała cieńsza, prostokątna płyta; po bokach prostokąta sterczały do przodu mniejsze cylindry...

Dura z łatwością domyśliła się, jaką funkcję spełnia ów obiekt.

– To jest krzesło – oświadczyła. Hork prychnął niecierpliwie.

– Oczywiście, że to jest cholerne krzesło. – Krążył wokół sprzętu, śmiało poszturchując jego powierzchnię. Z każdej poręczy krzesła sterczały dźwignie – grube kikuty, które najwyraźniej miały być używane przez istoty ludzkie. W lewej poręczy był umieszczony obrotowy wskaźnik.

– Czy myślisz, że to coś jest przeznaczone dla nas... to znaczy, dla ludzi?

– Oczywiście, że tak – burknął mężczyzna. Dura poczuła się urażona.

– Hork, w tej sytuacji nie ma nic oczywistego. Jeżeli ta mapa była dobra, to podróżowaliśmy w przestrzeni, oddalając się od samej Gwiazdy. Dlaczego mielibyśmy oczekiwać czegokolwiek poza rzeczami całkowicie obcymi? To i tak prawdziwy cud, że znaleźliśmy Powietrze nadające się do oddychania, a co dopiero... meble. Wzruszył ramionami. Jego otłuszczone mięśnie przelewały się pod kombinezonem.

– Ależ widać wyraźnie, że jest przeznaczone dla ludzi. Widzisz, jak wymodelowane jest oparcie i siedzisko? – Zanim Dura zdążyła zaprotestować, mężczyzna okręcił się w Powietrzu i opadł na krzesło. Z początku trochę się wił, gdyż było mu chyba trochę niewygodnie – a nawet sprawiał wrażenie zaniepokojonego – ale zaraz rozluźnił się i uśmiechnął szeroko. Położył dłonie na poręczach krzesła, które pasowało do jego masywnego ciała. – Doskonałe –

334

oświadczył. – Wiesz, Dura, to krzesło istnieje chyba od trzystu pokoleń, a jednak wygląda jak nowe i pasuje do mojej tuszy tak idealnie, jakby projektowali je najlepsi rzemieślnicy Parz. Dziewczyna zmarszczyła czoło.

– Nie wyglądałeś na specjalnie uszczęśliwionego, kiedy dopiero co usiadłeś na nim. Zawahał się.

– Czułem się dziwnie. Miałem wrażenie, że powierzchnie pływają wokół mnie. – Uśmiechnął się, odzyskawszy pewność siebie. – Przypuszczam, że ono dostosowywało się do mojej figury. To było trochę niepokojące, ale nie trwało długo... Jak myślisz, do czego służą te dźwignie? – Jego masywne pięści zawisły nad prętami sterującymi z poręczy krzesła.

– Nie! – Dura zakryła jego ręce. Po chwili uspokoił się i odsunął dłonie od dźwigni, nawet ich nie dotknawszy.

– Ciekawe – powiedział łagodnie. – One do złudzenia przypominają dźwignie tablicy rozdzielczej w „Latającej Świni”. Być może istnieją podobieństwa podstawowych wzorców ludzkiego projektowania, być może pewne rzeczy muszą wyglądać tak a nie inaczej...

plyw

– Jednak w przeciwieństwie do urządzeń na pokładzie „Świni” nie mamy najmniejszego pojęcia, do czego służą te dźwignie – przerwała mu Dura stanowczo.

Hork zrobił minę dziecka, które dostało burę.

– Hm, sama wcześniej mówiłaś, że nie zrobimy żadnego kroku naprzód, jeśli nie zaryzykujemy. – Zerknął na urządzenie ze strzałką wmontowane w lewe ramię krzesła. – Na przykład, co byś powiedziała na to?

Dura zbliżyła się do niego. Strzałka była cylindrem o grubości palca, osadzonym na pionowej osi w środku swojej długości; znajdowała się wewnątrz małego krateru wyżłobionego w poręczy. Jego oprawa była podzielona na cztery ćwiartki: białą, jasnoszarą, ciemnoszarą i czarną. Strzałka wskazywała czarną ćwiartkę. Wydawało się oczywiste, że umieszczono ją w takim miejscu, aby mogła być przekręcana przez osobę siedzącą na krześle.

Hork spojrział na Durę.

335

– No? To urządzenie wygląda na raczej nieszkodliwe. Córka Logue'a stłumiła szalency chichot.

– Przecież nie masz zielonego pojęcia, co to jest...

– Do licha z tobą, nadpływowcze, przecież nie po to przebyliśmy taki szmat drogi, żeby teraz tchórzyć. – Przewodniczący raptownie chwycił strzałkę i przekręcił ją.

Urządzenie szczerknęło, wykonując ćwierć obrotu. Dura cofnęła się i zasłoniła ciało ramionami. Nawet Hork odskoczył odruchowo i dopiero gdy strzałka zatrzymała się na ciemnoszarej ćwiartce, ciężko westchnął.

– Widzisz? Nie zdarzyło się nic złego... Właściwie to chyba nic się nie stało.

– Nie. – Potrząsnęła głową. – Mylisz się. – Wyciągnęła rękę. – Spójrz...

Hork odwrócił się na krześle. Ściany komory zrobiły się przezroczyste.

Bzya drzemał, luźno oplatając rękami dźwigar w pionowej osi Dzwonu, gdy nagle rozbłysły niebieskie światła.

Mężczyzna natychmiast się obudził.

To nurkowanie do tej pory było długie i bezowocne. Nie mógł się doczekać powrotu do domu, gdzie jadłby razem z Jool ciasto piwne. Jednakże teraz coś było nie tak.

Szybko rozejrzał się po kabynie. Hosch, jedyny towarzysz jego podróży, już całkowicie się rozbudził. Wymienili pytające spojrzenia.

Bzya delikatnie położył ręce na gładkim, sfatygowanym drewnie dźwigara. Nie wyczuł żadnej nietypowej wibracji. Słuchał równomiernego szumu wielkich obręczy z materii rdzeniowej, które spajały kadłub wehikułu; upewnił się, że prąd z Miasta płynie kablami tak samo jak zawsze i zapewnia kruchemu statkowi osłonę w postaci pola magnetycznego. Wyrzwał przez najbliższe z trzech małych okien Dzwonu. Powietrze na zewnątrz – jeśli wypadało użyć tego zaszczytne miana na tak dużej głębokości – było ciemnożółte, ale dzięki odcieniowi zorientował się, że są gdzieś w pobliżu górnej warstwy Podpła-szcza. Zobaczył nawet cień Grzbietu; wciąż znajdowali się blisko jego dolnej krawędzi, raptem metr poniżej Miasta...

336

Tam. Kolejny oślepiający błysk, tuż za oknem. Błękitny gaz elektronowy, który, jak się wydawało, spowijał statek. Smugi błękitnego światła na chwilę przedostawały się przez małe okrągłe okna do wnętrza kabiny.

Dzwon przechylił się.

Hosch uczeplił się dźwigara chudymi rękami.

– Dlaczego jeszcze żyjemy?

Dobre pytanie. Obłoki gazu elektronowego wokół statku za-

plyw

zwyczaj oznaczały, że w obręczach z materii rdzeniowej gwałtownie wzrasta natężenie prądu. Być może lina z Portu strzępiła się albo doszło do awarii obręczy. Jednakże gdyby tak było, to pole magnetyczne Dzwonu natychmiast by zanikło i od razu nastąpiłaby implozja pojazdu.

– Prąd jest nadal dostarczany – stwierdził Bzy a. – Posłuchaj. Obaj wstrzymali oddech i przyglądali się Powietrzu. Hosch przybrał roztargnioną minę człowieka, który usiłuje skoncentrować się na nasłuchiowaniu.

Jeszcze jeden błysk. Tym razem Dzwon zakołysał się w gęstym jak zupa Podpłaszczu i olbrzymi Poławiacz, który kurczowo trzymał się dźwigara, określił się wokół niego jak luźna torba. Po chwili przywarł mocniej do pionowej belki i oplótł ją nogami.

Z ust nadzorczy cuchnęło mięsem i nieświeżym ciastem piwnym.

– W porządku – powiedział. – Wiemy, że Port nie przestał dostarczać prądu. Wobec tego, co powoduje błyski?

– W obręczach z materii rdzeniowej może dochodzić do nagłego wzrostu natężenia prądu.

– To jest niemożliwe, jeśli Port dostarcza go miarowo. Bzya pokręcił głową, intensywnie rozmyślając.

– Nie, wcale nie jest niemożliwe; te nagłe skoki wywołuje coś innego.

Hosch zagryzł wargi,

– Och. Zmiany Magpoła. To może być to.

Dzwon działał bez zarzutu – to Magpole zdradzało uczestników wyprawy. Stało się niestabilne i powodowało skoki natężenia prądu płynącego w ochronnych obręczach, odcinając Dzwon z toru wiodącego wzdłuż Grzbietu w górę, do domu.

337

– Co sprawia, że Magpole nie jest jednolite? – zapytał Bzya. – Kolejne Zaburzenie?

Hosch wzmszył ramionami.

– To chyba nie ma wielkiego znaczenia, prawda? Nie dowiemy się tego, bo i tak zaraz pożegnamy się z życiem.

Statkiem gwałtownie szarpnęło w górę. Tym razem obyło się bez niebieskiego rozbłysku.

Bzya chwycił dźwigar.

– Czujesz? To był Port. Ciągną nas w górę. Może uda nam się wyjść z tego cało. Oni próbują...

Zobaczył ponownie niebieskie światło, które już nie zgasło.

wielkołud poczuł, jak rozedrgane Magpole rozdziera Dzwon, jednocześnie napierając na brzuch i każde włókienko jego ciała.

Z czubków palców Bzyi popłynęły strugi iskrzącego się gazu elektronowego. Pomyślał w roztargnieniu, że wygląda to bardzo pięknie.

Wehikułem rzuciło w bok, tak że oddalił się od Grzbietu. Ręce olbrzymiego Poławiacza oderwały się od dźwigara, a pochyła ściana wyszła mu na spotkanie niczym potężna dłoń. Mężczyzna uderzył twarzą w okno. Wygiął się do tyłu, dopasowując ciało do krzywizny kadłuba. Dzwon dygotał i skrzypiał; ponadto Bzya słyszał w górze jakiś cichy, śpiewny dźwięk. Przytłoczony bólem uświadomił sobie, że to grają urywające się liny. Czuł osobliwą satysfakcję z faktu, iż był zdolny do wyciągnięcia tak błyskotliwego wniosku.

Ściany szarpnęły się gwałtownie i zamarły. Dzwon przeko-

ziołkował.

Bzya spadł w ciemność.

W górze, za przezroczytymi ścianami, unosiły się wielkie upiorne budowle.

Trzecia komora była ogromna; mogła pomieścić milion miast wielkości Parz. Ściany – wykonane, jak się zdawało, z wszechobecnej szarej materii – znajdowały się tak daleko, że sprawiały wrażenie odległej, geometrycznej abstrakcji. Być może to miejsce składało się z serii czworoscianów, wchodzących jeden w drugi i

zmierzających ku nieskończoności...

Dura zbliżyła się do Horka i na oślep wyciągnęła ku niemu

338

dłonie. Przewodniczący nadal siedział na krześle. Chwycił ją za ręce. Mocno, ale poczuła, że jego dłonie są śliskie ze strachu. Przez chwilę czuła echo namiętności, która połączyła ich na krótko, gdy chcieli zapomnieć o lęku.

Przezroczyste struktury unosiły się nad nimi jak zakrzepłe Powietrze. Tworzyły przeświecające bloki o wysokości setek tysięcy ludzi. Wewnątrz niektórych budowli można było zobaczyć więcej urządzeń; te wewnętrzne konstrukcje były jak widma wewnątrz widm, jak szarość wtopiona w szarość.

Czworościenne pudło otaczające „Świnie”, masywne krzesło, a nawet Hork i Dura – wszyscy przypominali drewniane pyłki unoszące się w jakiejś nakrapianej cieczy. Dziewczyna uświadomiła sobie, że cały zajmowany przez nich czworościan jest umieszczony wewnątrz jednej z potężnych budowli; jej szare linie odgradzały przestrzeń wokół, a ona wyglądała na zewnątrz przez jego widmowe cielsko.

– Jak sądzisz, dlaczego nie jesteśmy w stanie widzieć tych obiektów wyraźnie? Ciekawe, do czego mogą służyć. Czy myślisz...

Przerwała. Hork zerkał w górę na „budowlę”, w której byli zanurzeni. Oglądał jej narożniki i zamglone wypukłości, a potem szybko zerknął na krzesło, na którym siedział.

– Co się stało?

– Ta budowla-widmo, w której przebywamy. Przypatrz się jej... Ma taki sam kształt jak to krzesło. – Oczodoły Horka wypełniło szare światło pochodzące z półprzezroczystych kształtów. – Wydaje się sto tysięcy razy większa i wykonano ją z czegoś, co wygląda jak przezroczyste drewno i jest bardziej rozrzedzone od Powietrza... niemniej jednak, jest to potężne widmowe krzesło.

Uniosła głowę. Powoli uświadomiła sobie, że Hork ma rację. Ta ogromna „budowla” – wysoka na co najmniej metr – miała siedzenie i oparcie, a w górze, tak daleko, że Dura ledwo je widziała, dwie poręcze zaopatrzone w dźwignieki.

Hork uśmiechnął się. Był bardzo ożywiony.

– I chyba już wiem, do czego to wszystko służy. Patrz!

Przekreślił się. Krzesło obróciło się w Powietrzu. Dura z wrażenia straciła oddech. Falując, cofnęła się strwożona. Jednakże krzesło zatrzymało się, nie czyniąc żadnej szkody.

339

– Co ty wyrabiasz?

– Jeszcze nie rozumiesz? Spójrz w górę! Odchyliła głowę, spoglądając do góry. Tamto „krzesło” – widmowa analogia – również zmieniło swoje ułożenie, zgodnie z ruchem Horka.

– widzisz? – zapytał chrapliwie. – To krzesło jakimś sposobem dopasowuje się do mojego; ilekroć zmuszam swoje do jakiegoś manewru, tamto duże naśladuje je. – Kołysał się to w jedną, to w drugą stronę, śmiejąc się jak dziecko, któremu dano nową zabawkę. Gigantyczna kopia krzesła niezdarnie odtwarzała ruchy Horka niczym jakieś potężne zwierzę. Dura pomyślała, że gdy to urządzenie się obraca, jego substancja zapewne porusza się wokół niej samej – przechodzi przez nią jak nie dający się okiełznać powiew. Nie czuła jednak nic – co najwyżej wewnętrzny chłód, który mógł być spowodowany zdumieniem i strachem.

Wreszcie Hork znudził się zabawą.

– Mogę robić z nim to, co mi się żywnie podoba. – wydawał się nieco zamyślony. – A zatem jeśli pociągnę te dźwignie...

– Nie. Musimy to rozpracować, Hork. – Zerknęła w górę. –

To... widmo, ten wielki jak Miasto artefakt – mógłby pomieścić olbrzymia...

– To jest oczywiste. Ale...

plyw

– Ale ten olbrzym – przerwała mu – miałby postać czło-
wiekopodobną, a jego wzrost byłby liczony w metrach. – Popatrzyła
mu w oczy, czekając, aż władca dojdzie do takiego samego wniosku.
– W metrach... Ur-ludzie. Skinęła głową.
– Hork, myślę, że to widmowe krzesło jest maszyną Ur-lu-dzi.
Sądzę, że znajdujemy się w małej bańce Powietrza, które unosi się w
pokoju Ur-człowieka.
Odchyliła głowę tak mocno, aż poczuła, jak ciało w górnej części jej
pleców napina się pod naporem czaszki. Rozejrzała się po widmowej
komnacie, która nagle wydała jej się zrozumiała.
Przebywali wewnątrz ogromnego krzesła Ur-ludzi, które nie było
jednak jedynym sprzętem. Dura naliczyła jeszcze cztery krzesła,
ginące we mgle, niby szereg miast. Umieszczono je przed długą, płaską
powierzchnią, która i na wierzchu, i pod spodem

340

charakteryzowała się skomplikowaną konstrukcją. Być może był to
jakiś układ sterowniczy. Kiedy patrzyło się jeszcze dalej,
czworościenna budowla, która to wszystko otaczała, wyglądała jak
rysunek na tle mgły.

Hork dotknął ramienia dziewczyny.

– Spójrz tam. – wyciągnął rękę.

w bocznej części pomieszczenia Ur-ludzi, naprzeciwko rzędu
krzesel, kłębił się gaz – nie, to oczywiście nie mógł być gaz. Dura
próbowała zapomnieć o swoich miniaturowych rozmiarach i patrzeć na
pokój oczami Ur-człowieka. To, co ją tak zaintrygowało, musiało być
wykonane z czegoś miękkiego i spiętrzonego na niższej, płaskiej
powierzchni. Wyglądało jak rozłożony kokon.

Czy Ur-ludzie sypiali?

Hork znowu jej coś pokazywał.

– Tam, na tej płaszczyźnie przed krzesłami. Widzisz? Przyrządy
skonstruowane z myślą o olbrzymich dłoniach.

Dura zobaczyła cylinder dłuższy niż pień drzewa skorupowego.
Jego czubek był ostry i wystawał poza krawędź płaszczyzny. Być
może był to rylce – podobny do tego, który zauważyła kiedyś w
szpitalu u Deni Maxx. Usiłowała wyobrazić sobie rękę, która byłaby w
stanie chwycić drzewo skorupowe i posługiwać się nim przy
sporządzaniu notatek... Oprócz „rylca” ujrzała jeszcze jeden cylinder,
który jednak był ustawiony w pozycji pionowej. Wydawał się wklęsły
– był półprzezroczysty dla jej oczu i zauważyła, że przezroczyste
grube ściany otaczają pustą przestrzeń – oraz pozbawiony górnej
powierzchni.

Zmarszczyła czoło i pokazała pionowy cylinder Horkowi.

– Jak myślisz, co to jest? Wygląda jak forteca. Być może Ur-

ludzie musieli się chować – może ktoś ich atakował...

wybuchnął śmiechem, w którym nie wyczuwało się jednak

złości.

– Nie, Dura. Zatraciłaś poczucie wymiarów. Przypatrz mu się

jeszcze raz. Ile może mieć wysokości? Jakies dziesięć tysięcy ludzi?

– Jest dziesięciokrotnie większy od twojego ukochanego Parz.

– Być może, ale to i tak najwyżej dziesięć centymetrów,

341

a przeciętny wzrost Ur-człowieka był liczony w metrach. Taki
cylinder zmieściłby się w dłoni Ur-człowieka. – Obserwował ją
chyttrze. – Czy już rozumiesz, Dura? To jest naczynie. Filizanka.
Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Filizanka, w której
zmieściłoby się kilkanaście miast w rodzaju Parz?

Próbowała intensywnie myśleć.

– Hm, w takim razie to jest cholernie dziwna filizanka. Cała

żywność wypływałaby górą, prawda? Hork skinął głową niechętnie.

– Tak można byłoby sądzić. – westchnął. – Ale przecież jest

tylko rzeczy u Ur-ludzi, których nie potrafimy zrozumieć.

Wyobraziła sobie, jak może wyglądać z zewnątrz to małe pudełko

plyw

wypełnione atmosferą Płaszczka, w którym się znajdowali.
– Mam wrażenie, że stworzyli tę wewnętrzną komorę wokół Złącza tunelowego jak ozdobę. Mały fragment Gwiazdy, który umożliwił im obserwowanie Istot Ludzkich. Dla nich wyglądaliśmy jak zabawki – powiedziała ledwo słyszalnym głosem – a właściwie coś jeszcze mniejszego niż zabawki – małe zwierzątka, których zapewne nie można było dostrzec gołym okiem.
– Spojrzała na swoje ręce. – Byli sto tysięcy razy więksi od nas, nawet „Świnia” byłaby zaledwie pyłkiem na dłoni Ur-dziecka...
– Zadrżała. – Myślisz, że ktokolwiek z nich nadal tu jest? – wyobraziła sobie gigantyczną Ur-postać, która nadciąga przez ledwie widoczne drzwi i zbliża ku niej twarz szerszą niż całodniowa podróż Istoty Ludzkiej...
– Nie – zaprzeczył Hork energicznie. – Nie sądzę. Oni odeszli. Zachmurzyła się.
– Skąd wiesz? Uśmiechnął się.
– Po pierwsze, tak głoszą twoje ukochane legendy. Ale najważniejszym argumentem jest to siedzenie. – Poklepał poręczę. – Ur-ludzie przygotowali to miejsce dla nas, żebyśmy mogli operować ich maszynami. Jeśli poruszam tym krzesłem, jestem w stanie naśladować każdą czynność Ur-człowieka... Dura, oni uczynili mnie osobą równie potężną jak każdy z nich. Rozumiesz? – Uważnie zbadał twardą powierzchnię krzesła. –
342

Gdybyśmy wiedzieli jak, moglibyśmy skorzystać z innych urządzeń.
– Rozejrzał się chciwie po widmowym pomieszczeniu. – Tu muszą znajdować się cuda. Broń, o jakiej nawet nie śniliśmy. Ur-ludzie chcieli, aby ludzie z Gwiazdy zjawili się tutaj i operowali pozostawionymi przez nich maszynami, na przykład gdyby Zaburzenia stawały się zbyt dokuczliwe. Być może oczekiwali, że Dura i Hork zrobią coś teraz... Ale co?
– Twoje urządzenie ze strzałką nie ma odpowiednika w krześle Ur-ludzi – wycedziła dziewczyna, unosząc rękę. – Widzisz? Zatem strzałka jest przeznaczona wyłącznie dla nas. Zapewne ma nam pomóc w zrozumieniu tego, co się dzieje dookoła. – Zmarszczyła brwi. – Obróciła się tylko o jedną ćwiartkę. A gdybyś tak znowu ją przekręcił?
– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Wyciągnął rękę w kierunku urządzenia. Najpierw pchnął strzałkę ku najciemniejszej części podziałki. Trochę się uspokoili, gdy ściany z gładkiej szarej materii zakrzepły wokół, odgradzając komnatę, w której przebywali, od pokoju Ur-ludzi. Kiedy Hork przekręcił strzałkę w odwrotnym kierunku, ściany znikły, odsłaniając wielkie urządzenia.
– W porządku – oznajmił. – Przechodzenie od czerni do ciemnej szarości pozwala nam widzieć trochę więcej. Trochę głębiej, a może trochę dalej. A jeśli grot strzałki znajdzie się na jasnoszarej ćwiartce?
Dura wzdrygnęła się odruchowo.
– Po prostu przekręć ją – rzekła chrapliwym głosem. Hork zastosował się do jej rady z wielką pewnością siebie. Wydawało się, że światło odpływa z Powietrza niczym krew. Maszyny Ur-ludzi i ściany ich widmowej komory stały się jeszcze bardziej przezroczyste. A za tymi odległymi ścianami rozciągała się ciemność – ciemność, która spowiła dwoje ludzi, skulonych w wielowarstwowym bezmiarze. W tej ciemności lśniły świetlne punkciki. Dura okręciła się w Powietrzu i rozejrzała dookoła.
– Nie rozumiem. Nie widzę ścian następnej komory. I co to za światła?
– Nie ma już więcej ścian – rzekł Hork łagodnie. – Nie
343

dociera to do ciebie? Nie ma już żadnych komór. Zaglądamy w przestrzeń kosmiczną, Dura. Jej rozmiarów nie ogarnęliby nawet Ur-

ludzie.

Uświadomiła sobie, że wsuwa rękę w jego dłoń.

– A te światła?

– Wiesz, czym są, Dura. To gwiazdy. Gwiazdy i planety.

– Bzya, obudź się, ty beużyteczny dupku.

Hosch mocno poklepywał wielkoluda po policzkach. Olbrzymi

Poławiacz potrząsnął głową i zamrugał. Zdumiało go to, że jeszcze

żyje. Przecież Dzwon powinien był ulec implozji.

W rannym oku poczuł rozdzierający ból. Ostrożnie dotknął

opuszką palca oczodołu, który wypełniała kleista materia. Bolały go również plecy, zwłaszcza w dolnej części, którą silnie wyginał do tyłu, kiedy przywarł do krzywizny kadłuba.

– A zatem jeszcze żyjemy – powiedział.

Hosch uśmiechnął się, ale jego wychudła twarz wyrażała lęk.

– Nie jesteśmy aż tak głęboko w Podpłaszczu. Gdyby tak było.

Dzwon już dawno uległby zniszczeniu. – Mówiąc te słowa, kopął krawędź włazu, usiłując rozłupać ją piętą.

Bzya zgiał ręce i nogi. Ogarnęło go dziwne rozczarowanie.

Poławianie nie należało do najbezpieczniejszych zawodów; wiedział,

że prędzej czy później się wykończy. Ale nie dzisiaj – nie w momencie, gdy był tak blisko domu i miał za sobą tak nieudane nurkowanie.

– Jeśli będziesz nadal to robił, właz się zapadnie.

– Właśnie... o to... chodzi... – odparł Hosch, cały czas wymierzając kopniaki.

– I co wtedy? Będziemy falować?

– Dobrze to ująłeś. – Kopnięcie. Jeszcze jedno kopnięcie. –

Straciliśmy linę. Nie mamy innego wyjścia. – Pokrywą włazu było

drewniane koło, podtrzymywane ciśnieniem wywieranym z zewnątrz na lekko stożkowaty kołnierz z listewek, który już zaczynał pękać.

Gdyby Hosch zniszczył większą część kryzy uszczelniającej, płyta włazu z łatwością wpadłaby do środka.

Bzya wyjrzał przez okno.

– Nie jesteśmy na tyle głęboko, żeby Dzwon uległ zmiąż-

344

dzeniu, ale dla nas to zbyt duża głębokość. Jeszcze nikt nie opadł na taką odległość bez dodatkowego wspomagania. Wciąż jeszcze jesteśmy na głębokości dziewięćdziesięciu centymetrów.

– W takim razie staniemy się cholernymi bohaterami. Chyba że

masz jakiś lepszy pomysł, ty beużyteczny pierdzielu. Pomóż mi.

Jednak wielki Poławiacz nie musiał tego robić.

Z tysiącem małych eksplozji wokół otworu włazu, listwy

kołnierza uszczelniającego pękły. Kawałki drewna grzechotały po całej

kabinie; Bzya na oślep osłaniał twarz, gdy przelatowały obok. Po

chwili właz przesunął się i wpadł do wnętrza Dzwonu. Olbrzym

natychmiast poczuł, że do uszkodzonej kabiny wpływa płynna masa

– gęsta, bursztynowa i nieściśliwa.

Drewniane lampy przestały świecić.

Potem masa przytłoczyła Bzyę.

Opływała jego kończyny, wciskała się do ust, gardła i oczodołów.

To był brutalny atak, jak gdyby uderzały go pięści. Nic nie widział,

niczego nie słyszał i nie czuł żadnego smaku. Był przerażony.

Przechylał głowę do tyłu i do przodu, usiłując wydalić z płuc wstępną

substancję. Oczywiście bez powodzenia. Był zanurzony w gęstej, nie

nadającej się do życia materii – na głębokości dziewięćdziesięciu centymetrów.

Jego umęczone płuca rozszerzyły się.

... I odnalazły Powietrze. Fragmenty, cząstki Powietrza, które

przepychały się z płuc do naczyń włosowatych Bzyi, powodując

nieznośne pieczenie. Klatka piersiowa wielkiego Poławiacza

gwałtownie unosiła się i opadała pod naporem cieczy. W tym miejscu

było Powietrze, lecz o znacznie większej gęstości.

A niech to, może uda mi się stąd wydostać...

wtedy zaczęło się spalanie.

Czuł je na całym ciele, jakby kłuły go tysiące igieł. Wewnątrz też – na koło! – piekły go płuca i żołądek. Zar zalał naczynia włosowate, sprawiając, że sieć cieniutkich rurek zamieniła się w jedno wielkie siedlisko bólu, a każda niteczka była jakby porażona prądem elektrycznym.

Zbyt gest e. Zbyt gęste...

W warunkach ekstremalnej gęstości i ciśnienia cynowe jądra na powierzchni jego ciała szukały nowej stabilnej konfiguracji.

345

Odrywały się od siebie i rozpadały na nukleony, które następnie ulatywały gromadami w ogniście Powietrze, aby odnaleźć pojedyncze, ogromne jądro, które wypełniało środek Gwiazdy... Bzia rozpuszczał się.

Miotał się, kopiąc ciecz. Poczucił tępy ból; uderzył w coś głową. To musiała być ściana Dzwonu. Trochę się zdziwił, że cokolwiek przetrwało ze znanego zewnętrznego wszechświata, nadal towarzysząc mu w królestwie bólu. Mimo wszystko Bzi udało się przemieścić. Falował.

Przecisnął rękę poprzez gęstą ciecz i zrobił znak koła na piersi. Nic nie widział, ale mógł oddychać i falować. Czuł, że uda mu się wydostać z tego miejsca.

Wyrzucił o coś czołem. Domyślał się, że jest przy tylnej ścianie kabiny; widocznie obróciła go napływająca ciecz Podpłaszca. Odwrócił się i rozpostarł dłonie na ścianie. Ból przyćmił wrażenie dotykowe, ale Bzia wyczuwał krzywiznę kadłuba, zaokrąglony profil okna. Wyobrażał sobieabinę na moment przed zniszczeniem włazu.

Hosch musiał znajdować się gdzieś po prawej.

Wielkolud odepchnął się od ściany i zaczął na oślep falować w tamtą stronę, wyciągając rękę przed siebie.

Znalazł coś. To musiało być ciało Hoscha. Obmacał klatkę piersiową i głowę towarzysza. Nadzorca nie reagował; jego skóra kruszyła się pod palcami wielkiego Poławiacza – a właściwie to może rozpadały się właśnie palce i dłonie Bzi.

Chwycił rękę Hoscha.

Wystarczyły dwa energiczne kopnięcia, żeby znaleźć otwarty właz. Wielkolud nadal nic nie widział i tracił zmysł dotyku – pomyślał ze strachem, że tak będzie już zawsze; nawet jeśli ocaleje, będzie musiał żyć w tej powłoce bólu, bez zmysłów, bez dźwięku i światła... Czuł jednak krawędź włazu i drzazgi, które pozostały po brawurowych kopniakach Hoscha.

Bzia chciał wypaść z Dzwonu, ale coś go powstrzymywało. Coś twardego, nieugiętego, napierającego na klatkę piersiową i nogi mężczyzny – obręcz z materii rdzeniowej, które opasywały kadłub wehikułu. Uniósł stopy i oparł je o niższą obręcz, a potem chwycił górną drętwiąjącą ręką i spróbował się wyprostować. Poczucił okropny ból w dolnej części pleców, która już i tak była mocno

346

nadwyreżona. Pierścienie nagle się rozsunęły. Poławiacz ugiął nogi i prześlizgnął się przez szczelinę; cały czas trzymał ręce nad głową i wyczuwał, jak bezwładne ciało Hoscha, które wlokł za sobą, uderza o obręcz.

Zdołał wydostać się z Dzwonu.

Musiał odnaleźć Grzbiet. Skręcił w lewo i odepchnął się nogami.

Mocno ścisnął dłoń nadzorca – tak mu się przynajmniej wydawało, gdyż odczuwał jedynie intensywny ból w rękach, stopach i twarzy.

Nagle poczuł delikatne pociągnięcie. Po chwili zorientował się, że jest szarpany ze wszystkich stron, jakby ktoś wbijał tysiąc haczyków w jego skórę. Powoli uświadomił sobie, że jego ciało odpada, krusząc się, gdy falował.

Wyciągnął rękę przed siebie. Nic nie widział, oczodoły były teraz bezużyteczne. Tędy powinien dotrzeć do Grzbietu; o ile zapamiętał to

plyw

dobrze w chwili, gdy pojazd został odrzucony przez przypływy Magpola. Niestety, stracił wtedy przytomność. W tym czasie Dzwon mógł się przewrócić do góry nogami... Nie miał jednak lepszej wskazówki. Miotał się w parzącej cieczy i próbował nie myśleć, jak bardzo oddalił się od drewnianego statku, a jak daleko od niego będzie, kiedy się upewni, że nie może odnaleźć Grzbietu.

Ból litościwie zmniejszał się. Najwyraźniej wypalanie i rozkład ciała powodowały niszczenie końcówek nerwów. Niebawem zostanie odizolowany w obrębie własnego ciała.

No cóż, nie będę już surfował. Ani rzeźbił. Ani – przestał się uśmiechać w duchu – nie poczuję kobiecej skóry.

Ból rozgorzał w wyciągniętej ręce, w beużytecznym... kikucie. Ramię ugięło się na skutek zderzenia z czymś stałym.

Bzya wyrznął ciałem o twardą powierzchnię. Próbował wyczuć ją klatką piersiową, udami i twarzą.

Grzbiet. Błogosławiony Grzbiet.

Z najwyższym trudem przesunął i zahaczył o coś wolną ręką.

Nareszcie – to lina Dzwonu. Uczepił się kurczowo, a potem oplótł ramię wokół liny. Wciąż taszcząc za sobą bezwładnego Hoscha, przywarł do drewnianej powierzchni Grzbietu i ponownie zaczął falować. Tym razem wzdłuż drewnianej kolumny. Lina pełniła funkcję przewodnika.

347

Ironicznie pomyślał, że los straszliwie by sobie z niego zadrwił, jeśli właśnie falował w niewłaściwym kierunku – w dół, do Rdzenia. Zanim wyciągnięto Bzyę z cieczy, był już prawie całkowicie odizolowany od świata w otepiałym ciele. Nie stracił przytomności, ale odbierał niewiele bodźców. Nawet ból go opuścił. Za to czuł, iż jego klatka piersiowa rozszerza się, wchłaniając rzadsze i czystsze Powietrze, a Magpole napiera na brzuch, środek okaleczonego ciała. Wciąż żyję, pomyślał. Jestem tylko trochę poobijany z wierzchu. Wydawało mu się, iż falował do samego końca i nie zgubił Hoscha. Jednak nie mógł być tego pewny.

Teraz znów przenoszono go, bardzo delikatnie. Spróbował się uśmiechnąć. Najwyraźniej Poławiacze zeszli po niego i po Hoscha, korzystając z drugiego Dzwonu.

Był zadowolony, że nie może widzieć wyrazu ich twarzy, zwłaszcza teraz, kiedy się nim opiekują.

25

Ekipa ochotników dźwignęła pacjenta w górę i przeniosła przez wyrwaną ścianę szpitala do samochodu czekającego w Powietrzu. Adda patrzył, jak auto ostrożnie oddala się od gmachu i dołącza do strumienia uchodźców, którzy kierowali się w stronę nadpływu. Z chwilą rozpoczęcia ewakuacji Miasta, ten oddział szpitala „Wspólnego Dobra”, tuż za Skórą Parz, został natychmiast przekształcony w halę przeładunkową. Teraz roiło się w nim od personelu medycznego, wolontariuszy, pacjentów i ich bliskich. Pacjenci wyli albo jęczyli, a rozgorączkowane członkowie personelu desperacko pokrzykiwali, podając sobie łubki, bandaże, lekarstwa. Ci, którym udzielono pomocy, byli ładowani do samochodów i wywożeni, lecz w tym samym czasie do szpitala napływała kolejna, jeszcze większa grupa rannych z pozostałych części zniszczonego Miasta.

348

Adda czuł się przytłoczony, zniechęcony; ogarniał go strach i potworne zmęczenie.

Może jednak byłem świadkiem zbyt wielu zmian. Widziałem zbyt wiele katastrof, zbyt wiele zmiażdżonych ciał...

Wychylił się poza Skórę. Otworzył usta, usiłując wydalić z naczyń włosowatych płuc zatęchłe, cuchnące szpitalem Powietrze. Jednakże nawet to wdychane na zewnątrz drewnianego kadłuba było nieswieże. Adda czuł swąd jądrowego ognia drewna, smród

plyw

wiatroodrzutów świń powietrznych, odór ludzkiego strachu. Wydawało się, że dręczone agonią Miasto spowija niewidzialny obłok zatechłych fotonów. Parz przypominało wielkie, umierające stworzenie, z którego naczyń włosowatych wyciekają resztki Powietrza. Dygotało, wstrząsane skrzypieniem drewna i rozdzierającym rykiem miażdżonego metalu z materii rdzeniowej. Szpital mieścił się w dolnej części Parz, toteż Adda wyglądał na tle Skóry jak owad przegryzający ścianę. Wstęgi kotwiczne nadal działały; reakcją na silne prądy, które przepływały przez ich nadprzewodnikowe wnętrza, było świecenie gazu elektronowego wokół metalu. Miasto nadal walczyło o utrzymanie stabilnej pozycji. Na Skórze miała miejsce intensywna krzątanina. Kadłub metropolii został rozerwany. Ludzie robili w nim dziury, wydostawali się na zewnątrz i wsiadali do samochodów, unosząc ze sobą najcenniejszy dobytek. Oddalające się od Miasta auta oraz falujący ludzie tworzyli coraz szerszą, zamgloną chmurę. W Powietrzu było słycać okrzyki ludzi i hałaśliwe charkoty głośników. Nad tym żałosnym strumieniem rysowały się zniszczone na skutek Zaburzenia linie wirowe; wyglądały tak, jakby ktoś niedbale je nabazgrał, chcąc zaznaczyć obszary niestabilności. Magpole wyraźnie drżało, nękane stale wzbierającym Morzem Kwantowym. A w oddali niebieskofioletowy ogień statków Xeelee pustoszył przestrzeń Płaszcz. Adda nigdy nie sądził, że będzie mu dane zobaczyć coś takiego na własne oczy.

– Adda!

Niechętnie odwrócił spojrzenie i ponownie skupił uwagę na oddziale szpitalnym.

Na ewakuację czekała kolejna pacjentka, która wyła z bólu.

349

Była owinięta poplamionymi bandażami tak dokładnie, że starzec widział tylko jej rozdziawione usta. Deni Maxx nie odstępowała tej groteskowej postaci ani na krok. Głaskała poszkodowaną po włosach i szeptała bezużyteczne słowa pociechy. Rzuciła Addzie błagalne spojrzenie. Na próżno usiłował nie okazywać odrazy, którą wywoływała u niego myśl o dotknięciu zabandażowanej postaci. Zbliżył się do rannej i patrząc jej w twarz, burkliwie wypowiadał uspokajające słowa. Miał wrażenie, że pociesza zranioną świnię powietrzną. Jednak oczodoły ofiary były prawie czarne na skutek odniesionych obrażeń, toteż wątpił, żeby go słyszała. Szybko załadowali kobietę do samochodu powietrznego. Auto oddaliło się od budynku i nie musieli już słycać krzyków pacjentki. Deni została przy prowizorycznych drzwiach i łapczywie wdychała stęchłe Powietrze. Przyglądała się dalekim mgłom, liliowym wypustkom niszczyielskich promieni Xeelee, które z taką łatwością pokonywały Gwiazdę.

– Miejmy nadzieję, że te przeklęte istoty będą się trzymały z dala od Parz – powiedział Adda. Odgarnęła pukiel brudnych włosów.

– I od twojego ludu, gdziekolwiek jest... Tak czy owak, jeśli te promienie rzeczywiście w nas uderzą, będziemy mieli straszne

pecha. Najwyraźniej celem Xeelee jest rozerwanie Rdzenia; na pewno nie chcieliby marnować energii, żeby zniszczyć taką małą, słabą konstrukcję jak Miasto – odparła lekarka.

– Tak. To tyle, jeśli chodzi o wyprawę Horka do Podpłaszcz.

– Być może. Ale ta brawurowa, zwañowana ekspedycja była dla nas wszystkich jedyną nadzieją. Uczepiłam się jej z wręcz irracjonalną siłą. – Uśmiechnęła się blade. – Właściwie to nadal wierzę w jej sens. Czemu by nie? Ta wiara podtrzymuje mnie na duchu.

Adda obserwował wąskie szeregi samochodów powietrznych i ludzi znikające we wzburzonej Powietrzu. Większe auta przypominały z oddali owady, uciekające przed palącym światłem Xeelee. Deni potarła brodę.

– Adda, może tego nie zrozumiesz, ale większość mieszkańców Miasta nigdy dotąd nie opuszczała jego granic. I zawsze

uważali Parz za najbezpieczniejsze miejsce na świecie. Teraz, kiedy ono rozpada się na ich oczach, czują się... zdradzeni. Jak dziecko porzucone przez rodziców. – Zawahała się. – Mówimy o nadziei, lecz w gruncie rzeczy dla wielu osób to, co najgorsze, już się wydarzyło.

– Myślisz, że robimy tutaj coś pożytecznego? Na twarzy Deni pojawiło się napięcie.

– No cóż, wypychamy pacjentów z tego prowizorycznego portu równie szybko, jak się tu pojawiają – zgnieceni na stadionie, poparzeni albo porozcinani przez ten berg z materii rdzeniowej, który wtargnął do Środka... Ale nie chcę osądzać, czy są poza Miastem choć trochę bezpieczniejsi niż w tych ruinach. – Uśmiechnęła się smutno.

– Pomaganie innym przynajmniej poprawia nam samopoczucie. Nie sądzisz?

Zobaczyli kolejnego pacjenta. W grupie, która go niosła, znajdował się Fair. Gdy tylko załadowano nieprzytomne dziecko do samochodu, chciał wrócić na oddział, lecz Adda położył mu rękę na ramieniu. Oczywiście chłopca były mocno podkrążone; zgarbił się i poruszał wargami, jakby mamrotał coś do siebie.

Adda potrząsnął nim lekko.

– Farr? Nic ci nie jest, chłopcze?

Młodzieniec skierował wzrok na starego człowieka.

– Czuję się świetnie – odparł nienaturalnie piskliwym głosem. – Jestem tylko trochę zmęczony i...

– Posłuchaj, nie musisz ciągle tego robić. Farr wydawał się urażony.

– Adda, nie jestem dzieckiem.

– Do diaska, wcale nie twierdzę, że nim jesteś... Deni łagodnie wkroczyła do akcji. W jej zachowaniu było coś z dawnego polotu i fachowości.

– Farr, spisujesz się wspaniale i chcę, żebyś nadal nam pomagał. Dlatego zgadzam się z Addą; myślę, że powinieneś zrobić sobie przerwę – znaleźć coś do jedzenia, miejsce do odpoczynku.

Brat Dury miał ochotę protestować, ale Deni lekko szturchnęła jego klatkę piersiową.

– No, jazda. To jest rozkaz.

351

Chłopiec ustąpił, uśmiechając się blado. Lekarka zwróciła się do Addy z figlarną miną.

– Od razu widać, że nigdy nie byłeś rodzicem.

Starzec burknął coś w odpowiedzi.

Do poszarpanej krawędzi zniszczonej ściany zbliżył się nowy samochód powietrzny; piątka zdenerwowanych świń tłoczyła się w kupie i obijała o Skórę niczym nadmuchane zabawki. Drzwiczki auta otworzyły się; kierowca wychylił się na zewnątrz.

– Adda! – zawołał Tobą Mixxax. Jego szeroka, znużona twarz rozjaśniła się w uśmiechu. – Cieszę się, że cię znalazłem. Ito mówiła, że próbujesz się tu dostać razem z Farrem.

– Tak, chłopak jest tutaj. Czuje się dobrze. Ciężko pracuje. –

Okragłe, spłaszczone oblicze Toby zawsze wydawało się Addzie nijakie, pozbawione wyrazu, lecz teraz, spoglądając na jego oczodoły, na małe zmarszczki w kącikach ust, starzec dostrzegał autentyczny ból. – Crisa tu nie ma. Przykro mi.

Wyraz twarzy Mixxaxa prawie się nie zmienił. Przybysz z nadplywu zauważył jednak, że nie jest już ani trochę pogodna.

– Nie. I tak nie oczekiwałem, że tu będzie.

–Nie.

Jeden unikał wzroku drugiego. Przez chwilę byli zakłopotani.

– Jak się miewa Ito? Gdzie ona jest?

– Na farmie sufitowej. To znaczy, na tym, co z niej zostało. Ma mnóstwo roboty. Jest rzemieślniczką i wraz z kulisami, którzy

plyw

postanowili nie odchodzić, próbuje doprowadzić to miejsce do porządku. – Pokręcił głową. – Ale wszystko jest zniszczone. Nie uwierzyłybyś. – W głosie Toby wyczuwało się rozgoryczenie. – Adda, to ostatnie Zaburzenie całkowicie nas załatwiło. Usłyszawszy te słowa, starzec przypomniał sobie, co powiedziała Deni – że Xeelee zamierzają rozerwać Rdzeń i zniszczyć samą Gwiazdę. Adda nie należał do ludzi obdarzonych nadmierną wyobraźnią. Zazwyczaj koncentrował uwagę na sprawach bieżących, na tym, co dawało się osiągnąć. Jednakże teraz zastanawiał się, co by było, gdyby Deni Maxx miała rację – gdyby tym razem Xeelee rzeczywiście chcieli doprowadzić do zagłady Gwiazdy i wszystkich ludzi. Spojrzał na trupioblade niebo. W głębi duszy spodziewał się,

352

że Zaburzenie wreszcie się skończy – jak wszystkie inne, nawet te najgwałtowniejsze, których był świadkiem podczas swego długiego życia. Ale jeśli tym razem miało się stać inaczej? Przecież to Xeelee wywoływali te najnowsze Zaburzenia; zatem jego poprzednie doświadczenia nie mogły stanowić wiarygodnej wskazówki. A jeśli Xeelee będą uparcie nękać Rdzeń, aż w końcu cała jego materia wypłynie ze szczelin w Morzu Kwantowym?

Dotychczas stary myśliwy liczył się jedynie z własną śmiercią i śmiercią wielu innych osób, nawet tych, które były mu bliskie. Być może jednak ta nowa katastrofa miała osiągnąć znacznie większy zasięg – być może wiązała się z zagładą całego gatunku. Nagle starca przytłoczyła wizja Gwiazdy, którą ogołociono z Istot Ludzkich, ze wszystkich przyszłych pokoleń; raptem wszystko, na czym Addzie zależało, gasło i traciło jakiegokolwiek znaczenie.

Tobą wciąż mówił do niego. Nadpływowiec od dłuższego czasu nie słyszał ani słowa.

Odsunął się i wziął głęboki oddech. Jeśli dzisiaj miał nastąpić koniec świata, to on sam niewiele mógłby zdziałać. Tymczasem jednak czekało go sporo bieżącej roboty.

Deni Maxx dołączyła do Addy w prowizorycznym przejściu.

– Dziękuję, że przybyłeś nam pomóc, obywatelu. Tobą wzruszył ramionami.

– Potrzebowałem jakiegoś zajęcia. – Na oddziale akurat przenoszono kolejnego pacjenta. Tobą Mixxax zerknął na ciało ранnego i jego twarz zastygła w ponurym wyrazie.

– No cóż, znalazłeś zajęcie – powiedział Adda ze smutkiem.

Lekarka dotknęła jego ramienia.

– Chodź, nadpływowcze. Wracajmy do pracy. W oddali gwiazdołamacze przekłuwwały Płaszcz niby ogromne sztylety. Adda przyglądał im się jeszcze przez chwilę, a potem skinął Tobie głową na pożegnanie i odwrócił się.

Kiedyś Gwiazda wydawała się dziewczynie ogromna. Teraz Dura była zagubiona w bezmiarze Ur-nieba, gwiazd i planet; wspominała niemal z nostalgią przytulny świat Płaszcz – gładką fioletową tafłę Morza Kwantowego w dole. Skorupę rozpostartą w górze, i sam Płaszcz, wielkie łono, które było jak bezpieczna przystań.

353

Z tego wszystkiego została ograbiona za sprawą swojej niesamowitej podróży i przyrządów obserwacyjnych Ur-ludzi.

Odchyliła głowę i z całej siły wytrzeszczyła oczy. Pragnęła ogarnąć wzrokiem wszystko, zapomnieć o strachu i zbudować w swojej głowie model tego nowego wszechświata.

Niebo wokół niej i Horka – przestrzeń między gwiazdami – nie było całkowicie czarne. Dostrzegała zarysy jakichś kształtów: chmury, spirale, skrawki szarości. Za tymi przezroczystymi ścianami musiało występować jakieś powietrze, zupełnie inne niż znane jej Powietrze: rozrzedzone, przezroczyste, niejednorodne, lecz wystarczająco gęste, by nadawać niebu nieuchwytny kształt. Było trochę jak ulotne cieniste

plyw

szablony, które widziała w ciemności, kiedy mocno zaciskała powieki swoich oczu.

A za tym cienkim obłokiem gazu znajdowały się gwiazdy. Zawieszane na całym niebie przypominały latarnie i świeciły jasno, bez żadnego migotania. Różniły się między sobą barwą i stopniem jasności – były wśród nich delikatne iskry i intensywne, dostojne płomienie. Dura pomyślała, przejęta niemal religijną trwogą, że te pochodnie na niebie mogą być autonomicznymi światami. Niewykluczone, że na tych odległych świetlnych punktach żyły inne gatunki ludzi, umieszczone tam przez Ur-ludzi, którzy w ten sposób realizowali swoje nieodgadnione cele. Czy kiedyś będzie mogła się tego dowiedzieć – porozmawiać z owymi istotami, dotrzeć tam pomimo ogromnych odległości?

Próbowała ustalić, czy ułożeniem gwiazd rządzi jakaś reguła. Dostrzegła coś w rodzaju pierścieniowej struktury w jednym miejscu, a w samym rogu nieba zauważyła szereg złożony z kilkunastu świetlnych punktów...

Jednak gdy tylko odnajdowała szczątkowe ślady uporządkowania na niesformym niebie, natychmiast gdzieś ono ginęło. Powoli zaczynała sobie uświadamiać bolesną prawdę – nie istniał żaden porządek, gwiazdy były rozmieszczone zupełnie przypadkowo.

Po raz pierwszy od opuszczenia „Latającej Świni” poczuła, że ogarniają ją panika. Miała kłopoty z oddychaniem, a jej naczynia włosowate rozszerzały się w całym ciele, wchłaniając więcej sprężystego Powietrza.

Dlaczego przypadkowość tak bardzo ją przygnębiała? –
354

Powoli zaczęła odnajdywać przyczynę swojego strachu. – Chyba dlatego, że tutaj nie było żadnych linii wirowych, regularnego sklepienia skorupowego czy morskiej podłogi. Spędziła całe życie w uporządkowanym niebie – w niebie, gdzie każda niere-gulamość była czymś tak niezwykłym, że musiała oznaczać śmiertelne niebezpieczeństwo.

Ale tutaj nie istniały linie ani żadne punkty zaczepienia dla jej niespokojnego umysłu.

– Dobrze się czujesz? – Hork sprawiał wrażenie spokojniejszego niż ona, ale oczy miał równie szeroko otwarte, a jego nozdrza, wystające zza krzaczastego zarostu, świeciły niczym jądrowy płomień drewna.

– Nie. Niezupełnie. Nie jestem pewna, czy mogę się z tym wszystkim pogodzić.

– Wiem, wiem. – Mężczyzna uniósł głowę. W świetle gwiazd wydawało się, że jego grube rysy roztapiają się, odsłaniając spokojny, niemal elegijny wyraz twarzy. Machnął ręką w kierunku obrazu nieba.

– Spójrz na gwiazdy. Widzisz, że różnią się pod względem jasności. Ale jeśli te różnice są tylko złudzeniem? Brałaś to pod uwagę? A jeśli wszystkie gwiazdy świecą tak samo?

Jej umysł, jak zwykle, powoli podążał za logicznym rozumowaniem Horka. Skoro gwiazdy charakteryzowały się identyczną jasnością, to część z nich musiała być położona dalej, o wiele dalej. Westchnęła. Do licha, nie wzięła tego pod uwagę.

Dotychczas wyobrażała sobie rozgwieżdżony Ur-wszech-świat jako powłokę – coś w rodzaju skorupy, tyle że bardziej oddaloną. Prawda wyglądała inaczej. Durę otaczało nieograniczone niebo, na którym, niby jaja pajaków spinowych, były rozproszone autonomiczne światy w postaci gwiazd.

Wszechświat pęczniał wokół, redukując ją do nic nie znaczącego pyłka, iskry świadomości. Czowała się niewyobrażalnie przytłoczona; krzyknęła i ukryła twarz w dłoniach.

– Nie przejmuj się – odezwał się Hork niepewnie. Strach Dury ustąpił miejsca irytacji.

– Jasne. Przypuszczam, że ty jesteś całkowicie spokojny. Przepraszam, że sprawiam ci kłopot...

-Daj już spokój.

Odwróciła się od niego, starając się zapomnieć o zdenerwowaniu.

- Żałuję, że nie wiem, jaka powinna być właściwa reakcja na całą tę sytuację - na to, że znajdujemy się w tym pradawnym miejscu i postrzegamy wszystko oczami Ur-ludzi...

- No niezupełnie - odparł Hork łagodnie. - Pamiętaj, że wciąż otaczają nas ściany, które z pewnością ułatwiają nam patrzenie. Ur-ludzie postrzegali rzeczy inaczej niż my. Zapytaj o to Muuba, kiedy wrócimy... My „widzimy” dzięki falom dźwiękowym transmitowanym przez Powietrze. - Pomachał ręką. - Jednakże za tą małą bańką nie ma Powietrza. Właściwie Ur-ludzie nie żyli w Powietrze. „Widzieli”, skupiając wiązki fotonów, które...

Zmarszczyła nos.

- Czy czuli zapach gwiazd?

- Oczywiście, że nie - warknął. - W Powietrze fotony przemieszczają się powoli, ulegając rozproszeniu. Wykorzystujemy je więc do wachania. I „słyszemy” wahania temperatury... W pustej przestrzeni wygląda to inaczej. Fonony - kwanty dźwięku - w ogóle nie są w stanie się przemieszczać, toteż bylibyśmy ślepi. Fotony zaś są ogromnie szybkie. Dlatego Ur-ludzie mogli „widzieć” fotony... Taka jest w każdym razie teoria Muuba.

- To w jaki sposób mogli słyszeć? A co ze zmysłem smaku i powonienia?

- A skąd, u diabła, mam to wiedzieć - burknął niecierpliwie. - Tak czy owak, myślę, że trzecia komora została stworzona po to, byśmy postrzegali wszechświat w taki sam sposób jak Ur-ludzie. - Potarł brodę w zamyśleniu. - Na konsoli ze strzałką zostało jeszcze jedno ustawienie, czwarte... Jeszcze nie wyczerpaliśmy wszystkich sposobów widzenia.

Zapomniała o ostatniej ćwiartce. Gdzieś w głębi duszy odczuwała teraz zdwojony lęk.

Obróciła się w Powietrze i rozejrzała dookoła. Wciąż szukała prawdziwości. Uświadomiła sobie, że niebo nie jest jednolicie ciemne. Tajemniczy gaz przechodził z szarości w głęboką kar-mazynową poświatę w drugim końcu pomieszczenia.

356

- Chodź. Myślę, że za tą komorą tunelową jest coś jeszcze... - poprosiła Horka.

Nadal trzymali się za ręce i falując, minęli fotel kontrolny oraz okrążyli pociemniały czworościan, w którym znajdował się portal tunelu i „Świnia”. Przez otwarte drzwi Dura ujrzała przelotnie statek; jego szorstkie drewniane ściany, wstęgi z materii rdzeniowej, poczuła powoli przeciekający smród świńskich wiatroodrzu-tów - wszystko to wydawało się nieznośnie prymitywne w tej komnacie cudów Ur-ludzi.

Błask przybierał na intensywności w miarę, jak zbliżali się do jego źródła. Wreszcie całkowicie przyćmił światło gwiazd. Dura uświadomiła sobie, że cofa się, jakby wystraszona możliwością odkrycia nowych, przytłaczających cudów. Jednak Hork mocno ścisnął jej palce i delikatnie pociągnął za sobą.

- Chodź - powiedział ponuro. - Nie rób mi teraz zawodu.

Na środku połyskującego nieba znajdowała się pojedyncza gwiazda: małutka, żółtoczerwona, jaśniejsza od wszystkich innych. Nie była jednak całkowicie odizolowana. Otaczał ją pierścień jakiegoś rozżarzonego gazu, a w pobliżu - co było zupełnie zdumiewające - tkwiła ogromna kula światła. Przypominała samą gwiazdę, ale była pękata i rozrzedzona. Jej zewnętrzne warstwy uległy tak znacznemu rozproszeniu, że prawie mieszały się z wszechobecną chmurą gazową. Z kuli wydostawały się, niby wici, smugi szarego światła, które docierały do gazowego pierścienia i wnikały do jego wnętrza.

Dura pomyślała, że ma przed sobą gigantyczną rzeźbę z gazu i

plyw

światła. Była zdumiona, a jednocześnie zauroczona jej proporcjami, skalą, głębią stopniowania barw. Spoglądała na pierścien gazowy wokół gwiazdy z jego krawędzi. Powoli uświadomiła sobie, że otaczająca ją konstrukcja Ur-ludzi w rzeczywistości znajduje się wewnątrz pierścienia. Mogła spoglądać poza centralną gwiazdę, na odległy kraniec gazowego okręgu, który z powodu znacznej odległości wyglądał jak świetlny promień z nanizaną małą gwiazdą niby wisiorkiem. Była w stanie dostrzec turbulencje w pierścieniu, potężne komórki mogące wchłonąć tysiąc kolonii Ur-ludzi. Komórki wybuchały i mieszały się, ulegając zmianom, które zdawała się

357

wykluczać ich ogromna skala. Można było także zauważyć jakiś ruch wokół gwiazdy: garstkę iskier zanurzającą się w jej powłoce.

– A więc to prawda? – wysapał Hork.

– Co takiego?

– Że nie znajdujemy się już w Gwieździe. Że zostaliśmy przetransportowani za pośrednictwem tunelu na planetę, która jest poza nią. – Światło pierścienia zalewało twarz i rzucało skomplikowane cienie na brodę mężczyzny. – Nie rozumiesz? To jest nasza Gwiazda i – zgodnie z tym, co pokazywała mapa, znajdujemy się na planecie okrążającej Gwiazdę. Jednakże mapa nie pokazywała gazowego okręgu. – Odwrócił się do niej. W jego oczach błyszczało podniecenie. Dura pojęła, że jest to podniecenie odkrywcy, który wreszcie połączył wszystkie elementy zagadki. – A zatem wiemy już, jak funkcjonuje system naszej Gwiazdy. – Gestykulował rękami. – Tutaj jest Gwiazda, w środku wszystkiego. Pierścien gazowy otaczają w ten oto sposób. Planeta musi dryfować w obrębie pierścienia. A nad tym wszystkim unosi się lekko rozżarzona kula, z której wydostaje się gaz.

Dura patrzyła na ich gwiazdę. Wydawała się mała, licha, rozczarowująca w porównaniu ze wspaniałymi lampionami, które świeciły w innych częściach nieba. Ale była ich d o m e m. Dziewczyna doświadczała uczucia dziwnej obcości, smutku i nostalgii.

– Nasz świat jest taki ograniczony – powiedziała powoli. – Skąd mielibyśmy wiedzieć, że za Skorupą jest tyle cudowności, bezmiaru, piękna...

– Wiesz, myślę, że ta duża kula gazowa świeci własnym blaskiem. To znaczy, ona nie odbija światła gwiazd.

Kula przypominała ogromny brelok na pierścieniu; w porównaniu z nią gwiazda wydawała się zupełnie mała. Hork miał chyba rację: intensywność szarozółtej poświaty zwiększała się ku środkowi kuli gazu. Dura uświadomiła sobie powoli, że ten obiekt nie jest kulą; być może kiedyś nią był, ale potem został rozciągnięty i wyglądał jak ła. Jego cienki koniuszek łączył się z pierścieniem za pośrednictwem pępowiny błyszczącego gazu. Zewnętrzne warstwy zniekształconej kuli były zamglone i wzburzone. Dura widziała przez nie ciemną przestrzeń kosmiczną.

– Przypomina samą gwiazdę, ale...

358

– Ale nie wygląda normalnie. – Dziewczyna szukała właściwego określenia. – Sprawia wrażenie... niezdrowej.

– Tak. – Wyciągnął rękę. – Wydaje się, że z tej dużej gwiazdy pobierana jest substancja, która potem wlewa się do pierścienia. – Popatrzył na Durę. – Być może Gwiazda jakimś sposobem wyciąga substancję z dużej gwiazdy, żeby utworzyć pierścien. Być może planeta, na której przebywamy, jest zbudowana z materii pierścieniowej.

Zadrżała.

– Mówisz o Gwieździe tak, jakby była żywym organizmem, czymś w rodzaju pijawki ocznej.

– Pijawki gwiazdnej. No cóż, być może nigdy nie otrzymamy

plyw

lepszego wyjaśnienia... – Uśmiechnął się do niej. W blasku pierścienia jego twarz wydawała się nierealna. – Chodź. Chcę wypróbować ostatnie położenie strzałki.

– Och, Hork... Czy ty w ogóle jesteś zdolny do odczuwania strachu?

– Nie. – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Myślę, że to cecha konieczna dla przetrwania. Nazywam ją twardością psychiczną. – Prowadził Durę wokół komory tunelu i zerkał na nią szelmowsko. – A więc zobaczyliśmy gwiazdy. Duża rzecz. Co jeszcze zostało?

– Przekręcić strzałkę i poznać odpowiedź. Zastosował się do jej rady.

Wszechświat – skupisko gwiazd i gwiazdnego światła – implodował. Dura zawyła.

26

Wszystkie gwiazdy, z wyjątkiem ich Gwiazdy, zniknęły, zabierając ze sobą całe światło. Na opustoszałym niebie pozostała tylko Gwiazda ze swoim pierścieniem i potężnym, krwawiącym towarzyszem...

Nie. Dura uświadomiła sobie, że Gwiazda nie jest zupełnie

359

osamotniona. Na niebie pojawił się łuk – wielobarwna wstęga, cienka i perfekcyjna; opasywała częścią swojej krzywizny środowisko Ur-ludzi, a dalej przechodziła za Gwiazdą.

Ta wstęga tworzyła krąg wokół wszechświata i zawierała w sobie światło gwiazd.

Hork pojawił się przed Durą. Gwiazdny łuk rozjaśniał miejscami jego szarą twarz.

– No? – zagadnął poirytowanym głosem. – Co teraz? Potarła czoło.

– Każde położenie strzałki pokazuje nam więcej elementów naszego otoczenia – więcej wszechświata. Jak gdyby usuwano z naszych oczu kolejne warstwy, kolejne zasłony.

– Zgadza się. – Uniósł wzrok ku gwiazdnemu łukowi.

– A więc to musi być prawda? Ostatnia scena, po odsłonięciu wszystkich zasłon? – Pokręcił głową. – Ale co to wszystko znaczy?

– Niebo, które widzieliśmy przedtem – gwiazdy rozsypane na nim – wydawało się nam dziwne, wręcz przerażające. Ale przynajmniej wyglądało naturalnie. Gwiazdy były takie jak nasza Gwiazda, tyle że świeciły w większym oddaleniu.

– Rzeczywiście. Natomiast to niebo wydaje się zniekształcone. I jak to się dzieje, że wciąż jesteśmy w stanie dostrzec naszą Gwiazdę? Dlaczego jej światło również nie zostało rozmazane w tej absurdalnej obręczy?

Rozmazane światło... Podoba mi się. Jaki on spostrzegawczy. Dura okręciła się w Powietrzu, usiłując stłumić okrzyk. Suchy, łagodny głos, emanujący z próżni wielkiego pomieszczenia, wzbudził w niej potworny strach.

– Karen Macrae – powiedział Hork z wrogością w głosie. W Powietrzu, w odległości zaledwie jednego człowieka, zarysowały się blade, różnobarwne sześciany światła tworzące ramiona i głowę. Kontury były słabiej widoczne niż w Podpłaszczu – kolory wyblakły, a sześciany miały większe rozmiary. Kolonistka otworzyła oczy. Dura znowu poczuła obrzydzenie na widok mięsistych gałek umieszczonych w oczodołach.

Hork miał rację. Karen Macrae zabrała się z nimi w bryłce materii rdzeniowej przytwierdzonej do boku „Świni” i w ten

360

sposób pokonała całą drogę z głębin Gwiazdy do tego odległego, ponurego miejsca.

Światło gwiazd jest rozmazane. Rzeczywiście. I musicie zrozumieć, dlaczego jest rozmazane i co się z wami dzieje.

Ściany tego pomieszczenia nie są oknami; posiadają

plyw

zdolność przetwarzania danych – są wirtualnymi urządzeniami, zdolnymi do przekształcenia natury dopplerowskie go przesunięcia...

Hork zbliżył się do Karen Macrae.

– Gadaj normalnie, do cholery.

Zniekształcona głowa powoli obróciła się.

Dopplerowskie przesunięcie ku fioletowi. Podróżujecie... Podróżujemy przez przestrzeń z ogromną prędkością. Prawie tak szybko jak światło. Rozumiecie? I dlatego...

– I dlatego prześcignęliśmy światło gwiazd – dokończył Hork.

– Chyba rozumiem. Ale dlaczego wciąż widzimy Gwiazdę oraz jej system z pierścieniem i gigantycznym towarzyszem?

Wydawało się, że Karen cofa się do swojej niecałkowicie uformowanej głowy; mięsiste gałki jej oczu kręciły się dookoła jak zwierzątko.

Dura usiłowała znaleźć odpowiedź na pytanie swojego towarzysza.

– Ponieważ Gwiazda podróżuje z nami. I dlatego wciąż widzimy jej światło. – Spojrzała na mężczyznę powątpiewająco. – Czy takie wyjaśnienie ma sens?

– Ach, kolonistka i jej zagadkowa paplanina – burknął Hork. –

w porządku. Załóżmy, że masz rację. Ostatecznie i tak nie mamy lepszego wytłumaczenia. Załóżmy, że podróżujemy wraz z Gwiazdą przez przestrzeń z prędkością światła. Dlaczego? Skąd przybywamy? Dokąd zmierzamy?

Karen Macrae nie odpowiadała. Świetlne sześciany pełzały po jej obliczu jak pijawki.

Hork i Dura popatrzyli na siebie nawzajem, jakby spodziewali się wyczytać odpowiedź ze swoich poiurytowanych twarzy.

Po chwili znowu rozejrzeli się dookoła, starając się zrozumieć przyczyny zniekształceń na niebie. W tym zbiorowisku rozpadzonych światów Dura czuła się mała, krucha i bezradna. Światło było rozmazane symetrycznie i po krótkim sporze doszli do

361

wniosku, że ich punkt wyjściowy i miejsce przeznaczenia muszą się znajdować na biegunach wyimaginowanej kuli wokół nich; kuli, której równik zaznaczony był łukiem gwiazdnym. Hork wyciągnął rękę ku strzałce.

– Dobrze. Przekonajmy się, co można tam zobaczyć... – Ustawił strzałkę w przedostatnim położeniu.

Gwiazdy pouciekały z rozsypującego się łuku gwiazdnego i wróciły do swych rozproszonych na niebie domostw.

Hork zaczął falować w kierunku jednego z wyimaginowanych biegunów. Spoglądał poprzez mgliste, klockowate urządzenia Ur-ludzi w przestrzeń kosmiczną. Durze, która została w pobliżu Karen Macrae, wydawał się zabawką, plamką pływającą w nieokreślonym bezmiarze Ur-ludzi.

– Nic tu nie ma – zawołał rozczerowanym tonem. – Tylko anonimowy szlak gwiazd.

– Wobec tego to musi być na drugim końcu komory. Na przeciwległym biegunie. Chodź.

Czekała, aż wróci, a potem ramię w ramię pofalowali zgodnie z kierunkiem lotu Gwiazdy.

Na biegunie nieba rzeczywiście coś było: na tle gwiazd widniał jakiś wielki – mimo że obserwowano się go z daleka – obiekt o wyraźnych zarysach.

Karen Macrae mówiła coś. W cichej komorze jej słowa brzmiały jak westchnienia.

Przybysze z Płaszcz cofnęli się pośpiesznie i przybliżyli twarze do zamglonych warg Kolonistki.

– Co to znaczy? – zapytała Dura, bliska rozpaczki. – Nie spróbujesz jeszcze raz? Co do nas mówisz?

... Pierścień. Widzicie go? Mam tak mało mocy przetwarzającej,

te... dętka... do Pierścienia...

Dura odwróciła się i popatrzyła na olbrzymie „coś”. Ogarnął ją strach zrodzony z bajek dla dzieci, ze starych, przeinaczanych legend. Auto odleciało.

Adda trzymał się prowizorycznych drzwi oddziału i wciągał Powietrze do płuc. Rozejrzał się po niebie. Ponura ciemność

362

panorama coraz mniej przypominała bezpieczny, uporządkowany Płaszczoobraz, który towarzyszył jego dojrzywaniu: linie wirowe tworzyły nieciągłe pętle spinowe, które próbowały się rozplatać, a promienie gwiazdołamaczy nadal przecinały Powietrze i atakowały Rdzeń, przyjmując nienaturalnie pionową pozycję.

Pomimo że Adda był zmęczony, coś nieustannie drażyło jego świadomość. Odniósł wrażenie, że zrobiło się trochę ciemniej. Co mogło spowodować tę zmianę? Opuścił oddział i falując, uniósł się na wysokość kilku ludzi. Pozostawił za sobą Skórę, drewnianą ścianę bez końca, przysłaniającą widok połowy nieba. Tę podziurawioną przez setki nierównych otworów zewnętrzną powłokę Parz opasywały olbrzymie wstęgi kotwiczne. Z popękanych ścian nadal wypływał coraz wolniejszy strumień samochodów i ludzi, który rozpraszał się w pustkowiu Powietrza. Pociemniała Skóra budziła grozę...

No właśnie. Była zbyt ciemna.

Adda poleciał jeszcze dalej i wykręcił głowę, żeby przyjrzeć się wstępom kotwicznym z materii rdzeniowej. Wielkie obręcze wyglądały jak szara klatka opasująca drewnianą fasadę Miasta. Jeszcze do niedawna wokół nich trzeszczał błękitny gaz elektronowy, lecz teraz były matowe, martwe.

Gaz przestał świecić.

Zatem prądnice, potężne, opalane drewnem płuca metropolii w końcu przestały funkcjonować. Być może zostały opuszczone przez obsługę albo jakaś istotna część infrastruktury Parz załamała się na skutek wyczerpującej obrony przed wahaniami Mag-pola.

Zresztą, nie miało to większego znaczenia.

Coś wybuchło. Z dolnej części olbrzymiego kadłuba, na styku Grzbietu i głównej dzielniczy mieszkaniowej, wystrzelił grad odłamków. Kawałki rozszczepionego drewna mieszały się z odpadami, nieprzerwanie wydalany przez metropolię.

Za kilka uderzeń serca Miasto mogło ulec całkowitej zagładzie. Falując energicznie, Adda wrócił do prowizorycznego szpitala i dał nurka w kłębowisko obandażowanych pacjentów, udreżonego personelu oraz wolontariuszy. Fair właśnie pomagał

363

Deni Maxx, która zakładała opatrunek jakiemuś rannemu. Starzec bezceremonialnie chwycił oboje za ramiona, odciągnął od nieprzytomnego pacjenta i skierował do wyjścia.

– Musimy się stąd wydostać.

Lekarka spojrzała na niego ze zdziwieniem; ciemnozielte światło Powietrza znaczyło jej twarz cienistymi bruzdami.

– Nie rozumiem. Co się stało?

– Wstęgi kotwiczne straciły zasilanie – syknął Adda. – Nie mogą utrzymać Parz tu, nad Biegunem. Miasto znajdzie się pod wpływem potężnych sił i odpłynie stąd, zacznie dryfować. Musimy uciekać. Miasto nie wytrzyma.

Farr obejrzał się na pacjentów i zbieraninę przypadkowych sanitariuszy.

– Ale przecież nie skończyliśmy...

– Farr – przerwał mu Adda, starając się przekonać chłopca za wszelką cenę – wszystko już się skończyło. Spisałeś się świetnie, ale nie możesz zrobić już nic więcej. Gdy tylko odczujemy skutki awarii wstęg, tak czy owak nie będziemy w stanie dokończyć ewakuacji.

Deni Maxx patrzyła starcowi w oczy. Miała zaciśnięte usta.

– Ja zostaję.

plyw

Adda poczuł, że jego schorowane serce znowu pęka.
– Ale przecież czeka cię pewna śmierć – powiedział błagalnym tonem. – Ci nieszczęśnicy i tak nie zdołają przetrwać. Nie ma sensu... Wyrwała ramię z jego uścisku. Popatrzyła na oddział takim wzrokiem, jakby jej rozmowa z byłym pacjentem była tylko chwilą wytchnienia od pracy.
Kiedy Adda położył rękę na koślawej ramie drzwi, poczuł silną, gwałtowną wibrację, która dochodziła z trzewi Miasta; fale drgawek rozchodziły się po nagiej skórze jego rąk i szyi.
Może było już za późno. Przecisnął się przez prowizoryczne wyjście i znalazł w otwartym Powietrzu.
Obejrzał się za siebie. Deni Maxx z determinacją torowała sobie drogę w kierunku pacjentów. Zlekceważyła jego ostrzeżenie. Albo zapomniała o nim. Jednakże Farr nadal trzymał się blisko drzwi i patrzył na oddział, nie potrafiąc podjąć decyzji.

364

No cóż, Deni była stracona, ale Adda miał jeszcze nadzieję, że uratuje Farra.
Napiął mięśnie, chwycił młodzieńca za rękę, wyciągnął ze szpitala i cisnął w Powietrze. Chłopiec daremnie się bronił. Wyglądał jak porzucony owad, śmiesznie mały na tle ogromnej, zniszczonej ściany. Spojrzał gniewnie na Addę.
– Nie miałeś prawa tego zrobić.
– Wiem. Wiem. Będziesz mógł mnie nienawidzić. A teraz faluj, do diabła; faluj najmocniej jak potrafisz!
Z Północy nadciągała złowieszczą czerwoną poświata oblewająca całe niebo. Starzec jeszcze nigdy nie widział takiego blasku. Za jego sprawą Płaszcz nasiąkał ciemnością, w której gwiazdołamacze Xeelee lśniły niczym otwarte kłody drzew.
Znowu z wnętrzości Miasta dobiegł trzask miażdżonego drewna i pękającej materii rdzeniowej. Skórę pokryły f a ł y. Na jej powierzchni pojawiły się fale o wysokości jednego mikrona, a drewno pękało w serii małych wybuchów.
Adda spuścił głowę i wierzgał nogami w kipiącym Powietrzu; falując uciekał jak najdalej od Parz.
Z oddali Pierścień wyglądał jak lśniący klejnot, piękny, ale kruchy.
– Wierzyłam prawie we wszystkie historie, które opowiadał mi ojciec – mówiła Dura. – Ale chyba nigdy do końca nie wierzyłam w sam Pierścień.
Pierścień Boldera, największa konstrukcja techniczna wszechświata. Tak ciężka – i wirująca tak szybko – że wydrążyła dziurę w samej przestrzeni kosmicznej.
– Pierścień jest bramą we wszechświecie. Dzięki niemu Xeelee mogą uciec przed swoim nieznanym wrogiem – tłumaczyła Horkowi. Mężczyzna zacisnął pięści, lecz jego wojowniczość wydawała się śmieszna na tle bezmiaru nieba.
– Znam wasze legendy. Ale co to za wróg? – Przysunął się do Karen Macrae i uderzył pięścią w obłok ruchomych sześcianów, tworzących jej twarz. Ręka przeszła na wylot. – Co to za wróg, a niech cię...?

365

Karen Macrae powoli zaczęła mówić. Jej gałki oczne połyskiwały. Mówiła z wahaniem, urywanymi zdaniami.
Gwiazda wchodziła w skład galaktyki, dysku zawierającego sto miliardów gwiazd. Właściwie była bardzo stara; stanowiła ochładzającą się pozostałość po wielkiej eksplozji, która wyrzuciła w przestrzeń większość jej masy, a także zniszczyła jej szarego towarzysza, który nadal znajdował się w pobliżu. W miarę upływu czasu Gwiazda przyciągała materię sąsiada, tworząc planety z gazu.
Potem zjawili się Ur-ludzie.
Umieścili w Rdzeniu Kolonistów – istoty stworzone na ich podobieństwo – ci zaś zbudowali pierwszych gwiazdnych ludzi.

plyw

Przez pięć stuleci koloniści i gwiazdni ludzie pracowali razem. Na Biegunie Północnym Gwiazdy zbudowano potężne silniki – Karen nazywała je napędami nieciągłości. Ekipy gwiazdnych ludzi obsługiwały te ogromne maszyny pod okiem kolonistów. Hork zmrużył powieki.

– Ach – westchnął – a zatem ci koloniści rzeczywiście nas potrzebują. My jesteśmy rękami, silnymi ramionami, które zbudowały ten świat...

Silniki napędu nieciągłości wyrwały Gwiazdę z miejsca jej narodzin. Opuściła własną galaktykę i swobodnie przemierzała przestrzeń.

Pierścien znajdował się blisko ojczystej galaktyki Gwiazdy – według tego, co mówiła Karen Macrae, tak blisko, że światło potrzebowało zaledwie dziesięciu tysięcy lat, żeby pokonać dzielącą te obiekty pustkę; tak blisko, iż ogromna masa Pierścienia zniekształcała już strukturę galaktyki, rozciągając ją. Gwiazda – wraz ze swoim towarzyszem, planetami, gazowym pierścieniem i cennym balastem życia – spadała w kierunku Pierścienia Boldera, świecąc w mroku niczym drewniana pochodnia.

We wnętrzu Gwiazdy upłynęło stulecie. Tysiące lat minęły we wszechświecie poza skorupą (Dura nic z tego nie rozumiała). Pierścien stale się zbliżał.

Koloniści zaczęli się bać. Gwiazdni ludzie zaczęli się bać.

366

– Dlaczego? – zapytała Dura. – Dlaczego mieliby się obawiać Pierścienia? Co się stanie, gdy do niego dotrzemy?

Koloniści wycofali się do Rdzenia. Skonstruowali w nim dla siebie cudowny wirtualny świat – iluzoryczne Ziemię... Wierzyli, że nic im tam nie grozi, że zdążają się uporać z każdą katastrofą, która mogłaby nawiedzić Gwiazdę.

Gwiazdni ludzie zostali w Płaszczu niczym osierocone i porzucone dzieci. Mieli swoje tunele czasoprzestrzenne i inne urządzenia, ale ponieważ nie mogli liczyć na wskazówki ro-dziców-kolonistów, traktowali je jak luksusowe zabawki.

Strach ustępował miejsca coraz silniejszemu gniewowi. Gwiazdni ludzie postanowili, że w miarę możliwości podążą za swoimi byłymi opiekunami do bezpiecznej przystani w Rdzeniu, a gdyby ten zamiar się nie powiódł, sprawią, iż zadowoleni z siebie koloniści również będą się bać tak jak ich porzucone dzieci.

Złącza tunełowe zostały wyrwane z łożysk i ciśnięte w dół, do Rdzenia. Każdy z tuneli czasoprzestrzennych przemierzały armie ponurych wojowników w prowizorycznych statkach. Technologie, które kiedyś posłużyły do budowy napędów nieciągłości, teraz wykorzystywano bezprawnie do produkcji broni.

– Wojny Rdzeniowe – wycedził Hork. – A więc one naprawdę się toczyły.

Był mocno zagniewany. Można byłoby pomyśleć, że niesprawiedliwe porzucenie gwiazdnych ludzi nastąpiło poprzedniego dnia, a nie wiele pokoleń wstecz.

Pomimo że koloniści wydawali się niematerialnymi widmami rdzeniowymi, to jednak zachowali ogromną przewagę. Wojna trwała krótko.

Siła zawiodła; broń wybuchała albo rozpuszczała się, zabijając tych, którzy ją obsługiwali. Złącza były wciągane do Rdzenia albo stawały się bezużyteczne, a tunele między nimi zapadały się. Kiedyś Płaszcz utrzymywał przy życiu społeczność gwiazdnych ludzi, zjednoczoną dzięki sieci tuneli czasoprzestrzennych. Ta obejmująca całą Gwiazdę kultura została zniszczona zaledwie w kilka uderzeń serca.

Bezbronni, nadzy ludzie spadali w Powietrze.

Nad Gwiazdą zaległa wielka cisza.

367

plyw

Po zakończonej wojnie koloniści wycofali się do Rdzenia i rozpoczęli przygotowania do wiecznego życia. Hork uderzył pięścią w dłoń.

– Dranie. Tchórzliwe dranie. Zostawili nas, żebyśmy cierpieli przez tyle pokoleń. Choroby, ból. Zaburzenia. Ale pokazaliśmy im, co potrafimy. Przecież zbudowaliśmy Parz, prawda? Przetrwaliśmy. A teraz, w pięć stuleci po tym, jak się nas pozbyli, znowu jesteście im potrzebni...

Dura nie mogła oderwać wzroku od Pierścienia. Nad potężną konstrukcją cicho tańczyły migoczące światełka.

– Co się dzieje z Pierścieniem? Nie rozumiem. Hork prychnął.

– Czy to nie oczywiste? Pierścień jest atakowany. To wojna; ktoś atakuje Xeelee.

Pokazał jej zaskakująco delikatne świetlne wzorki.

– I byłoby przesadnym zbiegiem okoliczności, gdybyśmy pojawili się tu, na zewnątrz Gwiazdy, akurat podczas pierwszej bitwy. Dura, ta wojna – ta ofensywa na Pierścień – musi już trwać od dłuższego czasu. – Potarł podbródek. – Zapewne toczy się od pokoleń, od stuleci...

Poczuła pulsowanie w gardle.

– Ludzie? Czy to są statki Ur-ludzi? – Wyteżała wzrok, starając się dostrzec wielkie statki tych widmowych gigantów. Bitwa rozwijała się dosłownie na jej oczach. Niektóre błyszczące pojazdy znikają, najwyraźniej za sprawą defensywy Xeelee; inne spadały przez Pierścień i, jeśli można było wierzyć starym legendom, znajdowały się teraz w innych wszechświatach. Dura zastanawiała się, czy załogi tych statków przeżyją... a jeśli im się to uda, jakie dziwne historie będą mieli do opowiedzenia.

– O, tak – rzekł Hork ponuro. – Tak, napastnicy są ludźmi. W każdym razie, Ur-ludźmi.

– Skąd ta pewność?

– Ponieważ Gwiazda zmierza wprost do Pierścienia i a. Jeszcze tego nie pojmujesz, Dura? Gwiazda została wycelowana w Pierścień. Niedługo zderzymy się z nim...

368

Dura wpatrywała się w odległy, błyszczący ogień bitewny. Czyżby Hork miał rację?

– Nie wiem, jak duży jest Pierścień. Być może większy niż Gwiazda. Być może przetrwa. Natomiast Gwiazda bez wątpienia zostanie zniszczona.

Hork przyłożył pięści do klatki piersiowej.

– Nic dziwnego, że Xeelee atakują Gwiazdę. Próbuje ją zniszczyć, zanim dotrze do Pierścienia. Dura, Gwiazda leci po określonej trajektorii, wprost na ten wytwór Xeelee, ponieważ jest pociskiem. – Mówił teraz ciszej, niemal z szacunkiem.

Dura popatrzyła na niego z zaciekawieniem. Cały czas obserwował dalekie starcie, nie ukrywając fascynacji.

Zastanawiała się, czy jej partner jest całkiem zdrowy na umyśle. Ta myśl nie dawała jej spokoju.

A więc dlatego tu jesteście, pomyślała. Taki jest cel całego przedsięwzięcia. Koloniści, stworzenie gwiazdnych ludzi. Takie jest przeznaczenie, cel mojej rasy. Mojego życia.

Jesteśmy łatwymi do zastąpienia producentami broni, służącymi wielkiej wojnie, która przekracza nasze pojęcie.

A kiedy Gwiazda rozbije się o Pierścień – albo wcześniej zniszczą ją gwiazdołamacze Xeelee – wszyscy zginą wraz z nią, wypełniając swoje przeznaczenie.

Nie.

To słowo było jak krzyk przecinający jej skłębione myśli. Musiała coś zrobić.

Starła się nie myśleć o ewentualnych konsekwencjach. Szybko falując, sunęła przez komorę w kierunku szybującego fotela sterowniczego.

plyw

- Co ty wyrabiasz? Dura, tutaj nie jesteśmy w stanie nic zdziałać. Nasz los zależy od potężnych sił, których prawie nie rozumiemy. I... Dura usiadła w fotelu. Wokół niej obracało się widmowe krzesło Ur-ludzi, które drżało, reagując na jej ruchy. Chwyliła bliźniaczo podobne dźwignie, przytwierdzone do ramion fotela. W Powietrzu pojawiła się pękata, ciemnoczerwona kula. Jej powierzchnię pokrywała regularna siatka, nasuwająca skojarzenia ze wstęgami kotwicznymi wokół Parz.

369

Dura wystraszona nagłym pojawieniem się kuli, przestała panować nad sobą i krzyknęła.

Hork roześmiał się, ale jego wysoki, piskliwy głos zdradzał ogromne napięcie.

- Niech to licha. Dziewczyno, właśnie byłaś świadkiem bitwy, której rozmiary przekraczają nasze pojęcie. Dowiedziałaś się, że nasz świat jest skazany na zagładę. A mimo to wpadasz w panikę z powodu zwykłej sztuczki!

-Ale co to jest?

Kula miała średnicę jednego człowieka; unosiła się naprzeciw krzesła.

- Czy to nie jest jasne? - warknął Hork. - Zdejmij ręce z dźwigni.

Dura posłuchała. Kulę było widać jeszcze przez kilka sekund, a potem zaczęła się zapadać i w końcu zniknęła.

- To środek pomocniczy - dorzucił mężczyzna z ożywieniem.

- Coś jakby... - wykonał nieokreślony gest. - Jakby okno w aucie powietrznym. Pomoc dla pilota.

Usiłowała skupić się na nowej zagadce. Zerknęła na Gwiazdę - skłębioną, żółtoczerwoną plamkę w centrum przestrzeni z gazu i światła.

- Ta kula wyglądała jak Gwiazda. Hork wybuchnął piskliwym śmiechem; jego rozszerzone oczy zdradzały podniecenie.

- Jasne, że tak! Nie rozumiesz? Dura, za pomocą tych dźwigni pilot może sterować Gwiazdą a...

- Ależ to niedorzeczność - protestowała. - Czy można kierować Gwiazdą - całym światem - jakby była jednym z aut powietrznych?

- Moja droga, ktoś już tego dokonał. Gwiazda została rozmyślnie wysłana w kierunku Pierścienia. To, że znaleźliśmy urządzenie służące do tego, wcale nie jest zaskakujące. A ta kula jest mapą Gwiazdy; makietą, która pomaga sterować światem...

Dura ponownie złapała dźwignie; natychmiast ujrzała przed sobą szeroką, delikatną, złowieszczą kulę. Zebrała się na odwagę.

- Hork, nie możemy pozwolić na zniszczenie naszego świata.

370

Zbliżył się do niej. Jego oczodoły były szerokie i puste; oddychał płytko. Wydawał się potężny. Trzymał ręce z dala od ciała. Córka Logue'a zacisnęła palce na poręczach krzesła, jakby oczekując, że Hork rzuci się na nią.

- Dura, zejdź z krzesła. Nasza Gwiazda przemierzała kosmos przez tysiąc lat. Musimy spełnić nasz obowiązek, wypełnić przeznaczenie.

Potrząsnęła głową.

- Zatraciłeś się w tym wszystkim, Hork. W całym tym splendorze... To nie jest nasza bitwa.

Spojrzał na nią z ukosa; z jego brodatego oblicza emanowała srogość.

- Gdyby nie ta bitwa, nawet byśmy nie zaistnieli. Pokolenia ludzi żyły, umierały i cierpiały właśnie dla tej chwili. To jest cel naszej rasy, jej apoteoza! Teraz to rozumiem... Jak ktoś taki jak ty może brać w swoje ręce los świata?

- Ale ja nie mogę pogodzić się z tym wszystkim. Muszę

plyw

spróbować coś zrobić. Musimy spróbować uratować nasz świat. Na szerokim obliczu Przewodniczącego odmalowało się powątpiewanie, a nawet tęsknota.

– Wobec tego rozważ następującą myśl. Przypuśćmy, że mamy rację. Przypuśćmy, że nasz świat rzeczywiście jest pociskiem wymierzonym w Xeelee. Zatem jeśli naprawdę można sterować Gwiazdą za pomocą tego urządzenia, to dlaczego znajduje się ono tutaj?

Bała się Horka – nie tylko jego siły fizycznej, ale także nowych, nieoczekiwanych cech charakteru tego mężczyzny: fanatyzmu i chęci złożenia samego siebie w ofierze.

– Pomyśl – mówił. – Gdybyś była projektodawcą, Ur-człowiekiem, który zaplanował tę niesamowitą misję, czego oczekiwałabyś od osoby siedzącej w tym fotelu teraz, w kulminacyjnym momencie wyprawy?

Zawahała się.

– To urządzenie ma służyć do korygowania trajektorii – odparła po namyśle. – Do jeszcze precyzyjniejszego nakierowania Gwiazdy na cel.

Rozpostarł ramiona.

371

– Dokładnie. Być może są tu jakieś drzemiące urządzenia, instrukcje dla nas – w każdym razie dla tych, którzy mieli się tu zjawić – w jaki sposób tego dokonać. Dura, a jeśli nam się nie powiedzie? Jeśli nie dokończymy naszej misji? Być może wmieszają się w to sami Ur-ludzie, żeby ukarać nas za arogancję.

Dziewczyna czuła, że jej dłonie lepia się od potu. To, co mówił, doskonale wyrażało jej wewnętrzny konflikt. Kim była, żeby móc decydować o losie świata i całych pokoleń?

Zaczęła rozmyślać o swoim dotychczasowym życiu, o niezwyklej sekwencji wydarzeń, która doprowadziła ją do obecnego stanu.

Kiedyś, nie tak dawno temu, dryfowała w Płaszczu i, podobnie jak inne Istoty Ludzkie, była zdana na łaskę i niełaskę drobnego, przypadkowego Zaburzenia. Stopniowo, w miarę jak bieg wydarzeń oddalał Durę od ojczystych stron, coraz lepiej rozumiała naturę Płaszcza, Gwiazdy i roli ludzkości – jak gdyby przezroczyście ściany wytworu Ur-ludzi odsłaniały kolejne warstwy postrzegania.

A teraz była tutaj, w tym zadziwiającym miejscu i miała większy wpływ na rozwój sytuacji niż jakikolwiek inny człowiek od czasu Wojen Rdzeniowych. Kręciło jej się w głowie, czuła się jak otumaniona. Tego rodzaju doznania towarzyszyły jej podczas pierwszych wypraw na obrzeża lasu skorupowego, dokąd zapuszczała się wraz z ojcem jeszcze jako mała dziewczynka.

Miała wrażenie, że jej świadomość zapada się. Silnie odczuwała istnienie swego ciała – szerokie, powiększone pory skóry, napięte mięśnie, wrzynający się w talię sznur, za którym nadal tkwił nóż.

Spojrzała w wytrzeszczone oczy Horka. Dostrzegła w nich lekkomyślność, podniecenie, upojenie, pogranicze szaleństwa.

Przygnieciony ciężarem wyprawy, królestwa Ur-ludzi, Kolonistów i gwiazd, zapomniał, kim jest. Jednakże ona nie zapomniała. Wiedziała, kim jest: Durą, Istotą Ludzką, córką Logue'a – ni mniej, ni więcej. I w tej szczególnej chwili czuła się – ni mniej, ni więcej – uprawniona do tego, by przemawiać w imieniu ludów Gwiazdy, bardziej niż ktokolwiek inny. I właśnie dlatego ona musiała działać, i to szybko. Jej niepewność ustąpiła miejsca determinacji.

– Hork, nie obchodzą mnie cele tych przeklętych ludzi-powtorów z przeszłości. Liczy się dla mnie tylko mój lud – Farr,

372

moja rodzina, pozostałe Istoty Ludzkie. Nie poświęcę ich dla jakiegoś pradawnego konfliktu, dopóki mam choć trochę nadziei i możliwości na zmianę stanu rzeczy.

Szerokie, zniekształcone usta Karen Macrae znowu się otworzyły.

plyw

Dura zauważyła z niepokojem, że ich ruchy nie są całkowicie zsynchronizowane z szumiącymi słowami, które wypowiadała Kolonistka.

W naszym wirtualnym świecie czas upływa powoli. Ale nieustannie zbliża się do końca. Zaburzenia niszczą nas. Niektórzy już utracili łączność.

Przerwijcie lot. Odkryliśmy, że nie chcemy umierać.

Dura przymknęła oczy i zadrżała. Koloniści nie byli już zdolni do działania. I dlatego sprowadzili tutaj gwiazdnych ludzi – sprowadzili ją – by uratowali ich świat.

Zerknęła na Horka. Uśmiechał się, odchylając głowę do tyłu jak zwierzę.

– Bardzo dobrze, nadpływowcze. Wygląda na to, że zostałem przegłosowany, i to nie pierwszy raz – aczkolwiek takie wyniki zazwyczaj mnie nie powstrzymują... My też jesteśmy ludźmi, bez względu na to, skąd się wywodzimy, i musimy działać, a nie umierać pokornie jak pionki w czyjejs tam wojnie... Zrób to! – wrzasnął.

Krzyknęła. Czuła się jakby była oddzielona od otoczenia, sparaliżowana. Z całej siły pociągnęła dzwignię.

U podnóża makiety gwiazdy rozbłysł karmazynowy ogień.

27

Błękitne światła Xeelee jaśniały w Powietrzu. Szczątki rozbitych linii wirowych spadały gradobiciem wokół Addy. Falował z wściekłą zawziętością i wił się w Powietrzu, żeby uniknąć tej śmiertelnej nawałnicy. Nie zważał na ból pleców i nóg. Jednakże nawet falowanie nie gwarantowało niczego; Magpole zmieniało się i kierunek jakby pod wpływem fanaberii, dlatego musiał ciągle korygować swoje manewry i omijać zabójcze resztki wirów.

373

Natrafił na czystszy szlak w Powietrzu. Zgiął się, pomimo iż bolały go biodra i lędźwie. Zaczął lekko falować w przeciwnym kierunku do dotychczasowego, by wyhamować lot. Obejrzał się na Miasto, oddalone teraz o jakiś tysiąc ludzi. Wielki martwy szkielet z drewna wyraźnie się przechylał i osuwał poprzez Magpole, które nie stanowiło już solidnego oparcia. Skóra nadal przypominała zgiełkliwy ul; ludzie wybijali otwory i pośpiesznie się ewakuowali. Stary myśliwy miał wrażenie, że jest świadkiem rozkładu twarzy trupa, na którą wpełzają roje insektów.

Nigdzie nie było widać Farra.

Adda popatrzył jeszcze raz na wyższą warstwę Dołu, gdzie mieścił się szpital. Widział wewnątrz poszerzonej blizny skóry wzmożoną aktywność, ale nie był w stanie dostrzec brata Dury. Do diabła, do diabła... Nie powinien był puścić chłopca. Należało użyć przemocy i odciągnąć go od Miasta, od tego cholernego szpitala – Parz i tak czekała zagłada, a jemu samemu mogło najwyżej zabraknąć siły.

Do licha, jestem starym człowiekiem, pomyślał. Wiele przeżyłem, wiele widziałem. Teraz chcę tylko odpoczywać.

No cóż, chyba nie dana mu była bezczynność. Kręcąc głową, przechylił ciało w Powietrzu i zaczął falować z powrotem, w kierunku trzeszczącego drewnianego cielska.

Ze szpitala „wspólnego Dobra” nadal wywożono pacjentów. We wnętrznościach Miasta znowu dała się słyszeć głucha eksplozja, lecz, ku zdumieniu Addy, pracujący wolontariusze nawet nie podnieśli głów. Miał ochotę krzyczeć na nich, bić po twarzach, zmusić tych dzielnych, niemądrych ludzi do uświadomienia sobie, co się dzieje dookoła.

Do prowizorycznych wrót nie wracały żadne samochody.

Niemniej jednak, jakiś ochotnik taszczył bezwładną postać nieokreślonej płci i wieku do rozerwanej skóry. Wgramolił się na jej powierzchnię za pacjentem, chwycił go obiema rękami za bandaż i, falując w tył, zaczął odciągać od zapadającego się Miasta.

Wolontariusz był młodym mężczyzną; jego nagą skórę ozdabiały

plyw

wymyślne, faliste malunki. Z pewnością należał do ekipy aerobatów, która dzisiaj powinna była brać udział we wspaniałej ceremonii Igrzysk; zamiast tego, wyteżał swoje ubru-

374

dzone, pokryte ropą ciało, aby wyciągnąć na wpół żywego pacjenta z umierającego Miasta. Adda wpatrywał się w twarz chłopca, usiłując pojąć, co czuje ten aerobata w momencie, gdy rozpada się jego własne życie, lecz zobaczył jedynie zmęczenie, otepienie i determinację.

-Adda!

To był głos Farra. Starzec spojrział na ciemny oddział; musiał mrugać zdrowym okiem, żeby je przeczyścić.

- Adda, musisz mi pomóc...

Tam. Fan- znajdował się głęboko z tyłu pomieszczenia. Unosił się nad kolejnym poszkodowanym - zwałistym nieruchomym człowiekiem zawiniętym w kokon. Adda stwierdził z ulgą, że chłopiec chyba jeszcze nie jest ranny.

W chwilę później przepychał się ku niemu nad głowami ludzi.

Pacjent był tak szczelnie owinięty, że spod kokonu wystawała tylko potężna, pomarszczona od ran pięść i fragment ramienia albo klatki piersiowej, nie większy niż dłoń Addy. Odsłonięte ciało było pozbawione naskórka, jak gdyby przeżute.

Wiekowego nadpływowca przeniknął dreszcz. Popatrzył na Farra.

Twarz młodzieńca była ściągnięta, oczy zdradzały zmęczenie, a rozszerzone pory powietrzne na policzkach przypominały kratery.

- Cieszę się, że wróciłeś.

- Jesteś cholernym głupcem, chłopcze. Chcę, żebyś to wiedział teraz, bo może nie będę miał okazji powiedzieć ci o tym później.

- Ależ musiałem wrócić. Usłyszałem głos Bzy i. Ja... W głębi kokonu coś się poruszyło - może pacjent przekreślił głowę? - i nad jego brzgiem ukazał się szponiasty palec, który zacisnął materiał jeszcze mocniej. W tym drobnym geście wyczuwało się zawstydzenie.

- To ma być B z y a?

- Musieli go wyciągać z Podpłaszca. Był już prawie martwy.

Adda, on musiał opuścić Dzwon. Włókł Hoscha, który jednak nie przeżył. - Chłopiec zerknął na swojego przyjaciela, splatając ręce. - Musimy go stąd wydostać - zabrać z Miasta.

-Ale...

375

W czeluściach Parz rozległo się kolejne głuche uderzenie.

Wydawało się, że nawet Powietrze zadygotało. Sufit pomieszczenia szpitalnego opadł; drewno łamało się z trzaskiem. Kwadratowy fragment sufitu wielkości człowieka, ściśnięty, pękł, rozrzucając grad ostrych odłamków drzewnych. Tym razem pracownicy i pacjenci musieli zwrócić na to uwagę. Ogólne zamieszanie potęgowały krzyki, a ranni zakrywali twarze nagimi albo zabandażowanymi ramionami.

- Dobrze - powiedział Adda. - Ty bierzesz go za ramiona, ja będę popychał nogi. No, ruszaj się, do diaska...

Zaczęli się gramolić do wyjścia, ciągnąc kokon pod rozszczępionym sufitem. Musieli przepychać się przez tłum, odsuwać nogami wolniej sunące głowy i kończyny.

Nie mogli wypatrzeć Deni.

Mieli wrażenie, że dotarcie na miejsce trwało wieczność. Wyrzucili ciało wielkoluda w Powietrze, przez krawędź poszarpanego otworu.

Bzya przekoziołkował, całkowicie bezradny w swym kokonie. Dwaj przybysze z nadpływu ruszyli niezdarnie za nim. Farr zamierzał ponownie chwycić koniec kokonu, w którym znajdowała się głowa Poławiacza, ale Adda powstrzymał chłopca. Ułożył Bzyę w taki sposób, że leżał on niemal na górnej części ich ud.

- Weźmiemy go w taki sposób - tłumaczył Adda. - Trzymaj mocno. Obaj będziemy falować w tył...

Farr skinął głową, rozumiejąc, o co chodzi starcowi. Chwycił fałdy kokonu i wkrótce obaj równoległe wierzgali nogami w tył, ciągnąc za

sobą ciężkiego Bzye.

Miasto, którego sylweta majaczyła nad ich głowami, znowu opadło; tym razem z trzaskami wewnątrz kadłuba. Adda wyobraził sobie, że potężne dźwigary z materii rdzeniowej, kości gigantycznego cielska, wykręcają się i pękają jeden po drugim. Drewno wybuchało, rozsiewając drzazgi na całej powierzchni skóry. Pojawiały się na niej wielkie, prostoliniowe zmarszczki, jak gdyby powłoka Parz zaczynała się fałdować.

Adda rozpaczliwie kopał gęste Powietrze, ignorując odrętwienie w nogach i tępy ból w palcach, ciągnących kokon niby zachłanne szpony. Powietrze nadal sypało szczątkami linii wirowych w kształcie pierścieni i innych fantastycznych form.

376

Nagle ciało Bzyi określiło się. Ciężkie nogi Poławiacza wyrznęły w klatkę piersiową Addy, który z wrażenia wypuścił chorego z rąk i usłyszał jego jęk.

Starzec zatrzymał się i sięgnął po błyszczący, kosztowny materiał kokonu, usiłując ponownie go złapać.

Fair przestał falować. Zatrzymał się w Powietrzu i upuścił kokon. Patrzył na Miasto.

– Na krew Xeelee, chłopcze...

– Spójrz. – Brat Dury wskazał wejście do Szpitala. – To chyba Deni.

Adda otarł brud ze zdrowego oka i przyglądał się postaciom w otworze. Wydawały się małe w porównaniu z potężną drewnianą panoramą skóry. To rzeczywiście była Deni Maxx. Filigranowa lekarka energicznie, z wprawą, przygotowywała kolejnego pacjenta do ewakuacji.

Z głębin Miasta wydobywał się nowy dźwięk przypominający pokorne westchnienie, które błyskawicznie osiągnęło wyższą tonację, jakby miało wyrażać ulgę. Skóra dzieliła się na wielkie drewniane tratwy, odsłaniając konstrukcję nośną z materii rdzeniowej. Miało się wrażenie, że to kości wynurzają się z gnijącego cielska. Lekko błyszczące dźwigary fałdowały się i pękały.

Adda chwycił kokon i zaczął wierzcąc. Ręce starca ześlizgnęły się i bezwładne ciało Bzyi prawie się nie poruszyło, lecz nadpływowiec podjął kolejną próbę. Po chwili Fan- dołączył do niego i teraz obaj oddalali się od Parz, falując nierównomiernie, z wysiłkiem.

Fasada drewnianej metropolii – zionąca wielkimi otworami – zapadała się pod powłoką wstęg kotwicznych i opadała fałdami na ich dolne części. Konstrukcja z materii rdzeniowej okazywała się tak słaba, jakby wykonano ją z miękkiej skóry świńskiej. Z kruszącej się skóry spadał deszcz odłamków.

– Deni! – wrzasnął Farr.

Pomimo chaosu panującego przy szpitalnym wyjściu Adda widział szczupłą sylwetkę pani doktor. Nie przerywała pracy. Przez chwilę patrzyła w górę, na zapadającą się skórę, ale zaraz wróciła do swoich pacjentów.

Wylot oddziału szpitalnego zamknął się jak pyszczek.

377

Przez ułamek sekundy Adda widział, jak Deni zasłania się ramieniem przed potężnymi szczękami z drewna i materii rdzeniowej, jakby wreszcie próbowała ocalić własne życie. Postrzępione krawędzie rozerwały jej ciało niczym zaciskające się zębiska. Obłok drewnianych szczątków i pyłu, który wzbił się nad zniszczoną fasadą Miasta, przesłonił widok szpitala.

Farr bełkotał coś głośno, ale cały czas falował, wlokąc kokon Bzyi.

– Krzycz! – wrzasnął Adda, chociaż jego słowa zagłuszał rozdzierający ryk Miasta. – Niech cię diabli, krzycz i płacz, jeśli chcesz! Tylko nie przestawaj falować!

Hork przybliżył twarz do nierealnie cichego przestrzennego obrazu.

plyw

– To wiatroodrzut – powiedział ze zdumieniem i wybuchnął śmiechem. – Wprost nie mogę w to uwierzyć. Wiatroodrzut z Bieguna Północnego Gwiazdy!
Dura ścisnęła mocniej dźwignie sterownicze. Były ciepłe i wygodne; pasowały do jej dłoni. Miała wrażenie, że jest więźniem własnego umysłu, bezradnym obserwatorem swoich poczynań. Usiłowała wyobrazić sobie, co musi się dziać w Płaszczu, jeśli ta kulista mapa rzeczywiście przedstawiała Gwiazdę.
Hork zbliżył się do przezroczystej ściany i oglądał malutki obraz bitwy. Wreszcie odwrócił się do Dury i krzyknął:
– Myślę, że to wystarczy... Możesz puścić.
Dziewczyna spojrzała na swoje ręce. Palce nie chciały się wyprostować. Musiała groźnie spojrzeć na zbuntowane dłonie i wysiłkiem woli zmusić je do rozwarcia się.
Uwolnione dźwignie delikatnie powróciły do pozycji wyjściowej. Strumień na gwiazdnej mapie skurczył się, przerodził w cienkie piórko, aż w końcu całkowicie zanikł. Mapa zbladła i powoli rozmyła się.
– Czy to już koniec? Już nie zmierzamy w kierunku Pierścienia?
Hork wrócił, falując przez potężną komorę. Kręcił strzałką urządzenia w krzesle na przemian w lewo i w prawo; spoglądał

378

to na łuk gwiazdny, to na pole gwiazd, usiłując ocenić zakres zmiany, dokonanej przez jego towarzyszkę.
Dura rozsiadła się w fotelu i obserwowała ciche eksplozje gwiazdnych pól na nieboskłonie.
– Nie obróciliśmy Gwiazdy, jeśli o to ci chodzi – rzekł Hork. – Ale nadaliśmy jej inny kierunek. W każdym razie, tak sędzę... Pierścień odsunął się od środka tamtej ściany. – Wskazał na obraz nieba. – Wciąż zmierzamy w stronę pola bitwy, ale odchyliśmy trajektorię Gwiazdy; nie natkniemy się na Pierścień.
Nachmurzyła się. Nie opuszczało jej poczucie, iż jest nic nie znaczącym pyłkiem w oddali.
– Myślisz, że to wystarczy?
– Żeby Xeelee przestali nas niszczyć? – wzruszył ramionami.
– Nie wiem, Dura. Ale zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Córka Logue'a przypatrywała się Horkowi. Na jego twarzy również malowało się oszołomienie i uczucie zawodu.
Mężczyzna wyciągnął rękę.
– Chodź. Wydaje mi się, że po tych epickich czynach powinniśmy odpocząć. Wracajmy do naszego drewnianego statku. Zjemy coś i spróbujemy się odprężyć.
Pozwoliła, żeby wyciągnął ją z krzesła. Trzymając się za ręce, pofalowali do wewnętrznego czworościanu.
Kiedy znaleźli się w nim, dziewczyna zaczęła sunąć w kierunku otwartego wjazdu „Świni”, ale Hork złapał ją za ramię.
– Poczekaj, Dura, spójrz na to.
Odwróciła się. Pokazywał mapę na wewnętrznej ścianie komory Złącza – mapę Gwiazdy, diagram tuneli, który już wcześniej oglądali. Jeden ze szlaków – ścieżka, która łączyła Rdzeń ze Skorupą, na Biegunie Północnym – migotał, powoli i miarowo.
Hork pokiwał głową.
– Chyba rozumiem. Właśnie w ten sposób stworzono strumień gwiazdny. – Wodził opuszką palca po tunelu. – widzisz? Kiedy pociągnęłaś te dźwignie, Dura, tunel musiał się otworzyć. Zacerpnał materię z serca Gwiazdy i przetransportował ją do Skorupy. Materia pobrana z głębi Rdzenia zapewne od razu wybuchła w niższym ciśnieniu, uwalniając mnóstwo energii.

379

Dura czuła się dziwnie. Miała wrażenie, że widzi Horka w odległym końcu długiego ciemnego korytarza.

– Na Biegunie Północnym muszą istnieć potężne silniki

plyw

wykorzystujące tę energię – napędy nieciągłości, o których wspomniała Karen Macrae; to one popychają Gwiazdę. – Miał nieprzytomny wzrok. – Dura, musimy kiedyś dotrzeć do tych silników. Ciekaw jestem, jak powiodło się kolonistom, gdy nastąpił wybuch z tamtego tunelu...

Durze wydawało się, że twarz Horka utraciła rumieńce. Nawet trupioblada mapa na ścianie czworościanu zrobiła się brązowawa. Dziewczyna poczuła w ustach dziwny, rozrzedzony smak. Uświadomiła sobie, że jest zmęczona. Miała przed sobą wystarczająco dużo czasu, żeby snuć plany i marzenia. Na razie tęskniła jedynie za znajomym i względnie bezpiecznym pokładem „Swini”, na którym mogła coś zjeść i przespać się.

Kiedy zbliżyła się do wejścia statku, powitał ją silny słodkawy odór świńskich wiatroodrzutów.

Adda dotknął ramienia Farra.

– Czekaj. Zatrzymamy się tutaj. Już wystarczy.

Chłopiec był zbity z tropu. Falował jeszcze kilka sekund, jakby odruchowo, a potem przestał poruszać nogami. Wypuścił kokon i zerknął na swoje ręce, które wyglądały jak zagięte szpony. Stary myśliwy oddalił się trochę i zawisł w Powietrzu; po raz pierwszy od początku katastrofy zmogło go zmęczenie. Magpole podtrzymywało Addę, ale wyczuwał jego nieustanne drżenia. Ból w nogach, ramionach, plecach i dłoniach nie wynikał już tylko ze zmęczenia i stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Nadał klatkę piersiową, wciągając wilgotne Powietrze Bieguna; gęsta substancja paliła płuca i naczynia włosowate. Przypomniał sobie srogie ostrzeżenia biednej, utraconej na zawsze Deni Maxx – po zderzeniu z lochą powietrzną jego ciało już nigdy nie miało odzyskać pneumatycznej sprawności. Tego dnia sprawdził jej diagnozę do granic możliwości.

Miasto było zniszczonym drewnianym pudełkiem, tak małym, że można było je zakryć dłonią. Długi elegancki Grzbiet

380

łączył jego dolną część z Podpłaszczem. Wokół górnej warstwy Parz unosił się obłok, mgła utkana ze szczątków konstrukcji, a także uciekających mieszkańców.

Gwiazdołamacze Xeelee nadal przeszukiwały Płaszcz. Wokół statków szalały struny wirowe, śmiercionośne i... banalne. Adda uświadomił sobie, że zamykają mu się oczy. Poczucił takie znudzenie i ból, że przestało go interesować to, co działo się dookoła. To była najgorsza cecha starzenia się: powolne, nie mające końca obumieranie ciała, które stopniowo izolowało go od świata, od ludzi, i pogrążało w małym, klaustrofobicznym wszechświecie własnej słabości. Nawet teraz, w najważniejszym dla Płaszcz momentie... Jakiś ironiczny duch podpowiadał mu: No cóż, przynajmniej nie zdążę zobaczyć, jak wszystko zmienia się na gorsze.

– Adda. – W głosie Farra było więcej zdziwienia niż strachu. – Spójrz na Miasto.

Starzec popatrzył na chłopca, a potem wykręcił obolałą szyję, żeby zerknąć na odległe drewniane cielsko.

Metropolia oddaliła się znacznie od swojej normalnej pozycji nad Biegunem Magpoła. Cały czas przechylała się i powoli obracała. Teraz dryfowała szybciej. Obładowane żywymi ludźmi Parz, sunęło przez Powietrze jak wielki pająk spinowy. Adda dopatrzył się w jego dryfie osobliwego wdzięku. Przyszło mu do głowy, że ogląda taniec olbrzyma. W pewnym momencie, pomimo znacznej odległości usłyszał trzask, który przypominał łamanie kości. W spojeniu łączącym Miasto z Grzbietem nastąpiła eksplozja – odłamki drewna musiały być wielkości samochodów powietrznych, skoro widział je z tak daleka.

Grzbiet oderwał się.

Pozostawał zawieszony w głębinach biegunowego Magpoła niczym ogromny sponiewierany pień drzewa. Najwyraźniej miał

plyw

decydujący udział w dotychczasowym zakotwiczeniu Miasta w Magpolu, gdyż teraz górna część Parz, w wylotach której nadal świeciły na zielono drewniane latarnie, przewróciła się do przodu niczym gigantyczna, groteskowa parodia spuszczonej głowy. Konstrukcja nie mogła długo wytrzymać takiego naporu. Wstęgi kotwiczne z materii rdzeniowej, powyginane, matowe

381

i beużyteczne, raptownie rozerwały się na spore kawałki. Bańka z przezroczystego drewna, która otaczała stadion, rozprysła się. Budynki pałacowe na górnej powierzchni (sąsiedztwo miniaturowych lasów i wystaw sprawiało, że wyglądały jak pracowicie pokolorowane zabawki) ześlizgnęły się w Powietrze niemal z gracją, odsłaniając gołą drewnianą platformę.

A potem przyszła kolej na cielsko Parz, które rozpadło się jak spróchniałe drewno.

Kadłub rozerwał się niemal idealnie wzdłuż szczeliny Pali Mali, znajdującej się w środku konstrukcji Miasta. Z odsłoniętych ulic, sklepów i domów wysypywali się ludzie i samochody powietrzne.

Rynek pękł jak jajko pająka spinowego i potężne koło do przeprowadzania egzekucji potoczyło się w Powietrze.

Na szczęście trzaski pękającego drewna i wyginanej materii rdzeniowej zagłuszały wycie ludzi.

Adda próbował wyobrazić sobie przerażenie tych osiadłych obywateli. Niektórzy z nich zapewne nigdy nie odważyli się wypuścić poza Skórę, a teraz zostali wyrzuceni w Powietrze i bezradnie miotali się między kłębami bezwartościowego dobytku.

Resztki Parz zapadły się. Zniknął wszelki ślad po dawnym kształcie Miasta. Obłok szczątków, drewna, materii rdzeniowej i miotających się ludzi dryfował w Powietrze, oddalając się od urwanego Grzbietu i powoli rozpraszając.

Stary myśliwy zamknął oczy. W tej gigantycznej zagładzie było dostojęstwo, wręcz gracja, buntownicze wyzwanie rzucone poczynaniom Xeelee.

– Adda. – Farr ciągnął go za ramię i coś pokazywał.

wiekowy przybysz z nadpływu spojrział w tamtym kierunku. Z początku nic nie widział – tylko upiorną karmazynową poświatę wokół północnego widnokregu, żółty chaos Powietrza...

wreszcie zrozumiał, że chłopiec pokazuje mu to, czego nie ma.

Promienie gwiazdołamaczy zniknęły.

Adda poczuł, że zdjęto mu z serca wielki ciężar. Może część ludzi zdoła się uratować.

Gwałtowny podmuch fragmentów linii wirowych zgasił jego nadzieję. Starzec ścisnął mocno rękę chłopca. Chwycił kokon Bzi i patrzył na nadciągającą burzę.

382

28

Złącze tunelowe świeciło.

Krzyki wyrwały Borza z głębokiego, niczym nie zmaconego snu.

Przeciągnął się i rozejrzał, próbując znaleźć przyczynę kłopotów.

Sięgnął do pasa, wyciągnął swój kapelusz powietrzny i włożył na głowę. Oczywiście nie musiał tego robić, ale pomyślał, że w kapeluszu wyda się trochę groźniejszy złodziejskim, pasożytniczym nadpływowcom, którzy pojawiali się zbyt często...

Złącze świeciło. Krawędzie jego czterech trójkątnych płaszczyzn lśniły błękitnym blaskiem linii wirowych tak jasno, że musiał zmrużyć

oczy. Wydawało mu się również, że powierzchnie płaszczyzn bryły pokrywała cienka warstwa złocistego światła, w której odbijał się żółty blask Płaszcz, linie wirowe oraz jego własne, mocno zbudowane ciało.

Mężczyznę ogarnął głęboki, zabobonny lęk.

Nie mógł dojrzeć świń, który zostały umieszczone w środku czworościanu. Różne rzeczy osobiste – ubrania, narzędzia, broń – które przywiązano kawałkami sznura i siatki do prętów tworzących

Strona 221

plyw

krawędzie bryły, teraz krążyły w Powietrzu. Borz chwycił jeden z szybkujących fragmentów sznura i położył na swojej wielkiej dłoni; był osmalony.

Przerażeni ludzie, zarówno dorośli jak i dzieci, falując uciekali od Złącza, krzyczeli i lamentowali. Borz tkwił na posterunku, podobnie jak kilka innych osób.

Złącze nie działało od wielu pokoleń – od czasu Wojen Rdzeniowych. Wszyscy o tym wiedzieli. Jednakże teraz najwyraźniej zaczęło funkcjonować. Dlaczego? I co mogłoby przez nie przybyć?

Borz oblizwał rozpalone, pozbawione Powietrza wargi; czuł, jak rozszerzają się pory na jego twarzy.

Światło na płaszczyznach bryły powoli gasło. Fasady ponownie zrobiły się przezroczyste. Blask szkieletu czworościanu ustąpił miejsca monotonnej czerni.

Złącze znowu było martwe. Wydawało się zwyczajną konstrukcją z prętów, dryfującą w Powietrzu. Borza ogarnęło dziwne, rzadkie u niego uczucie żalu. Wiedział, że już nigdy nie zobaczy tych kolorów, tego światła.

383

Świnie zniknęły ze środka czworościanu. Zamiast nich znajdowało się tam coś innego – jakiś twór, niezgrabny cylinder z drewna, wysoki na trzech ludzi. W jego ścianach znajdowały się przezroczyste płyty, a szeroki kadłub opasywały wstęgi z jakiegoś półmatowego materiału. Właz w górnej części cylindra otworzył się. W otworze pojawiła się twarz jakiegoś mężczyzny – ot, po prostu mężczyzny – okolona ekscentrycznym zarostem.

Nieznajomy uśmiechnął się do Borza.

– Co za ulga – oznajmił. – Potrzebowaliśmy odrobiny świeżego Powietrza. – Zajrzał do wnętrza cylindra. – Widzisz, Dura, byłem przekonany, że Karen Macrae dowiezie nas do domu.

– Hej! – Borz wierzgał grubymi nogami, aż jego twarz znalazła się na tym samym poziomie, co brodate oblicze przybysza. – Hej, ty! Gdzie są nasze świnie?

– Świnie? – Mężczyzna wydawał się zбитy z tropu. Popatrzył na martwe Złącze. – Och, rozumiem. Trzymałeś swoje świnie wewnątrz tego przejścia, prawda?

– Gdzie one są?

Mężczyzna sprawiał wrażenie rozbawionego, ale odparł zyczliwym tonem:

– Obawiam się, że daleko stąd. – Powąchał Powietrze i rozejrzał się dookoła. Z jego oczu emanowała pewność siebie i autentyczne zaciekawienie. – Powiedz mi, którądy na Południe.

29

Tobą Mixxax, którego okrągła twarz pobladła z gorąca, wysunął głowę ze swojego auta powietrznego.

– Wygląda na to, że Mur i Lea znowu się kłóca. Jego auto nadciągnęło niepostrzeżenie. Dura właściwie zajmowała się przymocowywaniem lin do fragmentu zniszczonej skóry. Przerwała pracę. Bolały ją ręce i nogi. Nawet tu, na zewnętrznej powierzchni obłoku odłamków, który rozpraszał się po eksplozji Miasta, panował nieznośny upał i hałas, a praca była długa, ciężka i niebezpieczna. Słyszała podniesione głosy Lei i Mura. Ogarnęła ją

384

irytacja – jak długo jeszcze będzie musiała trzymać ich w ryzach, zanim nie nauczą się pracować razem jak dorośli ludzie?

Kiedy jednak przyjrzała się okrągłej twarzy Toby – jego rozszerzonym na skutek ciepła porom, niepewnej minie – natychmiast zapomniała o złości. Wyprostowała się i uśmiechnęła.

– Miło cię widzieć, farmerze. Mężczyzna uśmiechnął się blado.

– Wyglądasz na zmęczoną, Dura... Zdaje się, że wszyscy jesteśmy wyczerpani. W każdym razie – dorzucił z lekkim napięciem w głosie – już nie jestem farmerem.

plyw

- Ale znowu nim będziesz - odparła Dura, falując w jego stronę.
- Przepraszam, Tobą.
Musiała się przeciągnąć, gdyż miała zeszywniały kręgosłup.
Spojrzała na niebo. Linie wirowe wyprostowały się i przecinały niebo w charakterystycznych sześciokątnych układach, uspokajając obrazem zorganizowanego porządku. Ustabilizowane Mag-pole tworzyło mocną sieć pływ w Powietrzu - znowu można było falować i odbudowywać to, co uległo zniszczeniu. •
Dura rozstawiła palce i skontrolowała odległości między liniami. Ich powolne pulsowanie sugerowało, że wkrótce nadejdzie stosowny moment na ceremonię Koła w sercu zrujnowanego Miasta.
- Co z farmą? - zapytała ostrożnie. - Czy Ito...
- Farmę doprowadzamy do porządku - rzekł Tobą. - Powoli.
Ito... próbuje się nie załamywać. Jest bardzo spokojna.
- Przez chwilę poruszał małymi, niemal komicznymi wargami, jakby wyrażanie uczuć przychodziło mu z najwyższym trudem.
- Wiesz, że towarzyszy jej Farr. I kilku przyjaciół Crisa, surferów.
Crisa nie ma, ale myślę, że obecność młodych ludzi stanowi jakąś pociechę dla Ito.
Dura dotknęła jego ramienia.
- W porządku. Nie musisz nic mówić. Chodź, może pomożesz mi załagodzić kłótnię między Leą i Murem...
Tobą wygramolił się z samochodu.
Razem brnęli przez Miasto. Parz przeobraziło się w obłok szybujących odłamków skóry i powyginanych elementów dźwięgarów z materii rdzeniowej, który spajał niezliczone drobiazgi
385

ludzkiego świata, beztrąsko rozsypane w Powietrzu. Mniej więcej w środku obłoku unosiło się Koło do wykonywania egzekucji, oderwane od starego Rynku. Dryfując tuż przy brzegu chmury odpadków, Dura widziała części garderoby, zabawki, zwoje manuskryptów, kokony, przybory do gotowania - zawartość tysięcy zniszczonych gospodarstw domowych.
Nieliczne sektory Miasta, które przetrwały ostatnie Zaburzenie, nadal zapadały się konwulsyjnie, mimo iż od wycofania się Xeelee upłynęło parę tygodni. Nieuważny obserwator mógłby pomyśleć, że gromady ludzi, którzy pełzali po unoszących się resztkach, to pijawki, czyściciele przyśpieszający niszczenie jakiegoś wielkiego gnijącego trupa, szybującego w napęczniałym Powietrzu Bieguna. Wielu byłych mieszkańców drewnianej metropolii, którzy niedawno ją opuścili, wróciło do Parz, żeby szukać swoich rzeczy i pomagać przy odbudowie. Przy okazji zdarzały się przypadki szabrownictwa; zbyt wielu ludziom zależało jedynie na przetrząśnięciu szczątków Miasta, które nieprędko miało osiągnąć dawną świetność.
Jednakże obowiązywał specjalny edykt Horka, zabraniający masowego powracania do Parz. Sporo dawnych mieszkańców metropolii rozproszyło się po farmach sufitowych zagłębienia i zostawało tam, aby pracować i uchronić się przed głodem. W ruinach Miasta przystąpiono do likwidacji zniszczeń i odbudowy. Ekipy robotników zdołały zlokalizować ocalałe prądnice. Wielkie silniki, które kiedyś wytwarzały prąd we wstęgach kotwicznych, zostały oczyszczone z gruzów infrastruktury. Teraz unosiły się w wolnej przestrzeni, a ich grube powłoki z materii rdzeniowej lekko połyskiwały w fioletowym świetle Morza Kwantowego, jak gdyby były ogromnymi opancerzonymi zwierzętami.
Dura pomyślała z zaniepokojeniem, że szczęśliwy koniec nie jest wcale taki pewny. Nietrawne społeczeństwo, dryfujące bezradnie po Zaburzeniu spowodowanym przez Xeelee, mogło się rozpaść, ulec całkowitej dezintegracji. Wystarczyłby samobójczy konflikt związany z kurczącymi się zasobami, z niegdyś cennymi dobrami starego Parz, które na skutek katastrofy stały się bezwartościowymi ozdóbkami.
To była jednak kwestia czasu. Na razie ludzie wydawali się
386

– na ogół – przygotowani do wspólnego wysiłku i odbudowy. Dominował nastrój nadziei, chęć rozpoczęcia życia od nowa. Dura z zadowoleniem odnotowała ból w mięśniach i sztywność pleców. Miała pewność, że przyczyniła się ciężką pracą do odbudowy skromnej części Płaszcz. Czuła przypływ energii i optymizmu. Odnosiła wrażenie, że następne dni będą jednymi z najszcześniejszych w jej życiu.

W oczyszczonej przestrzeni, w odległości kilku ludzi od samochodu, Mur pokazywał Lei – ładnej dziewczynie, która kiedyś była surferem – jak robić sieci z plecionej kory drzew skorupowych. Otaczała ich płatanina częściowo zwiniętych sznurów i resztek sieci. Mały Jai – ponownie połączony z ojcem – kręcił się w Powietrzu wokół tych dwojga. Nagie i śliskie dziecko chwyciło kawałki lin, gaworząc radośnie. Lea wymachiwała sznurkiem przed twarzą Mura.

– No dobrze, ale nie rozumiem, dlaczego każesz mi zrobić to jeszcze raz.

Mur był tak wściekły, że jego głos załamywał się jak u młodzieńca przechodzącego mutację. Dura doszła do wniosku, że w porównaniu z dziewczyną z Miasta wciąż wydawał się bardzo chudy.

– Ponieważ sieć nie jest spleciona jak należy. Wykonałaś robotę źle. Jeszcze raz! I nie...

– I nie mam zamiaru wysłuchiwać tego rodzaju gadki od kogoś takiego jak ty, nadpływowcze.

Tobą położył ręce na ramionach dziewczyny.

– Lea, Lea. Nie powinnaś odzywać się w ten sposób do naszych przyjaciół.

– Przyjaciół? – Dziewczyna rzuciła imponującym stekiem przekleństw. Tobą zbladł i oddalił się od niej z przerażeniem. Dura wzięła sznurek wyrzucony przez Leę.

– Być może Mur nie wyjaśnił wszystkiego – odezwała się swobodnie. – Musisz pleść sznurek podwójnie, żeby zwiększyć wytrzymałość sieci. – Pociągnęła kawałki liny, pokazując, jaka jest mocna.

– Ale sposób, w jaki on do mnie mówi...

– Ta plecionka to świetny kawałek roboty. – Dura spojrzała na dziewczynę. – Ty ją wykonałaś?

387

– Tak, ale...

Dura uśmiechnęła się.

– Istoty Ludzkie potrzebują wielu lat praktyki, żeby się nauczyć tak dobrego wyplatania, a ty już prawie opanowałaś tę umiejętność. Oszołomiona tą pochwałą Lea musiała bardzo się wysilać, żeby zachować gniewną minę. Odgarnęła z czoła wymyślnie ufarbowane włosy.

Dura podała jej sznurek.

– Z niewielką pomocą Mura osiągniesz taką wprawę, że będę przychodziła do ciebie na lekcje. Chodź, Tobą, zrobimy przerwę. Chciałabym zobaczyć, jak sobie radzi Adda.

Kiedy odlatywali, Dura obejrzała się, bardzo dyskretnie, i zobaczyła, że Mur i Lea niechętnie zbliżają się do siebie i znowu chwytają kawałki sznurka.

Była zadowolona z rozładowania drobnego konfliktu. W skrytości ducha cieszyła się, że jej współplemieńcom udaje się dostosowywać do sytuacji, którą zastały tu, na Biegunie, a w dodatku idzie im to lepiej niż niektórym mieszkańcom Miasta.

Dura spodziewała się, że Istoty Ludzkie będą wstrząśnięte i rozczarowane, kiedy po długiej podróży-przez niebo zastaną tylko rozpraszającą się chmurę szczątków. Zareagowały o wiele spokojniej, niż przewidywała... zwłaszcza gdy znowu ujrzały swoje dzieci. Po prostu nie miały pojęcia, czego tu oczekiwać. Nie mogły wyobrazić sobie Parz w całej jego świetności – podobnie jak ona, zanim została tu przywieziona przez Tobę. Już sama liczba mieszkańców, potężne,

plyw

tajemnicze silniki, drogocenne przedmioty porozrzucane wręcz niedbale w Powietrzu – to wszystko musiało się wydać małej grupce jej ziomków wystarczająco wspaniałe. Część nieregularnego, rozszerzającego się obłoku została odgródzona i była traktowana, nieformalnie, jako rejon szpitala. Dura i Tobą przepchnęli się przez kłębowisko szczątków i zaczęli mijać szeregi pacjentów, unoszących się wygodnie w Powietrzu i luźno powiązanych linami. Dziewczyna zerkała na nich ukradkiem, nieco zakłopotana. Wielu ludzi odniosło tak poważne obrażenia, że nie mogło liczyć na całkowite odzyskanie sprawności. Niemniej jednak, poszkodowani byli otoczeni fachową opieką. Bandaże i łubki wydawały się nienaruszone i czyste.

388

Zniszczenie Parz miało przynajmniej tę dobrą stronę, że odbyło się na wielką skalę. Dzięki temu wiele mniejszych przedmiotów – na przykład sprzęt medyczny – zostało po prostu wyrzuconych w Powietrze i nie uległo uszkodzeniu.

Kiedy zbliżyli się do prowizorycznego szpitala, powitał ich Muub, dawny lekarz Dworu. Medyk zarzucił swą niepraktyczną elegancję; miał na sobie ubiór przypominający kaftan Poławiacza, zaopatrzone w mnóstwo kieszonek. Zamiast błyszczącej łysin, uwagę przykuwał jego promienny uśmiech. Dura nigdy nie widziała lekarza w tak dobrym nastroju – sprawiał wrażenie szczęśliwego, wręcz wyzwolonego.

Muub zaprowadził ich do Addy. Stary nadpływowiec dryfował z ponurą miną obok wypchanego, zapieczetowanego kokonu. Dura wiedziała, że w kokonie znajduje się Bzya, okaleczony Poławiacz, który wciąż mógł co najwyżej bełkotać prawie niezrozumiale przez to, co zostało z jego ust. Bzya najwyraźniej spał, lecz Adda był zadowolony, że może czuć przy swoim przyjacielu, pielęgnować go, ilekroć zachodziła taka potrzeba, i pomagać w ten sposób Jool i jej córce Shar (która wróciła z farm sufitowych).

Stary myśliwy uściśnął Durę i wypytał ją o pozostałe Istoty Ludzkie. Córka Logue'a opowiedziała mu o Murze i Lei.

– Istnieją sporne kwestie – dodał Muub. – Jednakże wasi nadpływowcy dobrze współpracują z obywatelami Parz. Zgodzisz się ze mną, Adda?

– Może – burknął stary człowiek, jak zawsze z kwaśną miną. – A może nie. Może „dopasowujemy się” zbyt łatwo. Dura uśmiechnęła się.

– Jesteś strasznym cynikiem, kochany Addo. Nikt nie zmuszał Istot Ludzkich, żeby tu przybyły i pomagały społeczności Miasta w uprzątnięciu gruzów.

– Aczkolwiek bardzo się cieszymy, że tu jesteście – rzekł lekarz wylewnie. – Bez waszych silnych, nadpływowych mięśni nie zrobiliśmy nawet połowy tego, co już zostało wykonane.

– Jasne. Pod warunkiem, że nie będziemy używali naszych „silnych, nadpływowych mięśni” do budowy kolejnej miłej, schludnej klatki dla siebie samych.

– Daj spokój, Adda – odezwała się Dura.

389

– Ale przecież nigdy nie byliście w klatce – powiedział Tobą Mixxax zdenerwowanym głosem. – Nic nie rozumiem. Medyk uniósł ręce.

– Adda ma rację. Odbudowując nasze Miasto, powinniśmy zastanowić się również nad odbudową naszych serc. Istoty Ludzkie były w klatce. Tobą. Tak jak my wszyscy: w klatce ignorancji, uprzedzeń i przemilczeń.

Dziewczyna spojrzała na niego uważnie.

– Naprawdę popierasz coś takiego?

– Czy my w ogóle potrzebujemy Miasta? – zapytał stary nadpływowiec z ironią w głosie. – Może przyszła pora, żebyśmy

plyw

zaczęli wszystko od nowa bez niego.

Dura potrząsnęła głową.

– Chyba nie zgodzę się z tobą. Korzyści wiążące się z istnieniem

Miasta – stabilność, składnica wiedzy, dostęp do usług medycznych

– pomogą wszystkim osobom zamieszkującym Płaszcz. –

Przygwoździła Muuba zdecydowanym spojrzeniem. – Nieprawdaż?

Lekarz skinął głową z powagą.

– Nigdy nie osiągnęlibyśmy postępu, bazując na uprawie pól.

Jednakże Miasto nie może znowu stać się więzieniem-twierdzą.

Właśnie dlatego planujemy stworzenie wielu społeczności satelickich,

z Miastem jako centrum. Nie powinniśmy więzić ludzkości w jednym

miejscu, które tak łatwo może ulec zniszczeniu z zewnątrz – i za

sprawą naszych serc.

Adda prychnął.

– Mówisz o naturze ludzkiej. Cóż ją powstrzyma od powtórzenia

odwiecznych błędów, jeśli chodzi o więzienia i twierdze?

– Tylko uparty i nieprzerwany wysiłek dobrych mężczyzn i

kobiet – odparł medyk spokojnie. – Hork dąży do tego samego.

Mówi o nowych strukturach władzy – o radach przedstawicielskich,

za których pośrednictwem wszyscy mieszkańcy Płaszczca mieliby

wpływ na rządzenie.

– Znam Horka i trochę trudno mi w to uwierzyć – przyznała

Dura.

– Wobec tego musisz się postarać w to uwierzyć – powiedział

Muub surowo. – Dura, Hork nie jest jakimś sentymental-

390

nym marzycielem. Wie, jaka jest rzeczywistość, i potrafi sobie z nią

radzić. Rozumie, że bez pradawnej mądrości Istot Ludzkich – bez

waszej wiedzy dotyczącej Wojen Rdzeniowych i możliwości

odzyskania części starożytnej technologii – Miasto zostałoby

zmięcone przez atak Xeelee i nawet nie mielibyśmy pojęcia, dlaczego.

Być może cała rasa uległaby zagładzie... Potrzebujemy siebie

nawzajem. Hork godzi się z tym i chce mieć pewność, że nie stracimy

tego, co już uzyskaliśmy. Z pewnością jego dzisiejsza litania jest

dowodem dobrej woli. Może moglibyśmy ułożyć nową, połączoną

filozofię zawierającą najlepsze elementy wszystkich nurtów –

filozofii Xeelee, kultu Koła – i stworzyć nową wiarę, która by nas

poprowadziła... Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

– Może. Ale najpierw będziemy musieli poskładać Parz do kupy.

Adda potarł nos.

– Zapewne. Jednak Fan – chyba nam w tym nie pomoże.

– Rzeczywiście – odparła Dura. – Postanowił wrócić do Morza

Kwantowego w nowej, ulepszonej „Latającej Świni”. Chce znowu

odnaleźć kolonistów. Niemniej zrozumiał, że potrzebuje trochę czasu,

żeby najpierw odbudować własny świat, a dopiero potem wyruszy na

podbój innych...

– Spore ambicje – rzekł Muub, uśmiechając się blado. – Wielu z

nas interesuje to, czego dowiedzieliście się o kolonistach... i o

potężnych silnikach Ur-ludzi na Biegunie Północnym. Oczywiście nie

mamy pojęcia, jak odbyć podróż dłuższą niż kilkadziesiąt metrów od

Bieguna Południowego, a co dopiero mówić o przekroczeniu równika...

ale coś wymyślimy.

– Dlaczego miałby istnieć jakikolwiek sposób? – zagadnął Adda

cynicznie. – Pamiętaj, że Gwiazda stanowi nieprzyjazne środowisko.

Zaburzenia wbiły nam do głów, że powinniśmy zabiegać o jakieś

bezpieczne schronienie. Nie mamy gwarancji, że zdołamy dokonać

czegoś więcej ponad to, co możemy zrobić teraz. Ostatecznie Ur-

ludzie zostawili nas, byśmy zginęli razem z Gwiazdą; nie wierzyli, że

czeka nas jakakolwiek przyszłość.

– Być może. – Muub uśmiechnął się. – Ale kto wie, jak było.

Rozważ następującą rzecz. A jeśli Ur-ludzie wcale nie

391

plyw

chcieli, żebyśmy ulegli zagładzie w momencie, gdy Gwiazda uderzy w Pierścien? Jeśli zostawili nam do dyspozycji jakieś sposoby ucieczki?

– Na przykład tunel do planety – odezwała się Dura.

– Albo – dorzucił lekarz – nawet statek. Samochód powietrzny, który mógłby podróżować poza obrębem Gwiazdy. –

Popatrzył na Skorupę i na jego twarzy odmalowała się nieokreślona satysfakcja. – Co znajduje się za dachem przykrywającym nasz świat? Widziałas przelotnie inne gwiazdy, Dura – setki, miliony gwiazd. Każda z nich może być siedliskiem życia; tamci ludzie nie są tacy jak my, ale również wywodzą się z rasy Ur-ludzi... A jeszcze dalej znajdują się sami Ur-ludzie, wciąż usiłujący realizować swoje mroczne cele. Zobaczyć to wszystko – cóż to byłoby za nagroda!

Tak, Adda, wielu z nas autentycznie interesuje to, co może istnieć na drugim Biegunie... Jednakże nawet odkrycie tamtych cudów powiedziałyby nam bardzo mało o prawdziwej historii naszego wszechświata. W jakim celu powstał Pierścien Boldera? Jakie są rzeczywiste intencje xeelee – kim jest wróg, którego tak bardzo się obawiają, i gdzie się znajduje? – Medyk uśmiechnął się, ale był zamyślony. – Nie chcę umierać, nie poznawszy odpowiedzi na te pytania, ale wydaje się to nieuniknione...

W otwartym sercu Miasta, setki ludzi dalej, zabrzmiały kobzy: to Hork wzywał swoich obywateli. Muub szybko pożegnał się z przyjaciółmi.

Dura zaczęła przedzierać się wraz z Addą do środkowej części obłoku szczątków. Falowali spokojnie. W pewnym momencie Dura wsunęła dłoń w rękę wiekowego myśliwego.

– Przebyliśmy długą drogę, córko Logue'a – odezwał się starzec.

Dura zerknęła na jego twarz podejrzliwie, ale nie dostrzegła ironii.

Adda odwzajemnił się czułym spojrzeniem, które dotychczas rzadko u niego widywała.

Pokiwała głową.

– Rzeczywiście... – A niektórzy z nas przebyli dłuższą drogę niż inni, pomyślała. – Jak się miewa Bzy a? Adda pociągnął nosem.

392

– Jakoś żyje. Cieszy się tym, co ma. Wydaje mi się, że to i tak dużo. Ma teraz przy sobie Jool i Shar...

– I ciebie – dodała. Nie odpowiedział.

– Myślisz, że zostaniesz z nimi?

Wzruszył ramionami, jakby demonstrując dawne przykre usposobienie, ale nadal miał łagodny wyraz twarzy. Ucisnęła jego rękę.

– Cieszę się, że znalazłeś dom – powiedziała. Kiedy zbliżyli się do Koła w środku chmury szczątków, jeszcze raz usłyszeli piskliwy, wyraźny głos Muuba, który przemawiał do zbierającego się tam tłumowi.

– ... Kult xeelee, który kładł nacisk na wyższe cele, a nie na bieżące sprawy, był nie do przyjęcia dla zamkniętej, kontrolowanej społeczności Parz. Władze uważały, że tylko stłumienie tych elementów – wypędzenie czcicieli xeelee, usunięcie podczas Reformacji wszelkich prawdziwych informacji o przeszłości – pozwoli Miastu przetrwać... Myliły się. Natura ludzka zawsze dojdzie do głosu, nawet pomimo najsurowszych ograniczeń. Nadpływowcy zachowali

pradawną wiedzę w niemal nienaruszonym stanie; przekazywali ją z pokolenia na pokolenie, z rzadka tylko uciekając się do archiwów czy zapisków. Na terenie ogołocym z religii i wiedzy rozkwitały nowe wierzenia – takie jak kult Koła. – Muub zawahał się. Nie mogąc zobaczyć lekarza, Dura przypomniała sobie, że siatkówki jego oczu na krótko mętniały, powodując utratę czujnego wyrazu twarzy medyka, ilekroć pochłaniały go jakieś wizje. –

Ciekawe, że zarówno wśród wygnanych Istot Ludzkich, jak i w przypadku równie upośledzonych mieszkańców Dołu, tu w Parz, bogata wiedza z przeszłości zachowała się wyłącznie dzięki przekazom ustnym. Jeśli wszyscy wywodzimy się od gwiazdnych inżynierów – z wyselekcjonowanej grupy bardzo inteligentnych ludzi

plyw

– być może nie powinien nas dziwić ten przejaw aktywności umysłowej, kontynuowanej przez pokolenia. W gruncie rzeczy, systematyczne marnowanie takiego talentu wydaje się zbrodnią. O ileż więcej człowiek mógłby dokonać w tej Gwieździe, gdyby nie śmieszne uprzedzenia i przesady...

Adda prychnął.

393

– Obłudny stary pierdziel. Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

– Żałuję, że nie mogę zobaczyć twarzy Horka, jak faluje i jest zmuszony tego słuchać – uzupełnił stary myśliwy.

– Może mylisz się co do niego.

– Może. Ale przecież – wycedził (Durze wydało się, że starzec ostrożnie próbuje znaleźć właściwe słowa) – nigdy nie byłem tak blisko niego jak ty.

Znowu uważnie przyjrzała się staremu człowiekowi. Zastanawiała się, ile wiedział, albo co potrafił wyczytać z jej twarzy. Obserwował ją, oczekując jakiejś reakcji. Jego pokiereszowane oblicze nie zdradzało żadnych emocji.

Ale jaka powinna być jej reakcja? Czego właściwie teraz chciała?

Tyle się wydarzyło od tamtego pamiętnego Zaburzenia – tego, które zabrało jej ojca. Wiele razy myślała, że jej życie już się skończyło – właściwie od chwili, gdy znalazła się na pokładzie „Latającej Świni” w Porcie Parz, nigdy nie wierzyła, że wróci do Płaszczka. Uświadomiła sobie, iż teraz po prostu cieszy się, że nie zginęła. I wiedziała, iż nigdy nie zapomni o tym prostym fakcie i że będzie on dla niej natchnieniem do końca życia.

A mimo to...

A mimo to przeżyte doświadczenia zmieniły ją. Zobaczyła tak wiele – podróżowała dalej i zrobiła więcej niż jakikolwiek człowiek od czasów samych kolonistów – że już nie mogłaby wrócić do ciasnego życia mieszczaucha, a tym bardziej do świata Istot Ludzkich. W roztargnieniu spłotła ręce na brzuchu. Przypomniała sobie tę jedyną chwilę namiętności z Horkiem. Wtedy myślała, że czeka ją pewna śmierć w głębinach Podpłaszczka i zlekceważyła wewnętrzne, intensywne pragnienie, by być samą. Przez chwilę doświadczała odrobiny ludzkiego ciepła. Zresztą były Przewodniczący okazał się mądrzejszy, niż sądziła na początku. Jednakże gdy przebywali w komnacie Ur-ludzi, zajrzała w głąb jego duszy i to, co tam zobaczyła – złość, desperację, chęć znalezienia czegoś, za co warto byłoby umrzeć – odrzuciło ją.

Hork nie mógł być towarzyszem jej życia.

394

– Zmieniłam się, Adda – powiedziała. – Ja...

– Nie. – Patrzył jej w oczy i kręcił głową ze smutkiem. – W gruncie rzeczy nie. Byłaś sama, zanim zdarzyło się to wszystko – zanim zjawiliśmy się tutaj – i nadal jesteś sama, prawda? Westchnęła.

– Skoro tak ma być – odparła nieco szorstkim tonem – może powinnam się z tym pogodzić. – Odwróciła się. Za przesłaniającym Parz obłokiem szczątków widziała pola sufitowe zagłębienia: gołe, całkowicie pozbawione upraw, a mimo to jakby odnowione. – Może właśnie tam się wybiorę – oznajmiła.

Odwrócił się i spojrzał.

– I co? Zostaniesz farmerem? Będziesz robiła pszeniczną papkę dla mas? Ty? Wyszczrzyła zęby.

– Nie. Chcę mieć swoje własne miejsce... małą oazę porządku w całej tej pustce.

Adda prychnął pogardliwie, ale uściśnął palce Dury z łagodną serdecznością.

Usłyszeli donośny, zgrzytliwy dźwięk kobz. Ludzie nadciągali z Miasta-obłoku i, falując w Powietrzu, podążali w kierunku koła w samym środku chmury. Dura zobaczyła masywną sylwetkę Horka –

plyw
w swojej szacie przypominał kolorowy pyłek; jego muskularne ręce spoczywały na potężnym kole. Już słyszała w wyobraźni jego głos wypowiadający litanię – pierwszą zgodną z prawem litanię Koła, listę wszystkich tych, którzy zginęli podczas ostatniego Zaburzenia, bez względu na to, skąd się wywodzili: z Parz, z zagłębia, z nadpływu, czy ze Skóry.

Ta litania miała leczyć rany i prowadzić do pojednania.

Dwie Istoty Ludzkie falowały energicznie i wkrótce dołączyły do tłumu ludzi, zbierającego się przy kole. Po niebie dookoła nich przesuwały się miarowo linie wirowe, lśniące nowym, silnym blaskiem.